

Amy A. Bartol

PRZECZUCIA

*Łobowiażanie*



Amy A. Bartol  
PRZECZUCIA

# *Zobowiązanie*

przełożył Wiesław Łoźniak



Tytuł oryginału: ***Indebted***

Ilustracja i projekt okładki: *Krzysztof Krawiec*

Redakcja: *Dorota Kielczyk*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Katarzyna Szajowska, Katarzyna Głowińska (Lingventa)*

Copyright © 2012 Amy A. Bartol

All rights reserved.

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2017

© for the Polish translation by Wiesław Łożyniak

ISBN 978-83-287-0757-3

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2017

*Molly – przyjaciółce z dzieciństwa, która towarzyszyła mi  
w pierwszych próbach bycia.*

*A także Maxowi i Jackowi, dla których warto być.*

# *Spis treści*

Rozdział 1 Góra Szmaragdowego Smoka

Rozdział 2 Brakujące fragmenty

Rozdział 3 Armia

Rozdział 4 Tortury

Rozdział 5 Echa

Rozdział 6 Ondyny i ifrity

Rozdział 7 Woda i ogień

Rozdział 8 Kamienny las

Rozdział 9 Nieświęty kościół

Rozdział 10 Przetrawanie

Rozdział 11 Transakcja

Rozdział 12 Kolesie

Rozdział 13 Królowa

Rozdział 14 Anioł i bratnia dusza

Rozdział 15 Magia przebaczenia

Rozdział 16 Casimir

Rozdział 17 Wojna serc

Rozdział 18 Mój anioł

Rozdział 19 Dziewiętnastka

Rozdział 20 Dary

Rozdział 21 Plany w ramach planów

Rozdział 22 Puderniczka

Rozdział 23 Ocean

Rozdział 24 Wyspa

Rozdział 25 Nie ma już Persefony

Rozdział 26 Słońce nie świeci

## Rozdział 1

# Góra Szmaragdowego Smoka

EVIE

Nie zdoła się przede mną ukryć. Zresztą nie mogę powiedzieć, żeby kiedykolwiek próbował, ale po prostu: to niemożliwe. W każdej chwili wiem, gdzie jest. Dostroiłam się do jego głosu, zapachu... rytmu serca. W ostatnich dniach stało się to moją ulubioną rozrywką: śledzenie Reeda. To gra, którą podejmuję bezwiednie. Przez jakiś czas w ogóle nie zdaję sobie sprawy, że się w to bawię. Poluję na niego... a on mi na to pozwala.

Kiedy poruszam się po dziedzińcu otoczonym kamiennym murem, moje bose stopy nie wywołują niemal żadnego dźwięku. Przechodzę po kamiennym moście nad spokojnym basenem w środku ogrodu zen. W wodzie pode mną odbijają się galaktyki gwiazd, ale nie mogę skupić na nich uwagi. Niedaleko przede mną jest Reed, w sypialni w pagodzie zbudowanej w architektonicznym stylu ludu Naxi. Zajmujemy tę pagodę wspólnie. Reed ślęczy właśnie nad mapami okolicy. Często je studiuje, stara się dowiedzieć jak najwięcej o Lijiang i o Górze Szmaragdowego Smoka, która w zeszłym tygodniu, kiedy przybyliśmy do Chin, stała się naszą bazą operacyjną. Jest bardzo zajęty – za bardzo.

Przenoszę wzrok na rosnące w ogrodzie drzewo banian – przycupnęło akurat naprzeciwko szerokiego wejścia do naszej pagody. Na opadających gałęziach zawieszono oświetlone lampiony z czerwonego papieru. Gdy wślizguję się za poskręcany pień, w ich świetle moja blada skóra wydaje się różowa. Z ukrycia między liśćmi przyglądam się werandzie wyłożonej łupkowymi płytkami. Drzwi są otwarte, bryza może swobodnie przepływać

przez pokoje znajdujące się po obu stronach wejścia. Reed siedzi za biurkiem, nie podnosi wzroku, ale to nie znaczy, że nie wie o mojej obecności. Nie potrafię powiedzieć, czy się zorientował, że go śledzę. Nigdy z niczym się nie zdradza.

Przez chwilę mu się przyglądam. Jego ciemnobrązowe włosy są teraz dłuższe niż w czasach Crestwood. Ale podobają mi się. Wygląda z nimi bardzo seksownie. Podziwiam zmysłową sylwetkę; mam ochotę go dotykać i poczuć nieokiełznaną siłę drżącą pod jego skórą. Skrzydła ma schowane, więc wygląda całkiem jak człowiek – no, w każdym razie na tyle, na ile Reed może tak wyglądać. Ponieważ jest istotą w pełni eteryczną, w gruncie rzeczy nie widzę w nim teraz niczego, co by nie było wyłącznie anielskie.

Podnoszę wzrok na łukowaty, pokryty szarymi płytkami dach pagody. Próbuje wy badać, czy jest jakaś inna droga do środka – bardziej podstępna, bo chcę zaskoczyć Reeda, wybić go ze spokoju rozważań poświęconych taktyce. Od naszego przyjazdu jest szczególnie skupiony: gromadzi anielską armię, dostatecznie silną, żeby rozprawić się z oddziałami Brennusa.

Na myśl o Brennie przechodzi mnie dreszcz. Jeśli dopisze nam szczęście, okaże się, że on i jego armia Gankanagów są od nas oddaleni o pół świata. Reed nie szczędzi wysiłków, żeby ochronić mnie przed Brenniem. W tym celu udał się dosłownie na drugi koniec świata, przywiózł mnie do Chin, w rejon niezamieszkanym podnóży ogromnej, pokrytej śniegiem góry. Reed i Zefir nie zajmują się właściwie niczym innym, jak tylko utrzymywaniem bezpiecznej odległości między mną a przywódcą Gankanagów, który chciałby mnie uczynić swoją królową... swoją kochanką-ożywieńcem. Nie mogę pozwolić, żeby to się stało. Jeśli Brenni mnie znów dopadnie i ukąsi, będę miała niewielkie szanse, żeby nie paść ofiarą jego jadu i nie stać się jedną z nich. A przecież teraz, kiedy wróciłam do Reeda, pragnę pozostać z nim za wszelką cenę.

Głęboki, pierwotny pomruk dobiegający z dachu przede mną sprawia, że zamieram bez ruchu. Spoglądam za siebie w stronę pokoju i nagle wszystkie włoski na ramionach stają mi dęba. Łagodna bryza niesie ku mnie kolejny niski, dudniący pomruk, ta sama bryza, która rozwiewa mi wokół twarzy kosmyki kasztanowych włosów. Dźwięk ma przerażające natężenie, wszystkie instynkty każą mi uciekać. W tej samej chwili mój wzrok pada na zwierzę, które ten odgłos wydaje. Wpatrują się we mnie ogniste zielone tęczęwki



ogromnego kota o lśniącej sierści. Stoi przyczajony przede mną w pobliżu wejścia do pagody. Przechodzi mnie dreszcz niczym niemaskowanego lęku, odruchowo cofam się o krok od ogromnego czarnego zabójcy.

– Dobry kotek... – szepczę do niego. Robię kolejny niepewny krok w tył; na plecach czuję szorstką korę drzewa. Dalszy odwrót jest niemożliwy. –

Reed! – cedzę przez zęby w panice, rzucając spojrzenia do wnętrza pokoju, ale Reeda nie ma już przy biurku. Przenoszę spojrzenie z powrotem na agresywne zwierzę, które wpatruje się we mnie, jakbym była naprawdę łakomym kąskiem. Pantera napina mięśnie, najwyraźniej w każdej chwili gotowa się na mnie rzucić. Gwałtownie rozglądam się wkoło, poszukując jakiejś drogi ucieczki, a jednocześnie kłębi mi się w głowie kilka scenariuszy zabicia zwierzęcia. Wolałabym jednak spróbować zwiać niż wcielać się w życie któryś z nich.

– Siedzieć! – rozkazuję i widzę, jak ogon pantery zamiata ziemię. Bestia przykuca niżej. Nie słucha mnie, wygląda, jakby się świetnie bawiła. Macha ogonem, tak jakby zabawiała się myszą albo czymś innym. „Ukryj się”, myślę, widząc, jak na lśniącej czarnej skórze jeży się sierść.

– Reed! – piszczę, gdy kot wybija się w powietrze i rzuca w moją stronę. Mocno zamykam powieki, wstrzymuję oddech i przywieram do drzewa, czekam, aż ostre zęby zatopią się w moim ciele.

– Evie! – krzyczy Reed, stoi tuż przede mną.

Otwieram oczy, nasze twarze dzieli nie więcej niż kilkanaście centymetrów. Reed patrzy na mnie z paniką. Jego silne antracytowe skrzydła tworzą wokół nas ochronny łuk. Wyciąga przed siebie dłoń i dotyka mojego policzka.

Próbuję odpowiedzieć dotykiem, ale wszystkie moje mięśnie całkiem zeszywniały i nie mogę nawet poruszyć ustami, żeby wypowiedzieć jego imię. Reed kładzie mi ręce na ramionach i wodzi dłońmi w górę i w dół, jakby mnie nie widział.

– Evie? – mówi znów, ale tym razem pochyla się ku mnie.

Czuję jego oddech przy swojej twarzy. Znów próbuję coś powiedzieć, ale nadal jestem jak z kamienia.

Dopiero po kilkunastu sekundach odrętwienie zaczyna ustępować. Mogę już zaczerpnąć tchu, patrząc w twarz, którą kocham bardziej niż wszystkie inne na

świecie.

– Wielki kocur... – Próbuje oderwać się od drzewa; zauważam, że zaplątałam się w pnącza, które mnie przytrzymują przy pniu. Patrzę na swoje ramiona i dostrzegam, że nabrały szorstkiej faktury omszałej kory. Kiedy unoszę ręce do oczu, widzę, że zamiast palców mam witki. Macham nimi zdumiona i przerażona. – Co, do jasnej... – Nabieram powietrza, spoglądam na Reeda, który patrzy na mnie z przyjemnością i trwogą jednocześnie.

– Spokojnie, Evie, to przejdzie – mówi łagodnie. – Rozwijasz się. Na tym etapie już chyba jesteś w stanie zmieniać swój kształt. – Uśmiecha się, unosząc brew.

– Ale... wyglądam jak drzewo – szepczę do niego, przerażona swoją obecną formą.

Przyjęłam bowiem wygląd omszałego drzewa banian, przy którym stoję.

– Mhm, ale tak naprawdę nie jesteś drzewem, raczej czymś w rodzaju kameleona. – Przybliżyła twarz do mojego ucha i ociera swój policzek o mój.

Czuję gładkość jego skóry na szorstkiej chropowatości mojej obecnej zewnętrznej powłoki, która przypomina korę. Dzięki temu dotykowi lek częściowo ustępuje.

– Buns twierdzi, że kiedy ta zdolność przyjmowania różnych kształtów w pełni mi się rozwinie, będę mogła na przykład zmieniać się w motyle... albo w inne rzeczy, tak jak ona.

Przypominam sobie, jak przyjaciółka na moich oczach przybrała kształt chmary motyli, żeby mi zademonstrować anielskie umiejętności. Zaczynam czuć się naprawdę rozczarowana swoim obecnym kłopotliwym wyglądem leśnego ludka. Miałam nadzieję, że w miarę ewolucji zacznę raczej przypominać swoich anielskich przyjaciół, a nie coraz bardziej różnić się od nich. Już i tak za bardzo się różnię, także tym, że jestem tylko półaniołem i zachowuję częściowo ludzką naturę. To przecież kolejna rzecz, przez którą nigdy nie będę uważana za jedną z nich.

– Tak jest dużo lepiej, nie widzisz tego? – pyta Reed z uśmiechem.

– Nie, z mojego punktu widzenia to całkiem do kitu – odpowiadam i robie krok do przodu, bo sztywność kolan trochę już ustępuje, przynajmniej na tyle, żeby zgąć nogi i odsunąć się od drzewa, którego częścią stałam się zaledwie

kilka chwil wcześniej.

Reed obejmuje mnie ramionami i mocno przytula do siebie.

– Nie, to, co ty potrafisz, jest dużo lepsze. My się musimy zmieniać w coś zdecydowanie ożywionego, na przykład w motyle czy w panterę, a ty potrafisz się upodobnić do otoczenia... zrobić taki kamuflaż. To wielka przewaga... – tłumaczy podekscytowany, ale mu przerywam.

– Więc to byłeś TY! – mówię oskarżycielsko. Moja skóra nabiera normalnego odcienia i znów zaczynam przypominać prawdziwą siebie. – Zmieniłeś się w panterę!

Słyszę, że chichocze, a jednocześnie obejmuje mnie jeszcze mocniej.

– Myślałem, że bez trudu się domyślisz. Ale nie załapałaś, prawda?

– A powinnam. Ten kocur miał oczy dokładnie tego samego koloru co ty. Zawsze mi się wydawało, że poruszasz się miękko jako kot. – Wpatruję się w jego idealnie kształtną twarz, zaledwie centymetry od mojej. – Czy to jedyna forma, którą potrafisz przyjąć, czy następnym razem będę musiała uciekać przed niedźwiedziem?

– Och, mogę przybierać wiele kształtów, ale nie potrafię tego, co ty: mogę się zmieniać tylko w rzeczy ożywione, to znaczy takie, które się poruszają. Muszę się przekształcać w zwierzę, a ty... Sądzisz, że zdołałabyś naśladować przedmioty? – pyta podekscytowany. – Myślisz, że to musi być coś stałego, czy mogłabyś na przykład stać się cieczą... powietrzem?

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– A o czym myślałaś tuż przed przemianą? Pomyślałaś sobie „drzewo”?

– Nie... pomyślałam „ukryj się” – wyjaśniam.

– Oczywiście! – wykrzykuje Reed. – Chciałbym, żebyś kogoś poznała. Ma na imię Wook i jest aniołem Cnót, podobnie jak Fedrus. Od kilku stuleci mieszka w pobliżu Naxi. Badał życie mnichów tybetańskich i mistyków z Naxi; poznał niektóre ich umiejętności. Być może potrafi cię nauczyć, jak doskonalić twoje ludzkie zdolności. Ja w tej sprawie na wiele ci się nie przydam, bo słabo się orientuję w ludzkich cechach twojej natury.

– A myślisz, że to właśnie ludzka cecha? – pytam Reeda ze sceptycznym wyrazem twarzy, bo nie jestem w stanie sobie przypomnieć jakiegokolwiek znanego mi człowieka, który potrafiłby się zmienić w drzewo.

Marszczy brwi, robiąc chytrą minę.

– Nie wiem, może to cecha mieszańca. Żaden znany mi anioł nie potrafi wykonać takiej wolty. To bardzo wyjątkowa umiejętność. – W jego głosie znów pobrzmiewa podziw.

– Reed, nawet nie wiem, czy potrafiłabym to powtórzyć. – Dziwnie się czuję z tym, co się wydarzyło przed chwilą.

Ta ewolucja, która ma ze mnie zrobić silniejszą istotę, jest naprawdę niepokojąca. Przez nią okropieństwa dojrzałości wnoszą się na całkiem nowy poziom – myślę.

– A może nie powinniśmy nikomu o tym mówić? – sugeruję.

– Dlaczego? – dziwi się Reed, ze zmarszczonym czołem wpatrując się w moją twarz.

– Bo to nienaturalne i takie... dziwaczne – odpowiadam możliwie zwyczajnym tonem, ale wciąż jestem zbyt sztywna, żeby zdobyć się na wzruszenie ramion.

– Evie, nie rozumiesz, to jest „mega spoko”, żeby użyć twoich własnych słów. Przez to robisz się jeszcze bardziej niebezpieczna! – Reed oddycha głęboko i widzę, że naprawdę się tą akcją nakręcił.

Wypatruję w jego twarzy oznak zniechęcenia, ale żadnych nie znajduję. Jest naprawdę szczęśliwy, że potrafię się przekształcać w coś innego. Widocznie musi się martwić, że nie zawsze będzie w stanie mnie bronić. I pewnie widzi w tym jeszcze jedną technikę unikania niebezpieczeństwa.

– Myślisz, że zmiana w drzewo to coś wielkiego? Zaczekaj, aż stanę się lawiną i osunę się po górskim zboczu. – Uśmiecham się, zarzucam mu ramiona na szyję i przyciągam do siebie jego twarz.

– Tak... to by było znakomite. – Kiedy jego oddech muska mi ucho, przechodzi mnie dreszcz.

– Więc nie uważasz, że to wszystko jest zbyt niezrozumiałe? – pytam z ulgą, że Reed nie czuje do mnie odrazy.

– Już nie podważam twojego istnienia. Cudownie, że tu jesteś, niezależnie od kształtu. – Bierze mnie na rękę, a potem niesie do sypialni.

Jak na zachodnie standardy pomieszczenie jest ciasne. Mieści się tam tylko

biurko i wyściełane jedwabiem łoże na niskim drewnianym podeście, które znajduje się na środku pokoju. Harmonijkowe drzwi oddzielają pokój od świata zewnętrznego, więc po ich złożeniu sypialnia otwiera się na ogrody i dziedziniec. Wysokie kamienne mury zapewniają dyskrecję, ze wszystkich stron odgradzają naszą pagodę od innych.

– A czy twoja praca nie polega na tym, żeby podważać moje istnienie? – przekomarzam się z Reedem.

– Nie, moje jedyne zadanie to eliminacja upadłych aniołów, a ponieważ ty się do nich nie zaliczasz, nie mam cię w swoim zakresie obowiązków – odpowiada, muskając nosem moją szyję. Kładzie mnie na środku łóżka. Łąduje obok mnie i odgarnia mi włosy z czoła, patrząc w oczy. – Ale teraz, kiedy jesteśmy ze sobą tak ściśle związani, mam nowy zakres obowiązków.

– Naprawdę? Jaki? – pytam zafascynowana zmysłowym grymasem jego ust. A po chwili końcem palca wodzę po jego wargach, które już wróciły do zwykłego układu.

– Taki, żeby kochać Evie... – odpowiada, całując po kolei moje palce. – Żeby chronić moją odważną dziewczynę przed wszystkimi złymi istotami, które ośmielą się wymówić jej imię... – ciągnie dalej, przesuwa palcem od środka mojej dłoni do nadgarstka. – Sprawić, żeby wrogowie kłaniali się jej nisko... – mruczy, a jego wargi odnajdują moje.

Rozpoznaję te słowa, bo wcześniej tłumaczyła je dla mnie Buns, kiedy Reed składał mi ślubowanie w języku anielskim. Jego przysięga, że będzie mnie chronił, była sformułowana tak szczegółowo, jak to możliwe tylko u anioła Mocy. To dość oszałamiające usłyszeć te słowa, nawet jeśli Reedowi rzeczywiście przyjdzie robić to wszystko w ramach sprawowania nade mną opieki.

– Reed... – szepczę, czując na ustach dotyk jego warg – to trochę przerażające...

– Dziękuję. – Uśmiecha się z zadowoleniem, po czym jego pocałunek nabiera żaru.

Widocznie zupełnie nie tak zinterpretował moje słowa, wziął je za komplement. W tej chwili akurat nie mam ochoty korygować jego błędu. Oddaję pocałunek i wyciągam dłoń, żeby pogłaskać antracytowe skrzydła. Kiedy dotykam Reeda, z jego ust wydobywa się delikatny jęk. Uwielbiam to.

Reed powoli przesuwa ręce wzdłuż mojego ciała. Dotyk jego dłoni na mojej nagiej skórze, choć sprawia mi ogromną przyjemność, wywołuje nagły szok, bo uświadamia mi, że nie mam na sobie żadnego ubrania. Piszczę zaskoczona, a Reed odsuwa się trochę i pytająco spogląda w moje oczy.

– A moje ciuchy?

– Drzewa nie noszą ubrań – odpowiada. – Ta śliczna sukieneczka plażowa, którą miałas na sobie, leży teraz w strzępach przy drzewie.

– O! No a gdzie twoje ubrania? – Kąciki ust unoszą mi się w uśmiechu. Badam spojrzaniem idealne kształty Reeda.

– Pantery też nie noszą ubrań. – Wzrusza ramionami.

– To bardzo... wygodne – wzdycham. Znów obejmuję go ramionami za szyję i przyciągam do siebie.

I właśnie wtedy, jak na złość, dzwoni komórka Reeda leżąca na biurku za nami. Sztywnieję i przyciskam go mocniej do siebie.

– Pod żadnym pozorem nie wolno ci odebrać tego telefonu – szepczę, a moje wargi prawie dotykają jego ust.

– Jakiego telefonu, kochanie? – mruczy.

Jego głowa wędruje niżej, wargi przesuwiają się wzdłuż mojego obojczyka. Czuję, jak rozpala się we mnie pożądanie i przesywa mnie dreszcz. Rozluźniam się, kiedy telefon przestaje dzwonić. Moja dłoń opada na włosy Reeda. Przeczesuję je, czuję ich miękkość.

Przesuwam palcami w dół po jego szyi aż do miejsca tuż nad sercem – tego miejsca, w którym moje skrzydła zostały symbolicznie wypalone na jego skórze. Wciąż jestem zafascynowana sposobem, w jaki to piętno pojawiło się po ceremonii połączenia życia Reeda z moim życiem. Nie potrafię ukryć uśmiechu satysfakcji, którą budzi we mnie ten znak na jego ciele, wyraźnie krzyczący: „mój”. Reed jest mój i nikt mi go teraz nie zabierze. Nasze losy są związane. Wiem, że powinnam czuć się winna, bo tak mocno go ze sobą związałam. Mój los może się w każdej chwili odmienić. Większość aniołów, widząc mnie po raz pierwszy, uważa, że jest we mnie zło: przecież żaden anioł przede mną nie miał duszy. Ale w tym momencie czuję się po prostu szczęśliwa, że jesteśmy tu razem.

– O czym myślisz? – Reed wpatruje się w moją twarz.

– Hm, teraz? W tym momencie? – Staram się zyskać na czasie, bo akurat przyłapał mnie na rozkoszowaniu się świadomością, że należy do mnie. – Myślałam, jaka jestem szczęśliwa, po prostu... – odpowiadam i czuję, jak oblewa mnie rumieniec, bo wpatruję się w kształt swoich skrzydeł odcisnięty na jego piersi.

– To cię tak uszczęśliwia? – pyta, a kiedy przytakuje, szepcze coś do mnie po anielsku, czule całując symbol skrzydeł wytrawiony z kolei na mojej skórze tuż nad sercem.

– Co mówisz? – dopytuję cicho, ponieważ jeszcze nie opanowałam jego języka. Wciąż brzmi dla mnie jak jakaś melodia, hipnotyczna kołysanka.

– I mnie też – tłumaczy, uśmiechając się szeroko.

– O, to zabrzmiało całkiem jak „I mnie też” – mówię, a uśmiech Reeda robi się jeszcze szerszy. – Myślałam nie tylko o tym. Zastanawiałam się, jak mam cię nazywać. – Widząc jego zmieszanie, wyjaśniam: – Chodzi mi o to, że nie jesteś moim „mężem”, tylko kimś o wiele, wiele ważniejszym...

Przerywam, czekam, aż podrzuci jakieś określenie, kim dla siebie wzajemnie jesteśmy. Teraz, kiedy ślubowaliśmy sobie, że nasz związek będzie wieczny.

Reed niezwłocznie wypowiada jakieś niezrozumiałe dla mnie słowo, a ja się uśmiecham, bo przecież powinnam się spodziewać, że nie usłyszę nazwy angielskiej, tylko anielską. Brzmi to podobnie, jakby mówił „marzenie”, ale tak pięknie, że do oczu napływają mi łzy.

– To znaczy? – pytam zachrypniętym głosem.

Reed mruczy i marszczy czoło. Usiłuje naśladować język ludzki, więc czekam cierpliwie, aż mi coś odpowie.

– To znaczy... ukochany bardziej niż ktokolwiek inny... najbardziej szanowany, uwielbiany... ale to coś więcej. To też „najważniejszy dla mnie”, „część mnie samego”.

Nie mogę powstrzymać łez, jedna za drugą skapują mi z oczu.

– Marzenie – szepczę, kładąc mu dłoń na policzku.

Zamyka na chwilę oczy i smakuje mój dotyk.

Nagle czuję, że ciało Reeda sztywnieje. Mój ukochany otwiera oczy, robi

gniewną minę, po czym mówi:

– Zefir, jesteście teraz zajęci. Przyjdź później.

Szybko okrywa mnie jedwabnym prześcieradłem.

– Nie mogę. To ważne – odpowiada Zefir z jakiegoś miejsca poza naszym pokojem.

Z oddali jego głos brzmi tak, jakby stał koło kamiennego mostu nad basenem, który znajduje się w ogrodzie i jest wyłożony szmaragdowymi kafelkami.

– Powinieneś odebrać telefon.

– Zee, ale on był zajęty czymś innym. Zresztą wciąż jeszcze jest... Czy to naprawdę ważne? – wtrącam się, usiłując ukryć irytację, którą można chyba wyczuć w moim głosie.

– Bardzo – odpowiada Zefir.

Kiedy słyszę surowość jego głosu, czuję, jak w moje ciało wsącza się lęk. Silniej obejmuję Reeda ramionami, przyciągam go bliżej siebie.

– Co się stało? – pytam wyraźnie przerażona.

Reed wydaje z siebie groźny pomruk i nachyla czoło w moją stronę.

– Evie, wszystko w porządku. Cokolwiek się dzieje, zajmę się tym – mówi kojącym głosem, próbuje mnie uspokoić.

Ale zbyt wiele ostatnio widziałam, żeby te słowa miały mi przywrócić spokój.

– Chodzi o Dominionum? – pytam Zefira, a serce bije mi mocno.

Patrzę na Reeda, już zdążył się ubrać. Zdumiewa mnie, że nie zauważyłam nawet jego najdrobniejszego ruchu. Siadam w łóżku, podciągam prześcieradło i bezpiecznie się nim owijam. Wtedy do pokoju wchodzi Zefir; w ogóle na mnie nie patrzy i zwraca się bezpośrednio do Reeda. Mówi w języku anielskim, którego nie rozumiem. Moje przerażenie rośnie. Zefir nigdy się tak nie zachowuje. Kiedy jestem w pobliżu, zawsze posługuje się tylko angielskim, bo wie, że inaczej nic nie zrozumiem. Coś się musi dziać – coś ważnego – coś, co chciałby zachować przede mną w tajemnicy.

– O co chodzi, Zee? Co jest grane? – pytam obu, spoglądając na ich twarze.

Pogrążeni są w rozmowie o czymś istotnym. Jeśli o czymś, co ma związek



z Dominium, to nie może oznaczać dla mnie nic dobrego. Naczelne dowództwo, stanowiące dla aniołów Mocy sąd najwyższy, zaledwie kilka dni wcześniej rozpoczęło proces, w którym osądza moje życie. Nie byłoby to jeszcze takie złe, gdyby przy okazji nie powiedziano mi, że w oczach sądu jedynym prawem, jakie mi przysługuje, jest prawo do modlitwy o śmierć.

Następna myśl, która przychodzi mi do głowy, sprawia, że z twarzy odpływa mi cała krew.

– Brennus... – szepczę.

– Nie, nie chodzi o Dominium ani o Gankanaga – rzuca szybko Zefir, żeby mnie uspokoić, ale wciąż wygląda ponuro.

Jeszcze tylko jedna rzecz mogłaby być dostatecznie poważna, by uzasadnić minę, jaką zrobił Zefir. Nie potrafię nawet wypowiedzieć imienia, które nieustannie dźwięczy mi w głowie jak modlitwa: Russell. Coś w moim sercu z bólem wzdryga się na tę myśl.

– A gdzie Brownie i Russell? – pytam, przyglądając się uważnie Reedowi i Zee.

Obaj mają skonsternowane miny, tak jakby celowo próbowali coś przede mną ukryć.

– Wciąż na Ukrainie – odpowiada Zefir spokojnym, kojącym głosem. – Zachowują maksymalną ostrożność i poruszają się bardzo wolno. Wiele, bardzo wiele królestw powstało i upadło w tamtej części świata. Wielu ludzi nadal nazywa ten obszar domem – tłumaczy cierpliwie Zefir.

Na te słowa wypuszczam powietrze, które nieświadomie wstrzymywałam przez dłuższą chwilę. Wiem, że nie zdołam się całkowicie rozluźnić, zanim oboje – Russell i Brownie – bezpiecznie do nas dotrą. Wciąż nie mam pojęcia, co powiem Russellowi o Reedzie i o mnie. Kazałam Buns i Zefirowi obiecać, że na temat naszej przysięgi nie puszczą pary z gęby ani Brownie, ani Russellowi – sama muszę go o tym poinformować, i na dodatek w trakcie spotkania twarzą w twarz. Nieważne, co powiem; i tak trudno mu będzie pogodzić się z tym, że jego bratnia dusza postanowiła związać swój los z losem kogoś innego, i to po wszystkich wcieleniach, które ze sobą dzieliliśmy. Chyba nie zdołam mu wyjaśnić swojego pociągu do Reeda, potrzeby bycia z nim. Sama tego zresztą nie rozumiem. Wiem tylko, że próbowałam wytrwać bez Reeda i okazało się to niemożliwe. Dzień w dzień

czułam się tak, jakbym umierała.

– Może powinniśmy wybrać się do nich. Moglibyśmy ich przejąć i pomóc im dotrzeć tutaj – proponuję, bo okropnie się o nich martwię.

Brownie jest anielicą Kosiarzem i choć ma nieporównanie więcej siły niż człowiek, nie dysponuje brutalną potęgą anioła Mocy. Russell jest częściowo Serafinem, a częściowo człowiekiem, tak jak ja. Już niebawem zrówna się siłą z Reedem i Zefirem oraz innymi aniołami Mocy, ale jeszcze nie rozwinął się w pełni, więc byłby na przegranej pozycji, gdyby napotkał na swojej drodze upadłego anioła albo... Brennusa.

– Zee i Buns wybierają się na Ukrainę. Wyruszają za kilkadziesiąt minut – mówi Reed łagodnym głosem, a ja wyskakuję z wielkiego łóża i pędzę do łazienki owinięta w prześcieradło.

Po drodze łapię jakieś ubrania. Po kilku chwilach, już ubrana, wracam do pokoju. Szukam torby, w którą chcę spakować trochę ciuchów.

Kiedy podnoszę wzrok, widzę, że Zefir i Reed wpatrują się we mnie.

– Ile to potrwa, zanim się tam dostaniemy? – pytam, zastanawiając się, co może być w takiej podróży potrzebne.

Buns zrobiła zakupy dla wszystkich, ale Zefir próbuje trzymać ją pod kluczem. Stara się jej wytłumaczyć, że jako moja przyjaciółka też jest celem dla Gankanagów. Buns jednak nie chce go słuchać. Nigdy wcześniej nie musiała się przejmować takimi rzeczami, ponieważ jest boskim Kosiarzem. Jej praca polega na targowaniu się o ludzkie dusze, więc zawsze była w zasadzie obojętna na walki, jakie toczą się między aniołami Mocy a Upadłymi. Inne istoty również zostawiają ją w spokoju ze względu na jej boski status. Ale Gankanagowie przysięgli, że mnie znów dopadną. Posunęli się do tego, że zaatakowali gmach Dominium, kiedy tam byłam, żeby mnie „ratować”. Z pewnością nie zawahaliby się wykorzystać Buns, by dotrzeć do mnie. Nie mogłam do tego dopuścić.

– Na razie tutaj jesteś bezpieczniejsza, kochanie – mówi Reed, seksownie modulując głos.

Oczy mi się zwężają, bo wyczuwam, że zamierza mnie odwieść od wyjazdu.

– Ja też chcę jechać – oznajmiam. – Mogę pomóc, jeśli przytrafią się jakieś

kłopoty.

– Nie, Evie, nie możesz, nie teraz – odpowiada Zefir cicho, łagodnie, jakby mówił do dziecka. – Podchodzisz do tego zbyt emocjonalnie.

– Zee, obiecuję, że zdołam sobie poradzić z każdą sytuacją, która się przydarzy. Nic złego się nie stanie, zaufaj mi, proszę. – Nie patrzę na niego, nadal pakuję ubrania do torby.

– Posłuchaj mnie, Evie – nalega Zefir. Podchodzi bliżej, chce mnie zmusić, żebym na niego spojrzała. – Widzę, że wierzysz w to, co mówisz, ale mogę ci udowodnić tu na miejscu, że nie potrafisz się uwolnić od swoich emocji.

– Zee, dam radę, naprawdę. Ruszajmy – upieram się, krzyżując ramiona na piersi na znak buntu.

– Brennus ma u siebie Russella – oznajmia Zefir niemal szeptem.

W jednej chwili ogarnia mnie panika, z trudem udaje mi się zaczerpnąć powietrza. Czuję, jak serce mi się kurczy, i słyszę jego głośne bicie. Wyciągam ręce i łapię Zefira za ramię, żeby nie upaść. Natychmiast stają mi przed oczami obrazy uśmiechniętego Russella, jego twarzy, spojrzenia, jakie na mnie rzuca, kiedy wchodzę do pokoju.

– Jak to? – Oddychając ciężko, wpatruję się w twarz Zefira. – Musimy natychmiast ruszać! Muszę porozmawiać z Brennusem... Na pewno mnie wysłucha...

– Ćśśś, Evie, uspokój się. Gankanagowie nie mają Russella – odpowiada Zefir łagodnym tonem. Obejmuje mnie ciepłym ramieniem i próbuje uspokoić. – Powiedziałem tak, żeby ci pokazać, o co chodzi. W tej chwili jesteś gotowa zrobić wszystko, na wszystko się zgodzić, żeby tylko zapewnić bezpieczeństwo tym, których kochasz. My nie możemy się tak zachowywać.

– To było podłe, Zee – rzucam ze wściekłą miną.

Trzęsą mi się ręce, Zefir nakrywa je swoimi ramionami. Reed krąży wokół mnie i z jego twarzy mogę wyczytać, że miałby ochotę przybliżyć się i mnie pocieszyć, ale dużym wysiłkiem woli powstrzymuje się od tego.

– Przykro mi, że tak uważasz – odpowiada Zefir spokojnie, a żal, który odczuwa, widać w jego niesamowitych niebieskich oczach. – Uznałem, że od teraz muszę stosować wobec ciebie inne metody.

– O, czyżbyś wybrał metodę „przestraszę ją na śmierć”? – pytam

z sarkazmem, przeszywając Zee wzrokiem.

– Nie. Moja metoda będzie polegała na podkreślaniu tego, co dla ciebie najlepsze. Będę twoim nauczycielem, a pierwsza nauka, jaką ode mnie dostaniesz, brzmi: od teraz to my będziemy opiekować się tobą, a nie na odwrót – oznajmia. – Evie, wiadomość o tobie już się rozeszła i przesącza się jak deszczowe strugi aż do najniższych warstw świata demonów. Wielu z nich wybierze się po ciebie i zginie. Jesteśmy dobrze zorganizowani i wyposażeni we wszystko, co trzeba, żeby sobie z nimi radzić. Ale musisz nas słuchać i mieć do nas zaufanie: myślimy o tym, co dla ciebie najlepsze.

– Przecież ja już to wiem, Zee – odpowiadam szybko. – Ale wy musicie zrozumieć, że mnie z kolei chodzi o to, co najlepsze dla was.

Jego twarz nieco łagodnieje. Zefir spogląda na Reeda, potem znów patrzy na mnie.

– Evie, jako Serafin masz w swojej naturze nakaz strzeżenia i chronienia innych, ale my jesteśmy starymi wojownikami, a tobie wciąż brakuje doświadczenia i odpowiedniego przygotowania. Jesteś bardzo młoda. Urodziłaś się w sercu walki, której wciąż jeszcze nie potrafisz prowadzić. Przygotuję cię, żebyś pewnego dnia stanęła u mojego boku. Obiecuję, że nauczę cię wszystkiego, co sam umiem. W ten sposób zdobędziesz wielką moc, tak jak ja.

Słyszając jawną arogancję tego ostatniego zdania, pogardliwie wykrzywiam kąćki ust. Obejmuję Zefira w pasie i mocno ściskam.

– Mam kłopoty z zapamiętaniem, że jesteś przeraźliwie stary, Zee, bo wyglądasz równie młodo jak ja.

– Tak, jestem przeraźliwie stary, a ty od dziś będziesz się mnie słuchać. – Unosi mnie i ściska tak mocno, że o mało nie pękają mi kości.

– Będę przestrzegać wszystkich twoich poleceń, każdego słowa, jeśli pozwolicie mi wybrać się z wami na poszukiwanie Brownie i Russella – mamrocze cicho, bo trudno mówić normalnie bez powietrza. – Możesz mi wyjaśnić założenia strategii, którą przyjąłeś, żeby mnie chronić.

– Niezła próba – Zefir odstawia mnie z powrotem na podłogę – ale szansa, żeby cię zabrał z nami na Ukrainę, jest niewielka. Zostajesz tu z Reedem. Na pewno będziecie mieli co robić podczas naszej nieobecności.

– A jakim cudem Buns może z wami jechać, a ja nie? – Odsuwam się od niego.

– Pilnowanie jednej nieprzewidywalnej żeńskiej istoty wystarczy. Nie potrzeba drugiej – odpowiada Zefir.

– Zee, czy to na pewno prawdziwy powód, czy chodzi o to, że nie potrafisz się rozdzielić z Buns? – Przyglądam mu się uważnie.

– Czy to moja wina, że żadna z was nie szanuje autorytetów? – ripostuje szorstko, ale widzę po nim, że martwi się o Buns i nie chce jej na dłużej spuszczać z oka.

Od czasu, kiedy się tu zjawiliśmy, trudno spotkać jedno z nich bez drugiego. Zefir bardzo pilnie strzeże Buns. Zaczynam obmyślać rozmaite intrygi, które miałyby doprowadzić do tego, że Zefir zabierze mnie ze sobą na poszukiwanie Russella.

Wydaje się jednak, że Zefir potrafi czytać w moich myślach, bo po chwili mówi dalej:

– Reed zostaje tu sam. A jeśli będzie potrzebował twojej pomocy?

– Zee!

Wypuszczam gwałtownie powietrze, jakby zanurzył mnie w lodowatej wodzie. Zna mnie dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że nie potrafię rozstać się na długo z Reedem. Przez cały czas nieustannie sprawdzam, co robi. Część mojego mózgu bez przerwy go śledzi. Reed wyjaśnił mi, że to leży w naturze Serafinów: muszą chronić wszystko, co uważają za swoje. Nie wydaje mi się, żebym była w stanie przestać się tak zachowywać, nawet gdybym chciała. Mimowolnie wyciągam rękę do Reeda i przyciągam go do siebie. Jego ramiona natychmiast zaplatają się wokół mnie, dając mi poczucie bezpieczeństwa.

Zefir mruczy z satysfakcją. Wie, że właśnie udało mu się mnie wymanewrować, ja też to wiem.

– Wkrótce wyruszamy, Reed. Chcę z tobą omówić parę rzeczy przed podróżą.

– Przyjdę za chwilę do twojego apartamentu – odpowiada Reed ponad moim ramieniem, mocniej mnie przytulając.

Zefir kiwa głową i w ułamku sekundy znika.

– Wszystko będzie dobrze – szepcze Reed z ustami tuż przy moich włosach.

Zachowuję spokój, bo dobrze wiem, co będzie. Dzięki snom z przejmującą jasnością uświadomiłam sobie, że nadchodzą ważne wydarzenia. Tak ważne i przerażające, że po przebudzeniu z trudem jestem w stanie sobie przypomnieć, co mi się przyśniło. Moja świadomość wciąż próbuje zatrzeć ślad po tych rojeniach i nie pozwala mi zobaczyć wyraźnie, co niesie ze sobą przyszłość. Do mojego umysłu wciąż przenika jakieś dziwne: *kasim... kasim... mer*.

– Znasz słowo *kasim*? – pytam Reeda, opierając policzek o jego ramię.

Sztywnieje.

– To znaczy „niszczyć” – wyjaśnia. – Gdzie to słyszałaś?

Nie zwracam uwagi na jego pytanie.

– *A mer*?

– *Mer*, czyli wielkie – odpowiada natychmiast. – O co chodzi?

– Nie wiem – mówię zgodnie z prawdą, uśmiechając się do niego.

Odsuwa się, żeby na mnie spojrzeć. Jego oczy się zwężają, nie dał się nabrać na próby ukrycia przed nim moich prawdziwych uczuć: wie, że jestem wystraszona.

– Więc jeszcze raz pytam: gdzie to słyszałaś? – nalega. Chciałby mnie w tej sprawie gruntownie przemaglować, ale nie mam mu dużo do powiedzenia.

– Może mi się przyśniło... – Znów opieram policzek na jego ramieniu.

– Co jeszcze ci się śniło? – pyta cicho, a jego dłonie delikatnie przesuwają się w górę i w dół po moich plecach.

– Nie pamiętam.

– Postaraj się. – Muska ustami moje włosy.

Odchylam twarz, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

– Postaram się, obiecuję – mówię z ustami tuż przy jego wargach, a po chwili go całuję.

Słyszę, że znów dzwoni jego telefon na biurku.

Reed nachyla czoło tak, żeby dotykało mojego, i zagląda mi w oczy.

– Dzwoni Zee. Pozwól mi z nim porozmawiać, potem do ciebie wrócę.

I wtedy będziemy już sami... ty i ja.

Myśl o tym, że uda mi się zostać sam na sam z Reedem i nikt nie będzie nam przeszkadzał, jest cudowna.

– Okej – zgadzam się bez wahania, wywołując szeroki uśmiech na twarzy ukochanego.

Całuje mnie jeszcze raz i znika z mojego pola widzenia.

Zostaję sama. Zastanawiam się, czym mogłabym się zająć. W sąsiednim pokoju jest telewizor, ale chińskie programy są naprawdę dziwne i niewiele z nich rozumiem, bo tego języka też nie znam. Nawet reklamy są dziwaczne. Zawsze pojawia się w nich jakieś wielkie wypchane zwierzę w charakterze maskotki. Podskakuje i przemieszcza się to tu, to tam, a w ręku trzyma reklamowany przedmiot. Przypomina mi to stary kukiełkowy program telewizyjny *Yo Gabba Gabba*.

Widzę, że na biurku stoi nowy laptop Reeda. Otwieram go i wchodzę do internetu. Uwielbiam ten komputer, jest megaszybki. Przez chwilę surfuję po sieci i sprawdzam facebookowy profil Leandera Duncana. Russell używa go od czasu, kiedy mu ten profil założyłam, żeby mógł się porozumiewać z rodziną i ze mną. Zamieścił zdjęcia swoje i Brownie z zesłotygodniowej podróży po Europie. Dołączył opisy tego, co widział. Szczególnie spodobały mi się ich fotografie z winnic na francuskiej prowincji. Russell wygląda na nich na zachwyconego.

Zamieszczam na jego tablicy wpis, że za nim tęsknię i że niebawem go zobaczę. Naprawdę za nim tęsknię. Jest moim najlepszym przyjacielem, ale nie wiem, co będzie do mnie czuł, kiedy mu powiem, co zrobiłam. Staram się o tym nie myśleć; przechodzę do innych stron w sieci. Naprawdę bardzo chętnie bym z kimś pogadała o tym, jak przekazać Russellowi to, co się wydarzyło między Reedem a mną, kiedy byliśmy w zamku Dominion. Potrzebuję rady. Chciałabym móc zapytać wujka Jima, co robić. Myśl o wujku napełnia mnie smutkiem, bo za nim też bardzo tęsknię. Muszę znaleźć kogoś, z kim mogłabym o tym porozmawiać.

Molly – myślę. Przychodzi mi do głowy moja przyjaciółka z lat szczenięcych. Lato już się prawie skończyło i niebawem Molly wróci do Notre Dame na drugi rok studiów. Nie kontaktowałam się z nią od czasu, kiedy wraz z Russellem opuściłam Crestwood. Bałam się odzywać, bo gdybym jej

powiedziała, dokąd się wybieram, Reed mógł ją namówić, żeby podzieliła się z nim tą informacją. Molly na pewno nie zdołałaby się oprzeć jego pytaniom, bo Reed ma niezwykłą umiejętność operowania głosem w taki sposób, żeby przekonać ludzi do tego, na czym mu zależy. Gdyby moja przyjaciółka miała pojęcie, gdzie będę spędzać lato, natychmiast wyciągnąłby to od niej i zjawił się, żeby mnie zabrać do swojego domu.

Wtedy nie mogłam sobie na to pozwolić. Byłam pewna, że jedyny sposób, żeby uchronić Reeda przed oskarżeniami o zdradę ze strony aniołów Boskich, czyli jego własnej grupy, polegał na odejściu od niego. Jeśli wtedy schwytałoby mnie Dominion, Reed nie zostałby stracony za to, że mi pomaga. Nie wiedziałam, że Dominion i tak aresztuje Reeda i Zefira i będzie ich torturować, żeby sprawdzić, co o mnie wiedzą. Nie wiedziałam też, że w tym czasie, kiedy Reed był torturowany, namierzali mnie Gankanagowie – gatunek wampirów-ożywieńców, którzy chcą, żebym oddała im duszę i stała się jedną z nich. Może lepiej będzie nie mówić Molly, jak spędziłam „letnie wakacje”... Wzdrygam się na samą myśl o kłamstwach, które przyjdzie mi wymyślać, żeby ją przed tym wszystkim uchronić.

Przypuszczam, że Molly najpewniej wysłała mi już zylion e-maili, ale nie sprawdzałam poczty, bo bałam się, że Reed zdoła mnie odszukać, jeśli się zaloguję do swojej skrzynki. A teraz, kiedy wiem, że mam do czynienia z całą mocą Brennusa, który buszował zarówno w domu Reeda, jak i w mojej szafce i zabrał wszystko, co należało do mnie, jestem przekonana, że ten odrażający wampir przegląda też moją pocztę. Twarz Brennusa staje mi przed oczami, budząc obrzydzenie.

Może przegląda moją pocztę, ale to nie oznacza, że nie mogę wysłać Molly wiadomości z innego konta. Z tą myślą zakładałam nową skrzynkę na fałszywe nazwisko i wysłałam krótkiego maila, że żyję i chciałabym z nią porozmawiać. Zastanawiam się, co jej powiedzieć, jeśli mi odpisze. Że trafiła mi się okazja odbycia podróży i nie potrafiłam odrzucić propozycji? Kiedy rozważam rozmaite wymówki, na ekranie wyskakuje mi powiadomienie o nowym mailu. Molly musi być akurat przy komputerze – myślę podekscytowana. Patrę na temat otrzymanej wiadomości: „Tęsknię za Tobą”.

Szybko otwieram list, ale mail jest pusty. Znajduję załącznik – czekam przez chwilę, żeby filmik się załadował. Ze zdziwieniem patrzę, jak powoli wyostrza się zamglony obraz ciemnego pokoju. W tle słychać głośną, bębniącą



muzykę, a kamera przesuwa się po kilku barwnych osobach. To wygląda jak scena z jakiegoś klubu nocnego pełnego ludzi. Kamera wędruje wzdłuż ponurego korytarza upstrzonego graffiti. Widać stojących pod ścianą ludzi wystylizowanych na emo – obserwują kapelę, która jest na scenie w głębi klubowej sali. Potem kamera przenosi się do baru, gdzie tłoczy się mnóstwo osób, a każda stara się zwrócić na siebie uwagę barmana.

Tracąc chwilami ostrość obrazu, osoba obsługująca kamerę używa zoomu, żeby pokazać tłum w pobliżu zespołu, który właśnie zaczął zawodzić jakiś cover. Dudnienie wzmacniaczy i błyski stroboskopowego światła wprowadzają dodatkowy chaos. Próbuję się zorientować, o co w tym filmie chodzi. Powoli wraca ostrość obrazu i kamera skupia się na jednej osobie, która kręci się wśród znajomych. Natychmiast rozpoznaję Molly. Ze skromną miną sący drinka i śmieje się z czegoś, co mówi do niej ktoś, kto nachyla się w jej stronę. Nie widzę, kto to jest, bo ta osoba stoi tyłem do kamery.

Wyciągam drżącą rękę i dotykam ekranu w miejscu, gdzie widzę obraz Molly. Wygląda dokładnie tak samo jak dawniej, jakby nic się u niej nie zmieniło. Dostrzegam, że znów się śmieje z czegoś, co mówi nieznajomy obok niej. Nie wykonuje nawet najmniejszego ruchu, kiedy ten wysoki mężczyzna delikatnie dotyka jej policzka, głaszcze go palcami. Wyraz twarzy Molly powoli się zmienia: flirtujący uśmiech stopniowo zamiera na jej ustach. Czuję ucisk w gardle i z trudnością nabieram powietrza do płuc.

Mężczyzna odwraca się i patrzy w stronę znajdującej się za nim kamery. Podchodzi do niej ze zwinnością skradającego się drapieźnika, obdarzonego nadnaturalną mocą. Jego twarz dokładnie odpowiada obrazowi, jaki zachowałam w pamięci. Oczy błyszczą mu szczególnym przeszywającym blaskiem, wydobywającym się z wodnistozielonych głębin. Hebanowe włosy, starannie wystylizowane, opadają na łukowate brwi, a rysy twarzy są tak samo piękne jak wtedy, kiedy widziałam je poprzednio – równie cudowne i młodzieńcze jak w dniu, w którym Aodh, czyli będący jego władcą Gankanag, zamienił go – złośliwego duszka – w istotę o pasożytniczej naturze. Zbliży się do kamery, unosi twarz. Wygląda tak, jakby patrzył bezpośrednio na mnie.

– *Mo chroí...* – dyszy ciężko Brennus. Gdy słyszę jego głos... gdy mówi do mnie „moje serce”, czuję natychmiast, jak pali mnie jego jad i zatrzuwa krew w moim ciele.

## Rozdział 2

# *Brakujące fragmenty*

Kiedy słyszę przesłanie Brennusa płynące do mnie z wideowiadomości, czuję wszystkie blizny, jakie we mnie pozostawił.

– Tęskniłem za tobą w zamku i bardzo mi przykro z powodu tego błędu, jaki popełniłem. Powinienem przyjść po ciebie sam, a nie wysyłać swoich koleśi – mówi z żalem, nie odwracając wzroku od kamery. – Finn ostrzegął, że trzeba uważać. Powiedział, że powinniśmy wydelegować do ciebie ambasadora... Uważa, że jak próbowałem cię przemienić, mogłem cię skrzywdzić ociupinkę za bardzo. Myślę, że ma rację, ale jednak lepiej, żebym przyszedł do ciebie sam. Choćby po to, by ci pokazać, ile dla mnie znaczysz. Bez ciebie, Genevieve, jestem tylko cieniem na podłodze – mruczy dalej, a jego słowa ledwie daje się zrozumieć z powodu muzyki w tle. – Straciłem całe poczucie sensu poza jedną jedyną sprawą: żeby cię odnaleźć. Być już tak blisko ciebie i jednak cię utracić... Trudno mi to znieść.

Po tych słowach przerywa, a brak światła z kamery sprawia, że nie widać bladości jego skóry. Wygląda niemal normalnie, jeśli nie zwracać uwagi na to, że jest nieziemsko piękny. Powietrze w klubie jest lekko zamglone i w tych warunkach nikt nie powiedziałaby, że Brennus to złośliwy duch-ożywieniec. Zwykły człowiek zobaczyłby po prostu supermodela i nie wyczułby słodkiego, wręcz przesłodzonego zapachu, który wydziela toksyczna skóra Gankanagów. Dla każdej młodej kobiety Brennus stanowi pokusę doskonałą: to jedyny w swoim rodzaju zabójca.

Przeciąga dłonią po ciemnych włosach i łapie się za kark, a na jego twarzy pojawia się wyraz cierpienia.

– Wiem, że mi nie uwierzysz, ale tym razem planuję zachować się inaczej. Nie będę próbował cię przemieniać. Możesz sama zdecydować, kiedy stać się jedną z nas...

Prycham drwiąco; nie wierzę mu ani przez chwilę.

Wciąż czuję ból w miejscach, w których mnie pokąsał. Pamięć podsuwa mi wspomnienie dręczącego głodu i związanej z nim udreki.

– Po prostu potrzebuję mieć cię przy sobie. Możesz teraz sama do nas wrócić albo możemy cię odnaleźć. Twój wybór, lecz jeśli zmusisz mnie, żebym po ciebie przyszedł i zabrał cię do domu, może ci się nie spodobać to, co się będzie działo. Kocham cię, *mo chroí*. Jesteś moja.

Ostatnie słowa wypowiada tak, jakby to w ogóle nie ulegało wątpliwości. I rzeczywiście jakaś część mnie w to wierzy. Nie wiem dlaczego, może to syndrom sztokholmski, ale czuję się jak jego własność, która czeka, aż on ją sobie odbierze.

– Zastanawiałem się trochę nad nami – ciągnie Brennus, od czasu do czasu spoglądając od niechcienia przez ramię w stronę Molly.

Ona z kolei wygląda na półprzytomną, jakby coś przed chwilą wzięła, ale to tylko obecność Brennusa ma na nią taki wpływ. Jego toksyczna skóra zawiera silny narkotyk, który uczynił z Molly niewolnicę. Jeśli jej dotknał, zrobi teraz wszystko, co jej każe – wszystko. Brennus znów spogląda w kamerę i mówi:

– Nie chcę, żebyś się czuła samotnie, kiedy do nas wrócisz, więc znalazłem dla ciebie przyjaciółkę. Przemienimy ją i wtedy będzie z tobą całą wieczność. Sama widzisz... Zamierzam dać ci wszystko, czego potrzebujesz... czegokolwiek pragnie twoje serce. Powiedz mi, gdzie jesteś, a ja cię sprowadzę do domu. Już pora, Genevieve. Takie jest twoje przeznaczenie.

Ekran robi się czarny, a po chwili znów pojawia się okno z pocztą elektroniczną. Patrzą na pustego maila; jestem w szoku.

Okłamywałam się. Albo może raczej udawałam, że to się nie zdarzy, że jakoś uda się temu zapobiec. Myślałam, że jeśli będę zachowywała się zwyczajnie, jeśli będę blisko osób, które kocham, zdołam je ochronić. Ale Brennus ma po swojej stronie wieczność. Może mi te osoby odbierać jedną po drugiej, aż nie zostanie nikt, kogo miałabym chronić. Czy wtedy zacznę go

błagać, żeby mnie zabił, żeby przerwał ból wynikający z utraty najbliższych?

Nie wiem, kiedy zarejestrowano ten film. Czy jest już za późno, żeby ratować Molly? Gdy się nad tym zastanawiam, czuję, jak wsącza się we mnie panika. Rozum mówi mi, że odpowiedź na to pytanie brzmi „tak”. Było za późno już w momencie, w którym jej dotknął: Molly zaczęła go teraz pragnąć; stanie się jego psychofanką – o ile jej nie przemieni albo nie wypuści z niej całej krwi i jej nie zabije. Będzie się zachowywać jak ćpunka rozglądająca się za następną porcją toksyny, którą Brennus ma pod skórą – chyba że w jakiś sposób zostałaaby uleczona; ale nie wiem nawet, czy w przypadku ludzi to możliwe. Udało mi się przeżyć jadowite ukąszenie Gankanaga, bo Russell podał mi sarnią krew, która stłumiła potrzebę napicia się krwi Brennusa. Ale jego skóra nie miała na mnie wpływu. Brennus może mnie dotykać, a ja i tak jestem niewrażliwa – inaczej niż inne istoty w pełni ludzkie albo całkiem anielskie.

Brennus się nie zatrzyma. Przyjdzie po mnie – ale o tym wiedziałam już wcześniej. Prowadzimy grę, która zakończy się śmiercią – jego albo moją. Koniec nastąpi wtedy, kiedy Brennus przestanie istnieć albo ja stanę się jego ożywieńcem – królową Gankanagów. Jedyne pytanie, jakie pozostało, to ilu jeszcze moich przyjaciół zginie, zanim ten koniec nadejdzie. Być może moja defensywna postawa nie jest właściwym podejściem w trakcie walki z Brennusem. Może powinnam go jak najszybciej odnaleźć i zniszczyć, zanim dopadnie kogoś innego? Gankanagowie nie szanują niczego poza czystą siłą. Może powinnam im pokazać, że ani prześladowanie moich najbliższych, ani mnie samej wcale nie leży w ich najlepszym interesie? Mając to wszystko na uwadze, klikam na pole „Odpowiedz” i zaczynam formułować wiadomość zwrotną:

*Brennusię,*

*chyba zapomniałeś, że nie jestem taka jak inni i twoje uroki na mnie nie działają. Moja dusza nie jest na sprzedaż i nigdy jej nie oddam. Jeśli naprawdę chcesz mi dać to, czego pragnie moje serce, nie przemieniaj Molly. Jeśli to jest w Twojej mocy, to chcę, żebyś ją puścił wolno. NIE będę szczęśliwa, jeśli moja najlepsza przyjaciółka stanie się Gankanagiem. BĘDĘ szczęśliwa, jeśli sobie pójdziesz i nigdy*

*więcej nie będziesz mnie niepokoił. Jeśli mnie nie posłuchasz, zmuszę Cię do tego, żebyś mnie zostawił w spokoju, a Tobie może się wcale nie spodobać, kiedy Ci pokażę, że i Ty jesteś istotą, która trwa tylko chwilowo. Jeśli nie zrobisz tego, o co Cię proszę, i zdecydujesz się przyjść po mnie, potraktuję to jako wypowiedzenie wojny i bez wahania Cię zabiję. Nie zmuszaj mnie do tego. Nie jesteś moim przeznaczeniem. Ja jestem Twoim wrogiem.*

**ABSOLUTNIE NIE TWOJA**

*Evie*

*PS Oddaj mi moje rzeczy, paskudny prześladowco.*

Nie zastanawiając się nad konsekwencjami swojego działania, klikam „Wyślij” i odpowiedź leci do skrzynki Molly. Patrząc na ekran; czuję, jak coś mnie ściska w gardle. Z powodu łez widzę wszystko jak przez mgłę. A płaczę, bo uświadamiam sobie, co oznacza obraz, który mam przed sobą. Molly prawdopodobnie jest już martwa. A właściwie nie martwa, tylko stała się ożywieńcem – myślę, podczas gdy pamięć podsuwa mi wspomnienia ponurych cel znajdujących się pod kryjówką Brennusa. Chociaż teraz nie są już pewnie w Houghton, więc Brennus nie może przetrzymywać Molly w którymś z tych lochów, tak jak mnie. Ponieważ Dominium dowiedziało się o kopalni miedzi, którą Gankanagowie zamieszkali, lokatorzy prawdopodobnie opuścili ten teren. I tak zresztą nie mogliby zostać w kopalni, bo zniszczyły ją granaty wrzucone do niej przez Russella podczas akcji odbijania mnie.

Kiedy przypominam sobie Russella, jak wkracza do kopalni, żeby mnie ratować, znów napływają mi do oczu łzy. Był taki wspaniały... Ocieram je grzbietem dłoni. Dla mnie stanął do walki oko w oko z Brennusem i nie pozwolił mi się poddać. Zawdzięczam mu życie, a jednak zostawiłam go bez pomocy, żeby radził sobie sam. Tak samo zresztą zostawiłam Molly. Ogarnia mnie dojmujący smutek, czuję nieprzyjemny ucisk w piersi. Wciąż brakuje mi jeszcze doświadczenia. Jestem naiwna i głupia, ale nie mogę tłumaczyć się ignorancją. Zdaję sobie sprawę, do czego Brennus jest zdolny, a mimo to nie chciałam posłuchać wewnętrznego głosu, który mnie ostrzegał przed jego nadejściem.

Na ekranie znów pojawia się komunikat o nadejściu nowego maila. Patrząc

na wyskakujące, jasno rozświetlone okienko i czuję, że włoski na rękach stają mi dęba. Przechodzi mnie dreszcz. Przesuwam kursor na przycisk „Odebrane” i klikam. W skrzynce znajduję jedną wiadomość. Też została wysłana z konta Molly, ale nie ma żadnego tematu. Z pewnością sprawdzają pocztę mojej przyjaciółki. Zdaję sobie sprawę, że to nie jest wcześniej napisany list: Brennus czekał, aż się skontaktuję z Molly. Nagle czuję się jak motyl złapany w pajęczą sieć. Otwieram wiadomość.

*Najdroższe serce,*

*gdybym już nie wiedział, że jesteś moim ideałem, upewniłaby mnie w tym przekonaniu Twoja kunsztownie skonstruowana wiadomość. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe: pokazałem ją koleśiom, którzy ogromnie teraz pragną odzyskać swoją królową. Po powrocie do domu będziesz chyba musiała znieść troszeńkę żartów z ich strony. Kolesie mogą się nie powstrzymać, bo jesteś po prostu zbyt kusząca.*

*Przykro mi, że Cię rozczaruję, mo chroí, ale odmieniliśmy Twoją przyjaciółkę Molly kilka dni temu. Nie było z tym żadnych problemów, bo sama bardzo chciała stać się Gankanagiem. Bardzo się cieszy, chociaż odrobinę się złości na Ciebie, że jej nie powiedziałaś, kim naprawdę jesteś. Wytłumaczyłem jej, że prawdopodobnie chciałaś ją ochronić. Nie zdawała sobie sprawy, że właśnie tym zajmują się Serafiny.*

*Jeśli chodzi o to, że ja trwam tylko przejściowo, mogę Cię zapewnić, że jestem bardzo trwały i stanowią Twoje przeznaczenie. Zapominasz, że poznałem Twój smak. Znam wszystkie Twoje najgłębsze pragnienia. Wiem o wszelkich potrzebach, które ukrywasz w głębi serca. Bardziej niż czegokolwiek innego pragniesz rodziny. A więc dzięki mnie będziesz miała rodzinę. Chcesz też innych rzeczy, takich, o których nigdy nikomu nie mówisz. Nigdy. Odnajdę dla Ciebie Twojego ojca, obiecuję. Trochę już o niego rozpytywałem. Jeśli tu gdzieś jest, to go znajdziemy.*

*Nie boję się Ciebie. Boję się o Ciebie. Stanęłaś po niewłaściwej stronie. Nie można ufać aniołom. Zwrócą się przeciwko Tobie. Jeśli zaistnieje choćby cień szansy, że można Cię potraktować jako coś złego, koniec z Tobą. A my zawsze będziemy gotowi Cię bronić.*

*To Ty nie chcesz mnie słuchać. Skończyłem już z prośbami, Genevieve. Teraz wydaję Ci polecenia. Przyjdź do mnie, zanim ja będę musiał przyjść po Ciebie. Nie jestem Twoim wrogiem. Kocham Cię, a Ty z czasem też mnie pokochasz.*

*Całkiem Twój  
Brennus*

*PS Wszystkie rzeczy czekają na Twój powrót, mój piękny aniele.*

Ogarnia mnie wściekłość na myśl o śmierci Molly. To uczucie podobne do gniewu, który mnie wypełnia na myśl o tym, co Alfred zrobił mojemu wujkowi. Brutalnie zabił wuja Jima, a ja nie potrafiłam go powstrzymać. Ten gniew trzymam w sobie w ukryciu, bo kiedy pozwalam mu się rozwinąć, mam wrażenie, że wywraca mi się żołądek. Drżącymi palcami przebiegam po klawiszach laptopa, wkładając w odpowiedź dla Brennusa całą nienawiść, jaką czuję.

*Drogi Chodzący Trupie,*

*nigdy nie wybaczę ci Molly. Przyślij mi swoich zmarłych, a ja ich za ciebie pochowam. Koniec już z próbami przemówienia ci do rozumu. Przyjdź i zgiń.*

*Nienawidzę cię  
Evie*

Czekam nie dłużej niż parę minut, aż na ekran znów wskakuje okienko informujące o nowych wiadomościach. Dostaję odpowiedź od Brennusa.

*Droga Najciemniejsza Nocy,*

*już jestem martwy, ale nie mogę się doczekać, żeby Cię zobaczyć... w Chinach. Niedługo tam będę.*

*Kocham Cię  
Brennus*

Chwytam laptop i rzucam nim na drugi koniec pokoju. Trafiam w ścianę, urządzenie się roztrzaskuje, kawałki spadają na podłogę. Uderzam pięściami w biurko. Drzazgi grubego, starego drewna spadają do moich stóp. Rozglądam się wkoło i wszędzie widzę twarz Molly, coraz bardziej zapadniętą po dotknięciu przez Brennusa. Nie pomyślałam o tym, że moja przyjaciółka potrzebuje ochrony. To oczywiste, że stanowiła łatwy cel. Brennus ma moje zdjęcia, a Molly jest co najmniej na połowie z nich.

Pokój zaczyna wirować mi przed oczami, które uciskam pięściami, żeby pozbyć się obrazów śmierci przyjaciółki. Musiała wyglądać przerażająco. Pewnie wypili jej krew, zanim któryś z nich pozwolił Molly skosztować swojej krwi. Ciekawe, który z nich ją przemienił. Brennus czy Finn...? A zresztą to mógł być każdy z nich... Declan albo Lachlan. Dowiem się i będę go mordować powoli... boleśnie. Kilka scenariuszy tego morderstwa pulsuje w mojej głowie, w której wszystko wiruje, jakby ktoś włożył mnie do blendera i włączył szybkie obroty.

Od tych zawrotów chwieję się na nogach. Odrywam dłonie od oczu i czuję gwałtowną potrzebę jakiegoś ruchu: muszę pędzić do Molly... pomóc jej... Nie, za późno, żeby jej pomóc. Muszę się wybrać do Brownie i Russella. Trzeba ich ostrzec, że Brennus jest już w drodze do Chin – wysłedił, skąd wysyłałam maile. Wie w każdym razie, gdzie się znajduje serwer poczty wychodzącej, którego użyłam, nadając wiadomość. Znajdzie mnie. Jeśli dotrze dostatecznie blisko, prawdopodobnie zdoła wywęszyć mój zapach... Czuję nasilające się mdłości. Trzeba ostrzec Zefira, Buns i Fedrusa – jeśli Brennus ich dotknie, oni też staną się jego niewolnikami.

Reed – przychodzi mi do głowy i czuję, że pokój znów zaczyna wirować i nie może przestać. Nie jestem w stanie powstrzymać tych obrotów. Przyklękam na jednym kolanie, opierając głowę na drugim. Kładę dłoń na podłodze, starając się odzyskać równowagę.

Muszę ostrzec Reeda... Russella... Zee... Pulsuje we mnie całkiem nienaturalne uczucie lekkości, rozchodzi się jak fala uderzeniowa, a jednocześnie coś we mnie się unosi. Patrę ponad siebie i czuję się tak, jakby żołądek wywracał mi się na drugą stronę: widzę własny obraz. Przez kilka sekund krąży nade mną niczym świetlisty duch. Mrugam, wpatrując się w to idealne odwzorowanie mnie samej, i widzę, że moje lustrzane odbicie odwraca się od miejsca, w którym stoi, tuż przede mną. Po chwili mój



świecący sobowtór z ponurym wyrazem twarzy rzuca się błyskawicznie naprzód i znika z pokoju z taką prędkością, że ledwo nadążam za nim wzrokiem. Zgrzytam zębami, czując, jak eksploduje we mnie kolejna fala uderzeniowa. Wyskakuje ze mnie drugi holograficzny obraz mnie – jak unosząca się do nieba dusza – i wylatuje z pokoju. A kiedy z mojego ciała wydobywa się trzecie rozświetlone „ja”, jak echo poprzednich, i opuszcza pokój, przechodzą mi wreszcie zawroty głowy, które mnie męczyły. Stoję na drżących nogach i próbuję zrozumieć to, czego przed chwilą doświadczyłam. Potykam się o łóżko i opieram o jego stelaż, żeby nie upaść.

Wdycham głęboko powietrze i unoszę do czoła dygocącą rękę. Nagle rozprasza mnie ruch w pobliżu drzwi. Wchodzi Reed i przygląda mi się uważnie. Jego twarz nie zdradza emocji, ale w oczach widać ból. Obejmuje mnie ramionami. Nie ma na sobie koszuli, więc widzę jego antracytowe skrzydła rozkładające się w groźnie wyglądający łuk. Kiedy Reed przyciska mnie do piersi, czuję jego seksowny, męski zapach.

– Żyjesz – szepcze mi do ucha, a jego ramiona otaczają mnie, jakbym była delikatną rośliną. Za sobą słyszę brzęk jakiejś broni, którą trzymał w ręce i teraz upuścił. Brzmi to jak miecz, który pada na podłogę z metalicznym szczękiem.

– Co takiego? – Krztuszę się i odsuwam tak, żebym mogła spojrzeć na jego twarz.

– Widziałem cię. Przeleciałaś przeze mnie. Poczułem ból i smutek, kiedy mnie przenikałaś, a zaraz potem po prostu zniknęłaś. – Reed mówi to ściszym, ale podekscytowanym głosem. Trzyma mnie mocno i nie pozwala mi się odsunąć dalej.

– Kiedy to było? – Rezygnuję z prób zajrzenia mu w oczy. Zamiast tego odwzajemniam uścisk.

– Przed kilkoma sekundami. Myślałem, że... – Ostatnie słowa wypowiada ochryłym głosem, potem milknie.

– Myślałeś, że nie żyję?

Reed obejmuje mnie jeszcze mocniej, aż w końcu zaczynam rzezić. Wtedy zwalnia uścisk, żebym mogła oddychać, ale wciąż nie chce puścić.

– Jak ty to zrobiłaś? Wysłałaś do mnie jakąś swoją część... własne

emocje? – pyta.

– Ja...? Własne emocje? – Jestem całkiem zdezorientowana.

– Na początku myślałem, że to, co się do mnie zbliżyło, to twoja dusza. Ale kiedy to przeze mnie przebiegło, tak po prostu... przeze mnie... już nie wiedziałem, co to takiego, bo jednak nie sprawiało wrażenia duszy. To była czysta emocja, panika i przerażenie, ale zapach... Czuję ciebie, na ubraniu został mi twój zapach – mówi i odsuwa mnie nieco od siebie, tak że mogę w końcu spojrzeć mu w oczy. – Jak ty to zrobiłaś?

Kręcę głową z tępą miną.

– Nie... nie wiem. – Widzę jego piękną twarz i wpatrujące się we mnie oczy. – Chciałam cię ostrzec... To Molly... Przemienili Molly... Wybierają się tutaj – tłumaczę pospiesznie. – Nie ochroniłam jej i teraz jest w ich rękach... Porwali ją z nocnego klubu... Brennus twierdzi, że już ją przemienili. Zrobili z niej potwora, a ja im pozwoliłam...

Głos mi się załamuje; chowam twarz w piersi Reeda.

– Brennus? – pyta ponurym głosem, dotykając policzkiem czubka mojej głowy. – Jak on się z tobą skontaktował?

Udaje mi się przytaknąć, ale dopiero po dłuższej chwili mogę wydobyć z siebie głos:

– Wysłałam do Molly mail, żeby jej powiedzieć, że żyję. I przekonałam się, że ona nie żyje. – Po policzkach zaczynają mi spływać łzy. – Brennus przemienił ją w Gankanaga. Wie, że jesteśmy w Chinach. Zbliży się tutaj. Przykro mi, ale chyba ujawniłam naszą kryjówkę.

– Ćśśś...

Reed bez słowa trzyma mnie przez kilka chwil w objęciach, potem pyta cicho:

– Czy właśnie to czułaś, kiedy dowiedziałaś się o przemienieniu Molly...? Żal, ból?

– Mhm...

– Twoje ludzkie emocje są... nieznośne – mówi Reed łagodnym tonem. – Nie miałem pojęcia, że tyle odczuwasz. Kiedy twój obraz zderzył się ze mną i poczułem, czego doświadczasz, opanowała mnie jedna jedyna myśl: żeby cię

natychmiast odnaleźć.

– A ty nie masz takich... głębokich odczuć? – pytam, pociągając nosem i starając się powstrzymać napływ łez.

– Mam, ale nie wiedziałem, że u ciebie też tak jest – odpowiada Reed. – To było prawie nie do zniesienia... Ta myśl, że może odeszłaś.

Zaciskam mocno powieki i silniej obejmuję Reeda.

– To było niezależne od mojej woli, nawet nie wiedziałam, że coś takiego robię. Myślałam tylko o tym, że muszę ci powiedzieć, co się stało. I wtedy nagle zaczęły ze mnie wyskakiwać obrazy mnie samej – próbuję tłumaczyć.

– Czy to jest jakiś snop światła wyglądający tak jak ty? Podobny do tego, który widziałas w Seven-Eleven? Tylko że tym razem to ty wysyłasz swój własny obraz, żeby nas ostrzec, co się dzieje – zastanawia się Reed, mówiąc poważnym głosem.

Nieruchomieję w jego ramionach. Czy ja zrobiłam właśnie coś takiego? Czy wysłałam z siebie takie sygnały? – zastanawiam się, przytłoczona wszystkim, co się ze mną dzieje.

– Nie wiem, Reed. Szkoda, że nie ma do mnie instrukcji obsługi.

Reed głaszcząc mnie po włosach i mówi:

– Bardzo chętnie poczytałbym taką książkę, Evie. Tempo trochę przyspieszyło. Od czasu, kiedy tu dotarliśmy, planujemy spotkanie z Gankanagami. Będziemy mieli nad nimi przewagę. Przeanalizowaliśmy sytuację pod wszystkimi możliwymi kątami. Gankanagowie przyjdą tu i zginą.

Zamykam oczy, ponieważ coraz trudniej mi słuchać tego, co opowiada Reed.

– Ale teraz sytuacja się zmieniła. Muszę porozumieć się z Zefirem i poprosić go, żeby tu wrócił. Musimy ściągnąć posiłki. Poinformujemy Dominion o naszym położeniu. Oni już chcieli przysłać jakąś ekipę, żeby cię chronić...

– Co takiego? – Szeroko otwieram oczy ze zdziwienia.

Twarz Reeda poważnieje.

– Ochroniarze. Dominion zażądało, żebyś miała własnych ochroniarzy – wyjaśnia nieco cierpkim głosem, tak jakby myśl o kimś innym, kto mnie

ochrania, sprawiała mu przykrość.

– A ty im ufasz? – W uszach wciąż pobrzmiwa mi echo słów Brennusa.

– Nie. Niektórzy rzeczywiście będą gotowi oddać życie, żeby cię chronić, ale część z nich będzie miała całkiem inne cele.

– Jakie inne cele? – dopytuję.

Odpowiadając, unika mojego wzroku.

– Kilka mogę sobie wyobrazić. Dominium traktuje cię jak własną broń. Jesteś idealną przynętą, za pomocą której można zwabić zło. Chętnie wykorzystywaliby cię zawsze i wszędzie tam, gdzie ich zdaniem jest szansa złapać w pułapkę jakiegoś Upadłego. Ja im w tym przeszkadzam, bo nie pozwalam Dominium uzyskać bezpośredniego dostępu do ciebie. Sądzę, że niektórzy z tych ochroniarzy będą chcieli cię porwać i dostarczyć do Dominium, za twoją zgodą lub bez niej.

– Aha – przytakuję.

Dominium chce, żebym wróciła. Część wysłanych ochroniarzy otrzyma polecenie, żeby skorzystać z okazji i mnie schwytać.

– Więc ochroniarze mogą się zamienić w strażników, o ile okoliczności będą temu sprzyjać?

– Tak – odpowiada Reed, jakby był dumny z faktu, że zrozumiałam wszystko, co mówi. – Z tego powodu nie dopuszczaliśmy ich blisko ciebie, ale teraz, kiedy sprawy tak gwałtownie przyspieszyły, możemy ich naprawdę potrzebować.

Kiwam głową.

– A co z Brownie i Russellem? – Odsuwam się od Reeda. Zaczynam krążyć po pokoju. – Nie powinni teraz wracać, skoro ma się tu zjawić Brennus. Po tym, co Russell zrobił Ultanowi i Driscollowi, Brennus go zabije. Zdaję sobie sprawę, że Brennus podda Russella torturom, jeśli go znajdzie, bo Russell w trakcie akcji ratowania mnie zabił kilku Gankanagów. To jeden powód. A drugim jest fakt, że Russell to moja bratnia dusza, co najwyraźniej drażni Brennusa.

– Możemy obronić Russella i Brownie, kiedy się tu zjawią – odpowiada Reed pewnym głosem, ale to wszystko zaczyna zakrawać na paranoję.

Czuję się nagle słaba i bezbronna.

– Reed, wyjedźmy stąd. Od razu. Tylko ty i ja. Możemy odciągnąć stąd Brennusa – przekonuję. – Zmusimy go w ten sposób, żeby nas śledził, i zdołamy drania jakoś zgubić, na pewno nam się uda.

Wtedy przynajmniej Zefir, Buns, Brownie i Russell będą bezpieczni – mówię sama do siebie.

– Nie – odpowiada Reed. – Tu mamy najlepsze warunki. Będziemy walczyć tutaj, a ty będziesz bezpieczna, tak jak Russell. Będziemy go bronić. – Znów odczytuje moje myśli.

– Chciałabym w to wierzyć, Reed, nawet nie masz pojęcia, jak bardzo bym chciała, ale widziałam, do czego oni są zdolni. W zamku Dominium weszli prosto do mojego pokoju i żaden z aniołów Mocy nie miał pojęcia, że tam są. Brennus jest całkiem opętany. Przypomina rozpieszczone dziecko, któremu nigdy wcześniej nie odmówiono zabawki i które nie może znieść, że teraz mu się jej odmawia – odpowiadam, załamując ręce.

– Ty nie jesteś zabawką – mówi Reed gardłowym głosem, aż przechodzi mi dreszcz.

– Nie, nie jestem zabawką. – Przerywam spacer i patrzę Reedowi w oczy.

Rejestruję cichy dźwięk dobiegający od strony drewnianej bramy łączącej naszą pagodę z innymi i w następnej chwili tuż przede mną staje potężna sylwetka Zefira. Wyciąga ręce w moją stronę, łapie mnie za ramię i pociąga tak, że tracę równowagę i zawisam w powietrzu przed nim. Jego brązowe skrzydła są rozpostarte, zasłania wszystko, co znajduje się za nim, z wyjątkiem groźnie wyglądającej rękojeści szerokiego miecza przypasanego do pleców Zee.

– Więc ty żyjesz – stwierdza, dysząc ciężko i omiatając mnie spojrzeniem centymetr po centymetrze.

Wpatruje się we mnie i poszukuje znaków wskazujących na to, że coś ze mną mogłoby być nie w porządku.

– No tak – potwierdzam łagodnym głosem i patrzę baranim wzrokiem w bładniebieskie oczy Zefira. – Dostałeś moją wiadomość? – pytam, po czym gryzę się w wargę, widząc, jak jego oczy się zwężają.

– Wyłumacz to dokładniej – mówi krótko, ale w tym momencie wchodzi

między nas Reed i delikatnie wyciąga mnie z chwytu Zefira.

– Evie ma nową umiejętność, której się nie spodziewaliśmy. Może tworzyć własne klony – tłumaczy Reed, stojąc między mną a Zefirem. – Jeśli wiadomość, którą ty dostałaś, przypominała tę, która dotarła do mnie, to...

– Tak to nazywasz? Wiadomością? Dla mnie to raczej był emocjonalny terroryzm... – Zefir świdruje mnie wzrokiem.

– Przepraszam cię, ale w takim stanie wtedy byłam – odpowiadam, czując się znów chora na wspomnienie twarzy Molly.

Opowiadam w skrócie, co się wydarzyło. Zefir wypytuje o każdy szczegół mailowej wymiany zdań między mną a Brennusem. Widzę, jak kąciki jego ust unoszą się, kiedy prosi mnie, żebym mu jeszcze raz opowiedziała, jak nazwałam Brennusa „chodzącym trupem”.

Kiedy kończę opowieść, Zefir chrząka. Patrzy na Reeda i mówi:

– Buns dotrze tu lada chwila. Po tym jak wpadł na mnie klon Evie, nie czekałem już na nią. Buns próbowała mi tłumaczyć, że to na pewno nie była dusza Evie, ale tobie też się tak wydawało, prawda? – pyta Reeda, który kiwa głową. – Nigdy się tak nie czułem. I wcale mi się to nie podobało.

– Przepraszam cię, Zee, strasznie byłam wkurzona – mamrocę, spoglądając na swoje stopy.

Zefir wyciąga rękę i jednym palcem unosi mój podbródek, żeby spojrzeć mi w oczy.

– No tak, teraz w końcu wiem, co znaczy „wkurzona” – odpowiada. – Masz w sobie więcej odwagi, niż przypuszczałem.

– Skarbie! – krzyczy Buns tuż przed lądowaniem w alejce prowadzącej do naszego pokoju.

Kiedy do nas wchodzi, jej piękne złote skrzydła trzepoczą za nią z naturalnym wdziękiem. Podchodzi i obejmuje mnie.

– Ależ to megasposób, ta twoja nowa sztuczka – oznajmia.

– Dzięki, Buns. – Widzę, że próbuje mnie uspokoić i stara się, żebym nie czuła się dziwolągim. – Tak mi to jakoś wyszło, nawet nie wiedziałam jak.

– Och, to wspaniały numer na gwiazdne imprezy. Możesz się sklonować, a potem każemy wszystkim zgadywać, która jest prawdziwą Evie. – Buns

śmieje się, patrząc na mnie chabrowymi oczami i odgarniając z mojej twarzy kosmyk włosów. – Mogłabyś zrobić coś takiego jeszcze raz? Mogłabyś mi wysłać swój jeden klon?

– Nie wiem – odpowiadam z wahaniem, gryząc wargę i patrząc niepewnie na Reeda, który mi się przygląda i kiwa do mnie zachęcająco głową.

– Spróbuj – mówi.

Powoli potakuję głową, zamykam oczy i biorę głęboki wdech. Właśnie teraz, niedługo przed przybyciem Brennusa, mogę mieć ostatnią okazję, żeby powiedzieć im wszystkim, co dla mnie znaczą. Serce zaczyna mi szybciej bić, a myśl o Brennie wywołuje we mnie zaniepokojenie, podobnie jak wcześniej, kiedy po raz pierwszy przydarzyła mi się ta historia z klonami. Myślę o Buns, o tym, jak ją kocham. Znów zaczynam się czuć, jakbym się szybko obracała, jak uwięziona w wirówce. Otwieram oczy, ale znów się chwieję. Próbuję zachować równowagę, ale okazuje się to niemożliwe. Muszę, jak przedtem, przykłęknąć na jedno kolano, żeby nie upaść. Wstrząsają mną dreszcze, od których po całym ciele rozchodzi się poczucie lekkości. Wydobywa się ze mnie światło, a mój własny kształt oddziela się ode mnie. Widzę przed sobą swoją podobiznę, która odwraca się i pędzi w kierunku Buns, przenika ją i natychmiast niknie.

Nie mam czasu sprawdzić reakcji Buns, bo atakuje mnie kolejna fala uderzeniowa i powoduje, że oddziela się ode mnie następny wizerunek mnie samej. Ten z kolei dociera po chwili do Zee i niknie w nim. Koncentruję się teraz na swojej miłości i pożądaniu do Reeda. Czuję w sobie pulsujące ciepło, prawie ogień, a wydobywające się ze mnie światło staje się bardziej intensywne. Jasny obraz mnie samej wyskakuje z mojego ciała i zwraca się natychmiast w stronę Reeda. Mijają mi zawroty głowy, z powodu których musiałam ukłęknąć. Widzę, jak mój klon z szybkością błyskawicy podąża do Reeda, otacza go ognistym światłem i po chwili znika w jego wnętrzu. Reed zamyka oczy, a wyraz troski na jego idealnej twarzy ustępuje miejsca minie pełnej szczęścia. Potem jego oczy powoli się otwierają, a w ich ciemnozielonej głębinie tli się najzarliwsze pożądanie.

– Skarbie, myliłam się... To nie jest numer na imprezę – mówi Buns, która chwiejnym krokiem przesuwa się w stronę łóżka i siada na nim. – To jest... Ja czuję twój zapach! – zauważa z szeroko otwartymi oczami.

Przyciąga do nosa kosmyk swych miodowych włosów i węża go. Mówi coś do mnie w swoim melodyjnym języku, po czym uśmiecha się i dodaje:

– To było tak, jakbym widziała miłość poprzez cudze oczy. Nigdy tego nie zapomnę.

– Dominium – mówi Zefir, nie odrywając ode mnie oczu.

Na jego twarzy widać podziw, który zauważyłam u niego tylko raz, tuż przed tym, jak udało mi się zaciąć go sztyletem w ramię podczas sparingu.

– Musimy ich tu teraz sprowadzić – kończy za niego Reed, który jednak nie patrzy na Zee, ale na mnie.

Na jego twarzy wciąż widnieje wyraz szczęścia, jak przyklejony na stałe.

– Zajmę się tym, a ty w międzyczasie postarasz się ściągnąć tu wcześniej Brownie i Russella.

– Nie mogę teraz stąd odejść. Będą musieli tu sami trafić. Nie wytłumaczyłem jeszcze Dominium, kim jest Russell. Możemy go chronić, kiedy tu już będzie, ale nie ufam im, że go tu dostarczą, o ile wcześniej im o nim opowiem. Jest zbyt duże ryzyko, że go zatrzymają, jeśli ich poproszę o ochronę dla niego – kończy swą myśl Zefir.

Ze strachu zaczynają mi się pocić dłonie, bo uświadamiam sobie, co zrobiłam. Zniszczyłam wszystkie starannie obmyślane plany. Plan spotkania z Brennusem w czasie wyznaczonym przez Reeda i Zefira oraz plan zapewnienia bezpieczeństwa Russellowi i Brownie wędrują właśnie do kosza, bo znowu narozrabiałam.

– Nie, Zee, musisz ich tu sprowadzić! – mówię kategorycznie.

– Nic im się nie stanie. Brownie jest Kosiarzem i potrafi nieźle przykopać. Da sobie radę z tą sytuacją – mówi Buns uspokajająco, ale dostrzegam spojrzenie, które rzuca nad moim ramieniem Zefirowi. To u niego szuka wzrokiem potwierdzenia.

Kiedy przyglądam się Zefirowi, coś w jego zachowaniu sprawia, że robi mi się zimno. Zefir nie ma pewności, czy Brownie i Russell sobie poradzą, i dlatego zamierzał się po nich wybrać.

– Proszę cię, Zee, sprowadź ich tutaj – szepczę do niego bezdźwięcznym głosem.



– On nie może, Evie. Musi z nami zostać – mówi stanowczo Reed. – Musimy zaufać Brownie i Russellowi, że dotrą tu bez niczyjej pomocy.

Miałabym ochotę się z nim kłócić, ale widzę po zaciśniętych szczękach, że nie zmieni zdania. Jest wyraźnie zafiksowany na zadaniu „ochroniać Evie” i nie porzuci tej misji niezależnie od tego, co jeszcze mogłabym mu powiedzieć.

Zaciskam dłonie w pięści i miałabym ochotę coś nimi rozwalić. Wciąż chodzi mi po głowie myśl, że to wszystko moja wina. Chwytam telefon i wychodzę przed dom, na dziedziniec, pod bezkresny ogrom ciemnego nieba. Wystukuję numer Russella, ale natychmiast włącza się skrzynka głosowa. Po tym jak krótki, nagrany przez niego komunikat zachęca mnie do pozostawienia wiadomości, mówię: „To ja. Zadzwoń, kiedy to odsłuchasz”. Rozłączając się, zaczynam się zastanawiać, czy wywieram na Russella taki wpływ, jak Brennus na mnie. Ciekawa jestem, czy dźwięk mojego głosu powoduje, że otwierają mu się wszystkie blizny, które ma z mojego powodu.

## Rozdział 3

# Armia

Próbuję siedzieć spokojnie i oczyścić umysł, tak jak instruuje mnie Fedrus. Zadanie okazuje się jednak niemal niewykonalne. Przez moją głowę wciąż przebiegają tysiące myśli, a codziennie przybywają ich całe nowe pokłady. Jak to wszystko wpuścić w jeden kanał świadomości? – zastanawiam się. Obmyślam różne scenariusze typu „a co by było gdyby”, co staje się niemal torturą.

– To nie działa – wzdycha Fedrus siedzący obok mnie.

Otwieram oczy i odwracam głowę w jego stronę. Ma skrzyżowane nogi, podobnie jak ja, a plecy proste jak kij od szczotki. Siedzi w idealnej pozycji medytacyjnej. Patrzy na mnie czarnymi jak smoła oczami. Gdybym nie wiedziała, że jest aniołem Cnót, zmyliłyby mnie te oczy, bo nie ma w nich różnicy kolorów między źrenicami, tęczówkami i twardówkami – wszystko jest czarne, przez co Fedrus wygląda groźnie. Ale znam go i wiem, że nie ma w nim ani krztyny zła. Został wysłany z misją miłosierdzia i ma dokonywać cudów. W tej akurat chwili jestem mu bardzo wdzięczna, że spędza czas ze mną. Zajmujemy się tym samym już od wielu godzin i chciałbym mu powiedzieć, że pora na przerwę, ale nie chcę go rozczarować.

– Przepraszam – mówię, wydychając powietrze, które w sobie wstrzymywałam.

– Nie poddajesz się temu – zwraca mi uwagę Fedrus. – I nie oddychasz.

– Oddychaj głębiej – przypominam sobie, ponownie zamykając oczy.

– Tak, i skup się na tym, co chcesz osiągnąć: spokój, wyciszenie... Jeśli

zdołasz przez chwilę utrzymać ten stan i wyjść poza racjonalne myślenie, będziesz mogła zgłębić swoją najnowszą umiejętność – mówi Fedrus łagodnym, przekonującym głosem.

– Fedrusie, ale wszyscy zawsze mówią, że powinnam być bardziej racjonalna. A ty teraz mi tłumaczysz, że mam wyjść poza racjonalne myślenie. Okazuje się, że jesteście konsekwentnie niekonsekwentni – wzdycham.

– Dobrze ci idzie, Evie. Zrelaksuj się... Pomyśl o ulubionym wierszu... albo muzyce... Znasz jakieś rytmiczne piosenki? – pyta.

– Niech pomyślę... – Milknę, starając się przypomnieć sobie jakąś odpowiednią piosenkę, na której mogłabym się skupić. Jedyne, co w tej chwili przychodzi mi do głowy, to *Ninety-nine Bottles of Beer On The Wall*[1].

– Chyba tego nie znam – mówi Fedrus w niezwykły, ale typowy dla niego sposób: czytając mi w myślach.

Poirytowana, że potrafi tak łatwo się zorientować, o czym myślę, zaczynam śpiewać w głowie. *Dziewięćdziesiąt dziewięć butelek piwa na półce, dziewięćdziesiąt dziewięć butelek, zdejmij jedną i puść ją wkoło, dziewięćdziesiąt osiem butelek na półce...*

– Och, urocze... – mruczy Fedrus. – Miałem nadzieję, że znasz coś Bacha, może Händla czy Wagnera... Nigdy mi się nie zamkną oczy przy tej kołysance.

Śmieję się z jego sarkastycznych słów i nadal podśpiewuję sobie w myślach słowa piosenki, jednocześnie nucąc na głos melodię. Przy dwunastej czy trzynastej zwrotce czuję, że się uspokajam. Jeszcze kilka zwrotek i ogarnia mnie zobojętnienie. Nie potrzebuję już dłużej śpiewać.

Powoli zaczynam panować nad uczuciem wirowania, nie pozwalam, żeby mnie przytłoczyło. Udaje mi się jakoś je skanalizować. Gromadzi się we mnie energia i oczekuję, że doprowadzi to do kolejnej fali uderzeniowej, która przeze mnie przejdzie. Staram się skupić, a w tym czasie wydobywa się ze mnie drgające światło. Zamykam oczy w chwili, kiedy wydostaje się ze mnie mój klon. Nie chcę, żeby to był tylko kształt wypełniony emocją, próbuję zapanować nad swoim obrazem, nadać mu jakąś świadomość i utrzymać związek z nim. Do mojego umysłu przesączają się mroczne obrazy otoczenia, w którym jestem. To tak jak otwieranie oczu pod wodą. Widzę kształty i kontury, ale niezbyt ostre i wyraźne.

– Potrafisz nią kierować? – pyta Fedrus.

Nie odpowiadam, ale koncentruję się na pragnieniu, które odczuwam: chciałabym wstać i poszukać Reeda. Mój klon natychmiast kieruje się w stronę drzwi prowadzących na dziedziniec. Na zewnątrz jasno świeci słońce, dzięki czemu kształty, które widzę oczami mojego wizerunku, stają się wyraźniejsze. Na obrzeżach dziedzińca rozstawione są grupy aniołów. Anioły zaczęły przybywać poprzedniego wieczoru. Większość z nich to anioły Mocy, które nie mają swoich stopni w hierarchii Dominium. To elitarni zabójcy, których Reed i Zefir znają osobiście.

Chodząc po ogrodzie, nie bardzo umiem rozpoznać, który z aniołów jest mój. Nie widzę zbyt wyraźnie rysów twarzy, kolory też się zlewają. Dziewczyna będąca moim klonem przechodzi obok kilku postaci, a ja każę jej zbliżyć się do nich i zajrzeć w ich twarze w poszukiwaniu tego jednego, który ma absolutnie idealne rysy. Nie muszę chyba dodawać, że duch będący moim dokładnym wizerunkiem nie pozostaje niezauważony. W istocie wszelki ruch wokół mojego sobowtóra zamarł, podobnie jak i wszystkie rozmowy – choć i tak bym ich nie rozumiała, bo nie toczyły się po angielsku. Oddycham głęboko i za pośrednictwem przytłumionych zmysłów mojej odpowiedniczki wykrywam dobrze znany zapach Reeda.

Kierując się tym ledwo wyczuwalnym tropem zapachowym, posyłam swoją emanację dalej po starannie zagrabionej żwirowanej alei – aż na środek ogrodu, gdzie wokół starego drzewa wije się z gracją niewielki strumyk. Widzę niezbyt wyraźnie opartą o drzewo postać anioła, który w milczeniu obserwuje mój klon. Czujnie wachając powietrze w pobliżu drzewa, popycham swoją odpowiedniczkę coraz bliżej anioła i nasłuchuję odgłosów, które mógłby wydawać. Przybliżam się do niego – za pośrednictwem swojego wizerunku – i przysuwam usta na centymetry od jego ucha. Skupiam się bardzo intensywnie – udaje mi się poruszyć ustami klona w stopniu wystarczającym, żeby mój obraz szepnął „U!”.

Reed próbuje zamknąć mnie w uścisku, ale wtedy mój klon wsiąka w niego i znika jak mgła, a moja świadomość natychmiast wraca do mojego prawdziwego ciała, które wciąż siedzi uśpione obok Fedrusa. Gwałtownie wciągam powietrze, otwieram oczy i patrzę na swojego sąsiada, który śmieje się do mnie czarnymi lśniącymi oczami.

– Dobra robota! – mówi. Wyciąga do mnie rękę i wstaje.

Ujmuję jego dłoń i pozwalam, żeby pomógł mi się podnieść z podłogi.

Rumienię się lekko, słysząc jego pochwały i entuzjazm.

– Dzięki za pomoc – odpowiadam.

– Ależ nie ma za co. Chciałabyś spróbować jeszcze raz?

– Nie teraz, może później. – Czuję się wyczerpana wysiłkiem, który włożyłam w zapanowanie nad swoją nową umiejętnością. Ale od razu po wypowiedzeniu tych słów coś w twarzy Fedrusa każe mi zapytać: – Dzieje się coś złego?

– Nie, tylko nie jestem pewien, jak długo tu jeszcze zostanę i będę mógł ci pomagać – odpowiada z tajemniczą miną.

– Wyjeżdżasz? – pytam smutnym tonem, ściągając brwi. Mocniej ściskam jego dłoń. Miałam nadzieję, że zechce z nami zostać. Dość szybko stał się częścią naszego kółka, szybciej, niż zdołałby to zrobić ktokolwiek inny; teraz stanowimy bardzo zgraną grupę.

– Nie wiem – mówi Fedrus głosem pełnym frustracji. – Dostaję naprawdę dziwne sygnały. Nie jestem pewien, co powinienem robić. Irytuje mnie to, bo nigdy wcześniej nic takiego mi się nie zdarzyło.

– Co masz na myśli? – Puszczam dłoń Fedrusa i patrzę na jego ściągnięte brwi.

– Pamiętasz, jak ci wspominałem, że widzę w swojej głowie obrazy, wizerunki osoby, której mam pomóc? – Kiedy potakuję, ciągnie dalej: – No więc docierają do mnie te obrazy, po czym wyruszam, żeby znaleźć właściwą osobę. Im bardziej się do niej zbliżam, tym cieplej mi się robi. I na odwrót: im bardziej się oddalam, tym mi zimniej.

– No tak, mówiłeś już, że to jak przy zabawie w „ciepło-zimno” – odpowiadam.

– Właśnie. I teraz dostaję obrazy nowej osoby, która potrzebuje mojej pomocy.

– Aha – kwituję tonem zdradzającym rozczarowanie.

Miałam nadzieję, że to ja pozostanę obiektem, któremu ma pomagać. Ponieważ jest aniołem miłosierdzia, aniołem Cnót, zesłanym, żeby dokonywać

cudów dla swoich podopiecznych, lubię mieć go blisko siebie.

– No, tylko teraz powiem ci rzecz najbardziej niepokojącą. Im bardziej oddalam się od ciebie, tym jest mi zimniej – dodaje zmieszany.

– Czyli chcesz powiedzieć, że nie możesz wyruszyć, żeby odszukać osobę, której obraz widzisz w głowie, bo ja cię ściągam z powrotem do siebie?

– Tak. Mam kilka teorii na ten temat, ale wciąż jeszcze nie sformułowałem ostatecznej odpowiedzi, dlaczego tak się dzieje – wyznaje Fedrus.

Mój umysł z furią rzuca się na łamigłówkę, która właśnie została przedstawiona. Może chodzić o to, że czyha na mnie większe niebezpieczeństwo niż na tę drugą osobę, więc to ja bardziej potrzebuję pomocy Fedrusa. Albo po prostu ze względu na swoją naturę mogę być dla niego większą atrakcją i blokować innych. Przychodzi mi do głowy jeszcze jedna myśl: że być może powinnam wyruszyć z Fedrusem na jego kolejną misję. Może nie potrafi mnie zostawić dlatego, że mam mu pomóc – wyruszyć razem z nim.

– Nie myślałem o tym, Evie – mruczy Fedrus, który zna wszystkie moje myśli, tak jakbym wypowiadała je na głos. – Nigdy dotychczas nie miałem partnera, byłoby czymś niezwykłym, gdyby nagle ktoś zaczął mi towarzyszyć.

– A kto jest tym drugim obiektem? – pytam z ciekawości.

– Nie znam imion, widzę tylko twarze – mówi wyraźnie sfrustrowany. – Wszystko to bardzo dziwne. Nie wiem, jak mam ich odnaleźć, jeśli nie mogę się posługiwać własnymi zmysłami.

– Ich? To widzisz więcej niż jeden obiekt?

– Tak – odpowiada pogrążony w myślach.

Właśnie mam zadać mu jeszcze inne pytania na temat czekającej go misji, ale nagle słyszę dobiegający z zewnątrz pomruk. Jakaś część mojego umysłu nieustannie kontroluje, co dzieje się wokół. Słucham, choć nie potrafię zrozumieć żadnego fragmentu rozmów odbywających się poza domem, w ogrodzie. Znam ten pomruk... Rzucam się do drzwi z myślą o tym, że muszę znaleźć Reeda. Zaledwie po paru sekundach widzę go – stoi pod drzewem w miejscu, gdzie opuścił go mój klon. Ale nie jest już sam, otacza go mnóstwo innych aniołów Mocy. Na ich widok sztywnieję. Przybyli w takiej ciszy, że niczego nie dosłyszałam.

Z moich pleców wyrywają się na zewnątrz skrzydła, bo nagle dociera do mnie, że Reed jest sam pośród aniołów Mocy przysłanych przez Dominium. Wyszarpuję z uchwytu na ścianie jeden z niewiarygodnie ostrych mieczów, odwracam się i wychodzę na podwórze, wołając przez ramię do Fedrusa:

– Zawołaj Zee!

Kiedy zbliżam się do grupy aniołów stojących przy drzewie, wszystkie oczy zwracają się w moją stronę. Rozglądam się po tym tłumie i zauważam kilka twarzy, które rozpoznaję ze swojego pobytu w zamku. Przede wszystkim widzę Prebena, anioła Mocy, który zajmował się mną zaraz po tym, jak przybyłam na zamek. Rozpoznaję jego srebrne włosy i jasnobrązowe skrzydła, tak bardzo przypominające kolorem skrzydła Zefira.

Na widok Prebena częściowo mija mi strach, jaki odczuwałam w zetknięciu z grupą aniołów. Kiedy byłam w zamku, Preben starał się mi pomóc, chociaż sądził wtedy, że stoję po stronie zła. Zwalniam kroku i próbuję zapanować nad agresywnymi uczuciami, które każą mi zaatakować anioły mogące stanowić zagrożenie dla Reeda. Instynkt chronienia go przytłacza mnie i odbiera umiejętność jasnej oceny sytuacji. Robiąc obojętną minę, zbliżam się do Reeda i wyciągam do niego rękę. Natychmiast ujmuje ją w swoją dłoń.

– Kochanie, twoi ochroniarze dotarli na miejsce – mówi całkiem normalnym tonem, choć wyczuwam w nim napięcie.

Sięga ręką po miecz, który mam w drugiej dłoni, bierze go ode mnie i trzyma przy swoim boku w sposób niestwarzający dla nikogo zagrożenia.

Staram się dostosować do jego zrelaksowanej miny i odpowiadam:

– Chyba nie są wszyscy moimi ochroniarzami.

– Jesteś dla nas bardzo ważna – mówi Preben, uśmiechając się do mnie łagodnie, podczas gdy ja patrzę na niego wzrokiem pełnym sceptycyzmu.

Jest tak wysoki, że aby spojrzeć mu w oczy, muszę niemalże cofnąć się o krok. Przypominam sobie, jak mi pomógł podczas mojego procesu, tłumacząc dla mnie słowa rady wojennej. Pamiętam też, jak później zgodził się na to, żeby Reed był przy mnie. Pod wpływem tych wspomnień moja wrogość częściowo zanika i w końcu odwzajemniam uśmiech Prebena.

– Hm – odpowiadam, zwracając ku niemu twarz ze zmarszczonymi brwiami. – Chcesz powiedzieć, że mogę już przestać modlić się o śmierć?

Preben uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Mam wątpliwości, czy w ogóle kiedykolwiek zaczęłaś, Serafino – mówi, lekko się ze mnie natrzęsając, tak że i ja śmieję się do niego bardziej serdecznie.

Patrzę na wszystkich członków oddziału stojących za Prebenem – a jest ich chyba więcej niż czterdziestu – i pytam:

– Tylu aniołów tylko do ochrony mnie jednej? Chyba sądzicie, że w ogóle nie potrafię się bronić.

– Jesteś bardzo młoda. Jak miałabyś stawić czoła tak doświadczonemu złu jak Gankanagowie? – pyta retorycznie Preben.

– Ale oni nie chcą mnie zabić. Chcą, żebym została ich królową. Myślę, że mam z nimi większe szanse niż ktokolwiek inny. Będą chcieli zachować mnie przy życiu, żeby potem mnie przemienić. Ale nie jestem pewna, czy do was też będą mieli takie podejście. – Mówię to wszystko otwarcie, patrząc na anioły zgromadzone wokół nas i słuchające każdego naszego słowa. – Jesteś pewny, że macie ochotę angażować się w coś takiego?

Cała grupa wybucha śmiechem, jakbym powiedziała jakiś dowcip. Patrzę na Reeda z nadzieją, że wytłumaczy mi, dlaczego wszyscy się śmieją. Widzę, że wpatruje się we mnie intensywnie, nie zdradzając się z tym, co myśli. Będę musiała się nauczyć, żeby też się tak zachowywać. Reed nie okazuje nikomu swoich słabości, podczas gdy ja noszę je wypisane na twarzy.

Preben krótko i zdecydowanie kiwa głową.

– Tak, niewątpliwie mam ochotę się w to angażować – odpowiada. – Właśnie rozmawialiśmy o tym, jak cię chronić. Zdecyduję, kto będzie twoim osobistym strażnikiem, a pozostałym zostaną przydzielone inne obowiązki na rzecz twojej armii.

– Hm... – odpowiadam, zastanawiając się nad tą najnowszą informacją. – Przykro mi, jeśli cię rozczaruję, ale to nie jest moja armia. To armia Reeda. Jeśli się do niej przyłączysz, wstąpisz na służbę do Reeda. A decyzję co do tego, kto będzie moim osobistym strażnikiem, też zostawiam Reedowi. On tu dowodzi.

Preben mruży oczy. Przywykł do sytuacji, w których to on wydaje polecenia. Dominium obdarzyło go władzą nad tymi wszystkimi aniołami, ale



na nas jego stopień nie robi wrażenia, bo Reed jest tu najwyższy w hierarchii. Moje serafinowe skrzydła wytrawione na jego piersi, tuż nad sercem, zasadniczo czynią z niego Serafina. Przewyższa stopniem wszystkie anioły Mocy i stoi na szczycie tutejszej struktury dowodzenia. Kiedy zgodziłam się z nim związać, nie wiedziałam, że zapewniam mu awans, ale cieszę się, że wyniósł chociaż jedną korzyść z tego, że utknął przy mnie na całą wieczność.

– To spór o słowa, Serafino – oświadcza Preben. – Ponieważ jesteś z nim związana, stanowicie jedność, a więc walczę dla ciebie. To jest twoja armia, tak samo jak jego. Chyba że Reed przestanie istnieć: wtedy to będzie tylko twoje wojsko.

Z mojego gardła wydobywa się groźne warknięcie. To, co Preben właśnie powiedział, brzmi jak groźba, a moja reakcja w postaci warknięcia była czysto instynktowna. Po raz pierwszy widzę tak wyraźnie, jakie ryzyko wziął na siebie Reed, wiążąc się ze mną. Do czego gotowe jest posunąć się Dominium, żeby mnie odzyskać? Wszelkie wzmianki o tym, że Reed przestaje istnieć, odbieram bardzo poważnie.

Reed trochę mocniej ściska moją dłoń, ale nic nie mówi. Myślę, że w ten sposób daje mi do zrozumienia, że powinnam zachowywać się spokojnie. Ja także ściskam jego rękę, po czym ją puszczam.

– Preben, cieszę się, że cię znów widzę – mówię nieco chłodno, wyciągając ku niemu rękę.

Patrzy przez chwilę na moją dłoń, nie bardzo wiedząc, co powinien zrobić. W końcu ściska ją z wahaniem, nieustannie spoglądając ponad moim ramieniem na Reeda. Wymieniamy uścisk dłoni, ale kiedy usiłuję uwolnić się od jego ręki, nie puszcza mnie od razu. Nachyla się w moją stronę i mówi cichym głosem:

– Nie jestem twoim wrogiem.

– Nie byłbyś pierwszą osobą, która mówi mi to całkiem nieszczerze. Zobaczymy, prawda, Preben? – Łagodnie wysuwam dłoń z jego uścisku.

A do wszystkich pozostałych mówię:

– Dziękuję wam za przybycie. Jeśli czegoś potrzebujecie, mówcie, a my postaramy się spełnić wasze życzenia.

– Potrzebne nam są dane wywiadowcze – odpowiada natychmiast Preben. –

Przedstawiono nam informacje na temat kryjówki w Houghton i innych gniazd wroga, które odkryto, ale wy macie wiadomości z pierwszej ręki. Słyszałem wasze zeznania przed radą wojenną. Musimy to przeanalizować jeszcze raz, razem z wami.

– Zajmę się tym – mówi Reed głosem, w którym słychać autorytet. – Dostarczymy wam informacji, które zdobyliśmy, możecie też zadawać wszelkie pytania. Możemy to zrobić po tym, jak porozmawiam z tobą o osobistym strażniku dla Evie. Zee, wchodzisz w to?

– No to popylamy – odpowiada Zefir, który zmaterializował się w pobliżu i brzmi tak, jak powinien brzmieć ktoś z mojego pokolenia. Kręci się koło Buns i zaczyna się do niej upodabniać. Wyobrażam sobie niemal, że tak naprawdę ma dziewiętnaście albo dwadzieścia lat, a nie z grubsza kilka miliardów.

– Nie będzie ci to potrzebne, jak sobie będziemy gadać... – Zee obejmuje jednym ramieniem Prebena i wyciąga mu miecz z pochwy przytroczonej do pleców. Rzuca go nonszalancko Reedowi. – Możecie wszyscy iść za mną do pawilonu konferencyjnego – zwraca się do aniołów Dominium. Potem odwraca się znów do Prebena i pyta: – Grasz w golfa?

Kieruje go w stronę największej pagody w stylu Naxi stojącej w centrum całej grupy podobnych budynków.

Chwilę później Reed ponownie bierze mnie za rękę i mówi:

– Chodź ze mną.

Oddalamy się swobodnym krokiem od pozostałych aniołów. Reed w ogóle się nie odzywa, dopóki nie docieramy mniej więcej do połowy dziedzińca. Wtedy zagaduje do mnie cicho:

– Bądź cały czas blisko mnie, dopóki tego nie odwołam.

Kiwam głową na znak zgody. Serce zaczyna mi bić w piersi szybciej i mocniej, a jednocześnie przez głowę przelatują wszystkie możliwe powody, dla których Reed nie chce, żebym mu zniknęła z oczu. Mój towarzysz nagle zatrzymuje się i przyciąga mnie do siebie. Kiedy jego wargi dotykają moich, znikają wszystkie myśli. Przyciskam dłonie do jego piersi, opierając się na nim i odwzajemniam pocałunek, pieszcząc ustami jego dolną wargę. Serce przyspiesza mi jeszcze bardziej, kiedy Reed przeciąga dłonią po moim

skrzydle, hipnotycznie sięgając coraz niżej.

– Nie bój się – szepcze mi do ucha. – Zaufaj mi.

Zamykam oczy i koncentruję się na tym, żeby spowolnić rytm serca. Reed musiał je chyba usłyszeć i chciał dać aniołom jeszcze jedno wytłumaczenie, dlaczego bije ono tak mocno.

– Ufam ci – odpowiadam również szeptem, opierając głowę na jego ramieniu. Po chwili puszczam go i ruszamy w stronę naszej pagody. – Tylko nie wiem, kto tu udaje, a kto jest prawdziwy.

– Kochanie, pozwól, że to ja się będę tym martwił – odpowiada beztrząsco Reed.

– Czy bardzo narozrabiałam wcześniej, tam pod drzewem? – pytam poważnym tonem.

Reed wzrusza lekko ramionami.

– Aż tak źle? – wzdrygam się.

– Nie powiedziałbym, że narozrabiałaś. Powiedziałbym, że przekazałaś im trochę informacji, które, według mnie, powinni usłyszeć – odpowiada Reed, unosi moją dłoń do ust i ją całuje.

Zatrzymuję się, staję przed Reedem.

– A co ja im właściwie powiedziałam?

Odgarnia mi włosy z twarzy.

– No cóż, weszłaś w środek tego zgromadzenia, wymachując bronią, bo myślałaś, że jestem sam przeciwko nim wszystkim, pokazałaś, że im nie ufasz i jesteś gotowa z nimi walczyć, jeśli to będzie konieczne – wyjaśnia, zakładając mi za ucho kosmyk włosów.

– Och... – Czuję, jak rumieniec oblewa mi policzki. Krzyżuję przed sobą ramiona.

– A potem stanęłaś między mną a ich dowódcą, jak lwica broniąca małego lwiątko, demonstrując z kolei, że cenisz mnie bardziej niż własne bezpieczeństwo. Pokazałaś, że droga do ciebie prowadzi przeze mnie – dodaje Reed.

Sztywnieję i w panice gryzę dolną wargę.

– Czyli sprowadziłam na ciebie większe niebezpieczeństwo, zamiast cię

bronić? – Upuszczam swoją broń i przechadzam się przed Reedem, patrząc na stojące za mną anioły.

– Tak, dziękuję ci – odpowiada, śmiejąc się, uradowany myślą, że stał się teraz centralnym punktem wszystkich intryg, które będą obmyślane. – Zaatakują mnie, żeby zachęcić cię do działania.

– Co?! – krzyczę, nie zwracając uwagi, kto może mnie usłyszeć. Serce wali mi tak, jakby miało za chwilę wyskoczyć z piersi.

Reed wciąga mnie za wielkie drzewo, które osłania nas przed aniołami, i namiętnie całuje. Obejmuję go za szyję i przyciskam do niego swoje ciało. Jego wargi wędrują po moich ustach, a dłoń wpleciona we włosy na wysokości szyi przyciąga moją głowę do jego twarzy. Przesuwam ręce od szyi Reeda do jego piersi; słyszę, jak mruczy, niechętnie kończąc nasz pocałunek. Odsuwa się ode mnie.

– Wiesz, Evie, oni i tak traktowaliby mnie jak swój cel. Jesteś moja, a tamci wiedzą, że nigdy nie pozwolę ci odejść. Zdają sobie już sprawę, że to ja jestem kluczem do podporządkowania ciebie, bo w Dominium ryzykowałeś życie, żeby mnie ratować. Po prostu teraz uświadomiłaś im tylko, że nic się nie zmieniło.

– Bawi cię to wszystko, prawda? – mówię oskarżycielsko, wędrując dłońmi po silnych mięśniach pleców Reeda.

– Tak. – Uśmiecha się i trąca nosem moją szyję. – Będą musieli załatwić mnie, jeśli chcą mieć kiedykolwiek nadzieję, że się dobiorą do ciebie. Ta myśl daje mi wiele satysfakcji.

– Nie dam rady zasnąć, dopóki oni tu będą – szepczę, myśląc o wszystkich możliwych sposobach, które mogliby zastosować, żeby dopaść Reeda.

Można ich obmyślić bardzo wiele. Mogę nie zdołać go ochronić.

– Ależ zaśniesz. Zadbam o to, żeby odpowiednio odwrócić twoją uwagę i żebyś nie miała czasu zastanawiać się nad nimi.

Zaczynam natychmiast wyobrażać sobie różne skuteczne sposoby odwracania uwagi, które Reed mógłby zastosować, a ja wcale nie miałabym mu tego za złe. Jego wzrok mięknie od czułości.

– Chodźmy, muszę porozmawiać z Prebenem o twojej ochronie. – Ciągnie mnie za sobą.

– Czy mógłbyś mu powiedzieć, że nie potrzebuję żadnych strażników? Ci faceci przyprawiają mnie o gęsią skórkę. Ciągłe patrzą na mnie tak, jakbym była wytworem jakiejś najnowszej technologii i jakby chcieli mnie rozebrać na części, żeby sprawdzić, jak działam – mówię otwarcie, pamiętając, jak zachowali się wobec mnie po procesie w zamku Dominium.

– Przyzwyczajają się do ciebie – odpowiada Reed. – Jesteś bardzo ponętna. Być może trzeba będzie ich często zmieniać, żeby zachowali bezstronność.

– Co przez to rozumiesz? – pytam podejrzliwie.

– Masz różne sposoby, żeby przeciągać nas na swoją stronę. Potrafisz sobie owinąć nas wokół małego palca. To twój szczególny dar, ale nie zawsze jest atutem, jeśli chodzi o twoje bezpieczeństwo – wyjaśnia Reed.

– Sądziłabym, że raczej byłoby ci na rękę, żeby oni mnie słuchali – odpowiadam, strzepując z nadąsaną miną jakiś urojony paproszek z rękawa.

– Nie, moim zadaniem jest chronić cię, a to, niestety, oznacza też ochronę przed samą sobą. – Przypatruje mi się uważnie.

– Ochronę przed samą sobą? To śmieszne! A co ja takiego mogę sobie zrobić? – prychnam.

– Rzucić się między nieprzyjaciół, żeby nie pozwolić skrzywdzić twoich bliskich – odpowiada natychmiast Reed.

– Mam lepsze pomysły – mamroczę, spoglądając na niego z wyrzutem.

Widząc sceptyczną minę Reeda, przerywam rozmowę na ten temat i odchodzę w kierunku pagody. Reed oplata mnie ramionami, ciągnie do tyłu i przytula do swojej piersi.

– Jesteś najbardziej zadziwiającą osiemnastolatką, jaką kiedykolwiek spotkałem. Jeśli chodzi o zdolności poznawcze, prezentujesz poziom kogoś, kto ma tysiące lat, ale w ogóle o sobie nie myślisz. Tak jakby zasada przetrwania miała dla ciebie drugorzędne znaczenie – tłumaczy.

– To nieprawda, Reed. Chodzi tylko o to, że ja doskonale wiem, bez czego nie potrafiłabym przeżyć. I dlatego ryzyko śmierci nie jest dla mnie tak groźne jak ryzyko utraty tego, co kocham – odpowiadam, odwracając się w jego objęciach tak, żebym mogła spojrzeć mu w twarz.

– Więc będę chronił to, co kochasz, po to, żebyś przetrwała – oznajmia Reed; wiem, że ma na myśli Russella.

A ja będę chronić ciebie – mówię sama do siebie, ale nie wypowiadam tych słów na głos, bo Reed zawsze stanowczo twierdzi, że nie potrzebuje ochrony.

Mam ochotę dalej się z nim kłócić na temat mojej obstawy, ale jesteśmy w nie najlepszym do tego miejscu. Stoimy na otwartej przestrzeni, gdzie właściwie każdy może nas podsłuchać. W końcu trochę się rozluźniam i zaczynam dostrzegać korzyści, jakie może przynieść obecność wokół mnie całej grupy aniołów, kiedy przybędzie Brennus.

– Evie, o czym myślisz? – pyta Reed.

– Myślałam, że ci, których wybierzesz do pilnowania mnie, nie mogą być tak niedokładni jak moi poprzedni ochroniarze. Chociaż właściwie nie wiem, czy można ich nazywać ochroniarzami, bo głównie pilnowali mnie, żebym nie odeszła. Anioły przynajmniej nie będą tak śmierdzieć jak Declan, Lachlan, Faolan i Eion. – Przypominam sobie słodką, lepką woń otaczających mnie Gankanagów.

Zanim zostałam ugryziona, ten zapach był tak silny, że czułam, jak pali mi nos. Przerazające było to, że po ugryzieniu zaczęłam odbierać zapach Gankanagów jako przyjemny. Ciekawe, jak będzie teraz, kiedy znowu ich zobaczę...

– Czy zdajesz sobie sprawę, że od czasu, kiedy tu jesteśmy, po raz pierwszy powiedziałaś cokolwiek o swojej niewoli u Gankanagów? – pyta Reed delikatnym tonem.

Przytula mnie i widząc, jak krew odpływa mi z twarzy, przyciska usta do mojej skroni. Bardzo uważa, żeby nie wymawiać imienia Brennusa, ale wiem, co ma na myśli.

– Hm... naprawdę? – mruczę.

Próbuję zachowywać się nonszalancko, ale trzęsę się cała i prawdopodobnie nie udaje mi się zmylić Reeda.

– Naprawdę. – Głaszcze mnie po włosach, a ja czuję, jak do oczu napływają mi łzy. – Nie opowiedziałaś nic o tym, przez co musiałaś przejść.

– No, przekazałam ci, co się wydarzyło, więc nie zostało wiele więcej do opowiadania – wyjaśniam cichym głosem, bo coś ściska mnie w gardle.

– Nie przekazałaś wszystkiego. Może rzeczy najważniejsze, ale przecież są

różne szczegóły, które pominęłaś... – Reed zawiesza głos, jakby sprawdzał, czy dodam jeszcze coś na temat mojego pobytu u Brennusa w charakterze jego ulubionej niewolnicy. – Przedstawiłaś mi ogólny obraz zdarzeń. Podałaś najważniejsze fakty. Ale nie opowiedziałaś szczegółowo, jak się czułaś, kiedy działały się z tobą te wszystkie rzeczy.

– Nie chcę już do tego wracać – odpowiadam z niemrawym uśmiechem. Przez głowę przebiegają mi obrazy stosów ciał martwych kobiet, czekających na spopielenie w paleniskach bogato zdobionych rzeźbami. – Nie zamierzam tracić ani trochę czasu, który mamy dla siebie, na mówienie o nim.

– Dlaczego? – pyta łagodnie Reed. – Chciałbym wiedzieć.

– No cóż, po prostu wolę ci tego nie mówić. – Czuję w sobie pustkę.

– Preben i inni będą ci zadawać pytania o Gankanagów – tłumaczy Reed, a ja sztywnieję. – Z pewnością zechcą omówić jeszcze raz wszystkie fakty i poproszą, żebyś im opowiedziała każdy szczegół, każdą rozmowę, którą tam odbyłaś, każdą, którą podsłuchiłaś... jak oni działają... kto jest drugi w hierarchii dowodzenia... kto mu bezpośrednio podlega...

– Nie mogę – szepczę.

Czuję się, jakbym była sparaliżowana. Myślę o Finnie. Nigdy nie wspominałam o bracie Brennusa, który nie podlegał nikomu. Finn pomógł mi, gdy nikt inny nie chciał, a ja tego nie zapomniałam.

– Dlaczego? – drąży dalej Reed.

– Powiedziałam im już wszystko, co powinni wiedzieć – mamroczę, starając się unikać jego wzroku.

– Evie... – Reed zmusza mnie, żebym na niego spojrzała. – Dlaczego nie potrafisz o tym ze mną rozmawiać?

– A co z Russellem? – pytam, nadal na niego nie patrząc.

– Teraz będziemy musieli im powiedzieć o Russellu. Powinien się tu wkrótce pojawić, więc nie da się go ukryć. Ale przecież to nie dlatego unikasz rozmowy ze mną o Gankanagach. – Kładzie palec pod moim podbródkiem i odwraca moją głowę do siebie. Ma poważną minę, tak jakby czuł się zraniony moją niechęcią do zwierzeń.

Odsuwam podbródek od jego dłoni.

- Bo to by było nielojalne – wypalam.
- Nielojalne? – powtarza, jakby nie wiedział, co znaczy to słowo.
- Akt zdrady – dopowiadam. Gryzę się w wargę, widząc dezorientację na jego twarzy.
- Kogo byś miała zdradzić? – pyta cicho.
- Rodzinę... – Załamuję ręce.
- Oni nie są twoją rodziną – sprzeciwia się Reed.
- Wiem – odpowiadam nieprzekonująco. – On sądzi, że są moją rodziną.
- A co ty sądzisz? – Reed przechyla głowę na bok i wyłapuje najdrobniejsze szczegóły mojej mowy ciała.
- To, że jeśli mnie znów dostanie w swoje ręce, będę musiała zapłacić za podburzanie do buntu. – Wyrzucam z siebie te słowa, jakbym nie potrafiła się przed tym powstrzymać, jakbym nie umiała zachować ich w sobie.
- Podburzanie do buntu? Czyli do przeciwstawienia się rządowi...
- Albo królowi – dodaję smutnym głosem. – Brennus jest królem.
- Ich królem, nie naszym – odpowiada Reed – a poza tym nie dostanie cię w swoje ręce.
- Masz rację, nie dostanie mnie – potakuję, przełykając łzy i prostując ramiona. W gardle nadal czuję ucisk.

Widzę, że Reed chętnie wypytałby mnie o tajemnice, których mu jeszcze nie zdradziłam. Chciałabym mu wszystko powiedzieć, czuję wręcz taką potrzebę, ale nie mogę. Poczucie winy i wstydu mi na to nie pozwoli. Reed nie wie, że jakaś część mnie, bardzo mała część, kocha Brennusa i jest mu wdzięczna. Brennus zniszczył dla mnie Alfreda. Kazał go rozerwać na strzępy na podłodze mojego więzienia, jak zwierzę. Kazał mu cierpieć – krzyczeć w męczarniach, tak samo jak Alfred kazał krzyczeć w męczarniach wujkowi Jimowi. Wciąż jeszcze czuję w sobie ślad tamtej ciemności, która zapanowała, kiedy Brennus mnie pobił, ale tego też nie mogę powiedzieć Reedowi: zbyt wiele szczeroci może okazać się bolesne.

- Kiedy będziesz gotowa wyznać mi całą prawdę o tym, co się zdarzyło, będę gotów tego wysłuchać – oznajmia Reed. – Wiem, że Brennus na dobre zalazł ci za skórę. Przez niego cierpiałaś, a potem dał ci coś, co miało wielką



moc. Pomścił twojego wuja Jima. To go nie tłumaczy z innych rzeczy, które zrobił, z torturowania ciebie.

Nie odzywam się ani słowem, więc Reed wzdycha i mówi dalej:

– Teraz musimy porozmawiać z Prebenem. Jesteś gotowa?

Kiwam głową i biorę go za rękę, po czym idę za nim spokojnie do centralnie położonej pagody. Przechodzimy wąskim korytarzem do jadalni, w której stoją niskie czarne drewniane stoły. Wokół stołów rozłożono duże poduszki. Mapy, które studiowali wcześniej Reed i Zefir, leżą na stołach, pokrywają dużą część ich sporej powierzchni. Zefir słucha Prebena, który opisuje niektóre posiadłości w Houghton i Marquette należące do Gankanagów. Preben przyprowadził ze sobą na tę rozmowę kilku pomocników, ale większość aniołów jest nieobecna.

Dołączam do reszty towarzystwa, siadam przy stole i słucham. Dowiaduję się, że Dominium odkryło małe mieszkania należące do Gankanagów. Apartamenty są przykrywką, dzięki której kolesie mogą utrzymywać, że są zwykłymi studentami uczęszczającymi na politechnikę. Pomysł z mieszkaniami nie na wiele się zdał. Dominium udało się zlokalizować statek towarowy, którym przywożono importowane kobiety, służące Gankanagom za pożywienie.

Kiedy to słyszę, czuję, jak zbiera mi się na wymioty. Za wszelką cenę trzeba ich powstrzymać – mówię do siebie i myślę o wszystkich skrzywdzonych przez Gankanagów kobietach. Pamięć podsuwa mi obraz Molly. Stała się teraz jedną z nich. Czy ją też zabiją, tak jak inne?

– Czy Gankanag może zostać uratowany? – wtrącam nagle.

Preben nie wydaje się poirytowany tym, że mu przeszkadzam. Przygląda mi się od chwili, kiedy weszłam do sali, tak jakby mówił głównie do mnie, a nie do Zefira i Reeda. Milknie na chwilę i robi pytającą minę, ściągając srebrzyste brwi.

– Chodzi ci o to, czy mogą być przywrócenie do poprzedniego stanu, sprzed przemiany?

Kiedy kiwam głową, odpowiada:

– Nie.

– A jeśli zmieniliby swoje zachowanie? Czy wtedy byłoby bardziej do zaakceptowania? – sonduję dalej, nie patrząc na nikogo konkretnie.

– Przepraszam, ale nie rozumiem – odpowiada Preben.

– Zastanawiałam się, co by było, gdyby Gankanag zdecydował się nie jeść ludzi, tylko zaopatrywałyby się w krew jakoś inaczej, na przykład zwierzęcą albo ludzką od dawców, tak jak w bankach krwi – tłumaczę. – Gdyby zmienił swoją naturę, czy nadal byście na niego polowali?

– Tak – odparowuje Preben bez zastanowienia.

Marszczę nos.

– Hm, nie bardzo rozumiem cały ten problem z dobrem i złem. Myślałam, że uczynki są albo dobre, albo złe, ale wszelkie istoty mają możliwość wybierania własnej drogi, więc też mogą być dobre i mogą być złe – mówię, czując wrogość wobec Prebena.

– Serafino, istnieje też wrodzone zło – odpowiada. – Zło w czystej postaci. Gankanagowie nie znają zastosowania dla czegoś, nad czym nie mogą się znieść. Niszczą wszystko, czego się dotkną.

– To czarno-biały obraz, aniele Mocy – odpowiadam. – Przyjemnie musi być jednym z tych, którzy zostali stworzeni od razu z przewagą nad innymi.

– Tak, to przyjemne – stwierdza Preben. – Bardzo przyjemne, zgodzisz się? Jesteś Serafinem i masz duszę. To ci daje niemal absolutną przewagę nad innymi.

– Jeśli jestem tak potężna, dlaczego potrzebuję ochroniarzy z Dominium? – ripostuję.

– Twoje istnienie jest też obarczone pewnymi niedogodnościami – odpowiada i jest na tyle bezczelny, że śmieje się do mnie. – W tej chwili jesteś w naprawdę trudnym położeniu. Nie masz jeszcze naszej siły. Nie znasz Raju. Wiesz o nim tylko to, co gadają ludzie. Nie potrafisz mówić w naszym języku. Mogę ci powiedzieć w oczy cokolwiek zechcę, a ty nie będziesz miała pojęcia, czy zamawiam obiad, czy planuję, jak cię zabić. Widzę, że tak naprawdę niezbyt się orientujesz, o czym mówisz, kiedy się wypowiadasz na temat zła. Nie zrozum mnie źle, wiem, że widziałaś niegodne uczynki, morderstwa, masakry... ale prawdziwe zło, takie, które mieszka w Szeolu? Nie sądzę, bo inaczej nie zastanawiałabyś się ze mną teraz nad Gankanagami. Skupiłabyś się na tym, jak można ich zlikwidować.

– Czy mam rozumieć, że właśnie nazwałeś mnie słabą i ignorantką? – pytam

Prebena spokojnym głosem, czując, jak rumieniec oblewa mi policzki.

– Nie, nie jesteś słaba i nigdy nie nazwałbym cię ignorantką. Powiedziałem o twojej młodości i o tym, że na dodatek jesteś w połowie człowiekiem z czystym sercem. To ty do nas przyszłaś. Pamiętasz? Prosiłaś o pomoc – mówi.

– Mieliście coś, na czym mi zależało – odpowiadam.

– Tak, ale chyba coś się zmieniło. Przedtem chciałaś nam opowiedzieć o Gankanagach, a teraz pytasz, czy można ich uratować – drąży dalej Preben.

– Schwytali moją przyjaciółkę, istotę ludzką. Przemienili ją. Chciałabym się dowiedzieć, co można zrobić, żeby ją uratować. – Porzucam nieprzyjazne tony, bo zależy mi na informacjach, które pomogłyby uratować Molly.

– Jeśli twoja przyjaciółka zrezygnowała ze swojej duszy, nie zdołamy jej uratować. – Preben odpowiada bez wahania, nie pyta nawet, co się z tą osobą stało.

– Nie, nie zrezygnowała, oni jej zabrali duszę. Została otumaniona ich dotykiem i nie była w stanie podjąć sprawiedliwej decyzji.

– Powiedziałaś „sprawiedliwej”? – Preben unosi brwi. – Nie oczekujesz chyba, że Gankanagowie zachowają się sprawiedliwie, co? Są nikczemnymi zabójcami, którzy nie robią niczego, co nie przynosi im korzyści. Nie ma w nich sprawiedliwości. Myślałem, że nauczyłaś się tego w czasie, który spędziłaś wśród nich. Czy pytali cię o zgodę, kiedy chcieli zrobić z ciebie Gankanaga? – pyta mnie znacząco, a ja opuszczam wzrok i przecząco kręcę głową. – Nie, chcieli cię zmusić, żebyś została jedną z nich. To, że nie zostałam, wiele o tobie mówi. Prawdopodobnie dzięki temu jesteś teraz żywa. Nikt rozsądny nie mógłby twierdzić, że jesteś zła, zdając sobie sprawę, ile przez nich przecierpiałaś, i wiedząc, że jednak do końca zachowałam duszę. Twoje przyjaciółka też miała wybór...

– Chcesz powiedzieć, że powinna wybrać śmierć? Przecież tylko to miała do wyboru – odpowiadam cicho.

– Tak, ale gdyby wybrała śmierć, dostałaby się do Raju. Nie potrafimy zrozumieć, dlaczego się na to nie zdecydowała.

– No jasne, że nie możecie zrozumieć – prychem z goryczą. – Nie macie pojęcia, co to znaczy być człowiekiem, wątpić, nie wiedząc o tym wszystkim,

o czym wy wiecie. Łatwo nas sądzić z waszych niebotycznych wyzyn, aniele. Trochę trudniej patrzy się na świat przez dziurkę od klucza.

– Masz rację, kochanie, myślę, że powinnaś pójść zobaczyć, co porabia Buns. – Reed podchodzi do mnie szybkim krokiem. – Przekażę Prebenowi wszystko, co wiemy.

Patrzę mu w oczy i w ich zielonej głębi widzę troskę. Martwi się o mnie. Chce mnie przed tym wszystkim ochronić, ale to niemożliwe, skoro znalazłam się w samym centrum wydarzeń.

Czuję własną kruchość, tak jakbym była zrobiona ze szkła i wszystkie moje pęknięcia nagle się ujawniły. Wolno kiwam głową w kierunku Reeda, bo na niczym mi tak nie zależy jak na uwolnieniu się od wszystkiego i spędzeniu chwili na pogawędce z Buns.

– Okej... – Głośno wypuszczam powietrze. Po chwili milczenia patrzę na Prebena i zwracam się do niego: – Jestem wdzięczna, że zjawiliście się tu, żeby mi pomóc.



Kiwa głową, przyjmując do wiadomości moje słowa. Wygląda, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale się powstrzymuje.

Odwracam się z powrotem w stronę Reeda.

– Odprowadzę cię do Buns – mówi. – Potem po ciebie przyjdę, kiedy tu skończymy.

– Świetnie. – Chwytam dłoń, którą mi podaje.

Widzę, że Reed spogląda mi przez ramię i po chwili marszczy brwi. Błyskawicznie ciągnie mnie za sobą, próbując osłonić przed tym, co sam widzi. Patrzę mu przez ramię i widzę Russella – pędzi ku nam z prędkością kuli karabinowej. Zbieram siły, żeby znieść zapowiadające się zderzenie jego i Reeda, ale Reed nie pada, bo Russell przebiega przez niego jak duch. Obraz Russella z całą siłą trafia we mnie. Wchłaniam w siebie widmowe światło znikające z pola widzenia. Krzyczę w męczarniach, bo w tym momencie rozrywa mnie ból straszniejszy niż cokolwiek, czego do tej pory doświadczyłam.

## Rozdział 4

# Tortury

RUSSELL

– Powiedz mi, gdzie ona jest... Gdzie moja Alya? – pyta, wyciągając ostro zakończone narzędzie spomiędzy wielu innych, których użył już wcześniej.

– Nie Alya, ma na imię Ruda... Nigdy nie będzie twoja – szepczę. Zamykam oczy i myślę o pięknej twarzy Evie.

*Idealny zarys jej szyi... to miejsce, w którym opada łukiem i tak uroczo przechodzi w linię ramion. Niewiarygodny zapach jej włosów... Wciąż go czuję.*

Głuchy odgłos, błysk jasnego światła. Piekący ból.

Jęk.

*Jej nagie ramiona... delikatne łuki obojczyków pod jędrną skórą.*

Chrzęst, obezwładniające mdłości.

Wymiotuję.

*Jej oczy... szare i niebieskie z maleńkimi plamkami fioletu blisko tęczy.*

Cięcie. Czarne plamy.

Drżenie.

*Zmysłowa sylwetka, kształty bogini, przesuwam dłonie po jedwabiu jej skóry. Sposób, w jaki jej ciało się unosi, żeby spotkać się z moim.*

Rozdarcie. Ucisk w gardle.

Dryfuję... płynę... spadam.

*Ruda... kocham cię... teraz wracam do domu...*

Ciemność.

## Rozdział 5

# *Echa*

EVIE

Trzepoczę przez chwilę powiekami, aż w końcu otwieram oczy. Czuję lodowate zimno i mdłości. Spoglądam na sufit, leżąc rozciągnięta płasko na jednym z niskich stolików w sali zebrań. Chwilę później zwieszam z niego głowę i kilkakrotnie wymiotuję. Siedzący obok mnie Reed odgarnia mi włosy z twarzy i przytrzymuje je, podczas gdy ja zwracam. Po paru minutach jęcę i kładę się znów płasko na stole z zamkniętymi oczami. Większość aniołów w sali zajętych jest rozmową. Wszyscy mówią naraz, z wyjątkiem Reeda i mnie, którzy milczymy. Nie mogę mówić, bo wszystkie mury obronne, które próbowałam wznosić, żeby się nimi otoczyć, padają, a całe moje ciało się trzęsie. Czuję się, jakbym osobiście doświadczyła najstraszliwszych tortur, a nie tylko zetknęła się z ich odbiciem przeniesionym z wiatrem przez ducha mojego pobratymca.

– Russell – szepczę i wszystkie głosy wokół cichną. Opieram się na łokciach i po chwili prawie udaje mi się usiąść, ale Reed delikatnie kładzie mnie z powrotem.

– Evie, poczekaj – mówi.

– Nie mogę. Muszę... iść. – Znów siadam.

– Jaką wiadomość przysłał ci Russell?

– Nie poczułeś tego? – odpowiadam pytaniem, a w tym czasie wraca do mnie z pełną mocą przerażenia tym, co przed chwilą przeżyłam.

Dławią mnie echa bólu, pozostawiając w ustach smak rozpacz. Reed kręci

głową, więc wyjaśniam:

– Ktoś go torturuje. Potrzebna mu pomoc...

– Prosił o pomoc? – Reed próbuje złożyć w całość fragmenty moich odpowiedzi.

– Nie... on... – Milknę i zasłaniam sobie usta. Staram się stanąć na własnych nogach, ale Reed nie pozwala mi wstać.

– Co? – pyta z ponurą miną.

– Próbował mnie ostrzec... Oni o mnie wiedzą... Nie może mnie przed nimi ukryć... Zbyt wiele bólu.

Dłonie Reeda łapią mnie za ramiona.

– A co to za oni? Gankanagowie? – pyta nagłaco.

– Nie... nie wiem... nie... – dukam.

To się nie dzieje naprawdę – mój umysł usiłuje przekonać serce, ale serce wie lepiej. Równowaga – ta myśl kołacze mi po głowie jak oskarżenie. Wybrałaś Reeda... Nie możesz mieć obu. To jest druga strona medalu – twojego szczęścia... Udław się tym.

– Evie, skup się. – Reed ujmuję mnie za podbródek i patrzy mi w oczy. – Co jeszcze czułaś? Czy Brownie wciąż z nim jest?

– Nie wiem. To nie jest styl Brennusa... chyba nie. Brennus byłby bardziej poetycki, mniej... brutalny. – Łapię się za głowę, żeby zablokować obrazy wydzierania kawałków mięsa z ciała Russella. Reed marszczy brwi, robiąc gniewną minę.

– Powiedział ci coś jeszcze? – pyta poważnym tonem.

Oddycham ciężko i odpycham się od piersi Reeda, bo chcę biec. Muszę natychmiast ruszyć w drogę. Russell mnie potrzebuje. Nie da rady wytrzymać tego, co się z nim dzieje. Jeśli ja go nie znajdę, zmieni się wszystko – jego dusza odejdzie.

– Powiedział „Do widzenia”. – Czuję ściskanie w gardle. – Reed, jak mogłabym go znaleźć? Muszę go znaleźć – błagam, opierając czoło na piersi Reeda, który przyciąga mnie do siebie.

– Zee, znajdź ich ostatnią znaną pozycję. Prześledź wszystkie komórki sieci. Spróbuj się skontaktować z Brownie. Kiedy namierzysz już właściwy obszar,



sprawdź, kogo tam mamy, żeby się tym zajął. Weź ze sobą Prebena i Fedrusa i przekazuj im wszystko, co ustalisz – mówi Reed, a potem bierze mnie na rękę i niesie w kierunku drzwi. – Wy czterej, chodźcie za mną – rozkazuje aniołom Mocy, stojącym tuż na zewnątrz przy wejściu do sali.

Anioły kiwają potakująco głowami i ruszają z nami.

– Poczekaj, możemy ruszyć w kierunku Ukrainy, tam gdzie byli ostatnio, a po drodze Zee może do nas zadzwonić i powiedzieć nam, gdzie są teraz. Możemy pozostawać w kontakcie – próbuję mówić logicznie, żeby zapanować nad paniką, która sprawia, że z trudem oddycham.

– Nie – odpowiada Reed stanowczym tonem, nadal niosąc mnie w kierunku naszego pokoju.

– Nie? – powtarzam osłupiała; przecież na pewno nie mówi tego serio.

Mój najlepszy przyjaciel jest torturowany. Nie ma mowy, żebym została tutaj, kiedy dzieją się takie rzeczy.

– Znajdziemy Russella. Wyślę anioły, żeby go odnalazły. Zaangażujemy też w to Dominium, bo nie mamy innego wyjścia. Anioły Mocy są stworzone po to, żeby odnajdywać i likwidować Upadłych.

– Dominium go zatrzyma, jeśli go znajdzie. Wykorzystają go tak samo, jak chcą wykorzystać mnie – mówię, łapiąc go za ramię.

– Myślę, że będzie wolał Dominium niż Upadłych – mówi Reed z ponurą pewnością.

– Myślisz, że jest w rękach Upadłych? – pytam, czując ukłucie strachu.

– To by wyglądało logicznie. Ktoś go torturuje, ale go nie zabił. Chcą od niego informacji na temat istoty, która jest dokładnie taka jak on i której poszukują. Samicy. Przed tym cię przestrzegał. Nie może uchronić cię przed nimi, ze względu na ból będzie musiał im o tobie opowiedzieć – odpowiada Reed z żalem. – Szukają cię demony wszystkich rodzajów. Gankanagowie nie prowadzili swych poszukiwań zbyt dyskretnie. Upadłe Serafiny już wcześniej o tobie wiedziały dzięki Alfredowi, który cię obserwował, ale nie złożył raportu. Zaczęli się za tobą rozglądać na poważnie.

– A teraz na dodatek ktoś ma Russella. Ale ty sądzisz, że naprawdę chodzi im o mnie? – Czuję, że mnie mdli.

– Jestem pewien, że go nie zabiją, póki nie dopadną ciebie. To, że cię

jeszcze nie dorwali, ratuje mu życie.

– A do czego jestem im potrzebna? – mamroczę słabym głosem.

– Evie, jest wiele, naprawdę wiele powodów, nawet nie wiem, od którego zacząć – odpowiada akurat w chwili, gdy docieramy do naszej pagody. Reed kładzie mnie delikatnie na ogromnym łóżku. – Na razie będziesz musiała tu zostać, a ja zajmę się pewnymi sprawami. Przyślę Buns, żeby dotrzymała ci towarzystwa.

Nie czeka na moją reakcję i odwraca się do drzwi.

– Co? Nie, Reed, ja muszę... – Zrywam się z łóżka, żeby znowu wyjść za nim na zewnątrz.

Odwraca się gwałtownie.

– Evie, musisz tu zostać. Jeśli odejdiesz i natkniesz się na tych, którzy mają Russella, on natychmiast zostanie uśmiercony. Rozumiesz? Jesteś kluczem do tego, żeby utrzymać go przy życiu. Potrzebują go, żeby dotrzeć do ciebie.

Właśnie wtedy wchodzi do naszej pagody Zefir z Buns przewieszoną przez jego ramię.

Buns mówi w języku anielskim coś, co brzmi naprawdę ślicznie, ale po wyrazie jej twarzy widzę, że tak naprawdę beszta Zefira. On jednak zupełnie ignoruje jej mowę i czeka, aż zamilknie.

Kiedy Buns na chwilę przerywa, Zefir pyta ją:

– A co zrobisz, jak cię odstawię?

– Pójdę szukać Brownie i Russella, a ty, Zee, mnie nie powstrzymasz. Znam całe chmary Kosiarzy, którzy mogą skopać Upadłym tyłki. Jeżeli któryś z tych podłych półgłówków ich torturuje, muszę się włączyć – mówi Buns, wymachując nogami i próbując się uwolnić. Zefir sprawia wrażenie, że mógłby ją tak trzymać przez cały dzień jedną ręką. Nie udaje jej się przesunąć ani o centymetr.

– Buns, nie jesteś odpowiednio wyposażona, żeby walczyć z Upadłymi – wyjaśnia Zefir cierpliwym głosem. – Ani twoi przyjaciele.

– Ha! Tak jakbyście tylko wy byli zdolni stanąć z nimi oko w oko – mówi Buns z sarkazmem w głosie. – To, że jesteśmy Kosiarzami, nie znaczy, że nie

możemy walczyć w tej wojnie obok was. To tylko znaczy, że musimy być odrobinę sprytniejsi niż anioły Mocy. Zee, oni trzymają moją rodzinę.

– Więc ich rozerwiesz na strzępy, tak? – pyta Zefir sceptycznie.

– Nie! Podpalę ich – ripostuje Buns. – Po tym, jak wyciągnę stamtąd Brownie i Russella. Potrafię ich znaleźć. Mam kontakty. Kontakty wśród Kosiarzy – podkreśla znacząco.

– Dobrze. Znajdź ich. To będzie bardzo pomocne. Możesz zająć się telefonami, wciągnij w to swoich ludzi, ale zostajesz tutaj, a twoim ludziom nie wolno zaczepiać nieprzyjaciela. Mają donosić nam o swoich ustaleniach. Rozumiesz? – pyta Zefir poważnym głosem.

– A jakie mam inne wyjście? – pyta Buns chłodno.

– Mogę tu z tobą siedzieć i cię niańczyć, jeśli masz ochotę, ale to nie pomoże znaleźć Brownie i Russella – mówi Zefir.

Widzę, jak Buns robi gniewną minę.

– No dobrze, Zee! – odpowiada z żarem w głosie.

Zefir ustępuje i odstawia Buns na podłogę, a ona natychmiast krzyżuje przed nim ręce na piersi, tupie nogą i patrzy mu w twarz ze złością w oczach.

– Kiedy ich zlokalizuję, wybiorę się po nich i ich uwolnię – mówi wściekle.

– A ja się wybiorę z tobą – odpowiada spokojnie Zefir.

Zakrywam oczy dłońmi, usiłując zwalczyć swoją frustrację. Czuję oddech Russella i jego zapach na swoich rękach. Odrywam dłonie od twarzy, przysuwam do nosa rękaw koszuli i znów wdycham. Jego zapach otula mnie całą, jakbym stała przytulona do Russella. Wypełnia mnie tęsknota, którą nauczyłam się już rozpoznawać: to zew mojej duszy. Buns widzi mnie i mówi łagodnym głosem do Zee:

– Zajmę się telefonami, a ty weź się za swoje kontakty. Musimy ich odzyskać.

– Z pewnością to nie Gankanagowie ich mają – mówię cicho.

Podnoszę głowę i widzę wszystkie oczy wpatrzone we mnie.

– Powąchajcie mnie. Nie jestem taka lepko-słodka jak ktoś, kto był u Gankanagów. W ich zapachu jest coś innego niż w tym, który przesłał mi

Russell. To jego zapach, ale jakoś zmieniony... coś...

Milknę, bo nie mam pojęcia, co tak naprawdę wącham. To nie jest Szeol, bo przecież znam zapach Upadłych: zgniły i śmieszny. Ten jest jakiś inny. Przypomina... coś jakby gaz ziemny. Podobnie pachniało w mojej starej szkole na korytarzu w pobliżu pomieszczenia z bojlerami, kiedy woźny zostawiał otwarte drzwi.

Znów podchodzi do mnie Reed i wdycha woń moich włosów. Cofa się o krok, widzę, że ma bladą twarz. Mówi coś szybko po anielsku do Zefira, a Buns gwałtownie wciąga powietrze, aż upuszcza telefon, który ścisnęła w dłoni. Błyskawicznie podchodzi do mnie, obejmuje i wzdycha przeciągle. Kiedy mnie puszcza, oczy ma pełne łez. Bez słowa odwraca się do drzwi i rusza w ich kierunku. Zefir szybko zastępuje jej drogę i łapie ją w ramiona, zanim Buns udaje się wyjść z pokoju.

Złamanym głosem mówi do Zefira coś w języku aniołów. Ten podnosi ją i szepcze jej do ucha. Ich reakcja na to, co przed chwilą powiedziałam, przeraża mnie bardziej niż wszystkie inne dzisiejsze doświadczenia. Zachowują się tak, jakby właśnie usłyszeli najgorszą wiadomość w swoim życiu.

– Kogo znamy? – pyta Reeda Zefir, a jego głęboki głos rezonuje w cichym pomieszczeniu. – Ja jeszcze nie... Mam małe doświadczenie z nimi. A ty?

– Trochę – mówi Reed cicho. – Potrzebna nam będzie magia, solidna, stara... Niektórzy ludzie mieli dawniej taką wiedzę... Beduini... Potrzebowalibyśmy kogoś ze znajomością... – Przechodzi na język aniołów, prawdopodobnie dlatego, że słowo, które chce wypowiedzieć, nie ma odpowiednika w angielskim. – Albo może jakąś ondynę[2]...

– Chcesz w to włączyć jakąś zjawę? – pyta Zefir, a jego zmarszczone czoło nabiera ponurego wyglądu.

– Ondyny mają naturalne mechanizmy obronne przeciwko ifritom[3], więc to ma sens – odpowiada Reed równie ponuro.

– A co to jest ifrit? – pytam, włączając się w ich rozmowę.

Zbywają moje pytanie milczeniem, a potem jawnie je ignorują.

– Masz kogoś konkretnego na myśli? Miałeś ostatnio jakieś kontakty z ondynami? – Zefir zadaje Reedowi kolejne pytanie.

Chcę teraz zapytać, co to jest ondyna, ale gryzę się w język, bo tamci dwaj rozpracowują ważny problem i nie chcę zakłócać toku ich myślenia.

– Tak – odpowiada niechętnie Reed.

Oczy Zefira rozszerzają się, ale z jego ust nie pada ani jedno słowo. Kiedy patrzę na Reeda, widzę, że lekko poczerwieniał, jakby oblewał go rumieniec.

– No, coś w tym rodzaju... Co masz na myśli, mówiąc „ostatnio”?

Widzę na podłodze telefon Buns. Podnoszę go i jej podaję, ale ona go nie bierze.

– Nie chcesz podzwonić po swoich znajomych, Buns? – pytam miękko głosem i patrzę na jej twarz.

Buns opiera policzek na piersi Zefira. Kręci głową i ogólnie sprawia wrażenie, jakby była w szoku.

– Nie może w to wciągać Kosiarzy – mówi Reed łagodnym tonem. Wyjmuje komórkę Buns z mojej dłoni i kładzie na stole.

– Dlaczego nie? – pytam.

– Bo to nie jest dla nich bezpieczne.

– Bezpieczne? – powtarzam jak jakieś obce słowo, nic dla mnie nieznaczące.

Wiruje mi w głowie. Buns zaledwie przed paroma minutami mówiła o skopaniu tyłków Upadłym, a teraz – to nie jest bezpieczne dla Kosiarzy.

– W takim razie trudno będzie ich znaleźć – ciągnie Zefir. – Musimy być ostrożni w doborze tych, którzy mają wziąć udział w operacji. Będą musieli pracować w zespołach, zachowywać ostrożność, mieć w odwodzie jakieś inne plany, gdyby zostali namierzeni. Dominium powinno zostać zawiadomione... Jeśli w okolicy są takie zagrożenia, nikt nie może się czuć bezpieczny.

Nikt nie może się czuć bezpieczny? Słyszę te słowa z ust jednej z najpotężniejszych istot we wszechświecie i poza nim.

– Co to, u diabła, jest ifrit? – Wrząc z oburzenia, żądam odpowiedzi. – Przekonywano mnie, że anioły są najpotężniejszymi istotami, jakie istnieją, ale teraz zachowujecie się tak, jakby te ifrity były niezwyciężone.

Reed, po którym widać napięcie, odpowiada:

– Nie są niezwyciężone, Evie, ale obdarzone mocami, z powodu których

trudno nam przychodzi zabijanie ich. Skórę mają praktycznie nie do przebiccia, więc w walce z nimi siła i moc niewiele znaczą. Miało to pewien sens. Są to anioły myśliwi, anioły mordercy. Stworzono je, żeby likwidowały Upadłych, i były w tym bardzo skuteczne. Ale... coś im się odmieniło i zaczęły polować nie tylko na Upadłych. Zaczęły traktować wszystkie anioły jako zagrożenie i jako istoty gorsze od nich.

– Dlaczego? – szepczę. Czuję się tak, jakbym tonęła.

– A kto to może wiedzieć? Może nie lubią konkurencji. Ale mają też swoje słabości – mówi Reed.

– Co je zabija?

– Magia – odpowiada całkiem poważnie.

Chce mi się śmiać i udaję, że wcale nie dosłyszałam tego słowa. Sam jego dźwięk sprawia, że mam ochotę błagalnie wznieść oczy.

– Prawdopodobnie chodzi tu tylko o jednego ifrita. Książęta rzadko pracują w grupach, nie są istotami społecznymi – ciągnie Reed; w ogóle nie zauważa totalnego odrealnienia tej sytuacji.

– Książęta? – chwytam się tego słowa.

– Jedyne ifritami, jakie jeszcze pozostały, są książęta. Najpotężniejsze z nich ustanowiły monarchię, czyli królestwo. Z pomocą innych udało nam się zlikwidować większość ifritów, ale ci królewscy nie chcą umierać. Podpisali teraz pakt z Upadłymi i kiedy to jest korzystne dla ifritów, działają razem.

– Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem – szepczę sama do siebie.

– Tak – zgadza się Reed. – Upadli mogli zaangażować ifrity do szukania ciebie, ale to oznacza, że cała sprawa nabiera innego charakteru.

– Dlaczego?

– To by oznaczało, że Upadli bardziej się boją twoich umiejętności niż tego, co mogą im zrobić ifrity – odpowiada Reed, badając moją reakcję.

– Albo są lepszymi kumplami, niż ci się zdaje – mówię z nadzieją, że oboje się mylimy.

Reed niespiesznie mruga zaskoczony, że nadążam za jego rozumowaniem. A ja właściwie ledwo nadążam. Musiałam pozbyć się uczucia, jakby zimno pełzało po całym moim ciele, jakby ktoś chodził po moim grobie, a także

równie silnego przekonania, że jestem naprawdę stuknięta i nie wzięłam dziś przepisanych tabletek.

– Albo oni po prostu chcą Evie – mówi Buns łagodnym głosem. – Jest częściowo człowiekiem... pamiętacie? Może o niej słyszeli i pragną ją zobaczyć na własne oczy.

Reed robi wściekłą minę i przez chwilę mam wrażenie, że zaraz coś roztrzaska.

– Nie musiałaś tego przedstawiać tak plastycznie, Buns – cedzi przez zęby.

– Przepraszam cię, skarbie – odpowiada. – Ale czy oni nie mają bzika na punkcie ludzkich kobiet? To znaczy anioły ich przerażają, ale prawdopodobnie byliby mocno nakręceni, gdyby natknęli się na kogoś takiego jak Evie. Jest człowiekiem, a przy tym ma wytrzymałość anioła. Dla wymierającej rasy to musi być ważne.

W tym momencie widzę, że Reed jest wyraźnie wściekły. Ostрым głosem zaczyna wykrzykiwać po anielsku polecenia kierowane do aniołów stojących na zewnątrz. Jest to ta sama grupa, której wcześniej nakazał, żeby szli za nami. Potem odwraca się w moją stronę i łapie mnie za ramię.

– Obiecuj mi, że tu zostaniesz – syczy lodowatym tonem, jakiego wobec mnie od dawna już nie używał.

Niepewnie kiwam głową. Reed pochyla się, szybko muska moje usta swoimi, po czym odwraca się i wychodzi bez żadnych dodatkowych wyjaśnień.

Zdezorientowana podchodzę do łóżka.

– Czy ty może powiedziałaś właśnie Reedowi, że jakiś ifrit chciałby ze mnie zrobić mamę swojego dzidziusia? – pytam Buns, siedząc sztywno w rogu łóżka.

– Mhm. – Buns puszcza Zefira i siada obok mnie. Bierze mnie za rękę i składa głowę na moim ramieniu. – Oni uwielbiają ludzkie kobiety. Zakochują się w ich duszach... ale zwykle na koniec zabijają to, co kochają, ponieważ... no cóż... przecież to porąbane potwory, a kobiety są takie słabe. Ale to nie jest twój przypadek, prawda?

– Co...? To znaczy, że nie ma ifritów samic?

– Nie – odpowiada.

– Więc zakochują się w ludzkich kobietach? – upewniam się.

– Tak jest, w ten sposób zapewniają sobie przetrwanie – potwierdza Buns bez cienia uśmiechu.

Dostają gęziej skórki na ramionach.

– A jak oni wyglądają? – wpytyuję dalej.

– Tak, jak chcą. Mogą zmieniać swój kształt, ale podobno mają kilka... stałych cech.

– Stałych cech? – Usiłuję zachować spokój, żeby Buns mogła mi opowiedzieć wszystko, czego chcę się dowiedzieć.

– Najczęściej lubią się upodabniać do ludzi. Ponieważ pociągają ich kobiety, starają się wyglądać atrakcyjnie dla nich – tłumaczy Buns, a ja już sama nie wiem, czy od tych informacji czuję się lepiej, czy gorzej. – Mają też skrzydła, ale nie takie jak my.

– A jakie? – pytam zaskoczona.

– To nie są osobne kończyny, tak jak u nas. Ifrity mają skrzydła połączone z ramionami. Jak pterodaktyle. To chyba byłby najlepszy opis – stwierdza. – Albo nietoperze.

– Bardzo seksowne – mówię zniesmaczona. – Więc potrafia latać?

– Mhm, i przez to są jeszcze niebezpieczniejsze, bo trudno przed nimi uciec.

– Muszą być szybkie – dopowiadam, uważnie słuchając tego, co mówi Buns. – Co jeszcze?

– Mają też umiejętność posługiwania się ogniem.

– Posługiwania się? W jaki sposób?

– No... potrafia owinać się dookoła ognia... unieść go... cisnąć... zjeść... stać się ogniem – tłumaczy Buns ze śmiertelną powagą.

– O! – pojękuję i głośno przełykam ślinę. – No tak, to dość przerażające.

Buns drży w odpowiedzi na moje słowa.

– Skarbie, jeśli jakiś ifrit cię zapragnie, nie będzie przecież zainteresowany tym, żeby cię skrzywdzić – mówi cicho.

– No tak... jeśli... – odpowiadam. – Przede wszystkim musimy ustalić,



gdzie oni teraz są.

– Próbowałam dodzwonić się do Brownie, ale nie odbiera telefonu. Russell też nie – mówi Buns, po czym przez chwilę milczymy.

– A gdybym zapytała Russella, gdzie jest? – pytam głosem pełnym namysłu. Buns marszczy brwi.

– On nie odbiera telefonu – powtarza.

– Ale ja nie będę do niego dzwoniła – odpowiadam, wstając.

Zefir powarkuje i mówi:

– Przedyskutujmy to jeszcze. Zamierzasz wysłać mu jeden ze swoich klonów?

– Tak – potwierdzam.

– Jeśli jest wśród ifritów, będzie się to wiązać z dodatkowym ryzykiem: ujawnisz fakt, że naprawdę istniejesz – analizuje sytuację Zefir.

– No to co? – Wzruszam ramionami.

Oczy Zefira się zwężają.

– Nie wiesz co? – Potrząsa głową, jakby chciał pokazać, że mnie nie usłyszał.

– Wiem, że może ten porąbaniec przestanie torturować Russella, kiedy zobaczy mnie. Przekażę Russellowi, żeby się starał wywinąć, żeby opowiedział mu o mnie – mówię, przechadzając się po pokoju. – Chciałabym tylko przesłać mu obraz, który mogłabym kontrolować, ale nie wiem, jak go potem znaleźć. Kiedy pozwalałam im się ze mnie wydobywać, mam wrażenie, że one już same wiedzą, dokąd iść.

– Nie mamy pewności, czy ifrit nie będzie w stanie cię wysledzić na podstawie drogi przebytej przez twój klon – mówi logicznie Zefir. – Musimy mieć jakiś plan rezerwowy, gdyby tu przyszedł po ciebie. Musisz zaczekać...

– Nie ma mowy, Zee – odpalam. – Nie czułeś tych tortur. Jeśli jest jakiś sposób, żeby je powstrzymać, muszę podjąć próbę.

– A co, jeśli nas wszystkich pozabija? – pyta mnie Zefir spokojnym głosem.

– Czy jeden ifrit może zabić wszystkie anioły, które się tu zebrały? – pytam, wściekając się na myśl, że jedna istota miałaby się okazać tak potężna.

– Uczciwie mówię, że nie wiem – przyznaje Zefir. – Powinniśmy to omówić z Reedem. Ma najwięcej doświadczenia z ifritami. Pamiętam, że kiedyś mi opowiadał, jak dowodził misją przeciwko nim.

– Zee, ale tu chodzi o Brownie i Russella – mówię błagalnym tonem. – Czas, który tu tracimy, może dla nich oznaczać śmierć.

– Możliwe też, że przedłużamy im życie, bo ifrit nie wie jeszcze, gdzie jesteśmy – ripostuje Zefir. – Pójdę porozmawiać z Reedem, jeśli mi obiecacie, że nie będziesz działać pod wpływem emocji.

– W porządku – zgadzam się, widząc, że Buns kiwa głową i przystaje na propozycję Zefira.

## Rozdział 6

# *Ondyny i ifrity*

– Więc jak, mamy zgodę? – Fedrus wpatruje się po kolei w twarze wszystkich siedzących wokół stołu.

Widzę, że Zefir, Buns i Preben potwierdzają skinieniem głowy. Odwracam się, żeby spojrzeć na Reeda – siedzi nieruchomo jak głaz i patrzy na mnie. Nie cierpi tego planu. I zdecydowanie nie cierpi w tej chwili mojej nowej umiejętności. Upierał się przy argumentie, że nie wiemy, czy ifrit nie zdoła mnie odnaleźć na podstawie drogi przebytej przez mój klon – ten, którego uwolnię i wyślę do Russella.

Żeby zrównoważyć to ryzyko, stworzono plan B. Posłano po ondyny, które powinny wkrótce przybyć. Myślałam, że po wysłuchaniu wiadomości o ifritach już nic nie zdoła mnie zaskoczyć, ale okazuje się, że to pomyłka. Jestem w totalnym szoku, kiedy się dowiaduję, że mają się u nas zjawić wodne duszki, by za pomocą magii bronić nas przed ifritami – o ile okazałoby się to konieczne.

– Evie wyśle sygnał do Russella. Będę próbował prześledzić jego drogę. Jeśli dam radę podążać za nim, jak za innymi obiektami, którymi się zajmuję, podam wam ich lokalizację. Jeśli nie dam rady, wciąż jeszcze będzie szansa, że zdołam się dowiedzieć, dokąd ta wiadomość zdąży. Jeśli udałoby mi się ją śledzić tak jak inne obiekty, związane z nią ciepło może mnie zaprowadzić do Russella – wyjaśnia Fedrus.

Reed zachowuje milczenie, nie zgadzając się na nasz plan. Wzdycham, ponieważ znam wszystkie jego argumenty. Uważa, że nie jestem zdolna dostrzec pełnego, ogólnego obrazu sytuacji. Sądzi, że wciąż traktuję różne

przerazające stwory, o których się dowiaduję, jak istoty mityczne. Myli się. Uczę się, że słowo „mit” wcale nie znaczy tego, co mi się wydawało dawniej. W gruncie rzeczy znaczy „oparty na prawdzie” – a prawda bywa przerażająca.

– W porządku, Reed – mówię łagodnie. – Wiem, kim są książęta... i wiem, kim ja sama jestem. Zostałam stworzona, żeby tego dokonać, bo inaczej nie zostałabym wyposażona w tę umiejętność, w ten dar.

– Nie, Evie, nie znasz tych książąt – oświadcza Reed, kładąc obie dłonie na stole i nachylając się w moją stronę, żeby spiorunować mnie wzrokiem.

Ja także nachyliłam się w jego stronę i stwierdzam pojednawczym tonem:

– No cóż... więc to będzie mój chrzest ogniowy.

Jest to najgorsza rzecz, jaką mogłam powiedzieć. Zanim udaje mi się zorientować, co się dzieje, Reed podrywa mnie w górę i wylatuje ze mną przez drzwi pokoju. Frunie prosto w górę w mroczny zmierzch z taką szybkością, że nie byłabym w stanie dotrzymać mu kroku, gdybym biegła. Zabiera mnie dostatecznie wysoko, żeby nie było słychać najdrobniejszego odgłosu poza naszymi oddechami.

– Nie znam się na magii – szepcze do mojego ucha. – Nie potrafię ochronić cię przed ifritami. Nie zostałem stworzony po to, żeby się im przeciwstawiać.

Mówi te słowa, jakby przyznawał się do najgorszej wyobrażalnej zbrodni.

– Reed – odpowiadam, krążąc z nim w powietrzu i obejmując go mocno. – Musimy uwierzyć, że to jest nam przeznaczone, bo ja nie mogę ich teraz zostawić. Ty też nie.

Zaczynamy tracić wysokość, kiedy Reed opiera swoje czoło o moje.

– Nie mogę znów zostać bez ciebie – mówi.

– Zawsze odnajdę drogę powrotną, nieważne, co się będzie działo. Kocham cię... Tylko obiecaj mi, że nigdy mnie nie zostawisz.

Wypowiadam te słowa, patrząc mu w oczy.

– Nigdy. Nigdy cię nie zostawię – potwierdza.

Zaczynamy powoli opadać.

– Prowadzę tu swoją własną wojnę. Nie chcę ci o tym mówić, ale wiem, że nawet ci do głowy nie przyszła taka możliwość, że nie damy rady ich uratować.

– Nie mów tak – uciszam go przerażona.

– Kompromis może nie być możliwy. – Patrzy mi w twarz w poszukiwaniu oznak zrozumienia.

Potrząsam głową.

– Nie mogę tak po prostu pozwolić im umrzeć.

– Możesz nie mieć wyboru – odpowiada natychmiast. – Targowanie się z wrogiem nigdy nie jest dobrym pomysłem. Musimy ich pokonać, ale nie widzę łatwego sposobu, żeby to zrobić, nie tracąc zakładników.

– Znajdziemy ich i wtedy urodzi się jakiś plan. Mamy Fedrusa, który potrafi działać cuda. – Chwytam się każdego argumentu, który mógłby mi pomóc w walce z przygniatającym strachem. W oczach Reeda widzę niepewność.

– Możesz wysłać Russellowi wiadomość, ale nie wybierzesz się do nich – mówi, a ton jego głosu uświadamia mi, że spieranie się nie ma sensu.

Mimo wszystko próbuję.

– Ale jeśli Fedrus ich znajdzie, to...

– To zostanie podjęta operacja ratunkowa, ale ty w niej nie weźmiesz udziału – odpowiada Reed kategorycznie.

– A jeśli mogłabym w czymś pomóc? – pytam.

– Nie możesz – mówi bez cienia wątpliwości w głosie.

– Przecież tego nie wiesz – sprzeciwiam mu się.

– Nie narażę cię na większe ryzyko niż to, które się wiąże z wysłaniem sygnału. Możesz to zrobić, ale na tym twój udział w akcji się kończy – odpowiada.

– Reed, jesteś nierozsądny.

– Nie, po prostu chronię cię – mówi sztywno.

Widzę po nim, że jest całkowicie zdecydowany.

– Nie możesz mnie skazywać na niepewność... Oni są moją rodziną. Muszę wiedzieć, co się z nimi dzieje. Powiesz mi, jeśli ich odnajdziecie?

Chcę się dowiedzieć, jak daleko sięga plan chronienia mnie.

– Nie wiem – odpowiada.

– Nie chcę takiej ochrony. – Mrużę oczy.

– Nie interesuje mnie w tej chwili, czego ty chcesz. Skupiam się na tym, czego potrzebujesz. – Reed wypowiada te słowa spokojnym głosem.

– A na jakiej podstawie masz się za eksperta od tego, czego ja potrzebuję?  
– pytam rozgorączkowana.

Reed wskazuje symbol moich skrzydeł znaczący jego pierś.

– Na tej podstawie jestem ekspertem od twoich potrzeb i podejmuję w tej dziedzinie decyzje.

Podciągam koszulę, żeby Reed mógł zobaczyć znak jego skrzydeł na mojej piersi i pytam gniewnie:

– W takim razie kim ja jestem?

– Ty jesteś moja – odpowiada.

Zaczynam potrząsać głową, a jednocześnie czuję coraz mocniejszy uścisk Reeda.

– Jesteś moja i będziesz mnie słuchać – mówi w chwili, gdy moje stopy znów dotykają dziedzińca głównej pagody. – Czy myślisz, że to zbieg okoliczności, że mam tyle lat, ile mam? Że przeżyłem tak długo? – pyta. – Wiem, co nas czeka. Bywałem już w takich sytuacjach.

Odrywam się od niego, odwracam i ruszam w drogę powrotną do sali konferencyjnej. Reed idzie obok mnie. Zaciska szczęki i chwyta moją rękę w swoją dłoń. Patrząc na jego profil, zatrzymuję się i mówię:

– Jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś, informuję, że mam mózg. Potrafię myśleć samodzielnie.

– Tak, wiem – odpowiada. – Właśnie z tego powodu nie chcę, żebyś się w to angażowała.

– CO?! – wykrzykuję.

– Jesteś za bardzo nieprzewidywalna. Zrobisz coś lekkomyślnego – mówi z przekonaniem, jakby nie istniały żadne wątpliwości, że wystrzelę jak niepilnowane działo.

– Jak dla mnie to lepszy pomysł niż nie robić nic – odpowiadam.

– Nie wątpię, że tak to widzisz – mówi Reed, robiąc przy okazji najbardziej surową ze swoich min.

Dochodzimy już do progu pagody i jestem pewna, że wszyscy zgromadzeni w środku słyszą każde słowo, które teraz do siebie wypowiadamy, więc po prostu piorunuję Reeda wzrokiem. Zanim udaje mi się choćby pomyśleć o jakiejś odpowiedzi, słyszę dobiegający z pagody głos, który dźwięczy jak muzyka.

– Reed!

Widzę zwinną, piękną kobietę wybiegającą ze znajdującej się przed nami pagody i rzucającą się Reedowi w ramiona. Reed wypuszcza moją rękę, a kobieta obejmuje go ramionami za szyję, uwodzicielsko przyciskając się do jego ciała. Długie jasne włosy opadają jej na plecy jak złote fale.

– Jestem na ciebie strasznie zła, Reed. Dlaczego cię tu nie było, żeby mnie powitać, kiedy się zjawiłam? – pyta.

Jej śliczne usta układają się w dzióbek, a koniec palca wędruje powoli w dół po piersi Reeda.

Zanim zdaję sobie sprawę ze swojej reakcji, wydobywam z siebie cichy pomruk wywołany zazdrością, która mnie przytłacza na widok przytulonej do Reeda kobiety. Słyszając moje ostrzeżenie, nowo przybyła zwraca twarz w moją stronę. Jej szafirowe oczy zwężają się gniewnie, a piorunujące spojrzenie omiata mnie od góry do dołu. Kobieta wznosi rękę w moim kierunku, a ja zauważam przy tym, że ma błony między palcami. Z jej ust wydobywają się wysokie dźwięki, a jednocześnie wokół mnie nasila się wiatr, który rozwiewa mi włosy.

Spoglądam w kierunku, z którego ten wiatr wieje, i akurat udaje mi się zobaczyć, jak spokojna zwykle woda z basenu kąpielowego na dziedzińcu unosi się ponad wyłożony kaflami zbiornik. Zawisa na chwilę w powietrzu jak potężna fala, a potem kieruje się w moją stronę. Nie umiem zareagować na to, że leje się na mnie woda, pogrążając mnie w lodowatej głębinie. Potem opadająca i wracająca do basenu toń ciągnie mnie za sobą z niewiarygodną prędkością. Mdli mnie i kręci mi się w głowie, jakbym spadała z ogromnej wysokości. Wodny prąd ciągnie mnie w dół i muszę ciężko walczyć o wynurzenie się na powierzchnię. Mój spanikowany mózg wpada w szal, kiedy udaje mi się odbić nogą od dna, dotrzeć do powierzchni wody – i przekonać się, że pokrywa ją gruba warstwa lodu.

Porwana w obroty przez wir znajdujący się pod zmrożoną powierzchnią

walę pięściami w lód, który stał się moim więzieniem. Po drugiej jego stronie pojawiają się Reed i Preben. Desperacko próbują rozbić rozdzielającą nas warstwę. Napierając dłońmi na magiczną barierę, której Reed nie potrafi przeniknąć, widzę, jak mój ukochany z determinacją odwraca się ode mnie i krzyczy coś w inną stronę. Jego słowa docierają do mnie mocno stłumione.

Włosy zakrywają mi twarz. Drapię paznokciami powierzchnię lodu. Jest zimna, ale kiedy jej dotykam, czuję też przepływającą pod moimi rękami pulsującą energię. Zamykam oczy. Moje dłonie zaczynają się rozgrzewać. Po chwili parzą mnie tak jak wtedy, wiele miesięcy temu, kiedy goiłam rany Russella.

Gdy znów otwieram oczy, brak tlenu sprawia, że czuję ból w płucach, a jednocześnie moje ręce pałają, jakby ktoś je rozpalił od środka. W ciągu paru sekund przebijam nimi warstwę lodu, który od razu wyparowuje i w postaci białych obłoków unosi się nad basenem. Walczę choćby o haust powietrza, a w tym czasie Reed wyciąga mnie z wody, obejmuje ramionami i szepcze mi do ucha kojące anielskie słowa.

Staram się ze wszystkich sił równo oddychać. Dostrzegam blond harpię patrzącą na mnie gniewnie z miejsca, w którym stałam, zanim została porwana przez wodę. Wzbiera we mnie wściekłość i walczę, żeby wyrwać się z uścisku Reeda, bo chciałabym wyszarpać tamtej serce – jeśli w ogóle je ma.

– Nie możesz jej zabić, jeśli chcesz uratować Russella – mówi mi Reed do ucha. – To jest Safira, jedna z ondyn, które do nas przybyły, żeby pomóc nam bronić się przed ifritami.

– Właśnie próbowała mnie zabić. – Piorunuję wzrokiem piękne stworzenie, które z nie mniejszym wstrętem w oczach szyderczo się ze mnie śmieje.

– No cóż, kochanie, warczałaś na nią – mówi Reed obojętnym tonem.

Przestaję się szamotać i patrzę w twarz zdrajcy, którą mam przed sobą. Oczy zwężają mi się w wąskie szparki.

– Mówisz poważnie? – pytam z niedowierzaniem.

– Właśnie zamierzała cię wypuścić z wody, tuż przed tym, jak udało ci się przebić taflę lodu. Była zdumiona twoim zachowaniem i zareagowała zbyt emocjonalnie – broni Safiry.

– Więc twierdzisz, że to wszystko nieporozumienie? – pytam z udawaną



słodyczą.

– Tak – odpowiada z wyrazem ulgi na twarzy, który znika, kiedy znów mocno przymrużam oczy i wydaję z siebie gniewny pomruk. Wtedy wchodzi między nas Buns. Odciąga mnie od Reeda i obejmuje ramionami.

– Nic ci się nie stało? – pyta, prowadząc mnie w kierunku swojej pagody.

Odwracam się i patrzę przez ramię. Widzę, że Safira jest teraz w całej grupie zwiewnych młodych kobiet; wszystkie piorunują mnie wzrokiem.

– Ta wiedźma właśnie próbowała mnie utopić! – mówię z obrzydzeniem, rozciągając na sobie mokre ubrania.

– Wiem, wszyscy to widzieliśmy – odpowiada Buns. – Naprawdę ją przestraszyłaś. Powinnaś widzieć jej minę, kiedy wyrwałaś się z czaru. Szczęka jej opadła. Potem zaczęła wołać na pomoc swoje siostry. Chyba się bała, że jej przetrzepiesz skórę – kończy Buns ze śmiechem. Najwyraźniej jest ze mnie dumna.

– Owszem, przyszło mi to do głowy – mówię, próbując wziąć się w garść. Z nerwów chciałabym coś rozwalić, a moje serce wciąż jeszcze mocno bije po walce w basenie.

– Chyba powinno się was umieścić w osobnych pomieszczeniach. Chodzi mi o to, że ty się przyzwyczajasz do związku z Reedem... I nie potrzeba ci w pobliżu jego fanki, szczególnie że...

Buns milknie, bo zatrzymuję się i przestaję iść razem z nią w kierunku jej pokoju.

– Co proszę? – pytam cicho.

– Mówiłam, że może należałoby was rozdzielić, ciebie i Safirę...

– Nie, nie... ta druga część. – Rysuję palcem w powietrzu kółko.

– Och... to o fance Reeda? – pyta z baranią miną.

– Tak, właśnie to – odpowiadam sztywno.

– Zefir mnie zabije... To bardzo stara historia, naprawdę stara – szybko tłumaczy Buns. – Zdarzyła się tysiące lat temu... jeszcze zanim się tu zjawiłam.

– Chcesz powiedzieć, że Reed i Safira... – Milknę.

– Nie, on nie, ale dla niej to była miłość od pierwszego wejrzenia. Dawno

temu działali razem w oddziale, który polował na ifrity. Ondyny mają taką cechę, że jak się w kimś zakochają, nie zwracają uwagi, czy uczucie jest wzajemne, czy nie. Ścigają obiekt, którym są zainteresowane, z jedną tylko myślą. To przypomina stalking, prześladowanie... kapujesz? – Widząc moją twarz, szybko dodaje: – Ale jest nam potrzebna. Ona i jej dziewczyny potrafią wykończyć ifrita za pomocą magii.

– Jak? – pytam.

– Są rusałkami, żywiołami, które potrafią podporządkować sobie wodę. Woda ma większą moc niż ogień. – Buns znów prowadzi mnie do swojego pokoju. – I sama widziałas, jak skutecznie sobie z nią radzą. Potrzebujemy jej. Brownie i Russell jej potrzebują, więc musisz być dla niej miła. Jeśli będzie trzeba, pocałuj ją w tyłek. Nie możemy sobie pozwolić, żeby je stracić, a są skrajnie drażliwe.

– Chcesz powiedzieć, że mam jej tak bez niczego pozwolić, żeby obmacywała Reeda swoimi łapskami? – pytam Buns, próbując sobie poradzić z nowymi okolicznościami, w jakich się znalazłam.

– Chcę powiedzieć, żebyś pozwoliła Reedowi się tym zająć. Będzie ją trzymał na dystans, bo pragnie tylko ciebie. Po prostu zachowaj spokój, a jeśli tego nie zrobisz, Russell zginie – mówi Buns, stawiając sprawę całkiem jasno.

– Och! – wzdycham, blednąc na myśl o tym, że miałabym stracić Russella i Brownie.

Buns wprowadza mnie do swojego pokoju i daje mi ręcznik. Wycieram się, a ona podchodzi do szafy z ubraniami. Ściągam z siebie mokre ciuchy i wślizguję się w bardzo seksowną, małą azjatycką sukienkę, którą podaje mi Buns. Jedwab przylega do mojego ciała tak samo ściśle, jak przedtem przylegały mokre ubrania.

Patrzę na Buns nieco sceptycznym wzrokiem, a ona mówi:

– Powiedziałaś ci, że nie możesz jej zabić. Ale nie powiedziałam, że nie możesz mieć gorącego wyglądu, chociaż masz się zachowywać chłodno.

– Nie dbam o to, jak teraz wyglądam – odpowiadam, gładząc dłonią ciemnoczerwony jedwab sukienki. – Muszę wrócić do Fedrusa, żeby wysłać swój klon i żeby on mógł go śledzić.

– Poczekaj. – Buns zbiera moje włosy w kok, w który wsuwa dwie czarne

szpile, żeby się nie rozleciał.

– Dzięki. – Idę w kierunku drzwi.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, widzę Reeda opartego o jeden ze słupków werandy. Mijam go, kierując się w stronę sali konferencyjnej, a on rusza obok mnie.

– Buns ci powiedziała? – Wpatruje się z ponurą miną w moją twarz.

– Co miała powiedzieć? – Mam zaciśnięte szczęki i przyspieszam kroku.

– Jedyne powód, dla którego Safira tu jest, to pomoc w walce z ifritami – wyjaśnia cicho Reed.

– Czy ona o tym wie? – Nie zwalniam tempa marszu.

– Co masz na myśli? – Teraz Reed odpowiada pytaniem na pytanie.

– Czy ona wie, że to jest jedyny powód, dla którego ją zaprosiłeś, czy może wyobraża sobie, że chciałeś się z nią znów zobaczyć?

– Evie, ale ona nie dlatego cię zaatakowała – mówi Reed. – Kiedy cię zobaczyła, myślała, że jesteś po stronie zła.

Staję jak wryta, unoszę dłonie do góry i sfrustrowana zaczynam przecierać nimi oczy.

– I dla ciebie to jest w porządku?

– Nie, nie jest. Musiałem zwalczyć w sobie silną chęć zamordowania jej. Wierz mi, kiedy nie mogłem się przebić przez ten lód i wydostać cię, przemknęło mi przez głowę wiele brutalnych sposobów na to morderstwo. Ona nawet nie ma pojęcia, jak blisko śmierci była – mówi Reed spokojnym tonem, odrywając moje dłonie od twarzy, żeby zajrzeć mi w oczy. – Ale gdybym ją zabił, właściwie nie mielibyśmy szansy na uratowanie Russella. Ani przez chwilę nie myśl, że sprawia mi przyjemność, że ona tu jest. Całe lata zajęło mi przekonywanie jej, że powinna pokochać kogoś innego. Masz pojęcie, jak uparte bywają ondyny? – W głosie Reeda słychać frustrację.

Widząc jego zły nastrój, zaczynam się czuć okropnie, że okazałam się aż tak zazdrosna o Safirę.

– Jeśli ondyny choć trochę przypominają Gankanagów, to ci współczuję – szepczę. Obejmuję go ramionami za szyję i przytulam.

Jego ręka ześlizguje się po moim boku i pieści mnie, wędrując po

jedwabnej sukience.

– Nikt się dla mnie nie liczy poza tobą. – Reed nachyla się w moją stronę i mnie całuje.

– Postaram się o tym pamiętać przy następnej okazji, kiedy ona się na ciebie rzuci – odpowiadam, wtulając się w niego.

– Bardzo proszę – szepcze Reed, po czym jego wargi znów ocierają się o moje.

– Hej, a czy twoje umiejętności przekonywania działają też na ondyny? – Lekko odpycham się od niego i zaglądam mu w oczy.

– Nie – odpowiada i śmieje się z mojego rozczarowania.

– A ona nie może cię... to znaczy, jej czary nie mogą... – Milknę. Marszczę czoło i przesuwam koniuszek palca po jego piersi.

– Wszystko, czego na mnie próbowała, okazało się jak dotąd nieskuteczne – mówi Reed ze śmiechem.

– To dobrze – wzdycham z ulgą.

Myślę o tym, że Safira nie jest w stanie rozkochać w sobie Reeda, stosując swoją magię. Przez krótką chwilę go przytulam, po czym wyplątuje się z jego uścisków. Biorąc go za rękę, ruszam w stronę sali konferencyjnej.

– Trzeba ją było przede mną ostrzec, zanim tu przybyła.

– Wszyscy o tobie wiedzieli, tylko że jak ktoś cię zobaczy, to... – Milknie.

– Jest przerażony? – pytam, próbując ukryć złe przeczucie, wywołane słowami o reakcji, jaką wzbudzam.

– Nie, nie przerażony... Tylko ty jesteś taka niebezpieczna, a jednocześnie taka piękna, że w twojej obecności w zasadzie nie ma miejsca na racjonalne myślenie – mówi. – Ale niczego bym w tobie nie chciał zmieniać. Jesteś ideałem.

Przewracam oczami, słysząc słowa, które brzmią, jakby Reed oszalał. Mam właśnie ochotę powiedzieć mu o wszystkim, co chciałabym w sobie zmienić, gdybym tylko miała okazję, ale w alejce przed nami zjawia się Zefir.

– Mamy problem – mówi, patrząc na Reeda.

– Ondyny?

– Tak, odmawiają pomocy w obronie Evie i Russella. Mogą walczyć z ifritami dla nas, ale nie będą interweniować, jeśli to chodzi o „mieszkańców”  
– mówi z powagą w głosie.

– Dlaczego? – pyta Reed cicho i spogląda na mnie, żeby sprawdzić, jak reaguję na określenie „mieszaniec”.

Próbuję zachować obojętność, ale tak naprawdę chciałabym na kogoś porządnie nakrzyczeć.

– Mówią, że nie chciałyby rozgniewać Boga – ciągnie Zefir.

Na te słowa Reed zaczyna wrzeszczeć, a ja mam ochotę zarzucić mu ramiona na szyję i znów go ucałować.

– Realizujemy nasz plan? – pyta Zefir.

– Tak – wtrącam się, zanim Reed ma jakąkolwiek szansę odpowiedzieć.

Na krótką chwilę zamyka oczy, potem je otwiera i zwraca się do mnie.

– Kochanie, jeśli nie mamy gwarancji, że one nam pomogą, gdyby ifrity cię znalazły, nie możemy iść naprzód z naszym planem.

– Możemy. Powiedziały co prawda, że mnie nie pomogą, ale jeśli nadejdzie jakiś ifrit, będą broniły was wszystkich. Mnie to wystarczy – mówię.

– Ale mnie nie – odpowiada Reed surowo.

Zwracam się do Zefira.

– A czy ujmą się za Brownie, skoro ona nie jest mieszkańcem?

– Tak – odpowiada Zefir.

– W porządku, więc jesteśmy prawie całkowicie kryci. Musimy się tylko upewnić, że kiedy ondyny wkroczą do akcji, będą chciały zabić ifrita. Nie może chodzić wyłącznie o akcję przechwycenia i wyciągnięcia Brownie. Jeśli zabiją ifrita, uratują też w ten sposób Russella, nawet jeśli zrobią to niechcący – tłumaczę.

– Będziemy próbowali forsować taką strategię. Nie chcemy, żeby z jakiegokolwiek powodu ifrit przeżył – potwierdza Zefir, obserwując mnie niebieskimi oczami.

Kiwam potakująco głową.

– Więc nie ma problemu – mówię, widząc, że Reed jednak ma z tym już

ogromny problem.

– Nie można tak po prostu pominąć tej nowej komplikacji. Warunki misji się zmieniły. Pojawiły się nowe zmienne – mówi.

– Nie ma teraz czasu na lekcje strategii. Musimy zlokalizować ifrita. Na tym etapie stanowią jedyne łącze, za pomocą którego możemy go znaleźć. Nikt nie będzie bezpieczny, póki go nie zabijemy, sam to powiedziałeś. – Widzę, że twarz Reeda obojętnieje, traci wszelki wyraz, a ja nie potrafię odczytać jego myśli. – Jestem chroniona przez cały oddział aniołów...

– Evie, a jeśli powiem „nie”, to co zrobisz? – Reed przechyla głowę i czeka na moją odpowiedź.

Spuszczam wzrok, bo nie chcę, żeby patrzył mi w oczy. Nie chcę, żeby z nich wyczytał, co zrobię. Wymyśliłam już kilka różnych scenariuszy odnalezienia Russella i Brownie, ale jestem pewna, że żaden z nich nie uszczęśliwi Reeda.

– To jest najlepszy możliwy kompromis, powinienes się na niego zgodzić – mówię łagodnym tonem, po czym słyszę dwa osobne pomruki, jeden dochodzący od strony Reeda, drugi od Zefira.

Reed miękko zwraca się do Zefira w języku anielskim. Zefir coś odpowiada, a mój umysł skwapliwie korzysta z okazji i wyłącza się, ponieważ zostałam odcięta od rozmowy. Warczę na nich i ruszam w dalszą drogę, ale Reed chwyta mnie i zmienia kierunek mojego marszu. Idziemy teraz w stronę naszego pokoju.

– Reed, co ty robisz? – pytam.

– Zamierzam przedyskutować sytuację z ondynami. A ty zostaniesz tutaj, aż z nimi skończę. – Rzuca mnie na łóżko, po czym odwraca się w stronę drzwi. Mówi coś do Zefira, który przyszedł za nami. Razem kierują się do drzwi naszego pokoju. Wyskakuję z łóżka i biegnę za nimi, ale w progu dwóch ludzi Prebena staje mi na drodze i nie pozwala wyjść na dziedziniec. Jeden z nich to Elan, drugi ma na imię Sorin.

– Przepraszam – zwracam się do Sorina, starając się go obejść, ale on ani drgnie.

– Reed! – wołam ponad żywą ścianą utworzoną przez anioły Mocy.

Widzę, jak Reed odchodzi, pochłonięty rozmową z Zefirem.

– Niedługo wrócę. Postaraj się nie zdenerwować swoich strażników – mówi do mnie łagodnym głosem.

– To nie w porządku! – krzyczę do niego, ale Reed nie odpowiada i znika mi z pola widzenia.

Kompletnie rozwścieczona zamykam drzwi, odcinając się od aniołów, którzy śmieją się do mnie, jakbym była jakimś dziwolągiem pokazywanym publiczności na jarmarkach.

Krażę po pokoju i czuję, że za chwilę wyskoczę z własnej skóry. Wszystko tak utrudniają, chociaż to jest proste – myślę w duchu. Chodzi o Russella. Nie istnieją takie słowa, które mnie przekonają, że mam nie udzielić mu wszelkiej możliwej pomocy. Kiedy już wiem, że inni mają zapewnioną ochronę, naprawdę nie potrzebuję pozwolenia. Widzę to jasno i ta myśl mnie uspokaja. Siadam na łóżku i koncentruję się na tym, co chcę zrobić.

Staram się zapanować nad uczuciem wirowania, przez które znów wydaje mi się, że cały pokój się trzęsie. Stopniowo pozwalam mojemu klonowi wydostać się ze mnie. Kieruję go ku zamkniętym drzwiom pokoju i przeprowadzam przez nie. Ciemność panująca na zewnątrz sprawia, że trudno mi powiedzieć dokładnie, w jakim kierunku zmierzam, więc koncentruję się na czerwonych lampionach zwisających z drzew znajdujących się przed moim wizerunkiem. Do mojej świadomości wnikają dobrze znane twarze pilnujących mnie na zewnątrz aniołów. Elan próbuje zatrzymać mój obraz, który jednakże bez trudu przez niego przechodzi. Do pokoju wchodzi Sorin; czuję, że jest tuż przy mnie, ale oczy mam zamknięte, bo skupiam się na kierowaniu klonem.

Kiedy mój wizerunek przemieszcza się w milczeniu w kierunku sali konferencyjnej, słyszę przed sobą ożywioną debatę, w trakcie której Reed pięknym głosem mówi coś w języku aniołów. Słucham tych dźwięków, wiedząc, że Fedrus musi być gdzieś w pobliżu. Gdy mój sobowtór wchodzi do sali, kilka osób wstrzymuje oddech, szczególnie po tej stronie, gdzie siedzą ondyny. Ignoruję je i kieruję swój klon za ich plecami ku końcowi stołu.

Zbliżam się do Fedrusa i niemalże udaje mi się do niego dotrzeć, ale wtedy staje przede mną Reed i próbuje zagrozić mi drogę. Mój klon przechodzi przez niego jak senne marzenie, podchodzi do Fedrusa i szepcze:

– Masz pięć sekund. Bądź gotów.

Fedrus wstaje z krzesła i z ulgą wydycha powietrze. Bardzo cierpiał, bo wiedział, że obiekty jego troski – Russell i Brownie – potrzebują pomocy, a on nie jest w stanie ich samodzielnie odnaleźć.

Posługując się przytłumionymi zmysłami mojego kлона, orientuję się, że wszyscy w sali mnie usłyszeli, gdyż w jednej chwili w całym pomieszczeniu zaczyna panować chaos. Nie zwracam na to uwagi. Wiem, że może to być ostatnia wiadomość, którą usłyszysz ode mnie Russell. Pod wpływem tej myśli w moim organizmie zaczyna krążyć zwiększona ilość adrenaliny. Słyszę głośne bicie serca, sięgam w głąb siebie, mobilizując każdy gram miłości i oddania, które mam dla Russella, i przekazując to wszystko swojemu klonowi. Kiedy to robię, zmysły w moim sobowtórze wyostrzają się, aż całe pomieszczenie wokół niego rozjaśnia się od emitowanego przezeń światła. A wtedy mój klon z prędkością błyskawicy wydostaje się z sali konferencyjnej i tracę z nim wszelki kontakt.

Odnajduję samą siebie w swoim pokoju, siedzącą na łóżku. Od razu staram się znowu wejrzeć głęboko w siebie. Natykam się na wszystkie pokłady wściekłości i gniewu na istotę, która uwięziła mojego duchowego pobratymca. Pokój znów zaczyna wirować, a ja formułuję w sobie wiadomość dla ifrita. Goniec, którego z nią wysyłam, wystrzeliwuje z pomieszczenia, w którym siedzę, niosąc moją ostatnią myśl: Okaż im miłosierdzie, bo inaczej nie będzie miłosierdzia dla ciebie.



## Rozdział 7

# Woda i ogień

Mam wrażenie, że pokój nadal wiruje. Sięgam dłonią do twarzy i pocieram nos. Mam krwotok, bo na ręce widzę czerwoną smugę. Znowu dotykam nosa grzbietem dłoni i idę do łazienki po chusteczkę higieniczną. Zanim udaje mi się tam dotrzeć, staje przede mną Reed. Wygląda na anioła zemsty, który zjawił się, by pokarać mnie za grzechy. Antracytowe skrzydła ma łukowato rozłożone, przez co nie widzę niczego wokół niego. Patrzy na mnie płonąącym wzrokiem, dłonie zaciśnięte w pięści trzyma przy bokach.

Widzę, że mam poważny kłopot i z Reedem, i prawdopodobnie ze wszystkimi innymi aniołami znajdującymi się teraz w Chinach. Cofam się, wyciągając jednocześnie ręce przed siebie. Z niepokojem stwierdzam, że dłonie mi się trochę trzęsą.

– Nie możesz się na mnie wściekać, bo to ty mnie pierwszy zamknąłeś. – Przechodzę do ataku, choć jednocześnie rozglądam się po pokoju za lepszą pozycją obronną. Nie widzę jednak żadnego miejsca, gdzie mogłabym się schować.

– Były dwa – mówi Reed z niezmaconym spokojem, unosząc dwa palce.

Chodzi za mną krok w krok i nie pozwala mi się oddalić.

– Zakładam, że pierwszy klon, za którym podążył Fedrus, był przeznaczony dla Russella. Proszę, powiedz mi, że ten drugi wysłałaś do Brownie.

Moje zdenerwowanie rośnie, bo zdaję sobie sprawę, że Reedowi nie spodoba się prawda.

– Musiałam się upewnić, że on wie o moim istnieniu. Wtedy przestanie

torturować Russella i Brownie, bo nie będzie już musiał wyciągać od nich tej informacji – tłumaczę w odpowiedzi na jego pytanie.

– Genevieve – mówi Reed lodowatym głosem, a ja blednę. – Co powiedziałaś ifritowi? – Walczy o odzyskanie kontroli nad sytuacją.

– Hm... wolałabym o tym nie mówić – odpowiadam szczerze.

– Dlaczego? – rzuca krótko.

– Bo mógłbyś się wściec – mówię drżącym głosem.

– Już się wściekam – warczy.

– No, tak... ale to ci się naprawdę nie spodoba – ostrzegam. Kiedy słyszę jego gniewny pomruk, szybko dodaję: – Powiedziałam mu tak: „Okaz im miłosierdzie, bo inaczej nie będzie miłosierdzia dla ciebie”.

Skrzydła Reeda powoli wracają na miejsce, a z jego twarzy znika grymas niezadowolenia. Przechyla głowę na bok i pyta:

– Powiedziałaś to ifritowi?

Kiwam głową i patrzę, jak on z kolei potrząsa swoją w geście zdradzającym zmęczenie.

– Teraz ifrit przyjdzie tu po ciebie. Nie zdoła się oprzeć tak nęcącemu wyzwaniu, wypowiedzianemu przez niewiarygodnie piękną istotę.

Po tych słowach Reed odwraca się i idzie w kierunku drzwi.

Poruszam się szybciej niż on i udaje mi się zabiec mu drogę jeszcze przed progiem pokoju.

– Czekaj! Dokąd idziesz? – pytam.

Wpadam w panikę, bo Reed ma bardzo ponurą minę.

– Muszę porozmawiać z ondynami. One powinny same stwierdzić, jaki jest powód, żeby cię bronić przed ifritem, skoro go sprowokowałaś – oznajmia surowym tonem.

– Zamierzasz iść rozmawiać właśnie teraz? – pytam, załamując ręce. – Mogę iść z tobą? – Zadaję to pytanie głosem pełnym nadziei. Nie chcę zostać sama. Zaczyna do mnie dopiero docierać, co przed chwilą zrobiłam, i ze strachu trzęsą mi się ręce.

– Nie – odpowiada Reed beznamiętnie. – Prześpij się trochę. Wyglądasz na

wyczerpaną.

Obchodzi mnie naokoło i wydaje polecenie pilnującym mnie aniołom, żeby nie wypuszczali mnie z pokoju.

– Reed! Ale powiesz mi, jeśli dostaniesz wiadomość od Fedrusa? – krzyczę, stojąc w drzwiach naszego pokoju.

Nie zwraca na mnie uwagi i odchodzi. Odwracam się od niego, czując się podle. Udało mi się rozzłościć wszystkich, którzy mają mi pomagać. Ale nie mogę udawać, że chciałabym cofnąć któreś z tych zachowań, bo wcale bym nie chciała. Apatycznie podchodzę do łóżka i kładę się, przyciskając poduszkę Reeda i tuląc ją, żeby znaleźć w tym pociechę. Drżąc z przerażenia, zamykam oczy. Czuję, że trawi mnie potrzeba snu. Zaczynam odpływać i próbuję z tym walczyć. Chcę pozostać przytomna na wypadek, gdyby dało się usłyszeć jakąś wiadomość od Fedrusa. Jeśli zgubi ślad po moim klonie, zamierzam wysłać kolejny, który przemknie obok niego i pozwoli mu podjąć zgubiony trop. Raz czy dwa otwieram na siłę oczy, ale dość szybko przegrywam jednak bitwę ze zmęczeniem i zapadam w sen.

Przez otwarte okno sączy się do pokoju ciepłe powietrze, porusza kosmyki włosów wypadające spod szpil, które miały podtrzymywać kok na moim karku.

*Nie mogę dać ci jego duszy, Alya, ale mogę ci dać jego serce. Wytnę je dla ciebie... – Głos szepcze mi do ucha te słowa jak pieszczotę, sprawiając, że serce zaczyna łomotać mi w piersi i paraliżuje mnie panika. – Tylko takiego miłosierdzia doświadczysz ode mnie... chyba że dasz mi to, czego pragnę.*

– *A czego pragniesz? – pytam ospale, czując się ciężko i apatycznie. – Oddaj mi Russella i Brownie, a dam ci to, czego chcesz.*

– *Jesteś mądra, Alyo – mówi chrypiącym głosem. – Możemy w końcu oboje dostać to, czego chcemy. Powiedz mi, gdzie teraz jesteś.*

– *Chiny... Jestem w Chinach. A ty gdzie jesteś? Przybędę do ciebie... – upieram się.*

Krople wody spadające na moją twarz i ciało każą mi otworzyć gwałtownie oczy, zanim całkiem zaleje mnie potop. „Obudź się!” – mówi gdzieś blisko dźwięczny głos, a na głowę wciąż pada mi deszcz.

Ociekając wodą, otwieram oczy i widzę Safirę – sterczy nade mną ze

skrzyżowanymi na piersi ramionami.

– No i co ty wyrabiasz? – Stuka stopą w podłogę i patrzy na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

Stoi po suchej stronie łóżka. Wygląda jak piękna syrena odmieniona tak, żeby mogła chodzić po lądzie. Wydaje mi się nawet, że na jej szyi tuż pod uszami widzę coś, co wygląda jak skrzela.

Drzę cała po tym, jak zostałam oblana zimną wodą. Zaciskam zęby i odpowiadam:

– Spałam! Przeszkadza ci to?

– Nie oszukuj mnie! Czuję w tym pokoju zapach magii. Rozmawiałaś z ifritem! – oskarża mnie. Pstryka palcami i rozpędza deszczowe krople, jakby zakręcała kran.

– Ja tylko... – Milknę, zastanawiając się nad tym, co się stało... Szept, który słyszałam... wyczuwalne w pokoju ciepło... – Jak on mnie znalazł? – pytam z drżeniem.

– To TY pokazałaś mu drogę do siebie, kiedy wysłałaś tego ducha czy obraz, czy jak ty to nazywasz – odpowiada Safira, wskazując mnie swoją błoniastą dłonią. – Prowadziłaś z nim jakieś rozmowy? – pyta.

Jej skóra lekko lśni, jakby była pokryta kryształkami soli po zanurzeniu w solance.

Pocieram oczy i siadam w łóżku. Nachylam głowę i przyznaję:

– Tak, chyba z nim negocjowałam.

– Wiedziałaś! Wiedziałaś, że jesteś złą istotą. – Przeciąga dłonią po złocistych włosach, które kołyszają się, jakby unosiły się na wodzie i płynęły z prądem. – Powiedziałam im, że na pewno nas zdradzisz. Nikt mnie nie potraktował poważnie, po tym jak usłyszeli, jaką wiadomość wysłałaś ifritowi. Groźba, że nie będzie dla niego miłosierdzia, podbiła cały zastęp Mocy. Gotowi są skoczyć za tobą w przepaść, jeśli ich o to poprosisz. Ale ty przy pierwszej nadarzającej się okazji zaczynasz z nim negocjować – mówi z pogardą, odsłaniając niezwykle ostre, szpiczaste zęby.

– Wiesz, co to znaczy „Alya”? – Nie zwracam uwagi na jej docinki i próbuję przypomnieć sobie każde słowo wypowiedziane przez ifrita.

– A dlaczego? Użył tego słowa? To jest nazwa... stara... arabska, oznacza „niebiosa” – odpowiada Safira, a mnie na chwilę zamiera serce.

– Posłuchaj mnie – mówię, podnosząc się z nienaturalną prędkością i wyciągając do niej rękę.

Łapię Safirę za ramię, zanim udaje jej się cofnąć. Jest zadziwiona moją siłą i szybkością. Wpatruję się w jej szafirowe oczy i ciągnę dalej.

– Jeśli to coś tu się zjawi, chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła. – Obserwuję, jak zwięzają się jej oczy. – Wiem, że zależy ci na Reedzie. Chciałabym, żebyś zadbała o niego. Żeby nic mu się nie stało. Wszystko mi jedno, jak to zrobisz: zamroziś go w lodowym bloku do czasu, aż ifrit sobie pójdzie, albo jakoś inaczej, tylko zrób to, dobrze? – proszę ją w desperacji.

– Ty JESTEŚ zła! – mówi Safira, szamocząc się, żeby wyrwać ramię z mojego uścisku. – On jest aniołem Mocy. Nikt nie ochrania aniołów Mocy. Zabijają każdego, kto tego spróbuje.

– Ale ty go kochasz... – oponuję, próbując zrozumieć, dlaczego Safira nie chciałaby ratować Reeda.

– Tak, i kochałam go wcześniej niż ty, dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że on mnie nigdy nie pokocha ani mi nie wybaczy, jeśli będę próbowała go chronić przed niebezpieczeństwami – odpowiada Safira. – Ty go przecież wcale nie znasz, prawda? Widziałaś go kiedyś w walce? Wątpię, czy ifrit ma z nim jakiegokolwiek szansę, mimo całej swojej magii. Znacznie mniej martwię się o Reeda w starciu z ifritem, niż kiedy widzę go z tobą.

– Dlaczego?

– Bo on jest gotów za ciebie umrzeć.

Safira rzuca mi gniewne spojrzenie. Pod jego wpływem czuję dziki, kłujący ból. Wywołuje go we mnie wyobrażenie Reeda, któremu dzieje się krzywda.

– Właśnie temu tak BARDZO chciałabym zapobiec. – Odwzajemniam jej gniewne spojrzenie. – Więc znajdź sposób, żeby pomóc Reedowi, bo jeśli coś mu się stanie, znajdę cię.

– Grozisz mi? – pyta z niedowierzaniem, mrugając oczami. Zauważam u niej przy tej okazji drugi zestaw błon przypominających powieki. Okrywają jej oczy, a po chwili nikną pod właściwymi powiekami.

– Tak! – odpowiadam, przybliżając twarz do jej twarzy.

W tym momencie do pokoju wkraczają Elan i Sorin, szczerząc się w uśmiechu, jakby się dobrze bawili.

– Myślę, że Preben nas zwolni, jeśli teraz nie wkroczymy do akcji. Chociaż ja obstawiałbym Serafinę – mówi Elan do Sorina.

Od niechcienia stają za nami, podczas gdy my dwie nadal patrzymy na siebie spode łba.

W reakcji na tę obelgę głowa Safiry otwiera się, ale Elan dostatecznie szybko usuwa się na bok, żeby uniknąć strugi wody, która się na niego wylewa.

– Marlowe, Kendall: chyba przestajecie być atrakcyjne. Nie skończyłam jeszcze rozmowy z mieszkańcem – rzuca Safira obraźliwie.

Sorin wskazuje podbródkiem drzwi.

– Nie miej do nich pretensji, były bardzo zajmujące, ale nie tak jak to, co się działo tutaj. – Sorin spogląda na dwie śliczne ondyny, które ukazują się w drzwiach mojego pokoju; wyglądają dość brutalnie z obnażonymi, ostrymi zębami. – I nie myśl nawet o zamrożeniu mnie w lodowym bloku, bo cię zabiję – kończy Sorin z beczelnym uśmiechem.

– Czy nie ma tu nigdzie żadnego dyskretnego kąta? – pytam ich z irytacją w głosie.

Puszczam ramię Safiry i robię krok do tyłu.

Elan błyska w moją stronę śnieżnobiałym, idealnym uśmiechem.

– Wy same byłyście niezbyt dyskretnie. Krzyczałyście na siebie – mówi.

– Wrr, wy wszyscy jesteście zakochani w tym mieszkańcu – mówi Safira oskarżycielsko, rzucając się w stronę drzwi. – Gdziekolwiek się pojawia, towarzyszą jej kłopoty. Jest jak tsunami, a wy tańczycie wokół niej, wirujecie w małych łódeczkach.

– Tak, jest bardzo niebezpieczna... I co w tym złego? – pyta Sorin Elana z pełnym zdumienia wzrokiem.

W porę usuwa się przed strumieniem wody, który tryska na niego od strony drzwi w chwili, kiedy wychodzą przez nie ondyny. Struga trafia w przeciwległą ścianę, zostawia po sobie na podłodze wielką kałużę. To wygląda tak, jakby pora monsunowa zaczęła się w tym roku wyjątkowo wcześnie.

Ja też wciąż jeszcze ociekam wodą po deszczu, który na mnie spadł. Zwracam się do swoich ochroniarzy:

– Znacie jakieś czary, które by usunęły tę wodę?

– Ręczniki – odpowiada Sorin, przeciągając dłonią po płowych blond włosach.

– To słabe. – Robię głęboki wydech i idę do łazienki po parę ręczników, żeby posprzątać bałagan w sypialni.

Zaskakuje mnie, że zarówno Elan, jak i Sorin pomagają mi usunąć wodę. Kiedy kończymy, rozwieszam mokre ręczniki i prześcieradła na poręczach werandy, a potem wracam do środka, żeby doprowadzić się do porządku.

Wchodząc do łazienki, spoglądam na wannę i myślę, jak miło byłoby zanurzyć się na chwilę w kąpiel. Ale zaraz potem przychodzi mi do głowy wizja uwięzienia w tej wannie przez Safirę. Decyduję się więc na prysznic. Nie wiem, czy naprawdę to tutaj można nazwać prysznicem: to wielgachna, częściowo poprzekładana marmurem szklana klatka, z licznymi dyszami prysznicowymi wkoło. Ściągam z siebie czerwoną jedwabną sukienkę i rozpuszczam włosy.

Kiedy jestem już w kabinie, zamykam oczy, czuję, jak ciepła woda spływa mi po twarzy i włosach. Pochylam głowę i woda płynie po moich plecach i skrzydłach. Próbuję skoncentrować się na rozmowie, którą we śnie prowadziłam z ifritem. Właśnie miał mi powiedzieć, gdzie jest. Coś mi pokazał... Pole porośnięte trawą, ze skupiskiem małych drewnianych wiatraków krytych strzechą. Nie chodzi o takie, które widziałam na fotografiach z Holandii, ale znacznie mniejsze, ustawiane na małych podestach z kamieni polnych. Wokół rosła zwyczajna marchew. Wiatraki wyglądały jak prawdziwe młyny do ziarna, bo ze skrzydeł zwisały liny, za pomocą których można było je wprawiać w ruch, kiedy nie ma wiatru. Wałęsałam się w pobliżu wiatraków, które cicho obracały się w nieustającym ruchu. Przechodziłam obok niskiego, prymitywnego domku ze ścianami pobielonymi wapnem i krytego strzechą. Za tym skromnym białym budyneczkiem znajdował się...

Nagle przechodzi mnie dreszcz.

– Zimno ci? – pyta Reed gdzieś za mną, a ja podskakuję i odwracam się akurat w chwili, kiedy otaczają mnie i przyciągają jego ramiona.

Woda zalewa mu pierś i szyję, spływa strumykami po nagiej skórze. Jego ręka sięga do dźwigienki regulującej temperaturę i lekko ją przesuwa. Z prysznica zaczynają tryskać strumienie otoczone obłokami pary. Musiałam być rzeczywiście bardzo skoncentrowana na swoich myślach, bo nawet nie poczułam motyli w brzuchu, które powinny mnie ostrzec o obecności Reeda.

– Reed, co ty robisz?

– Sprawdzam, co u ciebie – odpowiada łagodnie, a jego seksowny głos działa na mnie jak pieśczoła.

– Aha. No i jak wynik kontroli?

Wychodząc poprzednio z pokoju, Reed był na mnie wściekły, ale teraz już nie wygląda na rozgniewanego. Kąciki jego ust powoli unoszą się w uśmiechu.

– Ta część, o tutaj... – mówi, nachylając się i przybliżając usta do moich obojczyków – chyba jest bardzo samotna. – Muska wargami łukowate linie moich ramion. – Tak jest lepiej – szepcze, a ja oddycham głęboko, przybliżając się do niego coraz bardziej.

Czuję, jak mięknią mi kolana. Reed odrywa usta od moich ramion i całuje miejsce, w którym przechodzą w szyję.

– O, a tutaj, ten łuk, też chyba trochę zaniedbany.

– Naprawdę? – pytam, czując się coraz mniej pewnie na nogach. Otaczam ramionami szyję Reeda.

– Tak. – Muska policzkiem moją wrażliwą skórę, przyprawiając mnie o dreszcz.

– A co powiesz o tym miejscu? – Dotykam koniuszkami palców swoich warg.

W odpowiedzi przyciska do nich usta, smakuje wrażenie, jakie daje pierwszy kontakt naszych warg. Kiedy się odsuwa, żeby spojrzeć mi w oczy, widzę w jego wzroku gorejące ciepło.

– Co się dzieje z niedobrymi ludźmi po śmierci? – szepczę, czując, jak jego usta wędrują ścieżką w dół.

– Dlaczego pytasz? – pyta z kolei Reed szeptem, niemal dotykając wargami mojej skóry.

– Dlatego że to, co chciałabym teraz z tobą robić, jest bardzo, bardzo złe...



– Milknę, a Reed lekko głaszcząc palcami moje skrzydła.

– To nie jest złe. – Uśmiecha się. W łagodnym oświetleniu prysznic zieleń jego oczu sprawia wrażenie jeszcze głębszej. – To jest zupełnie w porządku. Jesteś moja, stanowimy jedność.

– Och... jak dobrze... – Na chwilę zamykam oczy i rozkoszuję się dotykiem jego dłoni. – To bardzo, bardzo dobrze... – wzdycham.

Reed splata swoje palce z moimi i przyciska mnie do mokrej, wyłożonej marmurem ściany.

– Mój anioł... – Słyszę, jak wypowiada te słowa z ustami przy moim ciele. A potem przez pewien czas żadne z nas się nie odzywa.



Reed przyciska do siebie moje omdlewające ciało, wyłącza wodę i zawija mnie w ogromny ręcznik, po czym zanoszą do sypialni. Odnajduje dodatkowe prześcieradła, które tam zostawiłam. Obserwuję go, kiedy je rozściela i szybko przygotowuje łóżko.

– Więc nie jesteś już na mnie wściekły? – pytam, opierając głowę na wysokim oparciu krzesła.

– Nie, akurat w tej chwili nie jestem na ciebie wściekły. – Uśmiecha się, a mnie na chwilę zamiera serce. – Ondyny zgodziły się ciebie bronić – wyjaśnia.

– Naprawdę? – Po mojej rozmowie z Safirą jestem zdumiona ich decyzją o pomocy. – Negocjacje okazały się skuteczne?

– Tak. Liv, ich liderka, zgadza się z nami. Wydała wszystkim rozkaz, żeby cię ochraniały – odpowiada Reed.

– Liv? Która to jest?

– Jasnoniebieskie włosy, fioletowe oczy... – opisuje ją Reed.

– Hm... niebieskie włosy, serio? Musiałam ją przeoczyć w tym tłumie. Pewnie byłam skupiona na tej, która się przykleiła do ciebie – odpowiadam, przyglądając się, jak ręcznik, którym Reed owinął sobie szczupłe biodra, zsuwa się nieco niżej.

Kiwa głową, jakby odczytywał moje myśli. Podchodzi do krzesła, znów

bierze mnie na ręce i całuje. Znosi mnie do łóżka i kładzie się obok. Przyciąga mnie do siebie i jak zahipnotyzowany przeczesuje palcami moje włosy. Czuję, jak ciężą mi powieki, i muszę walczyć z sennością, bo chcę mu zadać jeszcze wiele pytań.

– Reed, musimy porozmawiać – mówię, a on szczerzej otula mnie kołdrą.

– Ćśśś, Evie, jest środek nocy. Musisz odpocząć – odpowiada.

– Chcę się dowiedzieć, czy dostałeś już jakieś wiadomości od Fedrusa.

Z twarzy Reeda znika uśmiech.

– Czego się dowiedziałeś? – dopytuję, siadając.

Słyszę głośny wydech, a potem słowa:

– Teraz już niczego ci nie powiem.

– Wiesz coś?

– Śpij – mówi Reed przymilnym głosem. Bierze mnie w ramiona i tuli do siebie.

– Nie chcę spać. Mam informacje, które powinnam ci przekazać – odpowiadam spokojnie.

– Elan opowiadał mi, że była tu Safira... – W jego głosie słychać troskę. – Przykro mi. Zadbam o to, żeby się więcej do ciebie nie zbliżała.

– Ona to akurat najmniejsze zmartwienie – mówię, głośno wydychając powietrze. – Rozmawiałam z nim... z tym ifritem... – Dłoń Reeda, która łagodnie pieściła mój bok, nieruchomieje. – Mówił do mnie Alya... To znaczy...

– Niebiosa – przerywa mi Reed.

– Tak – mruczę, czując, jak przechodzi mnie dreszcz.

– Jak on się z tobą skontaktował? – pyta Reed cichym głosem.

– Rozmawiał ze mną we śnie. Chce, żebym do niego przyszła – wyznaję.

Czuję, jak ciało Reeda sztywnieje.

– Co dokładnie powiedział? – pyta.

Opowiadam o wszystkim, co mówił ifrit i co ja mu odpowiadałam. Reed mi nie przerywa. Im dłużej mówię, tym silniej mnie ściska. Kiedy opisuję wiatraki i mały pobielony domek, który widziałam, odwracam się i patrzę

w zielone oczy.

– Myślę, że ifrit prowadził mnie gdzieś za ten mały domek. – Próbuję przypomnieć sobie następny widziany we śnie budynek – Chyba do jakiegoś wiejskiego kościółka. Składał się z trzech części. Środkowa była najwyższa, a przylegały do niej dwie niższe. Każda z tych części była zbudowana z ustawionych pionowo surowych pni. Całość pokryto brązowym dachem, który sięgał najwyżej w części środkowej, a najniżej opadał po bokach. Nad każdą częścią wznosiła się wysoka wieża zakończona podłużną czapą z brązu. Na każdej z nich umocowano krzyż, także z brązu. Najwyższa była wieża nad częścią środkową, te po bokach wyglądały jak jej krótsze wersje.

– To dość szczegółowy opis, jeśli wziąć pod uwagę, że widziałas ten kościół z daleka, zza pobielanego domku – komentuje łagodnie Reed.

– Wydaje mi się, że znam to miejsce. Tak jak przy *déjà vu*... jakbym tam już kiedyś była – odpowiadam, napotykając wzrokiem jego spojrzenie.

– Miałaś jakieś przeczucie – mówi i to wcale nie brzmi jak pytanie.

– Taak... Tak sądzę. Chociaż tego budynku nie pamiętam. Wydaje mi się, że jest zbyt... brzydki – przyznaję, próbując powstrzymać mimowolne wzruszenie ramion. – Więc jak? Miałaś wiadomości od Fedrusa? – Czekam na odpowiedź, ale Reed milczy. – Reed... – wzdycham. – Opowiedziałam ci o wszystkim. Teraz twoja kolej.

– Nie, wcale nie. Jestem gotów cię bronić, nawet jeśli to będzie oznaczało obronę przez tobą samą – oznajmia stanowczo, świdrując mnie wzrokiem.

– Co znaczy to „nawet”? – W desperacji robię gniewną minę.

– To znaczy, że nie bierzesz już udziału w tej misji. Nie pozwolę, żebyś sama z siebie zrobiła ofiarę – odpowiada kategorycznym tonem.

– Zrobić z siebie ofiarę? Jesteś nierozsądny. Mogę pomóc Brownie i Russellowi – mówię błagalnie.

– Za jaką cenę, Evie? Za cenę własnego życia? – pyta Reed, ściągając brwi. – Zgodziłaś się już iść do ifrita, co jest nie do przyjęcia – mówi, tracąc w końcu choć trochę ze swojego spokoju.

– Nie jesteśmy nawet pewni, czego ten ifrit ode mnie chce.

Wypowiadam te słowa, starając się brzmieć rozsądnie.

– Evie, ale to jest ifrit – mówi Reed w taki sposób, że włoski na ramionach stają mi dęba. – Nie będzie cię pytał, co masz ochotę mu oddać. Weźmie to, czego będzie chciał.

– Ale... – zaczynam.

Reed mi przerywa.

– Nie pozwolę ci prehandlować życia za życie tamtych – zamyka dyskusję.

– Przeżyję to – odpowiadam z przekonaniem, którego tak naprawdę mi brakuje. – Muszę bronić Russella. Jest moją rodziną.

– A ty jesteś moją – odpowiada Reed. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go dla ciebie odzyskać. Zaufaj mi.

– Ale ja mogę pomóc – upieram się.

Reed jęczy.

– Evie, nie jesteś z tym wszystkim sama.

Mam mu właśnie opowiedzieć o wszystkich sposobach, które mogłabym zastosować, żeby pomóc odnaleźć Russella, ale słyszę dobiegający z zewnątrz płacz. Nie brzmi to jak płacz jednej osoby, raczej jak zawroźnienie tłumu kobiet.

– Co to jest? – pytam Reeda.

– Nie wiem. Zostań tutaj. Nie wychodź z pokoju – rozkazuje mi i nienaturalnie szybko wychodzi. Znika w ułamku sekundy.

Szybko wstaję z łóżka, zakładam dzinsy i top wyjęte z szafy. Podchodzę do drzwi i wyglądam na zewnątrz, na dziedziniec. Widzę, że wszystkie anioły zgromadziły się w jednym miejscu. Unoszą się w powietrzu nad wysokimi murami otaczającymi kompleks budynków, w którym się znajdujemy. Słyszę, że jęki, płacze i krzyki dobiegają spoza murów. Odwracam się do Sorina i Elana stojących na werandzie, tuż pod drzwiami mojego pokoju.

– Kto tak tam wyje?

Sorin odpowiada mi z ponurą miną:

– Ludzie.

– Co? – Wpatruję się w jego twarz, szukając w niej dodatkowych informacji.

– Tysiące ludzi. Wszyscy rzucają się na bramę i chcą tu wejść – dodaje

Elan.

Rzeczywiście naciskana z zewnątrz brama aż się ugina.

– Dlaczego? – pytam zdumiona.

– Twierdzą, że chcą zobaczyć swoją królową.

Zamykam oczy.

– A kto jest ich królową?

– Ty – wyjaśnia krótko Elan i patrzy, jak się wzdrygam, mimo że i tak z góry znałam odpowiedź na to pytanie.

## Rozdział 8

# *Kamienny las*

Zbliżam się powoli do Elana, który stoi na wychodzącej na dziedziniec werandzie, tuż przy moim pokoju. Słucham tłumy ludzi znajdujących się na zewnątrz naszego kompleksu budynków. Wszyscy oni szarpią bramę i tłuką w mury, żądając spotkania ze mną.

– Gankanagowie odwalili kawał dobrej roboty – zauważa Elan. – Udało im się rzucić urok na wielu tutejszych mieszkańców. Musieli tu być przez parę dni, bo niektóre z ich ofiar wyglądają tak, jakby im podano spore ilości toksyn. Niektórzy chyba nie jedli ani nie spali od dość dawna. Mają przykazane, żeby tu wejść i dopaść ciebie.

– Pozwól mi na to spojrzeć – zwracam się szeptem do Sorina, który chyba lubi mnie bardziej niż Elan.

– Mamy rozkazy, żeby cię nie wypuszczać z pokoju – odpowiada Sorin przepraszająco.

Marszczę czoło.

– Więc poleć ze mną na dach mojego pokoju. Muszę zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz – mówię zdesperowana.

Sorin przez chwilę zastanawia się nad takim kompromisowym rozwiązaniem, po czym bierze mnie w ramiona i szybko wlatuje na szpiczasty dach pagody. Elan podąża za nami, nie chcąc nas zostawiać samych. Z miejsca, w którym krążę w powietrzu, widać okolicę na odległość kilku kilometrów poza mury kompleksu. Jak daleko sięgam wzrokiem, wszystkie drogi i przyległe pola są zapełnione ludźmi... a może raczej należałoby powiedzieć:

opętanymi narkomanami.

Bledną.

– Ależ ich dużo. – Serce pęka mi z żalu z powodu tylu ofiar Brennusa.

Mimo ciemności nocnego nieba widzę, że liczba zgromadzonych jest zatrważająca. Wyglądają jak legion zombi: rzucają się w rozpacz na mury naszego schronienia. Ich ubrania są w strzępach, w nieładzie. Nie rozumiem niczych słów, bo używają jakiegoś chińskiego dialektu, ale czuję, że powinnam coś zrobić, żeby im pomóc.

– Muszę do nich przemówić. Może uda mi się ich przekonać, żeby sobie poszli.

– Nie – odpowiada Sorin. – Nie dasz rady im pomóc. Większość z nich umrze. Będą odmawiać jedzenia, chyba że każe im jeść Gankanag. Poumierają z głodu. Szczęście, że nie zostali całkowicie przemienieni i wciąż jeszcze zachowują dusze. Żaden z Gankanagów nie podzielił się z nimi swoją krwią. Są w tym wszystkim narzędziem, ofiarami cywilnymi, które towarzyszą działaniom wojennym.

Widzę twarze wycieńczonych ofiar. Ich płacz jest dla mnie torturą. Brennus zapowiedział, że jeśli zmuszę go do przyjścia po mnie, nie będę zachwycona metodami, które zastosuje, żeby mnie odzyskać. Buduje swoje imperium przemocy, co mogę wyczuć w zbiorowym smutku tego tłumu.

– Czy Gankanagowie tam są? – pytam Sorina, z ogromnym trudem zachowując spokój. Mam ochotę skulić się ze strachu i prosić ich, żeby mnie ukryli przed Brennusem, a jednocześnie jakaś inna część mnie płonie chęcią, aby znów go zobaczyć.

– Nie widzieliśmy ich. To pierwsza fala, może tylko dla odwrócenia uwagi od tego, co naprawdę planują. Dlatego nie możesz opuszczać swojego pokoju. Ludzie nas bardzo rozpraszają. Nie chcemy ich skrzywdzić, chociaż wiemy, jak małe są ich szanse na przeżycie – mówi Sorin. – Gankanagowie zawęzili nasze pole działania. Ci ludzie przyciągają uwagę do naszych pozycji, więc będziemy musieli opuścić to miejsce albo zlikwidować ludzi.

– A nie moglibyście przeprowadzić ich gdzieś indziej? – pytam.

– Brennus po prostu ich namnoży – odpowiada Elan.

– Musimy zabrać cię w inne miejsce, Evie – dodaje Sorin. – Wtedy

będziemy mogli przejść do ofensywy. Wezwaliśmy już dodatkowe zastępy aniołów Mocy. Musimy zlikwidować armię Gankanagów.

– Chyba że się poddam – mówię głównie sama do siebie. – Brennus łomocze do drzwi. Wkrótce je wkopie do środka.

Elan i Sorin jednocześnie warczą na mnie, po czym Sorin zabiera mnie z powrotem do pokoju i delikatnie stawia na podłodze.

– Zostaniesz tutaj – oznajmia autorytatywnym tonem, krzyżując ręce na piersi.

Elan wygląda na równie zdeterminowanego, żeby zmusić mnie do pozostania w pokoju. W ciągu paru sekund obok tych dwóch aniołów materializują się Reed i Zefir, co mnie zdumiewa. Mają na sobie czarne zbroje zakrywające całe ciała. Do górnej krawędzi zbroi umocowane są hełmy, które można nasunąć na głowy, żeby chronić się przed dotykiem Gankanaga. Obaj mają z tyłu odsłonięte skrzydła, ale ponieważ pióra nie są wrażliwe na toksyczną skórę Gankanagów, nic się nie stanie, nawet jeśli zostaną dotknięte.

– Reed, muszę porozmawiać z Brennusem. Może uda mi się go przekonać. Dlaczego musi tu przybyć właśnie teraz? Muszę znaleźć Russella i Brownie. Czy moglibyśmy się wymknąć i przenieść na Ukrainę? Czy Fedrus się odezwał? – kieruję do Reeda strumień słów, zawierający szereg pytań.

Reed robi gniewną minę.

– Evie, po kolei. Brennus wepchał się na sam szczyt listy zagrożeń – mówi, ponuro wykrzywiając wargi. – Nie porozmawiasz z Brennusem. Zostaniesz tutaj.

– A gdzie jest Buns? Nie możemy jej zostawić samej – mówię spanikowana, ponieważ uświadamiam sobie, że nie wiem, gdzie w tej chwili znajduje się moja przyjaciółka.

– Już wyruszyła w drogę – wyjaśnia Zefir łagodnym tonem. – Razem z połową ondyn i Prebenem ma się spotkać z pozostałymi aniołami Mocy wysłanymi przez Dominium.

Otwieram szeroko oczy.

– Spotkać się z nimi? Gdzie? – Czuję się całkowicie zostawiona na uboczu i nie mam pojęcia o planach naszej strony.

– Na Ukrainie... Pirogowo, na południe od Kijowa, Evie. Spotkają się tam



z Fedrusem... który zbiera dodatkowe dane na temat ifrita – odpowiada Reed z wojskową precyzją.

– Mieliście zamiar mnie o tym poinformować? – pytam, choć kiedy widzę ich skonsternowane twarze, już wiem, że odpowiedź brzmi „nie”. – A orientujecie się, gdzie są Brownie i Russell? – zadaję kolejne pytanie, gdy nikt nie odpowiada na poprzednie.

Reed patrzy na mnie zagniewany.

– Zostań w pokoju, kochanie. Nie wychodź pod żadnym pozorem. Ja się wybieram z Zee. Wrócimy niedługo po ciebie. Przeniesiemy cię i wtedy odpowiemy na wszystkie twoje pytania. – Bierze mnie w ramiona. Uświadamiam sobie, że ma zamiar ruszać w drogę beze mnie, więc mocno się do niego przyklejam, zapominając o całym swoim gniewie za to, że odcięli mnie od informacji.

– Reed, pozwól, że wybiorę się z tobą – błagam. Nie chcę tracić go z pola widzenia w sytuacji, w której Brennus jest gdzieś niedaleko.

– Nie znikam na długo. Szukamy najlepszego sposobu, jak cię stąd wyprowadzić tak, żeby nikt nie zauważył. Kiedy to rozpracujemy, wrócimy.

Mocno mnie ściska, a potem puszcza. Kiwa głową do Zefira i w ułamku sekundy obaj znikają z pokoju.

Elan i Sorin mają na sobie takie same zbroje jak Reed i Zefir. Wkrótce płacz poza murami zamiera i zastępuje go wypełniona grozą cisza. Na ramionach pojawia mi się gęsia skórka, kiedy patrzę na zaniepokojone twarze pilnujących mnie aniołów.

Pełna napięcia cisza trwa do chwili, kiedy zastępuje ją świszczący dźwięk dobiegający z daleka, z jakiegoś miejsca poza kamiennymi murami obronnymi. Z gardeł moich ochroniarzy wydobywa się głęboki pomruk. Elan wciąga nosem powietrze i robi nachmurzoną minę.

– Co to jest? – Serce dudni mi w piersi.

Wszędzie słychać jakby okrzyki konających ludzi.

– Miotacze ognia – odpowiada Elan.

– Co takiego? – krztuszę się.

– Pałą ich – wyjaśnia.

– Co? – mamroczę słabym głosem.

– Gankanagowie palą ludzi i próbują nas w ten sposób zwabić – mówi sztywno Sorin. – Sądzą, że nie zdołamy się obojętnie przyglądać, jak torturują ludzi. I że wypowiemy im wojnę.

Słychać kolejne świszczące odgłosy wydawane przez miotacze ognia, a ponad murami naszej fortecy pojawiają się kłęby dymu.

Wiatr zaczyna szeleścić liśćmi i kołysać czerwonymi, zwisającymi z drzew latarniami. Moje włosy wirują wokół głowy. Zbierają się nad nami gęste czarne chmury, jak złowieszczy znak nadchodzącego nieszczęścia. Patrzę w górę na ciemniejące niebo i czuję, jak zaczynają spadać grube krople ulewnego deszczu.

– Ondyny sprowadziły deszcz, żeby pomóc – wyjaśnia Elan, podczas gdy wszyscy obserwujemy burzowe chmury.

Drżąc z powodu przemoczenia i panującej wkoło grozy, podskakuję ze zdumienia, kiedy słyszę słowa Reeda.

– Deszcz posłuży też za niezłą osłonę, kiedy będziesz stąd odlatywać.

Wydaję okrzyk zdumienia, czując ramiona Reeda, który oplata mnie nimi i przyciąga do siebie. A potem szepcze mi coś do ucha... coś po anielsku.

– Co powiedziałaś? – pytam również szeptem. Co za ulga, że Reed tu jest.

– Powiedziałem „Kocham cię, moje Marzenie” – Przyciska mnie do siebie. – Jesteś gotowa do drogi? – pyta, a ja natychmiast potakująco kiwam głową, bo chcę stąd zniknąć najszybciej, jak się da. Zefir zajmuje miejsce obok nas, a Elan i Sorin ustawiają się po drugiej stronie.

Mamy już za chwilę wzbić się w powietrze, kiedy nagle z czarnych chmur nad nami dobiega nas turkot wielu helikopterowych wirników. Ciemne, agresywne kształty zaczynają się wyłaniać z mroku nocy, gwałtownie opadając na nas z zatrważającą prędkością. Uderzywszy w ziemię, pierwszy żołnierz Gankanagów przez chwilę klęczy na jednym kolanie, po czym wstaje, nie odniósłszy kompletnie żadnych ran w trakcie skoku z nieba. Obnaża swoje ostre kły, sięgając jednocześnie szybkim ruchem do zawieszanej na plecach kabury, z której wyciąga potężną automatyczną strzelbę. A potem pluje pociskami po całym kompleksie pagód.

Ciągnąc mnie za sobą, Reed wykrzykuje ostrzeżenie do aniołów

znajdujących się najbliżej strzelca. Anielski oddział natychmiast angażuje się w walkę z Gankanagami, którzy nadal spadają z nieba. Niektóre anioły wzbily się w powietrze i teraz dopadają nieprzyjaciół podczas ich swobodnego spadania. Zmagają się z nimi w locie, rozrywają ich na strzępy, a te lecą potem na ziemię.

Z nieba nadal spadają setki Gankanagów, zupełnie jak szarańcza, ale jest to dopiero pierwsza fala ataku. Podmuchi niosący się po całym terenie kompleksu pagód zaczyna wypluwać coraz to nowsze zastępy Gankanagów, którzy rozpraszają się jak szczury uciekające z zalanego kanału.

– Evie, trzymaj się za mną – rozkazuje Reed głosem pełnym napięcia, trzymając mnie za ramię i patrząc mi w szeroko otwarte oczy.

Udaje mi się pokiwać głową. Reed puszcza mnie i wyciąga długi miecz z pochwy przytroczonej do pleców. Od tej chwili wszystko staje się surrealistyczne. Staram się, jak mogę, żeby pozostać blisko Reeda, który porusza się jak elegancki zabójca. Sprawnie, niemal z gracją, ciała ożywieńców zbliżają się do nas, żeby mnie złapać. Gankanagowie znacznie przeważają liczebnie nad naszymi siłami, ale anioły są brutalne i rozrywają ciała nieprzyjaciół na kawałki. Strategia aniołów polega na tym, żeby wstępnie okaleczać Gankanagów, a potem iść dalej, pozostawiając rannych ożywieńców w stanie, w którym są już nieszkodliwi i nic nie mogą zrobić aż do czasu ich późniejszej całkowitej eliminacji.

Jeśli chodzi o zabijanie Gankanagów, Reed działa jak maszyna. Wygląda wręcz na to, że Gankanagowie w porównaniu z nim działają na zwolnionych obrotach. Jest znacznie szybszy od każdego nich. Nawet kiedy rzucają się na niego całą grupą, z łatwością odnajduje wśród napastników słabe punkty i wszystkich ścina. Nie sądzę nawet, że potrzebna mu jest zbroja, bo żaden z przeciwników nie zbliża się do niego na taką odległość, żeby móc go dotknąć... Wszystko to robiłoby wspaniałe wrażenie, gdyby nie było tak przerażające.

Rozglądam się i widzę, że Zefir też sieje wokół siebie wielką grozę i chaos, ćwiartując nacierających przeciwników. Zee osłania także część ondyn, które traktują najdalej zapędzających się Gankanagów strumieniami wody o sile znacznie przewyższającej moc strażackich sikawek. Safira też jest blisko nas. Skupia się na nadawaniu odpowiedniego kierunku strumieniom

wody wypływającej z dysz, tak żeby zalewała ona hordy Gankanagów. Woda zostaje następnie zamrożona, co sprawia, że oblani nie potrafią się z niej wydostać.

Przyglądając się działaniom Safiry, spoglądam za nią na wodny strumień i Gankanagów znajdujących się blisko niej. Jakiejś drobnej postaci udaje się wydostać z wody, która nie jest jeszcze dostatecznie zamrożona. Nie widzę wyraźnie przez padający deszcz, ale ten akurat Gankanag nie przypomina innych, mocno zbudowanych żołnierzy. Ta postać ma kobiece... a właściwie dziewczęce kształty. Ślizga się w błocie, przedzierając się naprzód ku naszym pozycjom. Pada i pełźnie, oddalając się od innych, rozgląda się wokół z desperacją w oczach.

– Evie! Gdzie jesteś? Pomóż mi! – dociera do mnie głos przeżywającej katusze Molly.

– Molly – szepczę, przytłoczona zdumieniem, o które przyprawia mnie jej widok w takim miejscu.

Wysoki Gankanag zbliża się do niej od tyłu, łapie za ramię i brutalnym ruchem stawia ją na nogi. Molly szamocze się, żeby uwolnić się z jego rąk, ale nieruchomieje, kiedy napastnik uderza ją w twarz, i znów pada na ziemię.

Działając pod wpływem impulsu, wymykam się z chronionego obszaru za Reedem i najszybciej, jak potrafię, biegnę w stronę Molly. Słyszę, jak Reed wykrzykuje moje imię, ale nie potrafię się zatrzymać. Muszę spróbować pomóc osobie, która przez większość mojego życia była dla mnie jak siostra. Zamierzam zabić tego, kto ją przed chwilą uderzył. Z rąk Gankanaga, którego mijam, wrywam automatyczną broń. Przykładam ją do ramienia i zasypuję gradem kul żołnierza, który tak brutalnie potraktował Molly.

Kule z mojego karabinu nie zachowują się jednak tak, jak powinny. Zamiast trafiać do celu, zmieniają tor swego lotu i omijają Gankanaga, jakby odmawiały zabicia go. Zbliżam się do tej pary i widzę, jak Molly kuli się, leżąc na ziemi, odwrócona do mnie tyłem. Poprzez deszczową mgłę rozpoznaję pochyloną nad nią postać. W jednej chwili ogarnia mnie przerażenie: zaledwie o parę metrów od siebie mam stojącego nad Molly Brennusa.

– Ach, *mo chroí* – dyszy Brennus, jakby odczuwał ogromną ulgę na mój widok. – Świetnie wyglądasz.

Nie odpowiadam, tylko unoszę karabin i naciskam spust. Trzymam go tak długo, aż słyszę kliknięcie świadczące o tym, że opróżniłam magazynek. Z tak niewielkiej odległości z całą pewnością trafiłabym Brennusa, ale kule jakimś cudem go omijają.

– To zaczarowany karabin, Genevieve – wyjaśnia Brennus swobodnym tonem, wręcz rozbawiony moją reakcją na to, że wciąż stoi przede mną żywy. – Nie sądzisz chyba, że przyszedłbym tutaj po to, żeby ktoś mnie rozwalił z mojej własnej broni. To całkiem nie w moim stylu. – Odwraca się w stronę leżącej na ziemi Molly, podaje jej rękę. – Dzięki, dziewczynko.

Molly przyjmuje wyciągniętą dłoń i zrywa się na nogi z cichym chichotem. Odwraca twarz w moją stronę i uśmiecha się.

– Eaves, jesteś taka naiwna – mówi z przekorą, a ostre kły jak u jadowitego węża szpecą jej piękny uśmiech. – Naprawdę, powinnaś zobaczyć swoją twarz, kiedy zawołałam o pomoc. Miałaś taką smutną minę! Rozchmurz się! Od teraz będziemy się już świetnie bawić.

Serce mi się kraje na widok stojącego przede mną pięknego potwora, który był kiedyś moją przyjaciółką. Ma teraz znacznie dłuższe włosy niż w czasach, z których ją pamiętam, ale są w tym samym kasztanowym odcieniu brązu. Skóra, zawsze tak samo blada jak moja, teraz przypomina mleko i jest nieskazitelna.

Zabawiła się mną, żeby mnie odciągnąć od Reeda. Zaczynam powoli się cofać, ale po chwili muszę się zatrzymać, bo natrafiam plecami na ścianę lodu blokującą drogę powrotną do Reeda. Odwracam się, przyciskając rękę do grubego lodowego bloku. Staram się przez niego przeniknąć. Deszcz nagle ustał, a ja wykorzystuję całą swoją siłę, żeby rozbić zamrożoną fortecę, w której wnętrzu się znalazłam.

– Safira to moja dobra znajoma – odzywa się Brennus, wskazując lodową zaporę, która odcina mnie od wszystkich aniołów. – Powiedziałem jej, żeby skorzystała z twojej rady, kiedy przyjdzie odpowiedni moment: zamrozić aniołki w lodowym bloku, aż sobie pójdziemy. Chce je przed tobą ratować. Myśli, że jesteś samym złem – mówi konspiracyjnym tonem, a potem wzrusza ramionami. – Może ociupinkę się do tego przyłożyłem. Powiedziałem jej, że tak naprawdę jesteś moim szpiegiem. Potem już wszystko było bardzo proste.

Odwracam się, żeby spojrzeć mu w twarz i przyjmuję pozycję obronną.

– Będziesz mnie musiał tutaj zabić, bo nigdzie z tobą nie idę.

– Tak za tobą tęskniłem, *mo chroi*. Jesteś niezwykle trudnym wyzwaniem. Nie mogę cię tu zostawić, bo ten ifrit się po ciebie zgłosi. To paskudne stwory. Więc zabierzemy cię już teraz do domu... – Wyciąga ku mnie otwartą dłoń.

Unosi ją i zdmuchuje z niej jakiś pył, który wiruje w powietrzu jak skrzący się brokat. Pył opada na moją moką skórę i przykleja się do niej. Próbując go zetrzeć, czuję, że zaczynam się chwiać, a przed oczami pojawiają mi się czarne plamki.

– Proszę cię, Brennus, nie rób tego... – mamroczę słabym głosem, tracąc wszystkie siły i zdolność do oporu.

– Alfred miał rację w jednej sprawie: jesteś bardzo piękna, kiedy o coś prosisz, Genevieve. – Chwyta mnie w swój zimny uścisk i powstrzymuje przed upadkiem na ziemię. – Już niedługo nie będziesz musiała mnie o nic prosić. Oddam ci wszystko.

Patrzę w jego jasnozielone oczy i mruczę:

– Nie chcę cię...



Przez chwilę trzepoczę powiekami, po czym otwieram oczy i wpatruję się w ogromną rzeźbioną głowę Buddy. Leży obok kruszejącego torsu posągu, z którego spadła na ziemię. Widzę wszystko jak za mgłą, dryfując na wpół świadomie po krainie rozciągającej się między snem a jawą. Głowa posągu wygląda, jakby spała na poduszce z winorośli. Przychodzi mi do głowy, że muszę wciąż jeszcze być w Chinach, a może w Tybecie.

Kiedy podnoszę głowę, pokój wokół mnie dygocze i wiruje, więc kładę się z powrotem płasko na łóżku, rzucając jakieś przekleństwa. Zamykam oczy, ale od tego jeszcze bardziej kręci mi się w głowie, więc znów je otwieram, próbując skupić na czymś wzrok. Rozsuwane drzwi znajdują się po przeciwnej stronie pokoju niż łóżko i prowadzą bezpośrednio na zewnątrz. Są tak szerokie, że zajmują niemal całą ścianę; po bokach z obu stron znajdują się harmonijkowe drzwi, które po rozłożeniu odcinają pokój od świata zewnętrznego.

Przyglądam się otoczeniu poza tym pokojem i odkrywam szeroki, rozległy

kamienny taras, kruszejący ze starości. Krajobraz zdominowany jest przez bujny las z gęstymi drzewami. Taras otoczony jest najdziwniej wyglądającymi kamieniami, jakie zdarzyło mi się dotąd widzieć. Przypominają wielkie drzewa. Ma się wrażenie, że tysiące lat temu jakiś rodzaj pyłu pokrył drzewa, które w rezultacie zostały zamienione w kamień.

Poruszam głową na poduszce i widzę, że pokój bardzo przypomina ten, który dzieliłam z Reedem. Odsłonięte drewniane belki tworzą nade mną łuki kojarzące się z wygiętym dnem statku.

– I jak twoja *ceann*? – Cichy głos Brennusa dobiega z jakiegoś niedalekiego miejsca.

Serce podskakuje mi w piersi. Brennus szepcze do mnie coś po celtycku, coś, co brzmi kojąco. W tym samym czasie łóżko ugina się pod jego ciężarem. Brennus wyciąga rękę i delikatnie gładzi moje skrzydła, które w reakcji na jego dotyk zaczynają lekko trzepotać.

– *Póg mo thóin*, Brennus – odpowiadam sztywno, korzystając z nauk Russella, który powiedział mi, jak się po celtycku mówi „pocałuj mnie w dupę”. – Nie wiem, jak moja *ceann*, ale okropnie łupie mnie głowa, ty nikczemny dupku. Masz w ogóle pojęcie, co to za ból? – Mocno ściskam dłońmi skronie.

Potem sięgam za siebie i strącam jego rękę ze swoich skrzydeł. Obok siebie słyszę głęboki, dudniący śmiech jako reakcję na moją arogancką odpowiedź.

– Twoja *ceann* to właśnie twoja głowa, *mo shíorgrá* – odpowiada rozbawiony. – Przykro mi, że cię boli. Zapomniałem już, jaka jesteś delikatna. Musiałem użyć ociupinę za mocnego czaru... Byłaś nieprzytomna przez wiele godzin... znacznie dłużej, niż miałem w planach.

– Tak, następnym razem trochę mniej czarodziejskiego proszku proszę, dobra? – odpowiadam z sarkazmem w głosie, wciąż trzymając głowę w dłoniach.

Próbuję usiąść na łóżku, ale muszę przerwać te wysiłki, bo zsuwające się prześcieradło uświadamia mi, że leżę zupełnie nago.

– Ej! Gdzie moje ubranie? – Przyciskam do siebie prześcieradło, odwracam się w stronę Brennusa i piorunuję go spojrzeniem.

– Było mokre, więc je z ciebie ściągnąłem – odpowiada z ciepłym

uśmiechem. Opada plecami na poduszkę leżącą obok mnie i niewinnie podkłada sobie ramiona pod głowę. – Coś nie tak? Widziałem cię już przecież całą wcześniej, pamiętasz?

– Nienawidzę budzić się nago przy tobie! – wyrzucam z siebie i znów rzucam mu mordercze spojrzenie.

Oczy Brennusa się zwężają.

– Uważaj, Genevieve, chociaż tak cię teraz lubię, muszę pamiętać, że bez ciebie jest jeszcze gorzej – mówi przerażająco spokojnym głosem.

Wzdycham ze złością.

– Co to znaczy? – pytam, drwiąco upodabniając swój ton do jego głosu i robiąc wściekłą minę.

– To znaczy, że jestem na ciebie cholernie zły. Widziałem ten znak na twojej piersi – mówi oskarżycielsko i zaciska szczęki jak zazdrosny kochanek.

Ma na myśli skrzydła Reeda wypalone nad moim sercem.

– O mało przy tym nie zwariowałem. Finn musiał mi uświadomić, że sam sobie jestem winien, bo nie okazałem dostatecznej siły, żeby cię zatrzymać. Wiem, że to moja wina. Popchnąłem cię w jego ramiona, prawda? – pyta retorycznie. – Nie będę już taki słaby, obiecuję.

– Twoje słabości nie mają nic wspólnego z moim związkiem z...

Brennus mi przerywa.

– Nie wymawiaj tego imienia przy mnie – ostrzega i wydaje groźny pomruk.

– Dobrze – godzę się, bo widzę po jego oczach, że kipi z wściekłości.

Siedzi obok mnie i dyszy ciężko.

– Nie będziemy o nim mówić. Kiedy się skontaktowałaś z Safirą? – pytam cicho, czując gęsią skórę na ramionach i zdając sobie sprawę, jak bardzo muszę uważać na to, co mówię i robię, dopóki nie znajdę sposobu na ucieczkę z tego miejsca.

Wściekły Brennus jest dla mnie bardzo niebezpieczny i... bywa bolesny.

– Obserwowaliśmy cały wasz teren. Widzieliśmy, jak zjawiają się ondyny. Zdałem sobie sprawę, że niektóre znam, ale nie wiedziałem, co tam robią, dopóki nie porozmawiałem z Safirą. Powinnaś mi powiedzieć o ifricie.



Aniołki nie potrafią cię tak przed nim ochronić jak my. – Brennus z trudem opanowuje gniew.

– Nie chcę twojej ochrony. – Też staram się zachować spokój.

– Aha, więc teraz chcesz się zadawać z ifritem. To mały uparty gnojek. Musiałem blokować jego czary co najmniej z dziesięć razy, bo chciał mnie nimi dosięgnąć, jak spałem – wyjaśnia Brennus.

– Potrafisz blokować czary ifrita? – pytam go z zaciekawieniem, wpatrując się w jego twarz.

– Potrafię. – Zdecydowanie kiwa głową.

– Jak?

W trakcie tej rozmowy boję się choćby głębiej odetchnąć.

– To nietrudne. – Wzrusza ramionami. – Jestem bardzo potężny.

Przyglądam mu się w milczeniu; nie zamierzam dyskutować. Rzeczywiście jest potężny. Jego oddziały weszły do siedziby Dominium, a potem wysadziły ją w powietrze. Już wcześniej zdołał stwierdzić, gdzie jestem, a teraz dokonał tego znowu. Chociaż właściwie to Safira podała mnie na tacy, kiedy zamroziła anioły w lodowym bloku, odgradzając mnie od nich ścianą, ale jednak potrzeba było wielkiej mocy, żeby taki plan skoordynować.

– Skąd wiedziałeś, że Safira ci pomoże? – pytam.

– Nie wiedziałem. Potrzeba matką wynalazku. Potrzebowałem kogoś wewnątrz waszej grupy, więc zbadałem wszystkie możliwości. Plan powstał, kiedy stwierdziłem, że ona potrzebuje sojusznika, żeby osiągnąć to, na czym jej zależy. A zależało jej na tym, żebyś znikła. Rozumiesz? – kończy lekcję strategii.

Przytakuję.

– Ale dlaczego pozwoliłeś, żebyśmy z Russellem wyszli z jaskini w Houghton, skoro znasz te wszystkie czary? – dopytuję podejrzliwie, bo nie rozumiem, dlaczego nas wtedy nie powstrzymał.

– Za duże było ryzyko, żeby czegoś próbować w tej sytuacji – wyjaśnia łagodnym głosem. – Chciał cię zabić tamtym granatem, a ja widziałem, że wcale nie boi się śmierci. A poza tym miałem jeszcze sporo twojej krwi, a to tak jakbym wypił najśłodszą truciznę. – Brennus ze smutkiem kręci głową.

– Aż tak źle smakuję? – Nie rozumiem jego słów, bo kiedy mnie próbował, najwyraźniej miał inną opinię.

– Nie, czułem, jakbym smakował niebiosą. Tylko nie podobało mi się to, co się potem ze mną stało. – Robi gniewną minę.

– A co się z tobą stało? – pytam z chorobliwą ciekawością.

– Całkiem się pogubiłem... poczułem się nieszczęśliwy i... no cóż, pijany – mówi, wpatrując się zielonymi oczami w moją twarz, jakby uczył się jej na pamięć z najdrobniejszymi szczegółami. – Nawet nie potrafiłem zabić tamtych koleś, kiedy nie dali rady rojowi aniołków.

– Chodzi ci o ten moment, kiedy się wykąпали w rzece Świętego Wawrzyńca, a mnie nie było w zamku? – pytam, siłą woli powstrzymując się od śmiechu; przypominałam sobie minę Declana, kiedy Reed wrzucił go do wody.

– No właśnie – mówi Brennus, patrząc, jak drgają mi kąciki ust.

Coś dzieje się przy tym z jego oczami: nabierają łagodniejszego wyglądu, jakby i on był rozbawiony tym wspomnieniem. Kruczoczarne włosy ma ułożone elegancko nad czołem. Jak to jest, że ten demon ma wygląd anioła? – zadaję sobie pytanie i odwracam wzrok, czując, jak jakaś ciemność we mnie pcha mnie ku niemu. Przeraza mnie, że wciąż jest w nim dla mnie coś atrakcyjnego, tak jak wtedy, gdy mu się poddałam i całowałam go, nim uratował mnie Russell.

Odchrząkuję i pytam z udawaną nonszalancją:

– Mógłbyś zabić ifrita?

Wodzę palcem po jedwabnym prześcieradle i staram się nie patrzeć na Brennusa. Czekam na jego odpowiedź, a moje serce bije coraz szybciej.

– Rozwiążę ci problem tego ifrita – rzuca Brennus, jakby to była pieszczota.

Delikatnie przesuwam palec po moim ramieniu. Mam wrażenie, że gładzi mnie kostką lodu, ale nie jest to przeżycie odrażające, jak dawniej. Ma ono zmysłowy charakter i sprawia, że zaczynam pragnąć czegoś, co teraz potrafię już zdefiniować.

– Nie musisz się go bać – mówi zmysłowym głosem.

W głowie mam gonitwę myśli. Wiem, że go zabije, kiedy tamten przyjdzie po mnie, ale wtedy może być za późno, żeby ratować Russella i Brownie.

– I co teraz? – pytam nagle.

Zaczynam pogrążyć się w niepokojach. Muszę wiedzieć, co Brennus planuje. Obiecał, że jeśli do niego wrócę, nie będzie próbował mnie przemienić, ale ja przecież nie wróciłam. Zmusiłam go, żeby po mnie przyszedł.

– To zależy od ciebie, *mo chroí*. – Obserwuje mnie spod przymkniętych powiek.

– Naprawdę? – pytam, próbując pokonać strach, który we mnie wzbiera, kiedy szok związany z powrotem do kryjówki Brennusa przestaje już na mnie działać.

– Naprawdę. Tym razem mam zamiar cię zatrzymać, Genevieve – oznajmia stanowczo. – Musisz zrozumieć, że jesteś tu przy mnie znacznie bezpieczniejsza niż z aniołkami. Oni nie potrafią cię ochronić. Musieli wezwać ondyny, a jedna z nich chciałaby cię widzieć martwą. – Przerywa na moment, a po chwili dorzuca z wrogą miną: – Oddajesz się w ręce wrogów zamiast w ręce swoich bliskich.

– Chciałbyś, żebym była nieżywa – oskarżam go, obawiając się jednocześnie, że w tym, co mówi, jest trochę racji.

– Nie, chciałem, żebyś była ożywionym, a to zasadnicza różnica. Sam zresztą nie wiem, czego chcę teraz – mówi miękko.

– Co takiego? – Jestem dezorientowana.

– To, co słyszałaś – odszczekuje. – Lubię cię taką, jaka jesteś teraz. Co by było, gdybym cię zmienił w jedną z nas, a ty...

Otwieram szeroko oczy ze zdumienia.

– Czego się boisz? Co się może zdarzyć, jeśli zmienisz mnie w Gankanaga? – pytam, widząc jego gniewną minę.

Palec Brennusa wciąż obrysowuje kontur mojej twarzy.

– Nie chcę, żebyś była inna niż teraz. I tyle – odpowiada.

– Mogłabym stać się trochę mniej niebezpieczna, a wy przecież jesteście zakochani w niebezpieczeństwie. Czy to o to chodzi? – pytam i od razu wiem, że mam rację, bo Brennus opuszcza palec i patrzy mi w oczy. – Nie martw się

– szepczę. – Jeśli obiecasz, że będziesz trzymał swoje kły z daleka ode mnie, obiecuję, że stanę się jeszcze bardziej niebezpieczna.

Widzę, że kąciki jego oczu nabierają jeszcze łagodniejszego wyrazu. Chce tego... chce zobaczyć, jak potężna się stanę, kiedy mój potencjał w pełni się rozwinię – myślę, widząc, że patrzy na mnie, jakbym była najmodniejszą zabawką w tym sezonie.

– Musimy zawrzeć umowę, *mo chroi* – mówi Brennus stanowczo. – Wiem, że mi ani trochę nie ufasz. Finn mówi, że masz powody, żeby mi nie wierzyć, a ja wiem, że ma rację. Nigdy nie powinienem był testować na tobie naszych metod. Traktowałem cię jak czarodziejskiego duszka, a nie jak aniołka, którym przecież jesteś. Żałuję, że cię tak skrzywdziłem. Zamknąłem cię w celi, a to była w twoim przypadku zła rzecz, przyznaję.

Ze zdumienia opada mi szczęka. Ta nie wiadomo jak stara, zła istota, nauczona brać sobie, cokolwiek chce, przez wieki, od kiedy kręci się po świecie – a to oznacza naprawdę sporo czasu – właśnie okazała skruchę z tego powodu, że mnie skrzywdziła.

– Brennus, czy ty kiedykolwiek w życiu kogoś przeprosiłeś? – pytam zdumiona.

– No, nie. Czy zrobiłem to prawidłowo? – Unosi brew i robi szczerze zatroskaną minę.

Przytakuję krótko, zbyt zdziwiona, żeby coś odpowiedzieć. Zupełnie nie tego się po nim spodziewałam. Sądziłam, że ukąsi mnie, kiedy tylko uzna, że może to bezpiecznie zrobić. A ja potem będę wić się w boleściach, dopóki nie podzieli się ze mną swoją krwią, czyniąc ze mnie niewolnika-ożywieńca. Nie przygotowałam natomiast żadnej strategii radzenia sobie z jego przeprosinami zamiast z atakiem.

– Czego ty ode mnie chcesz, Brennus? – wyrzucam z siebie.

Jestem zanadto zaszokowana, żeby zwracać się do niego inaczej niż całkiem szczerze.

– Och, tylu rzeczy bym chciał od ciebie – mówi, a jego głos brzmi jedwabście. – Ale żeby do nich dotrzeć, musimy zbudować między nami jakieś zaufanie. Nie mam pewności, że nie uciekniesz przy pierwszej okazji, która się nadarzy. Dlatego wciąż jesteśmy w Chinach. Nie mogę cię zabrać do

domu, póki nie będę miał od ciebie gwarancji, że nie czmychniesz ani nie sprowadzisz na nas hordy aniołków, którzy będą chcieli cię odbić. Jeśli cię przemienię, będę miał pewność, że ze mną zostaniesz, bo będziesz ze mną związana. Będę twoim *máistir*. Ale ja nie chcę ciebie jako mojej *sclábhaí*. Chcę, żebyś była moją królową. Żebyś to ty mnie wybrała.

– A co znaczy *sclábhaí* i *máistir*? – Serce bije mi szybciej.

– Niewolnica i pan.

Nie chce, żebym była jego niewolnicą. Chce, żebym była czymś więcej... – myślę i od razu czuję, jak mi się robi słabo.

Brennus mówi dalej.

– Muszę wiedzieć, czego ty ode mnie chcesz, żebyśmy się mogli potargować.

– Nauczono mnie, że to podejrzana sprawa targować się z kimś złym – odpowiadam cicho.

Prycha pogardliwie.

– Nie mam wątpliwości, że tak cię ktoś uczył. I nie mam wątpliwości, że ten nauczyciel w którymś momencie musiał uważać, że jesteś zła.

Nie potrafię temu zaprzeczyć. Wszystkie anioły w pewnym momencie uważały, że jestem zła – może oprócz Buns i Brownie, które mnie nigdy o nic nie pytały. Przychodzą mi do głowy słowa Prebena: to on powiedział, że Gankanagowie nie robią niczego, co nie jest wyraźnie w ich interesie.

– Brennus, musisz już wiedzieć, czego chcę, więc czemu mi nie powiesz, co zaplanowałeś? Wiem, że niczego nie zostawiłbyś na los szczęścia. Musisz mieć obmyślony jakiś plan, jak mnie tu zatrzymać – mówię, odwołując się do jego zmysłu strategicznego.

Brennus wydaje z siebie głęboki, dudniący śmiech, świadczący o czystej przyjemności. Patrzy na mnie, a w jego oczach widać zmysłową ciemność.

– Jesteś taka mądra, *mo chroí*. Przez najbliższe dziesięć tysięcy lat nie będę w stanie rywalizować z takim umysłem jak twój. Będę musiał ciężko pracować, żeby cię zdobyć w jakiejś niezbyt odległej przyszłości. – Uśmiecha się, a ja staram się nie odsuwać od niego, kiedy wyciąga rękę i delikatnie bawi się moim lokiem. – Chciałbym, żebyśmy się porozumieli. Obronię twoje aniołki przed ifritem, a ty za to zgodzisz się zamieszkać ze mną – mówi

łagodnie.

– Brennus, ale my już mamy swój plan w tej sprawie – blefuję, bo nie wiem, czy Reed i Zefir rzeczywiście opracowali jakiś plan ratowania Russella i Brownie.

– Rozwaliłem ten plan – rzuca nonszalancko Brennus. – Wasz plan obejmował ondyny. Teraz, kiedy nastawiłem Safirę przeciwko aniołkom, inne rusałki nie będą bronić aniołków przed ifritem. One się zwykle trzymają razem, wiesz? Bez naszej pomocy aniołki poumierają.

– Brennus, potrzebuję swoich ubrań – mówię szybko, nerwowo przeciągając dłonią po włosach.

– Nie potrzebujesz żadnych ubrań... – Wędruje wzrokiem po moim ciele.

Czuję się przy tym tak, jakby potrafił widzieć przez zakrywające mnie prześcieradło.

– Ależ tak, potrzebuję. Potrzebuję ich po to, żebym mogła wyjść z łóżka i zmienić pozycję. Muszę pomyśleć, a to mi się nie uda, jeśli będę siedziała tutaj – tłumaczę sfrustrowana.

– O czym ty masz myśleć? Przecież to proste. Daję ci to, czego chcesz, a ty mi dajesz to, czego ja chcę – wypala Brennus z uśmiechem.

– Proszę cię, daj mi ubrania – powtarzam.

Ciężko wzdycha.

– Proszę bardzo.

Macha ręką i na moich kolanach pojawiają się ładnie poskładane w kostkę ciuchy. Muszę mieć zdziwioną twarz, bo Brennus śmieje się jeszcze szerzej.

– Niedługo cię nauczę, jak to robić – obiecuje.

Dygocząc z wrażenia, jakie robi na mnie moc jego magii, szybko wciągam na siebie dzinsy i bluzkę. Czuję ulgę z powodu ich odzyskania. Sznuruję buty, wstaję z łóżka i zaczynam krążyć po pokoju. Podchodzę do drzwi wychodzących na las. Czuję się jak zwierzę w klatce, której drzwi zostały szeroko otwarte. Chcę uciekać, ale boję się tego, co może się stać, jeśli to zrobię. Kładę dłoń na jednym ze skrzydeł drzwi harmonijkowych i rzuca przez ramię:

– Twój plan zakłada uratowanie tylko dwóch spośród moich aniołów. Jeden

z nich zrobi wszystko, żeby mnie odzyskać.

Wiem, że Reed nie spocznie, aż będę znowu z nim.

– Bardzo proszę, niech próbuje – oświadcza Brennus ze śmiertelnym spokojem. – Liczę na to. Muszę go usunąć z twojego serca, a to się może stać tylko wtedy, kiedy będzie martwy.

W głębi duszy krzyczę z bólu, ale na zewnątrz staram się zachować spokój, choć trzęsą mi się ręce.

– Wiesz, przyszła mi do głowy inna możliwość.

– Nie widzę innej możliwości dla ciebie. Ja ratuję twoich przyjaciół, a ty godzisz się zostać ze mną jako moja królowa. Jeśli nie, to ja cię gryzę, ty z nami zostajesz jako moja niewolnica, a twoich przyjaciół zostawiam, żeby zgnili. – Brennus stawia sprawę prosto.

– Albo jeszcze inaczej: mogłabym ci pokazać, jak bardzo kocham swojego anioła. Potem byś mnie stąd wypuścił, a ja uratowałabym Brownie i Russella, radząc sobie z ifritem – mówię, nie patrząc na niego, ale na świat znajdujący się poza drzwiami.

Wyczuwam, że tam pewna liczba Gankanagów krąży wokół pokoju, jeszcze więcej chowa się w kamiennym lesie, otaczając nas ze wszystkich stron.

– Ten plan brzmi całkiem nieprawdopodobnie, *mo chroí* – odpowiada spokojnie Brennus, wstaje z łóżka i podchodzi do mnie.

Zatrzymuje się na tyle blisko za mną, że dolatuje do mnie jego słodkawy zapach. Nie jest już tak nieprzyjemny jak dawniej. Czuję emanujący z jego ciała chłód, który jednak w tej akurat chwili przyciąga mnie do niego.

– Jak zamierzasz to wszystko zrobić? A szczególnie pokazać mi, jak bardzo kochasz swojego aniołka? – pyta, a moje ciało zdradza mnie, bo reaguje na jego bliskość.

– To najłatwiejsza część planu, *mo sclábhaí* – szepczę, nazywając Brennusa swoim niewolnikiem. Odwracam ku niemu twarz.

Jest tak blisko mnie, na odległość szeptu. Staram się zogniskować całą swoją miłość do Reeda w jednym idealnym słowie. Pokój zaczyna wirować, a mój klon wystrzeliwuje ze mnie. Zaskoczony Brennus cofa się o krok. Nie ma dość czasu, żeby uniknąć mojego sobowtóra, który wnika w niego, niosąc ze sobą moje uczucia. Wyraz błogości wykwita na twarzy Brennusa, ale znika

na dźwięk towarzyszącego przekazowi słowa „Reed”.

Rysy Brennusa zmieniają się: na jego twarzy pojawia się zazdrosny wyraz czarnej wściekłości. W tej samej chwili wypadam przez wejściowy łuk pagody i zbiegam w dół po kruszących się kamiennych schodach. Czuję, że kolesie Brennusa zbierają się, żeby mnie zatrzymać. Przystaję więc na krótką chwilę i przyklękam na jedno kolano. Uwalniam z siebie pewną liczbę swoich klonów, mniej więcej piętnaście, i każę im się rozbiec we wszystkie strony. Ja zaś mknę przed siebie, uciekając w las razem ze wszystkimi towarzyszącymi mi wizerunkami mnie samej.

Wokół mnie powstaje ogromne zamieszanie. Pościg rozdziela się na kilka grup, próbujących gonić poszczególne klony, które wydają się prawdziwą mną. Ale nie mam czasu cieszyć się zwycięstwem, bo część Gankanagów nie daje się zmylić i w dalszym ciągu podąża za mną. Declan i Goban pojawiają się po mojej lewej stronie, więc skręcam gwałtownie, żeby ich uniknąć. Ścigający mnie Declan jest szybszy, niż się spodziewałam. Słyszę za sobą jego warczenie, a potem słowa:

– Genevieve, ty cholerna łajdaczko!

Coś świszczy mi koło głowy i uderza w drzewo przede mną, uwalniając deszcz ognia, który podpala ziemię wokół mnie. Declan korzysta z magii, żeby sprowadzić na mnie śmierć w płomieniach. Pieprzone duszki... Robię unik przed kolejnym prysznicem z iskier.

Ogień odbija się rykoszetem od otaczających mnie skał. Pędzę coraz szybciej ścieżką, która zwęża się i wije w górę w kierunku jakiegoś szczytu. Po obu stronach mam skalne ściany, więc nie mogę zmienić kierunku, w którym gnam. Udaje mi się oddalić od Declana, ale wciąż słyszę bzdury, które wykrzykuje.

– Tik, tak, tik, tak... BUUM! – wrzeszczy w chwili, kiedy za mną, w miejscu, gdzie przed chwilą byłam, rozlega się ogłuszający wybuch.

Drży od niego ziemia, a w moich ustach pozostaje gorzki smak strachu. To nie jest zabawa. Declan prawdopodobnie wciąż jest na mnie cięty za to, że go zrzuciłam z zamkowego balkonu, kiedy widzieliśmy się ostatnio.

– Poddaj się, Genevieve. Ta ścieżka prowadzi w górę i w górę – dobiegają mnie z tyłu słowa Declana. – Nie ma gdzie uciekać – mówi, a w jego głosie słyszę śmiech, który działa na mnie jak spuszczone z góry kowadło: miążdży



mojego ducha, bo widzę, że Declan nie kłamie. Ścieżka kończy się bowiem na szczycie wzniesienia altanką widokową wybudowaną tam dawno, dawno temu.

Kiedy docieram na szczyt, rozglądam się na wszystkie strony, ale dalej nie ma już dokąd uciekać. Schodzę ze ścieżki i wbiegam do wnętrza altanki. Skupiam wzrok na Declanie, który dobiega właśnie na wierzchołek. Cofam się, ale po chwili dotykam plecami poręczy. Odwracam głowę i spoglądam przez ramię. Widzę strome, kilkusetmetrowe urwisko, a pod nim skalisty teren.

Declan ostrożnie zbliża się do mnie. Bezpośrednio za nim skrada się Goban i jeszcze jakiś Gankanag, którego wcześniej nie widziałam. Kły tego nieznanego wysuwają się, a kiedy osiągają pełną długość, słychać charakterystyczne kliknięcie. Koleś próbuje ominąć Declana i dotrzeć do mnie, ale Declan gwałtownie wyciąga rękę i powstrzymuje go przed wejściem do altany.

– Byłaby słodka w smaku, Keefe, ale słono byś za nią musiał zapłacić. Należy do Brennusa: nikomu nie wolno jej tknąć, chyba że po to, by jej uniemożliwić ucieczkę.

Widzę pragnienie w oczach Keefe'a patrzącego na mnie tak, jak patrzy zaburzony umysłowo psychopata. Od tego wzroku wszystkie włosy na moim ciele stają dęba.

– Ojej, Genevieve, dokąd ty się wybierasz? – Declan unosi brwi.

Robi wrażenie człowieka, który nieustannie zadaje pytania. Wygląda na starszego od Brennusa; musiał pewnie być w sile wieku, kiedy został przemieniony i stał się ożywieńcem, ale nadal jest pociągający, jak wielu atrakcyjnych, starszych facetów.

– Kto, ja? No wiesz, gorąca randka z ifritem. Nie mogę się spóźnić, bo pozabija moich przyjaciół, więc jeśli się nie pogniewsz, to ja już... – zaczynam mówić.

Declan marszczy czoło.

– Teraz znowu ifrit? – pyta dramatycznym głosem. – To jak opowiadać bzdury śmieciowi, znaczy rozmowa z ifritem. Nikt ci nie powiedział, że diabeł, którego znasz, jest zawsze lepszy od takiego, którego nie znasz?

– Rozumiem, że według ciebie to Brennus jest diabłem, którego znam? –

pytam, dociskając plecy do poręczy altany.

– Tak jest – odpowiada Declan i stawia krok, żeby wejść do altany, czym zmusza mnie, żebym wspięła się na poręcz i rozejrzała po leżącej daleko pod mną dolinie.

– Więc zostań z tym diabłem, a ja ci życzę wszystkiego najlepszego – odpowiadam, starając się rozłożyć skrzydła najszerzej, jak się da.

– Genevieve, tam, skąd my pochodzimy, jest jeszcze inne powiedzenie – mówi Declan, przyglądając mi się, jak trzymam się słupka i spoglądam przez ramię za siebie.

– Tak? A jakie? – pytam, zbierając w sobie odwagę potrzebną do skoku.

– Kto ma na nogach buty, nie dba o to, gdzie postawi stopę – odpowiada Declan. – Jeśli znowu każesz Brennusowi cię ścigać, postawi stopę na twojej szyi.

– Wiesz, Declan, tam, skąd ja pochodzę, też są różne powiedzenia – mówię, odwracając się, żeby na niego popatrzeć.

– O, a jakie, Genevieve? – pyta całkiem poważnie, zbliżając się powoli do mnie.

Podnoszę w górę oba środkowe palce i kieruję je w jego stronę, jednocześnie zeskakuję z poręczy altany i zaczynam spadać.

## Rozdział 9

# *Nieświęty kościół*

Lecąc, zauważam, jakiego mam straszego pecha: wciąż muszę oglądać Declana, który też rzuca się w dół ze skraju altany. Nie sprawia wrażenia bardzo szczęśliwego. Kiedy mknie w moim kierunku, jego twarz zmienia się w maskę wyrażającą determinację. Widać w niej też wielką gorycz, kiedy z szyderczym uśmiechem obnaża ostre jak sztylety kły. Być może pogniewał się na mnie za gest, który mu pokazałam, skacząc z barierki, a może wścieka się, że zmusiłam go do kilkusetmetrowego lotu w dół. W każdym razie jest zdenerwowany.

Obracam się i rozkładam skrzydła najszerzej, jak potrafię, ale to mnie spowalnia. Ponieważ Declan porusza się jak pocisk o aerodynamicznych kształtach, za kilka sekund zdoła mnie złapać, a wtedy oboje zaczniemy spadać ku szybko przybliżającej się ziemi. Sądząc z tego, że jeszcze w naszym poprzednim miejscu pobytu kilku Gankanagów zleciało nagle z nieba, te stwory muszą mieć jakiś sposób na amortyzowanie upadku. Jestem głęboko przekonana, że kiedy już wylądujemy, Declan nie będzie się zachowywał wobec mnie zbyt delikatnie.

Ogarnia mnie panika, kiedy widzę przez ramię, że Declan wyciąga rękę, żeby złapać mnie za kostkę. Kopię nogą i staram się uniknąć jego dłoni, mając nadzieję, że przeleci obok mnie. Ale wszystko wskazuje na to, że Declan jest prawdziwym specjalistą od swobodnego spadania. Pewnie dlatego, że zanim został Gankanagiem, miał skrzydła. Zostały one zniszczone, kiedy przemieniono go w złego ożywieńca, ale w tej chwili wydaje się, że ich nie potrzebuje. Śmieje się do mnie, bo i on zdaje sobie sprawę, że nie potrafi

radzić sobie bez skrzydeł.

Czuję, że moje skrzydła łapią prąd wstępujący i zaczynają trzepotać w strumieniu powietrza. Ten ruch coś we mnie wyzwala, jakiś głęboko tkwiący instynkt. Koncentruję się na ruchu skrzydeł, na doznaniach, które mi daje, na miejscu, w którym powstał. Z pewnym wysiłkiem podnoszę lewe skrzydło w górę, co owocuje ostrym skretem w prawo. Declan nie spodziewał się takiego ruchu, więc przemyka obok, mijając mnie o centymetry. Koncentruję się z jeszcze większą mocą i zaczynam rytmicznie poruszać skrzydłami, w górę i w dół. Rezultat jest zadziwiający: przestaję spadać i wznoszę się do góry. Spoglądając w dół, widzę Declana, który nadal leci ku ziemi. Jego ponura mina wyglądałaby niemal komicznie, gdyby nie była tak przerażająca. Ale ponieważ jestem, kim jestem, macham do niego delikatnie ręką, widząc go spadającego gwałtownie w dół.

Nadal poruszam skrzydłami i po krótkiej chwili uświadamiam sobie, że frunę. To znaczy, że NAPRAWDE FRUNĘ, a nie szybuję jak wtedy z Russellem w lasach koło Houghton. Idzie mi to wolno, nie poruszam się bardzo szybko ani nie pokonuję wielkich odległości, ale z pewnością się przemieszczam. Staram się trzymać z dala od surowo wyglądającej ściany klifu, tak żeby Goban ani Keefe nie mogli wylądować na mnie, gdyby zdecydowali się skoczyć z altany i mnie gonić.

Kiedy jestem już dość daleko, odwracam się i spoglądam w stronę altany. Kilku Gankanagów obserwuje mnie, stojąc na poręczy, a wśród nich bez trudu rozpoznaję sylwetkę Brennusa. Przeszywa mnie strach, kiedy widzę, jak Brennus wyciąga rękę w moją stronę, wskazując, że powinnam do niego wracać. Coś mnie do niego ciągnie, jakby był moim panem. Walcząc z tym uczuciem, odwracam się i kieruję się w przeciwną stronę, zastanawiając się, jak daleko jestem w stanie odfrunąć. Próbuję też sobie uświadomić, gdzie jestem.

Fruwanie jest o wiele trudniejsze niż bieganie – bez porównania trudniejsze. To coś zupełnie innego niż lot z Reedem, w jego ramionach, kiedy mój ukochany z lekkością wzbija się w niebo. Teraz czuję się jak latawiec. Jestem miotana w kierunku, w którym chce mnie porwać wiatr. Muszę walczyć z prądami powietrznymi, jeśli chcę zachować względnie prosty tor lotu. Bardzo szybko zaczynam odczuwać zmęczenie, wciąż boli mnie głowa od magicznego proszku, którego użył przeciwko mnie Brennus, jestem też

wyczerpana walką z Declanem i unikaniem jego ogniowych pocisków. Muszę odpocząć i na nowo zorganizować... znaleźć telefon... zadzwonić do Reeda.

Reed musi odchodzić od zmysłów ze zmartwienia; wzdrygam się, jednocześnie obniżając lot i szykując się do lądowania. Gęsty las pode mną wywołuje we mnie panikę, bo nie mam zielonego pojęcia o tym, jak się opada na pustym terenie, a co dopiero w lesie. Ale muszę wylądować, bo inaczej po prostu runę z nieba.

Zbliżając się do drzew, mocno wciągam skrzydła do środka. Większość drogi w dół udaje mi się przebyć między gałęziami. Ale bliżej ziemi, gdzie stają się one gęstsze, wpadam na konar sosny i spadam z kilku metrów na ziemię. Czuję, że kompletnie brak mi sił i tchu, leżę przez parę minut, starając się uspokoić oddech. Kusi mnie, żeby zostać w tym miejscu na zawsze. Boli mnie całe ciało i potrzebuję odpoczynku, ale zmuszam się do powstania z ziemi i potykając się, ruszam naprzód. Muszę znaleźć jakieś miasto, żeby się zorientować, gdzie jestem.

Ciężko dysząc, opieram się o skałę. Chwiejnym krokiem mijam kilka ogromnych drzew, po czym nieruchomieję, bo słyszę, jak ktoś mówi „Evie”.

Zbieram się do biegu, ale zatrzymuję się, kiedy dociera do mnie, z kim mam do czynienia. Robię wydech i głośno wołam:

– Fedrus! Jak mnie znalazłeś? – Odwracam się i na niepewnych nogach ruszam w jego stronę.

Opieram się na jego piersi, a on podtrzymuje mnie i przytula do siebie. Patrzę w jego czarne oczy.

– Mam dryg do odnajdywania moich obiektów, kiedy mnie naprawdę potrzebują. – Uśmiecha się, otrzepując mnie z sosnowych igieł. – Twarde lądowanie? – pyta, wciąż mnie podtrzymując, bo ledwo stoję.

– Trochę.

Składam głowę na jego ramieniu, czując na policzku jedwabisty dotyk mięciutkich piór jego skrzydeł. Fedrus masuje mi ramiona, próbując mnie rozgrzać. Wstrząs wywołany tym, co się wydarzyło, właśnie zaczyna do mnie docierać.

– Lepiej ruszajmy w drogę, Evie. – Fedrus wciąga nosem powietrze. – Czuję ich. – Widząc przerażenie w moich oczach, dodaje: – Nie są blisko, ale

niedawno tędy przechodzili. Denerwuje mnie to.



Łapie mnie za rękę i zaczyna odciągać od miejsca, w którym wylądowałam. Wyciąga z kieszeni baton proteinowy i wręcza mi go z uśmiechem.

– Skąd wiedziałeś? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Tak sobie pomyślałem, że jesteś głodna.

Rozrywam opakowanie, wpycham sobie prawie cały baton do ust i szybko go przeżuвам. Kiedy udaje mi się go przełknąć, pytam:

– A kiedy zacząłeś widzieć mój obraz w głowie?

– Ostatniej nocy – odpowiada. – Widziałem, jak schwytali cię Gankanagowie. Wracałem już do naszego kompleksu mieszkalnego, bo widziałem w głowie różne rzeczy, od których zacząłem się o ciebie niepokoić. Byłem w kontakcie z Reedem i Zefirem. Planują atak na Gankanagów, żeby cię odzyskać, kiedy tylko ustalą, gdzie oni są. Nie wiedziałem, że uciekłaś, zanim nie zobaczyłem tego w głowie. Oni tego nie wiedzą – mówi Fedrus.

– Gdzie oni teraz są? – pytam przerażona.

– Wciąż są jeszcze w naszym kompleksie. Wybili większość Gankanagów, którzy pozostali w tamtej okolicy po tym, jak Brennus cię porwał. Reed i Zefir nie wiedzieli, dokąd cię zabrał, więc przepytawali w tej sprawie Gankanagów, którzy przeżyli.

– A co z Brownie i Russellem? Znalazłeś ich? – pytam.

Wargi Fedrusa wykrzywia grymas bólu.

– Chyba wiemy, gdzie oni są. Mieliśmy plan... Opowiem ci o nim, kiedy spotkamy się z Reedem i Zefirem – mówi tajemniczo Fedrus. – Muszę teraz wyprowadzić nas z tych gór, żebyśmy mogli znaleźć jakąś stację przekaźnikową. Tu nie ma zasięgu, więc jesteśmy odcięci od innych.

Zwalniam kroku, chwytam Fedrusa za rękę i zatrzymuję go.

– Co się stało? Czy ondyny rzeczywiście się wycofały? – pytam. – Przez to, co zrobiła Safira?

Fedrus spogląda na mnie, a potem delikatnie popycha mnie, żebym szła dalej.

– Evie, to jest bardziej skomplikowane. – Wybiera drogę między gęstymi drzewami i po poszarpanych skałach.

– Domyślam się. Dlaczego mi nie chcesz o tym opowiedzieć? – Idę śladem Fedrusa.

– Niewiele brakowało, a Reed zamordowałby Safirę. Gdyby nie Zefir, już by było... – Fedrus milknie. – W każdym razie słyszałem, że przez Reeda mało który z Gankanagów przetrwał. Zefir musiał mu zabronić przesłuchiwania więźniów, bo Reed całkiem się zapominał i ćwiartował ich jednego po drugim.

– Och – mruczę, wiedząc, że muszę do niego wrócić, uświadomić mu, że wszystko ze mną w porządku. – Więc tak się wścieka...

Fedrus rzuca mi z ukosa spojrzenie świadczące, że moje słowa zdecydowanie nie oddają w pełni powagi sytuacji.

– Poprawi mu się, kiedy cię zobaczy. Wątpię, czy po czymś takim pozwoli ci się w ogóle gdziekolwiek wybrać, więc ciesz się widokami, póki możesz – mówi Fedrus półżartem, starając się wprowadzić weselsze tony w rozmowę na ponury temat.

Nieruchomieję, wypuszczam z ręki dłoń Fedrusa.

Nie, Reed nigdy już nie spuści mnie z oka ani nie pozwoli się zbliżyć do czegokolwiek choćby trochę niebezpiecznego. Po czymś takim na pewno nie. Nic mi nie powie o Brownie i Russellu. Oni już właściwie są martwi – pozbawieni pomocy ondyn. Nie mają prawie żadnych szans. To dlatego Fedrus ich zostawił, żeby odnaleźć mnie. Mnie jeszcze może pomóc, im nie.

– Wiesz, Fedrusie, drobna zmiana planów – mamrocę. Wiem, że nie spodoba mu się to, co mam do powiedzenia. – Nie możemy wracać do naszych mieszkań ani spotkać się z Reedem – kończę, niemal dławiąc się swoimi słowami.

– Nie? – pyta zdezorientowany.

– Wrócisz, żeby pomóc Brownie i Russellowi, prawda?

Jego twarzy robi się ponura.

– Po prostu muszę.

– No więc ja też – odpowiadam.

Ściąga brwi.

– Nie. Zostałem tu wysłany, żeby cię chronić – stwierdza stanowczo.

– Jesteś tego pewien? A według ciebie, dlaczego nie mogłeś ich wcześniej znaleźć? Potrzebowałeś mojej pomocy, więc ja muszę się wybrać z tobą. To jedyny sposób, żeby ich uratować.

– Nie jesteś aniołem Cnoty, jesteś Serafinem. Nie potrafisz dokonywać cudów. – W jego głosie wyraźnie słychać nutę uporu.

– Nie, i dlatego ty tam będziesz potrzebny. Traktuj mnie po prostu jako rezerwę, jako kartę przetargową – mówię, starając się brzmieć rozsądnie.

Twarz Fedrusa staje się nieprzenikniona.

– Nie targuję się ze złem, ono nigdy nie dotrzymuje słowa – odpowiada, jakbym była naiwnym dzieckiem.

– Dotrzymają, jeśli dasz im wszystko, czego chcą... Przynajmniej tak sędzę – mówię, gryząc wargi z niepewności. – Warto będzie zapłacić im ich cenę, jeśli uratujemy Russella i Brownie.

– A jeśli to ty będziesz ceną? – pyta Fedrus.

– Codziennie przybywa mi różnych umiejętności. Założę się, że niedługo nie będzie już żadnej klatki, która zdoła mnie zatrzymać. – Mówię to całkiem poważnie. – Jeśli dam radę przeżyć, potrafię też uciec. Widziałeś, co umiem, a są jeszcze inne rzeczy, których ci nie pokazywałam.

– Inne? Jakie na przykład? – pyta Fedrus, patrząc na mnie zwężonymi oczami.

– Odwróć się – mówię mu.

Jego czarne oczy znów się rozszerzają.

– Ale ja muszę...

– Zrób to – wzdycham.

Kiedy Fedrus stoi tyłem do mnie, zrzucam ubrania. Robię kilka kroków, podchodzę do porośniętego mchem głazu i przyciskam się do niego. Zamykam oczy i wyobrażam sobie Brennusa idącego do mnie od strony pobliskich



drzew. Wynikiem tej wizji jest dojmujący strach, który mnie opanowuje. W tyle głowy szepczę słowa „ukryj się”.

– No dobra, odwróć się... – W jednej chwili moje kończyny robią się całkiem sztywne, a całe ciało zaczyna przypominać szarą, kamienną masę porośniętą gdzieś tam mchem i paprociami.

– Jesteś nimfą, chochlikiem... – mówi w szoku Fedrus, lokalizując moją sylwetkę za pomocą rąk.

Potrzeba kilku chwil, by udało mi się pozbyć sztywności na tyle, żeby móc mu odpowiedzieć.

– Reed mówi na mnie kameleon. Ewoluję, żeby przeżyć. Pozwól sobie pomóc, to jest moja misja – błagam.

Fedrus znowu odwraca się do mnie plecami, a ja zaczynam odzyskiwać pierwotny kształt. Szybko zbieram ubrania i zakładam je. Kiedy kończę, staję przed Fedrusem, żeby wyczuć jego reakcję.

Patrzy na mnie przez kilka chwil, a potem wyraźnie poruszony przeczesuje włosy palcami dłoni.

– Oto co zamierzam zrobić. Zabiorę cię do Buns i Prebena. Stamtąd skontaktujemy się z Reedem, ale nie zabiorę cię ze sobą. Ryzyko jest zbyt wielkie.

Kiwam ponuro głową, słysząc ten plan. To pozwala mi pokonać z Fedrusem większość drogi. Potem będę mogła poszukać ich sama, kiedy już się do nich zbliżymy. Jeśli w tym celu będę musiała się wymknąć, zrobię to. Coś mi mówi, że mój wróg, ifrit, odnajdzie mnie. Brennus twierdził, że musi zablokować czary ifrita, jeśli chce go powstrzymać przed dotarciem do mnie. Ale teraz nikt ich już nie zablokuje. Ifrit mnie namierzy, a ja uratuję przyjaciół. Usilnie staram się ukryć swoje myśli przed Fedrusem, bo inaczej na pewno nie pozwoli mi iść ze sobą.



Podróżujemy z Fedrusem przez Chiny – głównie pieszo, ale czasem lecąc. Nie chodzi przy tym o jakąś luksusową linię lotniczą, ale o własne skrzydła. Dawniej wydawało mi się, że kiedy wreszcie nauczę się latać, to będzie jakieś szalone doświadczenie. Ale to ciężka praca, od której boli mnie każdy miesiąc

grzbietu, szyi i ramion. Mogę fruwać bez przerwy najwyżej przez godzinę, potem muszę zatrzymać się i odpocząć. Fedrus bardzo mnie wspiera, próbuje mi pokazać, jak usprawnić technikę. Cieszę się, że mam go przy sobie – nie tylko ze względu na te rady, ale też dlatego, że kilka razy musiał mnie łapać, kiedy moje skrzydła nie dawały już rady i zaczynałam mknąć ku ziemi.

Fedrus ma też dostęp do pieniędzy, co jest ogromnie pomocne. Jesteśmy w stanie wynająć samochód. Chętnie mówię, że go „wypożyczyliśmy”, bo zostawiliśmy firmie pieniądze, żeby sobie kupili nowy, a tamten świsnęliśmy z garażu wypożyczalni koło pewnego lotniska w Rosji. Zastanawialiśmy się, czyby nie polecieć, ale uznaliśmy, że jest za duże ryzyko rozpoznania przez „nieprzyjaciela”, którym mogli być Gankanagowie, Upadli albo nawet jakiś niewtajemniczony anioł Boski.

Po drodze zatrzymujemy się tylko w małych miastach, gdzie kupuję jedzenie dla nas obojga i ubrania na zmianę. To znaczy... nie kupuję ubrań dla Fedrusa, bo mi wytłumaczył, że nosi „specjalne ubrania”, których nie zdejmuje się z wieszaka w sklepie. Jego ciuchy wyglądają moim zdaniem tak samo jak wszystkie inne, ale na pewno nie pochodzą z tych okolic, bo ludzie nie są w stanie ich zobaczyć. Fedrusa też nie widzą. Jest aniołem Cnót, więc to ja muszę się zajmować wszystkim, czego potrzebujemy. Polegam na nim, jeśli chodzi o tłumaczenie wszystkiego, co mówią do mnie tutejsi, bo język w tej części świata jest dla mnie barierą nie do przejścia. Fedrus najczęściej też prowadzi samochód, a ja w tym czasie śpię. Nie byłam taka zmęczona od czasów poprzedniej ucieczki od Gankanagów – i zaczyna to być widać.

Za każdym razem, kiedy dzwoni telefon, Fedrus patrzy na wyświetlacz, a potem chowa komórkę z powrotem do kieszeni. Oboje wiemy, że to ktoś z naszego najbliższego otoczenia próbuje zdobyć od niego najnowsze wiadomości i dowiedzieć się, czy zna miejsce mojego pobytu. Nie rozmawialiśmy o tym, ale istnieje między nami pewna milcząca umowa: dla tamtych będzie lepiej myśleć, że jestem w rękach Brennusa. Oboje wiemy, że nasze szanse na przetrwanie będą większe u Brennusa, więc decydujemy nie mówić innym aniołom prawdy o naszej wyprawie przeciwko ifritowi.

Fedrus przygląda mi się z wyrazem bólu na twarzy, jakby od nowa zastanawiał się nad decyzją o zabraniu mnie ze sobą. Ukrywanie przed nim myśli staje się prawie niemożliwe, bo ledwie udaje mi się utrzymać otwarte oczy, a co dopiero powstrzymać umysł przed swobodnym dryfowaniem. Może

Fedrus ma kłopoty z odczytywaniem mnie, bo jestem tak rozbita, a może odwrotnie: idzie mu z tego powodu łatwiej. Nie wiem.

Niestety Fedrus nie jest moim jedynym towarzyszem w tej podróży. Niedługo po wyjeździe z Rosji, podczas mojego snu ifrit dokonał inwazji na mój umysł. Jego chrypiący głos nawiedza mnie, kiedy jestem w stanie przejściowym między snem a jawą. Nieustannie prosi, żebym mu pokazała, gdzie jestem, ale udaje mi się uniemożliwić mu zobaczenie naszego położenia. Jest przez to sfrustrowany. Oscyluje między groźbami a uwodzicielskimi propozycjami rozkoszy, o jakiej nigdy mi się nie śniło. W tym akurat momencie największa rozkosz, o jakiej jestem w stanie pomyśleć, to kilka dni nieprzerwanego snu z Reedem w jednym łóżku.

Kiedy wyjeżdżamy z Kijowa, robi się już ciemno. Zatrzymaliśmy się w tym mieście, żeby skorzystać z łazienki i kupić coś do jedzenia. Kierujemy się na południe, poza Kijów.

– Już niedaleko – mówię cichym głosem.

Światła miasta zniknęły, sceneria zaczyna przypominać wiejski krajobraz. Obok drogi ciągną się rozległe pola, znaczone małymi plamkami wiatraków, które rozpoznaję z wizji wysyłanych przez ifrita.

– Tak, jesteśmy już bardzo blisko – zgadza się Fedrus.

– Wiesz, że muszę iść do niego – mówię, oglądając przez okno przesuające się pejzaże.

Fedrus milczy.

– Wiem, że taki jest twój plan – odzywa się po chwili. – Powtarzasz to raz za razem od chwili, kiedy wyjechaliśmy z Chin. Znam wszystkie twoje powody, wszystkie argumenty. Najbardziej bołą mnie twoje rozmowy z ifritem.

Fedrus patrzy prosto na mnie, a ja się wzdrygam. Zamykam oczy, wiedząc, że o tym wszystkim nie powiedziałam na głos ani jednego słowa. Wszystko to działo się w mojej głowie. Przez cały czas Fedrus słuchał moich myśli.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że słuchasz – odpowiadam ze smutnym wyrazem twarzy.

Zwilżam językiem wargi, wiedząc, że wciąż jeszcze mam przed sobą zadanie: jak go przekonać, żeby pozwolił mi zrobić to samodzielnie. Ifrit chce

mnie, a nie jego. Fedrusa rozgniecie na miazgę. Nie mogę do tego dopuścić. I tak mam już negocjować ratunek dla dwojga członków mojej rodziny. Nie chcę tej listy wydłużać.

– Muszę tam iść sama – mówię, patrząc na Fedrusa.

– To wszystko jest nieprawda – odpowiada Fedrus, mocno chwytając kierownicę i zaciskając zęby. – W ogóle tego nie rozumiem. Czuję, że...

– Co? – pytam zaskoczona tym, że mój towarzysz wygląda na tak sfrustrowanego i wściekłego... ponurego.

Zwykle jest całkiem spokojny, jakby nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi.

– Im bliżej ifrita dojeżdżamy, tym robi mi się zimniej. – Patrzy na mnie ze strachem.

Dopiero po kilku sekundach zaczynam rozumieć, co chce mi powiedzieć. Kiedy zbliża się do któregoś ze swoich obiektów, robi mu się coraz cieplej. A to, że czuje nasilające się zimno, oznacza, że oddala się od właściwego obiektu.

– Ja już nie jestem twoim obiektem – mruczę i spoglądam na niego, a na jego twarzy widzę strach. – Russell i Brownie też już nie są. To nie jest twoja misja.

– Nie, ty już nie jesteś moją misją i mam takie poczucie, że dostarczam cię na twoją egzekucję – przyznaje Fedrus, nie patrząc na mnie. – Wiem, że powinienem cię puścić, ale nie mogę. Zabiorę cię do Prebena. On będzie miał jakiś plan. Będzie mógł coś pomóc...

– Nie, nie będzie mógł pomóc – odpowiadam szybko. – Ifrit chce mnie. Słyszałeś, jak ze mną rozmawiał. Wiesz, że jeśli przyjdę do niego z Prebenem, ifrit go zabije. Muszę iść sama.

– Może Preben całkiem cię powstrzyma od pójścia tam? – zastanawia się trzeźwo. Stara się znaleźć jakiś sposób, żeby mnie utrzymać z dala od ifrita.

– Wtedy tamci zginą – odpowiadam ponuro.

– Może już zginęli, zastanawiałaś się nad tym?

– Nie! – rzucam gniewnie. – Czy masz jakiś nowy obiekt? – Próbuję nie okazać strachu, który mnie ogarnia.

– Tak – odpowiada niechętnie Fedrus.

– Znasz go? – pytam i widzę, jak smętnie kiwa głową. – Kto? – szepczę.

– Reed.

Zamykam oczy.

– Zatrzymaj samochód – chrypię.

W głowie mi się kręci, czuję mdłości. Przyciskam czoło do chłodnej szyby, czekając, aż samochód zwolni. Kiedy Fedrus zatrzymuje auto na poboczu, mówię:

– Wsiadam tutaj. Musisz do niego jechać.

Otwieram drzwi i wsiadam. Zimna bryza odrzuca mi włosy z twarzy. Obejmuję się ramionami. Fedrus też otwiera drzwi po swojej stronie i idzie za mną, kiedy stawiam pierwsze kroki na poboczu jezdni.

– Evie – woła przerażony.

– Gdzie on jest? – Odwracam się do niego, zdjęta paniką.

Oboje wiemy, że pytam o Reeda.

– Blisko tego miejsca, gdzie cię znalazłem. On i Zefir namierzyli gniazdo Gankanagów, do którego zabrał cię Brennus, ale teraz tam już nikogo nie ma. Szaleje z rozpaczy, jednak z tego, co jestem w stanie zobaczyć, nie grozi mu żadne prawdziwe niebezpieczeństwo.

– Jeśli tak, to dlaczego cię do niego wysyłają? – pytam zdezorientowana.

– Czasami anioły Cnót są wysyłane nie po to, żeby pomagać za pomocą cudów... Czasami mamy pocieszać – wyjaśnia, a od jego słów stają mi w oczach łzy.

– Rozumiem. – Za wszelką cenę usiłuję powstrzymać płacz. – Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, Fedrusie. Nie dałabym rady bez ciebie. A tę część muszę odrobić sama. Kocham cię. Zajmij się Reedem... i przekaż mu, że jego też kocham.

– Poczekaj! – woła zdesperowany, biegnąc ku mnie. Zdejmuje kurtkę, zarzuca na moje ramiona i przyciąga mnie do siebie i tuli mocno.

– Nic mi nie będzie – szepczę. – Jestem twardsza, niż wyglądam.

– Nie, nie jesteś.

– Myślisz, że to jeszcze daleko stąd?

– Ze dwa kilometry, może trochę więcej. Stoi tam kościół... Wydaje mi się, że oni w nim są – mówi Fedrus z ustami tuż przy moich włosach.

– Trzymaj go z dala od tego miejsca, jeśli dasz radę – mówię.

Wiem, że rozumie, o co mi chodzi: żeby trzymał Reeda z dala od ifrita i, być może, także ode mnie, jeśli potwór postanowiłby mnie zatrzymać, a nie zabijać.

– Jeśli uda mi się uciec, dam ci znać.

Kiwa głową. Odrywam się od niego i skręcam w polną drogę prowadzącą do kościoła. Nie oglądam się za siebie, słysząc odgłos zamykania drzwi samochodu. Fedrus przez długą chwilę nie uruchamia silnika, tylko patrzy na mnie, jak znikam z zasięgu jego reflektorów i wchodzę w ciemniejącą noc. W końcu silnik startuje, Fedrus odwraca samochód o sto osiemdziesiąt stopni i rusza w kierunku swego nowego obiektu.

Zanurzona w smutku opuszczam na chwilę głowę, bo uświadamiam sobie, że naprawdę zostałam sama. Czuję się, jakbym szła na własną egzekucję, tak jak powiedział niedawno Fedrus. Ale zaczynam iść przed siebie. Przeskakuję przez płotek z polnych kamieni i przecinam pole upstrzone kępami marchwi. Kiedy przechodzę obok skupiska wiatraków, które widziałam w śnie, mam na ramionach gęsią skórkę. Ale pole pachnie słodko – nie jest to już zapach upału, taki jak wtedy, kiedy musiałam oglądać ten widok w trakcie sennej wizji. Spoglądam w dół zbocza, poza mały, pobielony domek, którego się tu spodziewałam. Kościół – z grubo ciosaną fasadą z bali, zwieńczony strzelistymi wieżami – wygląda ciemno i ponuro. Nad linią dachu zebrały się czarne, złowieszcze chmury, jakby Niebiosa chciały pokazać mi drogę.

## Rozdział 10

# Przetrwanie

RUSSELL

– Russell... Russ... – Drżący głos Brownie rozcina niewyraźną ciemność. Próbuję otworzyć oczy, ale tylko jedno z nich chce ze mną współpracować. Drugie jest zamknięte przez opuchliznę.

– Taak? – chrypię, podnosząc głowę o dwa czy trzy centymetry nad klepisko. Bola mnie kąciki ust, gdzie zgromadziły się wyschłe i popękane strupy.

– Ja... ja tylko chciałam się upewnić... – szepcze.

Słyszę brzękanie grubych metalowych łańcuchów, którymi jest przykuta do muru. Ten odgłos towarzyszy każdemu ruchowi Brownie przybliżającej się lub oddalającej od ściany.

Trzęsę się tak strasznie, że nie rozumiem, dlaczego Brownie musi sprawdzać, czy jeszcze żyję. Właściwie ból akurat w tej chwili nie jest taki nie do zniesienia. Boli mnie głowa, ale jedynie tę część ciała jestem w stanie teraz poczuć. Musiał mi złamać kilka kręgów gdzieś w górze pleców. Póki nie zagoją mi się rany kręgosłupa, nie czuję ramion ani w ogóle niczego poniżej nich. A jak już wszystko się zagoi, zostanę i tak na zawsze w świecie pokrzywdzonych. Powykrawał ze mnie jakieś kawałki i – stojąc przede mną – zjadł je. Kiedy zobaczyłem to po raz pierwszy, nie mogłem przestać krzyczeć, przerażony jego zachowaniem. Teraz już wiem, że moje tkanki potrafią się regenerować... kości, mięśnie... więc po prostu próbuję wyprzeć jego obraz, jak stoi nade mną i wali młotem w moje gnaty.

Ale im dłużej to trwa, tym lepiej jestem przygotowany na przyjęcie bólu. Ból nie jest w tym wszystkim najgorszy, chociaż jest okropny, cholernie okropny. Najgorszy jest strach... zastanawianie się, co ten porąbaniec zrobi w następnym ruchu i kiedy to będzie. Czekanie, aż to nadejdzie, jest właściwie gorsze niż to, co nadchodzi, a kiedy on już tu jest i nie wybiera mnie, tylko bierze Brownie, ledwie potrafię sobie poradzić z tym strachem... a kiedy ją przyprowadza z powrotem, całą połamaną i poszarpaną, czuję, że zaraz oszaleję. Wyobrażam sobie, że mam może jeszcze jedną szansę... może się uda z tym Rajem, o którym wszyscy mówią z powodu mojej duszy. Ale to nie dotyczy Brownie. Jeśli on ją zabije, będzie martwa i tyle.

Nawet myślenie przychodzi mi z trudem. Nie wiem, jak długo tu jesteśmy. Tu, gdzie nas trzyma, nie ma światła. To piwnica w kościele. Na pewno w kościele, bo ciągnie nas obok ławek do ołtarza otoczonego jakimiś bożkami. Torturuje Brownie i mnie na tym ołtarzu, a ja, leżąc tam w kałuży własnych rzygowin i bebeczów, widzę wysoko nad głową tylko iglice wież.

Ifrit próbuje wywrócić mi głowę na lewą stronę, żeby sprawdzić, z czego mnie zrobiono, wykrzyć, czym naprawdę jestem. Wydaje się mną zdezorientowany i skrajnie zdenerwowany. Jedyne, co nie ulega wątpliwości, to że on jej pragnie. Pragnie Evie tak mocno, że nawet ja czuję smak tego pragnienia i nie wiem, jak długo będę jeszcze w stanie to przed nią ukrywać.

– Przykro mi, Russell – szepcze do mnie Brownie z drugiego końca pokoju. – Nie widziałam, jak nadchodzi... Powinnam zauważyć, jak się zbliża.

Ledwie widzę jej platynowe włosy. W piwnicy, gdzie brakuje światła, wyglądają na białe. Siedzi na podłodze oparta plecami o ścianę, a długie, zgrabne nogi ma podciągnięte do piersi.

– W porządku – szepczę do niej. – Chyba zaczyna mnie lubić. Tym razem mnie nie przypalał. – Słyszę, jak Brownie wydycha powietrze i wiem, że znów płacze. – Ach, Brownie... – mówię łagodnie – to nie twoja wina. Wiem, kim jestem. Ktoś mnie musiał w końcu dopaść. Przykro mi, że dopadł także ciebie. Myślałem, że dostanę się w łapy Gankanagów albo kogoś z Upadłych, albo kogoś z twojej drużyny... może Dominionum.

– Nie, nie powinno się nam nic stać. Byliśmy już prawie na miejscu, brakowało jednego albo dwóch dni – mówi, a ja wiem, że znów się tym zadręcza. – Wiesz, Russell, to prawie tak, jakby nas porwała miejska legenda.



Słyszałam o ifritach, każdy słyszał, ale występują tak rzadko, są prawie wymarłe... i nigdy nie myślałam, że kiedyś jakiegoś zobaczę – szepcze i brzmi przy tym, jakby była oszołomiona.

– Wiesz, Brownie, nie przypuszczam, żeby to był przypadek – mówię łagodnie. – Myślę, że on polował na Evie, a zamiast niej znalazł nas.

– Tak, chyba masz rację – odpowiada Brownie.

– Jesteś już blisko? – pytam, starając się brzmieć zagadkowo.

Wcześniej, zanim przyszedł po mnie ifrit, próbowaliśmy z Brownie zdjąć stalowe kajdanki z rąk. Kiedy ją pytałam, twierdziła, że chyba udało się je poluznić.

– Nie, są jakieś zaklęte... czarna magia. Czuję, jak się poruszają po skórze. Dostaję od tego dreszczy – mówi.

Dobrze wiem, co ma na myśli. Ja też to czuję, kiedy mam na sobie łańcuchy. Zachowują się tak, jakby były żywe, jak wijące się węże, a nie metal. W tej piekielnej norze dokładają nam kolejną warstwę strachu. Ifrit nie zadał sobie trudu, żeby mnie skuć, kiedy tym razem przyciągnął mnie tu z powrotem. Wie, że przez jakiś czas nie będę w stanie się ruszyć po tym, co mi zrobił. Słyszę znów szcęk metalu i podnoszę głowę na tyle, żeby zobaczyć, jak skrzydła Brownie poruszają się szybko, unosząc ją nad podłogę. Brownie ze wszystkich sił próbuje wyrwać łańcuchy ze ściany, ale one nie ustępują ani o centymetr.

Po kilku minutach Brownie rezygnuje i z głuchym odgłosem opada znów na podłogę.

– Dostałeś... jeszcze jakieś wiadomości? – pyta niepewnie, ciężko dysząc z wyczerpania.

– Nie. – Wypluwam z ust krew. Badam językiem nowy ząb trzonowy, który wyrzyna mi się z dziąsła, zastępując ząb dopiero co wyrwany. – Mam nadzieję, że Ruda nie będzie ich już więcej wysyłać – dodaję.

Fragment mojego kręgosłupa z cichym kliknięciem wskakuje na miejsce. Wraca mi czucie w ramionach i to jest bardzo, bardzo nieprzyjemne. Nieśmiało próbuję poruszać zmiażdżonymi palcami, ale krzywię się z bólu, kiedy zdaję sobie sprawę, że knykcie lewej ręki mam wciąż potrzaskane. Poruszam więc tylko prawą.

– Nie masz przypadkiem jakiejś aspiryny, co? – pytam, próbując rozluźnić

atmosferę.

– A mam. Chowam dla ciebie. Mam też trochę tej szwajcarskiej czekolady, którą tak lubisz. Kuruj się szybciej, to dostaniesz – mówi Brownie z fałszywą wesołością w głosie.

– To była dobra czekolada... – Przypominam sobie, że miałem zanieść trochę Rudej, ale była to pierwsza rzecz, którą tu zjedliśmy, kiedy obudziliśmy się przykuci do ściany. – Wiesz, za czym tak naprawdę tęsknię? – pytam Brownie.

– Nie – odpowiada.

– Płatki owsiane, takie jak robi moja mama... z mlekiem zamiast wody... a poza tym dodaje do nich masła... prawdziwego, nie tego sztucznego świństwa, margaryny, czy jak jej tam... no i z solą. Moja siostra Melanie lubi je polane syropem klonowym. Naprawdę lubi słodczy, ale Scarlett i ja wolimy płatki tylko z masłem i solą – mówię, myśląc o rodzinie.

– Pamiętam... A ja lubię, kiedy jeszcze oblewa się je na talerzu żółtkiem – mówi Brownie łamiącym się głosem.

– A tak, to też jest dobre – zgadzam się.

Po moim nosie ścieka łza. Zaciskam zęby, bo nie mogę się teraz rozplakać. Nie mogę ruszyć rękami, żeby tę łzę obetrzeć, w gardle czuję ucisk. Mam ochotę się poryczeć jak mała dziewczynka. Jestem potwornie głodny, w jednej chwili zjadłbym cokolwiek... naprawdę cokolwiek, a później dostaję mdłości i wydaje mi się, że już nigdy nie zdołam nic przełknąć.

– Brownie, dlaczego to wszystko się dzieje? – pytam zupełnie załamany i słaby. Boję się, że jeśli zacznę płakać, to już nie przestanę.

– Nie wiem... Ty jesteś ode mnie starszy, chyba... nawet na pewno. Miałam nadzieję, że ty będziesz wiedział dlaczego – mówi cicho Brownie.

– Ja jestem starszy od ciebie? – Patrzę w jej stronę i słyszę sceptycyzm we własnym głosie.

Brownie, według jej szacunków, ma kilka tysięcy lat.

– Och, nie ma co do tego wątpliwości, Russell – odpowiada, trzepocząc skrzydłami w poszukiwaniu wygodnej pozycji na podłodze. – Twoja dusza jest starsza niż Mojżesz, żeby użyć standardowego porównania... i to o wiele starsza.

– Skąd to wiesz? – pytam podejrzliwie. – Spotkaliśmy się kiedyś wcześniej? Przed tą historią?

– Chyba nie – odpowiada powoli. – Jestem pewna, że bym cię zapamiętała. Jesteś wyrazistym facetem. Wyróżniałbyś się.

– Chcesz powiedzieć, że nigdy mnie nie skosiłaś... mojej duszy? – pytam, wciąż czując się dziwacznie z tym, że Brownie jest Kosiarzem i wie wszystko o Raju.

Nie puszcza jednak pary z ust. Próbowałem wycisnąć z niej jakieś informacje, ale ona tylko powtarza, że mi nic nie powie. Bo jeśli kiedyś moja dusza opuści ciało, Brownie będzie mogła się o nią targować bez żadnych zahamowań. Chce mieć pewność, że trafię do Raju.

– Nie... i chyba nie spotkałam cię też w Raju – mówi. – Nie, na pewno jesteś ode mnie starszy i... należysz do elity. O coś cię zapytam: ile imion miałeś do tej pory?

– No, strzelaj. – Robię wydech. – Jest ich tyle, że nie mam szans przypomnieć sobie wszystkich.

– W porządku, więc sięgnij pamięcią jeszcze dalej w przeszłość. Przypominasz sobie taki czas, kiedy nie miałeś żadnego imienia? Czas, kiedy nie było czasu... zanim powstały imiona?

Włosy na moich ramionach stają dęba. Serce wali mi w piersi tak mocno, jakby miało eksplodować: migają mi w pamięci rzeczy, których nigdy wcześniej nie oglądałem... tymi oczami... oczami Russella... rzeczy, które chciałbym odzyskać, dla których nie mam nazw... ciemne, hebanowe skrzydła.

– Co... gdzie? – pytam oszołomiony.

W jednej chwili tracę łączność z tym wspomnieniem, jakby ktoś nagle wyłączył padające na nie światło.

– Twoja dusza jest przerażająco stara, Russell – oznajmia Brownie, a w jej głosie po raz pierwszy, odkąd tu jesteśmy, słychać uśmiech.

Przez chwilę oboje milczymy. Zastanawiam się nad wszystkimi rzeczami, które pamiętam. Wzbiera we mnie złość. Boleśnie zaciska mi się gardło.

– No więc nie wiem, dlaczego tu jesteśmy, a już zupełnie nie potrafię zrozumieć, dlaczego zostawiają nas, żebyśmy leżeli na tej podłodze –

odzywam się spokojnym tonem.

– Wątpię, czy oni wiedzą, gdzie jesteście. A nawet jeśli by wiedzieli, nie znają odpowiednich czarów, żeby go zabić. Musieliby zorganizować jakąś pomoc – szepcze Brownie.

– Brownie, ale ja nie mówię o Reedzie i Zee. Oni się muszą zajmować Buns i Evie. Nie, mówię o nich. – Wypowiadam te słowa, zgrzytając zębami i kierując palec wskazujący w górę.

– Och – odpowiada Brownie smutnym tonem. – Nie wiem, dlaczego tu jesteście, w tym miejscu, w takich warunkach. Czy bawiłeś się kiedyś w dzieciństwie kamieniami do domino? W jednym z wielu, wielu żywotów, które masz za sobą? – pyta mnie poważnym głosem.

– Tak, właściwie to bawiłem się nimi nawet w obecnym życiu – odpowiadam.

Po chwili stękam, czując kolejne kliknięcie, a potem palący ból. Te objawy towarzyszą gojeniu się następnego odcinka kręgosłupa. Czuję, że jeszcze kilka zeber jest w trakcie naprawy po tym, jak ifrit zmiażdżył mi je gołymi rękami.

– Dobrze się czujesz? – pyta Brownie spanikowanym głosem.

Walczę z bólem, a po twarzy spływa mi strumyczek potu.

– Tak... domino... – dyszę.

Bardzo chcę myśleć o czymś innym niż własna klatka piersiowa, która przyprawia mnie o męki.

– No dobrze – szepcze Brownie niepewnym głosem. – Kiedy ustawiasz kamienie, musisz je odpowiednio rozmieścić, tak żeby pierwszy po przewróceniu upadł na następny i też go przewrócił – tłumaczy pospiesznie.

– Tak – udaje mi się wydusić z siebie, żeby Brownie wiedziała, że wciąż jej słucham.

– Nie dotrzesz do końca całego rzędu, do ostatniego kamienia, jeśli wszystkie nie będą odpowiednio ustawione – mówi. – Prawda?

– No tak – potwierdzam i zaczynam chwytać, do czego ona zmierza. – Myślisz, że to tutaj prowadzi do czegoś innego? – pytam. – Ważniejszego?

– Wiem, że tak jest, Russell. Do czegoś ogromnego – szepcze, oglądając się przez ramię i sprawdzając, czy nie stoi za nią ifrit.

Ponieważ niczego nie widzi, mówi szybko dalej.

– Nigdy nie przypuszczałam, że będę brała udział w takiej misji... no i z kimś takim jak ty... Zresztą nigdy sobie nie wyobrażałam kogoś takiego jak ty. Jestem zwykłym Kosiarzem, nigdy nie zaprasza się nas do takich prac. To jest pole działania Serafinów i zajęcie dusz, które zbierają się w Jego obecności.

– No to powinnaś chyba porozmawiać ze swoimi związkami zawodowymi, bo przypuszczam, że należy ci się dopłata za nadgodziny – odpowiadam kwaśno.

– Nie, nie rozumiesz. To zaszczyt dla mnie... wielka odpowiedzialność, że mogę pomóc ci w tej misji. Jestem po prostu przestraszona, ale wiem, że gram ważną rolę, ważniejszą niż wszystko, co do tej pory robiłam, i ja... – Brownie milknie, bo intensywne emocje aż ją zatykają.

– Jesteś pewna, że mam więcej lat niż ty? Bo mnie się wydaje, że nie widziałem jeszcze niczego, co dałoby się porównać z tobą – mamroczę, ciesząc się, że mam ją tutaj.

A jednocześnie czuję się winny, że mnie to cieszy.

– Russ, ty naprawdę jesteś megastary – mówi Brownie, a ja z tonu jej głosu domyślam się, że właśnie przewraca oczami. – Jesteś tak samo stary, jak George Hamilton[4] jest opalony.

– Och, Brownie, to odrażające. Chcesz mnie teraz wkurzyć – stwierdzam, marszcząc nos, ale jednocześnie czując pewną ulgę, bo słyszę, że to coś na górze nie dało rady zatłuc w niej tej mądrali, która w niej zawsze siedziała.

– Nie przesadzaj, Russ, to przecież porywające, jak się jest takim starcem. Jak umrzesz, to Kosiarze na pewno nawet się po ciebie nie pofatygują. Założę się, że takie dusze jak twoja należą do aniołów Tronu albo Cherubinów – mówi Brownie, a sądząc po jej pełnym szacunku głosie, musiała o tym dużo myśleć.

– No cóż, jeśli po mnie przyjdą, to chciałbym, żeby wiedzieli, że się przygotowuję do wyrównania rachunków z ifritem. Jeśli nas tutaj zostawią, to powinni mi pozwolić na jakąś apokaliptyczną zemstę – odpowiadam, lekceważąc to, że Brownie uważa mnie za jakiś rodzaj świętego.

A ja jestem po prostu sobą. Wściekły i pragnący zemsty.

– Nie chcę umierać, zanim nie skopię mu tyłka.

– Nie mogę powiedzieć, że mnie to zaskakuje. Jesteś częściowo Serafinem, a one zawsze chcą solidnie odpłacić tym, którzy im nadepnęli na odcisk – stwierdza Brownie. – Nie gracie zbyt elegancko. Gdybyś zdążył się całkiem rozwinąć, miałabym poważne wątpliwości co do szans ifrita. Ja też nie chcę umierać. Poszukuję pewnej rzeczy i nie zdążyłam jeszcze jej znaleźć. – Brownie przyciąga kolana pod brodę i opiera na nich podbródek.

– A co to za rzecz? – pytam, nasłuchując delikatnych odgłosów jej oddechu.

– Nic takiego. – Wzrusza ramionami i smutno się do mnie uśmiecha.

– Brownie, przez cały czas, od kiedy cię znam, ani razu nie powiedziałaś, że czegoś chcesz... no może tylko żeby pozabijać tych z bractwa Kappy. Nie możesz mnie zostawić tak bez informacji – odpowiadam.

– Obiecuj, że się nie będziesz śmiał – mamrocze, nie patrząc na mnie.

– Jestem całkiem pewien, że w najbliższym czasie nie ma szans, żebym się z czegokolwiek śmiał.

Chrząka cicho na znak, że w tym zdecydowanie się ze mną zgadza.

– Przykro mi, rzeczywiście masz rację.

– Więc czego byś chciała? – pytam ją raz jeszcze.

– Zakochać się – wyznaje tak, jakby się przyznawała do przestępstwa.

– Dlaczego? – pytam, myśląc o tym, jaki to kłopot w kimś się zakochać, szczególnie bez wzajemności.

A nawet jeśli z wzajemnością, to i tak kochają nas nie tak, jak byśmy chcieli, nie tak, jak my kochamy.

– Bo widziałam, co miłość może zdziałać... Sprawia, że robi się rzeczy, których inaczej prawdopodobnie nigdy by się nie zrobiło. Miłość nas wzmacnia – stwierdza głosem pełnym pokory.

– Nie, nie masz racji. Osłabia nas. Stajemy się wrażliwi na niebezpieczeństwa. Robi z nas głupców – zaprzeczam jej.

– Bzdura! – Z kolei Brownie odrzuca moją odpowiedź. – Miłość daje ci siłę, żeby być wielkim. Przyglądałam ci się, jak się szykowałeś, żeby zejść do tamtej dziury i ratować Evie z rąk Gankanagów. Nie powiesz mi, że mógłbyś to zrobić bez miłości.

Kiedy przypominam sobie tamten koszmar, przeszywa mnie dreszcz strachu. Brennus wciąż gdzieś tam jest. Wciąż chce znaleźć Rudą. Zefir powiedział mi, że Brennus zaatakował ich w zamku. Brownie i ja zdołaliśmy utrzymać się o parę kroków przed tymi zimnymi, śmierdzącymi draniami, ale nie było łatwo. Natknęliśmy się na paru z nich koło Kijowa, na krótko przed tym, jak wpadliśmy na ifrita... anioła mordercę.

– Brownie, tylko zadbaj o to, żeby była jakaś szansa na wzajemność, jak się już będziesz zakochiwać – doradzam jej.

– A jakie to ma znaczenie? – pyta.

– Jest całkiem do dupy, jak nie ma wzajemności – odpowiadam, nie patrząc na nią, a pod policzkiem czuję chłodną podłogę.

– Wydaje mi się, że to jakiś wielki dar, jeśli można się zakochać – mówi Brownie dość naiwnie. – Znaleźć kogoś, kto się wydaje ideałem, nawet jeśli nie jest.

– Brownie, ale co wtedy, kiedy ten, kogo kochasz, nie kocha ciebie? I wszystko, co do niego mówisz, nic dla niego nie znaczy? I gdziekolwiek jest, w ogóle o tobie nie myśli?

– Nie mówimy na podstawie własnych doświadczeń, Russell, bo ja wiem, że ona cię kocha. A ty jesteś szczęściarzem, że możesz kochać w taki sposób. Spróbuj pożyć bez umiejętności kochania... a w każdym razie kochania tak mocno, jak ty kochasz. Takie uczucie musi być cudowne. Ja dopiero zaczynam tak kochać i to jest zadziwiające. Tak was kocham, moi drodzy... jesteście moją rodziną. Zrobiłabym wszystko, żeby to chronić i to właśnie jest dar.

Milknę po tych słowach, a ja ze smutkiem zwieszam głowę, myśląc o wszystkim, co się zdarzyło. Potem podnoszę głowę i sięgam ręką przed siebie, podciągając się o parę centymetrów bliżej miejsca, gdzie siedzi przykuta do ściany Brownie. Czuję, że jeden z moich palców zgina się w nieprawidłową stronę, ale nie dbam o to.

– Co robisz? – pyta Brownie z troską w głosie.

– Zbliżam się do ciebie – odpowiadam, jęcząc, bo ból sprawia, że spływam potem i muszę walczyć o każdy oddech.

– Ale co z naszym chorym psychicznie przyjacielem? Nie lubi, kiedy się przesuwamy – szepcze Brownie ze strachem w głosie.

– A co on zrobi? Pobije mnie? – pytam sarkastycznie. – Brownie, on mnie nie przykuł... zapomniał.

– Musisz się stąd wydostać, Russell. Możesz chodzić? – pyta z rodzącą się nadzieją.

– Jeszcze nie. – Wciąż nie odzyskałem czucia w dolnej połowie ciała.

– On cię zabije – szepcze Brownie. – Powinieneś się przesuwać do schodów – mówi, próbując mnie skierować w inną stronę.

– Nie przypuszczam, żeby zamierzał mnie zabić... przynajmniej jeszcze nie teraz. Chce Rudej i nie zabije mnie, póki jej nie dopadnie. – Nadal podsuwam się do Brownie.

– Russell, muszę ci powiedzieć coś na temat zła. – Podpełza do mnie na tyle blisko, na ile pozwalają łańcuchy. – Zło nie wie, gdzie się zatrzymać. Pożera samo siebie, aż nic nie zostaje. On może jej chcieć, ale nie ma nad wszystkim kontroli. Chociaż jest tak potężny, musi jednak uważać, bo jest sam. A on nie uważa. Od czasu, kiedy Evie wysłała mu swojego ducha, całkiem zwariował. Nie wiem, co ona mu powiedziała, ale jego potrzeba, żeby ją dopaść, nasila się w postępie geometrycznym.

– Nic mu nie musiała mówić – odpowiadam, podciągając się znowu trochę naprzód i zyskując kolejne kilka centymetrów. – Wystarczyło, że ją zobaczył i... – Z bólu zaciskam powieki. – Podejdę do ciebie i pomogę ci się uwolnić z łańcuchów. Jeśli zdołamy je wyrwać ze ściany, będziesz mogła mnie stąd wyciągnąć.

– Będziesz mi musiał później wytłumaczyć, jak to się robi... to, co potraficie ty i Evie. – Brownie przygląda się, jak walczę z odległością, która mnie od niej dzieli. – W jaki sposób wysłałeś swojego brata bliźniaka?

– Nie wiem, jak to działa. Wyobraziłem sobie po prostu, że potrafię to zrobić, skoro ona potrafiła. I po pierwszym razie, kiedy dotarł do mnie jej bliźniak, poczułem się, jakby Ruda włączyła jakiś pstryczek: po prostu też to już umiałem – tłumaczę jej dość mgliście.

– Kiedy to robisz, Russell... wygląda to niesamowicie – mówi Brownie z podziwem. Wiem, że próbuje odwrócić moją uwagę od bólu, który czuję. – Tak jakby ktoś przepuścił cię przez lustro... czy coś takiego. Ten, którego wysłałeś do mnie... dotarł na czas. Czuję już, że nie dam rady. Ty mi



pomogłeś – mówi.

Wysłałem Brownie wiadomość, kiedy była już w rękach ifrita. Przekazałem jej, że Ruda wysłała mi kolejną informację, że nas szuka.

– No cóż, kiedy to robię, czuję się trochę tak, jakby ktoś mnie zamknął w beczce i spuścił po zboczu góry – wyjaśniam.

Z ust wrywa mi się jęk bólu.

– Co z tobą? – pyta Brownie z niepokojem.

– Boli mnie – odpowiadam uczciwie, starając się, żeby mój głos się nie załamywał, ale słyszę, że brzmi to słabo.

– No dobra, więc przysuń tu tyłek, a potem to zrobmy – szepcze Brownie, wyciągając ramiona w moją stronę najdalej, jak się da. – No chodź, chłopcze, szkoda czasu. – Idealnie naśladuje moją mamę i pobudza mnie do dalszej walki.

Znów ciągnę własne ciało po podłodze. Kiedy pokonuję już ostatnie centymetry, zaczepiamy się końcami palców i Brownie niemal bez wysiłku przyciąga mnie do siebie. Otacza mnie ramionami, przytula i kładzie policzek na moich włosach.

– Ale z ciebie cholerny gnojek, Russell. Dobra robota! Co teraz robimy? – pyta, delikatnie gładząc moje skrzydła, które drżą pod opuszkami jej palców.

Biorę głęboki wdech.

– Mój ojciec zawsze powtarza, że najlepszy sposób, żeby wyjść z jakiegoś miejsca, to przejść przez nie. Myślę, że metal twoich kajdanów nigdy nie ustąpi, ale ściana wygląda tak, jakby mogła cię wypuścić.

– Okej. – Brownie odwraca mnie w stronę ściany i zapiera się o nią nogami.

Owijam kawałek łańcucha na przegubie i przedramieniu i opieram się plecami o Brownie.

– Daj znak – szepcze moja towarzyszka.

– Na trzy – odpowiadam tuż przy jej uchu. – Raz, dwa, trzy...

Ciągniemy razem łańcuch najmocniej, jak tylko możemy. Mur zaczyna pękać pod naszym silnym naciskiem. Czuję, że łańcuch lekko się porusza i serce zaczyna mi bić tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy pocałowałem Alice

Peterson w siódmej klasie. Patrzę, jak pęknięcia tworzą na ścianie coraz rozleglejszą sieć pajęczą i czuję, jak Brownie ściska moje ramię, przekazując mi nadzieję, która zaczyna w niej świtać.

– Jeszcze raz? – pyta podochocona.

– Tak, do ciężkiej cholery! – dyszę.

Zapieram się o nią i jeszcze kilkakrotnie ciągniemy za łańcuch. Udaje nam się go wyciągnąć z kilkudziesięciocentymetrowej warstwy wapna, stali i kamienia. Ostatnie pociągnięcie kończy się tak, że pół ściany ustępuje i obsuwa się na podłogę obok nas. Kaszlę, kiedy waląca się ściana wzbija w górę obłok pyłu, a potem przykładam palec do ust, słysząc, że Brownie zaczyna coś mówić. Serce znów wali mi w piersi, bo odgłos upadającego kawałka muru mógłby obudzić nieboszczyka. Nasłuchuję dźwięków z góry, ale żadne do nas nie dobiegają. Może potwór na chwilę wyszedł. Nie wydaje mi się, żeby on mieszkał na górze – przychodzi tu skądś, kiedy chce nam zrobić krzywdę.

Wyciągam nogi Brownie spod gruzu, który nas przysypał, a kiedy obie są uwolnione, śmiejemy się do siebie. Wciąż są skute razem, ale łańcuch nie jest już przyczepiony do ściany.

– Jak to zrobiłeś? – pyta zachwycona.

– No cóż, musiałem ci dać szansę, żebyś się zakochała... i pocierpiała trochę, jak my wszyscy – odpowiadam, starając się przesunąć nogi.

Udaje mi się poruszyć lewą, ale na tym muszę poprzestać, kiedy uświadamiam sobie, że oba kolana mam nadal roztrzaskane na pulpę. Nie potrafię jeszcze chodzić. Nie mogę nawet wstać.

– Dobra, ty przemądrzały dupku, idziemy. – Brownie podnosi się na kolana, potem staje na nogach.

Po chwili bierze mnie na ręce, jakbym był jakąś małą dziewczynką.

– Trenowałaś ostatnio, Brownie? – pytam, kierując słowa prosto do jej ucha. – Wiesz, silne kobiety czasami bywają mało atrakcyjne, ale w tej sytuacji nie może być nic bardziej seksownego.

– Zamknij się, Marx! Za dużo gadasz – szepcze Brownie, a w tym czasie jej motyle skrzydła miedzianego koloru trzepoczą intensywnie, żeby unieść nas oboje z podłogi.

Brownie kieruje się do schodów. Zatrzymujemy się przy wąskiej kamiennej klatce schodowej, która spiralnie ciągnie się w górę. Spoglądamy na siebie wzajemnie z niepokojem w oczach. Jedyne sposobem, żeby stąd wyjść, to droga w górę, ale ten przerażający potwór najpewniej gdzieś tam jest i prawdopodobnie wyrywa ogon jakiemuś małemu pieskowi albo zabawia się czymś podobnym.

– Co robimy? – szepczę.

– Modlimy się – odpowiada także szeptem, chwytając długi odcinek łańcucha, który był przyczepiony do ściany.

– W tym jestem dużo lepszy od ciebie – stwierdzam.

Podaje mi łańcuch, żebym go trzymał i żeby nie ciągnął się po ziemi. Jest połączony z kajdankami założonymi na kostki Brownie. Nie mam pojęcia, jak je z nich zdejmujemy, ale moja towarzyszka wciąż jeszcze może używać skrzydeł, więc sprawę kajdanek będziemy rozwiązywać później. Powoli Brownie zaczyna się wznosić w górę schodów, trzymając mnie na rękach. Nagle traci równowagę i uderza w ścianę. Musi chwycić mnie mocniej, żebym nie wypadł z jej objęć.

– Przepraszam, ale jesteś okropnie wielki... cholerny gigant – mamrocze.

Mam wrażenie, że jest trochę zamroczona i obolała, ale próbuje to ukryć przede mną, bo taka właśnie jest: lubi kopać innych po tyłkach, zupełnie jak Ruda.

– Spoko – stękam, starając się nie krzywić z bólu. – Poczuję się, jakbyś mnie wsadziła do kieszeni.

– To musiało być bolesne – odpowiada cicho i kontynuuje lot w górę schodów.

– Nie będę się sprzeczał – mamroczę ledwie słyszalnie.

Udaje mi się wykrzesać z siebie ponury uśmiech. Na krótką chwilę napięcie częściowo znika z twarzy Brownie.

W miarę jak zbliżamy się do szczytu schodów, powietrze staje się gorętsze i bardziej duszne. Być może chodzi o to, że opuszczamy piwnicę, a być może o to, że zbliżamy się do głównego palacza. Nie potrafię tego rozstrzygnąć, badając powietrze nosem. W tym miejscu czuje się zapach ifrita, przypominający zapach kuchenki gazowej tuż przed zapaleniem płomienia.

Kiedy jesteśmy już prawie na ostatnim stopniu, Brownie zatrzymuje się i sadza mnie na schodach, opierając o ścianę, żebym nie spadł na dół. Przykłada palec do ust, potem pokazuje na siebie, a potem na szczyt schodów. Kiwam głową, a ona przeskakuje nade mną, żeby pójść jeszcze wyżej. Najciszej, jak umiem, oddaję jej łańcuch, który trzymałem. Brownie powoli przesuwa się w górę, a ja wyciągam rękę i delikatnie ściskam jej dłoń, życząc, żeby nie musiała iść dalej sama. Ona z kolei ściska moją rękę, a potem prześlizguje się przez drzwi prowadzące do kościoła.

Opieram głowę o ścianę i zamykam oczy, nasłuchując odgłosów, które powiedziałyby mi, co się dzieje na górze. Panuje cisza. Pełna grozy. Mijają minuty i nic się nie dzieje. Może znalazła drogę na zewnątrz i pobiegła nią... żeby sprowadzić pomoc. Nagle słyszę grzechot łańcucha i cichy odgłos wydychanego powietrza. Otwieram oczy i zaczynam walkę o to, żeby wpełznąć na górę po ostatnich paru schodkach.

Drogę do szczytu schodów pokonuję na rękach, ciągnąc za sobą bezużyteczne nogi. Kiedy spoglądam w górę, widzę Brownie: wisi na tym długim, cholernym łańcuchu, który ją ciasno przepasuje, wyciskając powietrze z jej płuc. Zawisła na samym środku kościoła, blada i zdruzgotana. Głowa opada jej do tyłu. Biedna walczy o każdy haust powietrza, którego nie może nabrać z powodu ściskającego ją jak pyton łańcucha. Ifrit musiał użyć swoich czarów, bo nic nie podtrzymuje Brownie w powietrzu.

– Nie! – krzyczę, próbując za wszelką cenę stanąć na nogi, ale nie daję rady.

Nie potrafię do niej dosięgnąć i duszę się, bo też nie mogę nabrać dość powietrza, żeby normalnie oddychać.

Wtedy pojawia się nade mną oślizła kanalia – ifrit. W jego złotobrazowych oczach odbija się płonący w nim ogień, tak jakby to były refleksy ogniska, które błyskają i tańczą jak płomienie.

– Russell – sepleni. Łapie mnie jednocześnie za kark i podciąga, tak że twarz mam o centymetry od jego twarzy.

– Puść ją, przecież ją zabijasz – warczę przez zęby. Wczepiam się rękami w jego ramiona i staram się go zmusić, żeby mnie puścił.

– Naprawdę nie znoszę, kiedy coś gadasz, Russell. Nigdy nie mówisz tego, co chciałbym usłyszeć – zagaduje swoim obrzydliwym głosem.

Kładzie mi palec na gardle i przemawia w brzydkim języku ifritów. Otwieram usta, żeby go posłać do piekła, ale mój głos przestał działać. Ifrit go wyłączył.

– Tak jest lepiej – wzdycha.

Wściekły wyrzucam przed siebie głowę – walę czołem w jego czoło. Uśmiecha się szyderczo, a jego oddech czuję na skórze jak lampę lutowniczą. Palą mi się włoski na ramionach, do nozdrzy dociera zapach spalonego mięsa. Krzyczę, ale nie wydobywa się ze mnie żaden odgłos. Wije się z bólu, kiedy w spalonym kawałku skóry pojawiają się bąble.

Ifrit prostuje się i ciągnie mnie za skrzydła przez kościół w kierunku ołtarza. Brownie wciąż lewituje na środku nawy. Jej twarz blednie, a wargi sinieją.

Ifrit rzuca mnie na ołtarz. Staram się nie patrzeć na niego, kiedy się do mnie zbliża.

– Russell, miałem ci właśnie powiedzieć, że ona się zbliża, moja Alya. Czy już ci mówiłem, co znaczy to imię? Niebo. Odpowiednie dla niej, nie? Wiesz, co to znaczy, Russell? – pyta mnie z uśmiechem zadowolenia z siebie. – Już was nie potrzebuję – mówi uszczęśliwiony, śmiejąc się.

Czarne włosy i opalenizna sprawiają, że wygląda jak wycięty z okładki jakiegoś magazynu, a nie jak porąbaniec, który ćwiartuje mnie na środku kościoła. Jeśli jeszcze kiedyś będę sobie wyobrażał diabła, nadam mu wygląd tego potwora. Zbrzydzony nim odwracam się, żeby spojrzeć na posągi świętych, które stały się świadkami większości tych całkiem nieświętych okrucieństw, odbywających się tutaj w ciągu ostatnich kilku dni.

Na ustach wykwita mu uśmiech pełen optymizmu.

– Jak mam cię zabić, Russell? – pyta poważnym głosem, wymawiając moje imię z sykiem na końcu. – Musi być powoli, bo odmówiłeś mi współpracy i teraz muszę to zrobić możliwie najboleśniej. Zdaje się, że bardzo lubisz przypalanie... Może od tego zaczniemy?

Odwracam twarz od niego, a cierpienie zapiera mi dech w piersiach. Za ifritem dostrzegam najpiękniejszy posąg, jaki kiedykolwiek widziałem. Od tego widoku rozświełają mi się oczy. Biała, marmurowa twarz ma idealne rysy – to jest twarz miłości. Przestaję oddychać, gdy kamień nagle ożywa,

a pod kruszejącą zewnętrzną warstwą pojawiają się szkarłatne pióra anielskich skrzydeł, które smagają posąg. Figura anioła przestaje być tak bardzo blada, pojawia się łagodny blask anielskiej skóry. Posąg bezszelestnie chwytą złoty pastorał z zamocowanym na końcu złotym krucyfiksem. Używając pastorału jak miecza, marmurowe ramię Evie mocno wbija krucyfix w sam środek pleców ifrita – przebija go na wylot.

Evie zgrzyta zębami i uśmiecha się szyderczo.

– To może twoją śmierć zaczniemy od tego, co? – cedząc słowa, wierci w plecach ifrita pastorałem; po chwili go wyrywa, a w piersi potwora pozostaje ziejąca dziura. Przez ten otwór z ifrita wylewa się stopiona, gorąca krew.

## Rozdział 11

# Transakcja

EVIE

Kiedy wyciągam pastorał z ciała ifrita, jego gorąca krew topi doczepiony do laski krucyfiks. Wrząca krew tryska z ust potwora i obryzguje podłogę przed nim skwierczącym żarem. To, co zostało z częściowo stopionego pastorału, wykorzystuję jako kij bejsbolowy. Celuję nim w głowę ifrita i walę najsilniej, jak potrafię. Trafiam i odrzucam go od ciała Russella leżącego na ołtarzu. Nie wiem, czy potrafię zabić tego nikczemnego stwora, ale próbuję. Nie może przeżyć, szczególnie po tym, co widziałam przed chwilą. Albo umrze on, albo my wszyscy. Nie mamy innego wyjścia. Widzę to teraz nazbyt wyraźnie. Nie będzie żadnych negocjacji.

Musiałam go zaskoczyć, bo Brownie spada z miejsca, w którym była zawieszona, i uderza w podłogę. Zaczyna łapać powietrze, a ja rozglądam się za kolejną bronią, bo poprzednia wciąż się topi. Zbieram swoje ubrania – alabastrowa skóra zaczyna wracać do pierwotnego koloru – i wskakuję w nie.

Chwytam jeden ze stojących blisko mnie posągów i używam jak maczugi. Uderzam nią w nieruchome ciało ifrita leżące na podłodze koło ołtarza. Czuję wściekłość i nie mogę przestać tłuc przeciwnika, nawet kiedy już się porusza i zmienia kształt. Ifrit nagle zaczyna rosnać.

Z desperacją w oczach krzyczę:

– Boże! Co go może zabić?

Patrzę, jak ifrit staje się bezkształtną strukturą, która rośnie z każdą sekundą, aż w końcu muszę się cofnąć o kilka kroków.

– Ruda, uciekaj! – krzyczy do mnie Russell z miejsca, w którym go zostawiłam.

– Russell, jak mam go zabić? – pytam desperacko z błaganiem w głosie.

– Nie próbuj! Uciekaj! – odpowiada równie zdesperowany.

Pozostająca na podłodze krew ifrita wzniciła pożar, który rozprzestrzeniła się w kierunku ołtarza. Porzucam posąg, bo nie działa już na ifrita. Biegnę z powrotem do ołtarza. Kiedy obejmuję Russella, czuję, jak bardzo jest potłuczony i bezwolnie przelewa się na moich rękach. Ze wściekłości zaczynam płakać.

– Uciekaj! – rozkazuje mi Russell, którego głowa opada do tyłu.

– Russell, zamknij się, skoro nie umiesz nic poradzić – odpowiadam wściekła, ciągnąc go w miejsce, w którym na podłodze leży bez ruchu Brownie.

Spoglądam znów na ołtarz. Ifrit się porusza i znów przyjmuje kształt człowieka, tyle że tym razem potężnego: giganta, który wypełnia kościelną absydę, jakby była rozmiarów domku dla lalek.

– Czy któreś z was może się ruszać? – pytam ich ponaglącym głosem.

Brownie jęczy, wije się, próbuje usiąść, ale najwyraźniej ma połamane żebra, więc jedynie wzdycha i skręca się z bólu.

– Nie, wciąż nie mogę ruszać nogami – mówi Russell i patrzy na mnie, jakbym za chwilę miała zniknąć.

Pochyliłam się i całuję go mocno w usta, żeby wiedział, że jestem prawdziwa. Kiedy się od niego odsuwam, widzę łzy w jego oczach. Odpowiadam tym samym.

– Przeciagnę was z powrotem do narożnika – wyjaśniam, łapiąc ich oboje, każde jedną ręką. – Będzie nieprzyjemnie – ostrzegam, a potem ciągnę ich najszybciej, jak potrafię, do najdalszego narożnika kościoła, z dala od absydy i ołtarza.

Brownie mdleje, ale Russell jest cały czas przytomny.

– Trzymaj się blisko niej – wydaję polecenie, układając Brownie w ramionach Russella.

Russell zgrzyta zębami.



– Musisz stąd zniknąć, Ruda. Nie zabijesz go... nie dasz rady nas uratować. Wystarczy, że próbowałaś, że po nas przysłaś – mówi głosem pełnym napięcia.

Również zgrzytam zębami.

– Nie mów mi, czego nie dam rady zrobić – odpowiadam. – Nie masz przypadkiem pod ręką jednego z tych granatów? – pytam, ale i tak wiem, że ich nie ma.

Russell kręci głową.

– Cholera! – mruczę pod nosem. – No dobra, może będę musiała jednak z nim podyskutować.

– Nie! – krzyczy wściekle Russell, ale ja już się wzbijam w górę na taką wysokość, że sięgam oczami na poziom twarzy ogromnego ifrita. Potwór uśmiecha się do mnie, a ja z fascynacją wpatruję się w jego złote oczy, które wyglądają, jakby płonęły, jakby od wewnątrz rozświetlały je płomienie.

– Powiedziałeś, że oboje możemy dostać to, czego chcemy, jeśli do ciebie przyjdę. Więc jestem i chcę, żebyś wypuścił moich przyjaciół – mówię, trzepocząc nieustannie skrzydłami, żeby utrzymać się w powietrzu.

– Ty masz duszę!

Okrzyk ifrita przekształca się w grzmot, a jego głos odbija się echem od ścian kościoła.

Dygocząc w środku, mówię:

– Tak, a przy okazji jestem też Skorpionem, który lubi trzymać się za ręce i chodzić na długie spacerunki po plaży – odpowiadam mu z zaciśniętymi szczękami i posępnym wyrazem twarzy. – Porozmawiajmy.

Z ust ogromnego potwora wydobywa się głęboki, dudniący śmiech, a jego oddech cuchnie i parzy, zmuszając mnie do odwrócenia się i cofnięcia. Boję się, że moje ciało się stopi. Ifrit przygląda mi się ponownie, a jego zachowanie kompletnie się zmienia. Ze zwężonymi oczami i szyderym uśmiechem mówi:

– Jesteś Serafinem, śmieciem najgorszego rodzaju! Miałem nadzieję, że będziesz wyglądać bardziej kobieco.

– Mogę wyglądać jak człowiek, w gruncie rzeczy jestem w połowie

człowiekiem – odpowiadam spokojnym głosem.

Opadam na podłogę i ląduję na stopach, chowam skrzydła na plecach, tak że nie wyglądam już jak anioł.

Ifrit przygląda mi się przez chwilę, a ja stoję najspokojniej, jak potrafię. Jestem sztywna ze strachu i słyszę głośne bicie własnego serca. Potwór podchodzi bliżej, jego potężne kroki wstrząsają fundamentami kościoła. Boję się coraz bardziej, bo ten gigant mógłby na mnie nadepnąć i zgnieść jak robaka. Sięga jednak w dół, chwyta mnie i w dłoni zamkniętej w pięść podnosi na wysokość swoich oczu.

– Czego ode mnie chcesz? – pytam, gdy przygląda mi się badawczo.

Delikatnie opuszcza rękę i stawia mnie na podłodze. Potem zaczyna się zmieniać, kurcząc się i przybierając kolejno różne groteskowe kształty, aż w końcu wraca do poprzedniego wyglądu mężczyzny, tyle że ludzkiej wielkości. Wygląda dokładnie tak samo jak w chwili, gdy stał nad Russellem leżącym na ołtarzu. Znowu mam ochotę zmiażdżyć mu twarz.

– Chcę tego, czego odmawiano mi przez całą wieczność – mówi jedwabistym głosem.

Wyciąga dłoń i dotyka moich włosów, a potem twarzy, badając fakturę mojej skóry.

– Nie mów, że potrzebujesz mojej duszy, bo mnie też jest ona potrzebna. – Staram się skierować rozmowę na inne tory.

Wargi ifrita drżą.

– Nie, nie chcę posiąść twojej duszy. Wolę, żeby została w tobie – śmieje się do mnie czule.

Wygląda niemal czarująco. Gdybym kilka chwil wcześniej nie była świadkiem spektaklu z udziałem tkwiącego w nim zła, jego uroda mogłaby mnie zmylić. Ma zmysłową oliwkową skórę, jego włosy są długie i proste jak u mężczyzny z dzikiego plemienia. Jego naga pierś jest porośnięta włosami, co nie wygląda jednak nieatrakcyjnie, a raczej bardzo męsko. Ifrit ma na sobie luźne spodnie jak od pizamy, co robi dość niecodzienne wrażenie.

– Więc czego chcesz? – pytam. – Możemy rozmawiać otwarcie, żeby nie było między nami nieporozumień.

Jego wzrok łagodnieje.

– Chcę ciebie i tego, co możesz mi dać – odpowiada z uśmiechem. – Przez stulecia starałem się o potomstwo. Pragnę prawdziwej nieśmiertelności, chcę przekazać część siebie potomkowi. Chcę dziecka – mówi z szacunkiem.

Buns miała rację! Chce się rozmnażać – myślę, czując mdłości.

– Ale dlaczego ja? – Staram się ukryć obrzydzenie.

– Bo wierzę, że możesz dać mi to, czego chcę. Wstyd byłoby cię zabić, gdybym nawet nie spróbował. Jesteś tak cudownie ludzka, prawdziwa piękność. Gdybym nie widział twoich skrzydeł, nie wiedziałbym, że jesteś też aniołem.

Nagle i bez uprzedzenia ifrit uderza mnie mocno w twarz, tak że głowa odskakuje mi do tyłu, ale utrzymuję się na nogach. Łapię się za pulsujący policzek, patrzę na ifrita i cicho warczę. Zachwycony śmieje się do mnie.

– Widzisz, nie jesteś tak krucha jak człowiek. Prawdziwej kobiecie takie uderzenie oderwałoby głowę, ale nie tobie. W twojej obecności mogę się zachowywać szorstko.

Russell wydaje cichy i głęboki pomruk z kąta, w którym zostawiłam go z Brownie. Modlę się, żeby nie otwierał ust i nie zwracał na siebie uwagi.

– Lubisz być taki szorstki, co? – Prostuję się.

Ifrit wzrusza ramionami.

– Nigdy mi nie pozwalano zachowywać się szorstko. Kiedy biorę kobietę do łóżka, muszę być bardzo, bardzo ostrożny. Ale kiedy ona zachodzi w ciążę, wiem, że wszystko się dla niej kończy. Dziecko, które w sobie nosi, w końcu ją zabije i oboje umrą – mówi zmysłowym tonem. – Ale może z tobą będzie inaczej. Bo ty jesteś silna, zdrowa... wytrzymała.

– Pochlebca z ciebie – odpowiadam z sarkazmem w głosie.

Ifrit groźnie marszczy brwi.

– Wyśmiewasz się ze mnie? – pyta.

– Przepraszam. – Unoszę rękę, mając ochotę ugryźć się w język.

Przecież mam do czynienia z oszalałym demonem. Muszę o tym pamiętać albo już jestem martwa.

– Więc co teraz robimy? Wiem, czego chcesz... ty wiesz, czego ja chcę. Pozwólmy Russellowi i Brownie odejść i potem możemy porozmawiać.

– Obrazili mnie. Nie mogę ich teraz wypuścić – mówi ifrit surowym głosem. – Próbowali uciec. Nie mogę tolerować takiej zuchwałości.

Serce znów bije mi mocno.

– Jak ty masz na imię? – pytam, próbując zmienić temat rozmowy.

– Valentine – odpowiada.

Przychodzi mi na myśl kilka złośliwych uwag, ale tym razem w porę gryzę się w język.

– Valentine, nie będzie żadnej umowy, jeśli zabijesz moich przyjaciół. Na nic się nie zgodzę. – Staram się go nakłonić, żeby zaczął myśleć.

Widzę na jego twarzy wyraz zdziwienia.

– Nie będziesz miała wyboru – odpowiada.

– Zawsze jest jakiś wybór – oponuję.

Łapie mnie za nadgarstek, jego dłonie rozgrzewają się tak, że aż mnie parzą. Czuję na ramieniu palący ból. Ifrit nachyla się do mnie i mówi:

– Nie. Zrobisz, co ci każę, albo cię zabiję.

Zgrzytając zębami, odpowiadam:

– No właśnie. Będziesz mnie musiał zabić.

Ifrit ściąga brwi.

– Nie, będę musiał cię złamać – mówi z szyderczym uśmiechem.

– Zabiję cię, jeśli spróbujesz. – Nachylam się w jego stronę, ignorując ból w nadgarstku.

W mgnieniu oka podnosi mnie i odrzuca od siebie. Uderzam w ścianę na drugim końcu kościoła i osuwam się na podłogę. Leżę tam oszołomiona.

– Myślisz, że skoro należysz do Serafinów, najwyższej grupy w hierarchii, jesteś dla mnie groźna? – krzyczy. – Ja zabijam Serafiny dla rozrywki – oznajmia, waląc się pięścią w pierś, żeby podkreślić swoją krzepę.

Jęcząc i opierając się o ścianę, usiłuję wstać, bo ifrit zbliża się do mnie. Udaje mi się stanąć, ale on łapie mnie, zanim zdążę rozpostrzeć skrzydła i odfrunąć. Chwyta mnie za kołnierz koszuli i podnosi do góry, tak żeby nasze oczy były na jednym poziomie, po czym mówi ze złośliwym uśmiechem:

– Teraz zabiję twoich przyjaciół, a ty będziesz się temu przyglądała. Potem

sprawdzę, jaki ból jesteś w stanie wytrzymać, kiedy będziemy pracować nad moim dzieckiem. Chcesz ognia i siarki, Alya? To ci je dam.

– Nie! – Krztuszę się w desperacji, kopię go, ale nie jestem w stanie nic mu zrobić.

– To jest mój aniołek, Valentine, a ty go chcesz popsuć – mówi Brennus od strony wejścia do kościoła, gdzie stoi z Finnem, Declanem i jeszcze paroma kolesiami.

Valentine stawia mnie na podłodze z wyrazem zdumienia na twarzy, ale nie puszcza mojego kołnierza. Jego twarz jednak się zmienia. Kiedy patrzy na wchodzących do kościoła Gankanagów, w oczach ma strach.

– Brennus – szepczę.

Szeroko otwieram oczy ze zdumienia, bo czuję na jego widok ulgę, a nawet więcej niż ulgę. Wiem, że to zupełnie absurdalne uczucie.

Brennus wchodzi nonszalancko do kościoła, przyglądając się krwi i zniszczeniom. Koło ołtarza wciąż jeszcze tli się niewielki ogień. Po wielu dniach tortur wszędzie pozostały ślady krwi, pełno też zmiażdżonych i połamanych przedmiotów, a wśród nich my – Russell, Brownie i ja.

Brennus patrzy na zmianę na Valentine'a i na mnie, a jego twarz staje się coraz bledsza.

– Potrzebujesz jeszcze jakichś wyjaśnień? Czego nie zrozumiałeś, ifrit? Ona jest moja – mówi Brennus przez zaciśnięte zęby. Jest tak wściekły i przerażający, że dostaję gęsiej skórki.

Wystawia kły i patrzy na Valentine'a z takim gniewem, jakby za chwilę miał się na niego rzucić.

Valentine puszcza mnie i odsuwa się do tyłu, a ja po tak gwałtownym uwolnieniu omal nie przewracam się na ziemię.

– Nie wiedziałem – mówi ifrit z pokorą, skłaniając głowę przed Brennusem.

Ten zaś podnosi rękę i wyciąga ją w moją stronę. Nie waham się ani chwili – potykając się, idę w jego stronę z wyciągniętą dłonią jak po linę ratowniczą. Brennus przyciąga mnie do siebie, przytula do zimnej piersi. Czuję ulgę i przerażenie. Przyciska policzek do czubka mojej głowy i mówi:

– Nie tak się załatwia ifrita, *mo chroí*. Potrzeba magii. Próbowalaś go zranić? – pyta.

Kiwam głową, a Brennus wydaje z siebie cichy śmiech.

– Zdawało mi się, że czuję jego krew. Jesteś moim sercem, naprawdę – mówi z mimowolną dumą w głosie. – Chodź teraz do domu.

– Czeka! – Odpycham go, żeby spojrzeć na jego twarz.

Wygląda na mniej wściekłego, niż gdy patrzył na Valentine’a.

– Że co? – pyta poważnym głosem.

– Co z moimi przyjaciółmi? Nie mogę ich tu zostawić z ifritem. On chce ich zabić – panikuję.

Brennus spogląda na Russella, który wciąż trzyma w ramionach nieprzytomną Brownie. Oczy Brennusa zwężają się, kiedy ich dostrzega.

– O, patrzcie, jest i ten drugi. – Brennus wpatruje się w Russella i go rozpoznaje.

W tym momencie zaczynam naprawdę panikować. Czuję się chora, twarz rozpalają mi uderzenia gorąca, moje serce dziko bije.

Russell próbuje przyozdobić twarz tradycyjnym uśmiechem przemądrzałego dupka, ale uśmiech zamienia w grymas.

– Nigdy bym nie pomyślał, że to powiem, ale cieszę się, że was widzę, cuchnące diabełki – mówi Russell, nie ruszając się. – Sądzicie, że moglibyście mnie uwolnić od kłopotu, zanim stąd wyjdziecie? Valentine i ja nie przypadliśmy sobie do gustu, jeśli wiecie, co mam na myśli.

– A co, nie ma granatów? – pyta Russella Brennus.

– Wszystkie wyszły. – Russell wolno pokręcił głową.

Wtedy porusza się Valentine i na nas patrzy.

– Ci tutaj to są moje trupy – mówi ze złością.

Nogi drętwieją mi z przerażenia, a Brennus marszczy brwi i warczy:

– Oni są tym, czym ja powiem, że są. Zajmę się wami za chwilę.

Brennus macha ręką, paraliżując wszelkie ruchy ifrita. Jestem w szoku i obserwuję, jak ifrit kompletnie nieruchomieje, choć jego oczy wciąż się poruszają i tańczą jak ogień. Do Russella podchodzą Lonan i Goban

z obnażonymi kłami. Pamiętają go. To Russell zabił Ultana i Driscolla, ich kumpli.

– Brennus! – wołam zdesperowana, słysząc, jak tamci koleś syczą na Russella. – Proszę!

– O co, Genevieve? – pyta spokojnym tonem, obserwując mnie.

Zasycha mi w ustach. Patrzę na zmianę to na Russella, to na Brennusa.

– Czego ty chcesz? – pytam natarczywie tego ostatniego.

Mruga oczami, jakby się nie spodziewał, że wypowiem te słowa. W kącikach jego zmysłowych ust zaczyna się błąkać delikatny uśmiech, który nadaje mu niemal anielskiej urody.

– Chcę Persefony – odpowiada powoli.

– Przepraszam? – Nie zrozumiałam jego słów.

– Chcę tej bogini z portretu, który mi dał Alfred. Od tego czasu cię pragnę, marzę o tobie. Tego chcę – mówi Brennus, mając na myśli mój portret namalowany przez pana McKinnona. Jestem na tym obrazie przedstawiona jako bogini Persefona. – Jeśli cię teraz ugryzę, umrzesz, staniesz się jedną z nas, Gankanagiem. Przestanieś się rozwijać, przestanieś zwiększać swoją moc. Nie chcę tego. Chcę, żebyś była tak potężna, jak się tylko da. Ale nie mogę cię utrzymać, bo jesteś chytra. Jeśli cię nie przemienię i nie zrobię z ciebie *sclábhaí*, niewolnicy, możesz normalnie uciec. Chcę cię przemienić, żeby cię zatrzymać. Jesteś moja i chcę cię. Ale jeszcze bardziej chcę bogini.

– Więc co proponujesz? – pytam pospiesznie, wciąż się przyglądając, jak Lonan krąży wokół Russella.

– Transakcję – odpowiada Brennus jedwabistym głosem. – Ty godzisz się żyć ze mną, a ja ratuję twoich przyjaciół.

– Na jak długo? – Czuję przytłaczający ciężar jego słów. Poprzednim razem ledwo przetrwałam tydzień z Brennusem. Jeśli się na to zgodzę, wybuchnie wojna między Brennusem a Reedem. Reed nigdy nie zrezygnuje z walki o mnie.

– Na zawsze – odpowiada Brennus i nawet nie zaczerpnął tchu. Bledną, słysząc jego słowa.

– Powiedziałeś, że chcesz Persefony, bogini. Ona mieszkała w Hadesie

tylko przez sześć miesięcy w roku – przypominam tę historię.

Wszyscy kolesie wybuchają śmiechem, jakbym rzuciła jakiś żart. Patrzą na Brennusa, sprawdzając, czy i on nie ma ochoty się zaśmiać.

– Jesteś tak bystra, *mo chroí*, że zastanawiam się, ile ty masz naprawdę lat – mówi Brennus.

– Osiemnaście – odpowiadam, a wszyscy śmieją się jeszcze głośniej.

– Oczywiście – rzuca Brennus, potrząsając głową. – Sześć miesięcy każdego roku? – pyta, jakby o tym intensywnie myślał, a potem na jego twarz powoli wypełza uśmiech. – To brzmi interesująco. Ale ze mnie zazdrosna bestia. Chcę być pewny twojej lojalności wobec mnie, gdy będziemy razem.

– A jak chcesz osiągnąć tę pewność? – pytam.

– Musisz obiecać, że nie będziesz gadać ze swoim aniołkiem przez te pół roku u mnie – mówi Brennus.

Wiem, że chodzi mu o Reeda, nie musi nawet wymieniać jego imienia. Serce mi zamiera. Czy będę w stanie to zrobić? Nigdy tak długo nie byłam bez Reeda. Najdłużej wytrzymałam mniej więcej połowę tego czasu. Pewnie nie odpowiedziałam Brennusowi dostatecznie szybko, bo pyta:

– Faolan, ty chyba lubisz aniołki, nie? Co powiesz na taką śliczną małą blondynkę?

– NIE! – krzyczę, piorunując wzrokiem Brennusa, a potem Faolana, który zbliża się do Brownie. – Dobrze! – zgadzam się.

– No to fajnie, słodziutka. – Brennus śmieje się do mnie. – Co ja bym jeszcze chciał? – zastanawia się, drapiąc się po podbródku.

Nagle zamiera bez ruchu, a jego twarz staje się śmiertelnie poważna. Pojawia się na niej nachmurzona mina.

– A, już wiem. Chcę, żebyś związała swoje życie z moim.

– Co? – Czuję zawroty głowy.

Jestem już z Reedem. Nie mogę związać się też z nim.

– Nie mogę, już jestem...

– A, no tak, masz rację, przecież tylko jeden naraz... ale i tak będziemy związani, ty i ja – mówi.



– Jak związani? – Tak naprawdę nie chcę poznać jego wyjaśnień.

– Twoje życie i moje będą się przeplatać. Jeśli któreś z nas się zatnie, drugie też będzie krwawić – oświeca mnie Brennus.

Garbię się nieco i krzyżuję ramiona na piersi.

– Potrafisz tak zrobić? – pytam słabym głosem.

– Potrafię. A twój aniołek nie będzie mógł mnie zabić, kiedy będziesz ze mną, bo i ciebie zabije. Dam mu dzentelmeńską szansę: może mnie zabić, kiedy będziesz mieszkać z nim, ale wtedy musiałby mnie przez cały czas ścigać, a nie spędzać czas z tobą. Ty się będziesz nudziła, nie? – pyta.

– Nie mogę tego zrobić, Brennus – mówię błagalnym tonem.

– Więc transakcji nie ma, tak? – mruczy sam do siebie, a potem wzrusza ramionami. – Ach, to brzmiało zabawnie. No dobra, koleś, idziemy sobie. Aniołki zostają z ifritem.

Finn staje przy moim boku, gdy kolana odmawiają mi posłuszeństwa. Chwyta mnie, unosi w górę i mówi ponurym głosem:

– Genevieve, pomyśl przez sekundę. Brennus pozwoli, żeby ifrit zabił twoją bratnią duszę i przyjaciółkę, a ciebie zabierzemy w takie miejsce, gdzie zostaniesz ugryziona i przemieniona. On chce, żebyś mu się podporządkowała. Nie widzisz? Brenn może osobiście zabić teraz Russella, ale jeszcze bardziej byś go znienawidziła. Bądź rozsądna, bo inaczej twoja bratnia dusza umrze, a ty i tak będziesz nasza, bez szansy na inną przyszłość.

– Dlaczego on to robi? – pytam oszołomiona.

– Chce zdobyć twoją miłość, tak jak Hades zdobył miłość Persefony. Zmusił ją, żeby go kochała, chociaż nie chciała. Daj mu taką szansę. Nie możesz zrobić nic głupszego, niż odrzucić transakcję, którą ci proponuje. – Finn krzywi piękne usta w ponurym grymasie.

Uświadamiam sobie, że każde inne wyjście niż zgoda na porozumienie z Brennusem naraża Russella i Brownie na tortury Valentine'a, który dużo wie na temat bólu. Odpowiadam więc słabym głosem:

– Brennus, zgadzam się na twoje warunki.

Usta Brennusa układają się w delikatny uśmiech.

– Bardzo rozsądnie z twojej strony – mruczy, delikatnie wyciągając mnie

z ramion Finna i przyciągając do swojego boku. – Finn, wypowiedz te słowa i niech już będzie po wszystkim.

– Czekaj – przerywam, zanim Finn ma szansę wypowiedzieć magiczną formułę, która przypieczętuje kontrakt. – Mam jeden warunek.

– Co? – pyta zaciekawiony Brennus.

– Nikt mnie nie będzie gryzł! – krzyczę tak, żeby usłyszeli mnie wszyscy Gankanagowie stojący wkoło. – Jeśli ktokolwiek mnie ugryzie, kontrakt przestaje obowiązywać!

– To było takie nieprzyjemne? – pyta z troską Brennus.

Kiwam głową i nie mogę spojrzeć mu w oczy.

– No dobra, panowie, słyszeliście. Ktokolwiek ją ugryzie i złamie mój kontrakt, pożałuje, że został kiedyś przemieniony, bo tortury się nigdy nie skończą, przez całą wieczność – obiecuje Brennus swoim słuchaczom. – A teraz już zgadzasz się na kontrakt?

– Tak – potwierdzam krótkim skinieniem głowy. – Kiedy się zgodzę, zabijesz ifrita i pozwolisz żyć moim przyjaciołom. Nie mogą zginąć ani stać się ożywieniami, nikt ich nie może dotknąć ani skrzywdzić, ani... –

Zastanawiam się, co jeszcze dodać, żeby uniknąć ewentualnych luk w umowie.

– To wszystko? – Brennus się śmieje. – Naprawdę mi nie ufasz, co?

– Naprawdę ci nie ufam – potwierdzam.

W łagodniejących oczach Brennusa widzę sympatię.

– Och, dobrze, zmienimy to – mówi naturalnym tonem.

Przed nami staje Finn. Brennus kiwa w jego stronę głową, a ten zaczyna wypowiadać słowa, których nie rozumiem. Sala wypełnia się energią. Mam wrażenie, że mogę wyciągnąć rękę i jej dotknąć, poczuć w powietrzu jej smak. Brennus tłumaczy mi warunki kontraktu, który właśnie zawarliśmy, a Finn recytuje je w innym języku.

– Russell, czy oni mi mówią prawdę? – pytam cicho.

– Tak mi się zdaje. Nie znam niektórych słów, ale w zasadzie wszystko brzmi jak trzeba – wyduślił słabym głosem Russell.

– Trzymaj się jeszcze trochę, już prawie koniec – mówię i słyszę jego

ponury śmiech.

– Tak, Ruda, dla mnie, ale nie dla ciebie – odpowiada z goryczą, przyciskając mocniej Brownie.

– Musisz powtarzać za mną, Genevieve – przerywa nam Finn.

Czeka, aż na niego spojrzę, i wtedy zaczyna mówić coś w swoim języku. Staram się wiernie powtarzać jego słowa. Kiedy kończę, wyciąga nóż. No oczywiście – myślę, patrząc na Finna i Brennusa ze zmarszczonym czołem.

– A nie możemy po prostu przypieczętować tego uściskiem dłoni? – pytam cierpko Finna.

Uśmiecha się do mnie szeroko, kręcąc przecząco głową.

– Bez tego nie będzie ważny.

Wzdycham i pytam:

– Czego potrzebujesz?

– Palec wystarczy. – Finn się śmieje, a jego opalizujące zielone oczy błyszczą.

Finn nakłuwa mój palec nożem i zbiera kroplę krwi. Z palcem Brennusa robi to samo. Moja krew spotyka się na ostrzu z krwią Brennusa. Po zmieszaniu ciecz zaczyna dymić i skwierczeć, ale nic bardziej gwałtownego się nie dzieje.

– Co teraz powiedziałam, te ostatnie słowa? – pytam Finna, podczas gdy oboje obserwujemy, jak krew znika z ostrza w postaci obłoczka dymu.

– Powiedziałaś: „Niech zdrada wróci do zdrajcy” – cytuję słowa przysięgi.

– Ach – wzdycham, uświadamiając sobie, że nie dopytałam o warunki kontraktu. – Brennus, co się stanie, jeśli zerwę kontrakt? – Czuję obezwładniający strach. – Co się ze mną stanie?

– Nie możesz go zerwać – mówi łagodnie i uspokajająco. – To mój kontrakt. Jesteś nim związana. Proszę bardzo: spróbuj teraz ode mnie odejść, tak jakbyś chciała mnie zostawić i nigdy nie wrócić.

– Poważnie? – pytam.

– Poważnie. – Brennus tłumi śmiech.

Odwracam się i robię kilka kroków w stronę drzwi kościoła. Serce mi

wali, chcę pobiec najszybciej, jak potrafię, i zostawić to miejsce na zawsze. Stopy zaczynają mi ciążyć, powłóczę nimi. Po chwili nie jestem w stanie zrobić ani jednego kroku.

– Och! – wołam zniechęcona.

– Nie rób takiej smutnej miny. Ranisz mnie – mówi Brennus z nową lekkością w głosie i uśmiecha się do mnie.

– A co się stanie z tobą, Brennus, jeśli ty zerwiesz kontrakt? – pytam.

– Będziesz wolna – odpowiada. – Ale żeby go zerwać, musiałbym cię ugryźć. Pewnie musiałbym też zrobić z ciebie Gankanaga i w ten sposób cię ze sobą związać.

Zaciskam pięści, gdy słyszę ten wywód. Jeśli mnie ugryzie, prawdopodobnie skończę, błagając o jego krew, która będzie w stanie ulżyć mojemu cierpieniu. Byłoby naprawdę trudno mu się oprzeć i spróbować ucieczki, nawet gdyby kontrakt już nie obowiązywał.

– A możesz mnie uwolnić od kontraktu, gdybyś chciał? – pytam.

– Mogę go w każdej chwili unieważnić – odpowiada stanowczo. – Nie licz na to. To się nie zdarzy.

– Za sześć miesięcy będziesz musiał pozwolić mi odejść. Pamiętasz? – upewniam się.

– Muszę ci dać taką możliwość. Co nie znaczy, że nie możesz wybrać dalszego życia ze mną po tym czasie – poprawia mnie.

– Na jedno wychodzi – mówię.

– Skoro tak sądzisz... ale możemy o tym porozmawiać za sześć miesięcy, co nie? – pyta retorycznie. – A teraz, jak byś chciała, żeby ifrit umarł?

Temu pytaniu towarzyszy chłodne, wyrachowane spojrzenie Brennusa. Moje serce wypełnia się bólem, a wzrok Brennusa mięknie, gdy dostrzega, jak zmienia się wyraz mojej twarzy: zamiast smutku wyraża teraz pragnienie zemsty. Chcę śmierci Valentine'a. Valentine torturował Russella – moją bratnią duszę. Przez niego też utraciłam swojego ukochanego. Chcę, żeby umierał powoli, w możliwie najbardziej bolesny sposób, jaki mogę sobie wyobrazić; a kiedy uświadamiam sobie, jak bardzo tego pragnę, czuję w sobie zimno.

– Russell – szepczę, robiąc kilka kroków w jego kierunku, żeby go lepiej

widzieć. – Jak? – Zdaję się na niego.

Twarz Russella tężeje. Częściowo znika z niej smutek, a w oczach pojawia się ogień.

– Podobało mi się, co zrobili z Alfredem. To było poetyczne.

Przenoszę wzrok na Brennusa. Kiwa głową i mówi:

– Chłopaki, nie próbujcie gryźć ifrita, wypali was od środka. Po prostu rozerwijcie go na kawałki, a potem zastosujcie czar. Nie chcemy, żeby się znowu zebrał do kupy i jeszcze raz po nią przyszedł. Mogłoby to zerwać nasz kontrakt.

W mgnieniu oka Declan, Lachlan, Faolan i Eion dopadają nieruchomego ifrita, rozrywają jego ciało i jednocześnie unicestwiają je za pomocą magii. Reszta Gankanagów przygląda się w milczeniu tej ponurej scenie. Ja w ogóle nie mogę patrzeć. Spoglądam raczej na twarz Russella, który dostaje zadośćuczynienie za to wszystko, czego tu doświadczył. Potem spojrzenia moje i Russella się spotykają, w oczach ma przytłaczający smutek.

Bezgłośnie poruszam ustami i mówię „kocham cię”. On odpowiada mi takimi samymi ruchami warg.

– Czas iść. – Brennus wyciąga do mnie dłoń.

Bez wahania chwytam ją. Wiem, że i tak nie mogę zrobić nic innego.

– Dziękuję – mamroczę.

Oczy Brennusa trochę się rozszerzają.

– Jesteś najbardziej zagmatwaną istotą, jaką widziałem, *mo chroí*. – Uśmiecha się i prowadzi mnie do drzwi. Zatrzymuje się przy nich, odwraca do Russella i mówi: – Tym razem cię uratowała. Ale jeśli spotkamy się następnym razem, możesz nie mieć tyle szczęścia. Mam ci to lepiej wytłumaczyć, chłopcze?

– Chyba się rozumiemy, Brennus. – Russell pogrążony jest w głębokim smutku.

– Do widzenia, Russell – mówię, po czym odwracam się do Brennusa i oboje wychodzimy z kościoła.

## *Rozdział 12*

# *Kolesie*

Dom Brennusa okazuje się zadziwiający – nie jest to byle jaki budynek, ale prawdziwy średniowieczny zamek stojący na północnych klifach Irlandii. Nie mam pewności, gdzie tak naprawdę jestem, ale na pewno bardzo blisko morza, bo słyszę jego odgłosy dochodzące przez okno samochodu. Kiedy po raz pierwszy przekraczamy ozdobną żelazną bramę posiadłości, mam wrażenie, że znaleźliśmy się na jakimś polu golfowym, bo teren jest rozległy, pięknie utrzymany i nieskazitelnie czysty. Ale to nic w porównaniu z dostojną fasadą twierdzy, którą ten teren otacza. W zamku zachowało się wiele oryginalnego kamienia z pierwotnej warowni, ale w niektórych miejscach poddano go renowacji i użyto nowego kamienia, a także wstawiono nowe okna.

Przejeżdżamy przez średniowieczny portyk i parkujemy przed imponującymi drewnianymi drzwiami. Wysiadając z eleganckiego samochodu, który dowiózł milczącego Brennusa i mnie z prywatnego lotniska, czuję się onieśmielona samymi rozmiarami i skalą tego miejsca. Brennus chwytając chłodną dłoń moją rękę i pomaga mi wysiąść, a ja mu się nie wyrywam. Gdy idę z nim w kierunku ogromnych drzwi, widzę po obu stronach wejścia kamienne gargulce, które są rozmiarów człowieka i mają przerażające kły. Dostaję dreszczy na ich widok i zastanawiam się, czy są dalekimi krewnymi mojej nowej rodziny.

W pomieszczeniu recepcyjnym znajduje się potężny kamienny komin z starego holu, ale oryginalny sufit zawalił się wieki temu. Teraz jest tam szklany sufit podtrzymywany przez kolumny z kutego żelaza. W górze nade mną wznoszą się porośnięte bluszczem wieże zamku. Gobeliny i rzeźbione

drewniane meble przemieszane są z pięknymi nowoczesnymi sprzętami – na przykład fortepianem – tak że wszystko do siebie pasuje i wydaje się całkiem naturalne. Gdybym przybyła tu w innych okolicznościach, chciałabym wszystko obejrzeć, ale w tej sytuacji proszę tylko, by mnie zaprowadzono do przeznaczonego dla mnie pokoju.

Brennus przygląda mi się chłodno i nic nie mówi. Kiwa głową i zjawiają się przy mnie Faolan i Lachlan. Pokazują, że mam iść z nimi. Reszta budynku staje się niewyraźną plamą. Prowadzą mnie przez liczne wijące się korytarze, potem w górę po misternie zdobionych schodach, aż w końcu docieram do luksusowego apartamentu z kilkoma pokojami w jednej z zamkowych wież.



Mieszkam już w tym eleganckim apartamencie od kilku dni. Leżę w ogromnym łóżku i nasłuchuję odgłosu kroków z korytarza. Jest w nich coś tak zdecydowanego, że nie mam wątpliwości: ktoś idzie po mnie. Z cichym jękiem zakrywam głowę jedną z eleganckich poduszek, a potem słyszę, jak ktoś otwiera drzwi do mojego apartamentu. Nadal słyszę kroki: ktoś przemierza salon i wchodzi do sypialni, a potem zatrzymuje się przy łóżku. Przez kilka chwil czyjaś stopa ciężko stuka w podłogę, a potem ktoś stłumionym głosem pyta:

– Genevieve, masz zamiar wstać w tym stuleciu?

Ignoruję pytanie, naciągam prześcieradło na poduszkę i moszczę się jeszcze bardziej na wygodnym materacu wielkiego łóża.

– Rozumiem, że to znaczyło „nie”, Brenn – mówi Finn śpiewnym głosem.

– Zachowujesz się jak marnotrawca, Genevieve, ale to się skończy. – W głosie Brennusa słyszę złość i frustrację.

– Tu jest ciemno i przeraźliwie, Brennus – odpowiadam z sarkazmem. – Co to jest marnotrawca, Finn?

– Człowiek ćpun – usłużnie podsuwa mi odpowiedź Finn.

– Aha, domyślam się, że powinieneś ich dobrze znać, Brennus, skoro ich regularnie produkujesz każdego dnia – mówię z poczuciem udreczenia.

– Czy zamierzasz spędzać samotnie cały ten czas? – Słyszę wściekłość w głosie Brennusa.

– Według naszej umowy mam z tobą mieszkać. Nigdy nie powiedziałam, że będę z tobą rozmawiać. Z tobą ani z kimkolwiek z was!

– *Sin é, ye rua aingeal* – mruczy Brennus, a po chwili łóżko zaczyna lewitować nad podłogą i się trząść. W ciągu paru sekund ląduję na dywanie, a łóżko nadal wisi w powietrzu nad moją głową.

Siedzę na podłodze ubrana wyłącznie w zbyt obszerny T-shirt, znaleziony w szafie w którymś z sąsiednich pokojów, i robię jedną ze swoich najgroźniejszych min.

– Finn, co on powiedział? – pytam, zgrzytając zębami.

– Powiedział: „Wystarczy, czerwonołose aniołku” – tłumaczy Finn usłużnie i próbuje stłumić uśmiech błakający się w kącikach jego ust.

Wbijam wzrok w jasnozielone oczy Brennusa, który krzyżuje ramiona na piersi i nikczemnie piorunuje mnie wzrokiem. Jednocześnie centymetr po centymetrze przygląda się moim odsłoniętym nogom.

– Gdzie znalazłaś to coś, co masz na sobie? – Brennus unosi brwi.

– Co? To? – Otwieram szeroko oczy z niewinnym wyrazem twarzy i przedrzeźniam jego sposób mówienia. – Pożyczyłam od jednego z twoich koleś. Zastanawiałam się, co znaczy *Dún do chlab*. – Obaj starają się nie roześmiać, spoglądając na słowa napisane na koszulce.

– To znaczy „Zamknij jadaczkę”. – Spojrzenie Brennusa łagodnieje. Wyciąga rękę i pomaga mi wstać z podłogi.

Krzywię się i pytam:

– A co to jest „jadaczka”?

Ignorując ofertę pomocy, obciążam koszulkę i bez wsparcia wstaję z podłogi.

– To samo co „usta”, Genevieve – mówi Finn. – To znaczy „zamknij usta”.

– Więc dlaczego nie można tego tak powiedzieć? – mamrocę poirytowana.

– Czemu ci się chce w tym chodzić, skoro napełniłem twoje szafy pięknymi strojami? – pyta zdezorientowany Brennus.

– Podobają ci się, to je noś, Brennus – odpowiadam.

Krzyżuję ramiona na piersi i obrzucam swoich rozmówców gniewnym spojrzeniem.



– Nie bądź durna, to są stroje dla dziewczuch – odpowiada, jakbym była szalona.

– NIE, to wszystko, co jest tutaj, to są stroje dla gwiazd porno – zaprzeczam ożywiona. – Połowy tych rzeczy nie umiałabym nawet założyć. – Stanowczym ruchem wskazuję palcem szafę.

– Och... ależ ty jesteś głupia. – Brennus lekceważąco strzepuje dłonią.

Podbiegam gwałtownie do jednej z wielu szaf w moim pokoju.

– Tak? Naprawdę? Więc co to jest? Albo to? – pytam zdenerwowana, wyciągając jakieś koronkowe różności, których nie umiałabym nawet założyć, choćbym chciała. Rzucam nimi w Brennusa, który uchyla się i robi uniki.

W końcu gniewnie ściąga brwi.

– Ubieraj się. Spodziewam się dzisiaj ciebie na dole, bo jak nie, to... – mówi, zmierzając w stronę drzwi.

– Bo jak nie, to co?

Finn podąża za Brennusem.

Brennus przystaje i rzuca przez ramię:

– Nie nauczyłaś się jeszcze, że wolałabyś tego nie wiedzieć?

Nie patrząc w tył, Brennus wychodzi z mojego pokoju. Finn idzie tuż za nim.

Zdenerwowana krązę po pokoju i zastanawiam się, co mam teraz robić. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby Brennus zerwał nasz kontrakt, żebym mogła stąd odejść i znaleźć Reeda. Serce wypełnia mi smutek, gdy wspominam twarz Reeda. Musi być na mnie naprawdę, naprawdę wściekły, że zgodziłam się na warunki Brennusa. On by nigdy nie przystał na taką transakcję. Muszę zacząć myśleć bardziej jak on. Reed zawsze robi właściwe rzeczy, podczas gdy mnie się nic nie udaje... Ale moi przyjaciele pozostali przy życiu, więc chyba jednak zrobiłam coś dobrego.

Myszkuje po szafie w poszukiwaniu czegoś sensownego, ale nic mi się nie podoba. Nie dlatego, że jest nieładne, ale dlatego że są to bardzo seksowne ciuchy, a ja zupełnie nie mam ochoty podniecać bandy zabójców. Nie, mam zamiar ich zniechęcić, sprawić, żeby nie widzieli we mnie niczego atrakcyjnego. Z tą myślą wychodzę z sypialni do dużego salonu obok.

W brzuchu mi burczy, bo wczoraj nie dostałam jedzenia. Zapewne zmuszona głodem mam wyjść z apartamentu.

Tak czy owak, muszę zejść na dół, choćby po to, żeby znaleźć coś do jedzenia. Uchylam drzwi prowadzące na korytarz. Widzę, że na jednym jego końcu kręcą się Faolan i Lachlan, a na drugim Eion i Declan grają w kości. Nie chcę mieć eskorty podczas kolejnej misji, więc czekam, aż wszyscy się odwrócą. Kiedy nikt nie patrzy, mknę do otwartych drzwi po drugiej stronie holu, naprzeciwko moich. To sypialnia jednego z koleś – któregoś z moich osobistych ochroniarzy: Declana, Lachlana, Faolana albo Eiona. Wiem, że wszyscy mieszkają w pokojach w tym samym korytarzu, żeby być blisko mnie. Jestem pewna, że nienawidzą swojego nowego zadania, bo tak naprawdę nie wysłałam jeszcze ani razu z pokoju, przez co muszą czekać przez cały dzień, aż może kiedyś się pojawię.

Idę bezpośrednio w kierunku szafy i buszuję w niej przez chwilę. Znajduję bluzę w zielono-białe pasy, która nadaje się do gry w rugby. Zakładam ją, ale wszystkie spodnie są o wiele za duże i ze mnie spadają. Muszę się zadowolić męskimi bokserkami oraz parą naprawdę długich sportowych skarpet, które sięgają mi daleko ponad kolana. Podchodzę do okna i wyglądam na zewnątrz. Kilka pięter niżej widzę kamienny taras.

Nasze pokoje znajdują się w jednej z zamkowych wież. Kamienie okalające okno pokryte są z zewnątrz bluszczem bujnym jak pnącza w dżungli. Trzymając się łądyg bluszczu, wyskakuję przez okno i łatwo znajduję drogę w dół aż na taras. Gdy docieram do celu, wypuszczam z rąk pnącze i wchodzę przez otwarte szklane drzwi do ogromnego pokoju, w którym siedzi grupa bardzo sztywnie ubranych Gankanagów. Pomieszczenie wygląda na komfortowy męski klub z głębokimi fotelami pokrytymi miękką skórą i z politurowanymi stolikami. Zaglądam przez kolejne otwarte szklane drzwi i rozpoznaję Niniana. Siedzi w skórzanym fotelu z twarzą zwróconą w stronę tarasu i terenu okalającego zamek i czyta książkę oprawioną w skórę.

Wchodzę nonszalancko przez drzwi i pytam:

– Ninian, którą do kuchni?

Kiedy podnosi wzrok, widzę jego minę. Zdaję sobie sprawę, że dla niego muszę wyglądać zdumiewająco. Jest prawdopodobnie przyzwyczajony, że wszystkie tutejsze kobiety robią, co mogą, żeby wyglądać atrakcyjnie. Ja zaś

od przyjazdu nie brałam prysznic ani nawet nie próbowałam się uczesać. Wiem, że wyglądam przerażająco, i próbuję ukryć uśmiezek, który pełza po moich ustach. Ninian jest w szoku i nie potrafi odpowiedzieć na moje pytanie, wskazuje jedynie znajdujące się za nim drzwi.

– Dzięki – odpowiadam.

Podchodzę do wskazanego wyjścia i znajduję się w szerokim korytarzu. Wołam przez ramię:

– Ninian, w prawo czy w lewo?

Kiedy się odwracam, widzę kilku Gankanagów kręcących się przy Ninianie i przyglądających mi się z żywą ciekawością.

– W lewo – odpowiada Ninian, a ja kiwam głową i skręcam w lewo.

Po przejściu przez kilka pokoi, które najwyraźniej nie są kuchnią, na końcu korytarza znajduję to, czego szukam. Jest to ogromna, wyglądająca na średniowieczną kuchnia z kamiennym piecem, która została całkowicie zmodernizowana – zainstalowano w niej wszelkie współczesne urządzenia charakterystyczne dla pięciogwiazdkowej restauracji. Pracuje tam kilka kobiet, które zmywają naczynia i gotują coś, co wygląda i pachnie jak rosół z kury, który tak dobrze pamiętam z czasów pobytu w kopalni miedzi. Robi mi się niedobrze od tego zapachu. Dostaję od niego mdłości i wiem, że nie jestem w stanie spróbować tej zupy. Jeśli ją zjem, przyplączę to ciężką niestrawnością. Czy oni nie umieją przyrządzać niczego innego? – zastanawiam się i zakrywam nos dłonią, żeby nie czuć okropnego zapachu.

Kobiety z kuchni z pewnością są zniewolone przez Gankanagów. Na ich szyjach dostrzegam ślady po ukłuciu świadczące o tym, że każda z nich posłużyła jako przekąska przynajmniej jednemu z kolesi. Oszołomiona dziewczyna mniej więcej w moim wieku zwraca się do mnie w jakimś azjatyckim dialekcie, którego nie rozumiem. Wydaje mi się, że wskazuje zupę stojącą na kuchni i oferuje mi porcję. Kręcę głową i czuję, że dziewczyna budzi we mnie przytłaczające współczucie. Od jak dawna tu jest? Ile jeszcze przetrwa?

– Masz coś innego? – pytam z nadzieją, że może dogadam się z nią po angielsku, ale ona tylko patrzy na mnie, nie rozumiejąc, o co pytam. Mam wrażenie, że żadna z kobiet nie mówi po angielsku, więc kręcę się sama po kuchni, aż trafiam na dużą spiżarnię. Myszkuje po półkach i znajduję coś, co

poznaję. Zdejmuję z półki słoik masła orzechowego, odkręcam pokrywkę i wącham zawartość. Zaczyna mi cieknąć ślinka, kiedy rozpoznaję dobrze znany, uspokajający zapach. Wracam do kuchni, w jednej z szuflad znajduję łyżkę. Dostrzegam duży stół z rozstawionymi wokół kilkoma taboretami, ale nie mogę znieść myśli, że miałabym jeść tutaj, wśród „skazanych”.

Wychodzę z kuchni i szukam spokojnego miejsca, w którym mogłabym się najść. Mijam w holu dwóch pięknie ubranych Gankanagów, którzy na mój widok przestają mówić i patrzą na mnie jak na zjawę. Ich kły wyskakują na zewnątrz z cichym kliknięciem, co powoduje przyspieszone bicie mojego serca. Próbuję nie okazywać zdenerwowania do chwili, aż skręcam w pierwszy napotkany korytarz. Czuję na ramionach gęsią skórę. Tłumię w sobie chęć obejrzenia się. Pospiesznie przemierzam jeszcze kilka korytarzy w poszukiwaniu miejsca, w którym mogłabym być sama.

W środku kolejnego korytarza są dwie duże, nadgryzione zębem czasu zbroje rycerskie stojące po obu stronach potężnych drzwi. Zaintrygowana starymi pancerzami zatrzymuję się i podziwiam chłodną, gładką powierzchnię jednego z cichych wojowników. Odwracam się i popycham ciężkie drewniane drzwi. Wchodzę przez nie do wyglądającego bardzo po męsku baru, który nazwę „Barem Rycerskim” ze względu na zbroje stojące pod ścianami.

Wygląda na to, że kiedyś w odległej przeszłości mogła się tu mieścić zamkowa kaplica, którą później zamieniono w bardzo elegancką tawernę. Ściany wyłożone są panelami z ciemnego drewna, a na szczycie każdego z nich umieszczony jest misternie wyrzeźbiony celtycki węzeł. Ściany przyozdobione są też rozetowymi oknami wypełnionymi witrażami, a wpadające do pomieszczenia kolorowe światło tworzy na podłodze i ścianach wyrafinowane wzory. Z odsłoniętych belek stropowych zwisają wysoko nad moją głową ciężkie żyrandole, które rzucają miękkie światło na znajdujące się pod nimi stoliki. Przy jednej z bocznych ścian zainstalowano elegancki bar. Zgromadzono w nim wszelkie alkohole znane człowiekowi. Wodzę wzrokiem po etykietkach. Niektóre są po angielsku, ale większość nie. Jest to zbiorowisko kolorowych butelek i płynów, które wzbudziłyby zazdrość każdego naukowca od czarnej magii.

Zdejmuję z baru szklanę, napełniam ją wodą z kranu i niosę do jednego z pokrytych politurą stolików. Siadam na krześle, kładę nogi na stole i zanurzam łyżkę w słoiku. Kiedy masło orzechowe topi mi się w ustach,

muszę powstrzymać napływające do oczu łzy. Jego smak przywołuje wspomnienia przygotowywanych w domu kanapek pakowanych przez wuja Jima w papierowe torby razem z kartonikami soków i marchewkami. Jak ja się tu dostałam? – zastanawiam się i próbuję przełknąć gulę, którą czuję w gardle.

Wypijam łyk wody, żeby rozluźnić gardło, i o mało nie krztuszę się nią, gdy Declan, Lachlan, Faolan i Eion wpadają do pomieszczenia. Na twarzach Lachlana i Faolana widzę ulgę – obaj wolno podchodzą do baru i opierają się o niego. Z kolei Declan i Eion z chłodną, typową dla świata korporacji precyzją podchodzą do mojego stolika. Wysuwają dla siebie krzesła i siadają, piorunując mnie wzrokiem.

– Ależ bardzo proszę, siadajcie sobie – zauważam z sarkazmem. – Masło orzechowe? – Z rozbawioną miną oferuję łyżkę najpierw Declanowi, potem Eionowi.

Eion patrzy spode łba na masło orzechowe i warczy na mnie.

– Musimy omówić kilka ogólnych zasad, Genevieve – mówi Declan surowym tonem, po czym przygląda mi się dokładniej. – To moja bluza? – pyta zbulwersowany.

Wzruszam ramionami.

– Może i twoja... A gdzie ją zostawiłeś? – pytam.

– To MOJA szczęśliwa bluza, Genevieve! Ty łobuzico! Wzięłaś ją z mojego pokoju... I to są moje spodenki... Też? – Oskarżycielsko wskazuje bokserki, które mam na sobie.

Zanurzam palec w słoiku i wyciągam wielką porcję masła orzechowego. Wkładam ją sobie do ust, wyciągam palec, a potem go wycieram o bluzę. W tym czasie obserwuję Declana, który robi gniewną minę.

– Wcale nie jest taka szczęśliwa, Declan. Wciąż tu jeszcze tkwisz. – Podnoszę szklankę z wodą i upijam kolejny łyk.

– Och, ale ty jesteś obrzydliwa – mówi Declan. – Czy to twój plan? Żebyśmy cię wyrzucili, kiedy będziesz śmierdzieć jak śmieci... A ty już śmierdzisz, dziewczyno. – Marszczy nos, jakbym obrażała jego zmysł węchu. – To się nie zdarzy. Nigdy cię nie wypuści, żeby nie wiadomo jak było cię czuć.

– Hej, ty brudny... śmierdzący, zgniły lalusiu. – Czuję, że się czerwienię, bo Declan z łatwością przejrzał mój plan.

Eion gwałtownie wysuwa kły. Przyglądamy mu się oboje z Declanem.

– Uwielbiam, kiedy się czerwienisz – mówi, lekko wzruszając ramionami.

Jestem przerażona jego tęsknym spojrzeniem utkwionym we mnie.

Declan poirytowany trze dłonią czoło.

– Oddaj nam przysługę: idź coś zjeść i potem wróć – wydaje polecenie Eionowi.

Eion chowa kły i wstaje od stolika, po czym w ułamku sekundy opuszcza bar. Zdenerwowany Declan potrząsa głową.

– Zasady... – zaczyna mówić, ale milknie, kiedy mu przerywam.

Unoszę palec w górę i mówię:

– Zasada numer jeden: nie denerwuj mnie, kiedy jem. Ja cię nie denerwuję, kiedy ty jesz. Potraktujmy to jako kwestię wzajemnego szacunku.

– Szacunku? – Declan patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. – Gdybyś miała dla nas szacunek, powiedziałaabyś nam, że chcesz wyjść z pokoju. My byśmy poszli z tobą i dali ci coś lepszego do jedzenia niż to, co sobie sama znalazłaś.

– Chcę być sama – mówię. – Dlaczego musicie wszędzie za mną chodzić? Przecież ja i tak nie mogę odejść – tłumaczę poirytowana tym, że wciąż mnie pilnują.

– To nie Disneyland, Genevieve – odpowiada Declan poważnym tonem i przygląda mi się przez stół.

– Tak myślisz, Declan? – wypalam złośliwie, bo przecież opowiada rzeczy oczywiste.

Ignoruje mój sarkazm i mówi:

– Są tu tacy, których mogłabyś skusić, chociaż należysz do Brennusa.

– A ty nie powiedziałaś, że jestem obrzydliwa? – pytam, naśladując jego sposób mówienia.

– Obrzydliwa, ale wciąż bardzo, bardzo seksowna. Czy ty nie wiesz, jak wyglądasz? Jaka jesteś? Tutaj jesteś legendą. Ulubionym zajęciem koleś jest siedzenie i opowiadanie historii o tobie, tych z jaskiń. – Declan unosi brwi, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Więc jestem jak ta złowiona ryba, o której opowiadają sobie rybacy? Ta, co zawsze umiała uciec... aż do teraz – mrużę i robię skrzywioną minę.

– Trochę tak, ale oni najbardziej lubią opowiadać, jak nie pozwoliłaś Brennusowi, żeby cię przemienił. Wszyscy wiedzą, co to znaczy. – Patrzy na mnie znacząco.

Oni wszyscy by tak chcieli. Niektórzy – a może nawet wszyscy – zostali przemienieni w Gankanagów podstępnie – poddali się z głodu i pragnienia, czego Brennus próbował na mnie. Ale ja się nie dałam – byłam gotowa umrzeć.

– Oczywiście lubią też historię, jak zabiłaś Keegana – dodaje Declan z uśmiechem. – Nazywają cię Królową Serc, bo on w tej historii stracił głowę.

Kiedy słyszę imię Keegana i przypominam sobie, jak go zabiłam, czuję się, jakby Declan właśnie zadał mi cios. Mówię cicho:

– Keegan był nienormalny. Nie chciał się zatrzymać.

– Był nienormalny – zgadza się Declan – i zabiłby cię, więc się nim zajęłaś. Nikt z tym nie dyskutuje. Umarł dobrą śmiercią. A ty przez to jesteś jeszcze bardziej atrakcyjna, aniołku. Więc potrzebujesz nas, bo jesteś wielką pokusą, przynajmniej na razie. Jeśli on cię przemieni, będziesz mogła tu chodzić bez nas. Może powinnaś go o to poprosić. Uwolniłbym się wtedy od ciebie.

– Ale ja bym za tobą tęskniła, Declan – śmieję się szyderczo, a potem zjadam kolejną łyżeczkę masła orzechowego.

– Eaves! – słyszę głos Molly i odwracam się w stronę drzwi.

Do baru wchodzi moja przyjaciółka. Idzie, kołysząc się nonszalancko, co przyciąga oczy zgromadzonych.

– To tutaj jesteś! Wszyscy cię szukają. Brennus jest wściekły. Dec, poszedłbyś lepiej do niego i mu powiedział, że ją znalazłeś, bo może się całkiem załamać. Usłyszał, że kręcisz się tu sama, i prawie odjechał. – Patrzy na mnie znacząco i spogląda na Faolana i Lachlana, których wyraz twarzy zdradza poczucie winy.

– Faolan, powiedz mu, gdzie jesteśmy – wydaje polecenie Declan i Faolan z wojskowym posłuszeństwem wychodzi z sali.

– Co ty jesz? Masło orzechowe? – Molly podchodzi do mnie i się nachyla.

Bierze mnie w objęcia i przyciska lodowate usta do mojego policzka. Po czym odsuwa się i mówi:

– Ależ to okropnie pachnie! Kiedyś uwielbiałam masło orzechowe, ale teraz czuję nawóz czy coś takiego.

Pociera nos dłonią, jakby coś ją ukłuło. Declan tymczasem prychnął potakująco, a Lachlan się śmieje.

– Nie śmieć się tak, Declan, bo szczęśliwy strój otrzyma następny smrodliwy cios – ostrzegam, przysuwając masło do jego bluzy.

– Eaves, wyglądasz... Brałaś dzisiaj prysznic? – Molly próbuje zachować się dyskretnie, ale zatyka nos.

– Tak mi przykro, Molly – mruczę i czuję, że łzy napływają mi do oczu.

Patrzę przecież na swoją przyjaciółkę, która była dla mnie jak siostra. Nie mogę pogodzić się z tym, co jej zrobili. Nie mogę tego cofnąć i męka, jaką przechodzę, całkiem mnie druzgocze. Zrobili z niej pięknego potwora-ożywieńca.

– W porządku, nie śmierdzisz tak bardzo – próbuje mnie uspokoić, widząc moje łzy.

– Przykro mi, że przeze mnie stałaś się obiektem ich działań – wyjaśniam natychmiast, żeby wiedziała, o czym tak naprawdę mówię.

Łzy spływają mi po policzkach i nie potrafię temu w żaden sposób zaradzić.

– A, to... – mówi Molly, machając ręką, jakby chodziło o rzecz bez żadnych konsekwencji. – Spoko. Lubię być Gankanagiem... Kręci mnie to.

– Co? – pytam, nie wierząc w jej słowa i ścierając z twarzy łzy rękawem bluzy Declana.

– No tak, jest mega. Zrobili ze mnie półboga. Nie potrafię uwierzyć, że możesz czegoś takiego nie chcieć. – Widzę, że to, co mówi, jest prawdą. –

Dzięki nim jestem piękna, skórę mam bez żadnej skazy... A spójrz na włosy! – wykrzykuje, unosząc je w górę. Są gęstsze i dłuższe niż kiedyś i w dodatku pięknie lśnią, tak że aż mam ochotę ich dotykać.

– Podoba ci się to? – pytam zdumiona.



– Mogę mieć wszystko, czego zapragnę i kiedy tylko chcę. I jak chcę. Wystarczy tylko wyciągnąć rękę, dotknąć... i brać. Rodzina jest dla mnie dobra. Ponieważ jestem pierwszą od stuleci kobietą, którą przemienili, czuję się, jakbym została zaproszona do ekskluzywnego klubu dla chłopców – wyznaje. – Muszę tylko słuchać swojego *máistira*, no i Brennusa oczywiście, ale mam wolną rękę, bo jestem twoją „specjalną przyjaciółką”. Więc *sláinte*, Eaves! – mówi i znów mnie ściska.

– A kto jest twoim *máistirem*? Znam go? – pytam cichym głosem.

Całe moje ciało nieruchomieje w oczekiwaniu, aż Molly poda imię obiektu mojej zemsty.

– No pewnie, że go znasz. To Finn. – Wymawia to imię niemal bez tchu, jakby był dla niej bogiem czy kimś takim.

Zamykam oczy i czuję, jak w moim sercu obraca się nóż. Ufałam Finnowi, a on zabił moją przyjaciółkę.

– Moje życie teraz jest idealne, Eaves – szepcze Molly, widząc mój gniew.

Na jej twarzy wciąż widać ślady dawnej niewinności, choć wiem, że tak naprawdę Molly jest teraz zabójczynią. Opada na fotel obok i ujmuje moje ciepłe dłonie swoimi lodowatymi.

– Jak może być idealne? – pytam z żalem w głosie. – Przecież zabijasz ludzi dla zabawy.

– No tak, ale to ich wina, że są tacy smaczni – śmieje mi się w oczy. –

Przepraszam, dowcip dla wtajemniczonych. Jeśli to cię pocieszy, to ci powiem, że nie jadam tego, co tu importują... Kobiety to nie jest moja działka, jeśli wiesz, co mam na myśli. Lubię znajdować ofiary, przy których demony wyglądają jak przedszkolaki. Naprawdę wstrętne... bo z nimi jest najwięcej zabawy! Wiesz, mężczyźni, którzy biją żony, albo te palanty, które potrafią pobić innych tylko dlatego, że mają więcej siły i dają radę. Wszędzie ich można spotkać, w każdym pubie, na każdej ulicy, na każdym osiedlu. Nigdy nie brakuje dupków – wyjaśnia Molly.

– Więc jesteś takim superbohaterem, który zapewnia na ulicach bezpieczeństwo normalnym ludziom? – pytam ją ze sceptyczną miną.

– Niezupełnie. Po prostu lubię oglądać przerażenie na ich twarzach, kiedy mała dziewczynka, którą zamierzali zniszczyć, okazuje się porąbanym

potworem potrafiącym rozerwać ich na strzępy – odpowiada. – Najsilniejsi najgłośniej krzyczą. Wiedziałaś? – pyta, a ja kręcę głową. – Słabi spodziewają się, że staną się ofiarami, ale silni... nigdy tego nie wyczuwają.

– Karma zabójcy, Molls? – pytam.

– Ironia, Eaves – odpowiada.

– Powinnaś ją zobaczyć, Genevieve. – Declan rzuca na Molly dumne spojrzenie. – Sieje krwawy postrach. Lubi nosić rękawiczki, żeby nie znarkotyzować swoich ofiar, kiedy je gryzie... Wiesz, na czym to polega, nie?

– Tak, wiem, na czym to polega – przyznaję, blednąc na wspomnienie tamtych wydarzeń.

– Powiem ci prawdę: dziewczuchy są najbardziej brutalnymi zabójcami. Dlatego rzadko kiedy przemieniamy kobiety... Jesteście trudne do skontrolowania i niesforne.

– Ból sprawia, że wszystko smakuje o wiele lepiej, Dec. Bez niego byłoby zupełnie inaczej. – Molly mruga do niego, a on się do niej uśmiecha, jakby zachwycała go jej dzika natura.

– A jak twoja rodzina? – pytam, żeby zmienić temat.

W jej oczach pojawia się ból.

– A niby co z nią? Nic nie wiedzą... Myślą, że nie żyję. Wszystko tak zorganizowaliśmy, żeby wyglądało, że zginęłam w pożarze. Poradzą sobie z tym... Jestem teraz nieśmiertelna. Mam Finna i rodzinę, która mnie chroni. No i swoją najlepszą przyjaciółkę. Moje życie naprawdę nie mogłoby być lepsze.

– Nie masz duszy – mówię łagodnie z pewną dozą żalu w głosie.

– Nie tęsknię za nią. Tacy, jacy jesteśmy teraz, mamy w sobie tyle mocy! Poddaj się, Eaves. Nie będziesz żałować – mówi całkiem szczerze.

– Nie mogę – odpowiadam.

Kręcę głową i myślę o Reedzie. W oczach Molly widzę strach.

– On cię złamie. – Nachyla się w moją stronę i mówi cichym głosem o Brennusie...

– Będzie próbował – potwierdzam.

– Nie będę mogła cię ochronić – szepcze mi do ucha Molly.

– Wiem – odpowiadam również szeptem i puszczam jej rękę, a potem obejmuję ją mocno. – Molly, gramy teraz w dwóch różnych drużynach. – Znów czuję napływające do oczu łzy.

– Wciągniemy cię do naszej... Po naszej stronie jest tyle dobrej zabawy – mówi Molly z pewnością w głosie. Odsuwa się, twarz jej się rozjaśnia. Po chwili wstaje z fotela. – Nie smuć się, Eaves, spróbuj tego... Finn nauczył mnie, jak się to robi. A ja nauczę ciebie – obiecuje i wyciąga przed siebie rękę.

Koncentrując się na wewnętrznej części dłoni, Molly szepcze słowa, których nie rozumiem, ale czuję, że powietrze wokół niej się zmienia: jest w nim teraz jakiś zapach elektryczności, nieobecny jeszcze chwilę wcześniej. Nagle na dłoni Molly ożywa mały, migoczący płomień. Molly podnosi wzrok, wyciąga w moją stronę dłoń z pełgającym płomykiem i uśmiecha się, patrząc, jak ogienek tańczy i migocze.

– Ciągłe coś przy tym chrzanie, ale idzie mi coraz lepiej – śmieje się, po czym zamyka dłoń i gasi płomyk.

Finn wchodzi do Baru Rycerskiego i klaszcze w dłonie.

– Było bardzo dobrze, Molly, szybko się uczysz, *mo laoch* – mówi z dumą.

Uśmiech Molly staje się coraz szerszy, ja z kolei tężeję. Wstaję z fotela i do głowy przychodzą mi różne mordercze scenariusze. Ściągam z siebie bluzę do rugby należącą do siedzącego wciąż przy stoliku Declana i rzucam mu ją. Wiedząc, że T-shirt, który założyłam pod spód, za chwilę się na mnie porwie, przytrzymuję jego przód. Kiedy z pleców uwalniam skrzydła, udaje mi się zawiązać poszarpane końce koszulki wokół szyi, a potem wokół pasa – z węzłem na plecach – tak że całość przypomina teraz bluzkę z odkrytymi plecami.

Wszyscy Gankanagowie w barze przyglądają mi się z zainteresowaniem, a Finn, który idzie w naszą stronę, zwalnia kroku. Cofając się przed nim, docieram do stojącej bezpośrednio za mną zbroi. Odwracam się i wydaję wyszczerbiony, sprawdzony w niejednej bitwie miecz z rąk metalowej postaci. Z gniewną miną chwytam miecz oburącz.

– Ty! – krzyczę do Finna, widząc jego napięcie.

Cofam się do kolejnej zbroi i wyciągam z jej objęć drugi miecz. Rzucam go

Finnowi. Broń z głośnym brzękiem upada na podłogę tuż przed nim.

– Genevieve, nie mogę z tobą walczyć – mówi Finn łagodnym głosem i nie podnosi miecza, który mu rzuciłam.

– Owszem, możesz, Finn. Podnieś go – nalegam, a jednocześnie pozwalam skrzydłom, żeby śmiało wygięły się w łuk, i zaczynam podchodzić do Finna.

Kiedy Molly uświadamia sobie, co robię, jej kły wysuwają się z ostrym kliknięciem. Syczy na mnie i staje przed Finnem w pozycji obronnej, dając mi do zrozumienia, że najpierw będę musiała mieć do czynienia z nią, jeśli chcę się dostać do niego.

– Molly – mówię – to sprawa między mną a Finnem. – Myślę, jak dotrzeć do niego, nie krzywdząc Molly.

– To mój *máistir*. – Molly nie odstępuje Finna na centymetr.

Odsuwam się od nich i z największą możliwą prędkością biegnę w stronę najbliższej ściany. Szybkość pozwala mi pokonać grawitację w chwili, w której wbiegam na ścianę i robię łuk za miejscem, w którym stoją Molly i Finn. Wykorzystując ścianę jako trampolinę, odbijam się i spadam na podłogę tuż za nimi. Finn robi obrót i osłania przede mną Molly, a ja w tym czasie podnoszę miecz i zbliżam go do jego szyi. Miecz zatrzymuje się, zanim udaje mi się ugodzić Finna – moja broń trafia jakby na niewidzialną barierę wytworzoną wokół Molly i jej pana.

Porzucam miecz i czuję, że mam potrzaskane kości w ramionach. Przyciskam do siebie ręce, warcząc na Finna przez niewidzialną błonę, która nas rozdziela. Szybko spoglądam wokół siebie, po czym zdrętwiałymi rękami łapię oparcie krzesła i rzucam nim w stojącego przede mną Finna. Krzesło trafia w tę samą barierę, którą Finn wznosił wokół Molly i siebie, i rozpada się na drzazgi.

– Stój, Evie! – krzyczy Molly, gdy próbuję pokonać barierę, uderzając w nią barkiem i badając jej wytrzymałość.

Muszę znaleźć jakąś drogę do wnętrza zamkniętej strefy, by wytrzeć podłogę głową Finna. Obchodząc ich wkoło, staję w końcu twarzą w twarz z Finnem. Patrzę mu prosto w oczy i pytam:

– Dlaczego?

– Bo jej pragnę – odpowiada. – Prosiłem, żeby była moja, kiedy już

ustaliliśmy, że ją przemienimy.

– Dlaczego właśnie ty? – Głos załamuje mi się od goryczy, którą budzi we mnie poczucie zdrady.

Był moim jedynym przyjacielem i w jednej chwili wszystko zniszczył.

– Przed nią nie miałem nic własnego i zabiję każdego, kto będzie chciał mi ją zabrać. – Słysząc groźbę w jego głosie.

Moje oczy się zwężają.

– Kochasz ją?

– Ona jest moja – odpowiada tak dobitnie, że oczy znów mi się rozszerzają.

W jego przypadku jest to prawdopodobnie coś najbardziej zbliżonego do stwierdzenia, że ją kocha. A w każdym razie w obecności Declana i Lachlana, którzy w tym czasie starają się wymyślić, jak mnie powstrzymać przed zabiciem ich towarzysza – drugiego w hierarchii dowodzenia.

Nagle czuję, jak czyjeś zimne dłonie obejmują mnie w pasie i przyciskają do silnego tułowia. Bez patrzenia wiem, że to Brennus trzyma mnie w ramionach jak w stalowej klatce. Pochyla się i szepcze mi do ucha:

– Nie możesz zabić mojego brata, *mo chroí*.

– Dlaczego? On zabił moją przyjaciółkę – mówię rozgorączkowana.

– Twoja przyjaciółka jest zadowolona – odpowiada Brennus, a ja wiem, że to nie jest kłamstwo.

Myślę niechętnie, że Molly go kocha i, przynajmniej na razie, jest tutaj ulubionym zwierzątkiem... A może nawet czymś więcej, jeśli chodzi o Finna.

– Finn będzie dla niej dobrym opiekunem. Nauczy ją wszystkiego, co umie, i Molly będzie kwitła. Ma dla niej dużo uczucia, a ona dla niego. Za kogo się masz, żeby twierdzić, że to coś złego? – pyta Brennus.

– Jestem jej siostrą – odpowiadam i czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Próbuję je powstrzymać, bo nie chcę płakać w ich obecności. Nie mogę okazywać żadnych słabości, bo wykorzystają je przeciwko mnie. – Pozwól mi odejść – mówię, ale ręce Brennusa zaciskają się jeszcze mocniej.

Trzyma mnie przy sobie i obejmuje, jakby nie był w stanie wypuścić.

– Wiemy, że będzie ci trudno przyzwycząć się do życia tutaj. Bądź cierpliwa, *mo chroí*. Zobaczysz, że wszyscy chcemy dla ciebie jak najlepiej –

stwierdza Brennus, a ja powstrzymuję się przed drwiną.

– Brennus, wyrywasz mi z piersi serce. Kiedy już całkiem wyrwiesz, możesz stwierdzić, że to, co ze mnie zostało, wcale ci się nie podoba – mówię łagodnie, starając się od niego odsunąć.

Niechętnie uwalnia mnie z uścisku, a ja zwracam się do Finna:

– Trzymaj się ode mnie z daleka.

Ruszam w kierunku drzwi.

– Dokąd idziesz? – Słyszę surowy ton Brennusa.

– Do swojego pokoju – odpowiadam.

– To dobrze, powinnaś się odświeżyć, ale najpierw musimy porozmawiać, ty i ja. Więc usiądź – rozkazuje mi.

Zatrzymuję się, bo wiem, że w taki czy inny sposób i tak postawi na swoim. Równie dobrze mogę więc zostać i posłuchać, co ma mi do powiedzenia.

– Declan, Lachlan, zaczekajcie na zewnątrz z Faolanem i Eionem. Z tobą rozmawiam później, Finn – mówi Brennus, a ja stoję sztywno, patrząc, jak Finn i Molly przechodzą obok mnie bez słowa, tak jakbym to ja zraniła ich albo wyrządziła im jakąś krzywdę.

Kiedy zostajemy sami, siadam przy stole. Brennus rozgląda się wokoło i widzi poprzewracane stoliki i roztrzaskane krzesło.

– Wiesz, że Finn z łatwością mógł cię skrzywdzić? – Brennus nie przestaje na mnie patrzeć.

Wzruszam ramionami.

– Może i tak.

– Nie „może”. Mógł cię rozerwać na dwie części, jest bardzo silny – mówi Brennus. – Ale nie zrobiłby tego. A wiesz dlaczego? – pyta.

– Bo się boi, że go zabijesz, jeśli to robi – odpowiadam.

– To też, ale w przypadku Finna jest jeszcze coś. On też cię kocha – mówi Brennus łagodnym głosem, a ja pry cham drwiąco. – Śmiejesz się. – Brennus marszczy czoło. – Dlaczego, twoim zdaniem, poprosił o Molly? Chce mieć do kochania kogoś, kto też go pokocha, i chyba właśnie znalazł. Nie zdarzyło mu się to od czasu, kiedy został przemieniony, a zaczął o tym marzyć... pragnąć tego, kiedy spotkaliśmy ciebie. – Brennus patrzy na mnie i bada moją reakcję.

– Finn próbuje znaleźć jakieś wyjście, żeby nie walczyć ze mną o ciebie, i chyba znalazł... Raczej jest zadowolony z Molly.

– Zabił ją, tak jak Aodh zabił ciebie. – Tym razem to ja badam jego reakcję.  
– Zabiłeś Finna, żeby kontrolować go jak niewolnika? – pytam, bo bardzo chcę go urazić, tak jak on uraził mnie.

Brennus sztywnieje. Słyszę głośne kliknięcie: to kły wysuwają się z jego ust, co jest sygnałem, że mocno go obraziłam.

– Chcesz wiedzieć, co się stało? Chcesz wiedzieć, jak to było z Finnem i ze mną? – pyta ze śmiertelnym spokojem.

– Tak, chciałabym wiedzieć, dlaczego jest taki lojalny wobec ciebie – odpowiadam.

Czuję stan zagrożenia, w którym napinają się wszystkie nerwy w moim ciele. Wiem, że drażnię groźnego drapieznika, który w ciągu kilku sekund może sprawić, że będę go błagała o litość.

– Finn to mój młodszy brat. Prawdziwy brat. – Brennus podkreśla znacząco te słowa. – Był światłem naszej rodziny... Zawsze i wszędzie chodził za mną. To był taki typ chłopaka, który daje się lubić wszystkim. Każdego potrafił rozbawić swoimi wygłupami. – Twarz Brennusa traci surowy wyraz. – Był zupełnie inny niż ja. Ja byłem najstarszy – spokojny, odpowiedzialny, zawsze ciężko pracowałem, żeby być we wszystkim najlepszy. Finn nie musiał, mógł robić, co chciał, bo był słodki. Wszystkich przyciągał, każdy czuł się lepiej, gdy miał go blisko siebie. Wiesz, co mam na myśli? – pyta, a ja kiwam potakująco głową.

– Tak samo jest z Russellem. Też jest taki. – Gdy wymieniam imię Russella, dostrzegam w oczach Brennusa błysk zrozumienia.

– Pewnego dnia nasze miasto zostało napadnięte przez Gankanagów, którzy schwytali Finna. Mama płakała przez wiele dni. Prosiła *athaira*, czyli mojego ojca, żeby wysłał wojowników i spróbował odbić tych, którzy zostali uprowadzeni, żeby odzyskać Finna. Tam, skąd pochodzę, ojciec był czymś w rodzaju króla. Wiedział, że to już nie ma sensu, że tamci prawdopodobnie nie żyją, zostali wykorzystani jako pożywienie.

– Więc ty poszedłeś zamiast niego? – pytam cicho, choć znam odpowiedź.

– Tak. Chodziło o Finna, musiałem spróbować go odzyskać – mówi, jakby

było oczywiste, że nie miał innego wyjścia. – Nie miałem szans przeciwko Aodhowi, ale poszedłem. Byłem taki przerażony i pełen wściekłości... Wiem, *mo chroí*, jakie to jest uczucie, kiedy wściekłość wypala wnętrzności jak trucizna, bo wiesz, że jesteś na przegranej pozycji, że przed tobą jest tylko klęska. Ja też byłem w tej celi, ale nie umiałem wybrać śmierci tak jak ty. Nie mogłem zostawić Finna sam na sam z Aodhem, którego niewolnikiem miał zostać. On nie jest taki jak my, *mo chroí*, nie jest taki silny – szepcze Brennus.

Przysuwa się do mnie, pochyla i ociera łzy, które spływają mi po policzkach. Gdy na mnie patrzy, jego twarz ma łagodny wyraz. Przygląda mi się tak, jakby nigdy wcześniej nie widział albo mnie, albo łez. Może już od dawna nikt nie opłakiwał jego śmierci, ale ja czuję żal, kiedy słyszę, jak stracił życie.

– Myślałem, że już wiem o tobie wszystko, a ty mnie wciąż zaskakujesz. Płaczesz, gdy słuchasz mojej historii, chociaż cię skrzywdziłem – mówi delikatnym głosem.

– Jesteś podobny do mnie, Brennus – odpowiadam cicho. – Czasami nie wiemy, że najlepiej będzie uciec. Zdesperowani zawsze tkwimy w miejscu... To nasza metoda działania.

– Jesteś wojowniczką. Klęski nigdy nie można tolerować, ale tak bywa, Genevieve. Ja zabieram kogoś, kogo ty kochasz, na przykład Molly, i przez to łatwiej jest mi cię podporządkować. Bo nie możesz jej tu zostawić bez pomocy, bez ochrony – mówi. – To będzie zależało od ciebie, czy zabiorę jeszcze kogoś, kogo kochasz, na przykład tego drugiego... – dodaje, a ja wiem, że ma na myśli Russella.

Czy byłby gotów go przemienić tylko po to, żeby związać mnie z sobą jeszcze bardziej niż teraz? – zastanawiam się.

– Jesteś za silna. Podporządkowanie się jest dla ciebie trudne, wiem. Obiecuję ci, że to jest ostatnia sytuacja, w której musisz się podporządkować. Później dam ci cały świat, wszystko, co zechcesz, wszystko... Tylko wybierz mnie, kochaj mnie.

– Dlaczego chciałbyś mi to zrobić, Brennus, skoro mnie kochasz? – pytam zdesperowana.

Nie rozumiem, dlaczego miałyby się upierać przy przemienieniu mnie w Gankanaga, skoro sam wybrałyby śmierć, gdyby nie chodziło o Finna.



Brennus z miłością głaszcze mnie po policzku i mówi:

– Bo wiem więcej niż ty. Długo już żyję i wiem, jaka jest twoja przyszłość. Masz więcej wrogów, niż myślisz. Aniołki, które cię chronią, muszą wiedzieć, jakie są twoje perspektywy, nawet jeśli ty tego nie wiesz. Nie chciałem mieć z tobą nic wspólnego, kiedy Alfred po raz pierwszy powiedział mi o tobie, bo wiedziałem, jaka jest twoja przyszłość. Bez tamtego portretu prawdopodobnie wciąż jeszcze byłabyś w Houghton. A ponieważ cię kocham, jesteś teraz tutaj. Będę cię chronił, nawet jeśli tego nie chcesz.

– Nie podoba mi się to. Chcę wrócić do domu – mówię na jednym wydechu. Kładę dłoń na jego dłoni, którą on ma na moim policzku, i patrzę mu w oczy.

– Jesteś w domu. Pogódź się z tym – odpowiada Brennus. Spuszczam wzrok, a moja dłoń opada.

– Chcę teraz iść do swojego pokoju – niemal szepczę, po czym prostuję się.

– Za chwilę będziesz mogła iść. Chcę ci powiedzieć jeszcze jedno. – Brennus łagodnie chwyta mnie za podbródek i unosi, tak żebym znów patrzyła mu w oczy. – Możesz tu chodzić bez towarzystwa. To twój dom, ale zanim wszyscy się przyzwyczają do twojej obecności, musisz być obserwowana. Chodzi o twoje bezpieczeństwo, a nie o to, że ci nie ufam i mam wątpliwości, czy dotrzymasz kontraktu – mówi delikatnym tonem i szuka w mojej twarzy oznak nieposłuszeństwa.

W tym momencie wpada mi do głowy – niczym błyskawica – pewna myśl: przecież nie mogę zostać ugryziona, bo to unieważnia kontrakt.

Jeśli któryś z nich mnie ukąsi, a ja przeżyję, będę wolna. Gdy o tym myślę, kulę się na wspomnienie bólu i gwałtownej żądy krwi tuż po poprzednim ukąszeniu. Byłam jej straszliwie spragniona i poddałabym się po krótkim czasie, gdyby nie uratował mnie Russell.

Czy mogłabym to przeżyć jeszcze raz? Jeśli dam radę, będę mogła mieć Reeda. To warte każdego ryzyka, każdego bólu. Muszę się chyba przy tych myślach uśmiechać, bo twarz Brennusa kamienieje.

– O czym myślisz? – pyta podejrzliwie.

– Uważaj, Brennus, żeby nie wejść za głęboko w mój świat – ostrzegam go łagodnym tonem i obserwuję, jak ciemnieją mu oczy.

Wyciągam dłoń i dotykam twarzy Brennusa, przejeżdżając opuszkami palców po jego chłodnym policzku.

– Mogłoby to się tak skończyć, że zrobiłabym ci krzywdę – dodaje.

– Będę o tym pamiętał, słodki aniołku – odpowiada i koncentruje wzrok na moich ustach.

– Postaraj się – mówię.

– Chcę spędzić z tobą trochę czasu, *mo chroí*. Pozwolisz, że cię później oprowadzę po terenie? – pyta.

Zatrzymuję dłoń na jego policzku. Brennus, którego znam, wydaje rozkazy i oczekuje, że wszyscy wokół będą robić to, co im powie. Usłyszeć z jego ust prośbę to coś nowego.

– Noo... pewnie, czemu nie. Nie mam pojęcia, gdzie jestem, i nie wiem, jak wrócić do swojego pokoju. Może i tę tajemnicę mógłbyś mi wyjawić – mówię, obserwując jego oczy i cofając dłoń z jego twarzy.

– Może mógłbym – odpowiada rozbawiony. – W tej chwili jesteś w kościele. Powinienem był się domyślić, że jako aniołek zaczniesz od kaplicy.

Wstaje i wyciąga do mnie dłoń.

– No cóż, nikogo tu nie było, więc uznałam, że to dobre miejsce, żeby w spokoju coś zjeść. – Chwytam jego dłoń i razem wychodzimy.

Gdy mijamy moich osobistych strażników, oni ruszają za nami, co sprawia, że czuję się nieco skrępowana. Mam na sobie jedynie T-shirt bez pleców z napisem „Zamknij jadaczkę” oraz bokserki Declana, które musiałam związać w pasie, żeby ze mnie nie spadły. Skrzydła wysuwają mi się na zewnątrz, bo do tej pory nie postarałam się zamknąć ich we wnętrzu ciała. Pewnie mogłabym to zrobić teraz, ale dzięki nim czuję się mniej naga.

Kiedy mijamy nieznanymi mi koleśki, wszyscy zatrzymują się i rozchodzą na boki, pozwalają nam przejść i jednocześnie schylają nisko głowy. To zachowanie wydaje mi się dość odrażające.

– Dlaczego oni wszyscy tak robią? – pytam Brennusa, przybliżając się do niego.

– To jest oznaka szacunku. – Brennus bez moich dodatkowych wyjaśnień

wie, o czym mówię.

– A co mam robić, kiedy oni się tak zachowują? – pytam.

Rozbawiony Brennus uśmiecha się do mnie.

– Nic, ale jeśli któryś tego nie zrobi, powiedz to mnie, a ja go zabiję – mówi.

– Dlaczego? – pytam z drwiną w głosie, myśląc o wcześniej mijanych w korytarzu koleśkach, którzy na mój widok błyskali kłami.

– Jesteś ich królową – odpowiada.

Przewracam oczami.

– Aha, w porządku – mówię z sarkazmem. – A gdzie jest moja tiara? No i musiałam gdzieś podziać to cholerne berło.

Twarz Brennusa robi się poważna.

– Jeśli chcesz tiary, będziesz ją miała, ale oni wiedzą nawet bez niej, kim jesteś – odpowiada.

– Nie chcę tiary, Brennus – wzdygam. – Nie wiedziałabym, co z nią robić. Widziałeś, jak zostałam wychowana. Wiem, że byłeś w domu, w którym dorastałam. Wiem, że zabrałeś z przechowalni wszystkie moje rzeczy. To jest wszystko tak... Ja nie umiem... – mówię, a potem milknę, bo wszystko to jest takie dziwaczne.

Pomijając już obecność magicznych stworów, nie umiem sobie poradzić z przepychem miejsca, w którym jestem. W tym zamku wszystko, na co spojrzę, okazuje się zadziwiającym dziełem sztuki albo na przykład delikatną, krytą jedwabiem kanapą – choć wciąż jeszcze jesteśmy dopiero w holu. Mój pokój jest pełen bezcennych mebli i dzieł sztuki, ale nadal nie ma wśród nich ani jednej rzeczy, która należałaby do mnie.

– Rozumiem – mówi Brennus.

Patrzę na niego gniewnie. Skąd on w ogóle może wiedzieć, jak ja się czuję?

– Molly opowiedziała nam wiele historii z czasów, kiedy byłaś małym dzieckiem. – Kładzie mi rękę na karku. Zaczynamy właśnie wspinać się po kamiennych schodach, a Brennus w ten sposób pomaga mi wchodzić pod górę. – Powiedziała, że będzie ci trudno, bo nie należysz do tych, którzy potrzebują dużo uwagi albo bogactwa. No a przez to będzie też trudniej mnie. – O mało

nie przewracam się na schodach, bo tak właśnie odbieram tę sytuację. –  
A ponieważ potraktowałem cię tak marnie, kiedy się widzieliśmy poprzednim razem, prawdopodobnie jesteś przestraszona, ale nie okazesz tego, bo masz więcej odwagi, niż wszyscy myślą.

– A może ty nie jesteś taki przerażający, jak ci się wydaje – odpowiadam.

Brennus patrzy na mnie i się śmieje.

– Jestem przerażający, nigdy o tym nie zapominaj – mówi i wprowadza mnie do mojego pokoju.

Razem z nami wchodzi do salonu w moim apartamencie tylko Declan. Sprawdza wszystko, po czym kiwa głową do Brennusa i wychodzi z pokoju, a potem zajmuje miejsce na korytarzu razem z innymi strażnikami.

Odwracam się do Brennusa. W tym miejscu czuję się z nim okropnie. Przez ostatnie dni było to moje sanktuarium – mogłam się tu schować przed nimi wszystkimi. A teraz Brennus wypełnia tę przestrzeń. To jego dom, ale tu jest mi dobrze.

Wykręcam nerwowo ręce i w końcu wypalam:

– A gdzie ty śpisz?

Oczy Brennusa ciemnieją, a na wargach pojawia się delikatny uśmiech. Próbuję raz jeszcze:

– To znaczy... gdzie jest twój pokój?

– To jest mój pokój – mówi i patrzy, jak blednę, bo cała krew odpływa z mojej twarzy.

– Przepraszam? – pytam.

– Przeniosłem większość swoich rzeczy do tej szafy w apartamencie. – Podchodzi do jednej z szaf i ją otwiera.

Są w niej eleganckie garnitury, szyte na zamówienie marynarki, koszule i krawaty, paski i buty.

– Nie potrzebuję snu, więc oddanie ci łóżka nie było żadnym poświęceniem z mojej strony, chyba że weźmiesz pod uwagę, jak bardzo tęsknię do tego, żeby być w nim z tobą. Myślałem, że potrzebujesz trochę czasu, żeby się do mnie przyzwyczaić, zanim dojdziemy do tego etapu.

Czuję, jak serce mi przyspiesza, a twarz oblewa się rumieńcem. Odwracam

się od Brennusa i staję tyłem również do szafy.

Brennus przechodzi przez salon i idzie w kierunku przeciwnym do mojej sypialni. Otwiera drzwi i przytrzymuje je, dając mi znaki, żebym weszła do pomieszczenia. Okazuje się ono obszernym i wygodnym gabinetem, w którym stoi pięknie rzeźbione biurko. Ręcznie zdobione sofy i krzesła rozstawione są w miejscach do wypoczynku, ale mimo to w pomieszczeniu jest jeszcze sporo wolnej przestrzeni.

Podchodzę ostrożnie do okna z widokiem na morze. Szerokie podwójne drzwi prowadzą na balkon, na którym stoją kamienny stół i luksusowe krzesła do wypoczynku w słońcu – o ile w tej części świata kiedykolwiek wychodzi ono zza chmur. Najczęściej niebo jest tu zachmurzone i szare – myślę i czuję się odrętwiała.

Kiedy odwracam się od okna, spoglądam na sprzęty i przedmioty znajdujące się w gabinecie, aż w końcu dostrzegam coś, co przyspiesza mi puls. Bez słowa podchodzę do biurka Brennusa i biorę do ręki figurkę, którą rozpoznałem. Trzęsą mi się ręce, kiedy wodzę palcami po gładkiej marmurowej powierzchni – to jestem ja ubrana w strój do hokeja na trawie. Mam w dłoniach jedną z rzeźb stworzonych przez Reeda. Stała w jego pokoju w Crestwood.

– Wygląda to tak, jakby cię widział w marmurze i pracował nad tym tak długo, aż zostałabyś uwolniona – dobiegają mnie zza pleców słowa Brennusa.  
– To mi mówi wszystko, co powinienem o nim wiedzieć.

Nie jestem taka głupia, żeby wymieniać przy Brennusie imię Reeda. Wiem, że mnie testuje i chce zobaczyć moją reakcję.

– To mówi też dużo o tobie. – Odstawiam figurkę na biurko.

– A co to o mnie mówi? – pyta Brennus, kiedy zwracam się w jego stronę.

Unosi piękne łuki brwiowe, które nadają jego twarzy pytający wyraz. Wyciągam dłoń i zaczynam bawić się guzikiem jego koszuli. Jednocześnie spoglądam mu w oczy, żeby sprawdzić, czy koncentruje spojrzenie na moich palcach.

– Że tak bardzo chcesz mnie mieć, że nie pozwolisz mu nawet na posiadanie kawałka kamienia, który przedstawia jakiś fragment mnie.

Na ustach Brennusa pojawia się seksowny uśmiech, a dłoń dotyka mojego

palca, który spoczywa na jego piersi. Brennus przyciąga ten palec do zimnych warg i całuje jego opuszkę, obserwując moją reakcję.

– To bardzo przenikliwe, Genevieve. Co zrobisz z tą informacją? – Gdy pochyła się w moją stronę, ciemne włosy spadają mu na czoło.

– To samo, co i ty robisz – odpowiadam.

Patrzę na jego wargi, które przybliżają się do moich. Kiedy są już na odległość oddechu, mówię:

– Wykorzystam ją dla siebie. Ty masz swoje plany, a ja mam swoje.

– Im szybciej przestaniesz mnie traktować jak wroga, tym szybciej będziemy mogli cieszyć się sobą – mówi łagodnie i lekko przyciska swoje usta do moich.

Chcę pozostać obojętna na ten pocałunek, ale dzieje się całkiem inaczej. Czuję burzę różnych emocji, czuję wściekłość i pożądanie – chciałabym go od siebie odepchnąć, a jednocześnie pragnę go do siebie przyciągnąć. Łapię za brzeg biurka, żeby nie zrobić ani jednego, ani drugiego. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby go skrzywdzić, bo tym samym skrzywdzę też siebie... Przynajmniej do czasu, aż wyzwolę się z tego kontraktu.

Brennus odsuwa się ode mnie, a w jego jasnozielonych oczach widzę głębokie pożądanie.

– Taka silna... – mówi sam do siebie. – Nawet mając mnie we krwi, potrafisz się oprzeć.

– Co? – pytam zdyszonym głosem.

– Ukąsiłem cię. Jestem w twojej krwi. Wiem, że mnie pożadasz, bo tak się zawsze dzieje, kiedy ktoś zostaje ugryziony, a mimo wszystko potrafisz to zwalczyć – mówi zdziwiony i bardzo zaintrygowany.

– Zapominasz, że on też jest teraz w mojej krwi – mówię łagodnym głosem. Gniew przemienia oblicze Brennusa – jego śliczna i zmysłowa twarz staje się zimna i surowa.

Pewnie nie pamiętał, że złożyliśmy sobie z Reedem przysięgę przypieczętowaną krwią. Krew Reeda jest teraz zmieszana z moją, tak żeby zawsze był ze mną, niezależnie od tego, gdzie jestem.

– Wymażę go zewsząd, nawet z twojego serca – obiecuje Brennus ze

śmiertelnym spokojem.

Po tych słowach nie mogę przez chwilę złapać tchu, a przez głowę przebiegają mi różne scenariusze, jak pozbyć się Brennusa. Anioł we mnie jest wściekły i chciałby go udusić, tak jak Brennus dusi mnie. Jest pozbawionym treści zadowoleniem. Uwolnię się od niego i wtedy go zabiję.

Zmuszam się do uśmiechu, ale wiem, że nie widać go w moich oczach. Wszystko to jest grą, a zwycięzcą zostanie ten, kto nie straci nad sobą panowania.

– Triumfatorowi przypadną łupy, Brenn. Nie złość się, że tak lubię stać na przegranej pozycji. – Odpycham go lekko ręką, żeby móc go obejść. – Pójdę się umyć, a potem możesz mi pokazać dom.

Wychodzę z gabinetu, mijam salon i docieram do sypialni. Zamykam drzwi i biegnę do łazienki. Tam również blokuję drzwi zamkiem, choć wiem, że Brennus nie potrzebuje klucza, żeby je otworzyć, bo może je po prostu wyłamać. Opieram się o zamknięte drzwi, wstrzymuję oddech i nasłuchuję, czy idzie. Nic nie słyszę. Przykładam palce do warg, na których wciąż jeszcze czuję kształt jego ust. Ale to nic w porównaniu z pustką, która pozostała w moim sercu.

## *Rozdział 13*

# *Królowa*

Po szybkim prysznicu podchodzę do toaletki, na której znajduję mnóstwo buteleczek z perfumami różniących się wielkością i kształtem. Odkorkowuję kilka z nich i wącham. Są tam zapachy lekkie, kwiatowe, a także egzotyczne, seksowne aromaty. Nie używam żadnego z nich. Mogę się założyć, że zapach mojej krwi dostatecznie już uderza do głowy tutejszym koleśiom i nie muszę go dodatkowo upiększać.

Bez pośpiechu układam włosy – zaczesuję je do góry, tak żeby szyja była odsłonięta. Od chwili, kiedy zostawiłam Brennusa w gabinecie, chodzi mi po głowie pewien plan. Chcę sprawdzić, jak wielką pokusą jestem dla niego i jego koleśi. Chcę się przekonać, czy któregoś z nich można namówić, żeby mnie ugryzł. Jeśli tak, muszę się do tego przygotować, bo kiedy już zostanę ukąszona, zegar będzie moim przeciwnikiem. Będę potrzebowała dostępu do krwi – innej niż krew Gankanaga.

Gdy poprzednio zostałam ugryziona, Russell podał mi krew sarny i to ona pozwoliła mi zaspokoić pragnienie. Potrzeba wypicia krwi, żeby uśmierzyć dręczący ból, jest wówczas nieodparta. Gdybym mogła zdobyć coś w rodzaju sarniej krwi i schować ją gdzieś w łatwo dostępnym miejscu, miałabym może szansę ucieczki, zanim stanę się prawdziwym członkiem tutejszej rodziny.

Przeciągam szczotką po włosach, ale w pewnej chwili nieruchomieję. Mój wzrok pada na buteleczki z perfumami ustawione starannie na toalecie. Odkładam szczotkę i biorę do ręki największy szklany flakon. Na srebrnej etykietce widnieje jakiś napis po francusku.

Po wyjęciu korka zawartość flakonu wylewam do zlewu i spłukuję.



W buteleczce zmieści się zaledwie jakieś sto mililitrów, ale może jeśli napełnię krwią kilka podobnych naczyń, będę mogła schować je w strategicznych miejscach. I gdy po ukąszeniu będę mieć do nich dostęp, zatrzymam halucynacje dostatecznie długo, żeby stąd uciec. Bardziej przydałyby się butelki po winie, bo można je napełnić większą ilością krwi. Jednak buteleczki po perfumach lepiej będą maskowały zapach. Nie chciałabym, żeby któryś z koleśi znalazł walające się po zamku butelki z krwią, bo mogliby zwęszyć moje plany.

Kiedy myślę o bólu związanym z ukąszeniem, trzęsą mi się ręce. Mój plan pociąga za sobą ogromne ryzyko i muszę go jeszcze starannie przemyśleć. Miałam nadzieję, że przetrzymam te sześć miesięcy. A potem, kiedy zgodnie z zapisami kontraktu Brennus pozwoli mi wrócić do Reeda, obmyślimy razem jakąś strategię i stworzymy plan, jak się wyplątać z umowy, zanim będę musiała wracać do Brennusa za kolejne sześć miesięcy. Ale teraz już wiem, że Brennus nie ma absolutnie żadnej ochoty wypuścić mnie z powrotem do Reeda. Zgodził się na pewne warunki w kontrakcie, żeby na jakiś czas kupić moje współdziałanie. To posąg, który zobaczyłam w gabinecie Brennusa, utwierdził mnie w przekonaniu, że mój obecny strażnik nie pozwoli mi na powrót do Reeda. Ani na chwilę. Nigdy.

Jeśli chcę jeszcze kiedykolwiek zobaczyć Reeda, muszę znaleźć jakiś sposób, żeby pozostać przy życiu i zerwać kontrakt. I muszę to wymyślić, zanim upłynie sześć miesięcy. Taki jest termin. Brennus będzie musiał podjąć decyzję: znaleźć jakiś inny sposób, jak mnie zatrzymać, albo mnie przemienić... Albo skłonić do obdarzenia go miłością. Jego obecny plan polega chyba na tym ostatnim rozwiązaniu.

Powodzenia, chłopie – myślę drwiąco.

Czas odgrywa dużą rolę jeszcze z innego powodu. Już cierpię w związku z tym, że od dawna nie widziałam się z Reedem. Mam poczucie, że zgubiłam jakiś duży fragment samej siebie. W nocy, kiedy leżę samotnie w ciemności, urządzam sobie zawody z czasem. Wygląda to tak: staram się wytrzymać kilka minut bez myślenia o Reedzie, bo kiedy o nim myślę, kurczy mi się serce.

Jeszcze gorzej jest, kiedy się zastanawiam, co on musi myśleć o mnie, o tym, co zrobiłam. Wyłączam wtedy myśli o nim. Wiedząc, że nie pozwoliłby mi tamtego wieczoru pójść do kościoła za bielonym domkiem, nie dałam mu

szansy, żeby mnie zatrzymał. Podjęłam sama decyzję, a jego zostawiłam z boku. Mam nadzieję, że wierzy w mój powrót... W to, że znajdę drogę do niego. Znajdę, ale czy on mi pozwoli wrócić po tym, co zrobiłam? Nie mogę tak myśleć, bo doprowadzi mnie to do grobu. Będę musiała uciekać i mieć nadzieję, że wszystko się uda, bo mój dom jest tam, gdzie Reed.

Wiążę mocniej jedwabny pasek szlafroka, podchodzę do szafy w swoim pokoju i znajduję seksowną skąpą bieliznę. Zajmuje mi kilka minut zorientowanie się, jak założyć koronkowy czarny pas podtrzymujący pończochy tego samego koloru, ale w końcu udaje mi się zapiąć ostatnią klamerkę. Wypatruję też małą czarną sukienkę bez rękawów, która dopasowuje się do mojego ciała. Zakładam też parę czarnych szpilek na bardzo wysokich obcasach. Sądząc po metce, te buty musiały kosztować fortunę.

Znajduję dopasowany czarny trencz i zabieram go ze sobą. Przechodzę przez pozostałe pokoje do salonu. Zaglądam do gabinetu Brennusa, ale nikogo tam nie ma. Wychodzę na korytarz, gdzie spotykam Declana i Faolana. Opierają się o ścianę i wyglądają na śmiertelnie znudzonych. Obaj prostują się na mój widok. Patrzą na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby mnie nigdy wcześniej nie widzieli.

– Cześć. – Uśmiecham się do obu. – Szukam Brennusa. Obiecał, że oprowadzi mnie po domu. Wiecie, gdzie go mogę znaleźć? – pytam, a oni wciąż patrzą na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, jakby wstrzymywali oddech.

Żaden nie odpowiada. Gapią się na mnie bez przerwy, aż w końcu Faolan głośno wydycha powietrze. Kiedy to robi, słyszę kliknięcie: z jego ust gwałtownie wysuwają się kły.

– Kompletna rozwałka – mruczy sfrustrowany, po czym zwraca się do Declana, wyglądając na zdenerwowanego. – Patrz, Dec, nawet skrzydeł nie wypuściła. Niedobrze.

– No... – zgadza się z nim Declan. – To jest koszmar dla ochrony. Jesteśmy już martwi – dodaje, szczypiąc się w czubek nosa, jakby strasznie bolała go głowa. – Jadłeś już dziś? – pyta Faolana.

Faolan zdecydowanym ruchem kiwa głową.

– Tak. To pierwsza rzecz, jaką robię, kiedy wiem, że mam ją zobaczyć – mówi, przeczesując nerwowo włosy palcami.

– Musimy przejść na inny rozkład posiłków. Trzeba teraz jeść kilka razy dziennie. Wtedy będzie łatwiej. – Declan mówi w taki sposób, jakby próbował rozwiązać jakiś skomplikowany problem.

– Jakież problemy? – pytam, wpatrując się w ich twarze.

– Tak jest. – Declan patrzy na mnie, jakbym nadal miała na sobie jego szczęśliwą bluzę. – Jesteś wcieloną pokusą, ty smarkulo.

– JA? A co ja takiego zrobiłam? – pytam z niedowierzaniem. – Wzięłam prysznic i wymyłam zęby – tłumaczę, wachając samą siebie w poszukiwaniu choćby śladu brzydkiego zapachu.

Declan wzdycha.

– Może moglibyśmy jej kazać wysmarować się trochę masłem orzechowym. To pomagało – mówi do Faolana.

– Może... ale i tak będziemy ją widzieć – odpowiada ponuro Faolan.

Łapię się pod boki i zdenerwowana wypuszczam gwałtownie skrzydła z pleców. Jednocześnie stukam stopą w podłogę i czekam na wyjaśnienia. Faolan znów na mnie patrzy i w jego wzroku widzę pragnienie. Zwraca się zatroskany do Declana.

Declan piorunuje mnie wzrokiem i mówi:

– Idź się pożyw, Fay. Weź ze sobą Lachlana i Eiona. My tu zaczekamy, aż wrócisz. Pospiesz się.

Kiedy Faolan znika, Declan pyta:

– Czy to naprawdę było konieczne?

– Co? – dopytuję zdezorientowana.

– Skrzydła. Poddajesz go torturom? – oburza się Declan.

– Jasne, że nie! – Jestem zażenowana i czuję, jak rumieniec oblewa mi policzki. – Czy mam iść i polać się perfumami? – pytam, spuszczaając wzrok. – Nie wiedziałam, że wciąż śmierdzę.

– Ty nie śmierdzisz. I to jest problem. Pachniesz tak, jak musi pachnieć Raj, a wyglądasz jak najbardziej wyszukany grzech. Te wilki na dole będą wyły do ciebie, chociaż są tylko kamiennymi posągami. Mogę sobie wyobrazić, co zrobią inni kołesie, kiedy cię zobaczą, ale to nie jest dobre. Większość z nich będzie się starała zachowywać grzecznie, bo wiedzą, że inaczej Brennus ich

zabije. Ale niektórzy nie będą umieli się opanować i trzeba ich będzie odesłać, przynajmniej na razie. Faolan jest stary. Kontroluje się bardziej niż pozostali, a i tak widziałas, co się z nim działo bez skrzydeł. A ze skrzydłami... – Milknie.

– Kolesiom podobają się moje skrzydła? – pytam.

– Tak, lubimy je – odpowiada Declan niechętnie, jakby przyznanie się, że może lubić cokolwiek mojego, było dla niego problemem. – Tam, skąd pochodzimy, wszystkie dziewczuchy mają skrzydła. Chociaż bardziej przypominają skrzydła waszych Kosiarzy, ale pióra są tak samo kuszące.

– Och – wzdycham i czuję się winna za coś, nad czym nie panuję. – Co według ciebie mam robić? – pytam.

Declan powoli wypuszcza powietrze z płuc.

– Mógłbym powiedzieć, że powinnaś umrzeć, ale nie wiem nawet, czy to by rozwiązało problem. Trudno by im było się trzymać z dala od ciebie, także gdybyś była ożywieńcem. Po prostu musimy być nadzwyczajnie czujni i może w twojej straży powinno być więcej dojrzałych kolesi.

Marszczę nos.

– Musisz to robić? Czy czterech nie wystarczy? – pytam.

– Powinno wystarczyć, ale przy tobie robię się nerwowy – odpowiada. – Chyba bardziej mi się podobasz w mojej szczęśliwej bluzie.

Wybucham radosnym śmiechem.

– I ja chyba też wolałam nosić twoją szczęśliwą bluzę.

– Smarkula – mruczy pod nosem, potrząsając jednocześnie głową.

– Chcesz wejść i posiedzieć ze mną, zanim tamci wrócą? – pytam Declana z udawaną nonszalancją.

Patrzy ma mnie sceptycznie, ale w końcu idzie ze mną do pokoju. Wchodzę do salonu, a Declan czeka, aż usiądę w rzeźbionym krześle, i dopiero po tym sadowi się sztywno na najbardziej ode mnie oddalonym krześle.

Sama też się czuję okropnie i sztywno. Zwilżam wargi i pytam:

– A ty... ty od dawna tu jesteś?

Declan pytająco unosi brwi, bo nie wie, o co mi chodzi. Próbuję więc ponownie:

– Czy od dawna jesteś Gankanagiem?

Patrzy na mnie zwężonymi oczami i odpowiada:

– Od dawna.

Zaczynam się bawić guzikiem płaszcza, który położyłam sobie na kolanach.

– Podoba ci się to? – pytam.

– Co? – Staje się podejrzliwy.

– Czy podoba ci się... życie Gankanaga? – wyjaśniam, ale widząc szyderczy uśmieszek na jego twarzy, żałuję, że otworzyłam w ogóle usta.

– A co to za pytanie? – mówi Declan, jakbym była kompletną idiotką.

– Przepraszam – odpowiadam natychmiast. – Bo... Molly mówiła, że to jest super... Tak się zastanawiałam, co ty o tym myślisz... Wiesz... bycie koleśkiem, ożywieńcem.

Jąkam się i coraz bardziej czerwienię, bo zachowuję się jak nieokrzesany głupek.

– Po prostu myślałam, że twoje spojrzenie będzie bardziej świadome niż Molly, bo jesteś tu od zawsze... Znaczący od dawna... przepraszam. Zapomnij, że o to pytałam – kończę i pogrążam się w krępującym milczeniu.

Przez kilka chwil słysząc jedynie tykanie zegara stojącego na kominku. Niemal podskakuję, kiedy słyszę głos Declana:

– Nikt mi nigdy nie zadał tego pytania.

– Naprawdę? – mamroczę.

– Nie, nie przypominam sobie. Jestem równie stary jak mgła albo dwa razy starszy, a ty jesteś pierwsza, która mnie o to pyta. – Widać zaskoczenie na jego twarzy.

– Och, mam nadzieję, że cię nie obraziłam. Zwykle nie jestem taka złośliwa. Akurat spotykamy się w najgorszym dla mnie czasie – mówię uczciwie.

Nie miałam pojęcia, że potrafię go zaszokować, ale najwyraźniej potrafię.

– Wciąż próbuję cię zrozumieć, dziewczyno – mówi Declan, przyglądając mi się.

– Och, naprawdę?

– Zastanawiam się, czy to odwaga, czy naiwność popychają cię do tych wszystkich śmiałych i głupich rzeczy, które wyprawiasz. – Słyszę szczerłość w jego głosie.

– Dasz mi znać? – Lekko się uśmiecham.

A kiedy Declan spogląda na mnie pytająco, dodaję:

– Daj mi znać, kiedy już będziesz wiedział, czy to odwaga, czy naiwność, dobrze?

Uśmiecha się – i jest to pierwszy prawdziwy uśmiech, który u niego zauważam.

– Dam – zgadza się.

Kiwam głową, po czym oboje znów przez chwilę milczymy.

– Tęsknię za życiem – mówi nagle, jakby naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że wypowiada te słowa na głos.

Kiedy widzi na mojej twarzy niepewność, wyjaśnia:

– Pytałaś przedtem, czy podoba mi się, że jestem ożywieńcem.

Kiwam głową na znak, że go rozumiem.

– Śmiesznie było patrzeć, jak jesz... Czułem, że mam ochotę się do ciebie przyłączyć, chociaż jedzenie obrzydliwie śmierdziało.

– No cóż, nie dziwię ci się, masło orzechowe jest naprawdę bardzo dobre. Tylko wygląda nieapetycznie. – Uśmiecham się.

– Kiedy jestem blisko ciebie, dziewczucho... Przypominasz mi, jak to było za życia. Dzięki tobie przypominam sobie rodzinę, którą miałem, zanim zostałem przemieniony. – Patrzy na mnie.

– Jacy oni byli? – Zastanawiam się nad czarodziejskimi duszkami i ich światem.

– Bardzo żywi – mówi nieobecny głosem. – Bardzo... bardzo dużo się śmiali.

– Tak, mój wujek też był taki. Śmialiśmy się cały czas, głównie z rzeczy, które nie były śmieszne, ale on się tak potrafił śmiać, że kiedy się go słyszało, nie można się było powstrzymać...

Declan znowu się do mnie uśmiecha i pokazuje wszystkie zęby w idealnym

stanie. Po czym mówi:

– Mój wuj też taki był! Pamiętam, że śmiał się jak koza. A kiedy się rozkręcił, w całym domu wszyscy płakali ze śmiechu.

Uśmiecham się szeroko, gdy słyszę, jak rozbawiony Declan przywołuje wspomnienia.

– Idziesz, Dec, czy masz zamiar zrobić jej sweter na drutach? – Eion wchodzi do pokoju, a za nim wparowują Lachlan i Faolan.

– Wiesz, Eion, dopiero się rozgrzewałam. Miałam prosić Declana, żeby mi pokazał, jak się rzuca bomby zapalające. A ty mi wszystko popsujesz. – Wstaję z krzesła.

– Chcesz się nauczyć rzucać strzałki elfów? – pyta zaskoczony Declan, idąc za mną w stronę drzwi.

– Tak je nazywacie? – Unoszę brwi.

Wychodzimy na korytarz i kierujemy się w stronę schodów.

– Takie, które rzucałeś we mnie w Chinach?

– Tak. Bałaś się, prawda? – pyta z uśmiechem na ustach.

– Nie bardzo. Brakowało kilometra, żebyś we mnie trafił. Wszystkie wysyłałeś za daleko w prawo. Chyba musisz popracować nad precyzją – drażnię się z nim i z satysfakcją stwierdzam, że wszyscy śmieją się z moich żartów.

Eion przerywa mi i pyta:

– A dlaczego chciałabyś się nauczyć rzucać strzałki elfów?

– Jeszcze pytasz? Dopiero co zostałam zaatakowana przez ifrita. Muszę wzmocnić swój arsenał – odpowiadam.

– Ale teraz to my cię ochraniaamy – mówi Eion w chwili, gdy skręcamy.

Idziemy dalej szerokim korytarzem. Inni kołesie milkną w pół zdania i usuwają się na boki, żeby nas przepuścić. Przechodząc obok nich, słyszę kolejne kliknięcia świadczące o tym, że kły wysuwają im się z ust. A my idziemy, jakby nic się nie działo. Faolan i Lachlan spoglądają na siebie, bawiąc się w męską telepatię.

Staram się zachować pozory spokoju.

– Chciałabym się nauczyć czegoś pożytecznego, co mogłoby mi się przydać... A strzałki elfów wydają się... przydatne – ciągnę, mijając kolejnych kołesi stojących w korytarzu.

Klik, klik, klik, klik – słysząc zewsząd, w miarę jak pokonujemy kolejne odcinki drogi.

– Genevieve, czy masz jakieś inne ubrania? – pyta mnie Faolan, kiedy zbliżamy się do ogromnych drzwi na końcu szerokiego korytarza.

– Wszystkie są podobne do tych. A dlaczego? – Zatrzymuję się przed zamkniętymi drzwiami.

– No bo... kiedy idziemy, twoje nogi są tak... Widać podwiązki przy twoim pasie, kiedy sukienka unosi ci się w górę... To drażnienie kołesi jest... to wszystko jest takie seksowne – jąka się Faolan.

Rumienię się, a Eion szepcze do Lachlana:

– Uwielbiam, kiedy jej się tak robi.

– Może powinieneś o tym porozmawiać z Brennusem, bo ja już mu tłumaczyłam, że potrzebuję innych ciuchów, ale mnie zignorował – wyjaśniam uczciwie. – Może tobie się uda coś osiągnąć, jeśli przedstawiś to jako kwestię bezpieczeństwa.

– Bez różnicy, mogłaby nosić bezkształtny worek – mówi Declan, znów kręcąc głową. – Po prostu urodziła się jako najśłodszy grzech. Eion, powiedz mu, że tu jesteśmy.

Eion wślizguje się przez drzwi, zamyka je za sobą i nie widzę, co się za nimi dzieje.

– Co tu jest? – pytam Declana. – Sądziłam, że mamy się spotkać z Brennusem i zwiedzać dom.

– Zgadza się, ale Brennus chce najpierw oficjalnie przedstawić cię rodzinie – odpowiada Declan.

– Czy oni wszyscy są tutaj? – Czuję przyspieszony rytm serca.

– Na pewno nie wszyscy, ale ci, którzy się liczą, są w tym pokoju – odpowiada łagodnym tonem, prawdopodobnie słysząc głośne uderzenia mojego serca.

– Szkoda, że nikt mnie nie uprzedził – wzdycham i czuję, jak serce



podskakuje mi do gardła. – Jak się mam zachowywać?

Declan wzrusza ramionami.

– Normalnie. Po prostu chcą cię zobaczyć. Potraktuj to jak sesję zdjęciową – odpowiada Declan.

– Jest gotów, żeby ją przyjąć – mówi Eion, gdy otwiera szeroko drzwi.

Declan nachyla się do mojego ucha i szepcze:

– Usztywnij górną wargę, dziewczyno. Nie bój się. Nikt cię nie dotknie.

Prostuję się i odpowiadam szeptem:

– Nie boję się, Declan. Zdarzało mi się jechać autobusem z kierowcami, którzy wyglądali groźniej niż wy, chłopaki.

Declan w reakcji na moje kłamstwo wydaje z siebie głęboki pomruk śmiechu. Wchodzę głębiej do otwartego pomieszczenia. Ściany tej średniowiecznej sali wyłożone są ciężkimi gobelinami przedstawiającymi elfy na polowaniu. Nie mam pojęcia, na co one polują, bo nigdy nie widziałam takich stworów przypominających gady i wyposażonych w skrzydła. Ale wyglądają strasznie. Na ścianach znajduje się także wszelkiego rodzaju broń; martwi mnie, że co najmniej połowy nie potrafię nawet nazwać.

Prawie natychmiast po wejściu dostrzegam Brennusa w przeciwległym końcu sali. Stoi przed ogromnym mahoniowym stołem, który ciągnie się pięćdziesiąt metrów albo więcej, prawie przez całą długość pomieszczenia. Pozostali Gankanagowie zajmują bogato zdobione rzeźbami krzesła, którymi stół jest gęsto obstawiony po obu stronach. Wszyscy mają na sobie drogie, szyte na miarę garnitury, które nienagannie na nich leżą. Po prawej stronie Brennusa siedzi Finn, a krzesło po lewej jest puste.

Moje krzesło – myślę ponuro.

Prostuję ramiona, unoszę podbródek i zaczynam maszerować razem ze swoją przyboczną strażą obok pierwszych Gankanagów siedzących przy końcu stołu. Klik, klik, klik, klik, klik – odgłos kolejnych wysuwających się kłów rezonuje w sali. W drodze ku szczytowi stołu przechodzę obok całego rzędu Gankanagów. Przyklejam sobie do twarzy delikatny uśmiech, próbując pokazać, że ich reakcja na mój widok jest czymś w pełni spodziewanym i ani trochę mnie nie przeraża. Wewnątrz natomiast czuję niepokój i mam tylko nadzieję, że uda mi się dotrzeć do końca sali.

Moje skrzydła lekko trzepocą, wywołując natychmiastową reakcję – serię klik, klik, klik, klik, klik jak z broni maszynowej. Patrząc na Brennusa. Wyraz jego twarzy staje się coraz bardziej zacięty, w miarę jak się zbliżam. Kiedy dochodzę do końca stołu, na twarzy Brennusa maluje się dziki gniew.

Nie wiedząc, co mam zrobić, podchodzę bezpośrednio do niego. Nie mówi ani słowa, tylko wciąż się we mnie wpatruje. Gdzieś głęboko w jego oczach dostrzegam pragnienie, które sprawia, że czuję do Brennusa niepokojący pociąg – najpewniej w reakcji na okazane przez niego pożądanie. Podnoszę dłoń w kierunku jego policzka i przesuwam palce po obrysie jego twarzy. Widziałam wcześniej, że Gankanagowie robią tak ze swoimi ofiarami.

Próbuję się uśmiechnąć.

– Wydaje mi się, że im się podobam, *mo sclábhaí*. Jeśli chcesz, mogę im powiedzieć za ciebie, żeby zamknęli jadaczki. – Robię figlarną minę.

Brennus reaguje na mój żart częściowym rozluźnieniem mięśni twarzy. Obejmuje mnie mocno w pasie i przyciąga do siebie. Nachyla się i całuje mnie, nie dbając o obecnych w sali świadków – a może właśnie z ich powodu. Wokół nas rozlegają się wiwaty, a ja opieram zwinięte w pięści dłonie na piersi Brennusa i czekam, aż skończy mnie całować.

Zwracając się do tłumu Gankanagów, Brennus oznajmia:

– To jest Genevieve, wasza królowa.

Wszyscy krzyczą jak jeden mąż:

– AONTAIGH.

– Co oni mówią? – szepczę do Brennusa, nie spuszczać z oczu zabójców, których mam przed sobą.

– Powiedzieli: „Jedność” – odpowiada. – To nasze motto.

W sali rozlegają się kolejne wiwaty. Cała scena nabiera jakiegoś dziwnego, nierealnego charakteru. Czuję się, jakbym się topiła.

– Chcesz do nich przemówić? – pyta mnie Brennus, a ja zwracam się w jego stronę, czując się okropnie zboląła.

Przenoszę wzrok z twarzy Brennusa na Finna po mojej drugiej stronie. Stroskany Finn marszczy czoło. Patrząc na niego zwężonymi oczami, a potem przestaję zwracać na niego uwagę i koncentruję się na masie bladych twarzy,

które widzę przed sobą.

– Jasne, czemu nie?

Wzruszam ramionami i odchrząkuję. Splatam dłonie za plecami, żeby nikt nie widział, jak się trzęsą.

– Cześć, jestem Genevieve. Musicie mi wybaczyć, że za pierwszym razem, gdy się tu zjawiłam, mogłam się wydawać trochę zaniepokojona. Ostatnim razem, kiedy znalazłam się wśród dużego zgromadzenia Gankanagów, musiałam walczyć o życie, więc teraz spoko, cieszę się, że już tak nie jest. –

Udaję, że wycieram pot z czoła. – Chciałam po prostu powiedzieć, że nigdy wcześniej nie byłam królową. Nie sądzę, żebym się do tego choć trochę nadawała. Ale obiecuję, że żadnemu z was nie każę jeść ciastek ani płacić podatków, ani w ogóle nic takiego. Mam nadzieję, że to stanowisko jest raczej symboliczne, bo tam, skąd pochodzę, w ogóle nie jesteśmy zwolennikami brutalnych dyktatur. Pozostawiamy to Korei Północnej. W każdym razie dziękuję wam za ciepłe przyjęcie. *Sláinte*.

Gdy kończę, na kilka chwil zapada śmiertelna cisza, a potem wszyscy wybuchają niepohamowanym śmiechem. Brennus przyciąga mnie bliżej do swojego boku i szepcze do ucha:

– Nie będę mógł cię nigdy przemienić, *mo chroí*. Boję się, że jeśli zrobię z ciebie prawdziwego Gankanaga, oni wszyscy będą słuchali tylko twoich rozkazów.

– Ach, czyli moja praca w tej sali jest już skończona – odpowiadam na jego pochlebstwo.

– Więc może chciałabyś obejrzeć resztę domu? – pyta Brennus z uśmiechem.

– Chciałabym – mówię w sposób charakterystyczny dla Gankanagów, czyli tak, żeby nigdy w żadnej sprawie nie powiedzieć wyraźnie „tak”.

– Finn, dokończ tutaj za mnie. Ja zabieram swoją królową, żeby jej pokazać posiadłość – komenderuje Brennus.

Finn pochyła głowę, a Brennus prowadzi mnie do drzwi w tylnej części sali. Oddycham z ulgą, bo nie miałam ochoty przechodzić znów przed tymi wszystkimi koleśkami.

Idąc kolejnym długim korytarzem, spoglądam na Brennusa, który obserwuje

mnie z uśmiechem na twarzy. Odchrząkuję i mówię:

– Nie widziałam tam Molly.

– Molly nie zasłużyła jeszcze na swoje miejsce w tym gronie – odpowiada Brennus. – To było spotkanie dla *laoch*. Czyli dla wojowników. To są wojownicy, którzy już udowodnili mi swoją wartość. Molly musi się jeszcze wiele nauczyć, zanim będzie mogła wejść do tej sali.

– Uczysz ją walki? – pytam.

– Finn się tym zajmie – odpowiada. – Albo i nie. To jego sprawa, nie moja. Molly nie jest moim *sclábhaí*. Ja jej nie stworzyłem.

W tym momencie zatrzymujemy się przed następnymi ogromnymi drewnianymi drzwiami. Zdobia je misternie rzeźbione w drewnie stwory przypominające smoki – z głowami złowrogo wystającymi poza płaszczyznę drzwi. Brennus otwiera przede mną ciężkie wrota i wprowadza mnie do kolejnego długiego pomieszczenia ze sklepionym sufitem, takim samym jak w sali, z której przyszliśmy. Tu jednak nie ma długiego stołu. Wnętrze kojarzy się raczej ze zbrojownią, w której okrutnie wyglądające sprzęty wojenne groźnie połyskują w świetle wpadającym przez wąskie okienka, które rozmieszczone są na jednej ze ścian.

Kiedy zagłębiam się w dalsze części pomieszczenia, mój wzrok błądzi po zgromadzonym tu śmiertelnie niebezpiecznym uzbrojeniu wypełniającym prawie każdy centymetr kamiennych ścian. Wyeksponowane są maczugi, miecze, włócznie, czakramy, sztylety, topory, łuki, tarcze, maczety, gwiazdy do rzucania, zbroje oraz inne rzeczy, których nie potrafię nazwać. Przechodząc w ciszy przez tę salę, mijam niezliczone zbroje. Wszystkie wyglądają na bardzo stare. Nie na średniowieczne, jak tamte z Baru Rycerskiego. Nie, tutaj wszystko robi wrażenie, jakby pochodziło z innego, nieludzkiego świata.

Zatrzymuję się przed dużą zbroją, która wygląda jak z opowieści o elfach. Wydaje się piękniejsza od pozostałych. Obchodzę ją wkoło i widzę, że jest wyjątkowo długa, jak srebrna tunika upiększona wyszukany złotawym wykończeniem. Cała powierzchnia metalu jest grawerowana w węzły i inne celtyckie ornamenty. Na środku części piersiowej zamontowana jest para skrzydeł złotego koloru. Spod tuniki zwisają wykonane z metalowej plecionki rajtuzy z doczepionymi długimi butami ze skóry. Te ostatnie pokryte są paskami srebrzystego metalu, co sprawia, że wyglądają jak rama witrażu. Najfajniejszą

częścią pancerza są szczeliny na plecach, które, jak się domyślam, miały umożliwić rozpostarcie skrzydeł.

W metalowych rękawicach zbroi tkwi broń. Z szacunkiem dotykam misternie rzeźbionego topora zamocowanego na długim metalowym drzewcu. Jest on równie długi jak oszczep, za pomocą którego Zee uczył mnie posługiwania się tą bronią, i niemal dorównuje długością mojemu wzrostowi. Jest na nim kilka karbów, zapewniających stabilniejszy uchwyt i zapobiegających ześlizgiwaniu się rąk przy wzniesieniu topora w górę. Ostrze topora jest posrebrzane i przypomina jedno z moich skrzydeł. Chodzi o sposób, w jaki moje pióra leżą jedno na drugim, tworząc ząbkowany brzeg. Tyle że brzeg topora jest ostry i groźny – śmiertelnie.

Pod wpływem impulsu podnoszę rycerski topór. Metal w mojej dłoni sprawia przedziwne wrażenie. Jest w nim jakby jakiś wibrujący prąd przypominający cudowny szum instrumentu muzycznego, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam. Przytykam go do policzka – czuję wibracje i słucham słodkiej melodii brzmiącej jak kołysanka.

– Słyszysz coś? – pyta Brennus zdyszczanym głosem.

– Tak... coś jak muzyka. – Zaczynam nucić tę piękną kołysankę, która wyplata cudownie brzmiący dla moich uszu wzór. Uśmiecham się i spoglądam na Brennusa. Wygląda na całkiem znękanego.

– O co chodzi? Coś nie tak? – zaniepokojona odsuwam ostrze od twarzy.

– On... ja... nie robił tego od czasu, kiedy... – Milknie, patrząc na mnie.

– Kiedy co? – zachęcam go.

– Nie śpiewał od czasu, kiedy przywiozłem go ze sobą, żeby stawić czoło Aodh. Myślałem, że umarł razem ze mną – wyjaśnia cichym głosem, wyjmując mi topór z ręki, po czym przykładając go do ucha i słucha uważnie.

– Słyszysz? – pytam.

Brennus ma w oczach taki smutek, że chciałabym coś zrobić, żeby go rozweselić. Potrząsa głową i opuszcza topór. Wyciągam rękę i łapię dłonią drzewce. Przykładam delikatnie płaską część topora do ucha Brennusa. Sama przykładam ucho do przeciwnej strony i słyszę, jak w metalowym przedmiocie znów budzą się wibracje. Ponownie rozlegają się dźwięki kołysanki.

– Znów gra. Słyszysz? – pytam.

– Tak – mruczy Brennus. Przesuwa rękę i nakrywa moją dłoń trzymającą drzewce topora, ściskając ją lekko.

Moi prywatni ochroniarze natychmiast rzucają się w różne części sali i zdejmują ze ścian rozmaite elementy uzbrojenia. Lachlan wraca do mojego boku jako pierwszy. Patrzy na Brennusa, który opuszcza znajdujący się między nami topór, i przechyla głowę.

Lachlan zwraca się do mnie i pyta:

– Możesz to potrzymać?

Ma w ręku włócznię zakończoną dwustronnym ostrzem w kształcie rombu. Drzewce włóczni jest misternie zdobione, podobnie jak przy toporze.

– Tak, pewnie. – Patrzę zmieszana na Brennusa.

Podchodzę bliżej Lachlana, chwytam drzewce ponad jego rękami, a on w tym czasie przykłada ucho do włóczni i nasłuchuje. Pochyla się, żebym mogła przyłożyć twarz do drugiej strony ostrza i usłyszeć dźwięki jakiejś innej kołysanki.

Lachlan po chwili prostuje się, a w jego oczach widać smutek.

– Nigdy nie myślałem, że kiedyś to jeszcze usłyszę – mówi.

– A co to jest? – pytam.

– Dom – wyjaśnia ze smutkiem w głosie.

– Dlaczego włócznia to śpiewa? – dopytuję.

– Chce, żebyś wiedziała, że będzie cię bronić, że nie musisz się bać – odpowiada Lachlan głosem gęstym od emocji. – Chce ci powiedzieć, że będzie za ciebie walczyć. I że cię wybrała.

Declan przerywa mu i w bezpieczny sposób rzuca między nas inną, morderczo wyglądającą włócznię.

– Spróbuj z tą – mówi szorstko.

Jego broń jest zakończona wieloma rzędami wystających ostrych, nastroszonych kłów.

– To twoja? – Unoszę brwi.

– Tak. – Patrzy z miłością na brutalnie wyglądającą broń.

– No dobrze – wzdycham, chwytając drzewce włóczni tuż przy dłoni

Declana.

Jego melodia jest zaskakująco przejmująca, jakby zawarty był w niej ból po stracie właściciela. Ale zanim pieśń się kończy, Declan wypuszcza broń z ręki. Odwraca się prędko i wychodzi z sali. Trzymając w ręku jego włócznię, patrzę na Brennusa.

Jego wzrok mięknie.

– Wszystko w porządku. Za chwilę wróci – mówi cicho, bierze ode mnie włócznię i opiera ją o jedną ze zbroi.

Faolan i Eion w podobny sposób reagują na dźwięki pieśni wygrywanej przez ich broń. Obaj wyglądają, jakby ktoś zadał im mocny cios.

– Przykro mi... Nie wiedziałam, że te przedmioty będą się tak zachowywać, kiedy ich dotknę... Nie chciałam... – Milknę.

– Nie, to był piękny dar, który nam ofiarowałaś – odpowiada Lachlan. – Żaden z nas nie myślał, że jeszcze kiedyś usłyszysz dom. Po prostu tęsknimy za nim, i tyle.

– Wiem, jak się czujecie – mówię. – To samo spotkało mnie.

– Co? – pyta zdezorientowany Brennus.

– To naprawdę ironia losu. Coś takiego zdarzyło się w celi, w jaskiniach Houghton, kiedy umierałam. Przyszedł do mnie wuj Jim, który dla mnie „jest domem”, położył się obok i wziął mnie za rękę. Nigdy nie przypuszczałam, że zobaczę go jeszcze kiedyś za życia. Myślałam, że to jest jego dusza. – Czuję na nowo tamtą chwilę. – To jest dar, ale i przekleństwo, bo nie można wrócić i zmienić przeszłości, niezależnie od tego, jak bardzo się chce. Nie można jej zatrzymać. Trzeba pozwolić jej odejść.

Każdy z obecnych Gankanagów patrzy na mnie ze zdumieniem. Wyglądają niemal pokornie. Nigdy nie sądziłam, że coś takiego zobaczę.

– Dlaczego spośród tysięcy sztuk broni w tej sali wybrałaś właśnie tę? – Brennus przygląda się toporowi, który wciąż trzyma w dłoniach.

– No cóż, topór stanowił część zbroi, ale prawdopodobnie to na niego właśnie miałam ochotę – mówię. – Podoba mi się ostrze. Wygląda jak moje skrzydło, widzisz? – Delikatnie przeciągam palcem po krawędzi ząbkowanego ostrza.

– Widzę. W tej sali są setki różnych zbroi – mówi Brennus. – I jak to wytłumaczysz, gdy ci powiem, że właśnie ta należała do mnie? – pyta.

– Zbieg okoliczności. – Nie chcę rozmawiać o żadnych związkach z Brennusem.

– To nie zbieg okoliczności. – Marszczy czoło. – Broń to przedmiot osobisty. Musi do ciebie pasować, musi ci sprawiać przyjemność, bo inaczej to ty ją wybierasz, a nie ona ciebie – mówi łagodnym głosem. – Musi być zrobiona specjalnie dla ciebie. Ja zrobiłem właśnie ten topór, a teraz on wybiera ciebie, więc jest twój.

– One wszystkie mnie wybierają. – Wskazuję wszystkie sztuki uzbrojenia, których dotykałam i które dla mnie śpiewały.

– To prawda – zgadza się Brennus, a mnie coś mówi, że nie ma na myśli broni. – Czy przyjmiesz ten prezent? – pyta mnie uroczyście.

Zastanawiam się przez chwilę, po czym odpowiadam:

– Przyjmę, jeśli mnie nauczysz, jak się nim posługiwać.

Gankanagowie są zawziętymi wojownikami i mogłabym się wiele nauczyć od Brennusa, który jest najlepszy spośród nich – bo inaczej nie zostałby królem. Tym plemieniem rządzi spryt i siła, a nie dziedziczne przywileje.

– To będzie dla mnie zaszczyt, żeby cię nauczyć, jak na niego zasłużyć – odpowiada z szelmowskim grymasem. Jego wzrok znów zmacony jest pożądaniem, a ja muszę odwracać spojrzenie, żeby nie odpowiedzieć mu tym samym. Chcę zmienić temat i mówię:

– Więc to nie jest tak naprawdę zbrojownia, jak mi się wydawało. To raczej rodzaj archiwum... Zapisane tu jest, kim wszyscy byliście, zanim staliście się Gankanagami.

– Racja, *mo chroí*. Mamy inne sale, w których trzymamy skuteczniejszą broń niż to, co widzisz tutaj. Teraz wykorzystujemy czary i produkujemy pancerze, które chronią nas lepiej niż te. – Brennus podnosi ręce i wskazuje tysiące zgromadzonych w sali sztuk broni oraz zbroje należące już do innego świata. – Chodź, chcę ci pokazać specjalną salę, którą właśnie utworzyliśmy – zachęca, biorąc mnie za rękę i prowadząc w stronę drzwi.

Wychodzimy i idziemy korytarzem, po czym skręcamy w kolejny szeroki hol. Zatrzymujemy się przed następnymi potężnymi drewnianymi drzwiami.



Ale są inne niż poprzednie – zdobią je misternie rzeźbione anielskie skrzydła.

– Tu jest twoje archiwum. – Brennus otwiera przede mną drzwi.

Nie jestem przygotowana na to, co ukazuje się moim oczom. Jesteśmy w jednym z pomieszczeń znajdujących się w wieży, jest więc koliste, a sufit mam jakieś trzy czy cztery piętra nad głową. W górę ciągnie się kilka kondygnacji wewnętrznych balkonów galeryjek, przy czym na każdej kondygnacji przestrzeń jest inaczej zaaranżowana. Na każdy z poziomów można dotrzeć spiralnymi schodami. Mogłabym tam też pofrunąć, lądując na podestach zabezpieczonych barierkami. Wszystko to w pewnym stopniu przypomina przekrój przez ul – tak samo zresztą jak sposób organizacji całego zamku – tyle że jest bardziej otwarte.

Główny poziom to przestrzeń recepcyjna. Pod najdalszą ścianą umieszczony jest duży kamienny kominek, nad którym wisi mój portret namalowany przez pana MacKinnona – przedstawia mnie jako boginię Persefonę. Na gzymsie kominka stoi nieduże szklane pudełko. Wolnym krokiem przesuвам się w głąb pomieszczenia i zbliżam do kominka.

Kiedy odchyłam wieczko szklanego pudełka, znajduję w nim nóż do otwierania kopert leżący na wyściółce z czerwonego aksamitu. Natychmiast rozpoznaję w nim broń, której użyłam w bibliotece w Houghton, gdy próbowałam odpędzić Brennusa.

Dotykam noża końcami palców i mrużę:

– Nie robi takiego wrażenia jak topór.

– Nie masz racji, *mo chroí* – odpowiada niezwłocznie Brennus. – Robi większe wrażenie niż topór. Ta broń wymaga niewiarygodnej odwagi.

Delikatnie zamykam pudełko i przechadzam się wolno po pokoju. Niektóre meble z domu mojego wuja przemieszane są z bardzo eleganckimi sprzętami, co tworzy w sumie gustowne miejsce, w którym można odpocząć i przyjąć gości. W pomieszczeniu porozstawiane są małe stoliki. Umieszczono na nich – obok pięknych wazonów ze świeżymi kwiatami – bezcenne przedmioty, których nie spodziewałam się już kiedykolwiek zobaczyć. Zdjęcia moich przyjaciół, wuja Jima... mojej matki... Wszystkie przeniesiono na matowy papier i oprawiono, żeby dłużej przetrwały. Podchodzę na sztywnych nogach do stolika znajdującego się przede mną i biorę do ręki zdjęcie, na którym jest wuj Jim i ja. Byłam chyba wtedy w czwartej klasie i wygrałam szkolny

konkurs ortograficzny.

– Byłaś pięknym dzieckiem. – Brennus zagłąda mi przez ramię.

– Tak sądzisz? – Próbuję ukryć napięcie. – Szkoda, że nie słyszą tego moi niektórzy koledzy, którzy mówili na mnie „pomidor”.

Oczy Brennusa groźnie się zwężają.

– Kto cię tak nazywał? – pyta.

– Mikey... – zaczynam, ale przerywam. – A dlaczego? – pytam podejrzliwie.

– Zabiję go – obiecuje Brennus łagodnym tonem.

– Miał dziewięć lat – wyjaśniam.

– A więc żył wiele lat dłużej, niż powinien – odpowiada Brennus złośliwie.

– Daj spokój. – Odstawiam zdjęcie na miejsce, w milczeniu przechodzę od stołu do stołu i dotykam kolejnych fotografii.

– Chcesz obejrzeć resztę swojej wieży? – pyta mnie Brennus.

– Chcę. – Z trudem łapię oddech. – Spotkamy się na górze.

Rozkładam skrzydła, robię trzy kroki i wzbijam się w powietrze. Frunę nieco niepewnie na drugi poziom. Poręcze okazują się przydatnym elementem wystroju wieży, bo dzięki nim unikam rozbicia się o jeden z regałów stojących przy ścianie. Ląduję bowiem z nieco za dużą prędkością. Trzymając się poręczy, widzę, że galeria, na której się znalazłam, przypomina bibliotekę z ozdobnie rzeźbionymi regałami pełnymi oprawnych w skórę książek. Są tu również wygodne fotele i sofy, na których można usiąść i czytać.

– To było interesujące lądowanie. Potrzebujesz może paru wskazówek? – Brennus wchodzi do pomieszczenia z kilkoma kolesiami.

– Myślę, że radzę sobie całkiem dobrze, biorąc pod uwagę, że niewiele się uczyłam. Pierwszy raz latałam w Chinach i... no cóż, byłeś tam.

– Tak, byłem – potwierdza Brennus. – Gdybym nie był już martwy, tamto mogło mnie zabić.

– Och, daj spokój. – Przewracam oczami. – Nie było aż tak źle.

– Można się na ten temat spierać – odpowiada. – Musiałem sobie wciąż

powtarzać, że jesteś silniejsza, niż na to wyglądasz. Dlatego nie próbowałem cię zatrzymać, kiedy byłaś w powietrzu. Bałem się, że możesz nie przeżyć, jeśli to zrobię.

– O, to miłe z twojej strony – zauważam.

– Nie miłe, tylko praktyczne. Wiedziałem, dokąd się wybierasz – odpowiada gładko.

– Jestem czymś w rodzaju otwartej książki, co? – pytam.

– Nie powiedziałbym tego – mruczy Brennus z namysłem. – Zbyt często mnie zaskakujesz.

Uśmiecham się, podchodzę do regału i przyglądam się wielu tomom, których jeszcze nie czytałam, i tym, które znam.

– Ta sala jest przeznaczona dla Lilian, mojej bibliotekarki.

– Nie sądziłam, że lubisz Lilian. Obrzygała całą cholerną beemkę – mówię.

– To była beemka Finna – odpowiada Brennus ze śmiechem.

Przenosimy się na trzeci poziom, ale tym razem wchodzę po schodach. To piętro jest urządzone jak w pełni wyposażone eleganckie biuro: kilka komputerów, sala audytoryjna z ekranem wielkości kinowego. Półki pełne płyt DVD, którymi dawno już przestałam się interesować – relikty mojego życia z wujem Jimem. Wędruję palcami po pudełkach, wyciągam jedną z płyt i czytam głośno tytuł: *Hakerzy*.

– Co to jest? – pyta Lachlan.

– Czy to instrukcja, jak zabijać? – pyta z kolei Faolan, a ja wybucham śmiechem.

– Hm, nie – odpowiadam. – Mogę zrobić wieczorem seans i obejrzymy ten film razem. Przygotuję popcorn.

– Co to jest popcorn? – dopytuje Faolan, gdy wchodzimy na czwarty poziom.

Gdy docieram do podestu, przystaję, bo czuję się prawie tak, jakbym nagle znalazła się w swojej sypialni w domu wuja Jima. Wszystko tu jest: moje łóżko, komody, plakaty z zespołami, które lubię. Nawet moja suknia z balu maturalnego wisi w szafie. W odtworzeniu tego pokoju musiała pomagać Molly, bo wszystko rozmieszczone jest dokładnie tak, jak było, kiedy

wyjeżdżałam na studia.

– Co to jest, Genevieve? – Eion zdejmuje z półki małego trolla z fioletowymi włosami.

– To troll – mruczę tępo.

– Nie, wcale nie. – Obwąchuje figurkę.

– Ależ tak, to troll – upieram się.

Podnosi na mnie wzrok i mówi:

– To nie jest troll. Trolle są wielkie, pachną jak dupa i mają zęby ostre jak żyletki, którymi mogą cię wypatroszyć, jak podejdziesz za blisko. A to jest małe, gołe plastikowe coś, ani trochę niegroźne.

– Och – wzdycham zbita z tropu.

Podchodzę do łóżka i wącham poduszkę – czuję zapach domu, który wciąż jeszcze jest lekko wyczuwalny. Po chwili zaczynam szlochać i mam wrażenie, że chyba nigdy nie przestanę.

– Przepraszam! To rzeczywiście jest troll, przysięgam, że to troll – mówi pospiesznie Eion.

Siadam na krawędzi łóżka, mocno przyciskając poduszkę do piersi.

– Chłopaki, zaczekajcie na dole – wydaje polecenie Brennus.

Kiedy zostajemy sami, Brennus siada na łóżku i przyciąga mnie do siebie. Długo płaczę, a on gładzi mnie po głowie. Nie wypowiada żadnych słów, których można by się było spodziewać w takiej sytuacji po człowieku. Nie obiecuje, że wszystko będzie w porządku, że sprawy się ułożą – a w każdym razie nie wypowiada tego głośno. Mimo to dzielenie się z nim bólem – a także pokazywanie mu mojej wrażliwości, którą on akceptuje – sprawia, że po pewnym czasie zaczynam czuć się lepiej.

Kończę płakać, a Brennus ociera mi łzy i mówi:

– To jest twój pokój. Możesz tu przebywać, kiedy tylko zechcesz. Jednak proszę, żebyś spała na górze, w moim pokoju. Tam możemy cię lepiej chronić. Kolesiom łatwiej pracować na zmiany, a ja mogę siedzieć w swoim gabinecie i być blisko ciebie. Rozumiesz? – pyta.

– Tak. Chcesz, żebym spała w twoim łóżku – mówię z ponurą miną i patrzę na jego po szelmowsku uroczą twarz, a on uśmiecha się do mnie.

– Dokładnie tak – potwierdza. – Musisz być głodna. Chodźmy, nakarmię cię.

## Rozdział 14

# Anioł i bratnia dusza

RUSSELL

Wypijam zawartość kieliszka, który odstawiam, stukając nim o bar. Wskazuję go barmance i mówię:

– Jeszcze raz to samo.

Dziewczyna przygląda mi się sceptycznie.

– Może trochę zwolnisz, kochanie? Wyglądasz na grzeczne dziecko. I masz taką śliczną buźkę. Nie chciałabym, żeby cię spotkało coś złego. – Patrzy na mnie ze współczuciem.

– Więc nie patrz – mamroczę i czekam, aż naleje mi następną porcję czerwonego Johnniego Walkera.

Gdy odstawiam szklankę na barze, kątem oka dostrzegam ruch. Patrzę na sąsiednie krzesło barowe i widzę Reeda – zupełnie jakby się zmaterializował z powietrza. Sztywnieję, ale się nie odzywam.

Co tu zresztą można powiedzieć? Odeszła, przynajmniej na razie. Pozwoliliśmy mu, żeby ją dopadł. Ja mu pozwoliłem, żeby ją dopadł.

– Już południe, Russell – mówi Reed, patrząc w przeciwną stronę.

– Dziękuję ci, Big Benie, dlaczego nie idziesz do parlamentu, gdzie jest twoje miejsce? Biegnij zaraz... Tak, dobry chłopiec – odpowiadam, sącząc piwo, które wcześniej zamówiłem.

– O, ty też masz ładniutką buźkę – ćwierka barmanka i kładzie przed Reedem podkładkę pod szklankę. – Masz dowód osobisty, przystojniaczku? –

pyta.

– Proszę pani, on jest stary jak świat – mówię uczciwie, ale barmanka nie zwraca na mnie uwagi.

– Dziękuję, nie będę nic zamawiał – odpowiada Reed z grzecznym grymasem. – Przyszedłem po przyjaciela – wskazuje na mnie.

– A, to miłe. – Barmanka uśmiecha się do niego. – Czy ktoś mu złamał serce? – pyta Reeda, jakby mnie tu w ogóle nie było.

– Coś w tym rodzaju – mruczy Reed, a ja prychnam.

– Ukradł mi dziewczynę – mówię do barmanki, a ona patrzy na nas obu i cofa się o krok, jakby nie bardzo wiedziała, czy chce mieć cokolwiek wspólnego z tą rozmową.

– Uważasz, że tak właśnie było? – pyta mnie Reed, tak jak to on, cicho i z namysłem.

Patrzy przy tym na barmankę, która towarzyszy parze zajmującej miejsca na drugim końcu baru.

– Tak – odpowiadam ponuro, upijając kolejny łyk piwa.

– A ja nie sądzę, żeby to była prawda, Russell – mówi Reed.

– Och, nie sądzisz? Więc co sądzisz? Co się wydarzyło? – pytam, ale w gruncie rzeczy nie dbam o opinię Reeda.

– Myślę, że rozdarłeś jej serce, a także duszę – odpowiada cichym głosem i odwraca się w moją stronę. – Tylko tak potrafię to wytłumaczyć.

– O czym ty mówisz? – Nieruchomieję z wrażenia.

– Chciałbym się dowiedzieć, co się zdarzyło w twoim ostatnim życiu... bezpośrednio przed obecnym. Wcześniej się z nim pożegnałeś? Umarłeś młodo? – pyta. – Zostawiłeś ją samą?

– Nie jestem pewien. A dlaczego? – Mrużę oczy.

– Bo ona wciąż nie chce cię wypuścić. Kocha cię, chociaż jej anielska część mówi, żeby przestała. Błaga ją, żeby przestała, a ja jestem zdziwiony, dlaczego tak się dzieje. Wygląda na to, że anielska część jej natury wie coś, czego część ludzka nie chce przyjąć do wiadomości. Jedyne, co w tej sprawie przychodzi mi do głowy, to myśl, że kiedyś musiałeś ją zdradzić. Nie miałeś zamiaru tu zostać, w tym wcieleniu. Ona cię zatrzymała. Zmieniła twoje

przeznaczenie, zmusiła, żebyś z nią został.

– Nie ma takiej możliwości, nie zdradziłem jej – mówię kpiąco, słysząc te słowa. – I chciałem zostać, bo inaczej by mnie tu nie było. Miałem wybór. Sam prosiłem, żeby móc zostać. Pamiętam, jak o to błagałem, kiedy umierałem. Musiałem zostać, żeby jej pomóc.

Reed znów patrzy przed siebie. Potem bierze do ręki mój pusty kieliszek i wpatruje się w niego.

– Zastanawiam się, dlaczego ktoś miałby się zdecydować na tego rodzaju misję. Urodzić się mieszkańcem z duszą. – Kiedy spoglądam na niego, Reed ciągnie dalej: – No tak, ona też tak wybrała. Chociaż to zaszczyt, bardziej przypomina mi to misję samobójczą, której niewiele dusz by się podjęło na ochotnika, bo przecież jest przy tym tyle możliwych sposobów zatracenia się... Utrata duszy i oddanie jej Szeolowi to najbardziej prawdopodobny skutek. Więc nic dziwnego, że nie mogę zrozumieć, dlaczego się na to zdecydowała. Czy ona jest aż tak dobra? – pyta retorycznie. – Czy nie dba już o to, co się z nią stanie? Jeśli tak, to dlaczego? I niezależnie, jak się na tę sprawę patrzy, zawsze wraca do ciebie. – Reed oddaje mi kieliszek i stawia go przede mną dnem do góry.

– Myślisz, że ja znam odpowiedź? – pytam ze złością w głosie.

– Nie, wiem, że nie znasz. Ale ktoś zna. A ja czekam, aż się wreszcie ten ktoś pojawi – odpowiada Reed i patrzy na mnie.

– Życzę powodzenia. – Mam nadzieję, że zaraz sobie pójdzie.

– Nie, ona cię nie zostawi – mruczy Reed niemalże sam do siebie. – Wygląda na to, że wciąż cię potrzebuje, nawet jeśli nie jest ci już potrzebna – mówi obojętnym tonem.

– A co ty wiesz o moich potrzebach? – pytam z furją.

– A wiesz, co Evie zrobiła, kiedy się dowiedziała, że jesteś w rękach ifrita? – Reed zadaje kolejne retoryczne pytanie. – Pozwoliła, żeby ondyna o imieniu Safira ją upokorzyła. Bo nie chciała obrazić Safiry, która miała pomóc cię uwolnić. Okłamała mnie, okłamała Zee, zlekceważyła wszystkie środki bezpieczeństwa, jakie podjęliśmy, żeby ją chronić, i dogadała się z Gankanagami, żeby cię wyzwolili z rąk ifrita.

– Nie prosiłem jej o to wszystko. – Czuję, że duszę się od słów Reeda.



– Nie, nie musiałeś, ona w jednej chwili byłaby gotowa zrobić to jeszcze raz – mówi bez jakichkolwiek wątpliwości.

– A skąd wiesz, że to nie ja podjąłem decyzję o tej misji? – pytam.

– Po pierwsze, to ona się do tego urodziła, a po drugie nigdy nie przesiadywała w południe w barach, gdy jej bratnia dusza potrzebowała jej pomocy – odpowiada. – Jesteś tu z obowiązku... Może też z poczucia winy. Dlaczego jej po prostu nie odpuścisz, skoro nie masz zamiaru jej pomóc?

Kieruję w jego stronę palec wskazujący.

– To są brednie, Reed! Mówisz kompletne brednie! Wiesz, że mi ją ukradłeś, a teraz próbujesz się mnie pozbyć – rzucam mu w twarz oskarżenie.

Jego spekulacje sprawiają, że jeszcze bardziej niż zwykle mam ochotę zrobić mu krzywdę.

– Jak można ukraść bratnią duszę? Zadałeś sobie to pytanie? To niemożliwe. A jednak ona mnie kocha tak żarliwie, że nigdy... nigdy sobie nie wyobrażałem, że taka miłość istnieje. Wybrała mnie. Nie wiem dlaczego, ale jestem jej za to wdzięczny i kocham ją. I jestem gotów zrobić dla niej wszystko... Nawet rozmawiać z tobą, jeśli to ma ją uratować.

– Odzyskam ją, Reed – obiecuję łagodnym głosem, patrząc mu prosto w oczy, żeby wiedział, że nie żartuję.

Oczy Reeda groźnie się zwężają.

– Ona jest związana ze mną, złożyła przysięgę. Jest moją... – I wypowiada jakieś nieznane mi słowo w języku anielskim.

– Mnie przysięgała wiele, wiele razy w poprzednich wcieleniach, których nie dałbyś rady zliczyć. Jest moją bratnią duszą i mam zamiar ją odzyskać – zapewniam go.

– Więc pomóż nam, Russell, żeby było w ogóle co odzyskiwać – mówi Reed z błyskiem gniewu w oczach.

Jest naprawdę wściekły, że chcę odzyskać Rudą, ale musiał przecież znać moje zamiary, jeszcze zanim wszedł do baru. Pewnie jest przekonany, że ona nie wróci, jeśli nie wymyślimy sposobu, jak ją uratować.

Wpadam w jeszcze większe przygnębienie.

– Czy on ją torturuje? – Robię się blady jak ściana.

Zdarzają mi się nocne koszmary, w których wyobrażam sobie, co może się dziać z Rudą.

– Brennus jest niezwykle inteligentny – mówi Reed. – Próbował już tortur. Wie, że ona jest za silna, żeby można ją było w ten sposób złamać.

– Więc przetrwa. Nie może jej ugryźć, bo zerwałby kontrakt. – Reed odwraca się i patrzy na mnie jak na idiotę.

– Przecież kiedy ona już stanie się jedną z nich, Brennus nie będzie potrzebował kontraktu, żeby ją zatrzymać, prawda? Ona będzie jego niewolnicą, a on jej panem. A jej dusza zostanie przejęta przez Szeol. Ale to jest plan B. Jeśli Brennus nie zdoła jej zdobyć, ukąsi ją. Ona też to wie... Jest przecież mądra. – Reed nieśmiało się uśmiecha. – Więc będzie przez pewien czas go zwodziła, ale Brennus nie jest demonem cierpliwości. Przyzwyczył się, że wszystko się dzieje po jego myśli, i nie można nie doceniać jego determinacji, jeśli chodzi o realizację planu. Chce ją zdobyć, a wie na temat przyjemności więcej niż ty i ja razem wzięci... Na temat wszystkich form przyjemności.

Zastanawiam się przez sekundę i czuję, jak moja twarz pokrywa się rumieńcem gniewu.

Reed spogląda na mnie i mówi:

– No właśnie.

Jego twarz nabiera tego samego koloru co moja.

– Więc co robimy? – pytam.

– Pierwsze zadanie to ich znaleźć. Są specjalistami od ukrywania się. Gankanagowie umieją korzystać z magii i z magii starożytnej. Przyswoili techniki, które pomagają im unikać wykrycia, na przykład nie importują żywności. Może nawet sami ją produkują i zacierają wszelkie ślady swojej obecności – mówi Reed. – Ale nie potrafią chyba zablokować ciebie. Nie sądzę. Ty i Evie jesteście połączeni. Ty jesteś „ten drugi”, jak trafnie nazywa cię Brennus.

– Potrzebujesz mnie, żebym ją odnalazł, tak? A potem co? – pytam. – Gdy się tam pojawisz, utrudnisz tylko jej sytuację. Ona nie może stamtąd odejść, a jeśli Brennus cię złapie, zabije cię albo zrobi coś jeszcze gorszego. Co Ruda będzie musiała jeszcze poświęcić, żeby ratować i ciebie? – pytam uroczystym

tonem. – Nikt z was nie da rady go zabić! W każdym razie nie w sytuacji, gdy ona jest z nim związana. Splótł jej życie ze swoim, tak że jeśli zranisz jego, ona też będzie krwawiła – tłumaczę niemal oszalały z bólu, bo to ja ją wpakowałem w tę sytuację.

Na twarzy Reeda pojawia się frustracja.

– Nie będę próbował wyciągnąć jej stamtąd, w każdym razie nie fizycznie. Muszę jej pomóc w tym, żeby Brennus jej nie złamał i nie zdobył jej duszy – wyznaje Reed, jakby się wstydził, że chwilowo nie ma lepszego planu.

– Jak to zrobisz? – pytam.

– Razem to zrobimy. – Odwraca się, żeby spojrzeć mi w oczy.

Wiem, ile go kosztuje wypowiedzenie tych słów. Widzę jego cały ból, o którym do tej pory wolałem nie wiedzieć.

– Nie boję się tylko o to, że może ją złamać. Jest silny... pełen mocy – przyznaje Reed niechętnie. – Ale kiedy społeczność złych sił uświadomi sobie, że Brennus ma Evie u siebie, będzie mu potrzebna cała moc, żeby ją zachować.

– Co masz na myśli? Istnieją jeszcze gorsze stwory, które mogą ją dopaść, jeśli jej nie znajdziesz? – pytam.

Jak bardzo mnie to wszystko wkurza... Przecież wiem, że istnieją bardziej okrutne istoty niż Gankanagowie... Przekonałem się na własnej skórze.

– Więc chcesz powiedzieć, że może będziesz musiał pomóc temu demonowi utrzymać ją u siebie? – upewniam się.

– Módlmy się, żeby udało nam się znaleźć inne wyjście. Ale gdyby miało tak się stać... Tak, to właśnie zrobię. Istnieje zło, o jakim nie masz jeszcze pojęcia. Są istoty, przy których ifrit wygląda jak niewiniątka. – Reed marszczy z troską czoło.

Czuję dreszcze i zaczynam lekko dygotać. Nachodzi mnie taki stan od czasu, kiedy wyszedłem z tamtego kościoła.

– Dlaczego nikt z was nam tego nie powiedział? No wiesz, przed tym wszystkim...? – chcę wiedzieć.

– Czy wcześniej uwierzyłybyś w to, co ci teraz mówię? – pyta Reed łagodnym tonem.

Wolno kręcę głową.

– Nie. Nic nie zdołałoby mnie przygotować na Valentine’a – mówię i czuję słabość. – Reed, pomogę ci. To przecież chodzi o Rudą. Nie ma sprawy, pomogę, tylko... – Milknę i zdejmuję trzęsące się ręce z barowego blatu.

Chciałbym zamówić następny kieliszek, żeby zobaczyć, czy po jego wypiciu na jakiś czas przestaną się trząść.

– Russell, dużo czasu już minęło, od kiedy przeżywałem cierpienia, przez które ty właśnie przeszedłeś. Kiedy mi się to przydarzyło, byłem znacznie starszy od ciebie... W każdym razie od twojego ciała – mówi w sposób absolutnie poważny. – To jest straszne i przez jakiś czas nie będzie lepiej. Nawet jeśli twoje ciało wyzdrowieje w ciągu kilku dni, pozostanie ci pamięć o tym, co się wydarzyło. Wszystko będzie powodowało w tobie napięcia: hałasy, cisza, różne zapachy, emocje innych... – Milknie na chwilę, po czym mówi dalej: – Przez długi czas będziesz silnie związany z Brownie. Dzieliła z tobą ból. Czasem będziesz potrzebował jej bliskości, a kiedy indziej nie będziesz mógł patrzeć na jej twarz.

– Ile to zwykle trwa? – pytam cicho.

Nie mam pewności, czy naprawdę chcę prowadzić z nim tę rozmowę, ale nie jestem w stanie jej zakończyć.

– Tyle, ile trwa. – Jego słowa sprawiają, że zaciska mi się gardło. – Przez te wszystkie długie lata, kiedy istnieję, nauczyłem się jednego: to mija. Wszystko się zmienia, niezależnie, czy tego chcesz, czy nie. To, co teraz czujesz, w końcu minie i zapomnisz o tym. Aż do chwili, kiedy wiedza, którą teraz zdobyłeś, będzie ci potrzebna do przeżycia. Wtedy do ciebie wróci. W chwilach, kiedy traciłem kontrolę nad sytuacją, tak jak ty teraz, przekonywałem się, że jedna rzecz zawsze zwiększa moją pewność i umiejętność skupienia.

– Co to za rzecz? – pytam.

– Praca – odpowiada. – Masz ochotę na pracę?

– Co masz na myśli? – dopytuję, choć wiem, o co mu chodzi, i wcale nie musi mi tego mówić.

Być może Reed i Zee pozwolą mi razem z nimi uprzykrzyć życie jakiemuś Upadłemu.

– No cóż, sądziłem, że zdołałem poradzić sobie ze wszystkimi Gankanagami, którzy za mną chodzili, zanim tu dotarłem. Ale chyba jeszcze paru zostało na zewnątrz, czekają, aż do nich wyjdę. Wchodzisz w to?

W tej chwili czuję niemoc.

– Szli za tobą Gankanagowie? – pytam zdumiony.

– Tak, jestem dla nich wrogiem publicznym numer jeden. – Uśmiecha się do mnie, jakby to wyróżnienie wprawiało go w zachwyt. – Brennus jest uparty. Chce, żebym przestał istnieć. Wysyła na mnie wyłącznie swoich najdojrzałych morderców. Zefir jest bardzo zazdrosny. Nie mów mu, że zaangażowałem cię do pomocy, bo będzie stroił fochy.

## Rozdział 15

# Magia przebaczenia

EVIE

Słyszę, jak Brennus chichocze. Nie podnosząc oczu znad książki, mówię do niego głosem pełnym satysfakcji:

– Wiedziałam, że ci się spodoba.

– Miałaś rację. – Brennus odwraca stronę książki, którą mu dałam. – Muszę przyznać, że ten Poe coś w sobie ma. Podoba mi się jego inwencja w sprawie tortur. Znacznie częściej niż ja wykorzystuje strach przed bólem... Ja po prostu operuję bólem... To zwykle bardzo skuteczne.

– Czy to *Studnia i wahadło*? – Opuszczam książkę, żeby na niego spojrzeć – siedzi obok na kanapie w mojej bibliotece.

– Tak – potwierdza z niegodziwym uśmiechem na twarzy.

– Dałam ci tę książkę nie po to, żebyś się nauczył nowych technik torturowania. Nie chodziło o instruktaż, wiesz? – wzdycham.

– Ja miałbym potrzebować instruktażu w sprawie tortur! – Brennus się śmieje, a mnie przeszywa dreszcz, bo chyba nigdy nie wypowiedziano prawdziwszych słów. – Jest wiele sposobów torturowania. Wiedziałaś o tym? Istnieją też tortury zmysłowe... – Podnosi do ust moją dłoń i całuje ją wewnątrz; tym razem czuję dreszcz przyjemności.

– Jestem pewna, że istnieją – potwierdzam, starając się wyrwać rękę. – Nie mam ochoty się tego uczyć od ciebie.

Jego oczy ciemnieją od pożądania.

– Ale to właśnie ja jestem najlepszym nauczycielem – mówi z nieposkromioną pychą, niezrażony odrzuceniem jego czułości.

– Więc może odpowiesz mi na jedno pytanie. – Staram się odwrócić jego uwagę od dalszych prób całowania mnie.

Brennus wypuszcza z rąk moją dłoń i czeka, aż zadam pytanie.

– Czy wiesz, dlaczego jestem taka złamana?

– Co? – pyta Brennus z troską w głosie. Przygląda mi się badawczo i szuka jakiejś fizycznej deformacji, którą należałoby się zająć.

– Dawniej mogłam robić to, czego teraz już nie mogę – wyznaję, zagryzając wargę.

– Czego teraz nie możesz robić? – pyta Brennus i widać troskę w jego zielonych oczach.

– Nie mam już nocnych koszmarów... przeczuć. – Nie mam pewności, czy Brennus wie o mojej umiejętności widzenia złych zdarzeń, zanim do nich dojdzie.

– Jesteś teraz bezpieczna, *mo chroí*. Nic cię nie skrzywdzi, więc może dlatego nie masz nocnych koszmarów? – pyta retorycznie.

Nie pomyślałam o tym. Czy to może być prawda? Czy z Brennusem jestem bezpieczna, tak że nie muszę się już obawiać groźnej przyszłości? – zastanawiam się. Wcześniej myślałam, że to Raj mnie porzucił, po tym jak dobrowolnie zawarłam pakt ze złem.

– I... i nie umiem już wysyłać swoich klonów. – Rumienię się. – Próbowałam wysyłać je do przyjaciół, żeby ich zawiadomić, że wszystko ze mną w porządku, ale nic się nie wydarzyło.

– Wydaje mi się, że to jest część naszego kontraktu – odpowiada Brennus. – Dobrze wiesz, że nawet jeśli byś wysłała wiadomość nie do niego, twoi przyjaciele przekazaliby mu ją, więc tak czy inaczej komunikowałabyś się z nim, a tego ci nie wolno.

– Och! – wzdycham. – Nie jestem nawet w stanie wysłać e-maila. Próbowałam napisać do swojej przyjaciółki, Buns, ale nie mogłam. Kiedy chciałam kliknąć „Wyślij”, klikałam „Skasuj”.

– Myślę, że nie jesteś załamana. Ale nie możesz się komunikować z nimi.

Spróbuj wysłać swój klon do Molly albo do mnie – mówi Brennus nonszalancko, jakby wcale się nie gniewał, że próbowałam rozmawiać z przyjaciółmi.

– Próbowałam też dzwonić do Buns. Nie mogę nawet wystukać jej numeru – ciągnę dalej.

– Jesteś zbyt inteligentna, *mo chroí*. – Uśmiecha się. – Nie wmówisz sama sobie, że to byłoby czymś innym niż rozmowa bezpośrednio z nim. To ty ustalasz warunki kontraktu: twój umysł widzi wszystkie możliwości, a potem porównuje je z zapisami w kontrakcie. Jesteś zbyt szlachetna, żeby oszukiwać na swoją korzyść. W twoim przypadku kontrakt działa tak dobrze, bo nie ma w tobie zła. – Brennus potrząsa głową, a w kącikach jego ust pojawia się ironiczny uśmiech.

– No, to zupełnie nie wiadomo, jak to ugryźć – mówię zniechęcona.

Brennus śmieje się głośno, słysząc mój komentarz.

– A to śmieszne!

– Więc chcesz powiedzieć, że gdybym umiała się skutecznie okłamywać, mogłabym robić, na co mam ochotę? – pytam go. – Nawet stąd odejść?

– Teoretycznie mogłabyś. Nie zawarłbym tego typu umowy na przykład z ifritem, bo oni są źli i gdyby chcieli, mogliby przekonać samych siebie, że białe jest czarne, a czarne jest białe. Zło wierzy w swoje własne kłamstwa, rozumiesz? – pyta Brennus.

– Tak – odpowiadam z niechęcią. – Nienawidzę magii.

– Och, przestań, jest też wiele bardzo przyjemnych zaklęć – mówi Brennus łagodnym tonem, obejmuje mnie ramieniem i przytula. – Chciałabyś się przekonać? – pyta.

– Nie – odpowiadam ze złością.

– Spodoba ci się, obiecuję – nalega Brennus.

Wstaje i podaje mi rękę. Biorę ją niechętnie i staję obok niego. Brennus zamyka oczy i się koncentruje. Porusza wargami, ale nie słyszę żadnych słów. Czuję, że w pokoju zaczyna się gromadzić energia, która skwierczy jak elektryczność statyczna. Wydaje się, że cała ta energia zmierza w kierunku Brennusa, jakby ją do siebie przyciągał. A w pewnej chwili, jakby ktoś przełączył pstryczek, energia gwałtownie zostaje uwolniona na zewnątrz.



Czuję, że przechodzi przeze mnie jak fala uderzeniowa, a pokój wokół mnie zaczyna się zmieniać. Z podłogi i ścian wyrastają paprocie i winorośl. Z wysokiej trawy pokrywającej dywany wykwitają dzikie kwiaty. Po spiralnych schodach spływa z hukiem wodospad, a od pierwszego piętra pną się w górę bujne drzewa, mijają nas na drugim piętrze i ciągną się wyżej aż do sufitu. Obok mnie przelatują kolibry jakby utkane z czystego światła i zaczynają ucztować na kwiatkach obok regału z książkami. Wokół krążą świetliki i nadają czarodziejski blask mojemu pokojowi.

Chętnie rozsiadłabym się i podziwiała to wszystko, ale Brennus chwytam mnie za łokieć i mówi:

– Nie siadaj na króliczku, *mo chroí*.

Na kanapie, na której siedziałam, widzę żółtego królika ze światła. Prostuję się, a rozbawiony Brennus śmieje się ze mnie.

– Hej, można prosić o spokój? – woła z dołu Eion. – Gramy tu na dole w karty.

– Zamknij jadaczkę, Eion! – odkrzykuję, podziwiając magiczną dżunglę, którą stworzył Brennus.

Chwilę później na gałąź drzewa znajdującego się blisko mnie wskakuje jakiś stwór z czarnymi skrzydłami. Wyglądem przypomina człowieka, ale ma długi, nastroszony ogon i ostre szpony. Stwór wspina się trochę wyżej, nachyla w moją stronę, jakby za chwilę miał na mnie skoczyć. Wpatruje się we mnie złowrogimi żółtymi oczami i zmusza mnie do obronnego przykucnięcia. Warczę na napastnika. Serce wali mi w piersi i układam już różne mordercze scenariusze. Próbuję odczytać jego intencje, ale cofam się o krok. Pociągam też za łokieć Brennusa, żeby nie podchodził za blisko tej dziwnej istoty.

Brennus robi gniewną minę i pstryka palcami. Przerazający stwór rozpływa się w jednej chwili, a Brennus surowo krzyczy na dół:

– To nie było śmieszne, Eion.

– Przepraszam – odkrzykuje Eion, a w tej samej chwili w pomieszczeniu pojawia się tęcza aż do sufitu. Najwyraźniej Eion próbuje naprawić swój błąd.

– Cóż, to było... interesujące. – Prostuję się i usiłuję spowolnić bicie serca, żeby doprowadzić je do normalnego stanu. – Czy takie stwory istnieją?

– Pokazuję miejsce, w którym to przeraźliwe coś stało jeszcze przed chwilą.

– Istniały, ale już od bardzo dawna nie widziałem żadnego nigdybóla. – Brennus jest najwyraźniej przejęty.

– To dobrze – mruczę i podnoszę do czoła drżącą dłoń.

– Wiesz, że tu jesteś bezpieczna. Stałem tuż obok i nigdy bym nie pozwolił, żeby ktoś cię skrzywdził – mówi Brennus łagodnym tonem, wyciągając rękę, żeby pogłaskać mnie po ramieniu.

– Już pozwoliłeś. – Cofam się od niego o krok. – Skrzywdziłeś mnie przedtem... Tak bardzo, że lepiej by było, gdybym umarła. Zamknąłeś mnie w celi... Byłam taka samotna... A kiedy ledwo się z tego otrząsnęłam, kazałeś mi walczyć z Keeganem... Potem mnie ukąsiłeś i to bardzo bolało. Nie mogłam przestać krwawić, a cały mój świat zamienił się w ogień i topił się wokół mnie.

Brennus wygląda na chorego.

– Masz rację, zrobiłem to wszystko. Nie mogę tego cofnąć, ale uczę się na swoich błędach – mówi łagodnie. – Chcę cię taką, jaka jesteś... Jeśli kiedyś zechcesz stać się Gankanagiem, przemienię cię, ale na razie poznajmy się lepiej. Tego właśnie bym chciał.

– Nie ufam ci. – Patrzę mu w oczy i widzę, jak łagodnieją.

– Ufasz mi troszeczkę i to cię przeraża – odpowiada Brennus, a jego zielone oczy błyszczą przy tym z rozbawienia.

– Jesteś szalony – wzdycham zdenerwowana.

– Wcale nie. Wszystko ze mną w porządku. – Brennus się uśmiecha.

– *Loco*[5]. – Unoszę brwi i kręcę palcem w pobliżu ucha.

– Chcesz się nauczyć zaklęcia? – pyta Brennus perswazyjnym tonem, a mnie znowu przyspiesza serce.

Czy chcę? – zastanawiam się. – Tak, chcę się ich nauczyć wszystkich... Wszystkiego, co pomoże mi przetrwać.

– Tak – odpowiadam niechętnie.

– Jesteś bardzo mocna, widzę to w tobie, ale używasz swojej siły inaczej niż my – wyjaśnia Brennus.

Jego ciemne włosy opadają na czoło, przez co robi się jeszcze bardziej

atrakcyjny.

– Co masz na myśli? – Staram się ignorować jego seksowny wygląd.

– Oddajesz ją. A my ją przyjmujemy – odpowiada z żalną miną. – Kiedy idę obok ciebie, oddajesz mi swoją energię. To działa jak narkotyki. Marzę o niej teraz. – Jest całkiem poważny.

– Naprawdę? – Marszczę nos.

Uśmiecha się do mnie czule.

– Marzę o tobie w taki sposób, którego nigdy naprawdę nie poznasz – mówi, a ja się czerwienię. – Chodź tutaj – zachęca mnie, zginając palec wskazujący.

Ściągam brwi i robię podejrzliwą minę.

– Po co? – pytam.

– Po prostu podejź – wzdycha.

Kiedy zbliżam się do niego, przyciąga mnie delikatnie do piersi i obejmuje. Mówi prosto do mojego ucha:

– Zamierzam wchłonąć całą energię z tego pokoju. Chciałbym, żebyś spróbowała poczuć to, co robię, kiedy energia będzie przechodziła przez ciebie do mnie.

Brennus koncentruje się i cała magiczna sceneria wypełniająca pokój zaczyna wirować, deformować się i zmieniać kształt. Podobnie jak obraz namalowany farbami wodnymi i zalany wodą, który traci barwy i zamienia się w chaos kolorów i zniekształconych obiektów. Gdy Brennus ściąga energię w naszą stronę, czuję, jak przepływa ona obok mnie, ale też jakąś jej część jestem w stanie sama wchłonąć. Zatrzymuję ją i nie pozwalam dotrzeć do Brennusa.

– Dobrze – szepcze mi Brennus do ucha. – Staraj się nie dopuszczać jej do mnie, jeśli potrafisz. To dobra strategia, kiedy walczy się z przeciwnikiem. Jeśli możesz go zablokować w ten sposób, że nie dopuścisz do niego energii, uniemożliwisz mu stosowanie czarów, które mogłyby cię skrzywdzić. A jeśli zdołasz odebrać mu jego energię, masz już całą potrzebną władzę.

Czuję w sobie jakąś elektryczność, jakbym rzeczywiście miała lada chwila wybuchnąć płomieniem.

– Na początku trochę kopie – mówi Brennus nonszalancko, słysząc, że coraz ciężiej oddycham. – Pomyśl o czymś, co chciałabyś stworzyć... O czymkolwiek... Na przykład o ogniu – sugeruje, wyciąga rękę i trzyma ją przede mną. – A wtedy wypowiesz słowa, które to spowodują. – W jego dłoni pojawia się ogniowa kula.

– Jakie słowa? – pytam.

– Swoje słowa. Czasami łatwiej coś zrymować, na przykład: „Ogień mi się marzy, ogień mnie nie parzy” – mówi, a ja marszczę nos.

– To okropny rym – odpowiadam. – Poezja nie jest twoją mocną stroną.

Brennus chichocze i mówi łagodnie:

– Spróbuj.

Też widać nie jestem poetką, bo nie mogę szybko wymyślić żadnego rymu. A potem przychodzi mi do głowy pewien pomysł. Myślę i zaczynam cicho szeptać.

Nagle z pierwszego piętra strzela z sykiem wielki płomień. Wygląda to, jakby jakaś kometa wpadła w niekontrolowany ruch spiralny. Ogień krąży wokół nas i okrywa nas gorącym płaszczem. Brennus osłania mnie ciałem, wypycha swoją energię i odgradza nas barierą ochronną.

Dopiero po kilku minutach udaje mu się ugasić huczące piekło, które zmajstrowałam. Przyciąga mnie do siebie i zaczyna sprawdzać, czy nie odniosłam obrażeń.

Chwyta mnie za ramiona i z szeroko otwartymi oczami pyta:

– Coś ty przed chwilą powiedziała?

– Mówiłeś, żebym powiedziała coś o ogniu – usprawiedliwiam się i próbuję go odepchnąć.

– No tak, ale to jest twoja pierwsza próba, więc nie powinno ci z tego wyjść nic więcej niż mała iskra albo pełgający płomyczek. Co powiedziałaś? – pyta raz jeszcze zagniewany.

W tej samej chwili na podest na naszym piętrze wparowują Eion, Lachlan, Faolan i Declan.

– Co wy tu robicie? Zmieniacie dekoracje? – pyta Declan, widząc, że oboje jesteśmy cali i zdrowi.

– Nie miejcie do mnie pretensji. Brennus kazał mi coś powiedzieć – mruczę pod nosem.

– No i...? – pyta Declan.

– Wymyśliłam głupią piosenkę i ogień oszalał – mówię całkiem poważnie.

– Piosenkę? – Brennus przybiera sceptyczny wyraz twarzy.

– No tak... taki wierszyk. – Patrzę na tłącą się książkę leżącą na kanapie w miejscu, gdzie siedziałam przed chwilą z Brennusem.

– Zaśpiewaj mi tę piosenkę – mówi Brennus.

– W porządku. – Robię wydech i odchrząkuję. – No więc... *Słodki uśmiech na twojej twarzy... Całe moje ciało parzy...* – Czerwienię się, śpiewając coraz cieńszym głosem. – *Pełne iskier twoje oczy... Zaraz kłamstwo mnie otoczy. Uwięziona przez pragnienie...* – Waham się przez chwilę, usiłując sobie przypomnieć resztę piosenki. – *Otoczona przez płomienie... A gdy przeciw mnie spiskujesz... Twoja miłość parzy, kłuje.*

Wszyscy patrzą na siebie z niedowierzaniem.

– Tak to po prostu wymyśliłaś? Jesteś czarownicą? – pyta podejrzliwie Declan.

– Nie... przynajmniej nie wydaje mi się. – Podnoszę książkę, którą czytałam – jest kompletnie zwęglona.

– Nie śpiewasz ładnie – czepia się mnie Declan.

– Jesteś okropną śpiewaczką – potwierdza Eion kiwnięciem głowy.

Patrzę na nich niezadowolona.

– Nie wiedziałam, że biorę udział w programie „Mam talent”...

– Kochamy cię, pożądamy i podziwiamy, a ty się zabawiasz z ogniowymi czarami... – Brennus się zamyśla. – Na tym polega twoja siła: potrafisz wzbudzać miłość i pożądanie, a potem dodajesz do tego ogień. Co takiego powiedziałaś? „Pokusa samospalenia w piekących płomieniach”... Prawie nas nakryłaś ogniem. Ta zdolność przyciągania energii... Przy pierwszej próbie osiągnęłaś mój poziom.

Podnoszę rękę i mówię:

– Ofiara własnego sukcesu. – I rozglądam się po zniszczeniach, które spowodowałam w swojej bibliotece. – Chyba powinniśmy wychodzić na

zewnątrz, kiedy mnie będziesz uczył innych czarów – dodaję, widząc, że sofa wciąż jeszcze się tli.

– Nie możesz jej już niczego uczyć – mówi poważnym głosem Eion. – Bo wszystkich nas pozabija.

– A zacznę od ciebie, miłośniku nigdybólów. – Krzyżuję ręce na piersi i wpatruję się w niego.

– To nie jest śmieszne – mówi Eion kwaśno, unosząc w obronnym geście obie ręce.

– Mogłabyś spróbować innego zaklęcia? Możesz wywołać deszcz? – pyta podniecony Brennus, ignorując gniewną minę Eiona.

– Nie wiem. Jesteś pewien, że mam spróbować? – zastanawiam się i rozglądam po zrujnowanym pomieszczeniu.

Brennus macha lekceważąco ręką i mówi:

– Zajmę się tym.

– Chcesz deszcz? – Szukam w głowie czegoś, co rymuje się z deszczem.

Brennus kiwa głową.

Zaczynam przyciągać energię znajdującą się w pokoju, a jednocześnie próbuję wymyślić coś do rymu. *Miłość potrafi zwyciężyć ból serc rozdzielonych. Miłość spada deszczem na policzki zrozpaczonych.*

Z sufitu zaczynają spadać miękkie krople deszczu, moczą wszystko w mojej wieży i rozpraszają dym. Z włosów koleśki spływa woda, która cieknie po ich zdumionych twarzach.

– To też sama wymyśliłam. Jeśli wam się podoba, poczekajcie, aż usłyszycie Ozzy’ego Osbourne’a – mówię.

Zanim udaje mi się uciec, Brennus łapie mnie i obraca wiele razy wokół mojej osi. Potem przestaje i przyciska mnie do siebie.

– Genevieve, jesteś wielka! Skąd ty się wzięłaś?

– Z Detroit – odpowiadam, odczuwając dziwne zadowolenie, kiedy po mojej odpowiedzi wszyscy wybuchają śmiechem.

Spoglądam ponad ramieniem Brennusa i widzę, że obok schodów stoi Finn. Podobnie jak my wszyscy jest całkiem przemoczony. Brennus sztywnieje, gdy słyszy, jak wydobywam z siebie cichy warkot. Gdy jednak widzi, że warczę na

Finna, rozluźnia się i nonszalancko obejmuje mnie ramieniem. Nie daję się nabrać: po prostu chce mnie powstrzymać przed kolejną próbą zamordowania Finna.

Finn trzyma topór, który wygląda jak broń stworzona przez Brennusa, z długim drzewcem zdobionym srebrem i złotem, ale z innym ostrzem. Bardziej przypomina młot niż topór. Finn powoli zbliża się do mnie, a jego jasnozielone oczy wyglądają jak u nawiedzonego.

Zatrzymuje się przede mną, podaje mi topór i mówi:

– Proszę.

– Nie. – Wiem, że chce usłyszeć pieśń śpiewaną przez broń, chce znów usłyszeć swój dom. – Ona też już nigdy nie wróci do domu. Zabrałeś jej tę możliwość – mówię łagodnym głosem i mam na myśli Molly.

– Chłopcy, zaczekajcie na dole. – Brennus odsyła koleśi.

Nadal wpatruję się w Finna. Brennus mówi do niego coś w języku, którego nie rozumiem. Finn kiwa głową, ale ani na chwilę nie przestaje na mnie patrzeć. Brennus zwraca się w moją stronę i mówi:

– Będę na dole, *mo chroí*.

Nie jestem pewna, czy to ma mnie uspokoić, czy też ostrzec, gdybym chciała zaatakować jego brata. Tak czy owak, kiwam głową.

Kiedy zostajemy sami, Finn mówi:

– Ja ją kocham.

– To jest miłość, Finn, czy po prostu chciałeś mieć jakiś obiekt, by zabiegać o jego względy? – pytam.

Piorunuje mnie wzrokiem.

– Jestem zdolny do miłości. Nie jesteś jedyną istotą, która ma to szczęście, że potrafi kochać – mówi cicho.

– Jej rodzina też ją kochała – odpowiadam, a gniewna mina Finna ustępuje miejsca smutkowi. – Jesteś teraz jej *máistir*... jej sędzią, ławą przysięgłych i katem. I skazałeś ją na inne życie... na życie w śmierci.

– A co ty byś zrobiła na moim miejscu? – Jego oczy wypełniają się bólem.  
– Obserwowałem ją przez wiele dni razem z Eionem i Keefe'em. Zamierzaliśmy ją zdobyć, nie zważając na nic. Nic by tego nie zatrzymało...

Jest twoją przyjaciółką i doprowadziłaby nas do ciebie. – Czuję ukłucie winy, która będzie mi towarzyszyć już zawsze, bo nie ochroniłam Molly... Bo wystawiłam ją na cios. – Eion i Keefe też się o nią starali.

Blednę na myśl o tym, że Eion albo Keefe mogliby zostać *máistirem* Molly zamiast Finna. Czuję się jak sparaliżowana. Deszcz przemoczył moją cienką koszulkę, która się do mnie przykleja.

– Wiem, że to moja wina. Tyle że łatwiej zrzucić ją na ciebie – szepczę.

– Kocham ją... Naprawdę ją kocham. – Finn siada obok mnie. – Ona... ona wypełnia tę pustkę we mnie, którą czułem przez całą wieczność... Od czasu, kiedy skazałem brata na śmierć wraz ze mną.

– To nie byłeś ty. To był Aodh – mówię.

– To ja. Brennus nie stałby się Gankanagiem, gdyby nie ja. On by się na to nie zdecydował – odpowiada Finn, zwieszając głowę i trzymając młot przed sobą.

Od schodów dobiega do nas głos Molly.

– O rany, wy dwoje, dość już tego poczucia winy.

Odchodzi od ściany, o którą się opierała, gdy słuchała naszej rozmowy. Przechodzi w stronę kanapy, przeciska się między nami i nas obejmuje.

– Okazało się, że moje dwie ulubione istoty w ogóle nie są ludźmi. I oboje chcecie na ten temat marudzić. Wcale nie tęsknię za tym, żeby być człowiekiem – informuje nas. – Sekunda tego życia jest warta wieczność tamtego. Albo się żyje ponad tym całym bałaganem, albo pod nim. Pogodzisz się z losem albo zostaniesz pod nim pogrzebana.

– Molly, zawsze myślałam, że jesteś wampirem – mówię szczerze, a zaraz potem słyszę, jak Finn na mnie syczy przekonany, że ją obraziłam.

– Tak, a teraz mogę wampirowi skopać tyłek. – Molly się uśmiecha, wysuwając kły i prezentując swoje imponujące uzbrojenie.

– Ale odlot! – komentuję, jakby pokazywała mi nowe buty kupione w centrum handlowym.

– Więc, Eaves, może zatrzymasz już deszcz? Bo mamy go dość. – Moll zakrywa głowę dłonią jak parasolką.

– A... no tak... pewnie – jąkam się i próbuję wymyślić jakiś wierszyk. –



*Deszczu, deszczu, idźże sobie, bo już tutaj nic po tobie* – podśpiewuję i staram się jednocześnie ściągnąć ku sobie całą energię obecną w pomieszczeniu, a potem ją uwolnić.

– Przedszkole znów pokazuje swoje groźne oblicze – mówi Molly, bo zna ten wierszyk z przedszkola tak jak ja.

– Najwyraźniej wierszyki dziecięce świetnie nadają się do czarów. – Wzruszam ramionami i w tym czasie deszcz przestaje padać.

– Dobrze wiedzieć – komentuje Molly, wyzymając wodę z koszuli i rozglądając się wokół po zdewastowanym pomieszczeniu. – Więc przestaniesz być taka upierdliwa czy jak?

– Nie byłam upierdliwa – bronię się. – Chciałam pomścić przyjaciółkę.

– Mogę się sama sobą zająć, nikt mnie nie musi pomścić – mówi Molly. – To był mój wybór. Więc jeśli mogę cię prosić o przysługę: wybacz Finnowi, zanim poczucie winy go wykończy. Jestem jedyną osobą, którą on kiedykolwiek przemienił.

Molly, mówiąc te słowa, masuje plecy Finna. Spojrzenie, które przy tym między sobą wymieniają, jest naprawdę gorące.

Wzdycham i mówię:

– Spróbuję ci wybaczyć, Finn.

Finn uśmiecha się jak anioł i odpowiada:

– Dzięki, Genevieve.

– Ale jeśli przemienisz jeszcze kogoś, kogo kocham, zabiję cię – dodaje cicho.

– Ciekawe, jak to zrobisz... – Finn milknie, okazując arogancję typową dla Gankanagów i śmieje się do mnie przekornie.

Wstaję z kanapy i się rozglądam. Wszystko wkoło jest zwęglone i mokre. Znów wzdycham i zastanawiam się, jak to uporządkować. Może to zająć dobrą chwilę.

Czuję dreszcz wywołany ruchem energii w pokoju. Odwracam się w stronę Finna, który tę energię ściąga do siebie. Mamrocze jakieś słowa, których nie potrafię zrozumieć, a w tym czasie różne przedmioty w pokoju zaczynają wirować jak dziecięce bączki. Kanapa, z której przed chwilą wszyscy

wstaliśmy, kręci się jak trąba powietrzna. W pewnej chwili się zatrzymuje i wygląda tak samo jak przed seansem magii. Nie ma na niej żadnego śladu ognia. Pięknie tkane dywany są znowu czyste i suche, nie chlupoczą już, kiedy po nich stąpam.

– Finn, to niesamowite! – Oddycham głęboko, ciesząc się, że cały bałagan już zniknął.

Przewracam kartki zwęglonej książki, która już wygląda jak nowa.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę – odpowiada Finn, a potem wraz z Molly udaje się kierunku schodów.

– Zaczekaj – wołam i go doganiam.

Wyciągam rękę po młot bitewny. Finn powoli wypuszcza go z dłoni i mi przekazuje. Dotykam grawerowanego metalu wibrującego energią, do której pasuje jedno określenie – charyzmatyczna. Umieszczam groźnie wyglądającą głowicę młota między Finnem a sobą i oboje nasłuchujemy melodii. Broń Finna jest inna od uzbrojenia pozostałych koleś. Pieśń jest zwawsza i bardziej beztroska, przypomina raczej przebój rockowy, jeśli miałabym ją porównywać z gatunkami muzyki, które znam.

– Finn, przy takich rytmach chyba wszystkie kobiety w okolicy uganiały się za tobą – chichoczę. – Powinniśmy to umieścić na *Guitar Hero*[\[6\]](#).

– No, trochę tego było. – Finn próbuje zagłuszyć smutek wywołany dźwiękami przeszłości.

Wrogość do niego za to, co zrobił Molly, minęła, kiedy spojrzał mi w oczy zaraz po tym, jak posłał spojrzenie swojej ukochanej. Widzę, że Finn wciąż żałuje tego, co zrobił, i że to jest jego zemsta na samym sobie.

## *Rozdział 16*

# *Casimir*

Noce w pokoju Brennusa spędzam sama w ogromnym łóżku i zawsze wyobrażam sobie, że leżę obok Reeda. Czasami tęsknota za nim jest tak silna, że czuję się, jakby moje serce za chwilę miało przestać bić. Wówczas budzę się i widzę Brennusa, który siedzi w moim pokoju i przygląda się, jak śpię. Wie, że cierpię. Wtedy nie rozmawiamy. Wygląda to tak, jakby Brennus chciał zastąpić w moim umyśle obraz Reeda swoim. Jakby wierzył, że jeśli po przebudzeniu zobaczę właśnie jego zamiast Reeda, zapomnę o swoim ukochanym, który jest gdzieś daleko. Czasem traktuję Brennusa jak szaleńca, który uważa, że kiedykolwiek zdoła zastąpić Reeda. Czasem jednak obawiam się, że utracę obraz Reeda, który tak bardzo staram się zapamiętać.

Brennus przynajmniej nie próbuje już mnie więcej całować – ani razu od tamtego dnia, kiedy pocałował mnie przy wszystkich w dużej sali. Ale lubi mnie dotykać. Czuję się niemal jak jego ulubione zwierzątko. Często bawi się moimi włosami albo głaska skrzydła, kiedy siedzimy w wieży i czytamy. Albo rano, gdy jem śniadanie w jego gabinecie, zanim się przebiorę w dzienny strój.

Brennus chce ze mną spędzać jak najwięcej czasu, mimo że często ktoś mu przeszkadza. Zabiera mnie na spacer po swojej ogromnej posiadłości. Pokazuje urwiska, gdzie daleko w dole morze spotyka się ze skałami. Uwielbiam tam chodzić, mimo że robi się coraz zimniej i coraz bardziej wietrznie, bo zbliża się zima. Chciałabym latać nad klifami i zaglądać do środka jaskiń w dole, ale nie jestem jeszcze dobra w lataniu. Ćwiczę w miejscach, w których wiatr nie może mną cisnąć o skalną ścianę, a potem do głębszej, zdradzieckiej wody poniżej.

Brennus poznaje mnie coraz lepiej. Widzę to po prezentach, jakie dla mnie wybiera. Na początku na przykład dostałam absurdalnie drogi samochód, bardziej elegancki od tych, które do tej pory widziałam. Z fotelami wygodniejszymi niż komfortowe leżaki. Ale nie mogę tym autem pojechać nigdzie poza posiadłość, nie mam więc z niego żadnego pożytku. Szybciej potrafię biegać. Potem dostałam od Brennusa biżuterię w takich ilościach, że nie miałam jej gdzie przechowywać. Wszystkie kształty, rodzaje szlifów, kolory i wielkości – ale kiedy zauważył, że niczego nie noszę, stał się sprytniejszy.

Gdy jem śniadanie w gabinecie, Brennus z tajemniczą miną przysuwa w moją stronę pięknie opakowane pudełko. Patrząc na nie, jakby było moją nemezis. Rozsmarowuję dżem na bajglu i pytam:

– Co to jest?

– Prezent. Otwórz – mówi nonszalancko i przygląda mi się z uśmiechem na twarzy.

Zlizuję dżem z opuszki palca i sięgam po pudełko z nadzieją, że nie ma w nim kolejnych klejnotów. Rozpakowuję je szybko, jakbym zdzierając ze skóry plasterki, otwieram wieczko i wydaję z siebie stłumiony okrzyk: w pudełku znajduję parę butów do biegania. Od czasu, kiedy tu przybyłam, czyli od dwóch miesięcy, nie miałam innych butów niż dziesięciocentymetrowe szpilki.

Czy to naprawdę tylko dwa miesiące? – pytam sama siebie. Czuję się, jakby już cała wieczność minęła od mojego ostatniego spotkania z Reedem, od czasu, kiedy wstając z łóżka, mogłam mieć nadzieję na udany dzień.

Nieśmiało sięgam do pudełka, wydaję buty i przyciskam je do piersi. Odkąd tu przybyłam, nie czuję się sobą. Dziwne otoczenie, dziwne ubrania i jeszcze dziwniejsi kolesie – to wszystko sprawiło, że moje codzienne życie jest ciągłą sztuką balansowania na linie. Czuję się, jakby w każdej chwili ktoś mógł na tę linę wskoczyć i spowodować, że z niej spadnę.

– Jesteś najdziwniejszym stworzeniem – mruczy Brennus, kręcąc głową. – Daję ci klejnoty, a ty nie zadajesz sobie trudu, żeby je założyć. Ale kiedy daję ci tenisówki, zachowujesz się, jakby były najcenniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek stworzono.

– Brennus, nie jestem niemowlakiem. – Śmieję się z jego komentarza. – To, że coś błyszczący, nie oznacza, że tego chcę. A dzięki tym butom bardziej będę

się czuła sobą.

– W naszej sypialni są jeszcze inne rzeczy dla ciebie. Dżinsy... – mówi Brennus z taką miną, jakby przegrał jakąś zażartą bitwę i kapitulował przed nieprzyjacielem.

Niewiele myśląc, wstaję z krzesła, a mój jedwabny szlafrok rozchyła się, odsłaniając seksowną koszulkę nocną. Zarzucam ramiona na szyję Brennusa i upewniam się:

– Kupiłeś mi dżinsy?

– Tak. – Uśmiecha się z zadowoloną miną i obejmuje mnie równie mocno jak ja jego.

– Dziękuję. – Jestem zachwycona, całuję go szybko w chłodny policzek i odskakuję.

Wypadam z gabinetu. Po paru sekundach jestem w sypialni i znajduję w swoich szafach mnóstwo nowych ubrań. Niektóre z nich znów są bardzo wymyślne, ale znajduję też wiele praktycznych rzeczy do treningu i walk, które coraz częściej uprawiam z Finnem i Molly oraz ze swoją osobistą strażą.

Wyciągam z szafy czarny strój treningowy znanego domu mody i przymierzam go do siebie. Próbuję sobie wyobrazić, jak będę w nim wyglądała. Pędzę do łazienki, żeby się przebrać, i słyszę chichoczącego za mną Brennusa.

– Znowu trenujesz z Finnem? – pyta przez drzwi do łazienki.

– Tak, mamy się spotkać przy sali wojennej – odkrzykuję, wciągając na siebie obcisłe czarne spodnie i odpowiednio dobrany top, który podkreśla wszystkie krzywizny. Pozwalam skrzydłom wysunąć się z pleców. Molly musiała zapewne pomagać w dobieraniu tego stroju, bo idealnie na mnie pasuje i jest tak zaprojektowany, że mieszczą się w nim skrzydła.

– W sali wojennej? – krzyczy Brennus wyraźnie zdezorientowany.

Otwieram drzwi i wychodzę, jednocześnie zbierając włosy w kucyk, żeby nie spadały mi na twarz.

– Tak, tak ją nazywam. Znasz tę salę, której nikt nie używa? Tę, w której wiszą piękne ręcznie malowane mapy? Stoi tam fortepian... – Milknę, bo Brennus dziwnie mi się przygląda, jakby mi wyrosły rogi czy coś podobnego. – Co jest? – pytam.

– Myliłem się. – Obchodzi mnie wokoło.

– Ty się często mylisz, ale tym razem o co chodzi? – Uśmiecham się do niego.

– Te ubrania naprawdę są seksowne – mówi miękko, najwyraźniej zdumiony.

– Aha... – Rumienię się.

Klik.

Kiedy słyszę odgłos zatraskujących się w pozycji wysuniętej kłów Brennusa, cofam się o krok. To całkiem instynktowna reakcja, bo jestem przyzwyczajona, że należy unikać ukąszenia. Nie udało mi się do tej pory znaleźć żadnej sarniej krwi, żeby w razie ugryzienia przetrwać dzięki niej jakiś czas. Mimo obecności tylu duchów-ożywieńców w okolicy jest zaskakująco mało źródeł krwi innej niż ludzka, a do tej jednak nie potrafię się przemóc.

Gromadzę od pewnego czasu w łazience własną krew w butelkach po perfumach. Upuszczam jej sobie po trochu, gdy jestem sama pod prysznicem. Używam golarki, żeby zaciąć się w palec. Nie zebrałam jeszcze dużo, niewiele ponad dwie małe buteleczki po perfumach. Nie chcę dopuścić do tego, żeby mnie złapano, więc mogę się zacinać tylko nieznacznie, tak żeby się szybko goiło. Myśl, że miałabym pić własną krew, przyprawia mnie o mdłości, ale rozwiązania alternatywne są dużo gorsze.

Brennus widzi moją reakcję na kły i natychmiast je chowa.

– Chodź, pokażesz mi ten pokój wojenny, z którego korzystasz. – Nonszalanckim ruchem wyciąga do mnie rękę.

Wychodzimy na korytarz, gdzie czeka na mnie osobista straż. Słyszę kolejne dwa kliknięcia, jedno od kłów Faolana, drugie od Eiona.

– Szlag by trafił... – Słyszę, jak Faolan mruczy pod nosem, kiedy idziemy korytarzem.

Nasz apartament zlokalizowany jest w Wieży Północnej, a moje archiwum w Wieży Zachodniej. Z tych dwóch miejsc jest najlepszy widok. Wschodniej ani Południowej Wieży w ogóle jeszcze nie zwiedzałam. Wydaje mi się, że większość kolesi, którzy tu mieszkają na stałe, rozlokowała się właśnie w tych dwóch wieżach... razem z dziewczuchami. Pokój wojenny znajduje się tuż za

moją Wieżę Zachodnią, w długim korytarzu prowadzącym do Wieży Południowej.

Zbliżamy się do drzwi do Wieży Zachodniej i spotykamy w korytarzu Finna z Molly. Finn ma zatroskaną minę.

– Właśnie szedłem do ciebie, żeby porozmawiać. Mamy gościa, który chciał się z tobą osobiście spotkać – mówi Finn do Brennusa z nieco ponurą miną.

– Mam się z nim zobaczyć od razu czy może poczekać? – Brennus wpatruje się w Finna.

– Od razu – odpowiada Finn natychmiast.

– Zamierzasz teraz trenować? – Brennus zadaje kolejne pytanie.

– Idę z tobą. Dziewczyny będą musiały poszukać sobie na razie innego zajęcia – odpowiada Finn.

Odwraca się i mówi do Molly:

– Zostaniecie z Declanem. Nie odchódźcie od niego ani na krok. Potem po was przyjdę.

Molly kiwa głową, a on wyciąga rękę, żeby pogłaskać ją po twarzy – nie jak ofiarę, ale jak kochankę.

– Czy jest jakiś problem? – pytam Finna, a serce bije mi nieco szybciej, bo mój rozmówca zachowuje się dziwnie... jakby był czymś zagrożony.

Brennus uśmiecha się i mówi:

– Zawsze są jakieś problemy, *mo chroí*, ale nie dzieje się nic takiego, czego bym wcześniej nie widział, więc nie miej takiej zmartwionej miny.

Rzuca szybko jakieś zdanie do Declana w języku duchów, którego nie rozumiem. W głowie zaczynają mi się zapalać czerwone światełka. Declan kiwa głową, patrząc na mnie, a potem na koleśki w okolicy.

– Lachlan – mówi – idź po Keefe'a i Leifa. Spotkajmy się w wieży Aniołków. Pamiętaj, żeby zablokować drzwi do Zachodniej Wieży, gdy już do niej wejdiesz.

Po otrzymaniu instrukcji Lachlan wypada z pokoju.

– Co, do jasnej... Brennus! Co się dzieje? – Kolesie coraz bardziej się do mnie zbliżają.

– Nieproszony gość. Zwykłe środki bezpieczeństwa – mówi łagodnie Brennus. Wygląda na całkowicie spokojnego.

– Powinnam z tobą iść? – pytam, czując zagrożenie.

Co będzie, jeśli coś mu się stanie? Wtedy to samo stanie się ze mną. Jesteśmy z Brennusem połączeni. Czuję, że powinam go chronić, jeśli nie z innych powodów, to choćby po to, by przetrwać.

– Dlaczego? – Jest wyraźnie zaintrygowany.

– Co będzie, jeśli coś ci się stanie? – pytam nerwowo.

Brennus zakłada mi za ucho kosmyk opadających włosów.

– Co mi się może stać?

– To ty mi powiedz – odpowiadam, zwężając oczy.

Krzyżuję ramiona na piersi i czekam, żeby mi powiedział, co się naprawdę dzieje.

Śmiejąc się łagodnie, Brennus pochyla się w moją stronę i całuje mnie w szyję tuż pod uchem, a potem szepcze:

– Jesteś idealna. Zobaczymy się wkrótce. Postaraj się nie denerwować.

Patrząc na Finna, kiwa głową. Po chwili obaj wychodzą i kierują się w stronę Wieży Północnej.

Declan zabiera nas do mojej wieży, gdzie czekam jeszcze z dwoma dodatkowymi strażnikami, których nam przydzielono. Pod drzwiami wieży jest ich jeszcze kilku, patrolują tę strefę. Wreszcie po paru godzinach czekania przychodzi Finn i informuje mnie, że Brennus chce ze mną rozmawiać w swoim gabinecie. Finn przynosi z sobą piękną czerwoną suknię z jedwabiu oraz niewiarygodnie eleganckie szpilki.

Wręcza mi te rzeczy i mówi:

– Brennus chce, żebyś założyła coś bardziej odpowiedniego.

– Dlaczego? Finn, co się dzieje? – proszę o wyjaśnienie całej sytuacji.

– Sam ci powie, kiedy do niego pójdziesz. Chce, żebyś się z kimś spotkała.

– Unika dodatkowych wyjaśnień.

– O kogo chodzi? – pytam, przymierzając do siebie suknię, żeby zobaczyć, jak wygląda. Jest elegancka i wyrefinowana, ale ma dość odważny dekolt.



– O kogoś, kogo powinnaś zobaczyć – mówi Finn tajemniczo. Poddaję się, bo i tak nie mogę z niego niczego wyciągnąć.

Przebieram się szybko i spotykam z koleśkami przed drzwiami swojego pokoju w wieży. Z całym tym imponującym towarzystwem idę do Wieży Północnej i próbuję wyczytać coś z twarzy swoich towarzyszy.

Gdy zbliżam się do gabinetu Brennusa, nieruchomieję: zanim moja ręka dotknie klamki u drzwi, zasłaniam nos. Spod drzwi, przed którymi stoję, sączy się bowiem zgniły, trudny do wytrzymania zapach. Gdybym miała ciało pokryte sierścią, nastroszyłaby się w tym momencie. Moja reakcja ogranicza się jednak do gęsiej skórki.

Upadły – myślę i czuję, jak zżera mnie strach.

Znam ten ich smród. Zapamiętałam go z 7-Eleven – sklepu, w którym Gaspard, Upadły, rozszarpał wszystkich znajdujących się tam ludzi.

Co tu robią Upadli? – zastanawiam się i czuję odpływ sił.

Wiem, że Brennus jest po stronie zła, ale nie ma zwyczaju spędzania czasu z Upadłymi, a przynajmniej ani razu nie zauważyłam, żeby się z nimi spotykał. Tak naprawdę to nigdy go o to nie pytałam.

– W porządku – mruczy stojący za mną Finn. – Na pewno by cię nie wzywał, gdyby to było niebezpieczne i niekonieczne.

Kiwam głową i wbrew sobie sięgam do klamki, choć wszystkie zmysły podpowiadają mi, że bym uciekała. Otwieram drzwi i staram się płytko oddychać, bo smród w pokoju jest taki, że zaczynają mi łzawić oczy. Wkraczam do gabinetu pewnym krokiem, jakbym była najpotężniejszą istotą, jaką kiedykolwiek stworzono. Mam przecież świadomość, że muszę ukrywać wszelkie swoje słabości i wrażliwe punkty.

Brennus siedzi przy swoim biurku i na mój widok wstaje. Patrzą na drzwi po drugiej stronie pokoju, które prowadzą na balkon. Koło nich stoi ten, który jest źródłem panującego w pomieszczeniu smrodu. Stoi oświetlony promieniami słonecznymi i patrzy na zewnątrz, na morze. Odwraca się w moją stronę, kiedy staję w drzwiach.

Jeśli kiedykolwiek wcześniej wydawało mi się, że widziałam prawdziwe fizyczne piękno, muszę teraz przyznać, że się myliłam. Serafin stojący przede mną zmusił mnie do natychmiastowego zrewidowania poglądów.

Ma idealną cerę. Nie jest blady jak ja, a jędrna skóra jego męskiej twarzy ma złotawy, wypieczony przez słońce odcień. Ciało anioła chronione jest przez czarną zbroję, jaką zakładali też Reed i Zee, kiedy wiedzieli, że zbliżają się Gankanagowie. Jego zbroja jest w nieco bardziej gotyckim stylu niż tamtych, a w części chroniącej pierś i szerokie ramiona zdobią ją wytrawione w metalu emblematy. Pancerz przylega do ciała, podkreślając mocarne kształty sylwetki. Anioł jest wysoki jak Russell, ale nie tak silnie umięśniony.

Jego płowe, złociste włosy przeplatane są kosmykami o odcieniu miodu, oczy zaś... Nigdy nie spotkałam się z takim kolorem oczu. Są złotobrazowe, ale z szarymi i zielonymi plamkami. Spoglądają na mnie spod brwi wznoszących się wdzięcznymi łukami na czoło. Ale ze spojrzenia Serafina trudno cokolwiek odczytać. Nie ma w nim zaskoczenia ani niedowierzania na mój widok. Ani żadnych innych emocji.

Gość ma niezwykle skrzydła. Są tego samego szkarłatnego koloru co moje, ale o wiele większe, ogromne. Rozciągają się wzdłuż całego ciała i opadają niemal do podłogi.

Ale zdecydowanie najpiękniejsze w tym aniele są jego usta – idealnie wykrojone, pełne i zmysłowe, w naturalny sposób opadają w kącikach, tak jakby ich posiadaczowi nie podobała się większość rzeczy, które ogląda. Ta pełna dezaprobaty mina budzi we mnie silne pragnienie, żeby ją jakoś zmienić.

Sama jestem zadziwiona tą myślą. Odrywam wzrok od ust anioła i przenoszę go na jego oczy. Ich wyraz nie zmienił się ani trochę, od kiedy weszłam do pokoju. Wygląda, jakby był po zastrzyku botoksu i jego twarz została skazana na jedną jedyną minę: niesamowicie urodziwego lekceważenia.

Czuję się brzydka w obecności kogoś tak kuszącego, a moje skrzydła zaczynają lekko trzepotać.

Nagle słyszę głośny trzask: to skrzydła pięknego anioła rozkładają się przede mną i przesłaniają świecące zza niego słońce. W pełni wyeksponowane skrzydła wyglądają dumnie i budzą lęk.

Poruszona tym pokazem czuję, jak przyspiesza mi serce. Cofam się o krok.

W jednej chwili kły Brennusa ze śmiertelnie groźnym kliknięciem mocują się w pełni wysuniętej pozycji.

Patrzę na Brennusa, jego mina również jest pełna dezaprobaty. Wyciąga rękę w moją stronę, wskazuje, że powinnam do niego podejść. Potrzebuję jego ochrony przed zabójczym drapieżnikiem, który znalazł się w naszym gronie, więc pospiesznie podchodzę. Brennus bierze mnie za rękę i siada. Pozwalam, żeby mnie pociągnął tak, że ląduję na jego kolanach. Zaskoczona uświadamiam sobie, że w jego bliskości czuję się bezpieczniejsza. Brennus chowa kły, podnosi dłoń i delikatnie głaszcze mnie po policzku.

Spoglądam na stojącego po drugiej stronie pokoju anioła. Wolno składa skrzydła i chowa je w pozycji spoczynkowej, ale ani trochę nie zmienia wyrazu twarzy.

– Genevieve, to jest Casimir. Przybył tu, żeby się z tobą zobaczyć. – Brennus przedstawia mi anioła.

Casimir robi kilka kroków naprzód i zbliża się do krawędzi biurka. Intensywnie myślę o tym imieniu, Casimir. Znam je. Z jakiegoś powodu brzmi ono znajomo, ale nie umiem go odnaleźć w pamięci.

Ponieważ nie wiem, jak mam przywitać wrogo zachowującego się anioła, mówię:

– Och, naprawdę? – I przenoszę wzrok z Brennusa na Casimira. – No cóż, oto jestem. Powinnam powiedzieć „Miło cię poznać, Casimir”, ale... – Milknę i patrzę na przybysza.

W oczach Casimira pojawia się intensywny, drapieżny błysk, a jego podbródek lekko opada. Nie spuszcza ze mnie oka. Do Brennusa przemawia po łacinie:

– Trzeba ci pogratulować, Brennus. Jesteśmy z ciebie w pełni zadowoleni. Dostaniesz nagrodę.

W jednej chwili ogarnia mnie silny strach, który sprawia, że płonie mi twarz, mocno ściskam dłoń Brennusa. Brennus delikatnie gładzi mnie po włosach, po czym odpowiada również po łacinie:

– To ona jest tą nagrodą, Casimirze.

– Byłaby, gdybyś ją mógł zatrzymać. A nie możesz – odpowiada Casimir z naciskiem. – Należy do nas. Zawsze należała do nas.

Brennus śmieje się łagodnie i uśmiecha do mnie, widząc, że na niego spoglądam. Serce wali mi jak młot. Źle się czuję, bo uświadamiam sobie, że

Casimir przybył, żeby się o mnie upomnieć.

Co się ze mną stanie, jeśli Brennus przekaze mnie Upadłym? – zastanawiam się.

– Kłamiesz – mówi Brennus, tym razem po angielsku.

– Naprawdę? – pyta Casimir, również przechodząc na angielski, który w jego wydaniu brzmi wyrafinowanie i elegancko.

– Tak, kłamiesz. – Brennus uśmiecha się i jednocześnie miłośnie głaszcze mnie po policzku.

Jego palce wędrują w dół po mojej szyi, a potem wzdłuż obojczyków w stronę serca. Casimir obserwuje wszystkie ruchy Brennusa z takim samym wzgardliwym wyrazem twarzy. Palce Brennusa zwalniają, przesuwiają się wzdłuż linii głębokiego dekoltu mojej sukni. Odchylają czerwoną tkaninę, przez co ujawnia się znak wypalony nad moim sercem. Kiedy widzę wytrawione na mojej skórze skrzydła Reeda, ogarnia mnie zapierająca dech w piersiach tęsknota.

Widząc znak mojego ślubowania, Casimir wydobywa z siebie niski, głęboki pomruk. Instynktownie rewanzuję się mu podobnym pomrukiem. Puszczam dłoń Brennusa i opieram się lekko obiema rękami o biurko. Pochyliłam się do przodu, jakbym miała lada chwila skoczyć na Casimira. Opuszczam odrobinę podbródek i wpatruję się w niego z taką samą intensywnością jak on we mnie.

– Związałaś się z aniołem Mocy – mówi Casimir głosem, w którym czai się śmiertelna groźba, jakby mój czyn był wielką zbrodnią.

Śmieję się, bo udało mi się zetrzeć z jego twarzy wyniosłe lekceważenie i zastąpić je prawdziwą, naturalną wściekłością. Jest ona przerażająca, ale anielska część mojej natury jest całkowicie usatysfakcjonowana reakcją Casimira.

– Jest to jedyna decyzja w moim życiu, której nie żałuję. Nigdy – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Kim jest ten anioł? Doprowadzę do tego, że on będzie żałował tej decyzji – mówi Casimir.

Ramię Brennusa mocno zaciska się wokół mnie, gdy wyskakuję w kierunku Casimira z wyrzeźbionym przez Reeda i przedstawiającym mnie posągiem.

Mam zamiar zmiażdżyć mu głowę. Słowa Casimira są ledwie zawołaną groźbą pod adresem Reeda, a ja nie mogę czegoś takiego znieść.

– Chyba już wcześniej o tym rozmawialiśmy, *mo chroí*, ale może warto powtórzyć. Nie możesz zabijać moich gości – szepcze mi do ucha Brennus. – To jest niegrzeczne. – Casimirowi zaś mówi: – Ona nosi znak Raju. Nie jest twoja.

Casimir znów przerzuca się na łacinę.

– W końcu wszystko będzie nasze. Dobrze o tym wiesz. Kontaktował się z tobą Kosiarz, prawda?

– To ty wysłałeś Alfreda – stwierdzam po łacinie. Okazuje się, że potrafię rozmawiać także w tym języku.

– Pan Martin, twój nauczyciel łaciny, twierdził we wszystkich raportach, które nam przysyłał, że górowałaś w klasie nad innymi uczniami – odpowiada Casimir.

Gdy słyszę te słowa, zaciskam zęby, bo wypowiedź Casimira dotyczy nauczyciela z mojego liceum, jeszcze przed Crestwood. Obserwowali mnie od długiego czasu, ale Alfred ich zdradził i próbował odebrać mi duszę bez ich zgody. Mają wobec mnie swoje plany. Nikt nie obserwuje innych osób ot tak sobie. Czegoś ode mnie chcą – zawsze chcieli.

– Alfred to był zły wybór. – Casimirowi powrócił już spokój i lekceważący stosunek do innych.

– Gaspard i Cade też byli złymi wyborami – odpowiadam.

– Nie spodobali ci się? To dziwne, bo ty raczej lubisz miernoty – ripostuje Casimir.

Jego oczy znów dryfują w stronę mojego znaku zaślubin, a potem na Brennusa.

– Ty też mi się nie podobasz i wydajesz mi się kompletną porażką. Więc co ci to mówi o mnie? – pytam go spokojnie, z podobną wyższością, jaką zauważam u niego.

Unosi kąciki ust w lekkim uśmiechu. Z tą miną wygląda pięknie aż do bólu, ale według mnie w jego urodzie nie ma żadnej magii. Odpycha mnie wręcz, a nie przyciąga.

– Podaj swoją cenę, Brennus – mówi Casimir łagodnie. – Chciałbym ją zabrać ze sobą.

– Nie ma ceny – odpowiada Brennus równie spokojnym tonem. – Ale jeśli spotkam gdzieś drugą, podobną do niej, na pewno dam ci znać.

– Nie istnieje taka druga – mówi Casimir, a jego górna warga układa się w seksowny uśmiezek.

– To prawda – potwierdza Brennus, wzruszając ramionami, a ja mam ochotę go pocałować za to, że nie mówi Casimirowi nic o Russellu. – Casimir, to było ciekawe i pouczające spotkanie. Jednakże pewne pilne sprawy wymagają teraz mojej uwagi – mówi Brennus, przesuwając palce wzdłuż linii mojego obojczyka. Od jego chłodnego dotyku przechodzi mnie dreszcz. – Declan...

Declan otwiera drzwi i wchodzi do pokoju, a tuż za nim kroczą Eion, Lachlan i Faolan. Stają w drzwiach z wyraźnie widocznymi kłami.

– Brennus, całkiem dobrze się urządziłeś. Czemu miałyby się to zmienić? Zawsze jest jakaś cena. Albo mi ją podasz, albo skończysz, płacąc ją sam – mówi Casimir uwodzicielskim tonem.

– Casimir, zamierzasz mnie skłonić, żebym to ja zapłacił tę cenę? Chyba zmęczyło cię życie w tej twojej dziurze albo może w ogóle ci się znudziło? – Brennus jest całkiem spokojny i rozbawiony.

– Może to ja cię zmuszę do zapłacenia, a może ten mały brylant, który siedzi na twoich kolanach. Słyszałem, że kazałeś jej czołgać się przed sobą... Nie wyszło ci to na dobre, prawda? A ona dopiero zaczyna. Nie masz pojęcia, kogo tak naprawdę masz, co? – pyta Casimir.

– Codziennie uczę się czegoś nowego. Życie znów stało się warte tego, żeby je przeżywać – odpowiada Brennus.

– Więc źle się dla ciebie składa, że jesteś już martwy, prawda? – mówi Casimir.

– Kiedy będziesz się tu wybierał następnym razem, Casimir, lepiej przyjdź w towarzystwie – odpowiada mu chłodno Brennus. – Mam mówić dalej?

Casimir reaguje nieprzyjemnym pomrukiem, który z kolei wywołuje groźny syk ze strony ruszających w jego kierunku kolesi. Cofa się do drzwi balkonowych i po raz ostatni rzuca mi spojrzenie, po czym wzbija się

w powietrze i znika.

– FUJ! Niech ktoś otworzy wszystkie okna, możecie? – Eion zatyka nos. – I oni mówią, że my śmierdzimy.

– Jeśli ktokolwiek z was go jeszcze zobaczy, ma moje pozwolenie, żeby go zabić – mówi Brennus do moich osobistych strażników. – On chce waszej królowej. Wybebeszcie go, jeśli macie ochotę.

Brennus obraca moją twarz, by spojrzeć mi w oczy.

– Zapamiętaj, jeśli go jeszcze kiedyś zobaczysz, uciekaj, zawiadom nas, a my się nim zajmiemy. Nie próbuj radzić sobie z nim sama. Może być dla ciebie niebezpieczny. Słyszysz, co mówię? – pyta Brennus, a ja kiwam głową, czując strach i wdzięczność. – Nie chciałem cię narażać na kontakt z nim, ale wiedziałem, że gdy go zobaczysz, zrozumiesz, kim jest. Lepiej, że sama go widziałaś, niż gdybym ci o nim opowiedział.

– Ty mnie nie... nie oszukałeś – mówię łagodnie i patrzę mu w oczy. – Naprawdę zamierzasz mnie chronić.

Brennus patrzy na Declana i mówi:

– Zabierz kolesi i powiedz Finnowi, że chcę się z nim zobaczyć, gdy porozmawiam sam na sam z Genevieve. – Declan pochyla głowę i wszyscy kolesie sprawiają wrażenie uradowanych, że wychodzą z gabinetu, poza strefę smrodu Casimira.

– Będę cię chronił. Jesteś tu bezpieczna. Wiesz, jakie plany mają wobec ciebie Upadli? – pyta mnie Brennus ze śmiertelną powagą. Przecząco kręcę głową. – Ważne, żebyśmy teraz się dowiedzieli, dlaczego tak im na tobie zależy. Jeśli chodzi wyłącznie o twoją duszę, można to jeszcze zmienić, ale mam wrażenie, że stawką jest tu coś innego.

– Dlaczego sądzisz, że może im chodzić o coś więcej niż moja dusza? – pytam.

– Nie widziałaś, co się działo z tym Serafinem w twojej obecności? Wszedł do pokoju i objął Casimira w posiadanie. Zatrzepotałaś skrzydłami, a on na to zareagował.

– Przykro mi... Nie wiem, o czym mówisz – odpowiadam.

Brennus uśmiecha się szeroko.

– Nawet nie masz świadomości, co wyrabiasz, prawda? – pyta.

– Co wyrabiam? – kręcę głową.

– Kiedy weszłaś, twoje skrzydła zadały mu pytanie, a jego skrzydła udzieliły odpowiedzi – mówi Brennus.

– A o co zapytały moje skrzydła? – dopytuję zdyszczanym głosem.

– Zapytały: „Czy mnie pożądasz?”. – Przygląda się mojemu rumieńcowi.

– Porozmawiam sobie później ze swoimi skrzydłami – mówię pod nosem. – A co powiedziały skrzydła Casimira?

– Powiedziały: „Zabiję każdego, kto przeszkodzi, żebyś była moja” – odpowiada Brennus. – A poza tym wściekł się na ciebie. Serafiny nigdy nie okazują emocji, to poniżej ich godności. Wydają się zwykle bardziej martwe niż my. Nie można niczego po nich poznać.

– Są dobrzy w ukrywaniu swoich myśli i uczuć? – dopytuję, myśląc o Reedzie i o tym, jak dobrze posługuje się tą sztuką, kiedy musi.

– Można powiedzieć, że są w tej dziedzinie ekspertami – mówi Brennus. – A ty go dwa razy zmusiłaś, żeby zaczął warczeć. Nigdy nie przypuszczałem, że to możliwe. Widziałem Serafiny, jak zabijały swoich wrogów z tym samym pustym wyrazem twarzy, z jakim przyszedł tu Casimir. Ale w twojej obecności nie zdołał go zachować. Dotknęłaś go, zareagował bardzo emocjonalnie. Ściągnięcie cię tutaj było najlepszym krokiem, jaki mogłem zrobić. Okazało się, że Casimir jest w twojej sprawie zdesperowany.

– Myślisz, że tu wróci? – pytam, ale boję się usłyszeć odpowiedzi.

– Jestem pewien, że wróci i że przyprowdzi ze sobą całą armię – odpowiada z nonszalancką miną Brennus.

– Więc dlaczego mu nie chcesz mnie oddać? Uniknąłbyś tego wszystkiego, a na dodatek prawdopodobnie daliby ci w zamian wszystko, czego byś zażądał – mówię, choć na samą myśl, że miałabym zostać przekazana Casimirowi, robi mi się zimno.

Declan miał rację: diabeł, którego znasz, jest dużo, dużo lepszy od diabła nieznanego. Ifrit Valentine jest dobrym tego dowodem.

– Nie dostanie cię. Należysz do mnie. Nie jestem słaby. Nie muszę robić tego, co ktoś mi każe – odpowiada Brennus. – Moc ma swoje przywileje.



Jesteś moją królową. Też jesteś bardzo potężna i nie musisz robić, co ci każą, chyba że chodzi o mnie – mówi, uśmiechając się.

Bez zastanowienia obejmuję go i przytulam się do jego piersi. Opieram głowę na jego ciele i szepczę:

– Dziękuję, że bronisz mnie przed Casimirem. Chcę się nauczyć wszystkiego, czego możesz mnie nauczyć... Magii, walki, posługiwania się bronią, strategii. Muszę stać się silniejsza. Jeśli Casimir przysłał Alfreda, to w gruncie rzeczy jest odpowiedzialny za śmierć mojego wuja. Chcę go rozdeptać... Powoli, tak żeby bolało... – Milknę, kiedy słyszę kliknięcie kłów Brennusa i czuję, że jego ciało tężeje.

Powoli odrywam głowę od jego piersi i spoglądam mu w oczy. Jest w nich walka pożądania i bólu. Po chwili odzywa się do mnie:

– Chyba pójdę się teraz pożywić, *mo chroí*... Lubię... lubię, kiedy mówisz mi o zemście i... kiedy kładziesz głowę na mojej piersi. Powinienem nad tym panować, ale pożądanie i żądza krwi się we mnie sprzęgły. Widzisz to? – pyta przerażony, że mnie wystraszył.

Kiwam głową.

– Powinieneś spróbować sarniej krwi. Smakuje trochę igliwiem, ale zaspokaja żądzę – mówię poważnie. – I prawdopodobnie jest też zdrowsza... Ludzie mają wysoki cholesterol.

Brennus się śmieje.

– Czy to cię ucieszy... jeśli przestanę się żywić ludźmi? – pyta i mocniej mnie przyciska.

– Tak – odpowiadam bez wahania. – Czy mógłbyś... to znaczy... To ci chyba nie zaszkodzi, jeśli zaczniesz jeść coś innego, na przykład krowy?

– Krew to krew. Każda odżywia – mówi. – Ale smak... jest zupełnie inny.

– To wspaniałe, Brennus! Wszyscy moglibyście zacząć się żywić byczą krwią! Możemy hodować własne bydło. Pozbyć się dziewczyn! – Łapię go za ramiona i patrzę na niego radośnie.

– No nie, to nie zadziała, Genevieve – odpowiada. Ja bym się mógł w końcu przerzucić, ale koleśi nigdy do tego nie przekonam.

– Dlaczego? – pytam rozczarowana.

– Mówiłem ci już, że pożądanie jest splecione z żądzą krwi. Jeśli powiem koleśiom, że mają się żywić zwierzęcą krwią, prawdopodobnie zaczną. Ale ty byś ich chciała namawiać, żeby nigdy więcej nie dotknęli kobiety. By nie krzywdzić już ludzi, nie powinniśmy ich dotykać. Musiałbym nakazać koleśiom, żeby od teraz zachowywali się jak zakonnicy. Nienawidziliby mnie bardziej, niż kiedykolwiek nienawidzili Aodha.

– Aha – wzdycham ponuro.

– Rozumiesz już, jaka jesteś wyjątkowa? Nie chodzi tylko o to, że mój dotyk nie ma na ciebie wpływu. – Brennus przesuwając palce po moim policzku i dalej, wzdłuż krzywizny mojej szyi. – Wygląda na to, że jesteś stworzona właśnie dla mnie. Możesz mieć duszę, możesz mieć własne życie, mogę cię dotykać, a ty się nie zmieniasz... Nie stajesz się posłuszną lalką, która robi wszystko, czego chcę. Masz swój umysł i używasz go: pyskujesz mi, wściekasz się na mnie... i kochasz mnie... I dzięki tobie chce mi się rzeczy, o których nigdy nie sądziłem, że jeszcze ich zapragnę... Rzeczy, o których myślałem, że umarły razem ze mną.

– Brennus, prosisz mnie, żebym została królową dzikusów – mówię ze smutkiem. – I prosisz mnie, żebym w tym celu zrezygnowała ze wszystkiego, co kocham.

– Ja nie proszę – mówi łagodnie i ustami dotyka mojego karku.

– Nie, nie prosisz – potwierdzam. Czuję, jak jego zimne wargi miękko przyciskają się do mojej szyi.

Serce natychmiast zaczyna mi szybciej bić. Brennus gwałtownie się ode mnie odsuwa, jakbym go oparzyła. Szuka mojej twarzy, ściąga przy tym brwi w grymasie pożądania. Bierze mnie w ramiona, a potem sadza na biurku. Łapie mnie mocno za kark, odchyła moją twarz, tak żeby zetknęła się z jego. Policzek Brennusa ociera się o mój. Kiedy brutalnym ruchem przyciska wargi do moich ust, kręci mi się w głowie.

Jeśli cię ugryzie, złamie kontrakt. Zmusz go do ugryzienia, niech straci panowanie nad sobą – myślę.

Krew, którą zgromadziłam, powinna wystarczyć. Musi wystarczyć. Oplatam Brennusa nogami w pasie, przyciągam go do siebie i ogniście całuję. Jedną rękę trzymam na jego plecach, drugą dotykam posągu na biurku i czuję pod opuszkami palców zimną powierzchnię kamienia.

Reed – myślę. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że to jego usta dotykają moich.

Chwytam w palce podstawę posągu i jestem gotowa uderzyć nim Brennusa w momencie, w którym zatopi zęby w moim ciele. Czuję, jak jego kły drapią moją dolną wargę, ale nie dość silnie, żeby zaczęła krwawić.

A co, jeśli zacznę wracać do Reeda, a Casimir podąży za mną? Czy przyprowadzi ze sobą armię i Reed będzie musiał walczyć nie tylko z Gankanagami, ale i z Upadłymi? Reed zostanie pokonany – myślę i czuję bolesne skurcze serca.

Jeśli tu zostanę, być może Gankanagowie pokonają dla mnie Upadłych... Dwie grupy moich wrogów zmierzą się z sobą. Ale im dłużej tu będę, tym słabsze będzie w Gankanagach poczucie, że są moimi wrogami. Czy poradzę sobie z tym bałaganem, czy zginę przygnieciona? – zastanawiam się, a moja dłoń zwija się w pięść.

– Genevieve – szepcze Brennus tuż przy mojej skórze, tak jakby mnie wielbił... gdybym mu tylko pozwoliła.

Na dźwięk jego głosu coś się we mnie zmienia. Namiętność i pragnienie, które słyszę w tym głosie, docierają do mnie. Tak brzmi miłość – przynajmniej jedna z jej wersji. Zastanawiam się, kiedy to się dokonało.

Kiedy ja go zaczęłam kochać? – zadaję sobie pytanie. Ale tak naprawdę nie ma to znaczenia. To jest najniższy punkt fali, nie jej szczyt, w którym miłość opanowuje mnie całą, tak jak w przypadku mojego uczucia do Reeda. Nic się z tym nie może równać, nic.

– Nie mogę być tym, kim byś chciał – szepczę do Brennusa i staram się odsunąć od niego.

– Już jesteś tym, kim bym chciał – odpowiada łagodnie i próbuje mnie przytrzymać przy sobie. – Potrzeba jeszcze czasu. Zobaczysz, że mam rację.

Kręcę głową i opieram się na jego piersi.

Gdzieś na zewnątrz zaczynają dobiegać głosy koleśi. Ciało Brennusa sztywnieje, a jego ramię tężeje wokół mnie. Odrywam czoło od jego klatki piersiowej, patrzę mu w twarz i napotykam jego zimny wzrok.

– Co się dzieje? – pytam, podążając za jego oczami w stronę otwartych drzwi, za którymi zniknął Casimir.

Po chwili tymi drzwiami wchodzi Russell i szybko zmierza w moją stronę. Jestem w szoku, a do oczu napływają mi łzy.

Nie mam czasu nawet odetchnąć: klon Russella wnika w moje ciało. Czuje zachwycający spokój, mam wrażenie, że jestem w domu... Moja dusza tak bardzo pragnęła tych doznań, które teraz rozlewają się po moim ciele.

– Szukamy cię, Ruda – szepcze do mnie głos Russella gdzieś z głębin mojej własnej duszy. – Potrzebujemy cię. Jesteś nasza. Kocham cię... I Reed też.

## Rozdział 17

# Wojna serc

Kiedy słyszę głos Russella dochodzący jakby z krainy snu, czuję przez krótki moment, że niektóre brakujące kawałki mojej osobowości wskoczyły właśnie na miejsce. Muszę mieć na twarzy wyraz szczęścia, bo kiedy podnoszę wzrok na Brennusa, zaskakuje mnie jego gniewna mina.

– Ten drugi potrzebuje chyba więcej argumentów – warczy Brennus, głaszcząc mój policzek. – Ifrit jednak nie wystarczył, żeby go przekonać, że wychodzi poza swoje terytorium. Ma najwyraźniej problem z radzeniem sobie z rzeczywistością. Co on ci powiedział?

Opuszczam głowę i uciekam wzrokiem.

– Nie jestem przyzwyczajony, że ktoś otwarcie mi się przeciwstawia – mówi surowo, unosi mój podbródek i zagląda w oczy.

– A ja nie jestem przyzwyczajona do zdradzania przyjaciół – odpowiadam chłodno.

– Aha, ten Serafin już cię czegoś nauczył, prawda? – Brennus mówi z takim samym chłodem. – Ćwiczysz twarz pokerzysty? – pyta z uśmiechem, który nie odbija się w jego oczach. – Pamiętaj o dniu, w którym wszyscy będą mieli czego się nauczyć od ciebie, a nie ty od nich.

Puszcza mój podbródek i odwraca się w stronę drzwi.

– Co masz zamiar zrobić? – pytam zaniepokojona.

Zeskakuję z biurka i idę za nim.

– Porozmawiam z Finnem. Postaram się zadbać o to, żebyś nie spędziła reszty życia w Szeolu z takimi nauczycielami jak Casimir – mówi gwałtownie

i zdenerwowany odwraca się w moją stronę. – Żeby nie położyli na tobie łap i nie oskubali ci skrzydeł z wszystkich piór, tak dla zabawy. A są w stanie to zrobić. Wiesz, dlaczego nie chcę cię teraz przemienić? Dlatego że nie chcę, żeby dostali w swoje łapy choćby jakąś część ciebie. To, co mogliby zrobić z taką duszą jak twoja, jest... niewyobrażalne. Przemienię cię, jeśli będę musiał, jeśli ma to uratować choćby jakąś część ciebie. Ale teraz marzę o tobie całej. Chcę wszystkiego, nie tylko tych anielskich fragmentów – mówi i obciera usta, jakby próbował zetrzeć słowa, które właśnie wymówił.

– Chcę pójść z tobą, kiedy będziesz rozmawiał z Finnem. Proszę... – mówię. Kładę mu dłoń na ramieniu i próbuję go powstrzymać, żeby nie wychodził beze mnie.

– Nie poluję na twojego duchowego brata. On prawdopodobnie nie potrafi sam sobie pomóc – mówi Brennus niechętnie. – Jeśli tu przyjdzie, zajmę się nim, ale prawdę mówiąc, to najmniejszy z moich problemów.

– Wierzę ci, ale i tak chcę z tobą pójść. Muszę się od ciebie nauczyć wszystkiego, co tylko możliwe. Jesteś ekspertem od strategii i dobrze znasz moich wrogów. Nie mam pojęcia, co Casimir może zrobić w następnym ruchu, ale ty coś w tej sprawie podejrzewasz, prawda? Naucz mnie obrony. Proszę – błagam go ponownie.

Kiedy Brennus widzi, że jestem całkowicie szczerą, jego twarz się zmienia. Rzeczywiście potrzebuję kogoś, kto nauczy mnie walki z wrogami. Nie mogę tylko siedzieć i mieć nadzieję, że ktoś mnie chroni.

– A co ci podpowiada instynkt? – Brennus bierze mnie pod rękę i wychodzimy z gabinetu.

Z wdzięcznością ściskam jego ramię. Wchodzimy do salonu, gdzie witają nas Finn i moja osobista straż.

– Zbierzmy się w kościele – mówi do nich Brennus.

Kiedy spoglądam na niego zdezorientowana, mówi:

– Według twojej terminologii w Barze Rycerskim.

Idziemy razem korytarzem, trzymając się pod rękę. Myślę o tym, o co zapytał mnie Brennus. Kiedy otwiera drzwi obok średniowiecznej zbroi, wchodzę do dyskretnie oświetlonej kaplicy. Brennus sadza mnie przy stole, a potem podchodzi do baru. Nalewa mi szklanekę bezbarwnej cieczy. Kiedy

upijam łyk, czuję smak zbliżony do czarnej lukrecji.

– Nie wiem, co robi Casimir, ale... – Milknę, upijając kolejny łyk ze szklanki i czując się nieco spokojniej. – Straszny z niego snob, nie sądzisz? – pytam Brennusa, który siada obok mnie. – Patrzy z góry na anioły Mocy i na Gankanagów, jakbyście stali niżej od niego, a przecież wcale tak nie jest, bo to on cuchnie jak gnijące śmieci.

Brennus się uśmiecha.

– Więc jakie płyną z tego wnioski? Jak Casimir będzie się zachowywał? – Unosi brwi i odchyła się w fotelu, żeby mi się przyjrzeć.

– No cóż, nie robi wrażenia typa, który lubi się przepracowywać. Po spotkaniu z nim jestem nawet zdziwiona, że pofatygował się tu osobiście. Musiał mnie naprawdę chcieć... albo potrzebuje mnie w jakimś celu. Miał ochotę przyjść tu i podjąć ryzyko targowania się o mnie. Zastanawiam się, czy jego przełożeni nie siedzą mu na głowie. Wciąż powtarzał „my” i na początku myślałam, że to może taka królewska forma mówienia o sobie. Ale teraz myślę, że on chyba naprawdę działa na polecenie jakiegoś szefa.

Przerywam swój wywód i upijam następny łyk ze szklanki.

– Dobrze – komentuje zachęcająco Brennus.

– Więc jest „snobem” i „nie lubi się przepracowywać” – powtarza za mną Finn. – I co robi? – pyta mnie.

– Poszuka kogoś innego, żeby odwalił za niego brudną robotę – odpowiadam.

Potem odwracam się do Brennusa i mówię:

– Potrzeba dyktuje plan. Postara się zdobyć jakiegoś sprzymierzeńca w obozie przeciwnika.

– Ona potrafi człowieka uradować, nie? – mówi Declan jak dumny tatuś.

– Jak bardzo będzie się starał? – pyta Brennus.

– Co? – dopytuję.

– Jak bardzo się przyłoży do realizacji tego planu? – Brennus formułuje pytanie trochę inaczej.

– Nie wiem. A ty wiesz? – odwracam pytanie.

– Tak – odpowiada. – Casimir powiedział mi, że wysłał po ciebie ifrity.

Zamierza więc zrobić absolutnie wszystko, żeby cię zdobyć albo zobaczyć cię martwą.

– Więc jeśli nie zdoła mnie zdobyć żywej, spróbuje zabójstwa? – pytam i czuję się nie najlepiej.

– Casimir cię pragnie, ale jeśli nie zdoła nad tobą zapanować, woli żebyś była martwa. Nie widziałem jeszcze, żeby Upadli kimś się tak przejmowali jak tobą – mówi Brennus, a ja od jego słów dostaję dreszczy.

Wypijam kolejny spory łyk napoju i próbuję się pozbyć gęskiej skórki, która znów pokrywa moje ciało.

– Jeśli nie uda mu się plan porwania, to co zrobi? – pyta ponownie Brennus.

Patrzę na niego zdziwiona, że zadał mi to pytanie.

Brennus uśmiecha się zachęcająco.

– Musisz patrzeć w przyszłość, starać się przewidywać przyszłe posunięcia. Żeby pokonać przeciwnika, trzeba wyprzedzać jego ruchy.

– Aha, no dobra – zastanawiam się. – Gdybym ja była Casimirem, siedziałabym w śmierdzącej norze i czekała, aż ktoś dostarczy mi tego irytującego anioła... A kiedy nikt by się nie pojawiał, wylazłabym z dziury jak wściekła osa i rozglądała się, komu można by rozwalić głowę. Zabrałabym ze sobą armię? – mówię pytająco i patrzę po wszystkich otaczających mnie twarzach.

Kolesie znowu zaczynają się śmiać.

– Może – mówi Brennus, szczerząc się w uśmiechu. – Ktoś jeszcze ma jakieś pomysły?

Finn pochyla się do przodu na swoim krześle.

– Spróbuje znowu, ale tym razem przyjdzie do Genevieve. Jest teraz poza Szeolem... Czeka, aż smród się ulotni, i próbuje się przyczaić przed boskimi aniołami Mocy, którzy chcieliby go rozszarpać na strzępy. Chce się u niej zjawić jako przyjaciel, wybawca. Będzie ją chronił przed złymi Gankanagami, którzy próbowali ją zabić. Będzie miał nadzieję, że ona się nie dowie, kto wysłał na nią ifrita – mówi Finn, patrząc na mnie.

– Mam dla ciebie cukierka, dziewczynko, tak? – dopytuję Finna, żeby się



upewnić, czy dobrze rozumiem jego wywód.

Finn z przebiegłą miną unosi brwi.

– Albo: ja naprawdę nie jestem wilkiem, dziewczynko, nie zwracaj uwagi na moje kły, dobrze? – mówi i puszcza do mnie oko.

– Albo znów zacznie rekrutować do swoich oddziałów, ale tym razem z zewnątrz. – Declan przedstawia konkurencyjną hipotezę. – Może nie chce prowadzić swojej stałej armii, bo jest za duże ryzyko, że anioły Mocy dowiedzą się o tym i zjawią się, żeby zrobić swoją robotę. A jeśli Casimir użyje nieaniołów, może zyskać trochę czasu... jeśli chodzi o Mocnych. Nie interesuje ich tak bardzo, co robią na przykład trolle. Może ich to zainteresować, ale nie tak jak gromadzenie się Upadłych.

– No daj spokój! Trolle! – wykrzykuję poirytowana. – Te, które pachną tyłkiem i mają naprawdę ostre zęby, które mogą cię rozszarpać, jeśli zanadto się zbliżysz? – pytam, patrząc na Eiona.

– No i nie mają też fioletowych włosów – odpowiada Eion, wskazując mnie palcem. – Zwykle są łyse albo mają małe kępki włosów w uszach.

– Obrzydliwe – mruczę.

– A oddech trolli... – ciągnie dalej Eion, ale przerywam mu gestem ręki.

– Już dobrze – mówię zdesperowana. – Co je zabija?

– *Gula* – mówią wszyscy jednym głosem.

– Obżarstwo? – pytam, tłumacząc łacińskie słowo.

Chyba wyglądam na zdezorientowaną, bo Finn odpowiada:

– To zależy od konkretnego trolla. Musisz sprawdzić, czemu nie mogą się oprzeć, a potem dać im tego więcej, niż będą w stanie wchłonąć.

Nadal jestem zdezorientowana. Patrząc na Brennusa, a na jego twarzy wykwita seksowny uśmiech.

– Jeśli troll nie potrafi oprzeć się piwu, dajesz mu tysiąc piw. W ciągu paru godzin zapije się na śmierć – wyjaśnia. – Jeśli to nie zadziała, obcinasz mu głowę. Ogień nie działa. Mają skórę bardziej odporną na ogień niż my.

– Aha – mówię i staram się zapamiętać wszystkie te informacje.

– A więc jakie podejmujemy kroki? – pyta Brennus całą swoją grupę.

– Musimy być czujni, czy nie pojawi się ktoś niezadowolony, jacyś nowi kolesie... Tacy, którzy mają głównianą pracę – włącza się Lachlan. – Jeśli wyczujesz, że ktoś śmierdzi, jakby wcześniej rozmawiał z Gogusiami z Szeolu, walić, aż zaczną pisać.

– Gogusie z Szeolu? – pytam Lachlana.

– Piękni chłopcy z Piekła – śmieje się do mnie. Ma na myśli upadłych Serafinów.

– Czym można pokonać Gogusiów z Szeolu? – pytam Lachlana, który przechyla głowę i zastanawia się nad moim pytaniem.

– *Superbia* – odpowiada łacińskim słowem oznaczającym pychę.

– *Vanitas* – dodaje Faolan, mając na myśli próżność.

– *Invidia* – mówi Declan, a chodzi mu o zawiść.

– *Iram* – wtrąca się Eion, mówiąc o gniewie.

– *Avaritiae*. – Finn mówi o chciwości.

– *Libidinem* – dodaje Brennus, mając na myśli pożądanie.

– A co może pokonać mnie? – szepczę do Brennusa.

– *Tristitia* – odpowiada łagodnie łacińskim terminem oznaczającym smutek. – Szczególnie gdy chodzi o smutek lub cierpienie kogoś, kogo kochasz.

Czuję ucisk w gardle, bo wiem, że ma rację. Delikatnie kładzie swoją dłoń na mojej. Smutno się uśmiecham i mówię:

– Wiele możesz mnie nauczyć.

– Robię to. – Brennus podnosi moją dłoń do swoich ust i ją całuje. – Potrzebujesz mnie, niezależnie, czy sobie z tego zdajesz sprawę, czy nie.

– A więc jakie podejmujemy kroki? – Przypominam mu, że mamy sprawy do przedyskutowania.

Wzrok rozbawionego Brennusa łagodnieje.

– Finn, postaraj się dowiedzieć, kogo Casimir zamierza użyć jako zewnętrznych sojuszników. Rozpuść wiadomość, że zamierzamy ich uszczęśliwić tak samo jak Serafiny, albo nawet bardziej, jeśli pozostaną wobec nas lojalni – wydaje instrukcje Brennus.

Potem zwraca się do mnie:

– Kluczem jest informacja. Staramy się okazywać szacunek innym istotom, na ile potrafimy. A one starają się nam odwdzięczać, też na ile potrafią. Większość demonów i niższych istot jest zmęczona Serafinami. Dzięki temu jest nam łatwiej.

– Brennus, to się chyba nazywa złotą regułą: zachowuj się wobec innych tak samo, jak byś chciał, żeby inni zachowywali się wobec ciebie – mówię z krzywym uśmiechem.

Faolan patrzy na mnie ze zdziwieniem i pyta:

– Jest taka zasada? A jaka w takim razie jest srebrna reguła?

Zanim udaje mi się odpowiedzieć, wtrąca się Eion:

– Srebrna reguła mówi pewnie, co trzeba zrobić, jeśli nie działa złota reguła. Chyba jakoś tak: zabij innych, zanim oni zabiją wszystkich twoich.

Lachlan uśmiecha się do mnie i mówi:

– Złota reguła powinna brzmieć: wykrwawisz się, jeśli nie zrobisz tego, co ci mówię.

Przewracam oczami, patrząc na nich, a Brennus uśmiecha się do mnie z władczą miną.

– Musimy wzmocnić bezpieczeństwo. Od teraz będziemy ryglować korytarze. W Wieży Północnej i Zachodniej mogą być tylko ci kolesie, którzy mają tam coś do załatwienia. W drzwiach ustaw tylko zaufanych ludzi, ale nie wierz im za bardzo. – Brennus wydaje polecenia Declanowi.

– Czy chcesz wzmocnić osobistą ochronę królowej? – pyta Declan Brennusa.

– NIE! – Patrzę na zmianę to na jednego, to na drugiego. – Czterech wystarczy. Jestem do was przyzwyczajona, chłopaki. Nie chcę, żeby więcej facetów się na mnie gapiło. Nie możemy po prostu zamontować kamer w drzwiach albo coś takiego? – pytam, a oni wybuchają śmiechem.

– Każdy może się podłączyć do systemu kamer. Nawet do telewizji przemysłowej można się włamać i wtedy wie się wszystko – mówi Brennus. –

Wszystkich, którzy będą się do ciebie zbliżać chociaż na chwilę, będziemy musieli przesłuchać. Nie zakładajcie, że ktokolwiek ma tam jakieś sprawy do załatwienia. Sprawdzajcie, po co tam przychodzą.

– Brennus, myślę, że już pora, żebyś mi pokazał, jak się używa tego topora, który mi podarowałeś – mówię cicho. – Może byś do nas przyszedł do pokoju wojennego, jak będziesz wolny? – pytam go i patrzę w górę ponad zaciśnięte pięści.

– To nie jest zły pomysł, *mo chroí*. – Nakrywa moje dłonie swoją dużą chłodną ręką. – Zaczniemy jutro. Dopilnuję tego.

Kiwam głową, spotkanie zostaje zaplanowane.



Tuż po zapadnięciu zmierzchu wślizguję się do łóżka i mocno przyciskam do siebie poduszkę. Próbuję jak najszybciej zmusić się do snu, żeby nie myśleć o tych wszystkich przerażających sprawach, o których dziś się dowiedziałam. Nie chcę analizować swojej przyszłości, bo wygląda ponuro. Widzę przed sobą niekończące się możliwości utonięcia w otchłani zła. Muszę się przygotować na najgorszy scenariusz. Muszę brać pod uwagę, że może mnie dopaść Casimir. Od razu trzeba zdecydować, czy mam na to pozwolić, czy wybrać wariant B – tak jak w grotach w Houghton. Nie mogę dopuścić do tego, żeby Brennus mnie przemienił, i nie mogę też pozwolić, żeby Casimir na całą wieczność zdobył moją duszę.

Życie wymknęło mi się spod kontroli. Jeśli spróbuję porzucić swój nowy dom, znów narażę wszystkich, których kocham, na niebezpieczeństwo... Casimir będzie próbował znaleźć sposób, jak mnie porwać lub zabić. Przez cały dzień udało mi się zachować spokój i nie okazać nikomu, jak bardzo jestem przestraszona. Przypominało to trochę próbę pływania w miejscu z cegłą w rękach.

Bardzo chcę wyrwać się z tego miejsca. Potrzebuję Reeda i Russella prawdopodobnie bardziej niż oni mnie. Ale wydaje mi się, że jest coś właściwego w tym, żeby Upadli i Gankanagowie walczyli ze sobą, a moje anioły pozostają bezpieczne. Najzwyczajniej boję się, że utracę na zawsze Reeda i Russella, jeśli znajdę się w środku tej całej zawieruchy.

Może tak jest dobrze? – myślę. – Może im jest lepiej bez ciebie? – Do oczu napływają mi łzy, więc zaciskam powieki i pozwalam im wydobyć się spod rzęs. – Przecież to jest oczywiste, że beze mnie będą bezpieczniejsi.

W końcu zmęczenie sprawia, że zasypiam, a kiedy zaczyna mi się śnić najpiękniejszy sen o Reedzie, budzę się. Desperacko próbuję trzymać się marzenia sennego, bo czuję w brzuchu trzepocące motyle, tak jakby Reed był przy mnie. Jest to najśłodsza tortura. Nie chcę otwierać oczu z obawy, że kiedy to zrobię, Reed zniknie. Oddycham głęboko i czuję jego seksowny zapach, od którego pierwotne pożądanie rozlewa się po całym moim ciele. Czuję, że obejmują mnie czyjeś ciepłe ramiona, przyciskają mnie do równie ciepłej klatki piersiowej. Serce zaczyna mi bić jak oszalałe.

Otwieram w końcu oczy, w pokoju jest słabe światło poprzedzające świt. Spoglądam za siebie i dostrzegam Reeda, który czule trzyma mnie w ramionach. W jego ciemnozielonych oczach szaleje burza uczuć, ale ja czuję, że natychmiast muszę się odwrócić do niego tyłem – nie chcę, ale zmusza mnie do tego jakaś wewnętrzna siła. To działanie magicznego kontraktu.

Reed jest tutaj!

Jest tak blisko, że wszystkie moje zmysły krzyczą, jak bardzo chcą go dotknąć, poczuć jego smak, powiedzieć mu, że go pragnę... potrzebuję... marzę o nim... Że jest mi przykro z powodu tego, co mu zrobiłam. Ale nie mogę się ruszyć. Nie potrafię się odwrócić w jego stronę ani odezwać. Czuję się, jakbym była pozbawiona wolnej woli. Jestem więźniem we własnym ciele. W głowie pulsuje mi tysiąc myśli, ale nic nie mogę zrobić. Szczęki mam mocno zaciśnięte, gardło ściśnięte, oddech płytki.

– Evie, kochana, wiem, że nie możesz do mnie mówić... To część kontraktu, który zawarłaś, żeby ratować Russella. – Reed szybko szepcze mi do ucha, a ja pozostaję bez ruchu jak mimowolny pomnik pozornej obojętności na piękną istotę znajdującą się obok mnie. – Ale to nie znaczy, że ja nie mogę mówić do ciebie – tłumaczy mi swoim najbardziej seksownym głosem.

Zamykam oczy, smakując uczucie, jakie przynoszą mi jego uścisk i zapach skóry. Reed muska nosem moją szyję.

– Przepraszam, że tak długo cię szukałem – mówi, wędrując delikatnie wargami po mojej skórze.

Przeszywa mnie ból pożądania, tak bardzo chciałabym go pocałować, ale nie mogę.

– Pokusa, żeby cię teraz stąd zabrać, jest prawie nie do opanowania –

mówi Reed głosem, w którym słychać cierpienie. – Jeśli to zrobię, będziesz uwięziona wewnątrz samej siebie... Będziesz taka jak teraz, bez możliwości jedzenia i spania, dopóki nie zostaniesz zwrócona Brennusowi. Chyba że znajdziemy sposób, jak złamać kontrakt... albo umrzesz – wyjaśnia Reed. – Za duże ryzyko, jeśli nie wiemy, jak zerwać kontrakt.

Palcami głaszczę mnie po włosach na karku i kreśli linię wzdłuż szyi i barków. Potem wolno przesuwają je wzdłuż ramion, co przyprawia mnie o dreszcz.

– Tęskniłem za tobą... Każda chwila, którą spędziłaś tutaj, była dla mnie... Potrzebuję cię, Evie – mówi niemal szeptem, całując moje ramiona.

Po policzku spływa mi łza.

– Nie płacz. – Obejmuje mnie mocno i grzbietem dłoni delikatnie ociera łzę z mojej twarzy. – Znajdę sposób, by cię stąd wydostać. Zaufaj mi, znajdę. Jesteś moja i nigdy się nie poddam. Obiecuję ci.

Chcę powiedzieć, że mu wierzę... że mu ufam. Pragnę go bardziej niż kiedykolwiek. Sam dźwięk jego głosu sprawia, że chcę jeszcze bardziej zażarcie o niego walczyć.

– Chyba wymyśliłem sposób, w jaki możesz się z nami komunikować. Kontrakt sprawia, że ilekroć znajdę się blisko, ty będziesz się wydawała zablokowana. Ale sądzę, że Russell może z tobą rozmawiać z twojego wnętrza. Poproszę go, żeby spróbował. Pracuje od pewnego czasu z Fedrusem. Potrafi już panować nad swoimi klonami. Niedługo ci jednego przyśle. Jeśli zdoła w ciebie wniknąć, być może będziecie w stanie porozmawiać wewnątrz siebie, tam gdzie oni nie będą mieli na ciebie wpływu. Powiedz nam o swoich planach, o tym, co widziałaś. Wtedy będziemy ci mogli pomóc. – Reed mocno mnie przytula i hipnotycznie głaszczę dłonią mój bok.

Kiedy słyszę te słowa, rozpala się we mnie nadzieja. Reed najwyraźniej zna mój kontrakt, wie, jak jest skonstruowany. Wie, że moje zachowanie nie świadczy o oziębłości... że nie mogę odpowiedzieć, mimo że bardzo chciałabym zareagować na jego dotyk.

– Evie, udawaj dalej, że tańczysz, tak jak oni ci grają. Wiem, że mamy tylko kilka miesięcy, zanim Brennus wymyśli inny sposób, by cię zatrzymać – mówi Reed.

Wewnątrz odczuwam radość, że i on to rozumie. Jest świadomy tego, że Brennus nie ma zamiaru kiedykolwiek mnie wypuścić.

– Pokaż mu, że powoli się do niego przekonujesz... Że go zaczynasz pragnąć. Uśpij go, żeby z tobą współdziałał. Pozwól mu uwierzyć, że już się ode mnie odzwyczajasz. Rób wszystko, co trzeba, żeby przeżyć. Wszystko, żeby nie zechciał cię przemienić – radzi mi szeptem.

Trzyma mnie w ramionach, a jego cudowne ciało układa się wzdłuż mojego, jakby leżały obok siebie dwie łyżeczki. Reed wdycha zapach moich włosów. Chcę z nim tak leżeć już zawsze – tylko on i ja.

– Przykro mi, że nie było mnie na miejscu, gdy wszystko się rozpętało – szepcze, a kiedy mówi o Valentinie, słyszę w jego głosie ból. – Spóźniłem się... Już nigdy się nie spóźnię – przyrzeka takim głosem, jakby słowa go dławily. – Trzymaj się liny, kochanie, aż prądy się zmienią i znów będziemy mogli być razem.

Jego słowa wypowiedane tak natarczywie sprawiają, że znów muszę powstrzymać łzy.

Otwieram szeroko oczy, bo słyszę czyjeś kroki w korytarzu. Chciałabym krzyknąć do Reeda, że musi już iść. Musi wyjść, zanim któryś z kolesi go znajdzie, dotknie.

REED, UCIEKAJ! – krzyczy w panice mój mózg, ale nie mogę wydobyć z siebie żadnego dźwięku, nie mogę się ruszyć, żeby choć wzrokiem przekazać mu ten nakaz.

– To dla ciebie – szepcze mi znów do ucha i wciska skrawek papieru pod jedno z piór mojego skrzydła – żebyś miała, kiedy będzie ci już trudno oddychać.

Drzwi mojego salonu otwierają się i ktoś wchodzi do przyległego pokoju, po czym zwraca się w stronę drzwi do sypialni. Reed szybko wstaje z łóżka i wyjmuje korek z buteleczki z perfumami. Skrapia nimi mnie i łóżko, potem rozbija flakon o podłogę i wyskakuje oknem. Odwracam się ku oknu – Reed już zniknął. Drzwi do mojego pokoju otwierają się i staje w nich Brennus.

– Co się stało? – pyta podejrzliwie, wciągając powietrze. – *Mo chroí* – zwraca się do mnie, widząc na podłodze stłuczoną buteleczkę.

Nie odpowiadam. Patrzę tylko na niego z nadzieją, że nie poczuje zapachu

Reeda. Muszę dać swojemu aniołowi trochę czasu, żeby mógł się oddalić. Podciągam prześcieradło pod szyję i patrzę ponuro na Brennusa, który przygląda mi się ze zmarszczonym czołem.

– Czy ty płaczesz? – Jego wzrok łagodnieje i jest w nim troska.

Brennus podchodzi do mnie i siada dokładnie w tym samym miejscu, które przed chwilą zajmował Reed. Serce trzepocze mi w piersi jak oszalałe, jestem chora ze strachu o Reeda.

– Nie przejmuj się, to tylko perfumy. Dostaniesz nowe. – Brennus czule dotyka dłonią mojego policzka.

– Ja... – zaczynam mówić, po czym wybucham płaczem.

Brennus przyciska mnie do swej chłodnej piersi i pozwala płakać.

– Boisz się? – pyta, a ja kiwam głową, bo istotnie się boję.

Po spotkaniu z Reedem mam wrażenie, że nie wytrzymam bez niego ani jednej sekundy. Czuję ból i wydaje mi się, że za chwilę stanie się on tak silny, że dalsze życie nie będzie już miało sensu. To tak jakby Reed właśnie mi przypomniał, po co w ogóle żyję – żeby z nim być. A skoro nie mogę, czuję się zdruzgotana.

– Ochronię cię. Casimir cię nie dostanie. Nie ma powodu, żebyś się bała – mówi Brennus i dla pociechy masuje moje plecy.

Pociągam nosem, starając się przestać płakać. Brennus nie wie, że Reed tu był. Nie czuje jego zapachu.

Po to właśnie były perfumy: żeby zabić zapach Reeda. Trzeba zacząć nosić przy sobie buteleczkę. Jeśli Reed planuje, żeby Russell przysłał mi swojego klona, będę musiała zamaskować i ten zapach. Zapach Russella będzie się unosił w powietrzu dostatecznie długo, żeby Gankanagowie go poczuli.

– Wszystko w porządku, Brenn. – Próbuję wziąć się w garść. – Nic mi nie jest. Wezmę prysznic.

– Zamówię ci kawę. Masz ochotę? – pyta.

– Mhm... – kiwam głową z bladym uśmiechem.

Podchodzę do drzwi łazienki i zamykam je za sobą. Opieram się o nie i nasłuchuję dźwięków dochodzących z sypialni. Nie słyszę niczego. Odkręcam wodę w prysznicu i podchodzę do toaletki. Wyciągam spomiędzy



piór skrzydła skrawek papieru umieszczony tam przez Reeda. Rozprostowuję karteczkę i czytam wiadomość zapisaną pięknym pismem Reeda.

Jest to cytat z Szekspira:

*Wątp, czy gwiazdy lśnią na niebie;*

*Wątp o tym, czy słońce wschodzi;*

*Wątp, czy prawdy blask nie zwodzi;*

*Lecz nie wątp, że kocham ciebie...*

*ale że cię bardzo, a bardzo kocham, temu wierz[7].*

Reed mnie kocha... wciąż mnie kocha – szepcze mi mój umysł, jakby odmawiał modlitwę. Przez ostatnie dwa miesiące starałam się, żeby nie przytłoczyły mnie strach i zwątpienie. Ale skoro mam dowód, że Reed wciąż mnie kocha, nawet po tym, gdy go tak potraktowałam, nie potrafię już opanować łez, które znów kapią z moich oczu. Chowam skrawek papieru pod jedną z buteleczek z perfumami na toalecie, a potem wchodzę pod prysznic i pozwalam, by woda zmyła moje łzy.

Reed przybył tu, żeby o mnie walczyć. Chce, żebym ja też nadal walczyła o nas oboje, żebym się nie poddawała i nie pozwoliła zrobić z siebie ożywieńca. Mógłby po prostu pozwolić Russellowi tu się zjawić i przemówić do mnie, ale nie zrobił tego. Zaryzykował wszystkim, żeby samemu mnie uprzedzić. Wszedł do matecznika setek zabójców, żeby mi pokazać, co dla niego znaczę. On jest... nienormalny. Najdoskonalej nienormalna istota, jaka kiedykolwiek została stworzona... I wciąż jest mój.

Ale na razie nie mogę mieć Reeda. Chce, żebym uśpiła czujność Brennusa, udając uległość, a wtedy on znajdzie jakiś sposób, żeby mnie stąd wydostać. Muszę spróbować tak zrobić. Użyję broni, do której mam dostęp – myślę o tym, czego nauczyła mnie Buns na temat kobiecej tajemniczości. Muszę sprawić, żeby myśl o zabiciu mnie była dla Brennusa naprawdę trudna... Żeby nie miał ochoty wypuścić z rąk jakiegokolwiek części mnie.

A jednocześnie muszę się nauczyć, jak funkcjonować po ciemnej stronie świata. Powinnam myśleć jak oni... zabijać jak oni. Gdybym pozostała z Reedem, pozwalałabym mu, żeby się o mnie troszczył. Godziłabym się, żeby zabijał dla mnie... i w ten sposób mnie chronił. A teraz sama muszę się

nauczyć, jak zabijać... bez żartów. Brennus może być najlepszym nauczycielem, bo chyba jest w tym bardzo dobry.

Osuszam się szybko i wyciągam skrawek papieru spod flakonika z perfumami. Wsuwam go ponownie pod jedno z piór i sprawdzam, czy brzegi notatki nie wystają. A potem zakładam strój treningowy. Idę bezpośrednio do gabinetu Brennusa i zastaję go siedzącego przy biurku.

– Planujesz wrogie przejście, Brenn? – pytam, wparowując do pokoju.

Zmuszam się, żeby dać mu szybkiego całusa w chłodny policzek, a dopiero potem siadam przy biurku i nalewam sobie kubek kawy. Brennus jest trochę zaskoczony moim czułym przywitaniem.

– Każde przejście jest wrogie. – Wcześniejsze oszołomienie Brennusa mija i po chwili się do mnie uśmiecha. – Inaczej nazywano by to kapitulacją.

– Dobrze powiedziane – mówię, popijając kawę, która od czasu, kiedy tu przybyłam po raz pierwszy, robi się coraz lepsza.

Może personel w kuchni wymienili na nowy? – myślę ponuro.

Uśmiecham się do Brennusa.

– Pamiętasz, że obiecałeś uczyć mnie od dzisiaj walki? – pytam go. – Powinieneś się przebrać, bo zniszczę ci ten piękny strój. – Robię wyzywającą minę i spoglądam na przepiękny garnitur Brennusa, dopasowany jak druga skóra.

– Obawiam się, że będziemy się mogli spotkać dopiero później. Na rano mam zaplanowane spotkanie – mówi Brennus, obchodzi biurko wkoło i siada obok mnie przy małym stoliku, na którym stoi moje śniadanie.

– Z kim się spotykasz? – Czuję, jak swoją nogą ociera się pod stołem o moją.

– Z przywódcą Rozważnych – odpowiada Brennus niezbyt wyraźnie i obserwuje mnie, jak nalewam mleka do płatków owsianych.

– Odważnych? – pytam, krzywiąc się.

– Nie Odważnych. Rozważnych. – W jego ustach oba słowa brzmią niemal jednakowo.

– Rozważnych? – Spojrzenie jego zielonych oczu łagodnieje, kiedy próbuje go zrozumieć. – Rozważnych, od rozwagi?

– Tak jest – odpowiada. – Prawdopodobnie właśnie z tego wzięła się ich nazwa, że w ich obecności trzeba zachować rozwagę.

– Kim są Rozważni? – pytam.

– To stwory, których na pewno wolałabyś nie spotkać. Najlepiej zjedz śniadanie i idź gdzieś z koleśkami – mówi i spogląda na zegarek.

– Dlaczego? Czy Rozważni są jacyś nieprzyjemni albo groźni? – Czuję ukłucie strachu. – Może powinnam zostać z tobą. – Zastanawiam się, czy może będzie mi potrzebna moja ochrona.

– Nie, są zawistni – odpowiada Brennus.

– Opisz mi kogoś z nich – proszę i próbuję sobie wyobrazić jakiegoś Rozważnego. – Jacy oni są?

– Zależy od konkretnego osobnika, ale chyba najlepiej będzie powiedzieć, że są jak strachy na wróble – mówi Brennus.

Moje ramiona pokrywają się natychmiast gęsią skórą.

– Wymyślają sobie jakąś cechę, której zazdroszczą innym, i potem zabierają ją wszystkim, którzy ją mają. Wyglądają więc jak posklejani z różnych elementów... tak samo jak strachy na wróble, które ubiera się w rzeczy wyrzucone przez innych.

– CO?! – pytam i odkładam łyżeczkę.

Nagle czuję zimno.

– Niektórzy wyglądają groteskowo. Tak jakby nie wiedzieli, co do czego pasuje. Więc mogą mieć ramiona niezwykle silnego ogra doczepione do drobniejszego ciała, tak że proporcje wydają się dziwne... Albo kobieca głowa na męskim ciele... Wiesz, co mam na myśli?

– Chcesz powiedzieć, że oni kradną części ciała od innych istot i używają ich, żeby zastąpić nimi swoje? – pytam i odsuwam od siebie miskę z owsianką.

Lęk wywołany myślą o wizycie tego typu stworzeń sprawia, że czuję skurcze żołądka.

– Dokładnie tak. Nie chcę, żeby cię widzieli. Jest w tobie tyle elementów, na które mogliby patrzeć z zazdrością... Twoje oczy, skóra, włosy, skrzydła... – Wyciąga rękę i z szacunkiem głaszcze moje skrzydło.

– Ale ty nie zostaniesz z nim sam na sam, co? – pytam tonem, w którym daje się wyczuć strach.

– Nie mam niczego, co by mogło się spodobać Rozważnemu, *mo chroi* – odpowiada Brennus, a jego piękna twarz wygląda mniej blado w miękkim świetle gabinetu.

– Masz ładną twarz – mówię cicho. Wyciągam dłoń i delikatnie dotykam jego policzka.

Kiedy mu się przyglądam, nie dostrzegam żadnej niedoskonałości w jego nieśmiertelnej skórze. Jego uroda przykuwa uwagę od pierwszego wejrzenia i nie pozwala się nigdy wyzwolić spod swojego czaru.

Mój dotyk robi na nim wrażenie. W oczach Brennusa narasta ciemność pożądania. Szepczę:

– Nie pozwól, żeby Rozważny zapragnął twojej twarzy... Przyzwyczajam się do niej.

– Nie mógłby jej zabrać. Zostanie moim niewolnikiem, jeśli tylko spróbuje mnie dotknąć... Jego ciało nie może znieść mojego. Tylko ty jesteś jedyną istotą, jaką spotkałem, która może wytrzymać to, kim jestem. Ty i ten drugi – mówi Brennus. Wygląda na całkiem uszczęśliwionego tym, co mu właśnie powiedziałam.

– Nigdy nie przypuszczałam, że to powiem, ale uważam, że to dobrze – odpowiadam i wolno się do niego nachylam. Całuję lekko jego wargi, czuję ich chłodną fakturę.

Brennus jęczy, nachyla się do mnie i kładzie dłoń na moim karku. Drugą rękę wsuwa mi za plecy, podnosi mnie z krzesła i sadza sobie na kolanach. Nasz pocałunek staje się bardziej żarliwy. Brennus wymaga w nim ode mnie więcej, niż jestem gotowa mu dać. W chwili, kiedy mam już go odepchnąć, słyszę głośne kliknięcie. Na ten dźwięk Brennus sam mnie odsuwa.

Kiedy otwieram oczy, widzę w jego spojrzeniu ogień.

– Głodny? – szepczę i pocieram delikatnie jego nos swoim.

– To propozycja? – pyta ze zmysłowym uśmiechem. Ujmuje dłońmi moją twarz i pociera kciukiem dolną wargę.

Serce zaczyna mi bić szybciej i czuję przyciągającą siłę Brennusa.

– Pewnie. Zostało jeszcze dużo owsianki. Jest pyszna – drażnię się z nim, szczypiąc go wargami w kciuk.

Wiem, że igram z ogniem, ale mimo to przesuвам palec po jego dolnej wardze.

– Nie igray ze mną, *mo chroí*. Przegrasz – ostrzega mnie łagodnym głosem, a potem wodzi nosem po mojej szyi, sprawiając, że serce bije mi jeszcze szybciej.

– Jeśli zabijesz ptaszka, zostaniesz z pustą klatką, Brennus – szepczę i czuję, jak przyciska swoje ostre zęby do mojej szyi.

Nacisk rośnie jeszcze przez chwilę, a ja tężeję i szykuję się do walki oraz biegu po swój zapas krwi. Brennus dotyka mojej szyi wargami, jakby się zastanawiał, a potem odsuwa je od mojego gardła. Po czym chowa kły i uśmiecha się do mnie, jest to jednak bardziej grymas niż uśmiech.

– Jesteś mrocznym, podłym niegodziwcem w opakowaniu słodkiego, naiwnego aniołka. Trudno powiedzieć, co w tobie najbardziej kocham. – Patrzy na mnie łagodnym wzrokiem.

– Najbardziej kochasz słodką część, bo inaczej byś mnie już zabił – odpowiadam.

Czuję, że nie chce mnie puścić, ale wstaję z jego kolan i zaczynam się przesuwać w kierunku drzwi gabinetu.

To było chyba zbyt blisko – myślę i uświadamiam sobie, że ledwo wymknęłam się z pułapki. Naprawdę chciałam uśpić jego czujność i skłonić go do samozadowolenia, ale posunęłam się trochę za daleko. Brennus jest za sprytny, żeby dać się nabrać na pozory. Będzie potrzebował dowodu, że go kocham, zanim wpadnie w dostateczne zadowolenie i zerwie kontrakt. A ja nie wiem, jak mogłabym mu taki dowód okazać.

Jak sprawić, żeby diabeł uwierzył, że go kochasz? – zastanawiam się i słyszę za sobą cichy chichot Brennusa obserwującego mój odwrót.

W korytarzu zastaję czekających na mnie koleśi. Mówię do Declana:

– Brennus ma na rano zaplanowane spotkanie z Rozważnym.

– Mam nadzieję, że wydano rozkazy, żeby pozamykać dziewczyny – rzuca Eion do Lachlana, kiedy ruszamy korytarzem w kierunku Wieży Zachodniej. – Lubię je z ich własnymi głowami na karku.

Zatrzymuję się i zwracam w stronę Declana.

– No dobra, to jest zbyt odrażające. – Czuję na ciele dreszcze. – Ktoś musi zostać z Brennusem. Nie pozwolę, żeby Rozważny zrobił sobie peruczkę z jego skalpu.

– Co ona powiedziała? – pyta Lachlana Eion, drapiąc się po głowie.

– Powiedziałam, żeby ktoś osłaniał tyły Brennusa albo ja sama tu zostanę i spotkam się z Rozważnym – odpowiadam, krzyżując ramiona na piersi.

– No nie, nie zostaniesz – odpowiada surowo Declan. – To jest ostatnia rzecz, jaka jest nam potrzebna. Gdy takie coś cię zobaczy, będziemy potrzebowali dużego szczęścia, żeby odeszło z tym, z czym przyszło. Inaczej będziemy musieli go zabić. A ponieważ przychodzi z informacjami o Serafinach, nie byłoby to najlepsze rozwiązanie.

– Eion... – zaczynam, ale patrząc na twarz zdezorientowanego Eiona, zmieniam zdanie. – Faolan, proszę cię, zostań tu z Brennusem... Przynajmniej do czasu, aż przyjdzie Finn. Nie chcę, żeby został sam. Proszę cię...

– Martwisz się o niego – mówi Declan łagodnym tonem.

– Nie. Nie bądź głupi... To chodzi o instynkt samozachowawczy. Magiczny kontrakt, pamiętasz? – pytam i czuję, że oblewa mnie rumieniec.

– Kłamiesz – mówi oskarżycielsko Declan i się uśmiecha.

– Fay... po prostu z nim zostań – proszę i kładę delikatnie dłoń na ramieniu Faolana.

Klik. Jego kły gwałtownie się wysuwają.

– Jasna cholera! – rzuca, spoglądając na Declana.

Declan robi gniewną minę i potrząsa głową.

– Ech, równie dobrze możesz zostać. Może później się pożywisz, zanim wrócisz. – Patrzy na mnie i oskarżycielsko wskazuje mnie palcem. – Uważaj, żadnego dotykania koleś. Za bardzo jesteś ponętna.

– O, przepraszam. – Krzywię się i ze skruszoną miną puszczam ramię Faolana. – Dziękuję ci, Fay.

Idę dalej korytarzami z Lachlanem, Declanem i Eionem. Od chwili, gdy wyszłam z gabinetu Brennusa, nie mogę się pozbyć dziwnego poczucia grozy. Wszystko wygląda jak zwykle. Zmierzając do wieży, mijamy kilku koleś,

którzy rozstępują się przed nami na boki, ale nie mogę opanować gęsiej skórki. Czuję się śledzona.

Staję obok Declana, który szepcze, żeby otwarto drzwi do Zachodniej Wieży. Dostrzegam jakiś czarny kształt i przez chwilę sądzę, że patrzę na swój cień, który mnie mija i ma zamiar przejść beze mnie przez drzwi. Wygląda na to, że nikt inny go nie zauważa. Otwieram szeroko oczy, w ustach robi mi się sucho. Declan robi krok do przodu, a ja łapię go za ramię, zatrzymuję i nie pozwalam przejść na drugą stronę drzwi.

Na jego twarzy maluje się wyraz irytacji, który znika, kiedy nasze spojrzenia się spotykają. Zaczynam się jąkać:

– Ja... ja, cholera, zostawiłam... zostawiłam iPod'a w pokoju... Nie mogę bez niego trenować. Musimy wrócić, Dec.

Trzymam jego ramię jak w imadle.

Odciągam go do tyłu od progu. Widząc, że Eion właśnie ma tam wejść, wyciągam drugą rękę i go łapię, ciągnąc tak, że wpada na Lachlana. Declan wysuwa kły. Wydaje się, że zrozumiał, co mu chcę powiedzieć. Eion i Lachlan po chwili też idą w jego ślady i wszyscy czworo cofamy się, przyjmując pozycje obronne.

Rozlega się sygnał przypominający odległy krzyk. Na ten dźwięk ta sama ciemność, która przed chwilą wydawała mi się cieniem spowijającym wejście do mojej wieży, rusza naprzód. Rozróżniam teraz osobne cienie wychodzące z kryjówek w ścianach i podłodze.

– Rozważny – mówi cicho Declan, a mnie robi się zimno.

Wciąż cofamy się od drzwi.

– Dec, jak można je zabić? – szepczę nerwowo.

– Kiedy są tak rozczłonkowane jak ten, można ich skrzywdzić tylko za pomocą magii. – Declan staje przede mną, żeby mnie ochronić przed cieniami.

Ciemne, wijące się kształty przesuwają się po ciemnoczerwonych tkaninach pokrywających ściany po naszych obu stronach. Wpełzają też pod sufit, skąd trzy z nich próbują opuścić się w dół – albo żeby wylądować za nami, albo skoczyć wprost na nas.

Dwa cienie rzucają się na Lachlana, ale cofają się, gdy z jego dłoni wystrzeliwiuje ogniste światło, od którego stają w płomieniach. Ale nie chodzi

tu o prawdziwy ogień. To raczej rodzaj magicznego światła, któremu nie towarzyszy fizyczne ciepło. A jednak efekt wydaje się wystarczający, żeby powstrzymać cienie, które spadają na podłogę i wiją się w agonii.

Pozbawieni twarzy Rozważni zatrzymują się w drzwiach, które mamy przed sobą. Ustawiają stopy jak łucznicy, nieruchomieją przed nami i mierzą z cienistych łuków czarnymi, strasznymi strzałami. Pociski wyglądają jak przedłużenie ich samych, bo wszystko składa się z ich „esencji”.

Declan natychmiast szepcze magiczne słowa, które wznoszą barierę między Rozważnymi a nami, ale Lachlan i Eion używają własnej magii do walki ze stworami, które są przed nimi. Declan nie może chronić także ich. W ostatniej chwili próbuje ich ostrzec.

– Strzały! – krzyczy.

Ciemne, cieniste drzewce nie robią żadnego hałasu, kiedy wirują, tną powietrze i trafiają Lachlana w pierś, odrzucając go do tyłu. Natychmiast przy upadającym Lachlanie zjawia się Eion, chwytając go za ramiona i odciąga do tyłu, po czym kontynuuje nasz odwrót. Lachlan zaciska z bólu szczęki. Próbuje wyrwać z ciała tkwiące w nim drzewce strzały, ale jest to równie trudne jak złapanie palcami nocnego nieba.

Nagle moje stopy sztywnieją i przestają się cofać. Lachlan z bólu zgina się wpół, wyciąga ramiona do Eiona i prosi go o pomoc w wydobyciu strzał. Eion nadal go osłania – stara się chronić przyjaciela przed dziwacznymi łucznikami, którzy odchylają się w tył i znów do nas celują.

Przyciągam do siebie znajdującą się w korytarzu energię i czuję, jak Rozważny próbuje ze mną o nią walczyć. Cienie nie chcą dopuścić, żebym wypowiedziała zakłęcie, ale im bardziej się koncentruję, tym więcej przypląwa do mnie energii, tak jakby wolała gromadzić się we mnie niż iść do tamtych.

– Stań za mną, Dec – stękam.

Moc energii, którą w sobie zgromadziłam, zaczyna mnie parzyć.

– Co? – Declan robi gniewną minę.

Ale najwyraźniej też zaczyna odczuwać ruch energii, którą przyciągam ku sobie, bo wycofuje się na pozycję za moimi plecami.

Nie mam właściwie czasu, żeby wymyślić jakieś zakłęcie, ale przychodzi



mi do głowy pewien pomysł. Zaczynam śpiewać łagodnym głosem:

*Dzwońcie, dzwońcie, dzwoneczki,*

*Mam w kieszeni wstążeczki.*

*Popiołki, popiołki,*

*Pospadajcie w dół.*

Kiedy kończę tę dziecięcą piosenkę, przesuвам wewnętrzny wyłącznik energii, tak jak uczył mnie Brennus. Wyrzucam cały zgromadzony w sobie zapas na zewnątrz. Z lekkim szumem wystrzeliwuje ze mnie prąd, który trafia w rozczłonkowanego Rozważnego znajdującego się przede mną. Mroczne figury cieni ciemnieją, aż przybierają odcień smoły. Ich ciała stopniowo zaczynają się kruszyć jak popiół. Jednocześnie w korytarzu zaczyna wiać niszczący wiatr, który rozrzuca szczątki moich ofiar. Pokrywają one wszystko wkoło warstwą pyłu.

Te części Rozważnych, których nie trafiłam swoim zaklęciem, zatrzymują się bez ruchu. Jedna z nich wydaje taki sam odgłos, jaki słyszałam poprzednio. To sygnał do odwrotu. Cienie pełzające po suficie nadal ruszają się ponad naszymi głowami i przesuują się rażno w kierunku Wieży Północnej.

Zamykam oczy, żeby zastanowić się nad kolejnym zaklęciem, ale uniemożliwia mi to ostry, przeszywający ból, który przenika mój bok. Nie widzę jednak niczego, co wskazywałoby, że zostałam trafiona, tyle że z boku zaczyna mi się sączyć krew.

– Dec? – wołam zdezorientowana. Kładę rękę na biodrze i próbuję zatamować krwawienie.

Słyszę blisko siebie syknięcie Declana, który poczuł moją krew. Na jego twarzy pojawił się wyraz tęsknoty. Po mojej drugiej stronie Eion nadal trzyma Lachlana, ale nieruchomieje na widok krwi wypływającej spomiędzy moich zaciśniętych palców.

– To Brennus... został ranny – szepczę.

Kolejne ukłucie przeszywa moje ramię. Na koszuli pojawia mi się czerwone koło. Z bólu muszę zgąć się wpół.

– Niech to szlag! – mamrocze Declan, po czym zatyka dłońią usta i nos. Mówiąc przez tę zasłonę, wydaje polecenia: – Idź do swojej wieży. Kiedy tam będziesz, zablokuj drzwi i znajdź miejsce, w którym będziesz mogła się ukryć,

aż się wyleczysz. My z Eionem zajmiemy się tymi paroma kawałkami Rozważnego, które jeszcze zostały, a potem zaopiekujemy się Brennusem. Dasz radę dojść tam sama? – pyta, wciąż zasłaniając się przed zapachem moich otwartych ran.

Kiwam głową, robię zwrot i potykając się, ruszam w kierunku Zachodniej Wieży. Oddalam się od Eiona, który przygląda mi się jak kot obserwujący mysz. Kierując się w stronę drzwi, przy których Rozważni właśnie przypuścili na nas atak, sprawdzam teren. Chcę się upewnić, że żaden Rozważny nie rzuci się na mnie z tyłu. Muszę też przez cały czas mieć w polu widzenia Eiona, który teraz przeżywa ciężkie chwile. Ma zwinięte w pięści dłonie i kurczowo wczepia się w koszulę Lachlana. Dyszy ciężko z wysiłku, jakim jest dla niego kucanie przy rannym przyjacielu i obserwowanie, jak jego posiłek na trzęsących nogach wycofuje się z pola walki.

Eion przegrywa jednak tę walkę – gwałtownie zrywa się i zaczyna się do mnie zbliżać z gracją skradającego się zwierzęcia. Pod wpływem strachu krew odpływa mi z twarzy. Wpadam plecami na ścianę tuż przy drzwiach do mojej wieży. Jestem jak sparaliżowana: nie wiem, czy powinnam z nim walczyć, uciekać czy próbować zakłęcia.

To mój przyjaciel, nie chcę go skrzywdzić – przemyka mi przez głowę.

Wzdrygam się, kiedy zza drzwi do mojej wieży wyłania się ciepła dłoń, która mnie dotyka. Z łatwością przeciąga mnie na drugą stronę. Drzwi zatrząskują się i oddzielają mnie od Eiona. I wpadam w czyjeś mocne objęcia.

Słyszę, jak Reed czule szepcze mi do ucha:

– Przyszędłem po ciebie, kochana. Jestem przy tobie.

## Rozdział 18

# Mój anioł

– Zee, zablokuj drzwi. Russell, pomóż mi, a potem przyjdź do mnie na górę do wieży Evie! – wykrzykuje polecenia Reed.

Odrywa mnie od podłogi i przyciska mocno do piersi. Nie mogę się teraz ruszać: z powodu kontraktu w obecności Reeda muszę się wycofać do własnego wnętrza.

– Kochanie, zajmiemy się resztą Rozważnych. – Reed całuje mnie w policzek. Jego niewiarygodny zapach rozchodzi się wokół mnie.

Zastanawiam się, jak dał sobie radę bez magii, ale nie mogę go o to spytać. Jestem więźniem zamkniętym w sobie i leżę bez ruchu w ramionach Reeda.

Jego silne skrzydła unoszą nas oboje nad podłogę. Lecimy do drzwi, na których wyrzeźbione są anielskie skrzydła, czyli do mojego apartamentu w wieży. Reed otwiera je i zostawia otwarte, żeby Zee i Russell mogli za nami podążać. Wzlatując ponownie w powietrze, Reed sprawia wrażenie, jakby wiedział, w którą stronę się poruszać. Leci do najwyższej położonej części mojego apartamentu: do sypialni. Bez trudu lądujemy na podeście i Reed kieruje się w stronę łóżka, na którym mnie kładzie.

Zdziera ze mnie koszulę, odsłaniając krwawiące rany. Mam wrażenie, że ktoś ugodził mnie bagnetem. Reed wyciąga spode mnie prześcieradło i drze je na wąskie pasy. Jeden z nich ciasno zawiązuje wokół mojej talii. Potem owija mi ramię, ściska je bardziej, niż wydaje mi się konieczne. W duchu krzyczę z bólu, ale na zewnątrz nie wydostaje się żaden dźwięk.

– To powstrzyma krwawienie. Powinno ci się to teraz zagoić – mówi Reed

pod nosem i przykrywa mnie kocem.

Bardzo chciałabym teraz odetchnąć. Ból po magicznym ugodzeniu to nic w porównaniu ze strachem o Reeda, Russella i Zee. Co oni tu robią? Muszą się stąd wynosić, zanim zbiegną się tu Rozważni albo Gankanagowie.

– Ruda! – krzyczy Russell, lekko sapiąc, gdy wbiega do mojego pokoju z korytarza.

Nie widzę go, jestem odwrócona tyłem, ale wystarczy, że usłyszę jego głos, by zniknęła przynajmniej część bólu, który odczuwam. W to miejsce pojawia się troska.

– I co z nią? – Russell pyta Reeda i klęka przede mną, bym mogła go zobaczyć.

W jego pięknych brązowych oczach widać troskę, przynajmniej tak mi się wydaje, bo długie włosy częściowo przesłaniają mu twarz. Chciałabym je odgarnąć i powiedzieć, że powinien się wybrać do fryzjera.

Reed klęka obok Russella i teraz mogę patrzeć na nich obu. Wpatruję się w ich piękne twarze i tak bardzo chciałabym objąć ich i powiedzieć, że za nimi tęsknię... że ich kocham. Ale nie mogę tego zrobić.

– Powinniśmy byli pozwolić temu wstrętnemu Gankanagowi, żeby ją ugryzł. Wtedy moglibyśmy go zabić i ją stąd zabrać – mówi Russell do Reeda.

Reed pospiesznie odpowiada:

– Myślałem o tym, ale ona jest ranna. Nie chciałem ryzykować, żeby ją szybko pozbawił krwi, bo już i tak dużo jej straciła. Tamten jest jednym z jej osobistych strażników. To znaczy, że należy do elity. Musi być świetnym wojownikiem. Trzeba dorwać jakiegoś pomniejszego Gankanaga, takiego, który dopiero niedawno został przemieniony. Jeślibyśmy takiego dopadli i przegłodzili przez parę dni, ugryzłby wszystko, co byśmy mu podsunęli, nawet królową, której nie wolno mu dotknąć. Wtedy byłoby łatwo odciągnąć go od niej i zniszczyć, zanimby na dobre zdołał ją skrzywdzić. Ale musimy mieć pewność, że zdołamy jej dać krew i ochronić ją w czasie ucieczki.

– Jasne, ty nie możesz ich dotykać, a wydaje ci się, że ja bym temu śmierdzielowi sam nie dał rady – mówi Russell z ponurą miną, tłumacząc słowa Reeda na własny sposób.

Ani Russell, ani Reed nie mają na sobie zbroi chroniącej przed dotknięciem

Gankanagów. Wygląda na to, że zostali zaskoczeni i nie zdążyli jej założyć.

– Zee, czy oni nadchodzą? – Reed pyta Zefira, który jest w wieży niżej niż my.

– Jeszcze nie – odpowiada Zee spokojnym głosem. – Dam wam znać, kiedy dotrą do korytarza w Zachodniej Wieży.

– Russell, myślisz, że dałbyś teraz radę to zrobić? – pyta Reed. – Trzeba się z tym spieszyć. Wątpię, czy mamy czas. Brennus wie, że ona krwawi, i wie, że musi do niej dotrzeć, zanim zrobi to któryś z jego poddanych.

– Tak, jestem gotów. – Russell siada przede mną i zamyka oczy.

Obserwuję w milczeniu, jak z jego twarzy częściowo znika napięcie i pojawia się na niej wyraz spokoju. Nagle z ciała Russella wyłania się jego złocisty, błyszczący obraz i kieruje się w moją stronę. Obraz wnika w moje ciało i w głowie słyszę wyraźny głos swojego duchowego brata.

– Och, Ruda... cholera... Reed, ona potrzebuje jakichś środków przeciwbólowych, a poza tym może być rozluźnił bandaż na jej ramieniu. Całkiem odciąłeś jej krążenie.

Mam wrażenie, że słyszę głos Russella stereofonicznie.

Reed natychmiast rozluźnia opaskę i mówi:

– Przepraszam, kochana. Czy tak lepiej?

Tak, dziękuję – myślę.

– Mówi „tak, dziękuję”. – Russell przekazuje moje słowa Reedowi.

Więc słyszysz mnie, Russell, tak? – krzyczę w swojej głowie i czuję euforyczną radość.

– Tak, słyszę cię – mówi głośno Russell i się śmieje. – I czuję to, co ty.

Okej – myślę, a mój umysł płacze się, bo nie wiem, od czego zacząć opowieść o tym, co się ze mną dzieje. W głowie szybko przewijają mi się obrazy rozmaitych zdarzeń... Molly i Finn, Brennus i zebranie kolesi w sali, zbrojownia Gankanagów ze śpiewającą bronią, spotkanie z Casimirem i jego targi o mnie, przyjęcie klona Russella w chwili, gdy byłam w ramionach Brennusa, narada strategiczna z Brennusem i kolesiami, poranne chwile spędzone w łóżku obok Reeda, Brennus przy śniadaniu, atak Rozważnych. Obraz za obrazem przelatują przez mój umysł i czuję, że Russella wiele to

kosztuje. Ma bladą twarz, której wyraz świadczy o wielkim zdumieniu.

– Wykańczasz mnie, Ruda, zwolnij trochę – mruczy ze zbolałą miną.

– I co jest? – pyta przynaglająco Reed.

Russell kręci głową.

– Reed, jestem pewien, że nie chciałbyś usłyszeć nawet połowy tego, co ona mi opowiedziała – mówi Russell, marszcząc czoło. – Czy znasz Casimira? – pyta go.

Reed wydaje z siebie gniewny pomruk.

– Pojawił się tutaj? Wie, że tu jesteś? – pyta mnie Reed. Kładzie dłoń na moim czole i odgarnia z niego włosy.

Spojrzenie jego zielonych oczu jest pełne umęczenia i wiem, że muszę wyjaśnić, co tu się dzieje. Mówię Russellowi:

Przyszedł targować się o mnie, ale Brennus powiedział mu, że nie jestem na sprzedaż, za żadną cenę. Casimir go ostrzegł, że i tak będzie mnie musiał przekazać, i to właśnie jemu. Przypuszczam, że to on nasłał Rozważnych. Mieli tu przyjść, żeby przekazać Brennusowi ważne informacje, ale zamiast tego nas zaatakowali. Brennus sądzi, że Casimir nie cofnie się przed niczym, żeby mnie dostać w swoje ręce, bo nie chce, żebym stanowiła zagrożenie dla Upadłych. Ale nie rozumiemy jeszcze, dlaczego oni się czują tak zagrożeni przeze mnie.

Po chwili słyszę, jak Russell przekazuje Reedowi moje myśli słowo w słowo.

Reed marszczy czoło i pogrąża się w głębokim namyśle.

– Widzieliśmy dziś rano nadchodzących Rozważnych. Russell właśnie przygotowywał się, żeby wysłać ci swój klon. Patrzyliśmy z Russellem i Zee, jak pozostawiają na zewnątrz swoje cielesne powłoki. Robią tak tylko wtedy, gdy planują atak. Nie mogą długo przebywać poza powłokami, które są im potrzebne do życia, ale bez nich są zwinniejsi – tłumaczy Reed.

W jaki sposób ich zabiliście bez magii? – dziwię się.

– Chce wiedzieć, jak zabiliśmy tych, którzy byli w jej wieży – przekazuje Russell.

– Giną od światła słonecznego. Dlatego nadeszli przed wschodem słońca.

W dziennym świetle nie mogą w ogóle przebywać poza swoimi powłokami – wyjaśnia mi Reed.

Z kieszeni dzinsów wyciąga lusterko i ustawia je tak, żeby rzucało promienie słoneczne na moją twarz.

– Nie mieliśmy czasu założyć zbroi po tym, jak ich zobaczyliśmy. Musieliśmy zaryzykować.

To było głupie. Nigdy więcej tak nie ryzykujcie – myślę.

– Właśnie powiedziała, że jesteś głupi. – Russell się śmieje.

– Towarzystwo nadchodzi – woła z dołu Zee. – Właśnie weszli do Zachodniej Wieży.

– W porządku, Zee – rzuca Reed przez ramię. – Musisz teraz zabrać Russella i ruszyć. Za chwilę pójdę za wami.

– Kocham cię, Ruda – mówi głośno Russell, a jego słowa dźwięczą echem w mojej głowie.

Ja też cię kocham, Russell – odpowiadam z desperacją. – Proszę cię, powiedz Reedowi, że jego też kocham... i Zee, i Buns, i Brownie.

A potem mój umysł przekazuje Russellowi rzeczy, których nigdy nie wypowiedziałabym na głos, bo wiem, że nie wypada tego robić... Jakieś desperackie, błagalne słowa. Proszę go, żeby ze mną został, to znaczy, żeby skłonił Reeda do zostania ze mną, żeby nie odchodził i nie zostawiał mnie znów samej z tamtymi... Mówię mu, jak bardzo się boję, że Brennus zwycięży, a Casimir po mnie przyjdzie. A potem dzieje się rzecz najgorsza: moja dusza przemawia do niego, błagając go, żeby ze mną został... kochał mnie... nigdy mnie nie zostawiał.

Po chwili Russell otwiera oczy i łączność z nim ustaje. W jego wzroku, kiedy patrzymy na siebie z bliska, jest przeraźliwy ból. Który jest tak silny, że przewyższa wszystko, co dotychczas zdarzyło mi się widzieć w oczach Russella.

Zefir ląduje na podeście i podchodzi, żeby przy mnie uklęknąć. Całuje mnie delikatnie w policzek, potem odsuwa i czule patrzy mi w oczy, a w końcu mówi:

– Tęskniłem za tobą Evie. Wrócę po ciebie, przysięgam. Wytrzymaj jeszcze trochę. Bądź dzielna. Buns prosiła, żeby ci przekazać, że cię kocha i że

niedługo się zobaczycie. Brownie też.

Zefir odwraca się, żeby złapać Russella i aby obaj mogli wyfrunąć z wieży. Ale Russell się cofa. Kiedy Zee próbuje go złapać, Russell siłą odrywa od siebie jego rękę.

– Nie, ja zostaję tutaj. – Russell marszczy brwi i odpycha Zefira, który znów wyciąga ramiona w jego stronę.

Russell rozpościera skrzydła, tworząc łuk, a z jego gardła wydobywa się gniewny pomruk.

– Russell, nie bądź głupi, nie możesz tu zostać – odpowiada mu spokojnie Zefir, tak jakby mówił do dziecka.

– Ona mnie potrzebuje! Nie mogę jej tutaj tak zostawić samej! Zostaję – mówi w desperacji Russell.

Znów wyswobadza ramię z uścisku Zefira i warczy na niego.

– Wy wszyscy nic z tego nie rozumiecie. Ona jest przestraszona. Skrzywdzą ją, złamią! – tłumaczy i cofa się, by Zee nie był w stanie go złapać i wznieść się z nim w powietrze.

Zefir marszczy czoło.

– Russell, nie mamy wyboru – mówi. – Zabiją nas, jeśli tu zostaniemy. Nie mogę dopuścić do tego, żeby Gankanagowie mnie złapali. Gdybym został przemieniony, stałbym się śmiertelnie niebezpiecznym potworem. Mam obowiązek zadbać o to, żeby tak się nie stało, i mam też obowiązek dopilnować, żeby również z ciebie nie zrobili potwora. Musimy się zbierać. Nie chciałbym, żebyś mnie zmusił do użycia siły – tłumaczy Zee cichym głosem.

– Nie zostawię jej tutaj samej! – krzyczy Russell, akcentując słowa ruchami palca, którym mnie wskazuje.

Spod rzęs spływają mi łzy. Nie chciałam tego robić Russellowi. Nie mam pojęcia, jak ocenzurować to, co myślę, tak żeby nie miał do wszystkiego dostępu. Błaganie go, żeby ze mną został, jest skazywaniem go na męczarnie. Musi stąd odejść, zanim zjawi się Brennus. Jeśli zostanie, tym razem Brennus z całą pewnością go zabije, i może także Zefira oraz Reeda, jeśli tylko zdoła się do nich dostać.

Podskakuję, słysząc głośnie uderzenie w drzwi na dole. Czas, żeby już



znikali. Muszą się już zebrać!

– Przepraszam, Russell – mamrocze Zefir, po czym mocno uderza go w twarz.

Russell osuwa się nieprzytomny, a Zee bierze go w ramiona. Odwraca się do Reeda i mówi głosem, w którym słyhać groźbę:

– Wychodź zaraz po mnie. Nie kaź mi wracać po siebie.

Reed kiwa głową. Zefir wzbija się w powietrze, trzymając Russella w ramionach, i frunie w kierunku świetlików zamontowanych w dachu. Szkło pęka i Zee z Russellem wydostają się na zewnątrz przez dach.

Reed klęka, zagląda mi w oczy i szepcze:

– Będę cię obserwował. Mamy plan, jak zerwać kontrakt – mówi, a ja słyszę z dołu kolejne głośne uderzenie. – Przemycę dla ciebie trochę zwierzęcej krwi. Musisz znaleźć miejsca, w których mogłabyś ją przechować i szybko się do niej dostać, gdybyś została ugryziona, zanim zdołamy zrealizować nasz plan. Nie pozwolę, żeby on cię zdobył. Należysz do mnie. Jesteśmy jednością. Kocham cię, Evie – szepcze tuż przy moich wargach, a potem pociera ustami moje usta.

Odsuwa się ode mnie i patrzy mi w oczy. Staram się usilnie zapamiętać każdy szczegół jego twarzy i zachować to wspomnienie na potem, kiedy już go nie będzie.

– Tęsknię za twoim ciałem przytulonym do mojego i za twoim oddechem na mojej szyi, kiedy śpisz. Tęsknię za twoim głosem. Potrzebuję cię. Muszę iść, ale wrócę po ciebie. Przysięgam. A wtedy pokażę ci, że na świecie nadal istnieje piękno, a nie tylko rozpacz wypełniająca przyszłość... Przysięgam ci, że wrócę. – Kładzie dłonie na moich policzkach, a ja z bólu czuję ucisk w sercu. – Zanim pójdę, odbędę krótką rozmowę z twoim strażnikiem. Nie martw się o mnie. W żadnym wypadku nie pozwolę mu się dotknąć – stara się mnie uspokoić.

NIE! – bezgłośnie krzyczę do niego w swym umyśle. – To chore! myślę, ale jestem zupełnie bezradna: mogę tylko leżeć jak kamień.

BUM!! Drzwi do wieży otwierają się z hukiem, a mnie przerażenie zatyka dech w piersiach.

– Genevieve! – krzyczy Brennus od wejścia do wieży.

W jego głosie słyszeć panikę.

– Ona wciąż dochodzi do siebie. Byłoby lepiej, gdybyście ty i twój brat pozostali na dole – odpowiada spokojnie Reed, który stoi przy poręczu galerii położonej obok mojego pokoju.

Nieporuszoną głosem uprzejmego gospodarza Brennus zwraca się do brata:

– Patrz, Finn, jest tu aniołek. Nie pamiętam, że bym cię zapraszał, ale skoro już tu jesteś, może byś zszedł na dół, żebyśmy się mogli odpowiednio przywitać.

– Miałbym na to wielką ochotę, Brennus, ale na razie muszę odmówić. Kiedy stawką nie będzie już kontrakt Evie, mam nadzieję, że cię lepiej poznam. Wkręcę się wtedy jakoś do ciebie na przyjęcie.

– Nie musisz się wkręcać, przyślę ci zaproszenie – odpowiada Brennus.

Sądząc po głosie, jest bliżej, tak jakby szedł w stronę mojego pokoju i stał na galerii pierwszego piętra.

– Dostałem już od ciebie kilka zaproszeń. Nie były zbyt atrakcyjne – mówi Reed.

– Zauważyłem, że zabiłeś posłańców – odkrzykuje Brennus i po tych słowach orientuję się, że nasyłał koleś, żeby zabili Reeda. – Miałem nadzieję, że będziesz częściej wpadał, żeby przyjrzeć się moim przyjęciom. Bałem się, że odmówisz po tym, które wydałem dla ciebie w Chinach – mówi z uśmiechem w głosie.

– Musiałem wpaść na to przyjęcie niespodziankę, które wydali dla ciebie Rozważni. Czy za wszystko płacił Casimir? – pyta Reed głosem bez emocji.

– Pracujemy nad tym problemem – odpowiada Brennus, a jego głos dochodzi już z całkiem niedaleka. – Rozważny, który pchnął mnie nożem, chce wszystko opowiedzieć, chociaż sam jeszcze o tym nie wie. Kolesie nad nim pracują, żeby sobie wszystko przypomniał. Poinstruowałem ich, żeby go nie dotykali. Dzięki temu będzie się mógł trochę nacieszyć bólem, zanim dowiem się od niego wszystkiego, co chcę wiedzieć.

– Wydawałoby się, Brennus, że mamy wspólnego wroga – mówi cicho Reed.

– To prawda – potwierdza Brennus.

Teraz brzmi, jakby był już naprawdę blisko.

Serce głośno łomocze mi w piersi. Co ten Reed sobie myśli? Dopuszcza Brennusa tak blisko siebie!

– Jeśli chodzi o Casimira, potrzebujesz nas. Powiedz tylko, gdzie i kiedy – mówi Reed.

Brennus wchodzi po schodach i jest tuż przed Reedem, przy poręczy, lewitując w powietrzu. Wciąż ma na sobie ciemny garnitur, a w jego fryzurze każdy włos jest na miejscu. Ignoruje Reeda i nonszalancko dryfuje przed nami w powietrzu. Nagle nasze spojrzenia się spotykają. Nie jestem w stanie choćby usiąść na łóżku. Nie mogę nic zrobić, żeby ratować Reeda przed czarami Brennusa czy złością widoczną w jego spojrzeniu.

– A skąd ten pomysł, że mógłbym potrzebować twojej pomocy, aniołku? – pyta Brennus. Czuję, że obecna w pokoju energia przepływa, kierując się falami w jego stronę.

– Rany zadane mojemu aniołowi – odpowiada Reed, który stoi teraz do mnie plecami, między Brennusem a mną.

Nie mam pojęcia, co Reed zamierza zrobić. Wydaje się rozluźniony i skupiony. Obserwuje Brennusa wciąż leniwie dryfującego przed nami. Ja natomiast ze strachu czuję skurcze w płucach.

– Ona nie jest twoja. Nie byłeś dość potężny, żeby ją przy sobie utrzymać – odpowiada Brennus złośliwie, choć z pozoru przyjaźnie.

– Zwolnij ją z kontraktu i wtedy zobaczymy, z kim pójdzie – odpowiada Reed. – Królowa, którą uważasz za swoją, tak naprawdę należy do mnie. I zawsze będzie moja.

Brennus się uśmiecha.

– Jeśli jest twoja, to ją ze sobą zabierz – mówi miękko. – Aha... no prawda... nie możesz, bo ona oddała się mnie. Daj mi jeszcze kilka miesięcy i może ją uwolnię. Wtedy się przekonamy, czy masz rację – mówi Brennus, w najmniejszym stopniu nie sprawiając wrażenia przejętego.

– Za kilka miesięcy wszystkie twoje czary i zaklęcia będą nic niewarte – odpowiada Reed spokojnie. – Potrzebujesz naszej pomocy przeciwko Casimirowi. Evie wie, jak się z nami skontaktować. Przyjmij tę propozycję; ważna jest tak długo, jak długo obowiązuje kontrakt.

Brennus znów się uśmiecha, a zaraz potem zaczyna coś szeptać. Po chwili odprowadza ramię do tyłu, jak bejsbolowy miotacz na swoim stanowisku tuż przed rzutem, i ciska w kierunku Reeda coś pędzącego równie szybko jak kula z broni palnej. Moje serce na chwilę się zatrzymuje, ale Reed prawie nie zwraca na to uwagi, choć w połowie drogi między nim a Brennusem wyrasta nagle potężny niebieskoszary gargulec. Jego ostre białe kły ociekają śliną, a z gardła wydobywa mu się przerażający wrzask, od którego się cała trzęsę.

Podmuchy wiatru spowodowane ruchami nietoperzowych skrzydeł gargulca zwiewają włosy z mojej twarzy. W tym czasie potwór swoimi szponami próbuje dosięgnąć Reeda. Skrzydłami chce jednocześnie owinąć się wokół niego, ukrywając go przed moim wzrokiem.

Spod gargulca dobiega cichy, rozbawiony chichot: ciało stwora pokryte nalotem topi się w kontakcie z Reedem jak świeca i niegroźnie spływa w dół jak wosk uciekający od płonącego knota. Kiedy uświadamiam sobie, że zaklęcie Brennusa nie wyrządza Reedowi żadnej krzywdy, odzyskuję przynajmniej płytki oddech. Ale w ogóle czuję się fatalnie, gorzej niż po pierwszych ranach.

– Brennus, przecież wiesz, że twoja magia nie działa na anioły, więc po co się męczysz? – pyta zdumiony Reed. – To dlatego musiałeś skorzystać z pomocy Safiry, żeby nas zamroziła. Sam nie byłeś w stanie tego zrobić. Ale podobają mi się twoje sztuczki, na przykład tamta, której użyłeś w zamku. Wysłałeś swoich ludzi, żeby dopadli Evie. Miło, że oszczędziłeś nam wąchania swojego zapachu.

– Musiałem sprawdzić, czy nic się nie zmieniło. Sprawy nie układają się ostatnio zbyt dobrze dla aniołków. Chciałem się przekonać, czy wszyscy już potraciliście swoje przywileje i czy nie ma jakiegoś nowego gatunku, który ma was zastąpić – mówi Brennus, patrząc ponad Reedem w moją stronę. – Ale nie potrzebujemy już teraz magii, żeby was zabijać, skoro dysponujemy całą ludzką technologią. Wyrzutnie raketowe wydają się całkiem skuteczne na roje aniołów. A poza tym jest jeszcze moja skóra, z którą nie możesz sobie dać rady – kończy Brennus.

Magia Brennusa nie działa na anioły! Nigdy mi tego nie powiedział! Chociaż działa świetnie na inne istoty... na przykład na Rozważnych czy ifrity. Ale jeśli ta magia jest nieskuteczna wobec Reeda, może nie mieć wpływu

także na Casimira – myślę i czuję się bardziej bezbronna niż kiedykolwiek dotąd.

Oznacza to, że upadłe Serafyny nie muszą się specjalnie obawiać Gankanagów. Krzywdę robi im tylko ich dotyk, który jest groźny, ale Upadli dysponują sposobami, żeby z tym walczyć. Pamiętając, o ile szybszy był Reed w walce z Gankanagami w Chinach, nie mam wątpliwości, że Upadli są prawie tak samo dobrzy.

– Zaklęcia działają skutecznie na mojego półaniołka. – Brennus wskazuje na mnie. – Kontrakt nie pozwala jej nawet się do ciebie odezwać. Ciekaw jestem, czy magia, której ona się uczy, będzie skuteczna wobec wszystkich was, aniołków. Ona umie panować nie tylko nad niższą energią, ale nad czystą też. Ciekawie będzie zobaczyć, co ona potrafi z wami zdziałać, kiedy już przekaże jej całą swoją wiedzę – dodaje, przy czym minę ma taką, jakby już nie mógł się doczekać tego dnia.

– Chcesz jej użyć do zwalczania swoich wrogów? – pyta chłodno Reed.

– Chcę jej użyć do zwalczania jej wrogów. – Brennus zbliża się do Reeda, podchodząc do podestu. – Będzie bardzo skuteczna. Świat legnie u jej stóp.

– Myślisz, że ona tego właśnie pragnie?

– Chce być bezpieczna. Dzięki temu stanie się bezpieczna – odpowiada Brennus.

– Nie, dzięki temu stanie się jedynym celem, za którym będzie warto się uganiać – mówi Reed.

– Już jest takim celem... inaczej nie byłoby cię tutaj – ripostuje Brennus, stając na podeście przy moim pokoju i zmuszając Reeda, żeby się od niego odsunął.

– I tak bym tu był. Jestem tu, bo za każdym razem, kiedy ona się uśmiecha, mam wrażenie, że otwiera się Raj i oświetla mnie swoim światłem. Jestem tu, bo ona mnie kocha bez żadnych zastrzeżeń. Niczego nie ukrywa, wszystko mi oddaje, jakby oprócz mnie we wszechświecie nikogo nie było. Nie ma pojęcia, że jest istotą jedyną w swoim rodzaju – wyjaśnia Reed, przesuając się defensywnie na bok, w miarę jak Brennus zbliża się do mojego łóżka.

Brennus staje w końcu pomiędzy Reedem a mną. Serce mi się kraje, kiedy Reed zostaje właściwie ode mnie odepchnięty.

Brennus ziewa, jakby Reed go nudził, po czym okrywa mnie starannie prześcieradłem.

– Taka właśnie jest pierwsza miłość – mówi zmęczonym głosem. – Ale potem się dojrzewa i znajduje głębszą miłość, która została stworzona właśnie dla ciebie. Ona cię nigdy nie zapomni... swojej pierwszej miłości... Więc możesz z tego czerpać pewną pociechę, aniołku. Powinieneś już sobie pójść. Chciałbym z nią pomówić, a nie mogę tego zrobić, kiedy tu jesteś.

– Mam ją głęboko w sercu i we krwi. Nigdy nie przestanę o nią walczyć – zapowiada Reed, ale jego głos jest pełen bólu: słysząc w nim cierpienie związane z tym, że Brennus wciąż mnie dotyka, a on nie może temu zapobiec.

– W takim razie jeszcze się zobaczymy. – Brennus mówi trochę słabszym głosem niż poprzednio.

Siada przy mnie na łóżku i z czułością bierze mnie w ramiona. Reed wydaje z siebie groźny pomruk, ale nie zbliża się do nas. Walczy ze świadomością, że jeśli zrobi krzywdę Brennusowi, skrzywdzi także mnie.

– Reed – słyszę głos Zefira dobiegający skądś z tyłu.

Musiał pewnie wrócić przez świetlik w dachu.

– Pora się zbierać – wydaje polecenie autorytatywnym głosem, a jego jasnobrażowe skrzydła nieustannie trzepoczą tuż za poręczą galerii przylegającej do mojego pokoju.

Reed znów gniewnie mruczy. Klik! – Brennus wysuwa kły i czeka, co zrobią Reed z Zefirem.

– REED! – ostro krzyczy Zefir.

Wzdrygam się, gdy słyszę ten głos, bo Zee naprawdę potrafi brzmieć przeraźliwie, jeśli chce.

Reed bierze się w garść.

– Wróć tutaj, obiecuję ci, Evie – szepcze w moją stronę.

Wzbija się w powietrze, a Zefir podąża bezpośrednio za nim, pilnując, żeby Reed nie zmienił zdania i nie zawrócił w naszą stronę.

Kiedy tylko znika, nabieram głęboko powietrza, a potem od razu płacę za to wysoką cenę: przeszywający ból brzucha i ramion przypomina mi, że nie tylko serce mi krwawi.

– Och, Genevieve, przykro mi, dziewczyno, naprawdę – szepcze Brennus, którego usta niemal dotykają moich włosów, i mocniej przyciąga mnie ku sobie. – To się nie powinno było zdarzyć. Przegapiłem wszystkie sygnały. Byłem arogancki i bezmyślny. Od wieków nikt mnie nie zaatakował. Nie zabezpieczyłem się odpowiednio przed Rozważnym – przyznaje, głaszcząc mnie po włosach.

Przyciska mnie do swojej chłodnej piersi i kładzie się na poduszkach.

– Gdybyś nie wysłała do mnie Faolana... – zaczyna mówić, ale milknie.

Chłodna klatka piersiowa Brennusa przynosi ulgę mojemu bolącemu ramieniu, więc przyciskam się do niej mocniej.

– Myślę, Brenn, że od teraz potrzebujesz osobistej ochrony. Może to być Eion, ale chciałabym, żeby wrócił też Faolan – szepczę. – A jak się ma Lachlan? – pytam cicho, wspominając jego pierś pełną atramentowoczarnych strzał.

– Lachlan odszedł... nie zdołaliśmy go uratować – odpowiada Brennus, obejmując mnie mocniej.

– Co!?! – szepczę i czuję, jak zaciska mi się gardło, tak że znowu muszę walczyć o oddech.

Ta reakcja zaskakuje mnie samą. W jakiś sposób Lachlan zdołał stać się dla mnie kimś w rodzaju przyjaciela, nawet jeśli jego misja polegała na pilnowaniu, żebym się właściwie zachowywała. Wzbierają we mnie uczucia, których istnieniu do tej pory zaprzeczałam. Ogarnia mnie jednocześnie wściekłość i ból. Szepczę:

– Zabiję Casimira, przysięgam. Pomścimy Lachlana.

Łzy znów spływają mi po policzkach, mocząc marynarkę Brennusa.

– *Mo chroí*, jesteś jak piękny sen. Nie mogę uwierzyć, że ty naprawdę istniejesz – szepcze Brennus z twarzą przy moich włosach i głaszcze mnie po plecach, próbując uspokoić.

– Brenn – mówi Finn łagodnym głosem, stojąc na podeście przed nami. – Powinieneś się pożywić, żebyś mógł się wykurować. Zostanę z Genevieve, a ty się zajmij sobą. Nikt inny z koleśi tu nie przyjdzie. Declan i Molly pilnują drzwi. Teraz już jest bezpiecznie.

– Nie zostawię jej, póki się nie wyleczy – odpowiada Brennus, a ja

nieruchomieję na myśl, że jest w równie złym stanie jak ja.

Sięgam dłonią pod jego marynarkę i czuję zimną lepkość jego krwi sączącej się przez koszulę.

– Brenn, ona właśnie załatwiła z tuzin albo więcej Rozważnych, jakby byli papierowymi lalkami. Ostatnią rzeczą, o którą powinieneś się martwić, jest ochrona Genevieve. W każdym razie ona się nie wyleczy, póki ty nie będziesz zdrow, pamiętasz? – pyta go Finn z troską widoczną w bladozielonych oczach. – Ona tak samo staje się blada jak ty. Musisz coś zrobić, zanim się jej pogorszy.

– Więc przyprowadź tu jakąś dziewczynę. Nie zostawię jej samej. – Brennus wpatruje się w moją twarz. – Pospiesz się.

– Dobra – odpowiada Finn, patrząc, jak opieram policzek na torsie Brennusa i płaczę.

Daje sygnał Declanowi, który stoi w drzwiach, po czym odwraca się do mnie i mówi:

– Zaraz ci będzie lepiej, Genevieve. Kiedy tylko Brennus się pożywi, twój ból zelżeje.

– Nie, nie zelżeje. Zabili Lachlana – odpowiadam szeptem i w oczach Finna widzę zaskoczenie, że opłakuję swojego przyjaciela.

Staram się powstrzymać łkanie, chowając twarz w piersi Brennusa. Ocieram łzy w jego marynarkę i szepczę:

– Od tej chwili stosujemy srebrną zasadę: zabij ich wszystkich, zanim oni zabiją was.

– Nic nie sprawi mi większej przyjemności, *mo chroí* – szepcze Brennus z ustami tuż przy moich włosach.

– Musimy odnaleźć norę Casimira – mówię, ale czuję się słabo, bo straciłam dużo krwi.

– On cię sam niedługo odszuka – stwierdza Finn. – Poprzednio mu się nie udało, więc musi próbować jeszcze raz.

Zamykam oczy i mam w pamięci twarz Casimira. Czuję się zamulona, mam wrażenie, że zapadam w letarg. Wydaje mi się, że gdzieś dryfuję, odpływam od bezpiecznego domu i nie mam się już czego przytrzymać.



Jakby w odpowiedzi na moje modlitwy Brennus szepcze:

– Trzymaj się mnie. Jestem tu.

Jego palec wędruje po moim policzku, a potem Brennus mocno mnie przyciska. Ból w ramieniu i w brzuchu na zmianę staje się albo ostro kłujący, albo przytępiony.

– Kto to jest, mój kochanku? – Powietrze przeszywa kobiecy głos o oskarżycielskiej nucie, dobiegający z korytarza prowadzącego do mojej sypialni.

Otwieram nieznacznie oczy i usiłuję podnieść głowę, ale widoczny obraz rozpląwa się, a głowa bezwolnie opada mi z powrotem na pierś Brennusa.

– Dlaczego ona dotyka cię swoimi rękami? Czy nie wie, że należysz do mnie? – pyta skąpo ubrana kobieta, która szybkim krokiem podchodzi do łóżka.

Ręka Brennusa unosi się do jej policzka. Opryskliwe zachowanie kobiety zastępuje głupkowaty uśmiezek.

– Tęskniłam za tobą... mój kochanku.

Pochyla się do przodu, żeby pocałować usta Brennusa. Jej ciemne włosy opadają przy tym na mnie.

– Od rana się ze mną nie kochałeś. Gdzieś ty się ukrywał?

To musi być piekło – myślę oszołomiona, widząc, jak Brennus zatapia kły w ciele dziewczyny, którą ma u boku.

Ta w ekstazie wypuszcza powietrze, a po kilku minutach wysuwa się z ramion Brennusa i opada na podłogę, gdzie leży bez ruchu.

Brennus przyciska mnie mocniej i mówi:

– Teraz już będzie dobrze, Genevieve. Odpoczywaj, *mo shíorgrá*. – Zdezorientowana chwytam się tych ostatnich słów, bo teraz już wiem, co znaczą. Brennus właśnie powiedział „Odpoczywaj, moja wieczna miłości”, a ja nie jestem w stanie zrobić nic innego, tylko go posłuchać.

## Rozdział 19

# Dziewiętnastka

Budzę się w pokoju Brennusa, ale na podstawie światła wpadającego przez okno nie potrafię powiedzieć, która jest godzina. Wszystko jest bowiem szare. Przesuwam palcami po kocu, a jednocześnie czuję obok siebie zimne ciało, wokół którego gromadzi się lodowate powietrze. Przed oczyma stają mi wspomnienia minionych zdarzeń. Wzdycham cicho i próbuję usiąść w łóżku, a wtedy Molly siada po turecku obok mnie.

Śmieje się i odkłada pismo poświęcone modzie.

– Jak się czujesz? Lepiej niż wtedy, gdy piłyśmy tę brzoskwiniową wódkę?  
– pyta i z wyrazem troski przygląda mi się badawczo.

– Hm... Nie jestem pewna. Daj mi chwilę. – Staram się poruszyć, ale czuję się zeszywniała.

W barku wciąż dokucza mi wyraźny ból, ale nie tak silny jak przedtem. Z brzuchem też lepiej, choć jeszcze jest napięty i obolały.

– Lepiej – mówię i odpycham się rękami, żeby przyjąć pozycję siedzącą.

– A lepiej czy gorzej niż w czasie zjeżdżania na tacach ze stołówki?

– Gorzej – odpowiadam zdecydowanie, krzywiąc się trochę na wspomnienie naszych szkolnych eskapad.

– Gorzej niż z tacami? – upewnia się Molly. – No to fatalnie, bo te tace były naprawdę do bani. Pamiętasz, jak moja się złamała w pół? Chyba ciągle mam kawałek w łydce. – Prostuje nogę i opuszcza podkolanówki, żebym mogła zobaczyć to miejsce.

Molly ma na sobie seksowny punkowy strój: krótką plisowaną spódnicę,

obcisły top, podkolanówki i martensy.

Jej skóra wygląda idealnie, jakby nigdy w życiu nie obtarła sobie nawet kolana.

– Wszystko dzieje się w głowie, Molly – odpowiadam, nie widząc żadnej blizny na bladej skórze. – Gdzie są wszyscy? – pytam, bo wokół mnie panuje cisza jak w kostnicy.

– To miejsce jest teraz pod pełną kontrolą, bardziej niż na lotniskach. Za każdym razem, kiedy próbuję do ciebie dotrzeć, czuję się jak terrorystka. Finn zachowuje się, jakby był moim rodzicem. Nie mogę wyjść bez jego pozwolenia, a jak już wychodzę, wszędzie towarzyszy mi pięciu albo sześciu koleś. Straszny obciach – skarży się z nadąsaną miną i krzyżuje ramiona.

– Witaj w moim świecie – mruczę.

– No wiem, wiem. – Robi gest, który ma znaczyć „a ty znowu swoje”. – Zupełnie jakbyśmy były uwięzione. Mogłabym mieć o tyle więcej radości i korzystać z tego, że jestem żywa – jęczy, a ja staram się nie roześmiać, słysząc te słowa. – Och, coś cię ominęło! Musiałam to zachować dla ciebie, bo to jest takie zabawne! Brennus mało nie zwariował, kiedy to zobaczył. Chyba lubię twoich nowych znajomych, Eaves! Przyjrzyj się temu!

Molly zeskakuje z łóżka i podchodzi do drzwi sypialni. Uchyła je i sprawdza, czy nikt nie nadchodzi. Cichutko zamyka je z powrotem i podchodzi do szafy, z której wyjmuje złożoną ramę – to ta sama, w którą był oprawiony mój „portret bogini”.

Ktoś wyciął z niej obraz i zastąpił go takim samym rysunkiem uśmiechniętej buźki jak ten, który zostawiłyśmy w budynku Delt. Obok buźki widać pięść z wysuniętym środkowym palcem i napis „MIŁEGO DNIA”. Pod nim rozpoznałem odręczny dopisek Buns zrobiony jasnoczerwoną szminką: „Kochamy cię, skarbie, do zobaczenia niebawem”.

Łzy napływają mi do oczu i jednocześnie zaczynam się śmiać.

– Doskonałe – mruczę. – To Buns i Brownie. Mają cudowne poczucie humoru.

– Na pewno są niezłymi kleptomankami, bo ukradły wszystkie zdjęcia z twojego archiwum. To był sabotaż. – Uśmiecha się znacząco, wyraźnie rozbawiona bałaganem.

– Tak, to do nich podobne – odpowiadam, nie mogąc ukryć uśmiechu na twarzy. – Jak długo spałam?

Rozczesuję palcami splątane włosy. Patrzę znów w okno: jest szaro i pada deszcz.

– Nie jestem pewna... dobrą chwilę... prawie cały dzień. Akurat rozminęłaś się z Brennusem. Był tu z tobą prawie przez cały czas, ale w końcu musiał się zająć swoimi sprawami – mówi Molly. – Wiesz, to musi być trudne, jak się jest władcą w imperium zła. Wszyscy chcą z nim rozmawiać. Musiał pozmieniać wszystkie plany. Byliśmy już przygotowani do twojego wielkiego przyjęcia urodzinowego. To miała być niespodzianka. A teraz wszyscy muszą się pakować i przygotowywać do przenosin. Więc równie dobrze mogę ci od razu wręczyć prezent ode mnie.

Molly rzuca w moją stronę małą zawiniętą w papier paczuszkę. Pudełko ląduje na moich nogach, a ja tępo się w nie wpatruję.

– Co to takiego? – pytam.

– Wszystkiego najlepszego, Eaves – śmieje się Molly, przyglądając mi się i obejmując jeden z wysokich słupków przy łóżku.

– Wyjeżdżamy? – dopytuję, wyłapując z jej słów najistotniejszą dla mnie informację.

Molly kiwa głową.

– Tak, niedługo. Chyba odbędzie się ceremonia pożegnania Lachlana, a potem wyruszamy – mówi nonszalancko. Przyglądając mi się, czeka, aż otworzę prezent.

– Lachlan – wzdycham, gdy sobie przypominam, jak padał na ziemię naszpikowany strzałami.

Do oczu natychmiast napływają mi łzy.

Molly wzrusza ramionami.

– Urządzają mu jakiś rodzaj pogrzebu. Z tego, co mówił mi Finn, ma to przypominać ceremonię z czasów króla Artura albo wikingów. Rozpalą stos pogrzebowy. To rytuał wrózek.

– Kiedy? – pytam.

– Dziś, zanim ruszymy – odpowiada Molly. – Dobrze się czujesz? Znowu

zbladłaś. Chcesz coś jeść? – pyta mnie z zatroskaną miną.

– Nie, wszystko w porządku – kłamię z cieniem uśmiechu na ustach.

– Nie otworzysz go? – zachęca mnie Molly, widząc, jak znieruchomiałam na łóżku. – Dziewiętnastka. Założę się, że rok temu nie wyobrażałaś sobie, że tu będziesz. – Wyciąga do mnie ramiona z dłońmi zwróconymi ku górze. – Dziewiętnastka... średniowieczny zamek... przyjaciele ożywieńcy...

– No, tak... Niespodzianka, prawda? – potwierdzam słabym głosem i z tępą miną odwijam srebrny papier.

Rozpakowuję prezent i podnoszę wieczko małego pudełeczka. Odkładam na bok bibułę i znów muszę powstrzymać napływające do oczu łzy. Opuszkami palców delikatnie dotykam cennego, krwistoczerwonego kamienia w kształcie tarczy w platynowej oprawie. Obok czerwonego diamentu na tym samym łańcuszku zawieszony jest szkolny sygnet wuja Jima, który na poprzednią gwiazdkę podarowałam Reedowi.

– Jak to? – pytam zadyszonym głosem.

– To przyszło razem z wszystkimi twoimi rzeczami. Znalazłam to, kiedy szukałam przedmiotów do twojego pokoju. Bałam się, że Brennus nie pozwoli ci ich oddać, bo wiadomo, że dostałaś ten naszyjnik od Reeda. Jest wart fortunę, nie zdołałabyś go sobie kupić sama. A potem, w zeszłym roku, posłałam ci na gwiazdkę sygnet twojego wuja, pamiętasz? Mówiłaś, że masz kogoś, komu chciałabyś go podarować. Dodałam dwa do dwóch i wyszło mi cztery. – Uśmiecha się.

– Nie rozumiem. Sądziłam, że... – milknę.

Molly unosi jedną brew.

– Och, myślałaś, że jestem jedną z nich – mówi. – No cóż, jestem i nie jestem. Nie jestem wróżką, więc raczej kimś na kształt wampira, bo kiedyś byłam człowiekiem, a nie duchem. Widziałaś, jakie jest ich zdanie o wampirach – dodaje Molly, przewracając oczyma. – Ale ponieważ jestem wampirem Finna, traktują mnie jak maskotkę... ale nie kogoś równego.

– Więc twierdzisz, że skoro nie jesteś jedną z nich, to masz swobodę i możesz robić, co chcesz? – pytam, widząc błysk w oczach Molly.

– Tak jest – mówi zupełnie jak jeden z koleśi. – Jestem niezależną wyspą, ludzkim Gankanagiem. Powiedz tylko słowo, a dostaniesz ode mnie darmową

przepustkę na wyjście z więzienia.

– Co? – pytam i gwałtownie wydycham powietrze.

– To, co słyszysz. Muszę ci więcej tłumaczyć? – pyta i robi przy tym udawaną groźną minę oraz wysuwa kły z głośnym kliknięciem. – Wyglądasz na smaczny kasek, ale obiecuję, że tylko cię lekko nadgryzę.

– Molly, zabiją cię, jeśli złamiesz kontrakt – szepczę pełna obaw o przyjaciółkę.

Spoglądam na drzwi, żeby się upewnić, czy nikt nas nie słucha.

– Próbowaliby – odpowiada szczerze, a jednocześnie kieruje w moją stronę zuchwały uśmiech, który zawsze towarzyszy aroganckim zachowaniom Gankanagów.

Molly chowa kły.

– Nie ma mowy – mówię, potrząsając głową. – W ogóle nie powinnaś się nad tym zastanawiać – dodaję.

Boję się głośnego wypowiedziania takich słów. Jeśli ktoś ją usłyszy, będzie załatwiona.

– Ty prawie umarłaś... i to naprawdę. Nie stałabyś się szczęśliwym ożywieńcem, ale byłabyś martwa i pogrzebana – szepcze Molly. – A nawet nie byłaś głównym celem. Chodziło o Brennusa. Jak zamierzasz się bronić przed czymś takim? Finn powiedział, że Upadli wrócą po ciebie albo Brennusa, bo to w gruncie rzeczy obojętne. Jeśli upolują jedno z was, padniecie oboje. Więc chcę po prostu zwiększyć twoje szanse. Finn twierdzi, że dadzą sobie radę z zagrożeniami, ale jak widziałam tych Rozważnych... – Molly wzdyga się z nieco znękaną miną.

– Nie dasz rady mi pomóc – mówię i ściskam w dłoni prezent od niej. – Ale nigdy nie zapomnę, że mi to zaproponowałaś.

Wypełzam spod koca i przesuwam się w drugi koniec łóżka. Przytulam Molly stojącą wciąż koło słupka.

– I nigdy nie zapomnę twojego podarunku.

– Należysz do mojej rodziny – szepcze Molly, a ja kiwam głową niezdolna do jakiegokolwiek odpowiedzi, bo wzruszenie ściska mi gardło. – Ty i Finn.

– Kocham cię... Nawet jeśli jesteś wampirem – szepczę.

Molly śmieje się cicho z mojego żartu.

– Ja też cię kocham... Nawet jeśli jesteś mieszańcem – szepcze w odpowiedzi.

– Kiedy będzie pogrzeb Lachlana? – Cofam się na poprzednie miejsce na łóżku i prawie nic nie widzę przez łyż.

– Niedługo. Masz zamiar iść? – pyta Molly. – Wszyscy się spodziewają, że cię nie będzie z powodu ran. Bardzo długo ci się goją – droczy się ze mną.

– No tak, musiałam zaczekać na Brennusa, żeby jemu się polepszyło, zanim mogłam zacząć się leczyć. Mogę się poruszać tak szybko jak to, co jedzie przede mną – odpowiadam sztucznie defensywnym tonem. – Muszę iść na ten pogrzeb. On był moim... osobistym strażnikiem... przyjacielem – mówię i przełykam ślinę, pokonując ucisk w gardle.

– No dobra. Pójdę z tobą. Przygotuj się i spotkamy się tutaj. Załóż płaszcz. Kazałam go przerobić, tak żeby mieściły się pod nim twoje skrzydła. Uroczystość odbędzie się na dworze, koło klifu – informuje mnie Molly. – Ciągle ci zimno, prawda?

Kiwam głową.

– A tobie? – pytam.

– Nie bardzo – odpowiada, kręcąc głową. – Czy trzeba się elegancko ubrać?

– Założę się, że inni nie przyjdą w dzinsach i butach do treningu – odpowiadam.

Od czasu, kiedy przybyłam do zamku, ciągle widzę Gankanagów w szytych na miarę garniturach i innych eleganckich strojach. Kiedy rezydowali na Górnym Półwyspie w stanie Michigan, ubierali się skromniej, ale chyba chodziło o wtopienie się w miejscową ludność.

– Wiesz, Eaves, nie zakładaj prezentu, który ci dałam – ostrzega mnie Molly i kieruje się do drzwi. – Mógłby się wkurzyć.

– Tak sądzisz? – pytam z sarkazmem w głosie i słyszę, jak moja przyjaciółka chichocze, wychodząc z pokoju.

Podchodzę do szafy, wydaję jedwabną suknię i zakładam ją na siebie. Naszyjnik i sygnet, które dała mi Molly, wsuwam w jeden z butów stojących

w szafie. Idę do zewnętrznych drzwi prowadzących do holu, gdzie czekają na mnie Declan oraz grupka innych nieznanymi mi Gankanagów.

Zdziwiona, że jest ich tylu, staram się odzyskać spokój i zwracam się do Declana:

– Potrzebuję twojej pomocy, Dec.

W jego spojrzeniu jest zaskoczenie. Declan spogląda na Faolana, a potem odpycha się od ściany, o którą był oparty. Otwieram szeroko drzwi i czekam, aż wejdzie do salonu. Zostawiamy drzwi otwarte i siadamy w stojących naprzeciwko siebie fotelach.

– Chcę pójść na ceremonię ku czci Lachlana, ale nie wiem, co mam założyć i co zrobić, żeby okazać mu szacunek – wyjaśniam. – Mógłbyś mi pomóc?

– Dlaczego chcesz iść? – pyta ze zdumioną miną.

– Bo był moim przyjacielem... bo to przeze mnie zamordowali go Rozważni. – Odwracam wzrok i czuję, jak łzy napływają mi do oczu.

Zaciskam zęby i za wszelką cenę staram się powstrzymać od płaczu.

– To nie była twoja wina, dziewczyno. Wszystkim nam pomogłaś. Gdybyś się nie domyśliła, co się dzieje, przeszlibyśmy przez te drzwi – mówi Declan łagodnym tonem.

– Oni tam byli z mojego powodu. – Patrzę mu w oczy.

– A ty się nimi zajęłaś, prawda? – mówi z wyrazem podziwu i szacunku na twarzy.

– Tak, zajęłam się – odpowiadam, a Declan się uśmiecha. – Więc pomożesz mi? – pytam raz jeszcze.

– Pomogę – odpowiada. – Weź prysznic i załóż ładną suknię. Potem spotkajmy się tutaj i przygotuję cię do uroczystości. Zamówię też coś do jedzenia. Wciąż jesteś blada.

– No proszę, i kto to mówi? – drocę się z nim zmęczonym głosem, a potem wstaję z fotela, żeby zrobić to, co mi zalecił.

Biorę prysznic i zakładam elegancką czarną sukienkę, która pozwala mi chodzić z wypuszczonymi na zewnątrz skrzydłami. Znajduję w szafie pasujący do niej płaszcz i odruchowo wyciągam z buta naszyjnik i sygnet, które dostałam od Molly. Wkładam je do kieszeni płaszcza.



Kładę płaszcz na oparciu krzesła w salonie, po czym zagłębiam się w fotelu naprzeciw Declana. Na stoliku obok nas stoi przyniesiony przez niego słoiczek z atramentowoczną cieczą przypominającą hennę. W cieczy zanurzone jest drewniane narzędzie wyglądające jak piórko.

Declan bierze je do ręki i mówi:

– To jest historia życia Lachlana, jego śmierci, jego odrodzenia jako Gankanaga i jego ostatniej bitwy.

Za pomocą piórka Declan zaczyna rysować na mojej twarzy linie, od czasu do czasu przerywając tę czynność, żeby nabrać kolejną porcję tuszu.

– Zrobilibyśmy to z żoną, matką i siostrą zabitego wojownika, żeby ich łzy zmyły ból przerwane go życia i oczyściły go, by mógł rozpocząć nowe życie.

– To jest rytuał wrózek, a nie Gankanagów, prawda? – pytam.

– Tak, wrózek – odpowiada, a ja staram się nie popłakać i nie zniszczyć tego, co już zostało narysowane.

Naniesienie wszystkich symboli zajmuje dużo czasu. Kiedy Declan kończy, podsuwa mi lustro, żebym zobaczyła, co zrobił. Moja twarz przywołuje na myśl skomplikowaną płataninę przecinających się linii i symboli przypominających runy. Wyglądam, jakby moja skóra miała dodatkową fakturę, która kojarzy się z pogaństwem i innymi światami. Linie biegną w dół po mojej szyi i dalej wzdłuż ramion i rąk.

– Jesteś gotowa? – pyta Declan, a ja kiwam głową i przełykam ostatnie kęsy jedzenia, które dla mnie zamówił. – Więc powinniśmy zejść na dół. Stamtąd wyruszy procesja na klif.

– Mam zaczekać na Molly – odpowiadam.

– Wyślę kogoś po nią – mówi Declan.

Wychodzimy na korytarz i Declan spokojnie rozmawia z jednym z koleś. Reszta przygląda mi się, jakbym była przybyszem z innej planety. Wierząc się trochę, zaczynam ich liczyć. Dostrzegam piętnastu. Niektórych rozpoznaję: Torina, Gobana, Niniana, Faolana, Lonana, Alastara i Cavana.

– Faolan. – Nawiązuję z nim kontakt wzrokowy i staram się nie rozkleić. – Dziękuję – mamrocze prawie szeptem.

Brennus powiedział mi, że Faolan wsparł go w walce z Rozważnymi

i uratował nam życie.

Faolan kiwa głową i wygląda na zadowolonego.

– Gdzie jest Eion? – pytam Declana.

– Od teraz będzie pilnował Brennusa – odpowiada Declan szorstko, tak jakby aprobował zarządzone zmiany. – Powinniśmy już iść.

Podążam za Declanem wśród całej chmary kolesi. Kierujemy się w stronę drzwi wejściowych. Kiedy wychodzę na zewnątrz, czuję na policzkach rześkie i wilgotne powietrze. Zakładam płaszcz i mocno obwiązuję się paskiem. Molly podchodzi do mnie i szepcze mi do ucha:

– Ładne tatuaże, mieszańcu.

– Zazdrościsz mi, wampirzyco? – pytam z lekkim uśmiechem, słysząc, jak Molly tłumi chichot.

– Patrz, znalazłam to dla ciebie, gdy szłam przez hol. Dostarczono to dziś rano. – Wręcza mi kolejne ładnie zawinięte pudełeczko.

– Co to jest? – Spoglądam na małą krwistoczerwoną paczuszkę z kokardką, przypominającą moje anielskie skrzydła.

Molly wzrusza ramionami.

– Jeszcze jeden prezent urodzinowy. Sprawdzili go. Nie słysząc tykania – mówi, śmiejąc się.

– Od kogo? – mamroczę.

Molly marszczy czoło.

– Nie wiem. Może w środku jest jakaś karteczka, ale na pewno jest dla ciebie. Spójrz na skrzydła – odpowiada. – Otwórz.

Rozwiązuję wstążkę i podnoszę wieczko pudełka. Sięgam do środka i wyciągam dużą złotą puderniczkę. Kiedy czuję w dłoni zimny metal, serce zaczyna mi mocniej bić w piersi. Na wieczku puderniczki są anielskie skrzydła wysadzane rubinami. To cudowne... cudownie złe... jak koń trojański.

– Aha, coś do makijażu. Ale czad! – mówi Molly na widok prezentu. Wyjmuje mi pudełeczko z rąk, a ja zostaję z puderniczką i tępo się jej przyglądam.

– Nie ma żadnej karteczki – mówi Molly. – To prawdopodobnie od Brennusa. Może powinniśmy odłożyć to z powrotem do pudełka, żeby mógł ci

oficjalnie wręczyć podarunek.

– To nie jest od Brennusa. – Wkładam puderniczkę do kieszeni płaszcza i czuję, że robię się blada. – Nie chodzi o makijaż. Chodzi o lustro.

– O, jakie fajne. – Molly śmieje się i rozgląda nieobecny wzrokiem za jakimś miejscem, w którym mogłaby odłożyć pudełko. W końcu utyka je za wystającym z muru gargulcem.

Wkładam ręce do kieszeni i wyczuwam prezent od aniołów. W prawej dłoni trzymam naszyjnik od Reeda. W lewej czuję gładkie złoto puderniczki od Casimira; wiem, że jest to kanał komunikacyjny, przez który zawsze mogę nawiązać z nim kontakt – wystarczy, że odemknę wieczko i pozwolę Casimirowi przejść do mnie.

– *Mo chroí* – szepcze Brennus blisko mojego ucha, a ja podskakuję zaskoczona.

Odwracam się, żeby na niego spojrzeć. Moje serce przyspiesza – nie tylko ze strachu. Brennus wygląda jak blady grecki bóg, który zstąpił z góry Olimp, aby obdarzyć nas łaską swojej obecności. Na głowie ma złotą koronę, która przypomina wieniec laurowy. Ten złoty kolor w zestawieniu z jego czarnymi włosami wygląda urzekająco; mam ochotę wyciągnąć rękę i go dotknąć.

– Co ty tu robisz? – pyta z troską w głosie. – Powinnaś odpoczywać. Odprowadzę cię z powrotem na górę.

– Nie. – Cofam się o krok, kiedy próbuje mnie zawrócić do wnętrza wieży. – Muszę iść... pożegnać się z Lachlanem. Proszę... – mówię błagalnym tonem niemalże w stanie desperacji.

Nie umiem mu nawet wytłumaczyć, dlaczego to dla mnie takie ważne. Moje emocje są chaotyczne, czuję napięcie. Jestem wycieńczona. Brennus chyba to wyczuwa, bo bierze mnie w ramiona i mocno przytula.

– To wielki zaszczyt dla Lachlana, że nosisz na sobie opowieść o nim. Jesteś jego królową i to znak wielkiego szacunku, że opłakujesz jego utratę – mówi Brennus, pocierając moje plecy pod skrzydłami. Znow muszę powstrzymać łzy, więc tylko kiwam głową na potwierdzenie tego, co do mnie mówi.

– Pójdiesz ze mną aż do klifu? – pyta Brennus, a ja znow kiwam głową. Spoglądam na jego twarz i zaskakuje mnie zdobiący ją promienny uśmiech.

Wygląda na w pełni szczęśliwego, a ja czuję się dezorientowana, bo przecież wybieramy się na pogrzeb.

Gdy tak idziemy razem w kierunku klifu i morza, ramiona Brennusa mocniej mnie obejmują. Otaczają nas kolesie, którzy idą w odległości świadczącej o szacunku, ale tworzą barierę, dzięki której mamy poczucie, że jesteśmy dobrze chronieni. Wzdłuż drogi na klif w równych odstępach rozstawieni są Gankanagowie z bronią maszynową i ręcznymi wyrzutniami raketowymi. Przypominają wszystkim, że zarówno ja, jak i osoby osłaniające mnie narażeni jesteśmy na śmiertelne zagrożenia.

Zbliżając się do klifu, po raz pierwszy dostrzegam Lachlana. Leży na ołtarzu usypanym z oderwanych od skały kamieni. Ubrano go w starą srebrzystą zbroję, a w dłoń włożono tę samą romboidalnie zakończoną włócznię, którą trzymałam razem z nim w sali zbrojowni. Gardło natychmiast mi się zaciska, a z oczu zaczynają płynąć łzy.

Uścisk Brennusa jeszcze się wzmacnia.

– Umarł dobrą śmiercią, *mo chroí*. Był wojownikiem i zginął w walce. My wszyscy o to prosimy. – Brennus przyciąga mnie jeszcze bliżej do swojego boku.

Wiem, że na ołtarzu leży Lachlan, ale w tej właśnie chwili przychodzą mi na myśl obrazy wujka Jima i jego cierpienia. W jaki sposób Alfred go zabił? Czy to się odbyło powoli? Czy wuj próbował walczyć swoim słabym ludzkim ciałem? – przez głowę przelatują mi te pytania, a towarzyszą im obrazy okropieństw, które mogły się zdarzyć.

Zatrzymujemy się przy zwalonym głazie. Brennus ściska mnie, a potem puszcza i podchodzi do głazu. Zaczyna mówić w innym języku, brzmiącym inaczej niż ten, który do tej pory słyszałam z ust Gankanagów. Musi to być język wrózek. Brzmi łagodnie i melodyjnie, jak szmer wody spływającej spokojnie po skale. Ale z trudnością skupiam się na brzmieniu głosu Brennusa. Moje myśli są daleko: w domu wuja Jima, w noc, kiedy umarł.

Czy Alfred przyszedł do niego sam, czy przyprowadził innych, żeby pomogli mu torturować wuja Jima? Czy powiedział mu, dlaczego go zabija – że to przeze mnie? Czy wuj wiedział, że umiera zamiast mnie? Czy wzywał na pomoc kogoś, kto mógłby go uratować? – zastanawiam się nad tym wszystkim i czuję, jak łzy spływają mi po policzkach.

Wciąż widzę przed oczami ponure obrazy związane ze śmiercią wuja Jima, które podsuwa mi wyobraźnia. Kręci mi się od nich w głowie, zaczynam odczuwać mdłości. Ból jest jeszcze ostrzejszy niż ten, który czuję po niedawnych pchnięciach nożem. Unoszę ku twarzy drżącą rękę i obcieram łzy.

Znów kieruję wzrok na Lachlana. Wiem, że i jego krew mam na rękach. Casimir wysłał po mnie Rozważnych. I to on też nasłał Alfreda. Czuję, że coś w moim wnętrzu pęka, jakby między moje serce a duszę wcisnął się jakiś cień. Jest tam ciemne miejsce wypełnione tęsknotą i potrzebą zemsty. Pragnę zobaczyć Casimira, jak cierpi od brutalnie zadawanego bólu. Bez żadnej litości. Żadnej.

Kiedy Brennus kończy mówić, do zgromadzonych zwraca się Finn. Przemawia krótko, a potem spogląda na Faolana stojącego u boku Molly. Faolan zaczyna przemowę, a potem procesja obchodzi leżący na ziemi głąz. Każdy z Gankanagów coś przy tym mówi. Stojąc blisko Brennusa, czuję się odseparowana od reszty zgromadzenia, bo nie wiem, co mówią poszczególni kolesie. Wciąż bowiem posługują się językiem, którego nie rozumiem.

Declan, stojący blisko mnie, też kończy wkrótce swoją przemowę i wszyscy przenoszą wzrok na mnie. Brennus nachyla się do mnie i pyta:

– Czy chciałabyś coś powiedzieć zgromadzonym, zanim przejdziemy do następnej części?

Zastanawiam się przez chwilę. Wpatruję się w twarz Lachlana i wspominam, jak spędzał z nami czas w wieży, jak grał w karty i uczył mnie oszukiwania, tak żeby nie dać nic po sobie poznać. Albo jak opowiadał o pierwszych próbach zaczarowania wiatru, podczas których wyrwał drzwi w domu rodziców. Przypominam sobie, jak w trakcie strategicznych narad uczył mnie alternatywnego podejścia do problemów. Czy jak stał obok mnie i starał się mnie ochronić przed bezwzględnymi cienistymi istotami, pragnącymi przechwycić od innych różne części ciała... Nie ma go już... i nie wróci.

Ocierając łzy, które wciąż kapią mi z oczu, mówię cichym głosem:

– Nie wiem, co jest trudniejsze: iść samemu ku nieznanemu celowi, czy zostać z tyłu i patrzeć, jak ci, których kochamy, odchodzą. Ci z nas, którzy musieli zostać z tyłu, wiedzą, że jest to rana, która nigdy się nie goi... Wciąż krwawi, wciąż piecze wewnętrznym bólem.

Przeszywa mnie dreszcz bólu, bo znów myślę o wujku Jimie.

– Straciliśmy kogoś, kto nie może zostać zastąpiony. Nie ma nikogo takiego jak Lachlan. Był jedyny w swoim rodzaju... niepowtarzalny. Mam nadzieję, że gdziekolwiek przyjdzie mu teraz podróżować, spotka kogoś, kto zaprowadzi go do domu – szepczę, czując znów, że zaciska mi się gardło.

Nabieram głęboko powietrza i ciągnę dalej:

– Skoro musimy pozwolić mu odejść i boleć nad nim wewnątrz... pragnę zapłaty. Pragnę kary, która też przyjmie postać bólu... Chcę zemsty i doczekam jej. Przyrzekam ci to, Lachlanie – kończę.

Klik, klik, klik, klik, klik, klik – moje wołanie o zemstę spowodowało instynktowną reakcję koleśki. Ignoruję ich skupiona na własnym pragnieniu zemsty. Staję obok Lachlana i wyciągam rękę, żeby dotknąć włóczni, którą ma w dłoniach. Broń zaczyna śpiewać swoją cichą kołysankę. Ledwo można ją odróżnić od rytmicznego odgłosu kołysania morza, który dochodzi spod klifu, ale jednak słyszę ją, podobnie jak i inni stojący najbliżej Lachlana. Po paru chwilach cofam rękę i puszczam włócznię. Odchodzę od Lachlana i staję znów u boku Brennusa. Patrzy na mnie łagodnym wzrokiem, jakby dostał ode mnie najwspanialszy podarunek.

Brennus obejmuje mnie. Pochyla się i szepcze mi do ucha:

– Naprawdę jesteś królową ich serc.

Kładę rękę na jego piersi i przechylam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Przyrowadź mi Casimira, a będę wszystkim, czym zechcesz – szepczę.

W jego oczach zapalają się płomyki pożądania.

– No, to jest interesująca propozycja – odpowiada.

Finn odchrząkuje, co sprawia, że Brennus powoli się prostuje. Niechętnie wypuszcza z ręki moją dłoń i podchodzi do głazu. Dotyka głowy Lachlana. Zamyka oczy i czuje, jak energia obecna w powietrzu przenosi się w jego stronę. Szepcząc słowa, których nie rozumiem, Brennus cofa się o kilka kroków od Lachlana. Wokół ciała rozpala się zielony płomień, który się gromadzi przy boku jego zbroi. W powietrze wzbijają się kłęby dymu. Kiedy go wdycham, czuję zapach palących się cukierków.

Odwracam się od płonących zwłok Lachlana i podchodzę samotnie do krawędzi klifu. Daleko w dole jest morze. Cały obszar wokół jest skalisty

i porośnięty mchem. Kiedy jestem już prawie na końcu urwiska, czuję w brzuchu rój trzepoczących motyli. Staję jak wryta i wciągam głęboko powietrze, oczyszczając nos z zapachu spalenizny. Robię kolejny krok i trzepotanie motyli się nasila. Moje nogi robią się ciężkie i trudno mi zrobić jeszcze jeden krok w stronę morza.

Gdzieś tu musi być Reed – domyślam się, a serce mi wali coraz mocniej.

Zrobienie jeszcze jednego kroku staje się zadaniem niemal ponad moje siły. Czuję się, jakbym próbowała brnąć przez ruchome piaski. Wyciągam ręce i – korzystając z poszarpanych krawędzi skał – podciągam się i odpycham, żeby przesuwać się naprzód. Reed musi się ukrywać tuż pod brzegiem urwiska. Stoi zapewne na jakiejś skalnej półce. Mam ochotę go zawołać i powiedzieć mu, że wiem o jego obecności, ale nie jestem w stanie. Ledwo mogę się poruszać i z trudem, pracując rękami, przemierzam ostatnie metry dzielące mnie od krawędzi.

Teraz motyle w moim brzuchu trzepoczą już całkiem jak szalone, co daje mi pewność, że Reed tu jest, że nadal istnieje. Wszystko zaczyna się rozmywać. Nie dostrzegam linii podziałów, które jeszcze przed chwilą widziałam tak wyraźnie. Dobro i zło przestają mieć jakikolwiek sens. Wydaje mi się, że nie wiem już, czym tak naprawdę jest zło. Do niedawna wszystko było czarno-białe, ale teraz wszędzie są jedynie odcienie szarości. Jestem daleko od miejsca, w którym zamierzałam być. Potrzebuję Reeda. Potrzebuję go, żeby mnie zawrócił znad tej krawędzi zła, bo wydaje mi się, że jeśli z niej spadnę, nie będzie już dla mnie drogi powrotnej.

Wypuszczam powietrze, próbując wypowiedzieć imię Reeda. Słyszę jego szept:

– Jestem tutaj.

Zamykam oczy i smakuję dźwięk jego głosu, który dociera do tego bolesnego, ciemnego miejsca wewnątrz mnie, znajdującego się między sercem a duszą.

Z tyłu dociera do mnie podmuch lodowatego powietrza wraz ze słowami Brennusa:

– Pora wracać do domu. Wyglądasz na bardzo zmęczoną. Powinnaś odpocząć.

Wkładam obie dłonie do kieszeni i w każdej z nich ściskam po jednym z prezentów.

– Złapiesz mnie, jeśli skoczę? – Spoglądam na rozciągające się przede mną morze.

Chwilę później słyszę, jak obaj – Reed i Brennus – odpowiadają mi:

– Tak, złapię.

Odpowiedź Reeda jest tak cicha, że nie wydaje mi się, by Brennus mógł ją usłyszeć. Trafia prosto do mojego serca. Tak bardzo chciałabym być z Reedem, ale przestaję wierzyć, że to się kiedykolwiek stanie. Muszę teraz stąd odejść, bo inaczej zostanie we mnie tylko paląca żądza zemsty – myślę.

Przesuwam się jeszcze bliżej w stronę morza... w stronę Reeda. Brennus łapie mnie z tyłu, zanim udaje mi się skoczyć.

Obracam się w jego ramionach, wyciągam z lewej kieszeni podarunek od Casimira i podaję go Brennusowi, mówiąc:

– Więc to jest prezent dla nas.

– Co to jest? – Brennus bierze do ręki puderniczkę i wodzi palcami po krwistoczerwonych kamieniach, którymi inkrustowane jest zimne metalowe wieczko.

– Zemsta – szepczę, patrząc w zielone oczy Brennusa i widząc w nich pożądanie. Z drugiej ręki wypuszczam naszyjnik z nadzieją, że Reed go złapie i nie pozwoli mu spaść do morza.



## Rozdział 20

# Dary

Sądząc po wyrazie twarzy, Brennus jest wyraźnie zaintrygowany lśniąca metalową puderniczką, którą trzyma w dłoniach. Obraca ją w palcach, przygląda się jej badawczo. Nie muszę tego przedmiotu dotykać, żeby nabrać pewności, że przysłał go Casimir. Czerwone skrzydła ułożone z cennych kamieni sprawiają, że czuję drętwienie rąk i nóg, zupełnie jak w obecności Casimira, kiedy go spotkałam.

– Skąd to masz?

– Przypuszczam, że Casimir mi to wysłał – odpowiadam zdumiona, że potrafię to powiedzieć tak spokojnie. – Nie otwieraj. To bardzo sprytna pułapka – ostrzegam go.

W moim brzuchu wciąż trzepoczą motyle, co oznacza bliskość Reeda. Ale nie mogę już mieć pewności, czy wciąż tu jest, więc musi mi wystarczyć podszept własnego rozsądku, żeby poruszać się w zakresie kontraktu. Modłę się, żeby Reed był w pobliżu i zdołał złapać naszyjnik, który przed chwilą rzuciłam w jego kierunku. Mam też nadzieję, że słyszy to, co mówię Brennusowi.

– A jak ta pułapka działa? – Brennus obejmuje mnie opiekuńczo ramieniem.

– To są wrota do połączenia między dwoma miejscami. Lusterko ma swój odpowiednik gdzie indziej. Kiedy oba są otwarte, łączą dwa miejsca jak korytarz, przez który anioł albo inna istota może się przemieszczać i przechodzić na drugą stronę – wyjaśniam.

– Myślisz, że to prezent od Casimira? – dopytuje jeszcze Brennus.

– Tak. Gdyby nie był z metalu, cuchnąłby zgniłą kapustą – odpowiadam.

I mówię Brennusowi, jak nieoczekiwanie otworzyłam podobne wrota, gdy na poprzednie urodziny dostałam puderniczkę od Alfreda. Mówię o człowieku-cieniu, który z nich wyskoczył i próbował mnie udusić.

– Casimir nie może się dowiedzieć, że Alfred już próbował podobnej sztuczki. Lepiej, żeby stary chłopczyk sądził, że ma w zanadrzu nowy trik.

– To idealna pułapka, bo ja nigdy o czymś takim nie słyszałem – mówi Brennus.

Jego wzrok z miłością wędruje po mojej twarzy. Chyba wyglądam przerażająco. Twarz mam pokrytą atramentowymi rysunkami, które pewnie się rozmazały, kiedy opłakiwałam Lachlana... i swojego wuja. Z zażenowaniem dotykam policzków i na palcach zostają mi ślady tuszu.

– To chyba anielska sprawka. Oni nie ogłaszają swoich sztuczek. Musiałam coś takiego otworzyć, żeby się przekonać, jak to działa – odpowiadam i odwracam wzrok, bo Brennus wygląda tak przystojnie z laurowym wieńcem na gęstych czarnych włosach...

Zatrzepotałam lekko skrzydłami. Słyszę gromki śmiech Brennusa.

– Tak, pożądam cię, *mo chroí* – mówi niewyraźnie z zaborczym uśmiechem na twarzy. – A ty sobie nie zdajesz sprawy, jak bardzo, prawda? Nigdy nie wydawałaś mi się piękniejsza niż w tej chwili. Wyglądasz jak Fay... Jak wróżka z rytualnymi rysunkami na ciele. Wyglądasz, jakbyś przyszła tu z dawnych czasów, kiedy byłem młodym chłopakiem. Wtedy też bym o ciebie walczył. Na tym świecie czy na tamym. Mógłby tu zapanować raj. Moglibyśmy go razem stworzyć.

– Na przeszkodzie stoi Casimir – uświadamiam Brennusowi, czując jednocześnie do niego silny pociąg. Moje pożądanie rośnie z każdym dniem. – On po mnie wróci.

Brennus unosi puderniczkę i mi ją pokazuje.

– Jest wiele różnych możliwości, by za pomocą tego wysłać mu wiadomość. Wracajmy do domu i zastanówmy się nad tym. – Odciąga mnie od krawędzi klifu i od mojego anioła.

W drodze powrotnej opieram się o Brennusa. Nie rozmawiamy o puderniczkę. Wciąż czuję się, jakbym przed chwilą uczestniczyła w jakimś

okropnym wypadku. Jestem obolała i roztrzęsiona, a straszliwe następstwa ataku Rozważnych napełniły mnie smutkiem i cierpieniem.

Brennus przytula mnie mocno i próbuje pocieszać. Ku mojemu zaskoczeniu to mu się udaje. Kiedy wchodzimy do domu, Brennus przystaje. Widząc Finna, mówi:

– Genevieve dostała intrygujący prezent. Możesz się ze mną spotkać w gabinecie za parę minut? Chciałbym to z tobą przedyskutować.

Finn kiwa głową i patrzy na mnie. Wzrok mu łagodnieje.

– Świetnie wyglądasz, Genevieve. Całkiem jak wróżka.

– Dzięki, Finn – staram się mówić z jego akcentem i uśmiecham się. – Napatrz się jeszcze, bo idę na górę, żeby to wszystko zmyć.

– Byliśmy z ciebie dzisiaj dumni – odpowiada Finn i uśmiecha się, a ja czerwienię się i opuszczam głowę.

– Nie przyzwyczajaj się do tego – radzę mu, widząc, jak się uśmiecha i kręci głową.

– Odprowadzę cię na górę, *mo chroí* – mówi Brennus i popycha mnie w stronę schodów.

Ochrona podąża za nami. Declan sprawdza mój pokój, potem mruga do mnie i wychodzi, żeby stać na straży w holu.

Kiedy zostajemy sami, Brennus mówi:

– Weź prysznic. Kiedy skończysz, chcę coś z tobą przedyskutować.

Przypuszczam, że może mi powie, dokąd będziemy się przenosić, i dlatego chcę jak najszybciej opuścić łazienkę. Zmycie henny ze skóry zajmuje więcej czasu, niż się spodziewałam. Niektóre linie wciąż są słabo widoczne, ale poddaję się, zakładam jedwabny szlafrok i suszę włosy. Czuję się zmęczona, więc wciągam na siebie spodnie do jogi i bezrękawnik, który zmodyfikowałam, żeby mieścił moje skrzydła.

Idę z powrotem do salonu i siadam na kanapie stojącej naprzeciwko fotela Brennusa.

– Chciałeś ze mną rozmawiać? – pytam, bo Brennus przez dłuższą chwilę milczy.

– Tak. – Wpatruje się we mnie. – Nie wiem tylko, czy powinienem ci to

teraz powiedzieć.

– A o co chodzi? – Serce przyspiesza mi w reakcji na poważną minę Brennusa.

– Pamiętasz wiadomość, którą ci przesłałem, kiedy byłaś w Chinach? – pyta.

– Tak – potwierdzam.

– W tamtym liście coś ci obiecałem. Chcę ci to teraz dać, ale nie wiem, czy ta rzecz jest dobra, czy zła – wyjaśnia. – Planowałem, żeby to była część twojego prezentu urodzinowego.

Szukam w pamięci i nie mogę sobie przypomnieć, co to była za obietnica. Słabe echo tamtego listu dźwięczy mi głowie: *Znam wszystkie twoje potrzeby, które skrywasz. Bardziej niż wszystkiego innego pragniesz rodziny. Dam ci więc tę rodzinę. Chcesz też innych rzeczy, o których nikomu nie mówisz. Nigdy. Znajdę dla Ciebie Twojego rodzica, obiecuję...*

– Znalazłeś mojego ojca. – Czuję jednocześnie strach, podniecenie i słabość.

– I tak, i nie – mówi Brennus. – Chyba wiem, kim on jest, ale nie mam pojęcia, gdzie go szukać.

– Kim on jest? – pytam słabym głosem, nie mając odwagi spojrzeć Brennusowi w oczy.

– Ma na imię Tau – odpowiada Brennus, a mnie aż podskakuje głowa.

– Żartujesz ze mnie? – Myślę o swoim świadectwie urodzenia.

W miejscu, w którym powinien być wpisany ojciec, widniała tylko litera „T”. Zawsze myślałam, że tak się robi, żeby nie pozostawiać pustego dokumentu. A to było imię...

– Mam ojca – szepczę.

Brennus uśmiecha się do mnie, widząc, że znów patrzę mu w oczy.

– Wiesz coś o nim? – Nachyliam się w jego stronę i wpatruję badawczo w jego twarz.

– Wiem. Jest dobrze znany – mówi Brennus.

Przez głowę przelatuje mi mnóstwo pytań, aż w końcu na myśl o jednym czuję cios w żołądek.

– Czy on jest zły? – Nie potrafię się powstrzymać.

– To zależy, z kim rozmawiasz, ale nie. Należy do Boskich. O to ci chodziło, prawda? – pyta Brennus.

Kiwam tępo głową i czuję ten szczególny rodzaj ulgi, która się pojawia zawsze wtedy, kiedy najgorszy scenariusz, o którym się przez długi czas skrycie myślało, okazuje się tylko teoretyczną ewentualnością.

– Jest Boski – szepczę. – Czy wiesz coś jeszcze? – Mam nadzieję, że dowiem się czegoś o jego charakterze, że usłyszę informacje, które staną się czymś moim, własnym, tajemnym skarbem.

Brennus uśmiecha się i mówi:

– Oczywiście jest Serafinem. Niektóre jego czyny są bardzo znane. Należy do elity. Tau jest jednym z dowódców.

– Odważny? – pytam.

– Powiem tak: kiedy dochodzi do pertraktacji między Serafinami w Szeolu i w Raju, to właśnie Tau udaje się do Szeolu i rozmawia z tamtejszymi. Sam jeden – mówi Brennus.

Jestem poruszona, gdy próbuję sobie wyobrazić, jakiej odwagi wymaga samotna wyprawa do Piekła, żeby porozmawiać z nieprzyjaciółmi.

– Teraz wiadomo, skąd się bierze twoja odwaga – mówi Brennus.

Jeżę się cała na te słowa.

– Tak, wiadomo, mam ją po matce i wujku Jimie. – Właściwie nie rozumiem, skąd się wziął mój gniew, ale intensywnie go czuję.

– Wiem, że akurat w tej chwili nie wydaje ci się to szczególnym darem, ale tęskniłaś za tą wiedzą. Ta potrzeba w tobie istniała, miałaś ją we krwi – mówi łagodnie Brennus. – Nie byłaś w stanie tego ukryć.

Zasypuję Brennusa pytaniami, bo chcę się dowiedzieć, co udało mu się ustalić na temat Taua. Potrafi mi opowiedzieć tylko jakieś historie dotyczące bitew z Upadłymi, podczas których Tau dowodził. Nie wie natomiast nic, dlaczego Tau postanowił mieć dziecko z moją matką ani dlaczego nie został, by mnie wychować. Brennus nie potrafi też odpowiedzieć, dlaczego trzymano w tajemnicy moje anielskie pochodzenie.

– Brennus, co powinnam teraz zrobić? – Czuję się zagubiona

i zdesperowana. – Nie wiem, czego ode mnie chcą. Może ty wiesz?

– To nie ma znaczenia. – Podchodzi i siada obok mnie.

Przyciąga mnie do siebie i pozwala oprzeć głowę na swojej piersi, przy czym głaszcząc mnie delikatnie po plecach.

– Ważne jest, co ty chcesz im dać. My ci zapewniamy ochronę. Jesteś królową.

Coś w słowach, które właśnie wypowiedział, dotyka znów tego ciemnego miejsca we mnie i sprawia, że staje się ono mniej obolałe, mniej podrażnione, mniej samotne.

– Brennus, są takie chwile, kiedy mówisz dokładnie to, co chcę usłyszeć – szepczę znów i trzymam usta przy jego szyi.

Obejmuje mnie mocno i w tej chwili czuję się bezpieczna.

– Nie rozumiem, *mo chroí*, jak mogłem tak długo żyć bez ciebie – mówi Brennus.

– Dziękuję za prezent – szepczę. Czuję się jednak niezręcznie, bo jeszcze nigdy niczego Brennusowi nie dałam.

Wiem, że jestem tu zakładnikiem, jego więźniem, ale coraz bardziej tracę orientację. Brennus jest czystą pokusą. Wciąż znajduje kolejne rzeczy, o których marzę, i mi je daje. To działa jak silny narkotyk. Łatwo było mu się opierać, kiedy mnie nie znał, ale teraz wie o mnie bardzo dużo i sprawa stała się o wiele trudniejsza. Muszę coś zrobić, żeby przeciągnąć moc z powrotem na swoją stronę, bo Brennus coraz bardziej mi ją odbiera.

– Ja też mam dla ciebie prezent, Brennus – mówię i odsuwam się od niego.

– Naprawdę? – pyta z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– Tak. Zaczekaj tu, a ja po niego pójdę. – Wstaję z kanapy i idę do łazienki przy swoim pokoju. Wybieram największą buteleczkę po perfumach ze swoją kwią i wracam do salonu.

– Co to jest? – pyta Brennus, kiedy wyciągam w jego stronę rękę z buteleczką i czekam, aż ją ode mnie weźmie.

– Moja polisa ubezpieczeniowa. – Czuję, jak jego chłodna dłoń ociera się o moją i chwyta ozdobne naczynie.

Brennus wyjmuje korek, podtyka sobie buteleczkę pod nos i powoli ją

przesuwa. Jego kły natychmiast wyskakują z głośnym kliknięciem

– To znaczy... dajesz mi swoją krew? – pyta ze zmysłowym wyrazem twarzy, którego się domyślam.

– Daję ci swoje zaufanie. To jest krew, którą miałam wypić, żeby uśmierzyć pragnienie po ugryzieniu. Możesz z nią zrobić, co chcesz... To moja krew. Proszę tylko, żebyś nie nadużył zaufania, które ci okazałam. – Jego oczy ciemnieją, gdy znów zatyka buteleczkę korkiem.

– Czy wiesz, że nikt nie podarował mi niczego od czasu, kiedy umarłem? – Wyciąga do mnie rękę i znów siedzę obok niego. – Wszystko, co mam, musiałem albo zdobyć w walce, albo na to zapracować.

– Na moje zaufanie też musiałeś zapracować – mówię mu i słyszę, jak Brennus się śmieje.

– Tak, i to była najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiałem zrobić. – Uśmiecha się.

Kiedy jest rozbawiony, jego kły nie wydają się tak przerażające – ale dalej budzą strach, choć już nie tak paniczny.

– No to skoro już je teraz masz, co z nim zrobisz? – pytam go zmęczonym głosem, opierając głowę na jego ramieniu.

– Postaram się go nie stracić – szepcze, a potem całuje mnie w czubek głowy.

Wyczerpana i zmęczona ziewam, po czym mówię:

– To dobrze.

W następnej chwili Brennus powoli bierze mnie na ręce i niesie w stronę sypialni.

– Co robisz? – pytam lekko spanikowana.

– Układam cię do łóżka. Wyglądasz, jakbyś miała za minutę zasnąć na siedząco. Planowałem, że dziś wieczorem stąd znikniemy, ale będę to musiał przełożyć o kilka dni, aż się lepiej poczujesz. Ciągle zapominam, że żywi są tacy słabowici – droczy się ze mną.

– Myślisz, że zachęcisz mnie, żebym stała się ożywieńcem? – odpowiadam mu również żartem.

– Ależ nie. Mam teraz nowy plan – mówi i pociera ustami moją szyję.

– O! A co to za plan? – Czuję, jak od jego pocałunków przyspiesza mi serce.

– Poprzedni plan koncentrował się na tym, żeby zrobić z ciebie ożywieńca... Jedną z nas – przyznaje Brennus, kładąc mnie na ogromnym łóżku.

Nakrywa mnie prześcieradłem, siada obok i patrzy mi w oczy, w których zapewne widzi strach.

– W nowym planie chodzi o to, żebyś nigdy nie musiała stać się ożywieńcem.

– Podoba mi się ten nowy plan – szepczę.

Choć i tak znałam jego poprzednie zamiary, przeraża mnie, kiedy wypowiada je głośno. Brennus muska palcami moją twarz.

– Sądziłem, że ci się spodoba – odpowiada z żalem w głosie i dotyka wargami moich ust.

Cofa się, wstaje z łóżka i podchodzi do drzwi.

– Porozmawiamy z Finnem na temat puderniczki. O naszych wnioskach opowiem ci później, jak odpoczniesz. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, mój słodki aniołku.

– Dzięki – odpowiadam, czując senność.

Usłyszawszy odgłos zamykanych drzwi, wyciągam się na łóżku.

Gdy jestem już w półśnie, w stanie pośrednim między snem a jawą, słyszę, jak ktoś do mnie szepcze:

– Ruda!

Otwieram oczy i uświadamiam sobie, że patrzę w czekoladowobrązowe oczy Russella.

– Russell – mamroczę.

Błyskawicznie przenoszę wzrok na drzwi i sprawdzam, czy nikt nie nadchodzi.

– Co ty tu robisz? – pytam, kiedy mam już pewność, że jeszcze nikt nie został zaalarmowany jego obecnością.

– Ruda, raczej co ty robisz? – Russell nie odpowiada na moje pytanie. –



Dostałaś kolejne wrota łączące cię z Casimirem, po czym się odwracasz i oddajesz je wampirom? – upewnia się i siada obok mnie na łóżku.

Rzuca na mnie spojrzenie pełne dezaprobaty i kręci głową.

– Russell, nie wolno ci tu być. – Siadam i opieram się plecami o poduszki.

Russell z troską marszczy czoło.

– Tak naprawdę to mnie tu nie ma. Rozmawia z tobą mój klon – tłumaczy. – Jaki masz plan? Zamierzasz otworzyć ten portal i pozwolić Casimirowi, żeby do ciebie przyszedł?

– Pewnie coś w tym rodzaju... nie wiem. Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym – odpowiadam i próbuję się trochę obudzić.

– To teraz pozwalają ci podejmować decyzje? – pyta mnie Russell sceptycznym tonem, marszcząc czoło.

– Omawiamy wspólnie strategię – mówię bez wdawania się w szczegóły, bo z jakiegoś powodu wydaje mi się, że nie powinnam mu mówić, jak działamy.

– Wiesz, myślałam, że jesteś mądra, ale ty chyba chcesz, żebyśmy zmienił zdanie, co nie? Te dziwadła nie są twoimi przyjaciółmi. To potwory. My jesteśmy twoją rodziną, a nie oni – szepcze Russell kategorycznie, wskazując na drzwi sypialni. – Bez tego wysokiego, ciemnego i śmierdzącego typu byłabyś dla nich tylko daniem na kolację... a może przystawką.

Marszczę brwi, gdy słyszę tę zniewagę.

– Chyba lepiej niż ty wyczuwam, kim dla nich jestem – mówię obrażonym tonem; naprawdę nie podobają mi się słowa Russella.

– Może masz trochę rozstrojoną percepcję, bo wydaje mi się, że stajesz się powoli małą królową. – Przygląda mi się. – Ruda, czy ty w ogóle pamiętasz jeszcze Houghton? – pyta. – Zamęczył cię prawie na śmierć. Kiedy cię znalazłem, ledwie potrafiłaś coś powiedzieć. Pamiętasz, jak przed nim uciekaliśmy, żeby ratować życie?

– Russell, a ty pamiętasz, jak on nas uratował? – szepczę ochryple i czuję złość. – To dzięki niemu Valentine nas nie rozszarpał na strzępy.

– Nie będę z tobą o nim dyskutował. Wybieramy się tu, żeby cię zabrać. Mamy jednego z twoich nowych koleżków. Zefir i Reed go złapali. Zaczyna

wyglądać na naprawdę głodnego. Zee chce mieć pewność, że cię ugryzie i nie pozostaniesz już długo „uśpioną dziewczyną” – mówi Russell, sprawdzając moją reakcję.

– Kiedy chcecie po mnie przyjść? – pytam.

– A co? – Russell odpowiada pytaniem. – Zamierzasz powiedzieć swoim nowym przyjaciółom?

– Nie! – szepczę ostrożnie. – Ja tylko... tylko nie wiem, czy mogę już stąd odejść. – Unikam wzroku Russella.

– Ty sobie żartujesz, prawda? – pyta, przeczesując włosy palcami jak zawsze, kiedy jest naprawdę zdenerwowany. – Nie zostaniesz tutaj! Przyjdziemy po ciebie. Nie musieliśmy ci o tym mówić. Chodziło tylko o to, żeby cię uspokoić, a nie przekonywać.

– Russell, nie rozumiesz tego. Jeśli pozwolicie mi zostać, będę mogła przekonać się, czy zdołam zabić Casimira. On nie wie, że znam tajemnicę portalu. Spodziewa się, że będę tak głupia i łatwowna jak poprzednim razem, kiedy otworzyłam podobne wrota. – Staram się przekonać go swoim rozumowaniem. – Wolałabym to zrobić tutaj. Gankanagowie są świetni, jeśli chodzi o strategię. Moglibyśmy wyeliminować Casimira.

– Wiesz, kusi mnie, żeby powtórzyć Zee to, co właśnie powiedziałaś o ich strategii, ale chciałbym pozostać przy życiu – odpowiada Russell, który wygląda na zdumionego. – Ruda, posłuchaj uważnie. Przez wiele dni rozpracowywaliśmy ich środki bezpieczeństwa. Wszędzie są wielkie dziury. Nie są tak szybcy jak my, a ich magia nie działa na anioły. Jedyna rzecz, która u nich dobrze funkcjonuje, to ich własna skóra i to, że my ich pilnujemy. Reed i Zee wyeliminowali wszystkich Upadłych, którzy zostali wysłani, żeby obserwować to gniazdo. Załatwili też Upadłych, którzy się zbierali w pobliżu i czekali, aż się wszyscy wyniesiecie. Reed prawie w ogóle nie śpi. Cały czas pracuje – mówi Russell, a mnie serce zamiera.

Jak to na niego wpływa? – zastanawiam się.

– Jeśli teraz wrócę, Casimir pójdzie za mną i trafi do was – szepczę z poczuciem winy, bo chciałabym odejść i pragnę też zostać.

– To dobrze. Będziemy na niego przygotowani – odpowiada bez wahania Russell.

– Nie, Russell, nie rozumiesz. Jeśli mnie stąd zabierzecie, stracimy szansę, żeby dopaść Casimira. Jeśli będę wśród aniołów, Casimir uzna, że zorientowałam się, czym jest puderniczka: anioły Mocy ostrzegły mnie, że to prowadzące do niego wrota. A skoro będę z Gankanagami, nie przyjdzie mu to do głowy i będzie działał zgodnie ze swoim planem. Jeśli mnie teraz stąd zabierzecie, stracimy przewagę.

Russell zaczyna się wahać, więc dociskam jeszcze bardziej.

– Dla Casimira to sprawa osobista. Nie wiem dlaczego, ale jestem przekonana, że sam po mnie przyjdzie. Może zna mojego ojca – zastanawiam się, czy Casimir go nie spotkał i nie ma z nim jakichś rachunków do wyrównania.

– Ten śmierzący czort odnalazł twojego ojca? – dopytuje Russell.

– Na imię ma Tau – szepczę.

– Poczekaj... Powiem o tym aniołom. Zaczekaj chwilkę – mówi Russell z bolesnym wyrazem twarzy.

– Masz z nimi kontakt? – Czuję, że się rumienię, bo wydawało mi się, że jest to rozmowa wyłącznie między mną a Russellem. Świadomość, że Reed jest z nim w kontakcie, sprawia, że wewnątrz zwijam się w kłębek i muszę tkwić we własnym wnętrzu, jakbym była w śpiączce.

– O cholera, Ruda... – Russell widzi, że znów stałam się bierna.

Jego klon zbliża się do mnie i wnika w moje ciało, żebyśmy znów mogli się komunikować.

*Nienawidzę tego kontraktu, Ruda – słyszę głos Russella w głowie.*

*Wyważasz otwarte drzwi, Russell. Spróbuj być pod jego władzą – odpowiadam.*

*Ruda, a oni ci tu nie pozwalają spać? – pyta Russell. – Jesteś wyczerpana i głodna. Powinnaś jeść. Jak można tak żyć? Zamów cheeseburgera albo coś innego, proszę cię!*

Natychmiast się rozluźniam i mam ochotę się zaśmiać.

*Właśnie zamierzałam iść spać, kiedy się zjawiliś.*

*Tak? To przynajmniej zamów aspirynę, skoro już jesteśmy przy tym, bo wciąż jesteś obolała – mówi zatroskanym głosem. – Poczekaj, Buns coś do*

*mnie mówi.*

*Staram się powstrzymać napór pytań, które kłębią mi się w głowie, żeby nie przeszkadzać w komunikacji Russella z Buns. Ale trudno jest przestać myśleć.*

*No dobra, Buns mówi, że twój tata jest popularny w Raju jak gwiazda rocka... Masz tam naprawdę gwiazdnych krewnych, Ruda – mówi Russell.*

*Wiesz, Russell, jakoś trudno mi go sobie wyobrazić jako bohatera. – Czuję złość i ból. – Przez niego tak długo wstydziłam się tego, kim jestem. Zostawił mnie z tym.*

*Och, Ruda, musisz być wkurzona! Myślałem, że się ucieszysz, bo twój ojciec nie jest taki jak Alfred, ten upadły gnojek – mówi Russell.*

*Nie chcę o nim już rozmawiać. Nie ma go tu, prawda? – pytam retorycznie.*

*Dobra, poczekaj jeszcze chwilę. Przekażę Zee i Reedowi wszystko, co powiedziałaś. Że chcesz zostać i razem z wampirami złapać w pułapkę Casimira – mówi Russell nieobecny głosem. – Reed właśnie rozbił szklankę... trochę wariuje... o, bardzo... Spokojnie, kilerze, jestem po twojej stronie, Reed... okej, okej! No więc... Ruda... Reed powiedział „nie”.*

*Czuję, jak narasta we mnie złość.*

*Russell, to jest moja misja – odpowiadam. – Porozmawiaj z Zee. On mnie zrozumie. Dam radę to zrobić. Przestańcie mi wchodzić w drogę.*

*Wchodzić ci w drogę! No chyba tego w ogóle NIE powiedziałaś! – mówi Russell z niedowierzaniem w głosie. – Kiedy tu byłem ostatnio, błagałaś mnie, żebym był przy tobie... żebym cię nie zostawiał samej. Reed ma rację. Właśnie stwierdził: „Nie należy kopać gniazda os, a potem stać i patrzeć, co się będzie działo”.*

*Mam zamiar dopaść Casimira – mówię gniewnie w swojej głowie, a w ciemnym miejscu między sercem a duszą wybuchają płomienie i ogarnia mnie przytłaczająca wściekłość. – Wysyłając po mnie Alfreda, zabił wuja Jima, który był moim PRAWDZIWYM ojcem. On jest mój i to GANKANAGOWIE mi pomogą. Rozumiesz? Jestem zmęczona tymi wypełnionymi złem, upadłymi dupkami. Łażą wkoło mnie, grożą mi i mordują moją rodzinę. Czy mam się schować za Reeda i Zee i pogodzić się z tym? Co jeszcze Casimir po mnie wyśle? Armię ifritów? Russell, dopóki tego nie*

*załatwię, nawet nie myślcie o tym, że po mnie przyjdziecie. A teraz wynoś się z mojej głowy – mówię, po czym wyrzucam z siebie klon Russella, wściekła i kompletnie wyczerpana.*

Komunikacja z Russellem zostaje zerwana, a jego klon znika z mojego pokoju. Zaledwie minutę później czuję potężną falę wyrzutów sumienia. Przyciągam do siebie poduszkę, mocno ją obejmuję i staram się powstrzymać łzy. Mam już serdecznie dość płaczu.

Stopniowo się rozluźniam i w końcu zasypiam. Czuję, że obejmują mnie ciepłe ręce, które podnoszą mnie z łóżka. Nie myślę ani chwili, tylko odwracam się i znajduję ciepłe, idealne usta mojego anioła. Całuję go mocno, wkładam w ten pocałunek całą tęsknotę, którą w sobie od dawna gromadzę. Niestety bardzo szybko wybudzam się całkowicie ze snu i muszę znów uciec w głąb siebie, bo dopada mnie magiczna moc kontraktu.

Reed jęczy cicho, wyrażając w ten sposób zachwyt nad naszym pocałunkiem i rozczarowanie wywołane jego zakończeniem. Opiera swoje czoło na moim i mocniej chwyta mnie w ramiona.

Muszę być nienormalna – stwierdzam, bo niemożliwe wydaje mi się teraz pozostawanie bez Reeda choćby sekundę dłużej.

– Tęsknię za tym, Evie... Nie masz pojęcia, jak bardzo pragnę twojej reakcji... jakiegokolwiek reakcji – szepcze i stara się ukryć ból pobrzmiwający w jego głosie. – Nie martw się, nie przyszedłem tu, żeby cię zabrać. Musiałem przyjść i powiedzieć ci, że cię potrzebuję... Że chcę, żebyś do mnie wróciła – szepcze przy moim policzku, a jego zapach cudownie działa na moje zmysły. – Bez ciebie moje życie jest byle jakie. Cierpię, bo nie słyszę twojego głosu, nie widzę twojego uśmiechu, nie czuję twoich pieszczot.

– Rozumiem, na czym polega obowiązek – ciągnie Reed po chwili. – To jedna z tych wartości, które mają dla mnie sens. Czujesz, że twoim obowiązkiem jest zabicie Casimira za to, co ci zrobił. Masz czterdzieści osiem godzin – szepcze, patrząc mi w oczy. – Cokolwiek planujesz, musisz zdążyć to zrobić w tym czasie, ponieważ więcej ci go nie dam. Tylko tyle. Nie dam rady być bez ciebie ani chwili dłużej. Buns i Zee sądzą, że powinienem ci w tej sprawie trochę ustąpić i zaufać twojemu instynktowi. Tylko z tego powodu jeszcze cię stąd nie zabieram. Zasugerowano mi, że gdybym nie był wobec ciebie taki apodyktyczny, wróciłabyś do nas, zamiast iść sama do tamtego

kościół – mówi Reed z ponurym wyrazem twarzy i wywołuje we mnie kolejne poczucie winy za to, co mu zrobiłam.

– Próbuję się zmienić – tłumaczy dalej po chwili. – Ale musisz zrozumieć, że jestem przyzwyczajony, że w każdej sytuacji to ja sprawuję kontrolę. Trudno mi jest przestać cię chronić przed zagrożeniami, które dostrzegam... To praktycznie niemożliwe – mówi i śmieje się, ale ten śmiech pozbawiony jest wesołości. – Jeśli chodzi o ciebie, wszystko wydaje mi się zbyt wielkim ryzykiem. Myśl o tym, że masz tu zostać... z nim... choćby jedną minutę dłużej, jest dla mnie straszliwa. Jeśli coś ci się stanie, zanim to wszystko się skończy... – milknie i zaciska szczęki, a jego skrzydła osłaniają mnie w opiekuńczym geście.

– Wiem, że masz zadanie do wykonania... misję... Ale przecież wciąż jesteś taka niedoświadczona i krucha. – Reed całuje mnie w szyję i tuli, a moje serce zaczyna bić coraz mocniej, policzki zaś zalewa rumieniec. – Jeśli chodzi o Casimira, powinnaś naprawdę dobrze się zastanowić, co robisz. On jest ode mnie starszy. Dożył tego wieku dzięki temu, że nigdy nadmiernie nie ryzykował. Jest arogancki, a poza tym, jak sama mówiłaś, ta sprawa ma dla niego osobiste znaczenie. Russell opowiedział mi o waszym spotkaniu, bo widział wszystko w twojej głowie. A ja myślę, że masz rację: zagrałaś Casimirowi na nerwach.

– Od teraz będę blisko ciebie – zapowiada Reed. – Czasami wyczujesz moją obecność. Zee też tu jest i jeszcze paru aniołów z Dominium, między innymi Preben, Sorin i Elan. Eliminujemy Upadłych, w miarę jak się tu pojawiają, ale kiedy już uruchomisz swoją pułapkę na Casimira, musisz się spodziewać odwetu. Nie czekaj na niego. Kiedy twój plan zostanie zrealizowany, przyjdę po ciebie i cię stąd zabiorę. Upadli mają wielu sojuszników, którzy nie odczuwają żadnej lojalności wobec Gankanagów, jak już sama zauważyłaś – mówi i pochyla się nade mną, całując moje ramię w miejscu, w które zostałam zraniona. – Brennus zanadto skupiał się na tobie. Przestał dostrzegać, na co się zanoszą. – Reed hipnotycznie głaszcze moje skrzydło, a ja czuję, jak dopada mnie słabość.

– Od pewnego czasu ochraniaamy Gankanagów. Kiedy magiczny kontrakt między tobą a Brennusem zostanie zerwany, to się skończy. I wtedy schowam go tak głęboko, że krzyki Szeolu będą dobiegały z niego – szepcze Reed.

Przeszywa mnie ukłucie zimna przypominające dźgnięcie nożem. Powinnam tego chcieć... Żeby Brennus cierpiał, ale jednak nie chcę. On też trafił do mojego serca niezależnie od mojej woli i teraz... teraz myśl o jego cierpieniu sprawia mi ból. Nie ma wyboru: muszę być z Reedem. To właśnie jego pragnę... jego potrzebuję, ale Brennus jest...

– Przyniosłem ci sarnią krew. Postawiłem ją pod łóżkiem. Jeśli zostaniesz ugryziona... jeśli cię przemienią... – szepcze przez zaciśnięte zęby i obejmuje mnie przy tym tak mocno, że niemal sprawia mi ból. – Znajdź mnie wtedy... Mogę być twoją pierwszą ofiarą. Śmierć w twoich ramionach wydaje mi się niemal błogosławieństwem – mówi, a mnie ból ściska gardło, bo uświadamiam sobie, jakim cierpieniem jest dla niego ta cała sytuacja.

Reed delikatnie muska wargami moje usta i mnie puszcza. Potem wstaje z łóżka i wskazuje na mały stolik.

– Russell przekazał mi, że jesteś głodna – mówi. – Więc przyniosłem ci coś do jedzenia.

Reed sprawia wrażenie, jakby się wahał. Widząc mnie leżącą na łóżku, zaciska dłonie w pięści. Po raz pierwszy zauważam, że ma na palcu sygnet, który mu dałam. Musiał go więc złapać, kiedy go rzuciłam.

– Czterdzieści osiem godzin, Evie... Kocham cię – szepcze, a potem w ułamku sekundy znika.

Siadam na łóżku i mam ochotę krzyknąć głośno imię Reeda, żeby wrócił i zabrał mnie ze sobą. To nie ma sensu. Ja sama jestem bez sensu. Zemsta nie jest tak ważna jak Reed – myślę, opierając czoło na podkulonych kolanach. Ale tu chodzi o coś więcej niż o zemstę. Chodzi o zniszczenie Casimira, zanim on zdoła zniszczyć wszystkich, których kocham.

Wstaję z łóżka i podchodzę do stolika. Otwieram pudełko i czuję aromat smakowitego hamburgera z serem. Obok na stoliku leży też opakowanie ciasteczek Twinkies. Odkładam hamburgera i biorę się za Twinkies. Rozwijam opakowanie i wgryzam się w ciasteczko, jednocześnie starając się powstrzymać łzy.

## Rozdział 21

# *Plany w ramach planów*

– Wciąż twierdzą, że mój plan ma swoje zalety... Usypia ich czujność, bo daje im poczucie pełnej kontroli. A kto by się oparł jej nagiemu ciału? – pyta Eion, siedząc po drugiej stronie stołu i wykonując w moim kierunku zamaszyste ruchy ręką. – Będą walczyć między sobą, żeby dostać się do wnętrza lusterka i dotrzeć do niej przez portal.

– Eion, nie zamierzam otwierać puderniczki, kiedy będę kompletnie naga – mówię, przewracając oczami. – Jak twoim zdaniem miałabym walczyć nago?

– Nie wiem, ale chętnie bym na to popatrzył. – Eion śmieje się i pożera mnie wzrokiem.

– Może nie musisz być naprawdę nago, może wystarczyłoby złudzenie nagości – mówi Brennus w zamyśleniu.

– Wy, chłopaki, po prostu chcielibyście sobie popatrzeć na mnie rozebraną – mówię podejrzliwym tonem, spoglądając na ich twarze, które uśmiechają się niegodziwie.

Grupa jest większa niż zwykle w czasie spotkań w Barze Rycerskim. Poza Brennusem, Finnem, Declanem, Eionem i Faolanem są też Goban, Lonan, Ninian, Alastar i Torin. Wszyscy siedzą w kościele wokół połączonych stołów. Ale nawet przy tej dużej liczbie nowych twarzy czuję, że brakuje jednego oblicza: Lachlana.

– Jeszcze raz powtórzę, że zamiast Genevieve powinniśmy użyć jej klona – mówi Declan.

– Nagi klon? – pyta Eion, a Declan patrzy na niego gniewnie.



– Nie nagi klon, po prostu jeden z jej klonów. W ten sposób mogłaby być bezpieczna w innym miejscu, a my załatwilibyśmy za nią tych Czyścicieli z Szeolu. – Declan patrzy to na Eiona, to na mnie i zauważa moją wściekłość.

– Dec, nie jestem całkiem bezużyteczna. Dam radę – mówię ze złością. – Chcę tam być, jeśli Casimir się pojawi. Chcę, żeby wiedział, dlaczego umiera. To jest także dla mnie osobista sprawa.

Declan uśmiecha się do mnie ostrożnie.

– Nikt nie ma wątpliwości, że nie jesteś bezużyteczna. Spytaj Rozważnych, to ci powiedzą. Ale dalej mi się ten plan nie podoba. Mówimy przecież o aniołkach, a nie o Rozważnych... Stare, starożytne aniołki. I tak bym się denerwował, nawet gdyby twoje ciało było z żelaza, a serce ze stali – odpowiada Declan, przyglądając mi się z taką miną, jakbym była zrobiona z papieru. – To nie jest zabawa, dziewczyno. Te stwory są ucieleśnieniem czystego zła – mówi, potrząsając głową.

– Dzięki, Dec, ale kiedy wsuwam na nogi kalosze, nie przejmuję się, gdzie postawię stopę – odpowiadam i słyszę, jak kolesie starają się powstrzymać śmiech.

Declan spogląda w górę, jakby spodziewał się stamtąd wskazówek.

– Zaczynasz mówić jak jedna z nas. – Finn potrząsa głową i puszcza do mnie oko.

– Im dłużej zastanawiam się nad planem Eiona, tym bardziej mi się podoba, *mo chroí*. – Brennus przywołuje nas z powrotem do rozmowy na temat puderniczki przesłanej mi przez Casimira. – Możemy wykorzystać to, że wydasz im się naiwna i bezbronna, czemu nie zdołają się oprzeć. To mój ulubiony rodzaj pułapki... pożądanie... opętanie żądzą – mówi uwodzicielskim tonem. – No i to lustro jest małe i dyskretne. To przemówi do natury Casimira... Taki zmysłowy i erotyczny obraz... – Brennus widzi, jak moje policzki oblewa rumieniec i nie wiem, gdzie się podziać ze wstydu.

Rozczarowana pocieram czoło.

– A nie możemy po prostu otworzyć puderniczki w zbrojowni, a kiedy się tam pojawią, nakryjemy ich czapkami? – mruczę pod nosem, a wszyscy są zdezorientowani moim komentarzem, bo czasami to, co mówię, traktują dosłownie.

– Co takiego...? Dlaczego mielibyśmy ich nakrywać czapkami, skoro mamy magiczną broń automatyczną i wyrzutnie rakietowe? – pyta zakłopotany Ninian. – Faolan, mówiłeś, że pokazałeś jej naszą zbrojownię i nauczyłeś ją, jak przebić się przez zbroję za pomocą broni dużego kalibru, a potem ją odtworzyć. Dlaczego ona mówi coś o czapkach? – pyta, oskarżycielsko wskazując Faolana palcem.

– JUŻ DOBRZE! – Unoszę w górę obie ręce, byle tylko tamci nie zaczęli się kłócić. – Zrobimy to zgodnie z planem Eiona, ale będzie musiało wystarczyć złudzenie nagości. I trzeba będzie to zrobić szybko... Dziś wieczorem. Nie chcę, żeby Casimir nabrał podejrzeń, dlatego jeszcze nie otworzyłam prezentu od niego. Im szybciej, tym lepiej.

Wiem, że zostało mi niewiele czasu. Reed dał mi czterdzieści osiem godzin, a kilka z nich już minęło.

– A więc mamy uzgodniony plan? – upewnia się Brennus, prosząc mnie o potwierdzenie.

Kiwam głową i czuję, jak zaczyna mnie ogarniać strach, kiedy już ustaliliśmy sposób działania. Nie wiem, co mnie bardziej przeraża: perspektywa porażki czy sukcesu. Porażka oznaczałaby, że Casimir przeżyje i będzie nadal polował na mnie i moich przyjaciół. Sukces robi ze mnie prawdziwą morderczynię. Kiedy już raz wejdę w świat tropienia swojej ofiary, nie będę miała powrotu. Przestanę się chować. Stanę się myśliwym.

– Zostało jeszcze kilka godzin do zmroku. Zaczniemy działać, kiedy zapadnie ciemność – mówi Brennus i się nam przygląda.

Zatrzymuje wzrok na mnie, gdy tymczasem pozostali wstają ze swoich miejsc.

– Idźcie się pożywić. Spotykamy się w Wieży Północnej, kiedy skończycie – mówi Brennus i wciąż wpatruje się we mnie siedzącą na swoim miejscu.

– Nie idziesz z nimi? – pytam, czując podenerwowanie.

Wstaję z fotela i odpycham go za siebie, po czym kieruję się w stronę drzwi.

– Nie teraz – odpowiada Brennus. Uśmiecha się nieznacznie i idzie za mną do drzwi. – Potrzebujesz rozrywki. Jesteś zbyt spięta. Musisz się zrelaksować, bo inaczej Casimir wyczuje, że coś jest nie tak. Twój język ciała powie mu

wszystko, czego będzie się chciał dowiedzieć. Kiedy już odemkniesz te wrota, musisz się zachowywać, jakbyś w ogóle nie podejrzewała, że cię obserwuje.

– Jak mam to zrobić? – pytam i odwracam się, żeby na niego spojrzeć.

Brennus uśmiecha się, bierze mnie za rękę i podnosi ją do ust. Opieram się o drzwi prowadzące do Baru Rycerskiego i zagryzam wargę. Chciałabym wyszarpnąć dłoń, ale wiem, że to rozzłości.

– Znam parę sposobów... Umiem sprawić, żebyś się czuła bardzo... – całuje wnętrze mojej dłoni – bardzo... – całuje mój przegub – zrelaksowana.

Mówi to i całuje wrażliwe miejsce przy łokciu.

– Och – szepczę, czując, że moje ciało zaczyna reagować na dotyk Brennusa. – W szkole miałam trenera piłkarskiego, który nam mówił, że zawsze lepiej grać w stanie lekkiego napięcia.

Brennus ignoruje moją uwagę, bierze mnie w ramiona i lekko całuje w usta.

– Poczekaj – szepczę niemal bez tchu, starając się znaleźć jakiś sposób, żeby przestał mnie całować. – Kiedyś mi coś obiecałeś, a jeszcze tego od ciebie nie dostałam...

Odsuwam się i widzę jego seksowny uśmiech. Brennus zaintrygowany unosi w górę brwi.

– A co takiego ci obiecałem i jeszcze nie dałem? – pyta, bawiąc się kosmykiem moich włosów.

Czuję powiew chłodnego powietrza między naszymi ciałami dotykający mnie jak pieszczota.

– Nie pokazałeś mi, jak używać broni, którą od ciebie dostałam. – Mam na myśli topór, który wręczył mi w zbrojowni.

Brennus kręci głową i zamyka oczy. Jego uśmiech zamienia się w grymas.

– Chcesz teraz ze mną walczyć? – pyta, a ja w odpowiedzi kiwam głową z chytrym uśmieszkiem.

– Tak, muszę coś rozwalić, a ty wyglądasz na mały, delikatny kwiatek... i tak też pachniesz – droczę się z nim i nosem wciągam powietrze wokół niego, żeby jakoś zmienić nastrój. – Może raczej powinnam poprosić Finna, żeby mnie nauczył? – Unoszę brwi podobnie jak mój rozmówca.

Czuję, że obecna w pokoju energia się przemieszcza. To powinno mi dać do

myślenia: nagle otacza nas krąg ciernistych krzewów różanych, które w magiczny sposób wyrastają z podłogi. Zdumiona przysuwam się bliżej Brennusa. Słyszę chichot i czuję jego ramiona obejmujące mnie w pasie.

– Nawet kwiaty mogą być śmiertelnym zagrożeniem, *mo chroí*. – Wyciąga rękę i zrywa jedną z ciemnoczerwonych róż.

Przykłada ją do mojego policzka i zmysłowo głaszcze go kwiatowymi płatkami.

– Powiedz, że mnie kochasz – mówi, pozwalając, by cierń z różanej łodygi groźnie, ale nie powodując bólu, przesunął się po mojej szyi.

– Dlaczego? – Jestem niespokojna i osaczona, choć głęboko w duszy czuję przyjemny dreszcz wywołany niebezpieczeństwem, które działa na mnie jak narkotyk.

– Bo chcę usłyszeć, jak to mówisz – odpowiada Brennus, a płatki róży wędrują po moim obojczyku. – Potrzebuję tego.

– Ty niczego nie potrzebujesz, Brennus. Przez wieki udowadniałeś to wszystkim. – Opieram się jego woli, choć coś w środku chciałoby mu ulec... Dać wszystko, czego pragnie.

– Powiedz to... – Nachyla się do mojego ucha i przyprawia mnie o szybsze bicie serca.

– Brennus – staram się mówić w miarę obojętnie, choć czuję przyspieszone bicie serca.

– Dlaczego nie chcesz powiedzieć? – pyta Brennus, a jego usta są o centymetry od moich. – Wiem, że mnie kochasz. Czuję to, kiedy tak na mnie patrzysz. Widzę, jak śledzisz mnie wzrokiem.

– Może upewniam się, czy obecny w pokoju groźny potwór nie jest w złym nastroju – odpowiadam, biorąc różę z jego ręki i delikatnie dotykając płatków końcami palców.

– Oszukujesz. Więc dlaczego? – pyta, unosząc mój podbródek, tak żebym patrzyła mu w oczy.

– Idź do Południowej Wieży. Wszystkie dziewczyny ustawią się w kolejce, żeby ci mówić, jak bardzo cię kochają – odpowiadam zaskoczona i zdezorientowana tonem zazdrości w moim głosie.

– To nie ma znaczenia, Genevieve. To tylko zaczadzenie i pożądanie – wyjaśnia Brennus, a w jego oczach widać pogłębiającą się ciemność.

Wodzi kciukiem po mojej brodzie, ale zazdrość, którą wyczuł, łagodzi jego spojrzenie. Na jego twarzy pojawia się wyraz zadowolenia.

– Nie chcę cię kochać – szepczę zgodnie z prawdą, cofając podbródek i opuszczając wzrok.

Gniotę w dłoni jedwabiste płatki róży.

– Ale to nie zmienia faktu, że kochasz – odpowiada Brennus ze zmysłowym uśmiechem.

– Brennus, jak mam opisać emocje, które we mnie budzisz? – pytam, kręcąc głową i czując silny ból. – To nie jest to samo co miłość, którą odczuwałam dawniej. Cokolwiek to jest, powoduje ból. Jeśli to miłość, to znaczy, że cię kocham... Tak jak istoty takie jak my powinny być kochane: sekretnie i niechętnie, gdzieś w obszarze czarnego cienia pomiędzy sercem i duszą.

– Tak to się zaczyna, *mo chroí*. U mnie też tak było w jaskiniach – odpowiada Brennus i znów mnie obejmuje. – To taki rodzaj miłości, który chciałoby się zniszczyć. Ale ona rośnie i rośnie, aż staje się czymś znacznie potężniejszym, niż można sobie wyobrazić... Jeśli tylko się jej pozwoli.

– Nie chcę, żeby rosła – odpowiadam, znów unikając jego wzroku. – Przyniesie mi tylko ból.

– Tylko wtedy, kiedy będziesz się jej opierać – szepcze tuż przy moim policzku. – Pozwól mi, żebym cię nauczył przyjemności, która może tkwić w tym bólu. – Głaszcze mnie po ramionach. – Pozwól mi usłyszeć, jak płaczesz tylko dla mnie.

– Brennus – odpowiadam zirytowana – nie chcę żadnej przyjemności. Mam ochotę coś rozwalić.

Jestem zdezorientowana tumultem kłębiących się we mnie emocji. Przeszywa mnie dreszcz. Boję się, że nie zdołam powstrzymać Brennusa, jeśli zechce podążać za myślą, którą właśnie wypowiedział.

– Musisz się jeszcze tyle nauczyć, sama nie masz pojęcia ile – jęczy Brennus. – Niedługo pokażę ci, co mam na myśli.

– Łatwiej pokazać, niż powiedzieć? – pytam z żalem w głosie, spoglądając na Brennusa i starając się obrócić wszystko w żart.

– No tak – przyznaje z niechętnym uśmiechem. – Muszę po prostu mieć w pamięci, że jesteś istotą wieczną, więc mamy dość czasu na wszystko, czego chcę cię nauczyć.

Opuszczam wzrok i staram się nie dać mu po sobie poznać, że się w tej sprawie myli.

– Są różne rzeczy, których ona nie potrzebuje się uczyć od ciebie – mówi Russell, przechodząc jak duch przez różane krzewy. – Róże? – pyta drwiąco. – Nie sądzisz, że to trochę banalne? Ona jest raczej jak rajski ptak... Coś egzotycznego i nieoczekiwanego.

– Russell! – wzdycham, czując rumieniec na twarzy.

Zastanawiam się, jak dużą część naszej rozmowy mógł słyszeć. Wiem, że mam do czynienia z klonem, ale czuję charakterystyczny dla Russella zapach czystości i widzę uśmiezek spryciarza, który jest jego „boiskową miną”. Mam ochotę podbiec do niego, ale wiem, że nie mogę tego zrobić.

– Jeśli chcesz ją czegoś nauczyć, powinieneś ją zabrać do Południowej Wieży. Ale rozumiem, że wolałbyś jej nie tłumaczyć tego, co się tam dzieje, prawda? – Russell pyta Brennusa, choć nie odwraca ode mnie oczu.

Sprawdza, czy wszystko ze mną w porządku, i ta troska wystarcza, żeby mną trochę potrząsnąć.

– Ruda, powinnaś to zobaczyć. Wygląda jak klub ze striptizem dla ubogich... Aha, i oczywiście wszystkie kobiety są naćpane i pokrwawione.

Czuję, że robię się blada. Dlaczego ciągle zapominam, że oni zabijają ludzi? – zastanawiam się, czując, jak granica między dobrem a złem znów się przesuwa i rozmywa.

– Ten drugi. Wiedziałem, że powinienem cię zabić, ale myślałem, że może masz więcej rozumu – mówi Brennus, pocierając dłonią kark. Po chwili wzrusza ramionami, jakby cała sprawa była bez znaczenia. – Tym razem znów umieszczę cię na samym szczycie listy. Głupio zrobiłem, że tak łatwo zrezygnowałem z zabicia ciebie.

– A ja głupio zrobiłem, że nie przyniosłem tu jakiegoś odświeżacza powietrza. No i znów tu jesteśmy wszyscy razem. – Russell rozgląda się po wnętrzu Baru Rycerskiego i patrzy na piękne rozetowe okna.

Brennus znów mnie obejmuje, muska nosem moją szyję i mówi do Russella:

– Tak naprawdę to ciebie tu nie ma, co? Gdybyś był, wątpię, czy tyle byś mówił. Obaj to wiemy. Więc powiedz jej to, z czym do niej przyszedłeś. Mamy teraz inne plany, które ciebie nie uwzględniają.

– Przyszedłem pooglądać sobie ciebie, wampirze – mówi Russell z szyderczym uśmiechem i obserwuje, jak palce Brennusa wędrują wzdłuż mojego ramienia, pieścą mnie, a ich chłodny dotyk przyprawia mnie o dreszcz. – Do twojej kryjówki w Indiach dostali się Upadli. To tam mieliście się wszyscy przenieść, prawda? – pyta Russell retorycznie.

Brennus nieruchomieje, jego brwi się ściągają.

– Dlaczego mi to mówisz? – pyta i choć nie wypuszcza mnie z uścisku, przestaje całować w szyję.

– Bo masz moją dziewczynę. – Russell z zaciśniętymi dłońmi w pięści przygląda się, jak Brennus mnie dotyka.

– To nie jest twoja dziewczyna – mówi Brennus.

– Nie, to nie jest twoja dziewczyna, prześladowco – oponuje Russell. – Ty tylko udajesz. Udajesz, że jesteś dobry... że chcesz być jej rodziną, ale tak naprawdę jesteś tylko wampirem, a ona wreszcie powinna się obudzić i to zobaczyć.

Russell zwraca się do mnie i rzuca przez zęby:

– Obudź się, Ruda.

Wzdrygam się lekko, słysząc gniew w jego głosie.

– Ona wcale nie śpi. Czego od niej chcesz? Żeby się dla ciebie zabiła? O to ci chodzi?

Brennus przechodzi do kontrataku. Wysuwa kły, puszcza mnie i z gracją skradającego się kota zaczyna obchodzić wkoło klon Russella, szukając sposobu, jak go skrzywdzić.

– Próbowала już tego, pamiętasz? – mówi Brennus. – Chciałbyś zobaczyć, jak dla ciebie umiera? Nie może z tobą zostać. Doprowadzisz do jej śmierci... albo czegoś jeszcze gorszego.

– Nie, to ty do tego zmierzasz – odpowiada Russell. – Upadli już się tu kręcą i obserwują was wszystkich.

– To żadna niespodzianka. Więc ty ich za nas zabijasz? – Brennus przestaje

krążyć wokół Russella i zatrzymuje się przed nim. – Potrafimy ją przed nimi obronić. Nie potrzebujemy ciebie, żebyś to robił za nas.

– No, to teraz ty, Dracula, powinieneś się obudzić – mówi Russell przez zęby. – Oni tu się wybierają po nią.

– Więc niech przyjdą i spróbują ją odebrać. Nie ma powodu, żeby cała przyjemność miała przypaść tobie. – Brennus wciąga nosem powietrze wokół Russella, tak jakby zbierał informacje o cechach klona i starał się znaleźć jego słabości.

– Ona nie jest pionkiem – rzuca Russell z groźbą w głosie, pochylając się w stronę Brennusa.

– Powiedz to tym aniołkom, które są z tobą. Niczego bardziej nie pragną, niż użyć jej do zwabienia Upadłych, z którymi stale prowadzą wojnę. –

Brennus ironicznie wykrzywia usta, uśmiechając się do Russella, i demonstruje swoje groźne kły.

– Mylisz się. Kiedy ją odzyskamy, będziemy ją chronić – rzuca kategoriycznym tonem Russell.

– Spróbuj tylko ją porwać, a nie będzie takiego miejsca, w którym mógłbyś się przede mną schować – cedzi Brennus ze śmiertelnym spokojem w głosie.

– Kto tu się chowa? Nie musimy się już kryć. Ona to załatwiła, kiedy wybrała się do Dominium. Wyście też w tym pomogli – odpowiada Russell z uśmiechem zadowolenia i miną pełną satysfakcji, krzyżując ramiona na piersi. – Kiedy pogoniliście kota Dominium, oni się do nas przyłączyli ze wszystkim, czego zapragnął Reed... Z całą armią aniołów. Myślą teraz, że Ruda jest darem Boga... Wielkie dzięki.

– Więc pojawiłeś się tutaj i chcesz mnie przekonać, żebym pozwolił jej do ciebie wrócić? – pyta Brennus z niedowierzaniem.

– Nie, nie jestem głupi. Wiem, że dobrowolnie nigdy jej nie oddasz – mówi Russell z ponurą miną. – Jestem tu po to, żeby cię prosić o coś innego: nie bądź kompletnym idiotą w sprawie Upadłych. Nie ryzykuj jej życia. Casimir jest zbyt potężny, żeby stawiać mu czoło samemu... Pomożemy ci, jeśli pojawi się zagrożenie jej życia.

– Więc teraz jesteś gałązką oliwną? – pyta Brennus ze sceptyczną miną.

– Nie, jestem facetem, który ci złośliwie tyłek, jeśli stanie się jej coś złego –



odpowiada Russell, kierując palec w stronę twarzy Brennusa.

– Mówisz jak ktoś, kto ma plan. – Brennus zachowuje kamienną twarz, mimo że klon Russella znalazł się tak blisko niego. – Naprawdę jesteś taki pewny, że zdołasz namówić żołnierza, którego stąd porwaliście, żeby ją ugryzł? – pyta z miną świadczącą o zainteresowaniu. – Powinniście to jeszcze przemyśleć. Leif wie, że chwila, w której to zrobi, będzie jego ostatnią. Albo wy go zabijecie, albo my. Więc może odmówić. I co wtedy zrobicie? Oddacie mi ją? – Unosi w górę brwi.

Oczy Russella lekko się rozszerzają. Ten odruch jest wystarczająco wymowny: to, że Brennus zna ich plany, zaskoczyło Russella, który spogląda teraz na mnie i zastanawia się być może, czy to ja ujawniłam te zamiary. Ten brak zaufania Russella wywołuje we mnie żal.

– Ugryzie ją, bo wie, że go potem szybko zabijemy. A poza tym wystarczy, że ją zobaczy, i sam zacznie nas błagać, żeby mu pozwolić jej skosztować. Wiesz przecież, że mam rację – mówi Russell, spoglądając na Brennusa. – Zdajesz sobie sprawę, jaka to będzie dla niego męka, jeśli mu nie pozwolimy tego zrobić. Kiedy mu mówię o Genevieve, ma taki sam wyraz twarzy jak ty w jaskiniach, kiedy ci ją poprzednio zabrałem. Po prostu widać jego męczarnie.

– Wciąż jeszcze jestem ci coś winien za tamto. – Brennus zaciska szczękę.

– Więc rusz się i znajdź mnie, na co czekasz? Wszyscy mnie pomijacie w swoich planach, a ja nie wiem dlaczego. Sam widzisz, jak potężna staje się Evie, a ja jestem właściwie taki sam jak ona i niedługo będę twoim największym koszmarem. – Russell uśmiecha się, widząc gniewną minę Brennusa i jego ściągnięte brwi.

Po kilku chwilach oblicze Brennusa rozpogadza się i jego kły się chowają. Na twarzy wykwita mu uśmiech podobny do grymasu Russella.

– Chyba rozumiem, dlaczego ona cię lubi. Jesteś naprawdę zabawny, ale nietrudno zgrywać twardziela, kiedy w gruncie rzeczy nie ma cię tutaj. Następnym razem, kiedy będziesz chciał ze mną pogadać, przyjdź osobiście, tak jak poprzednio. W ten sposób zasłużysz na większy szacunek – tłumaczy cierpliwie Brennus. – Do widzenia, druga połówko.

Brennus podnosi palec i przytyka go do klona Russella, powodując jego natychmiastowe zniknięcie. Patrzy przez chwilę na swój palec, a potem

uśmiecha się i odwraca do mnie. Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie okazać żadnych emocji wywołanych zniknięciem Russella. Wiem, że zdecydowałam się zostać, ale teraz mi ta decyzja ciąży.

– Cóż, muszę mu przyznać dodatkowe punkty za styl. Podobają mi się te klony. Ciekawe, czy mógłbym coś takiego zrobić za pomocą jakiegoś zaklęcia – mówi Brennus, który wygląda na rozbawionego tym, co się właśnie wydarzyło.

– Nie jesteś wściekły, że oni tu są? – pytam zdumiona, widząc rozbawienie na jego twarzy, a jednocześnie próbuję zrozumieć strategię Reeda, który właśnie teraz wysłał Russella.

– To żadna niespodzianka. Wiem, że czasami się tu pojawiają i sprawdzają, co z tobą – odpowiada Brennus.

– Czy zgodzisz się, żeby nam pomogli, jeśli będzie trzeba? – pytam, pozwalając mu wziąć się za rękę.

Brennus korzysta w tym czasie z magii, żeby obrócić w nicość krzewy różane.

– Zrobię wszystko, co będzie konieczne, żeby nie stała ci się krzywda – odpowiada i wyprowadza mnie z Baru Rycerskiego. – Ale pewnego dnia przestaniesz potrzebować cudzej ochrony, bo będziesz dostatecznie potężna. I co wtedy zrobisz? – pyta, gdy idziemy korytarzem w stronę Wieży Północnej.

Powoli wypuszczam powietrze, nie wierząc, że rzeczywiście kiedyś nadejdzie taki dzień.

– Nie wiem. Jestem przyzwyczajona do tego, że ciągle się boję, i nie mam pojęcia, co zrobię, kiedy to się zmieni.

– Dobrze ukrywasz swój strach – odpowiada Brennus, marszcząc czoło i ściskając moje ramię.

– Naprawdę? – Krzywię się.

– Tak, naprawdę. To jedna z tych rzeczy, które w tobie najbardziej podziwiam. I jeszcze to, że potrafisz działać, chociaż przepełnia cię strach. – Brennus się uśmiecha. – Stawiłaś czoło ifritowi właściwie bez broni. Takiej odwagi nie można się nauczyć. Albo się ją ma, albo nie.

– A wiesz, co ja w tobie lubię? – Spojrzenie Brennusa się rozjaśnia, a on sam zaczyna kręcić głową. – Lubię sposób, w jaki mówisz mi o różnych

rzeczach, jakbyśmy byli równi... jak partnerzy. Podoba mi się, że pozwalasz mi brać udział w naradach strategicznych i nie próbujesz mnie uciszać, nie okazujesz mi, że nie jestem dość silna, żeby radzić sobie z tym, co się dzieje.

– Jesteśmy partnerami. A ty jesteś moją królową – odpowiada Brennus.

Moje policzki oblewają się rumieńcami, bo ten tytuł wprawia mnie w zakłopotanie. Ale jakaś inna część mnie jest miło polectana tym, że Brennus traktuje mnie jak osobę zdolną do podejmowania decyzji i wnoszącą swój wkład w rozwiązywanie zadań.

Kiedy zbliżamy się do Wieży Północnej, do Brennusa podchodzi paru koleś. W jednym z nich rozpoznaję Cavana. Spogląda na mnie niepewnie, po czym pochyła się w stronę Brennusa i szepcze mu coś do ucha. Słyszę jedno słowo: „dziewuchy”. Brennus patrzy na niego gniewnie, potem spogląda na mnie i mówi:

– *Mo chroí*, zanim wejdziemy do Wieży Północnej, muszę się zająć pewną sprawą. Zostań tu z Cavanem, a ja załatwię, co trzeba. Możesz poczekać w tamtej alkowie. Wrócę po ciebie.

Prowadzi mnie do wnęki przy oknie, w której stoi mała kanapa.

– O co chodzi? – pytam.

– Drobiazg, zaledwie ból głowy, moja kochana. Zajmie mi to tylko chwilę – odpowiada Brennus, a potem całuje mnie w policzek.

I mówi do Cavana:

– Ona tu zostaje i nikt nie może się do niej zbliżyć, póki nie wrócę.

Cavan kiwa głową i Brennus w ułamku sekundy znika.

Cofam się o kilka kroków i zaczynam się przechadzać obok wejścia do alkowy. Zastanawiam się, co się dzieje. Cavan chodzi po długim korytarzu i pilnuje jednego końca, a inny koleś, którego nie znam, stoi na straży na drugim końcu. Słyszę głosy dobiegające od strony, gdzie stoi Cavan, więc odwracam się w jego stronę. Zatrzymuje trzy młode kobiety usiłujące się do mnie przedostać.

Wyciągając ramiona w kierunku Cavana, kobiety pytają go zmysłowymi głosami:

– Gdzie jest mój król? Gdzie jest Brennus? Potrzebuję go... zbyt długo go

nie było.

Wyglądają na półprzytomne, mają na sobie tylko jedwabne szaty.

– Wiecie, że nie wolno wam tu być. Wracajcie do Południowej Wieży. Tam go znajdziecie – beszta je Cavan.

Dotyka policzków każdej z kobiet i próbuje je skierować z powrotem do Południowej Wieży. Zimno mi się robi, kiedy widzę, jak Cavan odgania te młode kobiety ode mnie.

Patrzę w przeciwną stronę: drugi koleś ma podobny problem. Stado kobiet próbuje wdrzeć się na korytarz w poszukiwaniu Brennusa. Kiedy je widzę wszystkie razem, dostaję gęsiej skórki. Czy ja się staję jedną z nich? – zastanawiam się. Czy straciłam wzrok i nie widzę, kim on jest? W chwili, w której przychodzi mi do głowy ta myśl, czuję trzepotanie w brzuchu, które natychmiast wyłącza wszelkie inne myśli.

Otoczają mnie czarne, obleczone w zbroję ramiona. W jednej chwili zostaję uniesiona w górę i wciągnięta do alkowy, w której nie jesteśmy widoczni dla kolesi stojących na obu końcach korytarza. Kiedy zwracam twarz w stronę Reeda, wydaję ciche westchnienie. Udaje mi się otoczyć ramionami szyję Reeda i go pocałować, po czym kompletnie tracę władzę nad swoim ciałem. Antracytowe skrzydła Reeda stanowią ramę dla jego sylwetki, nadając mu wygląd najpotężniejszej istoty na świecie.

Moje ramiona ześlizgują się z jego szyi, ale Reed wciąż obejmuje mnie mocno i szepcze mi do ucha:

– Użyłem swojej siły przekonywania, żeby namówić ludzi do wyjścia z wieży, gdzie ich trzymają. Potrzebowałem zamieszania, żeby móc cię zobaczyć. Nie mamy dużo czasu, bo moje namowy nie będą działały długo w starciu z uzależnieniem ludzi od Gankanagów. Kobiety znów będą chciały być dotykane, a kiedy już się to wydarzy, posłuchają każdego polecenia – mówi, głaszcząc moje skrzydło.

– Muszę ci powiedzieć coś ważnego – ciągnie Reed. – Upadli są blisko. Jest ich wielu jak nigdy. Są to głównie Upadli archaniołowie i aniołowie Mocy, ale jest też paru Serafinów. Są dobrze zorganizowani i naszym zdaniem szykują się do ataku w ciągu paru najbliższych dni. Zanim do tego dojdzie, muszę cię stąd wydostać. Wiemy, że twój plan zostanie wykonany o północy. – Przekazuje mi najważniejsze informacje. – Zaraz potem bądź gotowa do

wyjścia stąd. Musisz wiedzieć, że portal, który dostałaś od Casimira, działa w obie strony. W żadnym wypadku nie wchodź do niego sama. Jeśli Casimir jakoś do niego wróci, nie wolno ci iść za nim. Mówię poważnie, Evie. Pozwól mu odejść, bo jeśli zdoła cię wciągnąć do Szeolu...

Jego głos brzmi surowo, ale Reed milknie na chwilę i gwałtownie przyciska mnie do siebie, po czym dotyka wargami moich ust.

– Wiem, że wiele potrafisz – szepcze, mając usta tuż przy mojej twarzy i zaciskając mocno oczy, jakby odczuwał ból. – Zostałaś stworzona, żeby chronić i niszczyć. Chcę ci w tym pomóc – dodaje, po czym otwiera oczy, a ja mogę znów podziwiać ich doskonałość. – Po prostu bądź ostrożna. Pamiętaj, proszę, że jesteś w tym wszystkim najważniejsza. Tylko ty się liczysz. Będę tu dla ciebie, gdybyś mnie potrzebowała, moja kochana. Już cię nie zawiodę.

Serce kurczy mi się z żalu, ponieważ Reed nigdy mnie nie zawiódł. Nigdy. Nie chcę ryzykować, że go stracę. Chcę, żeby Gankanagowie razem ze mną zniszczyli Casimira, a Reed pozostał bezpieczny, żeby nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo – myślę. To właśnie jest mój plan. Jeśli Reed zamierza mi pomagać, grozi mu niebezpieczeństwo i ze strony Gankanagów, i Upadłych.

Reed nachyla się do mnie i szepcze:

– Kiedy mnie zobaczysz następnym razem, będziemy wracać do domu, nawet jeśli twoja misja nie będzie zakończona. Będiesz mogła mi wtedy powiedzieć wszystko, co masz w sercu, a ja ci udowodnię, jak bardzo cię kocham. A więc do zobaczenia. Z Bogiem, Evie!

Z końca korytarza słyszę, jak Brennus ostrym głosem wydaje rozkazy Cavanowi. Na ten dźwięk Reed sztywnieje, po czym delikatnie kładzie mnie na kanapie. Jego palce wędrują wzdłuż moich, aż w końcu stykają się tylko opuszkami, a potem Reed znika.

– Genevieve? – woła Brennus, stojąc w wejściu do alkowy. – Wszystko w porządku? – pyta, widząc, jak niepewnie staję na nogi.

Podchodzi, chwyta mnie za łokieć i prowadzi z powrotem do Północnej Wieży.

– Oczywiście – odpowiadam, przymuszając się do uśmiechu. – Udało ci się rozwiązać problem? – pytam z nadzieją, że odwrócę jego uwagę.

– Tak – mówi, a kąciki jego ust opadają. – Wyniesiemy się stąd, kiedy tylko

uporamy się z Upadłymi. Nasza sytuacja ma swoje słabe strony. Wciąż zachowujemy przewagę, ale dlatego, że nasi przeciwnicy nie chcą nas atakować. To się wkrótce zmieni – tłumaczy Brennus, prowadząc mnie w górę kręconymi schodami. – Rozmawiałem z Finnem. Zajął się wszystkimi koniecznymi przygotowaniem. Miałabyś ochotę na cieplejszy klimat?

Kiwam głową i staram się, żeby Brennus nie zauważył, jak bardzo się martwię. A jeśli coś się stanie i aniołowie znów mnie utracą?

– Czy nie będzie ci tam trudniej wmieszać się w miejscowy tłum? – pytam z przekornym uśmiechem, wodząc palcem po bladej skórze jego przedramienia. – Chyba będziemy musieli ci kupić jakiś samoopalacz w spreju.

Brennus uśmiecha się i mówi:

– Na wszystko można znaleźć lekarstwo. Przy tobie otwieram się na różne możliwości.

Wyciąga rękę, żeby założyć mi za ucho kosmyk włosów, który przesłania mój profil. Idziemy razem długim korytarzem.

– Przy tobie znika cała pustka śmierci, *mo chroí*. Możliwość utraty życia staje się mniej ważna niż utracenie ciebie. Tak wyszło, że tylko ty się dla mnie liczysz. Wiem, że i ja nie jestem ci obojętny.

Mam wrażenie, że od jego słów powietrze się rozrzedza i trudniej się nim oddycha. Chcę zaprzeczyć temu, co Brennus mówi, i uciec od prawdy, która jest w jego słowach. Dochodzimy do naszych pokojów i Brennus otwiera przede mną drzwi, po czym starannie je za nami zamyka. Bierze mnie w ramiona i całuje z namiętnością, której w ogóle się nie spodziewałam, po czym podnosi mnie i niesie do sypialni.

Kładzie mnie na łóżku i zajmuje miejsce obok.

– Zaczekaj. – Odwracam od niego twarz i chcę go uspokoić. Czuję, jak próbuje mi zdrzeć spódnicę. Chłodna dłoń zmysłowo muska moje piersi, przyprawiając mnie o dreszcz.

– Nie – odpowiada, ignorując to, że chcę powstrzymać jego pocałunki, którymi mnie obsypuje.

Nie przestaje także, gdy odwracam od niego twarz. Po prostu przesuwa się niżej i w dalszym ciągu, trzymając mnie w ramionach, całuje w szyję.

– Nie jestem gotowa, żeby... – zaczynam, ale milknę, kiedy Brennus zrywa ze mnie koszulę i odsłania seksowną, skąpą bieliznę, którą mam na sobie.

– Jesteś gotowa – odpowiada delikatnie. – Powinnaś poczuć feromony, które wydzielasz. Działają jak narkotyki. Czuję się odurzony. Nie masz pojęcia, jak na mnie działasz... To prawie tak, jakbym próbował twojego smaku – szepcze przy mojej skórze.

Nie wie, że te feromony uwolniły się za sprawą Reeda.

– Ale ja nie mogę... – prawie jęczę i kładę mu rękę na piersi, żeby choć trochę zwiększyć dystans między nami.

– Nie masz wyboru. – Uśmiecha się zmysłowo, całuje mnie i dotyka. – Jesteś moim więźniem.

– Myślałam, że jestem twoją partnerką – szepczę, jakby to był nasz mały sekret.

– To też – odpowiada Brennus. – Jesteś moim więźniem, tak jak ja twoim.

– Och – wzdycham, bo wierzę w to, co powiedział...

Jest moim więźniem, a ja dziwnym trafem zawsze o tym wiedziałam.

– Ale ty do mnie nie pasujesz – mówię.

– Daj spokój, jestem co najmniej zakazanym owocem – odpowiada uwodzicielsko Brennus i dłońmi obrysowuje moją sylwetkę, jakby chciał się nauczyć jej kształtów na pamięć. – Nie jesteś już sama, jesteś częścią tej rodziny. Razem będziemy potężniejsi niż ktokolwiek. – Z coraz bardziej ciemniejszym spojrzeniem Brennus odgarnia mi włosy z twarzy. – Czujesz mnie w swojej krwi? – szepcze pochylony nad moją szyją.

Dotyka mnie chłodnymi wargami, a mój puls przyspiesza.

– Ja czuję cię w kościach. Pragnę twojej niewinności, choć chciałbym ci ją zabrać, żeby móc cię nauczyć tego, co można znaleźć poza nią. Kocham cię, *mo chroí* – szepcze Brennus. – Zawsze będę cię kochał.

Serce bije mi mocno, jakby miało za chwilę wyskoczyć z piersi. Nie chcę kochać Brennusa i nie chcę też, żeby on mnie kochał. Łzy napływają mi do oczu, bo targają mną sprzeczne uczucia, które są dla mnie dodatkowym ciężarem. Te więzi powstały, gdy Brennus zabił dla mnie Alfreda, uratował moich przyjaciół i mnie z rąk ifrita, a także gdy osłaniał mnie przed Casimirem

czy opowiedział o moim ojcu. Ale wszystko to błędnie wobec tego, co czuję do Reeda.

– Wieczność to długi czas, mój aniołku – mówi Brennus niezniechęcony tym, co dostrzega w moich oczach. – Tyle różnych rzeczy może się wydarzyć, jeśli ma się przed sobą wieczność. Z czasem o wszystkim zapomnisz. Musisz po prostu się rozluźnić.

– Nigdy go nie zapomnę – szepczę, czując ból Brennusa, którego odpycham od siebie. – Należę do niego.

W oczach Brennusa narastają złość i rozczarowanie, a jego kły z wyraźnym kliknięciem wysuwają się do agresywnej pozycji.

Trzęsą mi się ręce, bo nie wiem, co Brennus zamierza zrobić: nachyliła się ku mnie i trzyma mnie za ramię. Ścisną je tak mocno, że zaczynam odczuwać ból.

– Jesteś moja. Zawsze będziesz moja i wkrótce się o tym przekonasz. Mogłbym od razu rozwiać wszystkie twoje złudzenia i pokazać ci, co mam na myśli, ale chcę, żebyś sama do mnie przyszła... i prosiła o miłość. Zaczekam na to. Nie każ mi czekać zbyt długo – szepcze, po czym delikatnie całuje mnie w usta i puszcza.

Podnoszę się i opieram na łokciu. Czuję ulgę.

Widząc, jak Brennus odchodzi w kierunku drzwi, pytam:

– A co, jeśli nigdy cię nie poproszę, żebyś mnie kochała?

Sądzę, że nie odpowie mi na to pytanie, ale Brennus zatrzymuje się przy samych drzwiach.

Nie patrząc na mnie, mówi cichym głosem:

– Wtedy cię zmuszę, żebyś poprosiła.



## Rozdział 22

# *Puderniczka*

Kiedy podnoszę wieczko puderniczki, wydobywa się z niej słaby podmuch zatechłego powietrza. Trzymam ją, będąc w łazience, i pozwalam, żeby w lusterku widoczne były kontury mojej twarzy. Potem zaś opuszczam ją niżej, żeby ukazał się ciemnoczerwony jedwab mojej sukni. Kładę puderniczkę na brzegu ogromnej wanny, rozwiązuję pasek swojego stroju i powoli go zsuwam. Tkanina spada na podłogę przed lustrem i układa się w jedwabiste fale przypominające piaskowe wydmy. Przeciagam palcami po powierzchni gorącej wody, która spływa do wanny z ozdobnego złotego kranu. Niespiesznie wsuwam się do wanny.

Ciepło wody sprawia, że twarz oblewa mi się rumieńcem, podczas gdy biała, bujna piana łaskocze skórę, wyzwalając na mojej twarzy zmysłowy uśmiech. Opieram się na brzegu wanny. Biorę do ręki lustro i sprawdzam spinki we włosach, upewniając się, czy wszystkie są dobrze umocowane. Nie chcę, żeby kosmyki włosów wysuwały się i wpadały do wody, która omywa moje nagie ramiona.

Raz jeszcze opieram się na brzegu ogromnej wanny i odkładam puderniczkę na marmurową półkę przy kamiennych schodkach. Zamykam oczy i zaczynam nucić jakąś melodię. Staram się zapanować nad biciem serca, słysząc ciche, trzepoczące dźwięki przypominające odgłosy, które wydają ćmy fruujące wokół lampy na werandzie.

Powoli otwieram oczy i staram się zachować obojętną twarz. Rozglądam się po łazience – wszystkie ściany i sufit są pokryte różnymi owadami. Świerszcze, szarańcza, koniki polne i żuki biegają z wystawionymi czułkami

koło mojego ramienia spoczywającego na brzegu wanny. Powoli wydecham powietrze, jakbym została uderzona w żołądek, a skrzydła wystrzeliwiają na zewnątrz. Z wanny wypływa kaskada wody, zmywając część owadów na podłogę. Insekty natychmiast wlatują w powietrze i przysłaniają światło jak ruchome, rozmyte czarne chmury.

Wirując jak woda przepływająca przez lejek, insekty organizują się w większe skupiska przypominające sylwetki aniołów. Ciemne plamy czarnych świerszczy wybuchają i zlewają się w kształt łypiących okiem Mocnych ze skrzydłami w gołębicim kolorze, jak u drapieżnych ptaków.

Podobnie dzieje się z chrząszczami i konikami polnymi. Ulegają implozji, po czym tworzą przerażająco silne istoty z białymi skrzydłami Archaniołów. Jeden z nich zaczyna nimi trzepotać, przesłaniając prawie całkowicie docierające do mnie światło, i patrzy na mnie. Jego niespieszny, idealny uśmiech przyprawia mnie o szybsze bicie serca. Staram się jednak w żaden sposób nie okazać strachu.

Smród, który się roznosi, nie jest aż tak okropny, jak się spodziewałam. Owszem, Upadli cuchną zgnilizną, ale nie aż tak, żeby mi się chciało wymiotować.

Chyba nie przebywają na stałe w Szeolu – myślę zaskoczona, bo to oznacza, że portal nie prowadzi bezpośrednio do Piekła. Może podejrzewają, że to pułapka, i nie chcą nam otworzyć drogi, którą moglibyśmy dotrzeć do ich królestwa.

Kiedy szarańcza spada na podłogę, wpełzając jedna na drugą i tworząc nieforemne kształty, nie mogę myśleć o niczym innym jak tylko o różnych scenariuszach zabijania. Ale wtedy z wirującego chaosu wyłania się lekceważący wyraz twarzy Casimira, a jego idealne rysy ani trochę nie zdradzają tego, o czym myśli.

Gdy spotykam się z nim wzrokiem, Casimir w pełni rozkłada szkarłatne skrzydła, tak jak poprzednio Archanioł, i pokazuje swoją dziką moc. Oblewam się jeszcze intensywniejszym rumieńcem, bo chociaż nie wiem, co dokładnie oznacza ten pokaz potężnych skrzydeł, rozumiem, że nie jest to dobry znak. Strach powoduje, że chcę wyskoczyć z wody i przedrzeć się do drzwi. Dobrze, że ten sam strach paraliżuje mi nogi, więc nie mogę iść za impulsem, który prawdopodobnie kosztowałby mnie życie.

– Szarańcza... to do ciebie pasuje, Casimir – mówię cichym głosem, opierając się znów nonszalancko o wannę. – Rzeczywiście kojarzysz mi się z plagą. Powinniście z kolegami spróbować czegoś mniej obrzydliwego... Może na przykład świetliki. Świerszcze są w porządku. Niektórzy ludzie uważają, że przynoszą szczęście. – Patrzę na przerażającego anioła Mocy, który nie spuszcza ze mnie oka. – Muszę powiedzieć, że w twoim przypadku, Mocny, świerszcze nie wróżą nic dobrego. Chciałabym wiedzieć, w jaki sposób zachowujesz na ciele zbroję, kiedy zmieniasz kształty. Ja zawsze przy tym kończę całkiem nago. Zbroja jest niezbyt wygodna.

– Czy to taki twój sposób, żeby grać na zwłokę i wymyślić, którą mogłabyś uciec? – pyta Casimir łagodnym głosem. Wygląda na nieco bardziej zadowolonego, niż kiedy widziałam go poprzednio.

– Wiem, którą uciekać. – Opieram się o boczną część wanny i kładę rękę na jej brzegu. – A ty? – Unoszę brew i staram się zapanować nad oddechem, bo moje serce gna coraz szybciej.

– Znajdźcie go i przyprowadźcie tutaj – mówi Casimir, stojąc nieruchomo na środku łazienki.

W jednej chwili Archanioły wychodzą z łazienki drzwiami prowadzącymi do mojej sypialni. Casimir podchodzi do wanny i kuca, tak że jego oczy są niemal na poziomie moich. Dotyka kropelki wody na moim ramieniu, potem palcem podąża mokrą ścieżką w dół i swoimi brązowymi oczami – wyglądającymi jak drogocenne kamienie – bacznie mi się przygląda.

– Szukasz kogo? – Staram się nie poruszyć, śledząc wzrok Casimira omiatającego każdy centymetr mojej nagiej skóry.

– Powinnaś spytać: „Kogo szukasz?” – poprawia mnie Casimir i wyciąga rękę, żeby pobawić się moimi włosami. Jego źrenice lekko się rozszerzają, kiedy wyjmuję jedną ze spinek i wypuszcza ją z ręki.

Czuję, jak twarz jeszcze bardziej mi czerwienieje, kiedy ten potwór poprawia mój wygląd. Nie mogę jednak wypaść z roli, więc pytam:

– Kogo szukasz?

– Twojego pana – odpowiada Casimir.

– Ja nie mam pana – ripostuję.

– Masz zbyt wielu panów. Jestem tu po to, żeby zacząć naprawiać twoją

sytuację – mówi, przenosząc wzrok na moje skrzydła, które ze wszystkich sił staram się utrzymać w bezruchu, by nie zdradzały moich prawdziwych myśli.

– Więc zjawileś się tu, żeby mi pomóc? – pytam spokojnie, a kąciaki ust Casimira unoszą się jeszcze bardziej.

Wiedziałam, że konfrontacja z nieznanym współczucia aniołem będzie trudna, ale kiedy czuję na policzku jego oddech, mam ochotę skulić się ze strachu.

– Przyszedłem sprawdzić, czy warto cię ratować... Czy zostałeś już tak splamiona, że jesteś nie do uratowania – odpowiada Casimir obojętnym tonem, jakby było mu wszystko jedno. Gdy jednak bada mnie wzrokiem, jego opalona na złoty kolor idealna skóra staje się lekko czerwona.

Wykrzywiam usta w uśmiechu.

– Dobierasz słowa w sposób... interesujący – mówię cicho, opierając podbródek na skrzyżowanych ramionach na brzegu wanny. – Więc jaka decyzja, szefie? Jestem tego warta? – Staram się nie wstrzymywać oddechu w oczekiwaniu na jego odpowiedź.

– To nie takie proste – odpowiada, wciąż mi się przyglądając. – Zasłużyłaś na pewien szacunek za to, że nie stchórzyłaś, kiedy się zjawiliśmy, ale to niewielki sukces.

– Nie mam nic przeciwko egzaminom – odpowiadam możliwie obojętnym tonem, bo wiem, że Upadli nie szanują niczego poza siłą i okazywanie im strachu jest jak błaganie o śmierć. – Moje życie wydaje się składać z niekończącej się serii egzaminów.

– Tak, można powiedzieć, że osiągasz świetne rezultaty, kiedy stajesz przed różnymi wyzwaniem – przytakuje Casimir. – Jesteś śliczną małą kokietką, z wielką umiejętnością przystosowywania się. To coś nowego. Nie ma w tobie nieczułości charakterystycznej dla większości podobnych aniołów. Jestem przekonany, że coś musisz odczuwać, kiedy zabijasz – mówi, jakby mnie dobrze znał.

– A ja jestem przekonana, że kiedy zabiję cię, nie przejmę się tym wcale – odpowiadam z uśmiechem, starając się okazać bezczelność, która wydaje się przyciągać te potwory.

Casimir wygląda na szczerze ubawionego moim komentarzem. Uśmiech

rozlewa się na jego twarzy.

– W twoich ustach brzmi to zbyt niewinnie. Ale trudno jest okazywać godność, kiedy pełźnie się po ziemi. Padłaś łupem niższej rasy. Jestem tu po to, żeby ci pokazać, jak błędną drogę obrałaś. My się przed nikim nie płaszczymy. Nikomu nie pozwalamy robić z nas swoich piesków.

– Casimir, tu nie ma żadnego „my”. Jesteś ty i jestem ja – odpowiadam. – Na jakiej podstawie miałbyś kiedykolwiek twierdzić, że jestem jedną z was? – pytam i słyszę, jak anioł Mocy, który obserwuje naszą rozmowę, zaczyna chichotać, jakby mój komentarz go rozbawił.

Przenoszę wzrok na jego twarz – puszcza do mnie oko, a jego wargi układają się w całus. Na myśl o tym, że miałby mnie dotknąć, ogarnia mnie panika. Nabieram powietrza i staram się uspokoić. Krzywię się, po czym znów spoglądam na Casimira.

– Spotka cię wielkie szczęście, jeśli pozwolimy ci stać się jedną z nas. Chodziło mi po prostu o to, że Serafini nie pozwalają panować nad sobą nikomu innemu – tłumaczy mi cierpliwie Casimir.

– Więc czego ty ode mnie chcesz, Casimir? Chcesz mi przekazać, że czujesz się dotknięty towarzystwem, w którym przebywam. I coś jeszcze? – pytam bez emocji i próbuję ukryć fakt, że jest to najważniejsze pytanie, jakie kiedykolwiek w życiu zadałam.

– Jest w tym pewna nauka, Genevieve. Informacja kosztuje. Ktoś, kto zna odpowiedzi, zawsze jest wysoko ceniony. Ja nie wymieniam rzeczy cennych na byle co. Tylko na coś, na czym mi naprawdę zależy – odpowiada Casimir.

– A co to jest? – Unoszę brwi.

– Ty – rzuca Casimir, a mnie włosy na ciele stają dęba.

– Co takiego? Nie mów, że pragniesz mojej duszy tak jak Alfred. Czy naprawdę sądzisz, że wpuszczą cię z powrotem do Raju z kradzioną duszą? –

Spoglądam w górę na sufit, a potem znów na jego piękną twarz, jakby był szalony.

– A dlaczego sądzisz, że chciałbym tam wrócić, do miejsca, gdzie byłbym i tak obywatelem drugiej kategorii? Służącym istot niższych? – dopytuje Casimir, przechylając głowę na bok, jakby oceniał logikę mojego rozumowania.

– No więc jeśli nie Raj, to co jest twoim celem? – pytam, bawiąc się bąbelkami piany, którą trzymam na dłoni.

Usiłuję nie okazać, że jego słowa mnie niepokoją, ale moi rozmówcy pewnie i tak to już wiedzą, bo krew całkiem odpływa mi z twarzy.

– Dlaczego myślisz, że Boskim zależy na tobie? – Casimir odpowiada mi pytaniem na pytanie.

– Bo mnie lubią. – Wzruszam ramionami, udając głupią.

Prawdziwa odpowiedź jest taka, że traktują mnie jak broń – potężną broń, która ściąga ich ofiary, czyli Upadłych.

– No jasne, że cię lubią. – Twarz Casimira nie wyraża żadnych emocji. – Ale dlaczego cię lubią?

– No, cóż... Jestem zabawna. – Słyszę, jak anioł Mocy stojący za Casimirem wybuchą śmiechem. Robię więc w jego stronę gest mający oznaczać „No jasne!”.

– Nie, wymigujesz się od odpowiedzi. Jeśli nie chcesz wiedzieć, to nie pytaj – mówi Casimir z obojętną miną.

– Jestem ich nową ulubioną bronią. – Patrzę mu w oczy, a jego wzrok odrobinę łagodnieje.

– No właśnie – szepcze. – Ale czy zauważyłaś, że jesteś dla nich tym samym, czym dla nas? Jesteśmy tacy sami, Boscy i Upadli. Nie różnimy się fizjologią. Wszyscy jesteśmy aniołami.

– Więc mogę być strzelbą w dowolnych rękach – dopowiadam. – Jeśli to ty naciśniesz spust, będę twoją bronią.

Casimir wzrusza ramionami.

– Sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana, ale jeśli chcesz ją opisać językiem laika, mogę ci przyznać rację. Rozważ różne możliwości, które dotyczą ciebie. Są właściwie niezliczone. Jeśli my będziemy mogli wabić do nas Boskich, uzyskamy przewagę. Jeśli zdołamy ci przedstawić sytuację z naszej strony, bo przecież zawsze są dwie strony medalu, być może zrozumiesz nasz punkt widzenia. A jeśli nie, może uda się to Boskim. Widzisz? Jesteś początkiem nowej rasy. Jaki masz cel? Chcesz nas wszystkich zastąpić? Jak, twoim zdaniem, zareagują Boscy na to, że mieliby zostać zastąpieni? Myślisz, że to docenią? – pyta mnie Casimir, a ja nie potrafię powstrzymać

przeszywającego mnie dreszczu.

Jeśli Upadli zdołają mnie przedstawić jako wroga Boskich, być może przekonają ich, żeby się zjednoczyć... Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. To brzmi absurdalnie, ale już kiedyś ifrity zmieniły strony. W ich świecie to się ciągle zdarza – myślę i robi mi się zimno.

– Co zrobią ludzie, jeśli nie będą już uprzywilejowani? Jeśli zostaną wyparci przez ciebie? – ciągnie Casimir i najwyraźniej bawi się efektem, jaki wywierają na mnie jego rozważania. – Niezależnie od tego, w co wierzysz, jesteś tak naprawdę sama we wszechświecie. Jesteś jedynym istniejącym przedstawicielem swojego gatunku.

Ależ nie... Mam Russella – staram się ukryć tę myśl przed Casimirem. – Co on robi, jeśli się dowie o Russellu? Czuję się otępiała i opuszczam wzrok, żeby ukryć przed Casimirem Russella.

– Sądzisz, że jestem ostrzeżeniem od Boga? Groźbą? – szepczę tajemniczym tonem, którego używam, kiedy wydaje mi się, że nikt mnie nie słyszy.

Spoglądam ponuro znad wody na twarz Casimira. Jego idealne uniesione brwi się prostują.

– Kuisz mnie – mówi z podziwem w głosie. – Jesteś istotą bardzo niszczycielską. To, że uczyniono cię kobietą, jest absolutnie genialne. Gdybyś była mężczyzną, nie przetrwałabyś tak długo – stwierdza z niezachwianą pewnością siebie.

– No to mam szczęście – mamrocę drętwo.

– Groźby działają w obie strony, Genevieve. Wkrótce staniesz się śmiertelnym zagrożeniem. Będziesz mogła stawić czoło każdemu, kto znajduje się w Raju... każdemu – mówi cicho Casimir i obserwuje moją reakcję.

Zastygam na chwilę w bezruchu.

– Teraz opowiadasz głupoty. – Czuję, jak strach ściska mi gardło.

– Naprawdę? – pyta z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. – Zostałaś wyposażona w broń, której nikt z nas nie ma. Podejrzewaliśmy, że kiedyś staniesz się potężna. Ale zobaczyć, jak zaczynasz sobie zdawać sprawę z tego potencjału, to... to wielka pokusa.

Ziewam, naśladując Brennusa, który tak reaguje, gdy ktoś wypowiada

słowa mające go zdenerwować.

– Moc jest przereklamowana. Słyszałeś kiedyś takie powiedzenie: „Głowa, która nosi koronę, jest ciężka”? – pytam. – Nie tęsknię za tego typu władzą. Jest wyczerpująca.

– A starania, żeby przetrwać kaprysy innych, nie są? – docieka Casimir.

– Wolę to niż rządzenie innymi – odpowiadam całkiem szczerze.

– Niebezpieczna postawa – szepcze i po raz pierwszy pokazuje mi szczery uśmiech.

Jest doskonale piękny ze swoimi złotymi włosami i przystojnym obliczem, ale to nic więcej jak tylko oblicze. W pewnej chwili mówi coś w języku aniołów do Mocnego znajdującego się z nami w łazience. Tamten spogląda na drzwi i zbliża się do mnie z wilczym grymasem na twarzy.

– Co wy robicie? – pytam spokojnym głosem, ale czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

– Jesteśmy gotowi do drogi. – Casimir prostuje się i staje nade mną obok wanny. – Altair będzie ci towarzyszył w drodze przez portal.

– Myślałam, że wysłałeś Archaniołów, żeby znaleźli Brennusa – stwierdzam i widzę, że spojrzenie Casimira ciemnieje.

– Przyprowadzą go do nas. Spróbujemy mu uświadomić, że w jego najlepszym interesie jest zerwać z tobą kontrakt. Jeśli tego nie zrozumie, poczuje to. Dla ciebie nie będzie to dobre, jeśli zostaniemy zmuszeni, żeby tak to załatwić, ale wydaje się, że bez problemu się adaptujesz do różnych sytuacji – odpowiada Casimir beztrąsko, jakby mój ból był całkiem nieważny.

– Więc uznałeś, że jestem warta, by mnie ratować? – Zanurzam ręce w wodzie, żeby nie mógł po nie sięgnąć i mnie wyciągnąć. – Zmieniasz poglądy jak ja stroje.

– Jak to? – pyta, a Altair zatrzymuje się przy wannie, żeby usłyszeć moją odpowiedź.

– Rozważni, których tu nasłałeś, próbowali mnie zabić – odpowiadam.

– Tak, a ty w rewanżu prawie wszystkich ich wyłukłaś – stwierdza Casimir z błyskiem w oku. – Gdybym miał prawo tylko do jednego życzenia, poprosiłbym o to, żeby znaleźć kogoś takiego jak ty.



– A gdybyś był monetą, wrzuciłabym cię do kanału, nie wypowiadając żadnego życzenia – odpowiadam.

– Dobrze, robię poprawkę. Nie chodziłoby o kogoś takiego jak ty, ale o ciebie – mówi bez swojej zwykłej pogardliwej miny.

– A co ja takiego szczególnego teraz powiedziałam? – pytam zdesperowanym głosem, kręcąc zdezorientowana głową. – W ogóle cię nie rozumiem.

– Nikt do nich nie mówi tak jak ty – wtrąca się Altair z uśmiechem.

– Czyli jak? Ustami? – pytam ironicznie.

– Odważnie... bez strachu. Jeśli ktoś tak robi, zwykle nie ma już potem okazji odezwać się jeszcze raz. – Altair wyciąga w moją stronę rękę, żebym ją złapała, by wyjść z wanny. Jego oczy ciemnieją, być może w oczekiwaniu, że za chwilę zobaczy, jak naga wynurzam się z wody.

– Altair, a dlaczego miałabym się go bać, skoro zamierzam go zabić – pytam, nie zwracając uwagi na wyciągniętą rękę.

– A dlaczego miałabyś tego chcieć, skoro ja zamierzam cię uwolnić od Gankanagów? Teraz ja będę twoim panem... – zaczyna Casimir.

Przerywam mu.

– A skąd ci przyszło do głowy, że pozwolę ci zrobić z siebie niewolnicę? – pytam, zirytowana jego wyraźną arogancją.

– A jak mnie powstrzymasz? – ripostuje.

– Tak, że będzie bolało. – Moje słowa wywierają na nim wrażenie.

Z twarzy Casimira zniknęła poprzednia znudzona mina.

– Dlaczego moje przywództwo miałoby być dla ciebie bardziej obrzydliwe niż obecne kłopoty? – pyta.

– Bo ty coś mi ukradłeś – odpowiadam.

– Nie mam niczego, co by należało do ciebie. – Casimir odpowiada zdziwiony i w piękny sposób marszczy swoje idealne czoło.

– Ukradłeś mi kawałek serca – mówię, czując ucisk w gardle. – Nasłaaś Alfreda, który zamordował mojego wujka.

– Masz na myśli człowieka, który cię wychował? – pyta Casimir, rumieniąc

się.

Najwyraźniej bawi go moja potrzeba zemsty.

– Tak, właśnie jego – potakuję i czuję, że przegrywam walkę o kontrolę nad własną nienawiścią.

– Ale przecież to był tylko człowiek. Oni wszyscy w końcu umierają. Muszę przyznać, że niektórzy w bardziej makabrycznych okolicznościach od innych. Każdy człowiek chce trafić do Nieba, ale żaden nie chce umierać. Możesz uznać, że posłaliśmy go do Nieba, wyręczając w tym ciebie. Teraz już zawsze będziesz wiedziała, gdzie jest.

– Joe Louis tak powiedział o Niebie – rozpoznaję te słowa jako cytaty ze słynnego boksera z Detroit.

– Tak, wiem. Przeczytałem to w jednym z twoich szkolnych wypracowań – mówi Casimir, wywołując na moich ramionach gęsią skórę.

Niegodziwy zwyrodnialec – myślę całkiem zmrożona.

– Joe powiedział jeszcze inne zdanie. – Czuję, jak w wodzie coś ociera się o moją stopę. – Powiedział: „Każdy musi się pogodzić z tym, że kiedyś zostanie pobity”. Może twój czas nadchodzi, Casimir? Może już niedługo.

– Ach, Genevieve, z przyjemnością pokażę ci twoje miejsce. Naprawdę czekam na to bardzo podekscytowany. Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś poczuję takie emocje – mówi z anielskim uśmiechem, który pozostaje w wyraźnym kontraście z jego złowieszczy tonem.

– A gdzie jest moje miejsce? – pytam, czując niesmak.

– Pode mną. – Uśmiecha się, a ja wiem, że „pod nim” rozumie dosłownie.

Te słowa sprawiają, że strach oblewa mnie jak lodowata woda, ale nie mogę okazać, jak bardzo się boję.

– Altair, masz zamiar mu pomagać? – zwracam się do Mocnego, który nie potrafi ukryć swoich pragnień.

Zarówno Altair, jak i ja zamieramy w bezruchu, kiedy słyszymy cichy śmiech rozbawionego Casimira. Śmiech jest zniewalający, głęboki i... szczery. Zdumienie na twarzy Altaira sugeruje, że chyba nigdy wcześniej nie słyszał śmiejącego się Casimira.

– Całkiem mnie skołowałaś. – Casimir się uśmiecha. – Nie mogę się

zdecydować, co mam z tobą zrobić. Czy pokazać ci dziką stronę twojej natury... Sprowadzić cię na pierwotny poziom tego, czym jesteś? – zastanawia się, delikatnie unosząc brwi. – Mogłabyś stać się platformą, na której zaczęłyby rosnąć. Ale najpierw musiałbym cię poskromić, bo na razie jesteś piękna, ale bezwstydna. Będę musiał cię nauczyć reagowania tylko na mnie – mówi z wyrazem przebiegłości na twarzy zaakcentowanym zmrużeniem oczu w kącikach.

– Altair, czy on zawsze tak mówi? – pytam, znów się krzywiąc. – Uwielbiam, jak dobiera słowa... „Piękna, ale bezwstydna...” Jakby był nieświadomy tego, jak te słowa pasują do niego samego.

Altair uśmiecha się do mnie.

– Nigdy nie zdoła cię utrzymać przy sobie, Serafinie – odpowiada Altair niemalże z czcią, ponownie wyciągając ku mnie rękę. – Inne Serafiny będą o ciebie walczyły, kiedy tylko cię zobaczą... Możesz się okazać tą, która... – Altair milknie, gdy słyszy, jak Casimir wydaje z siebie cichy, przerażający pomruk.

W chwili, w której to robi, Brennus wysuwa z wody rękę i pewnie chwyta ramię Altaira, po czym wyłania się z wanny cały i przysuwa ociekającą twarz do poblądłego oblicza Altaira.

Woda spływa z podbródka na bladą, gołą pierś Brennusa, który mówi do mnie:

– Całe szczęście, że jestem już martwy i tak naprawdę nie muszę oddychać, *mo chroí*. Miałaś zamiar rozmawiać z nimi cały wieczór? – pyta, nie patrząc na Altaira, który ma głupkowatą minę, ale bezpośrednio na Casimira.

Twarz Brennusa ciemnieje z gniewu.

– Zabij go – rozkazuje Altairowi.

Altair natychmiast się prostuje i odwraca w stronę Casimira. Wyciąga dwa groźne sztylety z pochew przypasanych do bioder. Przypomina przy tym uzbrojonego bandytę dobywającego broni, którą nosi u boku.

W chwili, kiedy Altair rzuca się na Casimira, ten robi ledwo widoczny ruch, dzięki któremu chwyta nadgarstki napastnika i powstrzymuje atak. Wygina przeguby Altaira tak mocno, że pękają, a broń w jego dłoniach obraca się w kierunku atakującego. Casimir wykorzystuje zmianę kierunku ruchu

Altaira do przebicia jego zbroi dłuższym sztyletem. Potem ciągnie sztylet w górę, rozpruwa anioła Mocy, a jego wnętrzności wypadają na posadzkę. Casimir nie zadowolona się tym. Mocno chwyta sztylet i odcina głowę Mocnemu, podtrzymując go w pozycji stojącej.

Doznaję szoku, czując zapach krwi wypełniający łazienkę i widząc bezgłowego Altaira opadającego na kolana. Właśnie wtedy uświadamiam sobie, że obmyślenie planu i jego wykonanie to dwie bardzo różne rzeczy. Brutalność sceny śmierci Altaira sprawia, że przez ułamek sekundy się waham. Kiedy ten stan mija, wyciągam w górę ramiona, trzymając w nich wyjęty z głębi wanny mokry, gotowy do użycia, w pełni automatyczny pistolet wraz z różnymi odlotowymi i zabójczo groźnymi bajerami.

Opieram broń na ramieniu, celuję w Casimira i naciskam spust. Z lufy wydobywa się grad kul, który pokrywa ciało mojego przeciwnika. Kiedy pierwszy pocisk penetruje jego udo, a krew tryska na ścianę, na moich ustach pojawia się delikatny uśmiech.

Chwilę później ten uśmiech znika, bo Casimir dosłownie rozpada się na rój szarańczy.

– Nie – szepczę, widząc, jak moje kule rozpierzchają się między fragmentami ciała Casimira.

Wrzucam broń do wody i wyskakuję z wanny. Z cienkiego kombinezonu opinającego moje ciało kapie woda. Uciekam z roju fruwających owadów. Uderzam rękami wokół siebie, ale w pewnej chwili sylwetka Casimira utworzona przez szarańczę przewraca mnie na podłogę. Upadam na toaletkę, wyracam buteleczki z perfumami i tłukę lustro na małe kawałki.

Przez chwilę jestem otumaniona i jedyne, co słyszę, to trzepotanie setek małych skrzydełek sprawiających wrażenie, że są zrobione z papieru. Potem rój wydaje z siebie przejmujący owadzi odgłos. Zatykam uszy, bo ogłuszający dźwięk przypomina mi koncert owadów w letnią noc, tyle że bardzo GŁOŚNY.

Odrywam jedną rękę od ucha, chwytam długi odłamek lustra i jednocześnie staję na nogi. Zaglądam do wanny, gdzie siedzi zgięty w pół Brennus, który też próbuje zatkać sobie uszy i odciąć się od intensywnego hałasu. Obok niego na brzegu wanny leży puderniczka z otwartym wieczkiem.

– WYNOCHA! – krzyczę, patrząc, jak rój szarańczy znika w portalu, który w wyniku mojego przeoczenia nadal jest otwarty.

Hałas cichnie natychmiast, kiedy ostatnia szarańcza znika w lusterku. Stoję wyprostowana i mam ochotę krzyczeć z wściekłości. Wypuszczam z ręki kawałek szkła, który spada na podłogę i rozbija się z głośnym brzękiem.

Brennus wychodzi z wanny i wpatruje się w moją bladą twarz. Pochyliłam się i opieram dłonie na kolanach, próbując uspokoić oszalały oddech.

Nie udało mi się – myślę z wściekłością.

– To nie była ostatnia okazja, żeby go zabić, *mo chroí*. – Brennus stara się mnie pocieszyć. – On na razie daleko nie odejdzie.

– Wiem – dyszę. – Ale może to była najlepsza okazja, jakiej mogliśmy oczekiwać.

– Czy usłyszałaś wyjaśnienia, na których ci zależało? – pyta Brennus, widząc wyraz bólu na mojej twarzy.

Wzruszam ramionami.

– Może... Nie wiem. To kłamca i dobry specjalista od wizerunku, więc... Nie wiem.

Drzwi od łazienki otwierają się i do środka wpada Declan z dwoma Archaniołami, którzy potulnie za nim podążają.

– Uciekł – stwierdza Declan. Rozglądając się, spostrzega na podłodze Altaira.

Lekko trąca stopą pokawałkowane ciało, jakby chciał się upewnić, czy anioł jest istotnie martwy.

– Wróci – mówi do mnie pocieszającym tonem, tak jakbym zgubiła ulubione zwierzątko. – Może mógłbym pomóc?

Declan odwraca się do Archaniołów.

– Zniszczcie Casimira i przynieście mi jego ciało – rozkazuje.

Archanioły natychmiast rozpadają się na chrząszcze i koniki polne. W mgnieniu oka wnikają do lusterka puderniczki.

– Myślisz, że to zadziała? – pytam Declana z niewielką nadzieją w głosie.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem, ale warto spróbować.

Prostuję się i mam zamiar mu powiedzieć, że powinien trochę osładzać

swoje odpowiedzi, gdy nagle czuję ruch w powietrzu. Na początku jest bardzo subtelny, objawia się zaledwie jakimś zawirowaniem wokół mnie. Chwilę później kawałki szkła na podłodze zaczynają tańczyć, pozostałe w moich włosach spinki obluźwiają się, a włosy same przybliżają się do puderniczki. Potem rzucam się do przodu, żeby złapać się kranu przy zlewie, bo moje nogi nagle unoszą się w górę.

Wszystkie przedmioty w łazience zaczynają wirować i spadać z półek, zmierzając ku otwartej pudernicze. Wygląda to jak czarna dziura, która otworzyła się i teraz wsysa do środka całą zawartość mojego otoczenia. Podążają ku niej wszystkie buteleczki z perfumami, odkształcają się i skręcają, tworząc rozmaite kształty – tak jak drobinki barwnika spożywczego wpuszczone do wody tworzą różne kolorowe smugi – po czym wpadają do portalu.

Palce ześlizgują mi się po gładkiej powierzchni kranu. Desperacko odwracam głowę i patrzę, czy mam w zasięgu ręki coś innego, czego mogłabym się przytrzymać. Declan znalazł się w podobnej sytuacji. Klamka do drzwi gnie się w jego rękach, w miarę jak wciąga go siła potężnego wiru powietrznego.

– Ożeż! – krzyczy Eion od drzwi, ciągnąc do siebie Declana, którego chwycił za rękę.

Czuję, że jedna dłoń ześlizguje mi się z kranu. Zostaję odwrócona twarzą do lusterka-portalu. Brennus trzyma się brzegu wanny. Jeśli go puści, będę załatwiona, podobnie jak i on. Zabiją go, kiedy tylko go dopadną, a ja też zginę. Casimir – po tym jak wpakowałam mu kulę – pewnie zmienił już zdanie co do utrzymania mnie przy życiu.

Wiedząc, że ogień nie robi Brennusowi krzywdy – inaczej niż aniołom – staram się przyciągnąć do siebie część energii znajdującej się w łazience. Palce zaczynają mi krwawić, bo wrzyna się w nie metal kranu, którego wciąż się trzymam. W desperacji szepczę słowa, które najpewniej nie mogą być usłyszane w pomieszczeniu, gdzie tak głośno huczą powietrzne wiry:

*Gdy spiskujesz, miłość płonie,*

*Ogień czasem parzy w dłonie...*

Wtedy rozpala się ogień, który wirując i kreśląc spirale, przybliża się do lusterka puderniczki jak ogon komety. Kilka sekund po tym, jak ogniowe piekło

wpełza do portalu, prąd powietrza gwałtownie ustaje. Spadam na podłogę. Leżę bezwładnie, ciężko dysząc.

Brennus bierze do ręki otwartą puderniczkę i zatrzaskuje z ponurą miną. Rzuca ją Declanowi, po czym podnosi mnie z podłogi i mocno przyciska do swojej chłodnej piersi.

– Zapomniałaś powiedzieć, że mogą próbować nas do siebie wciągnąć – mówi, ściskając mnie coraz mocniej.

– Przepraszam. Jestem początkująca. Proces uczenia się przebiega dość brutalnie – mamroczę i zaczynam się trząść w jego ramionach.

– To prawda – potwierdza Brennus ze współczującą miną. – Declan, chciałbym parę takich portali. Sprawdź, czy dałoby się je gdzieś skombinować – mówi.

Zanosi mnie do sypialni i okrywa ręcznikiem, a potem sadza na jednym z pluszowych foteli.

– Musisz się szybko przebrać. Opuszczamy to miejsce.

Spoglądam na Brennusa. W tej samej chwili w drzwiach sypialni zjawia się Finn.

– Upadli są blisko. Są z nimi Kewewi – mówi Finn urywanymi zdaniami.

– Mają jeszcze jakichś sojuszników? – pyta szybko Brennus, nie spuszczając mnie z oka.

Szybkimi ruchami rozciera moją skórę ręcznikiem i stara się mnie rozgrzać, bo wciąż się trzęsę. Nie jest w stanie mi zbytnio pomóc, bo chłód jego rąk przenika przez tkaninę. W końcu zdaje sobie z tego sprawę i się poddaje. Podchodzi do szafy i wyciąga wygodne ubrania: dżinsy i koszulkę znanego domu mody oraz skórzane buty sięgające prawie do kolan. Niesie mi to i kładzie na nogach. Wstaję z fotela i szybko się przebieram, stojąc tyłem do obecnych w sypialni, bo jest oczywiste, że nie zostawią mnie teraz samej ani na chwilę.

Finn nadal przekazuje Brennusowi informacje o sytuacji.

– Upadli mogli zwerbować także Inikwich... Wiesz, jacy oni są śliscy.

Czuję, jak po plecach przebiega mi dreszcz. Kiedy jestem już przebrana, zaciskam palce na ramieniu Brennusa. Z nerwowym drżeniem w głosie pytam:

– Inikwi? Kto to są Inikwi? Czym się zajmują? Jak się ich zabija? Kim są Kewewi? Czy są groźni?

Brennus bada mnie wzrokiem.

– Cśś, *mo chroí*, wszystko w porządku – uspokaja mnie łagodnym tonem.

– Brennus, kiedy ktoś mówi mi, że wszystko jest w porządku, zwykle oznacza to, że jesteśmy w kiepskiej sytuacji. – Wpatruję się w jego twarz i szukam w niej odpowiedzi.

– Nie jesteśmy w kiepskiej sytuacji... Po prostu nie jesteśmy całkiem bezpieczni – mówi swobodnym tonem.

Mrużę oczy i powtarzam pytanie, tym razem z groźbą w głosie:

– Co to znaczy Kewew?

Nie chciałabym, żeby takie coś na mnie skoczyło.

– To coś takiego jak... – Brennus patrzy w górę, szukając w głowie odpowiednich słów. – Finn, czy powiedziałbyś, że oni są jak ogry, ale nie tak duże i tak śmierdzące...? – milknie, wpatrując się w Finna.

– Tak – zgadza się Finn, potwierdzając to szybkim skinieniem głowy. – Mają taką samą szarą skórę i są z grubsza podobnej budowy. Wiesz, co mi przypominają, kiedy zakładają te swoje lateksowe kombinezony podobne do ludzkiej skóry? – pyta Finn tonem zwykłej konwersacji.

– Co? – interesuje się Brennus.

Finn grozi mu palcem.

– Tych ludzkich huncwotów skaczących po macie na ringu... No tych, których widzieliśmy podczas wieczornych walk – wyjaśnia kwaśno Finn.

Brennus wydaje się zdumiony.

– Och, oni nie walczyli naprawdę! – podsumowuje z niesmakiem. – Straciliśmy tylko czas. Nie było rozrywania na strzępy, żadnej prawdziwej krwi wartej wspomnienia... – Brennus milknie, kiedy słyszy, jak odchrząkuje. – Mieli na sobie kobiece stroje... – dodaje, jakby poczuł się zdezorientowany tym wspomnieniem.

– Czyli wyglądają jak uczestnicy... no... profesjonalnych zapasów? – pytam, a oni obaj w odpowiedzi wyciągają w moją stronę palce i potakują. – Jeszcze jakieś szczególne cechy? – pytam szybko.



– Są znani z brutalnej siły, żadnej magii. No i trzeba trzymać się z daleka od ich oddechu – radzi Brennus.

– Dlaczego? Czy oszołamia ich ofiary?

– Nie, po prostu cuchnie. – Brennus wzrusza ramionami.

– A kim są Inikwi? – przechodzę do drugiego nieznanego mi gatunku.

Finn marszczy brwi.

– Kiedyś byli ludźmi, ale mieli słabe dusze, więc zostali przejęci przez demona – wyjaśnia.

– Masz na myśli człowieka-cienia? – pytam, a on unosi brwi, nie rozumiejąc, o kim mówię. – No wiesz... kiedy diabelska dusza z Szeolu napada na ludzką istotę i w niej zamieszkuje... Nazywam ich ludźmi-cieniami – wyjaśniam.

– Genevieve, mówimy, że tacy ludzie są nawiedzeni. – Finn potrząsa głową. – To coś innego. Po pierwsze to, co w tym wypadku trafia do ludzkiej postaci, nigdy wcześniej nie było ludzkie... To nie ma duszy. To prawdziwy demon i człowiek nie musi być wcale żywy, żeby to w nim zamieszkało... Zdarza się to z nieboszczykami – wyjaśnia, a ja coraz bardziej rozszerzam oczy. – Można powiedzieć, że oni są „skrajnie niesłuszni”.

Robi mi się sucho w ustach, więc zadaję kolejne pytanie, tym razem trochę podniesionym głosem.

– A silni są?

– Tak, silni – odpowiada bez wahania Finn. – Są niewiarygodnie silni i działają jak jeden organizm, polując na swoje ofiary w stadach. Jeśli widzisz jednego, to znaczy, że w pobliżu jest paru innych, których nie widzisz.

– Jak można ich zabić? – pytam zdyszczanym głosem.

– Wydrzyj im serce, a umrą, ale musi to być serce diabła, a nie człowieka. Wszelkie inne sposoby na nich nie działają: Inikwi wrócą, żeby cię zabić. Dlatego mówię, że sprawa z nimi jest śliska. Wyglądają na martwych, bo ludzki gospodarz może już nie żyć, ale to wcale nie wpływa na Inikwich. Trzeba się upewnić, że naprawdę są martwi – wyjaśnia Finn. – Skuteczna może być magia. Trzeba tylko mieć bardzo mocne zaklęcia, które potrafią zatrzymać ich serca. Muszą być naprawdę mocne, żeby przeniknąć przez ich zbroję.

– I tyle? – Czekam na jakieś inne wskazówki, jak sobie radzić z tymi nowymi zagrożeniami.

– Mają okropny smak – spieszy z pomocą Brennus, a ja blednę, słysząc te słowa.

– To już za dużo informacji, Brenn – odpowiadam, pochylając się nad swoimi butami i je wsuwając.

– To jest tak naprawdę dobra wiadomość – mówi Brennus, kiedy się prostuję. – Jeśli Casimir zaatakuje nas Kewewami i Inikwimi, będzie to znaczyło, że ich potrzebuje. Że nie ma dostatecznie wielu Upadłych, którzy mogli stoczyć rozstrzygającą walkę. Wydaje się, że twój przyjaciel zadbał o to, żeby do Casimira nie dotarło ich zbyt wielu. I teraz Casimir jest odcięty od swoich. Jeśli zareaguje na to, co się właśnie wydarzyło, i to zareaguje emocjonalnie, a nie z chłodną precyzją Serafina, wystawi się na ryzyko popełnienia błędu. Ale nie chcę już tu dłużej siedzieć. Musimy cię umieścić w jakimś bezpiecznym miejscu, żeby zachować przewagę.

Brennus dotyka moich pleców i delikatnie prowadzi mnie w kierunku drzwi. Finn zajmuje miejsce po mojej drugiej stronie jako eskorta. Kiedy wychodzimy na korytarz, czeka na nas kilkudziesięciu kolesi.

– Dokąd idziemy? – pytam, widząc, że rzeczywiście wszyscy jesteśmy gotowi do drogi.

Brennus ma mi odpowiedzieć, ale nagle z zewnątrz dobiega jakiś hałas. Bitewne okrzyki i jęki umierających mieszają się z szybkimi seriami z broni maszynowej. Brzęk metalu i inne odgłosy przerywają spokój tego miejsca. Moi towarzysze zastygają w bezruchu i słuchają odgłosów, które zdumiewająco przypominają mi ostatnią noc, którą spędziłam w Chinach z Reedem.

Brennus wraca do okna w salonie, a ja idę tuż za nim. Kiedy wyglądam na zewnątrz, po plecach przebiega mi dreszcz. Anioły w czarnych kombinezonach ninjów i rycerskich zbrojach całymi legionami fruują nad ziemią wokół zamku. Na ślepo nurkują i dopadają kolejnych kolesi. Zwalają ich z nóg i rozrywają na strzępy, a kawałki ciał rzucają w stronę innych Gankanagów. Ale nie tylko to robią – muszą też chyba zabijać Kewewów, sądząc po poszarpanym lateksowym mięsie wydłubywanym z szarych, ciężkich ciał.

Patrzę na to wszystko z przerażeniem i fascynacją. Wzdrygam się, kiedy wysoko w powietrzu jeden anioł wpada na drugiego, po czym obaj z głośnym łoskotem uderzają w ścianę budynku. Ich potężne skrzydła trzepoczą w pobliżu okna, przy którym stoję. Jeden z aniołów używa głowy drugiego jako taranu, którym wielokrotnie uderza w mur. Z sufitu zaczyna opadać pył. Brennus opiekuńczo wyciąga ramię, żeby mnie osłonić.

– To Upadły i Boski – szepczę, a strach zapiera mi dech w piersiach, bo na pewno w tym całym zamieszaniu uczestniczą Reed i Zefir. Przyprawdzili swoje wojska, żeby mieć pewność, że Casimirowi nie uda się mnie zdobyć.

Rozglądam się tępo wkoło i nawet nie czuję, że Brennus wziął mnie za rękę i delikatnie mnie ciągnie, żebym odeszła od okna i podążyła za nim na korytarz.

– Dla ciebie zmienili zasady, *mo chroí*. Boscy nigdy nie włączali się w wojny między istotami, które uważali za wytwory zła – mówi Brennus, a jego głos brzmi tak, jakby sam był trochę zakłopotany tą wiadomością.

Zmierzamy w nierównym tempie w stronę schodów i schodzimy po nich. Kiedy przemierzamy główny hol, jego szklany dach roztrzaskuje się, a na nas spada deszcz odłamków o nieregularnych kształtach, a wśród nich anioły.

– Zatrzymajcie ich – rozkazuje Brennus swoim ludziom.

Połowa Gankanagów z mojego otoczenia odłącza się od nas, a my kierujemy się do Zachodniej Wieży.

– Pod tym budynkiem są tunele, *mo chroí*. Wyjdziemy jednym z nich i zanim tamci się zorientują, nas już tu nie będzie – zapewnia mnie Brennus, jakby to była codzienna praktyka.

– Brenn, też mogłabym użyć jakiejś broni – mówię, gdy widzę w północnym korytarzu, że koleśi dostają różne narzędzia walki.

– Co by ci pasowało? – Patrzy na mnie badawczo.

– Pistolet – odpowiadam.

Brennus kiwa głową i odbiera jednemu z koleśi przytroczony do boku pistolet wraz z kaburą. Potem pomaga mi umieścić broń, tak żeby znalazła się w pobliżu klatki piersiowej.

– Coś jeszcze? – pyta z taką miną, jakby się powstrzymywał od śmiechu.

– Sztylet – odpowiadam.

W jednej chwili wszyscy kolesie kierują w moją stronę rękojeści swoich noży, żebym któryś wybrała. Decyduję się na sztylet Brennusa, bo już wcześniej okazał się w moich rękach skuteczny. Zabiłam nim Keegana. Chwytam rękojeść noża i czuję moc wrózek przenikającą jego ostrze. Wpycham go bezpiecznie w cholewkę buta.

– Zaczynamy? – pyta Brennus, widząc, że chaos bitwy jest coraz bliżej.

Czuję przyływ adrenaliny, bo nie wiem, w którą stronę powinnam się kierować: czy wziąć udział w bitwie, czy jednak udać się jak najdalej stąd. Czy Reed chciałby, żebym oddaliła się od bitewnego zgiełku, czy w nim zanurzyła, bo tam będzie mógł do mnie dotrzeć? – zastanawiam się zdezorientowana.

– Gdzie są tunele? – pytam, biorąc Brennusa za rękę i idąc za nim korytarzem.

– Jeden zaczyna się w kościele... w Barze Rycerskim – odpowiada, uśmiechając się.

Wchodzimy do kaplicy i dochodzimy do zbroi umieszczonej bezpośrednio pod jednym z rozetowych witraży. Za nią odsłania się wejście na prowadzące w dół kręte schody. Brennus pokazuje ręką, że mam iść pierwsza. Staję na schodach i nagle widzę przed oczami przebłyśki wspomnień z jaskiń w Houghton – i wszystkich tamtejszych korytarzy wiodących ku torturom.

Wilgotne, słonawe powietrze docierające z dołu sprawia, że zatrzymuję się na pierwszym stopniu i pytam:

– Czy to jest droga do morza?

Nie słyszę odpowiedzi Brennusa, bo przykrywa ją huk wystrzałów oraz przeszywający ból. Pojedynczy pocisk rozrywa mi udo i spadam po schodach, aż trafiam w otwarte ramiona Casimira. Krzyczę w męczarniach, a Casimir szepcze mi do ucha:

– Boli, prawda?

## Rozdział 23

# Ocean

Opieram się o pierś Casimira, żeby nie rozbić się na stromych, niekończących się schodach prowadzących do morza. Pod wpływem rwącego bólu w biodrze muszę zamknąć oczy. Kula przeszła nogę, ale czuję pieczenie, jakby utkwiła w mięśniu. Oddycham płytko, łyżę mącą mi wzrok i zgrzytam zębami. Staram się jednak nie zemdleć.

Casimir odzywa się do mnie zimnym głosem:

– To było ostrzeżenie, kundlu. To, co ty mi robisz, będę ci oddawał w dwójnasób.

Casimir znów wypala z broni – tym razem z bliskiej odległości przestreliwuje moje drugie biodro.

Przyciska mnie do siebie, tak że prawie tracę możliwość oddychania. Nie mogę już stać samodzielnie, a ból, który odczuwam, staje się jakby nierealny. Casimir odwraca mnie, tak żebym stanowiła dla niego tarczę, i wciąga mnie po schodach w górę. Po chwili wchodzimy do Baru Rycerskiego.

Ciągnie mnie dalej, poza korytarz. Jego sprzymierzeńcy podążają za nami i zajmują pozycje w sali, w której znajduje się bar. Jest tu co najmniej piętnastu aniołów od stóp do głów przykrytych zbrojami, co ma ich uchronić przed dotykiem Gankanagów. Te anioły też muszą być od jakiegoś czasu poza Szeolem, bo ich zapach nie jest bardzo przykry. Inaczej poczułabym ich znacznie szybciej, niż zobaczyła. Nakierowali broń na Gankanagów, których ilościowo znacznie przewyższają.

Brennus, który również krwawi, wciąż stoi o własnych siłach. Jego oczy

wypełnia ból, kiedy mnie widzi bladą i załamana u boku Casimira. Patrę na Brennusa i wiem, że nie może zrobić niczego, żeby powstrzymać to, co za chwilę ma się wydarzyć.

Casimir do niego adresuje swój komentarz:

– Podziwiam twoją kryjówkę. Tam na dole jest prawdziwy labirynt tuneli i jaskiń, które prowadzą do morza. Powinieneś wiedzieć, tak na przyszłość, że nietrudno się tu dostać, jeśli potrafi się latać.

– Będę o tym pamiętał następnym razem, Casimir – mówi wolno Brennus.

Casimir odpowiada znudzonym głosem:

– Wiesz, czego chcę. Uwolnij ją od kontraktu albo oboje zginiecie.

Kolesie obecni w sali zaczynają groźnie syczeć na Casimira, który jednak całkiem ich ignoruje. Brennus unosi rękę na znak, że nie chce, żeby atakowali.

– Casimir, są gorsze rzeczy niż prawdziwa śmierć – odpowiada, ukrywając ból, który chwilę wcześniej widać było w jego oczach.

– Tak, są. Znam je wszystkie – potakuje Casimir, po czym delikatnie całuje mnie w czubek głowy i gładzi moje włosy. – Oddaj mi ją i nie będę musiał pokazywać ci żadnej z tych rzeczy.

– To naprawdę nie ja muszę podjąć tę decyzję – odpowiada Brennus, patrząc na mnie.

– Że co proszę? – Casimir tym razem robi wrażenie zaskoczonego, a nie znudzonego.

– To jej decyzja – Brennus patrzy mi w oczy i widzi zmieszanie.

– Pozwolisz jej decydować o twoim losie? – pyta Brennusa Casimir, jakby nie do końca zrozumiał jego słowa. – Masz ochotę zginąć za nią?

– Tak, mam, ale ja już i tak jestem martwy... To po prostu będzie mój koniec. – Brennus nie spuszcza ze mnie oka. – Jeśli ona zdecyduje, że nie odejdzie z tobą, to będzie znaczyło, że z tobą nie odejdzie, niezależnie od tego, co zrobisz.

Moja dolna warga drży, a z oczu płyną łzy. Zaczynam rozumieć, co Brennus mówi do Casimira. Jeśli zdecyduję, że śmierć tu, na miejscu, jest lepszym rozwiązaniem niż niewola u Casimira, Brennus nie złamie kontraktu i zmusi Casimira, żeby nas zabił. W istocie umrze za mnie... Za mnie, żebym nie

musiała być niewolnicą.

– Jesteś naprawdę potężna – szepcze mi do ucha Casimir, po czym zaczyna mówić głośniej. – Zdajesz sobie sprawę, Brennus, że ona niewątpliwie wyjdzie z tego, w takiej czy innej formie, ale ty nie.

– Wiem o tym lepiej niż ty – odpowiada Brennus, na którym ta informacja nie zrobiła wrażenia. – To nie ma znaczenia. Wiem, że chcesz ze mną skończyć, zanim stąd odejdziesz. Nie możesz mnie tu zostawić, bo nigdy nie przestanę cię ścigać. Użyję wszystkich swoich wpływów, żeby cię znaleźć i rozszarpać na kawałki. Nie chcesz tego, prawda? – pyta retorycznie.

– Malujesz mnie w taki ponury sposób – odpowiada Casimir, który znów brzmi, jakby był całkiem znudzony. – Chcę tylko tego mieszańca. Nie musisz z tego robić jakiejś potężnej bitwy. Ona nigdy do ciebie nie należała. Zawsze była nasza.

– Ona jest moja – odpowiada wściekle Brennus.

– Mógłbym ją po prostu zabrać... torturować, a potem to samo zrobić z tobą, jeśli będzie na to czas... – mówi Casimir.

Wyjmuje nóż i przykłada mi do gardła. Przeciąga nim wolno po mojej skórze, tak że zostaje na niej cienki, płytki ślad. Zaciskam wargi, starając się nie wydać ani dźwięku.

– Ale wtedy nie mógłbym słyszeć jej płaczu, a to by mi odebrało całą przyjemność. Póki kontrakt obowiązuje, ona nie będzie reagować.

Gdy Casimir przesuwa rękę przed moją twarzą, zauważam na niej gojące się ślady oparzeń. Chyba nie sprawił mi przyjemności ogień, którym poczęstowałam go wcześniej w portalu. Sztywnieję cała, bo uświadamiam sobie, co to oznacza.

Moja magia na niego działa – czuję, jak przyspiesza mi puls.

– Declan, jeśli on spróbuje odejść stąd z waszą królową, zanim rozstrzygniemy tę kwestię, zadbaj o to, żeby ze mną skończył. Nie możemy dopuścić, żeby ją torturował – mówi Brennus, patrząc na mnie.

– Tak zrobię – mówi Declan zdławionym głosem i z ponurą miną, bo wie, że jeśli tak by miało się stać, będzie musiał zabić nas oboje. – Już zrozumiałem. Jedno i drugie... jedno i drugie – mówi, patrząc na mnie.

Mija chwila, zanim się orientuję, o co mu chodzi. Kiedyś powiedział, że

nie wie, czy robię różne śmiałe i głupie rzeczy z odwagi, czy z naiwności. Teraz pewnie zdecydował, że obie odpowiedzi są możliwe.

Casimir przekazuje mnie stojącemu obok niego aniołowi i chowa nóż do pochwy.

– A więc muszę przekonać Genevieve, że dla wszystkich będzie najlepiej, jeśli spokojnie ze mną odejdzie? – pyta, spoglądając obojętnym wzrokiem w sufit, jakby nie interesowało go nic poza architekturą pomieszczenia. – Znając jej miękkie serce, nie sądzę, żeby to było zbyt trudne zadanie.

W mgnieniu oka Casimir wyciąga pistolet i mierzy z niego do Finna. Naciska kilkakrotnie spust i szpikuje pierś Finna pociskami. Ten cofa się, wykrzywiając twarz, ale nie pada, dowodząc, że jest naprawdę niebywale silny i prawie już całkiem martwy. Brennusowi jakimś cudem udaje się ustać na nogach, choć jest jeszcze bledszy niż przedtem.

– Następną serię wpakuję mu w głowę, mieszańcu – mówi do mnie Casimir obraźliwym tonem, wsuwając do kolby pistoletu kolejny magazynek.

Zamykam oczy, żeby nie patrzeć na krwawiącego Finna.

– Brennus, chciałabym, żebyś zerwał kontrakt – szepczę.

Kiedy otwieram oczy, widzę skrzywioną z bólu twarz Brennusa przenoszącego wzrok z brata na mnie i znów na brata. Brennus zdaje sobie sprawę, co robię. Zgadzam się zostać niewolnicą Casimira, żeby ratować Finna.

– Twoje uczucie dla tych kreatur jest przerażające, Genevieve – mówi Casimir z ponurą miną, jakby stwierdził, że wyglądam odrażająco. –

Powinienem pozabijać ich wszystkich, żeby dać ci kolejną lekcję na temat lojalności wobec niewłaściwej władzy, ale smród tu jest taki, że chcę jak najszybciej stąd odejść. Brennus, ona już podjęła decyzję, więc teraz ją uwolnij.

– Czy taka jest twoja decyzja? – Brennus prosi mnie o wyjaśnienie.

Ze strachu oczy zachodzą mi łzami, bo wiem, co to będzie dla mnie oznaczało. Będzie brutalnie. Casimir pragnie zemsty i ma do dyspozycji całą wieczność, żeby zadbać o własną satysfakcję. Przełykam głośno ślinę i kiwam głową, patrząc na Brennusa.

– A więc uwolnię cię. Kocham cię, *mo chroí*, i będę kochał zawsze – mówi



Brennus, jakby poza nami nie było w tym pomieszczeniu nikogo innego.

Jego dłonie zwijają się w pięści. Ze łzami ciekącymi po policzkach szepczę do niego:

– Do zobaczenia, Brennus.

Casimir wydaje z siebie groźny pomruk.

– Od tej chwili będziesz się odzywać tylko do mnie – ciągnie mnie w tył do siebie i brutalnie mną potrząsa.

Brennus i wszyscy inni kolesie zaczynają groźnie syczeć. Myślę, że Brennus zaatakowałby Casimira, gdyby Finn nie złapał go za ramię i nie powstrzymał. Finn rzuca bratu gniewne spojrzenie.

– Brenn, ona ma szansę wyjść z tego z życiem. Nie odbieraj jej tego.

Brennus nieruchomieje, a jego twarz wypełnia ból, jakiego nigdy jeszcze u niego nie widziałam. Ociera usta dłonią i trochę się uspokaja. Potem patrzy mi jeszcze raz w oczy i zaczyna ściągać do siebie znajdującą się w pomieszczeniu energię. Szepcze słowa, których nie rozumiem. Nie słucham tak naprawdę tego, co mówi, bo koncentruję się na odbieraniu Brennusowi energii, którą gromadzi. Mam nadzieję, że Casimir nie zorientuje się, co robię... Że jeśli poczuje ruch energii, przypisze go Brennusowi.

Brennus robi śmieszoną minę, bo czuje, że zabieram mu energię. W powietrzu słyhać jakiś trzask, a jednocześnie czuję, że coś we mnie się porusza i uwalnia, jakby jakiś ciężki odważnik opuszczał moje ciało. Uświadamiam sobie, że nie jestem już związana z Brennusem ani z Gankanagami.

Nadal kieruję ku sobie energię, czując, jak zaczyna mnie parzyć w środku.

– Casimir, czy lubisz poezję? – dyszę, gromadząc w sobie tyle energii, ile daję rady utrzymać.

– Przepraszam? – pyta Casimir z wystudiowanym lekceważeniem.

– Układam właśnie coś dla ciebie... Proszę bardzo, to idzie mniej więcej tak: „Chciałabym być jak morze, żeby cię wciągnąć, zatopić cię w sobie. Wilgotnym ogniem zionąć, poczuć twój strach, powoli cię pochłonać, nie roniąc łez. Zawrócę ocean z jego drogi, żeby pochłonał cię gniew srogi”.

Głos mi słabnie i w jednej chwili uwalniam całą energię, którą

zgromadziłam. Czuję, jak rozchodzi się potężną falą, która wstrząsa zamkiem.

– Coś ty zrobiła? – warczy Casimir, brutalnie ściskając mnie za ramię.

Łoskot dochodzący spod podłogi zwalnia mnie z obowiązku udzielenia odpowiedzi. Słona woda wdziera się po schodach znajdujących się za nami, tryskając jak wystrzelona z działka wodnego. Zwala mnie z nóg i odrywa od Casimira. Całe pomieszczenie zalewa fala spienionej morskiej wody. W następnej chwili porywa mnie wir. Wstrzymuję oddech i wpadam w dziko wirujący prąd. Obijam się o fotele i stoły, które również wirują pod wodą wraz z bezładną płataniną średniowiecznych zbroi, kołesi, aniołów i innych obiektów.

Kiedy ląduję na rozetowym witrażu, przywieram do niego rozpląszczonym ciałem. Walę pięściami w kolorowe szkło i czuję, jak z braku tlenu parzą mnie płuca. W końcu szyby pękają pod moimi uderzeniami. Dosłownie wylewam się przez okno Baru Rycerskiego, jak herbaciany listek wypływający z czajniczka do filiżanki. Ląduję twardo na ziemi. Woda nadal wylewa się z okna nade mną, a ja staram się przepęłznąć w jakieś miejsce z dala od strumienia.

Wokół toczy się całkiem inna bitwa. Anioły, kolesie i stwory, których nigdy wcześniej nie widziałam, wycinają się wzajemnie w pień, zwarci ze sobą w boju. Panuje kompletny chaos. Pociski wystrzeliwane z moździerzy wstrząsają ziemią, wypluwając w powietrze błoto i części ciał. Przede mną zatrzymuje się para eleganckich pantofli. Spoglądam w górę i widzę coś, co zapiera mi dech w piersiach: stoi przede mną postać podobna do człowieka, odziana w garnitur, w którym prawdopodobnie ów mężczyzna został pochowany. Patrzą na mnie mlecznobiałe oczy przesłonięte grubą zaćmą. Inikwi – myślę i przeszywa mnie dreszcz. Dookoła otacza mnie kilka podobnych postaci.

Inikwi zaczynają rozmawiać między sobą głębokim, gulgoczącym głosem, jakby mieli gardła wypełnione wodą.

Wydaję z siebie głuchy jęk. Wzdrygam się, gdy odrażający, na wpół martwy stwór podnosi mnie z ziemi, łapiąc za przód koszuli.

W czarnej pleśni pokrywającej kąciki jego ust tworzą się bruzdy, a spomiędzy warg wysuwa się węzowym ruchem szary język, który mnie liże w policzek. Czuję skurcze żołądka, zaciskam szczęki i kulę się, próbując

odwrócić twarz. Wciąż tkwię w uścisku stwora i nagle słyszę z tyłu wyraźny głos Casimira, mówiący coś w gulgoczącym języku Inikwich.

– Powinienem pozwolić im zabawić się tobą, mieszańcu. Może później to zrobię. – Casimir patrzy, jak się szamoczę, usiłując uciec od skrajnie odrażającego stwora, który mnie trzyma.

– Nie podobała ci się kąpiel? – pytam Casimira.

Robi jeszcze bardziej lekceważącą minę niż zwykle. Ale – choć jest mokry i ocieka wodą – wciąż wygląda pięknie, nawet piękniej niż zwykle... Jak młody surfer wychodzący z wody w sportowym kombinezonie.

Nie dostrzegam żadnego ruchu pięści Casimira, ale czuję uderzenie w żołądek, które pozbawia mnie tchu. Walczę o haust powietrza i czuję, że przejmują mnie ramiona Casimira.

– Co, nie masz już nic do powiedzenia? – Casimir przyciska mnie mocno do swojego ciała.

Przez rozetowy witraż wypada jeszcze kilka aniołów z jego otoczenia. Wyglądają na równie zirytowanych jak on. Casimir szczekliwym głosem wykrzykuje rozkazy:

– Znajdźcie przywódcę Gankanagów. Chcę go tu widzieć. Resztę wybijcie... może oprócz brata. Będę go torturował na oczach Brennusa... To może być interesujące przeżycie.

Wzdrygam się, słysząc o jego planach co do Brennusa i Finna. Anioły kiwają głowami, a potem nerwowo spoglądają na rozetę kościoła, prawdopodobnie zastanawiając się, jak mają wykonać zadanie, skoro zostało ich tak niewiele.

Casimir nie czeka, żeby sprawdzić, jak sobie poradzą jego podwładni, tylko obraca mnie w ramionach i nienaturalnie szybko przemieszcza się w stronę budynku, w którym zaparkowane są wszystkie pojazdy. Opieram głowę na jego ramieniu, czując się głęboko upokorzona. Kiedy wchodzimy do garażu, Casimir wybiera samochód wyglądający na auto wyścigowe, z drzwiami otwieranymi do góry, a nie na bok. Kluczyki tkwią w stacyjce. Zapewne Gankanagowie nie sądzili, że ktokolwiek będzie na tyle durny, żeby próbować im coś ukraść. Otwierając drzwi po stronie kierowcy, Casimir wpycha mnie na siedzenie pasażera. Potem sam wchodzi do auta i uruchamia

silnik. Odwraca się do mnie i wyciąga pistolet z kabury, którą mam przytroczoną u boku. Wyrzuca go przez okno. Sięga po mój pas bezpieczeństwa i zapina go.

Silnymi, wypielegnowanymi palcami chwyta mnie za podbródek i odwraca moją twarz w swoją stronę.

– Jeśli będziesz próbować jakichś sztuczek, wyjmę nóż i przybiję cię do fotela. Rozumiesz? – pyta.

Kiwam głową, czując, jak krew odpływa mi z twarzy.

Casimir wyprowadza samochód z garażu, po czym wciska pedał gazu aż do podłogi, startując jak rakietę na wijącym się podjeździe.

– Dokąd jedziemy? – pytam słabym głosem, mając nadzieję, że obmyślę jakąś strategię ratunkową, jeśli poznam plan.

– Po prostu na koniec podjazdu. Rozstawiłem tam na pozycjach żołnierzy, którzy na nas czekają. Mamy portal prowadzący do Szeolu – mówi.

Żółć podchodzi mi do gardła. Casimir rozciera udo, w które wcześniej go postrzeliłam. Krzywi się przy tym, jakby go bardzo bolało.

Muszę teraz podjąć walkę, bo inaczej będzie gorzej, niż gdyby mnie zabił – myślę, przesuwając powoli rękę w dół, w stronę buta, w którym ukryłam nóż Brennusa.

Kiedy patrzę na profil Casimira, moją uwagę zwraca ruch, który dostrzegam za bocznym oknem od jego strony. Wygląda to tak, jakby do samochodu zbliżał się jakiś pocisk koloru antracytowego. Łapię za uchwyt zamontowany na drzwiach, żeby się zaprzeć, zanim pocisk trafi prosto w nas.

Samochód zaczyna koziółkować pod wpływem pędu, który został mu przekazany przy bocznym uderzeniu. Kiedy auto wreszcie nieruchomieje, zatrzymując się na boku, leżę na drzwiach, które teraz znalazły się na ziemi. Czuję się oszołomiona i jest mi niedobrze. Jęczę z bólu i patrzę na trawę, która zasłoniła okno po mojej stronie.

Samochód porusza się, bo coś wskoczyło na tylną część skierowanego teraz ku górze boku od strony kierowcy. Słyszę ostre zgrzytnięcie metalu, kiedy drzwi po stronie Casimira zostają w jednej chwili wyrwane z zawiasów i odrzucone. Samochód odwraca się do swojej normalnej pozycji i staje na kołach. Wciąż jeszcze lekko się kołysze, kiedy ktoś wyciąga Casimira za

gardło z fotela kierowcy.

Obok samochodu widzę wielkie antracytowe skrzydła, a temu widokowi towarzyszą chrypiące odgłosy mojego płytkiego oddechu. Słyszę też jakieś inne, bardziej odległe dźwięki, ale nie bardzo umiem je rozpoznać. Czy to krzyki kogoś konającego?

Patrzę oszołomiona przez potrząskaną przednią szybę i nieruchomieję, kiedy widzę rękę, która z hukiem spada na maskę samochodu. Są krew, ścięgna, chrząstki... Potem spada coś jeszcze... ucho?

Obrazy rozmywają mi się, widzę podwójnie. Przesuwam rękę po powierzchni drzwi, trafiam na gładką klamkę i lekko za nią pociągam. Drzwi nie chcą się otworzyć. Na ramieniu mam krew, która leci mi z głowy. Moją uwagę przykuwa dźwięk jakby rozdieranej tkaniny. Jedno ze skrzydeł Casimira jest właśnie brutalnie odrywane od jego ciała.

Blednę jeszcze bardziej i czuję się, jakbym za chwilę miała paść ofiarą jakiejś ciężkiej i gwałtownej choroby. Przykładam dłoń do ust, a od mojej strony do auta zbliża się ogromny stwór przypominający ogra. Tuż za Kewewem idą trzej Inikwi. Bardzo się spieszą – wyprzedzają go, żeby mnie dopaść.

Biegną jak zwierzęta... psy – myślę, widząc ich, jak podążają na czterech kończynach krokami o długości swojego ciała, ale wyglądają jak ludzie. Z ust wyrzywa mi się jęk przerażenia. Sięgam trzęsącą się dłonią do pasa i chcę go rozpiąć. Jakaś zakrwawiona ręka nie dopuszcza jednak do tego, żebym się uwolniła.

– Wszystko w porządku, kochanie. Odjeżdżamy – mówi Reed łagodnym tonem i patrzy na mnie swoimi idealnie pięknymi zielonymi oczami.

Siada na miejscu dla kierowcy i uruchamia poobijany samochód. Auto zaczyna mrużyć równie szybko jak przedtem w garażu. Reed pochyla się i wyrzuca na zewnątrz resztki potłuczonej przedniej szyby. Potem dłońmi wypycha wklęsnięty dach samochodu. Kiedy ostro zakręca, ręka i ucho ześlizgują się z maski. Zmierzamy z powrotem w kierunku zamku. Całkiem zdezorientowana kładę bezwładnie głowę na oparciu fotela. Mój mózg nie jest w stanie uporządkować tego, co się dzieje.

Skąd on się tu wziął? Dlaczego wiezie mnie znów do zamku Brennusa? – zastanawiam się, patrząc, jak obrazy przesuwają się z zawrotną prędkością.

– Trzymaj się, kochana – ostrzega mnie Reed chwilę przed tym, jak coś z łoskotem spada na dach auta.

Reed wyciąga pistolet maszynowy i trzymając go jedną ręką, celuje w coś ponad naszymi głowami. Grad kul dziurawi dach auta, a Reed w tym czasie manewruje kierownicą, tak żeby minąć pętlę podjazdu przed zamkiem i wjechać na zadbane trawnik. Od strony bagażnika słyszę kolejny łoskot. Jakiś anioł złapał się samochodu i próbuje nas zatrzymać w sposób, który mi się kojarzy z Fredem Flinstone’em z *Jaskiniowców* – ciągnąc nogami po ziemi. Chwilę później przesłaniają go jasnobrązowe skrzydła – to Zefir podlatuje i nadziewa go na swój pałasz. Tył samochodu uderza w ziemię, autem kilka razy zarzuca, aż w końcu Reedowi udaje się odzyskać nad nim kontrolę.

– Dzięki, Zee – szepcze Reed, spoglądając we wsteczne lusterko.

Przez pozbawione szyby przednie okno wpada do środka słony wiatr. Opony do jazdy wyczynowej przeżuwają kawałki trawnika. Znow zaczynam widzieć podwójnie. Zbliżamy się do krawędzi wysokiego klifu i w głowie zaczynają mi dźwięczeć sygnały alarmowe.

Odwracam głowę, żeby spojrzeć na Reeda, i mówię głosem niewiele głośniejszym niż szept:

– Reed, urwisko.

Oczy Reeda się rozszerzają. Wygląda na całkiem zdumionego i mówi:

– Evie?

Podnoszę rękę i wskazuję dłonią klif, do którego pędzimy.

– Zatrzymaj się, Reed – chrypię.

Czuję, że mózg mi wiruje. Dlaczego on nie widzi przed nami morza? – zastanawiam się oszołomiona. Rzeczywistość wydaje się całkiem zniekształcona. Może to się nie dzieje naprawdę...?

Reed kładzie dłoń na moim policzku.

– Zerwał kontrakt? – pyta, nie przejmując się tym, że kierujemy się w miejsce, które wydaje się końcem świata. – Jesteś wolna?

Powoli kiwam głową, ale nie przestaję patrzeć w lśniące gwiazdy na szerokim niebie rozpościerającym się przed nami.

– Pozwolił mi odejść, żeby Casimir mnie nie zabił – mówię drżącym

głosem.

Sięgam po dłoń Reeda i splatam nasze palce. Jego wzrok mięknie. Mówi do mnie w języku aniołów, a na jego ustach maluje się wyraz euforii. Na ten widok zapominam o tym, co jeszcze przed chwilą przyprawiało mnie o panikę. W jednej chwili oddaję w jego ręce całą kontrolę nad swoim losem.

Kolejny Inikwi, który ląduje na samochodzie i kurczowo trzyma się dachu, pozostawia smugę na oknie po mojej stronie. Jeszcze kilka razy słyhać łomot, kiedy następni członkowie tej zgrai przyłączają się do niego.

– Nie martw się, Evie. Mam pewien plan. – Reed sięga pod zbroję i wyjmuje jakiś błyszczący przedmiot.

– Ufam ci – szepczę.

Reed otwiera puderniczkę w chwili, gdy samochód zaczyna spadać do morza. Wnętrze pojazdu staje się wirującym chaosem, w którym wszystko się zniekształca i skręca, jak rozciągająca się masa w maszynie do robienia ciągutek. Brak mi powietrza, czuję tylko ogromną siłę przyciągającą mnie jak kawałek metalu do potężnego magnesu.

Ląduje na ziemi na czworakach. Gdy już mogę nabrać powietrza, nie jestem w stanie tego zrobić, bo wymiotuję. Zwracam chyba wszystko, co kiedykolwiek zjadłam. Słyszę groźny pomruk Reeda, który stoi tyłem do mnie, a twarzą zwrócony jest do czterech Inikwich, którzy przybyli razem z nami przez portal. Mówią coś do siebie zniekształconymi głosami.

– Kochanie, czy możesz się ruszać? – pyta Reed, nie patrząc na mnie.

Wstaję, ale muszę się oprzeć o ścianę, żeby z powrotem nie upaść. Rany od kul goją się, dzięki czemu mogę stać, ale nogi wciąż mnie bołą.

– Tak. – Rozglądam się oszołomiona.

Zdaję sobie sprawę, że jesteśmy w jakimś podziemnym tunelu. Dociera do mnie metaliczny łoskot pociągu wjeżdżającego na stację. Obok mnie przejeżdżają wagony metra, a podmuch powietrza zdmuchuje mi włosy z twarzy.

– Evie, wsiądź do pociągu – nakazuje mi łagodnym tonem Reed, wyciągając noże ze specjalnych rozcięć w zbroi w okolicy ud.

– Hm... Okej – mamrocę, odpychając się od wyłożonej białymi kafłami ściany, i przechodzę zygzakiem przez peron w stronę otwartego wejścia do

wagonu metra.

Wagon jest prawie pusty, jeśli nie liczyć garstki hałaśliwych dwudziestoparolatków, którzy wyglądają, jakby wracali z pubu. Z trudem rozumiem, o czym rozmawiają, bo mają wyjątkowo ciężki, brytyjsko brzmiący akcent.

Chwytam się metalowej poręczy blisko otwartych drzwi i odwracam się, żeby spojrzeć na Reeda. Jeden z Inikwich już nie żyje i leży w kałuży srebrzystej cieczy o konsystencji syropu klonowego. Z odległego końca wagonu dobiegają do mnie śmiech i szydercze komentarze. Grupa ludzi jednakowo ubranych i wyglądających na studentów pierwszego roku nie ma pojęcia, co się dzieje. Po chwili Reed zjawia się u mojego boku i przyciska mnie do siebie, odciągając jednocześnie od zamykających się drzwi metra. Wstawiona w nie szyba zachodzi mgłą, kiedy Inikwi przyciska do niej twarz od zewnętrznej strony. Ma na sobie jakąś brudną błękitną marynarkę z uświnionym czerwonym krawatem i znoszoną białą koszulą. Ma śmiertelnie bladą skórę, a wzdłuż linii włosów widać skorupę czarnej pleśni. Czarne zmierzwiłone włosy rosną mu kępkami. Czy Inikwi wykopał to ciało z ziemi? – zastanawiam się. Patrzę też na otoczenie warczącego na peronie potwora i widzę leżące obok niego na ziemi trzy inne nieruchome ciała Inikwich – martwe.

Pociąg wyjeżdża ze stacji i powoli nabiera prędkości. Śledzę jedyne pozostałe przy życiu Inikwiego, który dotrzymuje kroku naszemu pociągowi. Przeszywa mnie strach, gdy przemyka między kolumnami podziemnego peronu i przygląda się badawczo wagonowi. Pociąg przyspiesza, a człekopodobne ciało Inikwiego opada na cztery łapy, potem wyskakuje w górę i ląduje na dachu wagonu bezpośrednio za naszym.

Drżąc, spoglądam na Reeda i jego pozbawioną wyrazu twarz.

– Przypomnij mi, żebyś wytłumaczył Buns i Brownie, co dokładnie mam na myśli, mówiąc „zostawcie portal otwarty w bezpiecznym miejscu” – mamrocze rozszalonym tonem, po czym rozgląda się po pociągu i zastanawia nad jego możliwościami obronnymi.

– O, ANIOŁY! A gdzie przebranie na wasz cholerny bal? – pyta jakiś pijany człowiek z drugiego końca wagonu. Wygląda, jakby zaczął pić w porze popołudniowych promocji w knajpie, a skończył, kiedy ją zamykali. Jego



komentarz budzi śmiech kumpli, którzy zaczynają nas obgadywać.

– Kosiarze – szepcze Reed. – Zaraz wracam, kochanie – mówi zmartwionym tonem, patrząc na tylną część pociągu.

Przez szybę w tylnych drzwiach wagonu widać, jak Inikwi wchodzi przez okno do sąsiedniego wagonu.

– Siedź tutaj. – Reed delikatnie popycha mnie na miejsce naprzeciwko drzwi, przez które weszliśmy do wagonu. – Aha – dodaje po chwili, jakby sobie coś przypomniał. – Buns powiedziała, żebym ci to dał, jak przejdiesz przez portal.

Z wnętrza zbroi wyciąga kopertę, po czym odwraca się i zmierza w kierunku sąsiedniego wagonu. Otwieram kopertę, z której wypada opakowanie pasków odświeżających oddech. Oszołomiona wpycham sobie kilka miętowych pasków do ust i siadam bezwładnie na miejscu wskazanym przez Reeda. Staram się pozbyć poczucia nierealności tego, co się dzieje. Przez kilka miesięcy mieszkałam w krainie wrózek pośród Gankanagów, Upadłych aniołów, magii i przerażających stworów. Jestem królową dzikich istot. Ale w jednej chwili zostałam wrzucona z powrotem do prawdziwego świata, tylko po to, żeby poczuć się w nim właśnie jak w krainie fantazji – nierealnie.

Spoglądam w stronę wagonu obok – Reed unosi Inikwiego w górę i rzuca go na rząd plastikowych siedzeń. Patrząc w drugą stronę i słucham komentarzy ludzi, którzy nadal mówią coś o mnie i nie zauważają, jak w sąsiednim wagonie głowa Inikwiego zostaje wbita w jego ciało. Czy zawsze będę uwięziona między dwoma światami? – zastanawiam się.

Kiedy pociąg rusza z następnej stacji, Reed jest przy mnie. Kuca i delikatnie dotyka mojej twarzy, oceniając rozcięcia, które mam na głowie. Potem bada całe moje ciało, sprawdzając, czy nie mam złamań i stłuczeń. Kiedy dotyka rany od kuli, wzdrygam się i syczę z bólu.

Oczy Reeda się zwężają.

– Jesteś ranna – stwierdza i zaciska szczęki, przez co wygląda śmiertelnie groźnie.

Kiwam głową.

– Już mnie pomściłeś – szepczę, widząc wściekłość w jego oczach. –

Casimir... – milknę, bo przed oczami mam sceny ćwiartowania go przez Reeda.

Reed podnosi się i idzie w kierunku ludzi jadących w naszym przedziale. Swoim głosem, który ma dużą siłę perswazji, formułuje polecenie, żeby wysiedli na najbliższej stacji. Mówi im także, że mają zapomnieć o wszystkim, co widzieli w metrze. Wraca do mnie i zaczyna zdejmować swoją zbroję, eksponując piękną nagą klatkę piersiową.

Kiedy pociąg staje na kolejnej stacji, wszyscy wysiadają i zostajemy sami. Reed podchodzi do wejścia, pociąga za jakieś druty, tak żeby drzwi nie otwierały się automatycznie. Odrywa też od ściany kilka poręczy i blokuje nimi drzwi na obu końcach wagonu. Wreszcie zdejmuje z siebie resztę zbroi i zostaje w samych spodniach od dresu. Klęka przy mnie i rozrywa od dołu moją nogawkę, żeby wyeksponować gojącą się postrzałową ranę biodra. Kiedy rana jest już widoczna, Reed zwiesza głowę i patrzy w podłogę.

– Przepraszam cię. Wybacz mi, proszę – mówi głosem pełnym skruchy, opierając lekko głowę na moich kolanach.

– Co? – pytam, a łzy, które usiłuję powstrzymać, i tak płyną mi po policzkach.

Reed końcami palców delikatnie przeczesuje swoje miękkie włosy, a mnie serce boleśnie ściska się w piersi.

– Przysięgałem, że cię ochronię – mówi Reed z goryczą. Podnosi głowę i patrzy mi w twarz z cierpieniem w pięknych zielonych oczach.

– I ochroniłeś. Casimir nie wciągnął mnie w otchłań, bo mu nie pozwoliłeś. Wszystko zrobiłeś prawidłowo... wszystko. I jestem ci wdzięczna, że wciąż chcesz o mnie walczyć po tym, co zrobiłam – szepczę, płacząc.

– Evie, jesteś moim marzeniem... moją jedyną miłością. Nie rozumiesz? Tylko ty – mówi Reed uroczyście i wyciąga rękę, żeby dotknąć mojego policzka i kciukiem obetrzeć łzy. – Bez ciebie nie jestem już sobą.

Drugą ręką dotyka znaku moich skrzydeł, który nosi na piersi ponad sercem.

– Nigdy nie będę już kochał nikogo poza tobą – obiecuje, a w jego głosie jest pewność przemawiających przez niego miliardów lat.

– Kocham cię... Przepraszam... – Nie mogę mówić dalej, bo emocje ściskają mi gardło.

– Evie – szepcze Reed, widząc mój ból i żal wywołany tym, co musiał przeze mnie przejść.

Wstaje z kolan, nachyla się i podnosi mnie z krzesła, po czym siada na nim i sadza mnie na kolanach. Przytula do piersi i jak zahipnotyzowany gładzi moje skrzydła. Mówi też coś w języku aniołów. Za oknami migają rozświetlające ciemne tunele metra fluorescencyjne tablice ogłoszeniowe, w których umieszczono najnowsze reklamy.

Słuchając głosu Reeda, uspokajam się, a dodatkowo usypia mnie kołysanie pociągu.

– Co powiedziałaś? – pytam, czując się trochę lepiej.

– Dziękowałem Bogu, że mi ciebie oddał. – Przyciska mnie jeszcze mocniej.

Opieram policzek na sercu Reeda i uświadamiam sobie, że taka bliskość jest po prostu zamachem na moje zmysły. Jego głos brzmi jak pierwsze niewiarygodne dźwięki mojej ulubionej piosenki. Pobudza mój umysł i ciało, które pragnie przysunąć się bliżej źródła tego delikatnego brzmienia. Mocne mięśnie jego klatki piersiowej, których dotykam palcami, przyprawiają mnie o gorący rumieniec na twarzy.

– Oddychaj – szepcze mi do ucha, a jego ciepły oddech sprawia, że przechodzą mnie dreszcze.

Reed potrafi za pomocą jednego słowa wprowadzić mnie w stan, jakiego nie osiągam przy kimkolwiek innym.

Wdycham płytko powietrze i podnoszę głowę. W oczach Reeda jest pożądanie. Jego policzek przechyla się delikatnie w stronę mojego, muskając moją twarz zmysłową szorstkością męskiej skóry. Pod wpływem tej pieśczoły wydycham powietrze i bezwiednie zaciskam palce na piersi Reeda, jakbym chciała ucześcić się go najmocniej, jak się da. Policzkciem znów podążam w stronę jego twarzy. Odwracam głowę i delikatnie dotykam wargami jego skóry. Całuję go miękko, zamykam oczy. Teraz Reed niespiesznie odwraca twarz i nakrywa moje wargi swoimi, jakby sprawdzał, czy naprawdę tu jestem. Przyciąga mnie do siebie jeszcze mocniej i zatrzymuje, nawet gdybym miała przeciwko temu protestować. Ale nie ma takiej możliwości, żebym protestowała.

Wsuwam rękę za jego głowę i chwytam go za szyję. Przytulam się do niego coraz mocniej, a nasz pocałunek staje się jeszcze bardziej namiętny. Reed cicho jęczy. W pewnej chwili z głośnym trzaskiem rozkładają się moje skrzydła, układając się w okalający mnie łuk.

– Evie – jęczy Reed, wypowiadając moje imię i całując mnie gorączkowo, a kąciki jego ust unoszą się w górę. – To jest... – milknie, nie kończąc zdania, a jego ręce sięgają do moich skrzydeł.

– Co? – Czuję w sobie dzikość narastającą z każdą pieszczotą Reeda.

– Nieprawdopodobnie podniecające. – Głaszcze delikatnie moje skrzydła.

– Tęskniłam za tobą – szepczę z ustami przy jego uchu.

Reed boleśnie zaciska wokół mnie swoje ramiona.

– Ach! – wzdycham, a on natychmiast rozluźnia uścisk. Sięga do sąsiedniego fotela i gołymi rękami wrywa plastikowe siedzenie z mocujących je śrub.

– Płonałem z tęsknoty do ciebie – mówi miękkim głosem, pocierając nosem moją szyję.

Kiedy wjeżdżamy na kolejną stację metra, pociąg zaczyna zwalniać. Nadal całuję Reeda, aż w końcu słyszę, jak ktoś wywaza drzwi naszego wagonu, po czym rozlega się słodki, melodyjny głos:

– Och, skarbie, to już twój przystanek, ale możemy się spotkać na następnej stacji, jeśli teraz jesteś zajęta.

## Rozdział 24

# Wyspa

– Wszystko z nią w porządku? – Buns kieruje to pytanie do Reeda, który wstaje, trzymając mnie na rękach, i rusza w kierunku drzwi wagonu. Wychodzimy na podziemny peron, na którym stoją ze zmartwionymi minami Brownie i Buns. – Skarbie, jesteś ranna? – pyta mnie Buns.

Opiera delikatnie głowę na moim ramieniu, a kiedy potakuję, jej oczy zachodzą mgłą.

– Postrzelili ją. Ma też inne rany – mówi Reed cichym głosem, mocniej przyciskając mnie do siebie.

– Ale nie jest w śpiączce?! – Buns wygląda na zaskoczoną i zdezorientowaną.

– Nie, została uwolniona z kontraktu – wyjaśnia Reed, który kojącym ruchem gładzi moje skrzydło.

Kiedy spoglądam na stojącą obok Brownie, widzę, że i jej oczy są pełne łez.

– Dziękuję ci, Evie – mówi zduszonym głosem, odnosząc się do umowy, którą zawarłam z Brennusem, żeby uwolnić ją z rąk Valentine’a.

Ponownie kiwam głową. W tej chwili nie jestem w stanie o tym rozmawiać. Brownie podchodzi i mnie obejmuje, choć nadal pozostaję w ramionach Reeda. Pachnie niewiarygodnie, jak masło kakaowe. Obie dziewczyny mają zatknięte za uszami egzotyczne kwiaty. W istocie wcale nie są odpowiednio ubrane, żeby jeździć londyńskim metrem na początku listopada. Prawie w ogóle nie są ubrane. Buns ma na sobie śmiałą górę od

bikini z kwiecistego materiału oraz dobraną do niej spódnicę sarong, a Brownie z kolei założyła jasnożółtą górę od bikini, sarong i sandały.

– Idziemy. – Buns daje znak Reedowi, lekko trącając go w ramię. – Musimy ruszać. Niedługo uruchomią znowu wszystkie kamery monitoringu, a nie chcemy wkurzyć ludzi.

Brownie odsuwa się ode mnie, ociera łzy dłonią i pyta:

– Mielicie jakieś problemy z portalem?

– Chodzi ci o londyńskie metro, Brownie? – pyta sceptycznie Reed, rozglądając się po stacji i krytycznie oceniając wybór tego miejsca. – Co w tym przypadku oznacza dla ciebie słowo „bezpieczeństwo”?

– Brak Upadłych? – Brownie odpowiada niepewnie, jakby odpowiadała na podchwytliwe pytanie. – Buns i ja pomyślałyśmy, że to świetny pomysł, bo żaden anioł nie korzysta z metra. Tłoczyć się w metrze z ludźmi, skoro możemy latać szybciej niż pociągi... to nie jest zbyt szpanerskie. A poza tym nie masz pojęcia, jak trudno było zgubić anioły Dominion, które nas śledziły – ciągnie dalej Brownie. – Musiałyśmy iść na zakupy do sklepu z bielizną jeszcze z kilkoma zaprzyjaźnionymi Kosiarkami, żeby odwrócić ich uwagę. Nasze przyjaciółki przymierzały nową wakacyjną kolekcję w pobliżu witryny sklepowej, a my w tym czasie wymknęłyśmy się tylnymi drzwiami.

– I podziałało? – dopytuje się Reed, jakby z trudem mógł w to uwierzyć.

– No, powiedzmy, że niektórzy z tych Mocnych wolą rzeczy frywolne niż ładne – odpowiada Brownie.

Buns wtrąca się do rozmowy:

– I musiałyśmy przykuć uwagę pasażerów przy bramkach na stacji, na którą mieliście dotrzeć, żeby na peronie nikogo nie było.

– I co zrobiłyście? – pyta Reed z ciekawością w głosie.

– No, to było trochę jak taniec brzucha... prawda, Brownie? – Buns szuka wsparcia u przyjaciółki.

– Mniej więcej – potwierdza Brownie, wzruszając ramionami.

– Nasze przyjaciółki Kosiarki wciąż jeszcze działają przy wejściach na tę stację, ale nie możemy tu siedzieć całą noc – ciągnie Buns. Zachęca Reeda, żebyśmy ruszyli w drogę. Przechodzimy na koniec peronu, Buns idzie

przodem, otwiera drzwi do damskiej toalety i przytrzymuje je, żebyśmy mogli wejść.

Zdezorientowana marszczę czoło. Chciałabym stąd wyjść i znaleźć się w jakimś ciepłym miejscu, najlepiej w łóżku, w którym mogłabym się na długo zakopać. Patrząc na sufit pełen świetlówek oraz rząd drzwi do kabin i mówię:

– Jest okej, Buns, jeśli o mnie chodzi, nie musimy się tu zatrzymywać. – Wskazuję kabiny lekkim ruchem nadgarstka.

Buns i Brownie się uśmiechają.

– Skarbie, nawet o tym nie pomyślałyśmy. Stąd dotrzemy do wyspy Zee.

Buns śmieje się do mnie, wyciąga onyksową puderniczkę inkrustowaną macią perłową i wyglądającą jak nocne niebo. Żołądek podchodzi mi do gardła i robię się blada, bo przypominam sobie, jak wyglądała moja ostatnia podróż przez portal tu, do londyńskiego metra. Zaczynam się wiercić w ramionach Reeda i rozglądać za jakąś drogą ucieczki.

Ściągam brwi i robię zatroskaną minę.

– Aha... w porządku, Buns. – Czuję suchość w ustach. – Prawdopodobnie mogę już teraz samodzielnie iść. Możemy złapać taksówkę... A może... Mają tutaj przecież te czerwone piętrowe autobusy, prawda? Nigdy nie byłam w Londynie. Musi tu być pięknie zimą... magicznie.

– Kochanie, Londyn jest teraz zbyt niebezpieczny – mówi Reed blisko mojego ucha. – Wszyscy będą cię szukać. Potrzebny nam był po prostu przystanek, zanim wyruszymy na wyspę. Musieliśmy się upewnić, że nikt nas nie będzie śledził.

Wszyscy mnie szukają, a jeśli Brennus uciekł, to on będzie najbardziej zdeterminowany, żeby mnie znaleźć. Jeśli przeżył... – szepcze mi w głowie wewnętrzny głos i nagle powietrze robi się bardzo rozrzedzone. Po tym jak stamtąd zniknęłam, Upadli mogli go dopaść. Czuję wewnętrzne zimno, myśląc o Upadłych torturujących członka mojej rodziny... Członka mojej... Jestem kompletnie zdezorientowana. Czuję się zmęczona, smutna i wyczerpana. Opuszczam głowę na pierś Reeda. Nie potrafię sobie poradzić z tymi myślami. Część mnie jest wciąż jeszcze zagubiona w świecie wróżek... Wciąż walczy o haust powietrza.

Jak mam uratować tę część siebie, którą tamci wciąż mają w swoim

posiadaniu? – zastanawiam się.

– Skarbie? – Buns jest zatroskana.

Reed odwraca moją głowę, żeby móc zajrzeć mi w oczy.

– Jestem tu, Evie – odzywa się swoim seksownym głosem. – Fala się odwraca, czujesz to? Przynosi mi ciebie z powrotem. Trzymaj się liny. Nie puszczaj – mówi tak zmysłowo, że mam ochotę zrobić dla niego wszystko, co zechce.

Kiwam głową, patrząc na jego idealną twarz, a Buns w tym czasie otwiera portal.

Mknąc jak rakieta przez portal, zniekształcam się i skręcam w kształty, do których przybierania nikt nigdy nie powinien być zmuszany. Wreszcie zostaję wypluta na drugim końcu portalu. Czuję się, jakbym została do połowy strawiona przez potężną dżdżownicę.

Światło dnia uderza we mnie z siłą młota: świeci mi w twarz tak ostro, że niemal z wdzięcznością przyjmuję konieczność odwrócenia się i ponownego zwymiotowania. Opieram dłonie i kolana na poduszce z najdelikatniejszego, najbielszego piasku. Jego dotyk wraz z ciepłą, pachnącą bryzą pomaga mi w walce z mdłościami.

– Przyzwyczajasz się powoli, skarbie – mówi Buns, podczas gdy Reed masuje mi plecy, a ja głęboko oddycham.

– Nie, dziękuję – mamroczę, kiedy odzyskuję możliwość mówienia. – Nie róbmy już tego więcej.

Otwieram oczy i po raz pierwszy spoglądam na wyspę Zefira. Na wzgórzu w oddali rozciąga się rozległa plantacja obejmująca także znaczną część równiny. Naprzeciwko niej jest plaża położona nad najbardziej niebieską wodą, jaką kiedykolwiek widziałam. Wzdłuż plaży, wśród rozłożystych palm rozrzucone są piękne kryte strzechą pawilony z drewna tekowego stojące na palach. Reed podnosi mnie z piasku i nadnaturalnie szybko przemieszcza się w stronę najbliższego bungalowu, który ma małą werandę z tekowymi meblami.

Przechodzi przez werandę i otwiera zasłonięte okiennicami drzwiowymi harmonijkowe wejście. Bryza znad oceanu wnika do wnętrza razem z nami. Reed skręca od razu w lewo. Wchodzimy do sypialni, w której stoi duże łóżko



zasłane śnieżnobiałą pościelą i grubymi poduszkami, osłonięte moskitierą w fantazyjnym kształcie. Reed kładzie mnie na łóżku, po czym zamyka okiennice i w pokoju zapada półmrok. Patrzę w górę na sufit i na tle dwuspadowego dachu widzę wiatrak z tekowego drewna obracający się leniwie i spokojnie.

Do pokoju wchodzi Buns i niesie na drewnianej tacy dzbanek wody z lodem oraz jakieś miękkie bułeczki. Stawia tacę na stoliku przy łóżku, nalewa trochę wody do szklanki z cienkiego szkła i mi ją podaje.

– Wypij to. Wyglądasz na odwodnioną – mówi kojącym głosem, po czym siada na brzegu łóżka i czeka, aż się zbiorę i oprę na poduszkach. – Myślisz, że uda ci się nie zwrócić aspiryny? – pyta Buns, a ja wolno kręcę głową, starając się przełknąć łyk wody.

– Gdzie my jesteśmy? – pytam, kiedy Brownie siada w nogach mojego łóżka.

– Południowy Pacyfik, całkiem niedaleko Tahiti – odpowiada Brownie, patrząc, jak Reed podchodzi do mnie z drugiej strony, siada i delikatnie odwiązuje bandaż z jednego z moich ud.

Nie patrzę na ranę, ale Brownie blednie, a potem spogląda na moją twarz.

– Wygląda na to, że tu jest akurat południe. – Staram się myśleć o czymś innym, kiedy Reed znów zaczyna badać moją nogę.

Nadal trzęsę się z powodu ostatnich zdarzeń, co wygląda, jakby mi było zimno.

– Chyba jest dziesięciogodzinna różnica w porównaniu z miejscem, w którym byłaś przedtem, skarbie. – Buns robi, co może, żeby odwrócić moją uwagę. – Wyspa jest chroniona... bezpieczna – dodaje.

Moja twarz jest pozbawiona wyrazu. Próbuję nie zdradzić się z myślą, że świat jest za mały, żebym mogła gdziekolwiek czuć się bezpieczna.

Próbuję też ukryć poczucie nierealności, pytając z uśmiechem, który nie dociera do moich oczu:

– A jak się mówi na tego rodzaju zmęczenie spowodowane zmianą strefy czasowej?

– Wyczerpanie po skoku – odpowiada Reed. – Cierpisz też na chorobę wywołaną gwałtownym ruchem – dodaje łagodnie.

– To brzmi poważnie – mówię cicho, posyłając szczyry uśmiech Reedowi, któremu na ten widok zapalają się w oczach iskielki.

– Drobiazg – mówi, milknie na chwilę, a potem spuszcza wzrok, jakby zapomniał, co robi.

Buns wyjmuję szklanę z mojej dłoni. Razem z Brownie podtrzymują rozmowę. Zachwalają wszystkie uroki, jakie wyspa ma do zaoferowania: żeglowanie, nurkowanie z rurką, z aparatem tlenowym, spacer, jazda konna... Tak jakbyśmy po prostu byli na wakacjach, a nie ukrywali się przed Upadłymi i Gankanagami, Rozważnymi i ifrytami, Inikwimi i Kewewami.

Bez słów potakuję głową, nie zadając żadnych pytań ani nie komentując tego, co mówią moje przyjaciółki. Opieram się na poduszkach, kiedy Reed kończy opatrywać moje rany gazą i zabezpiecza jej końce specjalnymi klipsami.

– Dasz radę coś zjeść? – pyta z nadzieją, ale kręcę głową, czując, jak opadają mi powieki.

– Skarbie, Brownie i ja pójdziemy teraz, żeby poczekać przy innym portalu.  
– Buns milknie, patrząc na Reeda.

Wydaje się, że między nimi istnieje ciche porozumienie. Ściągam pytająco brwi i spoglądam to na jedno z nich, to na drugie.

– Pełna otwartość we wszystkich sprawach, Buns, tak jak ustaliliśmy. Jesteśmy jednym zespołem. Nikt nie będzie spychany na margines – mówi Reed poważnym tonem, a Buns twierdząco kiwa głową i uśmiecha się do mnie.

– Czekamy na Zee i Russella. Niedługo wrócą z Operacji „Pacha” – mówi Buns.

– Sądziłam, że nazwalimy ją Operacją „MDS”, czyli Międzynarodowy Dom Smrodu. – Brownie przewraca oczami.

– Nie, jestem całkiem pewna, że to „Pacha” – odpowiada Buns. – W każdym razie niedługo powinni tu być. Plan został zrealizowany. Czy oni już wiedzą, że jest tu Evie? – pyta, a Reed potakuje i obserwuje moją reakcję na to, o czym rozmawiają. – To dobrze, w takim razie tu przyjdą.

– Russell też tam był? – chcę wiedzieć, nagle całkiem złana potem.

– Tak – mówi Buns. – Zabrał swój szczęśliwy kij bejsbolowy z Louisville. Mówił, że postara się poprawić swoje statystyki bejsbolowego pałkarza.

Marszczę czoło, bo przecież obiecali mi, że będą chronić Russella, i nie powinni puszczać go na pole bitwy, jakby się wybierał na bejsbolowy trening.

– Evie, Russell jest naprawdę cholernie silny – mówi Brownie, widząc mój wyraz twarzy. – Nigdy wcześniej nie widzieliśmy nikogo, kto by tak nabierał siły. Russell jest jak... super się rozwija i potrafi robić zadziwiające rzeczy. Jest silniejszy niż my dwie z Buns razem wzięte i potrafi przyjąć dowolny kształt, jaki tylko sobie wyobrazisz – mówi z podziwem.

– Umie też się dostosowywać jak kameleon, a przez swoje pełne rozeznanie w sprawach ludzkich stanowi problem dla aniołów Mocy. Wszyscy chcą, żeby był blisko nich... Uczą się go, bo jest dla nich kompletnie nieprzewidywalny, niezgłębiony – dodaje Buns.

– To jest kompletne zauroczenie. – Brownie się uśmiecha. – Mocni chcą spędzać z nim czas, jakby był gwiazdorem, i wszyscy próbują go naśladować.

– Tak, to prawdziwy miszczu – przytakuje Buns, energicznie kiwając głową.

– Jakiego języka wy używacie? – pyta kwaśno Reed.

– „Miszczu” to ktoś, kto ma zdolności... sportowy talent – tłumaczę. – Ty jesteś miszczu, Reed.

Brownie kiwa głową.

– Preben wszędzie za nim chodzi, jakby chciał go rozgryźć czy coś takiego – mówi Brownie.

– Skarbie, Preben chodzi za nim, bo spędzasz większość czasu z Russellem, a Preben nie może przestać się na ciebie gapić. – Buns się śmieje.

Brownie czerwieni się i przewraca oczami.

– Zamknij się, Buns, jesteś śmieszna.

– Och, daj spokój, on ma na ciebie taką ochotę – drażni się z nią Buns. – Zastanawiam się, co go bardziej zdenerwuje: to, że wymykasz się Dominium, czy to, że nie będzie wiedział, gdzie jesteś.

– Wymykamy się Dominium? – pytam.

– Na pewien czas, Evie – mówi Reed. – Mamy zaufanie do niewielu z nich.

Do Prebena, Sorina, Elana, ale Dominium tak naprawdę pragnie Russella. Głównie dzięki pomocy Prebena byliśmy w stanie ich zwodzić, ale potrzebujemy jakiejś możliwości nacisku. Możemy ją uzyskać, jeśli nie będą wiedzieli, gdzie on jest. Możemy ich zmusić do negocjacji i uzgodnić warunki, żeby po prostu nie zgarnęli go jako swojej broni.

Zaczynam powoli kręcić głową, starając się przetrwać tę nową informację.

– Dominium chce mieć pewność, że Upadli nie położą swoich łap na Russellu, a on nie ma nikogo, z kim by się mógł zjednoczyć, żeby ich powstrzymać – mówię cicho, widząc, że ani Brownie, ani Buns nie są dość wysoko w hierarchii, żeby przeciwstawić się Dominium. Kosiarze nie mają dostatecznych wpływów, żeby przebić legion Mocnych.

– Przykro mi, kochanie, ale ja już jestem z kimś w sojuszu, więc musimy go chronić właśnie w ten sposób – odpowiada Reed, wysyłając mi zadziorny uśmiech.

Buns pochyla się i całuje mnie w czoło, a potem wstaje z łóżka.

– Mamy tyle do opowiadania, ale najpierw musisz się przespać.

– Nie chcę spać, Buns – odpowiadam, chwytając ją za rękę.

– Musisz wyzdrowieć, a nie dasz rady, jeśli nie będziesz odpoczywać. A poza tym Mocni będą chcieli wycisnąć z ciebie każdy najmniejszy szczegół dotyczący Gankanagów i Upadłych. Chcą wiedzieć, jak się udał twój plan z Casimirem – mówi Buns, nie wiedząc, że poniosłam sromotną klęskę, o czym najlepiej świadczą dziury w moich udach. – Zee nie potrafi mówić o niczym innym... – Milknie, kiedy robię się blada.

– Świetnie – szepczę, ale nie cieszę się, że będę musiała wracać do wydarzeń z ostatnich miesięcy.

– Damy ci znać, kiedy tylko się tu zjawią. – Buns rusza w kierunku drzwi sypialni.

– Dziękuję – odpowiada Reed. Wciąż jestem otępiąła po tym, co przed chwilą usłyszałam.

– Porozmawiamy później, Evie – mówi cichym głosem Brownie i delikatnie ściska moją stopę, po czym śladem Buns wychodzi z pokoju na plażę.

Bryza, która wpada do pokoju po ich wyjściu, przynosi uczucie lekkości.

Nie towarzyszy jej słodki aromat, który – choć nie drażnił mnie szczególnie – stał się cechą charakterystyczną życia wśród Gankanagów. Zamykam oczy i wciągam głęboko powietrze. Łóżko porusza się, kiedy Reed kładzie się na poduszce obok. Odwracam się do niego, kładę mu głowę na ramieniu i przytulam się do jego boku. Zapach Reeda jest jeszcze wspanialszy niż zapach roślin tropikalnych, który niesie ze sobą wiatr.

– Reed, przez te wszystkie dni tak bardzo o tym marzyłam. – Patrzę mu w oczy utkwione w mojej twarzy. – Być z tobą w jednym łóżku i móc z tobą rozmawiać... Ale ja się po prostu boję, że to nie dzieje się naprawdę.

– To musi być prawda, bo mogę w końcu oddychać – mówi Reed łagodnym głosem, wyciągając rękę, żeby dotknąć moich włosów.

– Jak mnie znalazłeś? – Wpatruję się badawczo w jego twarz.

– Chodzi ci o dziś? W samochodzie? – upewnia się, a widząc, że potakuję, zaczyna tłumaczyć. – Poczulem cię. Motyle zaprowadziły mnie do ciebie. Ty ich nie czułaś? – pyta, a w jego zielonych oczach widać troskę.

– Ja... – Przerywam, bo nie chcę mu nic mówić o tym, co zdarzyło się w zamku Brennusa.

Nie chcę przecież widzieć bólu w jego oczach, kiedy to usłyszy. Kręcę przecząco głową i odwracam wzrok.

– Nie rób tego – mówi Reed, krzywiąc się i podnosząc łagodnie mój podbródek, żeby znów patrzeć mi w oczy. – Niczego przede mną nie ukrywaj. Przydarzyło ci się tyle rzeczy, o których nic nie wiem. Są w tobie różne pęknięte kawałki, których nie potrafię zobaczyć, a muszę o nich wiedzieć.

Niechętnie wracam wzrokiem do jego oczu.

– Dlaczego mnie nie czułaś? – pyta delikatnie Reed.

– On mnie... uderzył – przyznaję cichym głosem i zagryzam wargę, żeby powstrzymać napływ łez do oczu.

Znów próbuję patrzeć w dół, przeżywając raz jeszcze wszystkie gorące emocje, które we mnie wirują: poczucie winy, ból, strach, intensywne poczucie krzywdy. Reed kładzie swoją twarz blisko mojej i stara się nie tracić ze mną kontaktu wzrokowego.

– Kto cię uderzył? Casimir? – pyta Reed dość spokojnym głosem, ale w jego oczach jest ból, którego nie potrafi ukryć.

Raz jeszcze kiwam głową.

– Gdzie cię uderzył? – Reed przebiega wzrokiem po moim ciele.

Czuję ucisk w gardle, więc chwytam dłoń Reeda i kładę ją na swoim brzuchu.

– Tutaj? – szepcze, delikatnie muskając okolice mojego pasa. – Boli cię jeszcze? – pyta, lekko unosząc brwi.

Miękkim ruchem podnosi powoli moją koszulę i odsłania duży żółtawy siniak po pięści Casimira. Wzruszam ramionami, bo nie wiem, co mu odpowiedzieć: z jednej strony nie jest to porównywalne z postrzałem albo magiczną raną kłutą... Boli znacznie mniej, ale z drugiej strony jest bardziej... osobiste. Dostać cios pięścią to rzecz... intymna.

– Czy możesz mnie nauczyć, jak się bronić we wnętrzu, kiedy nie daje się obronić na zewnątrz? – szepczę, starając się mówić bez napięcia.

– Evie. – Reed jęczy z bólu. Nachyla się nade mną i swoimi idealnie kształtnymi ustami całuje delikatnie mój posiniaczony brzuch. – Nie chcę, żebyś musiała się tego uczyć... Nie będę miał litości dla nikogo, kto będzie chciał zrobić ci krzywdę.

– Przepraszam, Reed. – Jest mi przykro, że naraziłam go na taki ból.

Przeczesałam jego włosy palcami, czując działanie zmysłowych pocałunków, którymi obsypuje moją wrażliwą skórę.

Ciało Reeda nieruchomieje i czuję, jak jego oddech łaskocze moją skórę, powodując dreszcze przyjemności.

– Za co? – pyta cicho.

– Przepraszam, że... że ci nie powiedziałam, co zamierzam zrobić...

Milknę. Nie mogę go przeproszać za to, że poszłam. Musiałam to zrobić, ale powinnam była mu o tym wcześniej powiedzieć. Nie powinien był się tego dowiedzieć od Fedrusa.

Czuję znów napięcie w jego rękach, kiedy opiera policzek na moim brzuchu.

– W żadnym wypadku nie pozwoliłbym ci tego zrobić – mówi szczerze.

– Wiem – szepczę, a w mój głos wkrada się napięcie.

– Nigdy nie musiałem...

Reed milknie.

– Czego nie musiałeś? – Patrzę na obracający się powoli pod sufitem wiatrak.

– Nigdy nie musiałem tak ciężko walczyć o zaczerpnięcie tchu. Kiedy się dowiedziałem, co się stało... że Brennus cię uwięził... i jakie są warunki kontraktu... – Reed znów zawiesza głucho brzmiący głos.

Zamykam oczy i czuję, jak spod powiek spływają mi łzy.

– Przepraszam – mówię znowu, myśląc o tym, co czułem w tamtym czasie...

– Nie chciałem, żebyś wyciągnęła wniosek, że musisz tam iść sama... że to jedyny sposób, żeby uratować Brownie i Russella. – W głosie Reeda słychać napięcie i samooskarżenia. – A ty nie tylko tak uważałaś, ale jeszcze nie mogłaś mi tego powiedzieć. To przede mną musiałaś stanąć twarzą w twarz z potworem, mając tylko swój spryt i rozum.

– Zachowujesz się tak, jakbyś to ty mnie tam uwięził. Ja musiałam to zrobić... To była moja misja. Musiałam tam iść, zanim będzie za późno – wyjaśniam z desperacją w głosie.

– Prawie cię straciłem... tyle razy. – Ciało Reeda tężeje, gdy wymawia te słowa. – Bywały takie chwile, kiedy byłem pewien, że nie przeżyjesz tego, co się z tobą dzieje.

– Byłeś ze mną... w mojej krwi. Zawsze będę walczyła, żeby być z tobą – szepczę.

– Nie wiem, Evie, czy dam radę się zmienić. Będę robił to, co uważam za konieczne, żeby cię chronić – przyznaje, unosząc głowę znad mojego brzucha i patrząc na mnie ponuro.

– W porządku – mówię cicho i dotykam palcami jego policzka. – Można z tym żyć.

– Co? – pyta, a jego wyraz twarzy trochę łagodnieje.

– Biorę cię takim, jakim jesteś. Ważne dla mnie jest tylko to, żeby z tobą być. Potrzebuję cię – mówię, po czym pochylam się do przodu i muskam wargami jego policzek. – Pragnę cię – szepczę i przesuвам się tak, żeby dotknąć ustami drugiego policzka Reeda. – Tylko ciebie – całuję go czule

w usta – Reed – szepczę, czując, jak jego usta zakrywają moje.

Pragnę Reeda mimo bólu, który cały czas odczuwam.

– Evie – wymawia moje imię jak modlitwę, przyciągając mnie bliżej siebie.

Reed opiera się plecami na poduszkach, a ja kładę głowę na jego ramieniu.

– Nie chcę zamykać oczu – przyznaję, tuląc się do jego boku i starając się, żeby ciepło jego ciała mnie nie uśpiło.

– Ćśśś, jesteś tu ze mną, mój aniele – szepcze Reed, delikatnie głaszcząc mnie po włosach i mówi coś po anielsku. Jego czuły głos jest jak pieśczoła, która powoli kołysze mnie do snu.



Kiedy się budzę, muszę się przyzwyczać do niemal całkowitej ciemności panującej w pokoju. Leżąc na brzuchu, chwytam się za zdrętwiałą szyję i zaczynam ją rozmasowywać, bo spałam przez kilka godzin w jednej pozycji. Siadam w łóżku. Gdy prześcieradło, którym byłam przykryta, zsuwa się z moich ramion, uświadamiam sobie, że nie mam już na sobie wcześniejszych ubrań, tylko biały T-shirt, który z pewnością należy do Reeda, bo wyraźnie nim pachnie.

Rozglądam się wokoło. Panuje kompletny spokój. Jedyne dźwięki to dobiegający z plaży odgłos fal. Wstaję z łóżka i ostrożnie idę do przedpokoju. Przyćmione światło lampki oświetla małą kuchnię, która jest jednak pusta.

Przechodzi mnie dreszcz, bo dziwnie się czuję w tym miejscu sama. Miesiącami otaczali mnie ochroniarze. Nawet kiedy byłam w swoim pokoju w zamku Brennusa, nie czułam się tak naprawdę sama.

Coś musi być nie w porządku – myślę i bezszelestnie przesuвам się do wejścia do bungalowu.

Drzwi frontowe są szeroko otwarte, więc mogę szybko omieść spojrzeniem plażę w poszukiwaniu zagrożeń. Żadnego nie dostrzegam, widzę tylko samotnego Reeda na granicy między piaskiem a wodą. Wygląda zupełnie jak człowiek: leży na plecach na piasku i patrzy w niebo z ramionami założonymi za głowę. Uśmiecham się, widząc jego seksowne ciało osłonięte jedynie luźnymi, workowatymi szortami.



Podchodzę do niego bezgłośnie, a on też nie wydaje żadnych dźwięków, nawet kiedy jestem już blisko. Opadam na kolana i ostatnie kilka metrów pokonuję, pełzając po ziemi. Zasłaniam mu widok nieba, zakrywając jego usta swoimi. Czuję, jak przez chwilę jego ciało tężeje, a potem się rozluźnia. Reed również mnie całuje.

W jednej chwili odwraca mnie na plecy. Patrzę w górę, w jego oczy, w których tli się żarliwa namiętność. Nie widziałam jej już od miesiąca.

– Cześć – szepczę, dostrzegając drapieżny błysk w jego oczach lustrujących moje ciało osłonięte T-shirtem, który trochę wyzywająco odsłonił uda.

– Obudziłaś się już – mówi Reed, pocierając nosem moje ucho.

W następnej chwili słyszę odgłos rozrywania materiału i z moich pleców wystrzeliwiają skrzydła. Otwieram szeroko oczy, bo wiem, że jeśli się ruszę, Reed zobaczy mnie kompletnie nagą. Skrzydła rozciągają się pode mną, jakby same podejmowały niezależne decyzje.

Reed się temu przygląda. Chwilę później jego skrzydła odpowiadają tym samym – wystrzeliwiają z pleców i przesłaniają nocne niebo, elegancko otaczając jego sylwetkę.

– Moje skrzydła właśnie ci coś przekazały, prawda? – pytam, widząc jego zadowolony wyraz twarzy.

– Tak – odpowiada Reed z zachwytem.

– Co powiedziały? – dopytuję, czując rumieniec na policzkach i wiedząc, że rozmowa staje się trochę krępująca.

– Uważasz, że jestem seksowny – mówi Reed, a ja z pewnym zakłopotaniem dostrzegam, że sprawia mu to wielką radość.

– I to wszystko? – pytam dalej i coraz bardziej się czerwienię.

Reed wolno kręci głową, w jego oczach pojawia się zmysłowe napięcie. Powoli przebiega wzrokiem całe moje ciało, które również pokrywa się rumieńcem.

– Powiedziały też: „Będę walczyła z każdym, kto nie pozwoli mi być z tobą” – szepcze Reed, wodząc palcem po wycięciu mojego T-shirtu.

– Och – wzdygam, czując, jak palec Reeda przesuwają podartą koszulkę niżej, wędrując do mojego serca. – To już wszystko? – pytam.

– Niezupełnie. – Uśmiecha się zaborczo, widząc znak swoich skrzydeł na mojej piersi.

– Więc jeszcze coś? – dziwię się głośno, zauroczona słodkim wyrazem jego twarzy.

– Mhm... – mruczy, przyciskając usta do zaczerwienionej skóry nad moim sercem i całując symbol naszego związku.

W odpowiedzi na jego dotyk wyginam lekko plecy do tyłu.

– Bardzo są dziś rozmowne – szepczę do Reeda, gryząc w zapamiętaniu dolną wargę i słysząc jego cichy śmiech.

– Rzeczywiście – przytakuje Reed i znów spogląda mi w oczy. – Są też bardzo zaborcze, bo powiedziały mi, że należę do nich. Powiedziały „mój”.

– No widzisz, jakie są sprytne. – Uśmiecham się i czuję zadowolenie, które emanuje z Reeda.

– Są... cudowne. – Pochyliła głowę i namiętnie mnie całuje.

Kiedy zsuwa się do mojej szyi, pytam:

– A co powiedziały przed chwilą twoje skrzydła?

– Powiedziały: „Kocham cię, Evie. Właśnie ciebie... tylko ciebie” – odpowiada łagodnym głosem.

– Naprawdę to powiedziały? – Czuję się w tym momencie w pełni szczęśliwa i ogrzana wewnętrznym ciepłem.

– Tak – odpowiada Reed z gorącym uśmiechem, a w jego głosie słyszę nutę humoru.

– Będę się musiała nauczyć ich języka – mówię, a mój T-shirt zsuwa się jeszcze niżej. – Ja też cię kocham, Reed – szepczę, marszcząc czoło. – Chciałabym...

Milknę, kiedy szorstki dotyk jego podbródka muska moją wrażliwą skórę. Wypuszczam powietrze i zamykam oczy, kiedy Reed znowu przybliży usta, żeby mnie pocałować.

– Chciałabyś...? – Przesuwa dłoń niżej.

– Chciałabym znać inne słowa... „Kocham cię” nie wystarcza, żeby opisać to, co do ciebie czuję – mówię szeptem.

W jednej chwili Reed podnosi mnie z piasku i mocno przyciska do piersi. Trzymając mnie w ramionach, rusza do naszego bungalowu.

– Więc pokaż to, Evie – mówi mi do ucha, a ja obejmuję go za szyję. Moja koszulka spada na ziemię i zostaje na plaży.

## Rozdział 25

# *Nie ma już Persefony*

Trach... trach... Niedający się podrobić odgłos kija golfowego uderzającego w piłkę budzi mnie i przerywa niepokojący sen. Przekręcam się w łóżku i patrzę na wolno obracający się wiatrak. Czuję się zdezorientowana.

Zmysłowe wargi muskają krzywiznę moich ramion. Spoglądam w bok. Reed odrywa ode mnie głowę, a w jego ciemnozielonych oczach zamiast wyrazu zadowolenia pojawia się troska.

– Śnił ci się jakiś koszmar? – pyta mnie cicho, a brązowe włosy spadają mu na czoło, tworząc całkiem elegancki bałagan.

Wyciągam rękę i odgarniam mu z twarzy jedwabiste włosy. Rozglądam się po pokoju zdezorientowana spokojem tego miejsca, który kontrastuje z przerażeniem, w którym zanurzyłam się wcześniej.

– O co chodzi, Evie? – dopytuje się Reed.

Dotyka mojego czoła. Jego dłoń jest ciepła i sucha, w przeciwieństwie do mojej wilgotnej skóry. Reed wdycha zapach moich włosów i gładzi mnie po policzku.

– Już myślałam, że nie będę miała koszmarów – mówię i pocieram oczy. – Nie przyśnił mi się żaden od czasu Chin.

Reed marszczy czoło, jakby zdziwiła go ta informacja.

– A pamiętasz ten sen, który ci się teraz śnił? – Gładzi mnie delikatnie po ramieniu.

– Trochę pamiętam... Było bardzo zimno... lodowato i była burza, którą widziałam na horyzoncie... O, tam. – Wskazuję niepewnie morze.

– Tu nigdy nie robi się zimno, kochanie – mówi Reed zadziwionym głosem.  
Trach. Słyszę kolejne uderzenie kija w piłkę golfową.

Russell śmieje się i mówi:

– Ech, Zee, zatłuczysz w końcu kogoś tym swoim potwornym slajsem. Nie martw się, Buns, on ci kupi nowe. No i patrz, co zrobiłeś: złamałeś to, co ona tak lubi.

– A co to właściwie było? – mamrocze Zee.

– Nie wiem, a jej lepiej nie pytaj... Po prostu przeproś i powiedz, że kupisz jej drugie takie samo. – Russell wybuchają śmiechem.

– Jak mam to zrobić, skoro nawet nie wiem, co to jest? – pyta Zefir z rozpaczą w głosie wywołaną radą Russella.

– Poproś ją, żeby cię zabrała tam, gdzie to kupiła – doradza dalej Russell, który jest w świetnym humorze, sądząc po głosie.

– Dlaczego nie mogę po prostu dać jej pieniędzy, żeby to sobie kupiła? – dopytuje Zefir, kwestionując logikę Russella.

– Mógłbyś, ale wtedy wpadniesz, jeśli cię zapyta, na co te pieniądze, a ty nie będziesz znał odpowiedzi, nie? – Russell pyta retorycznie.

Uśmiecham się i odwracam do Reeda, który nadal jest zatroskany.

– Pamiętasz coś jeszcze z tego snu? – pyta Reed.

Opieram się na poduszkach i zastanawiam się, a w końcu kręcę głową.

Reed zatyka mi za ucho kosmyk włosów, a mnie się wrywa:

– Zbliża się.

– Co się zbliża? – pyta Reed spokojnie.

– Burza – odpowiadam i milknę.

– Czy burza wie, gdzie jesteście? – Delikatnie nawija na palec kosmyk.

– Nie wiem – szepczę. – Nie miałam snów... To nie działało, kiedy byłam u nich – zwierzam się, spoglądając na Reeda.

– Teraz działa – mówi obojętnym tonem.

– Brennus myślał, że nie mam snów, bo z nimi czuję się bezpieczna – mówię, bawiąc się rogiem prześcieradła.

– To ciekawa teoria. – Głos Reeda wciąż brzmi obojętnie. – Co o tym myślisz? – Wpatruje się we mnie zielonymi oczami.

– Myślę, że Niebo nie odsłania własnych kart niewłaściwym graczom – odpowiadam lekko zawstydzona, choć nie do końca wiem czym.

Wzrok Reeda łagodnieje.

– Ty nigdy nie jesteś niewłaściwym graczem, Evie. Głodna jesteś? Wszyscy czekają, aż się obudzisz. Naszykowaliśmy śniadanie na zewnątrz, blisko wody.

Kiwam głową, bo powinnam coś zjeść.

– Buns i Brownie przyniosły ci nowe ubrania. Chcesz wziąć prysznic i przyjść do nas nad wodę? – pyta, delikatnie przeczesując moje włosy.

– Tak – próbuję wziąć się w garść.

Chcę znów zobaczyć przyjaciół, ale nie wiem, czy jestem gotowa rozmawiać o mojej rodzi... o Gankanagach. Czuję ucisk w sercu. Czy oni wszyscy nie żyją? – zastanawiam się ponuro. Czy Zefir i jego wojsko Dominium pozabijali ich, kiedy stamtąd znikłam? Czy wszystkich wykończyli Upadli? Już się nie uśmiecham, do czego się zmuszałam, gdy był tu Reed.

– Prysznic jest tutaj. – Reed wstaje z łóżka i podaje mi lniany szlafrok.

Owijam się nim, po czym biorę Reeda za rękę i idę do łazienki, która przylega do sypialni.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebować, czekam na ciebie na zewnątrz. – Reed lekko całuje mnie w usta.

Biorę szybki prysznic, szcotojkuję włosy i zbieram je w koński ogon. Wracam do sypialni i znajduję różne bikini oraz dobrane do nich wiązane spódnice. W szafie wisi trochę sukienek, ale w większości nadają się na uroczyste okazje. Wybieram czarne bikini z odpowiednią spódnicą, która prawdopodobnie w świetle słonecznym okaże się całkiem przezroczysta. Zakładam sandały z pasków i wychodzę na plażę.

Na piasku wzniesiono śnieżnobiały namiot. Stoi pod nim drewniany stół obstawiony wygodnymi ratanowymi fotelami. Gdy idę w stronę namiotu, Reed odwraca się i mnie obserwuje. Ma na sobie szorty z obniżonym krokiem. Wygląda, jakby spędził na wyspie już sporo czasu, bo jest opalony, a jego płowe włosy się rozjaśniły.

– Dobry Boże – mówi pod nosem Russell na mój widok.

Opiera się ramieniem o jeden z masztów namiotu i śledzi każdy mój krok. Rumienię się, czując okropne zakłopotanie, bo wszyscy gapią się na mnie, jakbym była obca.

Buns i Brownie natychmiast wychodzą z cienia, zbliżają się do mnie i zamykają w grupowym uścisku.

– Jak się czujesz, skarbie? – pyta Buns, oglądając moje nogi. Przez spódnicę nie widać blizn, które są już jedynym śladem po postrzałach.

– Dużo lepiej – odpowiadam całkiem szczerze i idę z nimi w stronę namiotu.

Kiedy dochodzimy do ułożonych na ziemi desek prowadzących do łukowato sklepionego namiotu, zatrzymuję się przed Zefirem, który również śledzi moje nadejście.

– Czy nikomu nie przeszkadza, że mam skrzydła na zewnątrz? – pytam Zefira, starając się znaleźć jakiś temat do rozmowy, żeby nie czuć się przy nim dziwnie.

Nosi szorty podobne do tych, które założył Reed. Ma dłuższe włosy niż wcześniej. Wygląda z nimi starzej, ale równie przystojnie jak wcześniej.

– Nie, w porządku – odpowiada, uśmiechając się do mnie. – W tym tygodniu jesteśmy tu we własnym gronie. Mam też ludzki personel, który przy pływa łódką za parę dni na inną część wyspy. Przywożą zapasy i ekipę do sprzątnia. Dam ci znać za parę dni, jak będą się tu mieli zjawić.

Kiwam głową, patrząc w jego oczy koloru nieba nad nami. Zefir wyciąga ramiona, obejmuje mnie i podnosi z ziemi.

– Od teraz – mówi – jeśli któryś z nas powie „Schowaj się za mną”, masz to zrobić... Czy ty nie rozumiesz, że jesteś za młoda, żeby wyruszać sama na spotkanie z ifritem?

Jego głos jest pełen napięcia. Jeszcze nigdy nie słyszałam Zefira mówiącego w ten sposób.

– Przepraszam, Zee – szepczę, obejmując go równie mocno jak on mnie.

– Masz za co – beszta mnie surowym tonem. – O mało co nie zabiłem Fedrusa...

– Co? – krztuszę się, wpijając palce w jego plecy.

– Zostawił cię samą. – W tonie Zefira pobrzmiwa groźba. – Jesteś taka mała... Kiedy myślałam o tym, że szłaś sama do tego kościółka... – Milknie.

– Zee, on musiał to zrobić – odpowiadam, czując, że doprowadziłam do ich konfliktu. – To była moja misja.

– Nie zrobiłem mu krzywdy – mówi Zefir szorstko. – Zaprowadził nas z powrotem do tamtego kościółka. Kiedy znaleźliśmy Russella i Brownie... zrozumieliśmy... Gdybyś tam wtedy nie poszła, nie byłoby ich teraz tutaj. Ale powinienem iść z tobą. – Stawia mnie na ziemi, żeby móc znowu patrzeć mi w oczy.

– Zee, to była solowa misja. – Nie chcę się z nim kłócić, ale musi zrozumieć, że to, co zrobiłam, było według mnie dla wszystkich najlepsze.

W odpowiedzi burknął:

– Ale to nie znaczy, że musi mi się to podobać. Muszę poznać wszystkie szczegóły: od chwili, kiedy zamroziła nas Safira, do chwili, kiedy Reed znalazł cię w samochodzie Casimira.

Zakrywam czoło drżącą dłonią i czuję, jak robię się blada. Russell musi to widzieć, bo podchodzi do mnie, bierze mnie pod rękę i obejmuje w pasie.

– Cholera, Zee, poczekaj chwilę – mówi, prowadząc mnie do stołu i wysuwając dla mnie krzesło. Siadam na miękkiej poduszce. Jestem wdzięczna Russellowi, że uratował mnie przed przesłuchaniem, które i tak mnie nie minie. – Kiedy ostatnio jadłaś, Ruda? – pyta Russell, a ja wzruszam ramionami.

– Wieczorem zjadła trochę chleba i kawałek sera – wyjaśnia usłużnie Reed, kładąc przede mną talerz pełen naleśników, tostów, herbatników polanych sosem i owoców. Patrzę na to wszystko i się zastanawiam, jak ktokolwiek mógłby wchłonąć tyle jedzenia.

– Lepiej już zacznij, bo nie pozwolimy ci odejść, póki talerz nie będzie pusty – mówi Russell, wręczając mi widelec. Z poważną miną siada na sąsiednim krześle, wypełniając je swoją potężną sylwetką. Reed zajmuje miejsce po mojej drugiej stronie i nalewa mi do szklanki wody.

Przez chwilę jem, a w tym czasie Zefir i Russell przekazują Reedowi informacje na temat liczby wyeliminowanych Upadłych i pozycji ostatnio



zajmowanych przez przeciwnika.

– Czy dalej jesteś zdecydowany na ten plan? – pyta Reeda Zefir z obojętnym wyrazem twarzy.

– Tak, powinniśmy znaleźć tego jednego anioła, który może wiedzieć wszystko na temat Evie – odpowiada Reed poważnym tonem.

Przestaję żuć i głośno przełykam.

– Kto wie o mnie więcej niż wy, koledzy? – pytam, ściągając w zamyśleniu brwi.

– Tau – odpowiada łagodnie Reed. – Jeśli jest twoim ojcem...

– To strata czasu – odpowiadam. – Jeśli zależałoby mu chociaż trochę, odnalazłby mnie... Pomógłby albo chociaż wpadł, żeby powiedzieć „Cześć” – odpowiadam na pozór spokojnie, ale w ustach mam całkiem sucho.

– Teraz by się przydał. – Reed przysuwa rękę do mojej dłoni leżącej na stole i ją nakrywa.

– Rozmawiałam z Casimirem – próbuję zniechęcić ich do poszukiwania anioła, który potraktował mnie z obojętnością. – Opowiedział mi różne rzeczy... Nie wiem, czy można w nie wierzyć, ale były bardziej pouczające niż wszystko, co mógłby nam powiedzieć Tau.

Szybko streszczam im swoją rozmowę z Casimirem sprzed jego ucieczki przez portal.

Reed i Zefir patrzą na siebie, kiedy im mówię, że Casimir nazwał mnie „ostrzeżeniem” dla wszystkich aniołów. Mam wrażenie, że nie lubią wersji Casimira, zgodnie z którą jestem nowym gatunkiem, który może wyprzeć zarówno ludzi, jak i anioły. Przerywam, bo obaj są skonsternowani.

– Sądzicie, że miał rację? – pytam.

– Nie – odpowiada natychmiast Reed. – Myślę, że całkowicie się mylił, ale inni nie muszą tak sądzić. Jeśli Upadli zdołaliby przekonać anioły, że taki właśnie jest twój cel, możemy mieć problemy. Tym ważniejsze jest, żeby odkryć, jaki jest twój prawdziwy cel. – Patrzy na mnie z uspokajającym uśmiechem.

– Pułapka, którą zastawiłaś, była bardzo nęcąca – komplementuje mnie Zefir z podziwem w głosie. – Wątpiłem, czy Casimir w ogóle zdecyduje się na

takie ryzyko, ale prawdopodobnie nie mógł opanować swojej natury. Myślał, że jesteś sama i bezbronna.

– To był pomysł Eiona – mówię. – A ja popełniłam gigantyczny błąd, bo zapomniałam zamknąć portal.

– Więc dlatego powinnaś nam przede wszystkim pozwolić, żebyśmy cię stamtąd zabrali – wtrąca się Russell, który robi się nieco blady, kiedy się dowiaduje, jak było z pułapką na Casimira. – Upadli mieli plan, żeby cię zabić, Ruda. Miałaś szczęście, że Casimir po rozmowie z tobą wyraźnie zmienił zdanie. Gdyby wkroczył do akcji z dymiącymi pistoletami, byłabyś już martwa.

– Russell, czy dalej będziesz grał tę rolę? – pytam cicho, biorąc do ręki widelec i nadziewając kawałek mango, który wkładam sobie do ust.

Oczy Russella się zwężają.

– O jaką rolę ci chodzi? – pyta.

– Złego gliniarza. – Przezuwam i go obserwuję.

Russell odchyła się na krześle i bada mnie wzrokiem.

– No cóż, Reed już zarezerwował sobie rolę dobrego gliniarza. Ktoś musi ci powiedzieć wszystko szczerze. – Podnosi szklankę soku pomarańczowego i upija łyk. – Już cię traciliśmy, oni mogli nam cię zabrać. To bardzo sprytnie stworzenia... uwodzicielskie. Założę się, że nie pokazali ci nawet połowy swojej siedziby, co? – rzuca mi wyzwanie.

– Nie, na pewno nie pokazali – przytakuję łagodnie, ale czuję się upokorzona jego oceną.

– Evie, bardzo dużo go kosztowało, żeby to zrobić – mówi cichym głosem Brownie, która siedzi po drugiej stronie stołu. – Russell wolałby być miłym facetem, ale to by ci szczególnie nie pomogło.

Czuję się zapędzona do narożnika i odpowiadam:

– A mnie też bardzo dużo kosztowało, żeby tam być. Więc potraktuj mnie ulgowo, kiedy mówisz, jak sobie radziłam w niewoli.

– Nikt cię nie ocenia. – Russell marszczy czoło. – Po prostu próbujemy zrozumieć, dlaczego tak bardzo ich bronisz.

– Nie bronię ich – odpowiadam ze wzrokiem utkwionym w talerz.

– No dobrze, to powiedz, jak oni są zorganizowani. Kto jest drugi w hierarchii dowodzenia? Podaj imiona swoich osobistych ochroniarzy... – Russell milknie, kiedy na niego spoglądam. – No nie, ciągle jesteś pod ich wpływem, prawda? – pyta retorycznie, a w jego głosie słychać gorycz.

– Russell, to nie było to samo, co ty przechodziłeś u Valentine’a. Nie torturowali mnie ani nie krzywdzili. Uczyli mnie magii i technik samoobrony... – przerywam mu.

– Indoktrynowali cię – odpowiada. – Robili to, żebyś zaczęła patrzeć na wszystko ich oczami i nie myślała samodzielnie. Bo gdybyś myślała, zobaczyłabyś, że oni mordują kobiety z wydajnością fabryki.

– Zabiliście ich? – pytam, znów spoglądając w dół, a nie w jego twarz.

– Czemu pytasz? – Russell odpowiada pytaniem i zastanawia się, o co mi chodzi.

– ZABILIŚCIE? – krzyczę, nie dbając o to, co sobie myśli.

Russell patrzy na mnie ze smutnym uśmiechem i mówi:

– Nie... nie wiemy, co się z nimi stało. Może pozabijali ich Upadli. Myśmy się skupili na wyeliminowaniu wojsk Casimira i próbach uratowania ciebie. Reed zajął się głównie szukaniem ciebie... Ze względu na waszą wzajemną sympatię. Wciąż mieliśmy tu jednego z Gankanagów, Leifa. Plan był taki: sprowadzić cię tutaj, a potem pozwolić mu, żeby cię ugryzł. Wtedy kontrakt byłby złamany.

– Gdzie jest Leif? – pytam, czując się fatalnie z tego powodu, że trzymają go jako zakładnika.

– Nie żyje – odpowiada Russell, sprawdzając moją reakcję. – To znaczy... skończył się, bo przecież martwy był, zanim go złapaliśmy. Jak skłoniłaś Brennusa, żeby zerwał kontrakt? – pyta.

– Mieliśmy stamtąd uciekać tunelami pod zamkiem, ale czekał tam na nas Casimir. Postrzelił mnie i miał mnie zabić, gdyby Brennus nie zgodził się mnie uwolnić – wyjaśniam.

– Więc uwolnił cię, żeby ratować własne życie – odpowiada Russell, marszcząc brwi w gniewnym grymasie.

– Nie – odpowiadam, patrząc na Russella. – Był gotów zginąć, żeby mnie utrzymać przy życiu. Pozwolił mi podjąć decyzję. Powiedział, że on i tak

będzie skończony, niezależnie od tego, co będzie ze mną. Casimir powinien być na tyle sprytny, żeby nie pozwolić mu żyć.

– Więc Casimir zabił Brennusa? – pyta z kolei Reed siedzący po mojej drugiej stronie.

– Nie – odpowiadam tępo. – Kiedy Brennus użył zaklęcia, żeby zerwać kontrakt, ukradłam trochę jego energii i wezwałam do siebie ocean. Casimir i ja zostaliśmy oddzieleni od reszty, kiedy woda wyrzuciła nas przez okno zamkowej kaplicy.

Wszystkie pary oczu osób siedzących przy stole się rozszerzają.

– Więc to ty? – szepcze Zefir.

– Tak, Zee, to ja i moje okropne próby z poezją – odpowiadam, wiedząc, że on i tak nie ma pojęcia, co przez to rozumiem.

– Widzieliśmy, jak prąd wody wpływa do jaskiń pod zamkiem. Był niezwykle silny – mówi Zefir głosem pełnym zachwytu. – Co ty jeszcze potrafisz?

– Nie wiem... Wszystko zależy od tego, co jest potrzebne... – Milknę. – Musiałam powstrzymać Casimira, żeby mnie nie wciągnął z powrotem do portalu, który otworzyliśmy, żeby go zwabić. Więc stworzyłam ogień. Poparzył sobie ręce, kiedy próbował mnie złapać i wyprowadzić. Pomyślałam więc, że może moja magia będzie na niego działać.

– Serafiny... W ogóle anioły są wrażliwe na twoją magię? – pyta Zefir, który zerwał się z krzesła i rozgląda się wokoło. – Możesz mi to zademonstrować? – pyta podekscytowany.

– Chcesz się przekonać, czy moje zaklęcia będą miały na ciebie wpływ? – upewniam się, widząc, jak coraz bardziej się uśmiecha.

– Tak – mówi Zefir z wyczekującą miną.

– Zee, ale ja nigdy nie wiem, co się stanie. Wydaje mi się, że kiedy ściągam do siebie tylko trochę energii, wynik jest inny, niż kiedy ściągam całą, którą potrafię zgromadzić – wyjaśniam nerwowo. – Nie chcę ci zrobić krzywdy. No dobrze... Siądź tu na krześle... Wypróbuję pewien pomysł, który mi przyszedł do głowy.

Zefir rozsiada się znów na swoim poprzednim miejscu, a ja odkładam widelec na stół i wysuwam swoje krzesło. Staję obok Russella, który pyta:

– Co zamierzasz zrobić?

– Księżyc – odpowiadam.

Russell ściąga brwi, usiłując zrozumieć, o co mi chodzi, a ja skupiam w sobie niewielką ilość energii i szepczę:

– „Księżyc dziś złap, wznos się i fruń. Wzlatuj łagodnie, szybuj wygodnie. Ty tutaj rządzisz – więc w górę suń”.

Przesuwam dźwignię ruchu energii, która teraz zaczyna ode mnie odpływać. Po chwili dociera do aniołów siedzących przy stole. Zaczynają lewitować nad swoimi krzesłami – łagodnie się wznoszą w kierunku górnego poszycia namiotu, jakby nie działała na nie grawitacja. Buns zaczyna chichotać, kiedy uderza głową w płócienny dach.

– „Wracaj wygodnie, gościu podniebny. Ląduj bezpiecznie – w domuś potrzebny”.

Powoli zawracam energię ku sobie i wszyscy delikatnie opadają na krzesła.

Kiedy siadam znów za stołem, widzę ich zdumione twarze. Zefir wpatruje się w Reeda i jest między nimi typowe męskie porozumienie. Reed kręci przecząco głową, jakby odpowiadał na jakieś nieme pytanie. Potem Zefir zwraca się do Russella i pyta:

– Czy ty czujesz energię, którą Evie wykorzystuje?

– Jak diabli – odpowiada Russell z chytrym uśmiechem. – To tak jakby stać obok linii wysokiego napięcia. Czuję jej zapach i falowanie w powietrzu. A ty nie? – pyta.

– Nie... My nie mamy magicznych umiejętności, więc trudno nam ją wykryć – przyznaje Zefir. – Skoro ty czujesz tę energię, może Evie mogłaby cię nauczyć, jak się nią posługiwać. Powinieneś też to umieć. Ona cię nauczy magii, a potem będziesz pracował z nią na jej klonach.

– Skarbie, klony Russella są tak niesamowite! Ciężko pracował z Fedrusem, żeby rozwinąć tę umiejętność – mówi Buns, uśmiechając się do Russella. – Martwiłyśmy się o niego z Brownie. Tak bardzo się starał w sprawie klonów, że aż bolała go głowa i miał krwotoki z nosa. Ale to był jedyny sposób, żeby się z tobą skomunikować, więc nie mogłyśmy go przekonywać, żeby trochę odpuścił.

– Nie było tak źle. – Russell bagatelizuje jej troskę.

Nie patrzy na mnie, ale wiem, że było źle. Sama pamiętam, jak się czułam, kiedy próbowałam zapanować nad klonami. A Russell był w tym o wiele, wiele lepszy, niż mi się to kiedykolwiek udało. Znow dopada mnie poczucie winy. Zabijał się, żeby mnie odzyskać.

– Jak ci było, Evie? Kiedy tam z nimi mieszkałaś? – Brownie ze smutną miną próbuje przyciągnąć moją uwagę.

Wszystkie oczy znow zwracają się w moją stronę. Biorę do ręki widelec i przesuwam jedzenie po talerzu.

Wzruszam ramionami i patrzę na nich. Staram się jakoś uciec od pytania Brownie, ale wszyscy czekają w napięciu na moją odpowiedź.

– Na początku byłam przerażona – słyszę, jak mówię niepewnym głosem. – Cały czas się bałam. Przez kilka pierwszych dni nie wychodziłam ze swojego pokoju. Kiedy w końcu wyszłam, wszystko było nierealne... całkiem dziwaczne. Jak plastikowa wersja jakiejś okropnej bajki. – Wypijam łyk wody, bo mam ściśnięte gardło. – Ale potem zaczęłam się zanurzać w tej ich bajce i powoli wszystko stawało się realne. Jakaś ich siła zaczęła mnie do nich przyciągać i coraz trudniej mi było pozostać sobą. Nie potrafiłam od nich uciec. Nie potrafiłam się wymknąć. Łatwiej było zostać tym, kim oni chcieli, żebym została. To przynosiło ulgę, bo już nie musiałam się cały czas bać... Wystarczyło zaakceptować swoją rolę w ich świecie. Doszło do tego, że już nie musiałam się starać... Po prostu stawałam się jedną z nich – mówię z poczuciem, że zdradziłam wszystkich, którzy siedzą za stołem.

– Tak mi przykro, Evie – mówi Brownie i wstaje od stołu.

Po chwili wychodzi.

– Brownie? – zwracam się do niej, zaskoczona jej reakcją na moje słowa.

Russell wstaje od stołu i wyciąga rękę do Buns.

– Pójdę już – mówi do niej, a Buns robi taki ruch, jakby też zamierzała wstać.

Russell pochyla się i szepcze mi do ucha:

– Ruda, musimy porozmawiać.

Kiedy tępo potakuję, całuje mnie w czubek głowy i w ułamku sekundy

znika.

– Wszystko w porządku, skarbie – zapewnia mnie Buns, kiedy zdezorientowana na nią patrzę. – Brownie czuje się odpowiedzialna za to, co się stało. Myśli, że był inny sposób, żeby uniknąć schwywania jej i Russella przez Valentine’a.

– Jak miała przewidzieć jego nadejście? – pytam. – Był... brutalny i pomysłowy.

– Całkiem tak jak Brennus – mówi Buns, patrząc mi w oczy. – Przeżyłaś, Evie. Jesteśmy zachwyceni i dumni z ciebie. Chcemy tylko pomóc ci, żebyś do nas wróciła. Powiedz, jak mamy to zrobić, a my cię posłuchamy.

– Już to zrobiliście – mówię łagodnym tonem. – Nigdy nie daliście mi zapomnieć, dlaczego powinnam wrócić... Nigdy nie pozwoliliście mi zapomnieć, że jesteście moją rodziną.

Buns wstaje z krzesła i obchodzi stół, żeby mnie uściskać.

– Jesteś u siebie. Tylko to się liczy. Teraz wszystko będzie w porządku. Pójdę zobaczyć, czy da się porozmawiać z Brownie.

Buns odchodzi od stołu, a ja patrzę na siedzącego obok mnie Reeda.

– Chcesz obejrzeć wyspę? – pyta mnie.

– Tak. – Uśmiecham się z ulgą, że nie będę już musiała odpowiadać na żadne pytania, przynajmniej na razie.

Reed wstaje i pomaga mi wysunąć krzesło. Potem mówi:

– Weźmiemy jeepa. Chcę ci coś pokazać.

– Wróćcie na lunch? – Zefir wstaje i chwyta torbę z kijami golfowymi.

– Nie licz na to – odpowiada Reed, uśmiechając się do niego.

Bierze ze stołu kilka muffinów i zawija je w serwetkę.

– Więc nie będziemy na was czekać. – Zefir się uśmiecha. – Evie, cieszę się, że wróciłaś do domu.

– Ja też.

Zefir wyciąga rękę i lekko dotyka mojego policzka.

– Zadzwońcie, jeśli nie będziecie chcieli wracać na kolację – prosi Reeda i opuszcza rękę.

– W porządku.

Zefir odwraca się i kieruje w stronę dużego białego wiejskiego domu stojącego na wzgórzu.

– Dlaczego nie mieszkamy z nimi w głównym budynku? – pytam Reeda, który prowadzi mnie ścieżką za nasz bungalow, gdzie stoi czterodrzwiowy jeep.

Reed otwiera mi drzwi i pomaga wsiąść do samochodu, po czym nienaturalnie szybko znajduje się w fotelu kierowcy.

– Chciałem być z tobą przez jakiś czas sam na sam – odpowiada.

Uruchamia silnik i jedzie przez gęsty las, co przypomina jazdę po przecinkach w dżungli udających prawdziwe drogi. Uśmiecham się, trzymając się poręczy przy drzwiach, i popatruję na piękny profil Reeda.

– A jak to przyjęła reszta ekipy? – pytam, patrząc jednocześnie, jak widoki za oknem zmieniają się zdecydowanie za szybko.

– Niezbyt dobrze, ale ponieważ jesteś moim marzeniem, musieli się z tym pogodzić – odpowiada, a w jego oczach widzę błysk satysfakcji.

– Znowu potwierdzasz swoją pozycję?

Reed wyciąga w moją stronę rękę i nakrywa moją spoczywającą na wsporniku między naszymi fotelami.

– Zrobię wszystko, co będzie konieczne, żeby być z tobą sam na sam, Evie – mówi Reed, chwyta moją dłoń i przysuwa ją do ust.

– Jeszcze ci nie podziękowałam, Reed – szepczę, czując skurcz serca.

– Nie podziękowałaś? Za co? – pyta.

– Za to, że mnie pomściłeś... i mojego wuja – odpowiadam, a pytanie w jego spojrzeniu ustępuje zrozumieniu. – Za to, co zrobiłeś z Casimirem.

– Wiesz, Evie, za szybko się to skończyło – komentuje Reed. Kąciki jego ust nieco opadają, a brwi łączą się ze sobą. – Spotkało go zbyt wielkie miłosierdzie. Nie cierpiał dostatecznie.

– Próbował zrobić ze mnie niewolnicę – mówię i dreszcz mnie przechodzi na myśl, że gdyby nie Reed, znajdowałabym się teraz prawdopodobnie w Szeolu.

– Ale to się nie zdarzy. Będę walczył, żeby mieć pewność, że nikt już nigdy



nie zrobi z ciebie niewolnicy – mówi przez zaciśnięte zęby.

Puszczam dłoń Reeda i sięgam do jego policzka. Na chwilę zamyka oczy, rozkoszując się tym dotykiem.

– Dziękuję. – Czuję, że moje słowa nie potrafią wyrazić tego, co naprawdę mam na myśli.

– Nigdy mi nie musisz za nic dziękować, Evie – odpowiada Reed ze zmysłową miną. – To moja misja... Ty jesteś moją misją.

Samochód wyjeżdża z bujnej dżungli na polanę. Najpierw słyszę wodospad, a dopiero potem go widzę. Kiedy okrążamy wystającą skałę, niemal tracę dech na widok majestatu i mocy spadającej kaskadami wody. Reed parkuje auto blisko brzegu zbiornika wodnego i wysiada. Podchodzi do drzwi z mojej strony i je otwiera.

– Chcę ci coś pokazać – mówi.

Chwyta plecak leżący na tylnym siedzeniu, wręcza mi go i bierze mnie w ramiona. Z pleców wysuwają mu się skrzydła, a ja na ich widok czuję dreszcz emocji. Wznosimy się nad ziemię i wzlatujemy w powietrze. Reed szepcze mi do ucha:

– Przygotuj się, że zmokniesz.

Kulę się, kiedy lecimy bezpośrednio w stronę wodospadu. Zamykam oczy, myśląc, że zaraz rozbijemy się o skałę urwiska, z którego spada woda, ale zamiast tego przelatujemy pod ryczącym strumieniem i lądujemy w ukrytej za nim pieczarze. Jej ściany utworzone są z wygładzonych skał, co wyraźnie pokazuje, że dawniej wylewała się stąd woda, póki nie znalazła sobie innej drogi. Światło prześwitujące przez wodę odbija się na skalistych ścianach, które inkrustowane są krystalicznym kwarcem. Skrzące się punkty oświetlają zarówno Reeda, jak i mnie. Wyglądamy, jakbyśmy się wcześniej wytarzali w brokacie.

– Jak znalazłeś to miejsce? – pytam zachwycona, rozglądając się wokół.

– Bez ciebie miałem kłopoty z zasypianiem – odpowiada Reed, biorąc ode mnie plecak. – Chciałem przez cały czas pracować, ale Buns nalegała, żebym od czasu do czasu zjawiał się na wyspie i odpoczywał. Russell i Fedrus pracowali nad tym, jak cię znaleźć. Nie wiedzieliśmy, że tak długo będą cię tam trzymać.

Marszczy czoło i wyciąga z plecaka koc, który jest jeszcze suchy. Rozściela go na ziemi.

– W takich drobnych sprawach Buns umie postawić na swoim.

Reed spogląda na mnie, uśmiecha się, a mnie na ten widok serce bije coraz mocniej. Jest taki piękny, kiedy się uśmiecha...

– Ale kiedy tu się pojawiłem... rzadko spałem bez przerwy dłużej niż kilka minut... więc się włóczyłem. Wiedziałem, że cię tu nie ma, ale i tak cię wciąż szukałem – mówi głosem, który wyraża ból.

Podchodzę do niego, biorę jego twarz w dłonie i przyciągam do siebie. Przykrywam jego usta swoimi i czuję, że obejmuje mnie ciepłymi ramionami.

– Nie mogłem cię znaleźć, Evie – szepcze z ustami blisko moich warg.

– Jestem tu – odpowiadam mu także szeptem.

Czuję, jak moje ubrania opadają na ziemię, bo Reed rozwiązuje wszystkie sznurki. Moje ciało przykrywa jego ciało, kiedy oboje kładziemy się na kocu. Towarzyszy nam dźwięk płynącej z góry wody. Pasujemy do siebie idealnie. Pokazuję Reedowi wszystko, co obecne jest w moim sercu. Niknie wszelki ból i żal – jesteśmy tylko my dwoje.

Później leżę w ramionach Reeda i opieram policzek na jego piersi, a palcami wędruję po liniach jego doskonale pięknego brzucha. Reed z kolei palcami wyznacza ścieżki na moich plecach. Przystaje na chwilę, a potem znowu rusza, trochę wolniej niż poprzednio. Głuchym głosem Reed zadaje mi pytanie:

– Czy on... czy on cię skrzywdził?

Przerywam, zamykam oczy i uświadamiam sobie, o co tak naprawdę chodzi w tym pytaniu.

– Nie – odpowiadam, po czym podnoszę głowę i zaglądam w jego oczy, ciemne od namiętności, którą przed chwilą dzieliliśmy.

– On mnie... całował dość często... i ja całowałam jego – przyznaję, krztusząc się przy ostatnich słowach. – Miałam plan. Zbierałam własną krew, kiedy byłam pod prysznicem. Kaleczyłam się i zbierałam krew w buteleczki po perfumach. A kiedy już miałam dość, chciałam się przekonać, czy zdołam go skłonić, żeby mnie ugryzł. W nich pożądanie miesza się z żądzą krwi. Myślałam, że może straci kontrolę, jeśli go trochę podpuszczę.

Czerwienię się ze wstydu.

Reed milczy, więc ciągnę opowieść dalej:

– Pragnął mnie. Zaczynał mnie zmuszać, żebym na niego reagowała. Ale tak naprawdę chciał, żebym poprosiła, by się ze mną kochał. – Obserwuję, jak Reed walczy o zachowanie obojętnego wyrazu twarzy. – Myślę, że jako ktoś, na kogo kobiety zawsze leciały, nie miał ochoty mnie zmuszać... Wolał raczej skusić.

– Więc... wy dwoje nigdy... – mówi Reed, obejmując mnie jeszcze mocniej.

– Nie, tylko z nazwy byłam jego królową – odpowiadam na jego niewypowiedziane pytanie i patrzę, jak zamyka oczy.

– Ewie, kiedy ci mówiłem, żebyś robiła wszystko, by przeżyć... naprawdę miałem na myśli wszystko. – Patrzy mi w oczy. – Jeśli miałabyś kłamać, oszukiwać, kraść i go uwodzić, żeby uciec... żeby zachować duszę... Przeżyłbym to, byle tylko cię odzyskać.

– No cóż, większość tych rzeczy robiłam... Tylko nie potrafiłabym z nim spać. – Emocje na jego twarzy zmieniają się od napięcia do euforii.

– Ale on cię ugryzł... musiałaś coś do niego czuć. – Reed wygląda na zdezorientowanego, ale szczęśliwego.

– Tak, czułam coś do niego – przyznaję, próbując wyjaśnić mój pociąg do Brennusa. – On jest... uwodzicielski i skomplikowany. Kiedy jest w pobliżu, trudno zachować trzeźwość umysłu. Ale to, co do niego czułam... to nic w porównaniu z tobą, bo mam cię w swojej krwi – odpowiadam i nachyliłam się, żeby lekko ugryźć go w ucho. – To ty jesteś moim aniołem. Potrzebuje cię... nigdy nikogo tak nie potrzebowałam.

– Myślałem, że cię już tracę, kiedy powiedziałaś, że chcesz tam zostać – mówi Reed.

Siada, trzymając mnie w ramionach, i układa mnie tak, że możemy patrzeć sobie w oczy.

– Nigdy mnie nie stracisz. – Przytulam się do niego i go obejmuję. – Nie chciałam, żeby ktokolwiek z was się narażał na niebezpieczeństwo. Myślałam, że jeśli uda mi się namówić Gankanagów, żeby bronili mnie przed Upadłymi, będę mogła was ochronić.

Słyszę gniewny pomruk Reeda, odsuwam się i widzę jego posępną twarz.

– Evie, musimy jeszcze porozmawiać o tym, że ciągle chcesz mnie chronić – zaczyna, ale zakrywam mu usta swoimi i namiętnie go całuję, obejmując za szyję.

– Nie rozmawiajmy teraz – szepczę, ocierając się o niego, i czuję jego natychmiastową odpowiedź.

Zostajemy tam przez większą część dnia i tracimy poczucie czasu. Kiedy światło w pieczarze zaczyna przygasać, nagle głośno burczy mi w brzuchu. Reed uśmiecha się, odrywając usta od moich.

– Głodna? – szepcze.

– Umieram z głodu – przyznaję. – Zostały jeszcze jakieś babeczki? – pytam.

– Nie, zjadłaś wszystkie godzinę temu – mówi Reed z uśmiechem, od którego niemal roztapia mi się serce. Wstaje z koca, zbiera moje ubrania i mi je podaje.

– I tak musimy już wracać. Buns planuje dziś na kolację grilla na plaży. Będzie jej przykro, jeśli cię nie dowiozę na czas.

Przygląda mi się, kiedy zakładam czarne bikini i wiązaną spódnicę. Potem mruczy, obejmuje mnie i do siebie przyciąga.

– Evie, jesteś taka piękna.

Na dźwięk tych słów czuję gorącą falę zadowolenia.

– Jeśli kiedykolwiek czuję się piękna, to tylko wtedy, kiedy ty na mnie patrzysz – odpowiadam szczerze, opierając policzek na piersi Reeda i słysząc bicie jego serca w rytmie podobnym do mojego. – Będziesz musiał pomóc mi się stąd wydostać. Nie umiem jeszcze zbyt dobrze latać.

– Fedrus mówił mi, że latasz. – Reed odrywa mnie od ziemi i mocno trzyma w ramionach. – Chciałem być przy tobie, kiedy będziesz próbowała – mówi z rozczarowaniem w głosie.

– Chyba lepiej, że tego nie widziałeś – odpowiadam, przypominając sobie swój skok z altany i pościg Declana. – To dużo trudniejsze, niż się wydaje.

– Kiedy wyrosną ci większe skrzydła, będzie łatwiej – tłumaczy Reed z uśmiechem. – Gotowa? – Gdy potakuję, wzbija się razem ze mną i przelatujemy przez ścianę wody, którą mamy przed sobą.

Jego skrzydła łopoczą, gdy opuszczamy się stopniowo na ziemię.

– A gdzie jest Fedrus? – pytam Reeda, kiedy odstawia mnie na ziemię obok samochodu.

Siadam na miejscu pasażera, a Reed zamyka drzwi po mojej stronie.

– Wciąż jest w Dominium – wyjaśnia, po czym uruchamia silnik i kieruje się na naszą plażę.

– Nie powiedziałeś mi o waszym planie? – pytam, wpatrując się w jego twarz.

– Nie. – Reed mocniej ściska kierownicę.

– Dlaczego? – dopytuję.

– Nie powiedział nam o planach, które uzgodnił z tobą, więc odwdzięczyliśmy się tym samym – tłumaczy Reed.

– REED! – krzyczę zdesperowana. – To nie w porządku! Wymogłam na nim, żeby pewne rzeczy potoczyły się tak, jak ja chciałam. Miał do spełnienia pewną misję i ją wykonał. Jak możesz go tak odsuwać?

– A jak ty mogłaś tak mnie odsunąć? – pyta cicho, wciska mocno pedał hamulca i zatrzymujemy się z piskiem opon. – Obiecałaś mi, że już nigdy nie znikniesz sama, ale zostawiłaś mnie.

– Ściśle mówiąc, nie zniknęłam... Po prostu nie wróciłam od razu po ucieczce – wyklócam się, a Reed w reakcji na moje liche argumenty jest coraz bardziej nadąsany.

– No tak, masz rację. Ściśle mówiąc, po prostu udawałaś, że nie istnieję – potakuje, a ja muszę się przytrzymać poręczy, bo auto nagle rusza z oszałamiającą prędkością.

– Ja... musiałam dokonać wyboru... z czym będę mogła żyć – mówię, przyglądając się drzewom przesuwanym się za oknami auta, którego koła wbijają się w ziemię i wypluwają ją głośno na nadkola. – Valentine'owi chodziło o mnie, a nie o tamtych... Skończył się czas bezpiecznej zabawy – tłumaczę.

Chcę zamknąć oczy, gdy samochodem lekko zarzuca.

– I mnie chodziło o ciebie – odpowiada Reed z nieprzyjazną miną.

– Byłam zdesperowana. Reed, oni umierali. Valentine wciąż mi opowiadał,

w jaki sposób ich zabije... a potem obiecał, że pozwoli im odejść, jeśli do niego przyjdę. – Kiedy to mówię, moje spanikowane serce galopuje. –

Valentine by się nie powstrzymał. Był gotów ich pozabijać, a potem odnalazłby mnie... i ciebie. Nie mogłam żyć z tą myślą. Nie mogłam żyć, wiedząc, że coś mogę zrobić!

Reed przestaje dociskać pedał gazu. Samochód zaczyna zwalniać, a ja odzywam się słabym głosem, drżącym od uczuć:

– Wiem, że cię skrzywdziłam, Reed. Proszę, wybacz mi.

– Nigdy wobec nikogo nie czułem takich emocji, Evie – mówi Reed, nie patrząc na mnie. – Nie wiedziałem, że będę czuł ten ból, ale on we mnie jest. Myślałem, że to zniknie, kiedy cię odzyskam. – Patrzy na mnie zdezorientowany. – Wiem, że to, co zrobiłaś, było konieczne... Nie musisz prosić mnie o przebaczenie – rzuca ponuro.

– Reed, czasami nie można nakazać sercu, żeby uwierzyło w to, co wie głowa. – Przesuwam się i siadam mu na kolanach, bo prowadzi teraz bardzo wolno drogą wysadzaną drzewami. – Gdzie tkwi ten ból? – Czuję, jak moje serce odpowiada bólem.

Reed bierze moją dłoń i kładzie ją sobie na piersi, ponad sercem. Do oczu napływają mi łzy. Dotykam delikatnie miejsca, w którym na skórze wyryty jest znak moich skrzydeł. Całuję to miejsce, a potem szepczę do serca Reeda:

– Przepraszam. Kocham cię i nie będę miała litości dla tego, kto spróbuje nas jeszcze kiedyś rozdzielić. Żadnej litości... Przysięgam.

Reed zatrzymuje samochód i w gorączkowym podnieceniu przyciska wargi do moich ust. Podnosi mnie z fotela i niesie do naszego bungalowu. Obejmuję go za szyję i oddaję mu pocałunki, nie myśląc o czymkolwiek innym. Kiedy zbliżamy się do wejścia, słyszę wołanie Zefira.

– O, jesteście!

Odrywając swoje usta od moich, Reed odpowiada:

– Nie.

Jednym kopniakiem otwiera drzwi bungalowu i kieruje się do sypialni. Wciąż trzyma mnie na rękach. Kolejne kopnięcie sprawia, że drzwi sypialni zamykają się za nami. Reed niesie mnie do łóżka.

## Rozdział 26

# *Słońce nie świeci*

Ze snu budzi mnie pukanie. Otwieram oczy i rozglądam się po pokoju. Widzę, że jest kompletnie zdemolowany. Natychmiast czuję rumieniec. Reed i ja nie byliśmy zbyt ostrożni, kiedy wróciliśmy wczoraj z wycieczki do wodospadu. Pokój wygląda jak garderoba gwiazdy rocka. Siadam i uświadamiam sobie, że jestem w łóżku sama. W pokoju również, chyba że Reed ukrył się gdzieś pod zniszczoną toaletką, w co szczerze wątpię.

Słyszę kolejne pukanie.

– Ee... chwileczkę. – Owijam się prześcieradłem i potykając się, wychodzę z łóżka. Ostrożnie omijam pobjowisko na podłodze, aby dotrzeć do drzwi.

– Kto tam?

– To ja – słyszę głos Russella.

Patrząc przez ramię na szkody wyrządzone w pokoju i czuję zakłopotanie.

Szeptem pod nosem kilka szczególnie dobranych słów i mówię głośniejszym głosem przez drzwi:

– Aha... tak?

Owijam się szczerzej prześcieradłem i przebiegam palcami po rozczochranej głowie.

Uchylam odrobinę drzwi, spoglądam nieśmiało na Russella i mamroczę:

– Cześć.

– Cześć – śmieje się Russell, otwierając drzwi na oścież i zmuszając mnie,

żebym zrobiła krok do tyłu.

A potem wchodzi do pokoju.

– Ależ proszę, wchodź – mówię z irytacją w głosie. Czuję, że moja twarz ma kolor buraka.

– Dobry Boże, kobieto... co tu się działo? – pyta Russell, czerwieniąc się prawie tak samo jak ja.

– Nic takiego... ee... co jest? – pytam szybko.

– Zebranie w sprawie strategii... Może chcesz wziąć w nim udział... Będziemy rozmawiać o bezpieczeństwie... – Russell milknie i zdejmuję moją czarną górę od bikini, która zawisała na lampie.

Wyrywam mu część swojej garderoby i jedną ręką chowam za plecami, a drugą chwytam Russella za biceps.

– Dzięki, Russ. – Próbuję odprowadzić go do drzwi. Brownie ma rację – on jest cholernie silny i nie potrafię go przesunąć choćby o centymetr.

– Wiesz, co mi ten pokój przypomina? – Rozgląda się dookoła, a potem patrzy mi w oczy.

Wzruszam ramionami, ale mam ochotę wpełznąć w jakąś dziurę.

– Ateny. Całkowicie zdemolowaliśmy nasze pokoje, kiedy wróciłem z kampanii w...

Przerywam mu.

– Czy ja w tamtym życiu byłam dziewczyną czy chłopakiem? – Próbuję odwrócić jego uwagę od tamtej historii.

– O, Ruda, z całą pewnością byłaś dziewczyną – śmieje się. – Miałaś zwyczaj tak cicho piszczeć, kiedy ja...

– Okej! Gdzie jest to zebranie, Russell? – Czuję, że się czerwienię do granic możliwości.

Russell widzi to i śmieje się jeszcze bardziej. Mam wrażenie, że wzrokiem przenika przez prześcieradło, którym jestem owinięta.

– W dużym domu. – Wskazuje przez ramię w stronę wiejskiego domu Zefira. – Będziemy tam jedli śniadanie. Założę się, że jesteś głodna, bo opuściłaś wczoraj wieczornego grilla. Aha, Zee prosił, żeby ci powiedział, że przybyli ludzie, którzy mają przygotować jedzenie i posprzątać, więc



powinnaś wyglądać po ludzku.

– Dobra... A kiedy? – pytam, starając się wygładzić choć trochę włosy, bo Russell zaczął się im przyglądać.

– Masz dłuższe włosy – mówi, widząc, jak próbuję je rozplątać.

– Wiem. Powinnam je ściąć – odpowiadam nieobecna myślą.

– Nie, nie rób tego... Podobają mi się – mówi miękko, a jego uśmiech zaczyna drgać i po chwili całkiem znika.

Udaje mi się uchwycić na jego twarzy prawdziwe, nieudawane emocje, ale wkrótce wraca jego poprzednia maska i uśmiech.

– Och, no dobrze. – Czuję, jak moje serce przyspiesza pod wpływem spojrzenia Russella.

Potem spoglądam w inną stronę i mówię:

– Powinnam chyba wziąć prysznic.

– Myślałem, że moglibyśmy się spotkać po śniadaniu... we dwoje. Chciałbym się dowiedzieć, czego cię nauczyli w sprawach... magii. – Nagle Russell wykrzywia twarz. – Cholera, kiedy wymawiam słowo „magia”, czuję się tak idiotycznie! – mówi, szukając w moim wzroku zrozumienia.

Śmieję się.

– Wiem, rozumiem cię! – potakuję. – Czuję się jak kompletna kretyńka, kiedy to mówię. To prawda.

– No właśnie. Przysięgam, że brałem udział w walce z tymi wszystkimi dziwolągami, którzy są jeden do drugiego podobni. „Zniszczę twoją duszę!” – mówi Russell, naśladując głęboki głos Kewewa, który zgina grzbiet i potrząsa pięścią jak ogr. – A ja raczej chciałem powiedzieć: „Czy wiecie, że wszyscy brzmiecie jak kompletne bęcwały?” – dodaje, potrząsając głową.

Nie mogę powstrzymać śmiechu. Muszę zakryć twarz dłońmi, a i tak wybucham śmiechem, tak że nie mogę patrzeć na twarz Russella, bo ten widok rozbiera mnie jeszcze bardziej.

W końcu udaje mi się opanować tę wesołość. Ocieram łzy radości.

– Tak, czasami jest niezła jazda – mówię.

– O tak, Ruda, z całą pewnością – przytakuje Russell z uśmiechem na twarzy. – To co? Nauczysz mnie... swojej magii? – Spogląda najpierw w sufit,

potem na mnie.

– Oczywiście. Chcę, żebyś był potężniejszy niż ktokolwiek inny – odpowiadam.

– Popracuję z tobą nad klonami. Ćwiczyłaś od czasu, kiedy zniknęłaś? – pyta Russell.

– Nie – przyznaję, patrząc w podłogę. – Nie działało... Nie mogłam wysyłać ich do was i... to było... One są bardzo osobiste, więc nie wysyłałam ich do Gankanagów. Korzystałam z nich parę razy, żeby móc się oddalić od Brennusa... na początku, kiedy mnie złapał, ale po zawarciu kontraktu... – Milknę i znów czuję się okropnie.

– Tak – przytakuje Russell, a ja myślę, że to jedyna osoba, której mogę przekazać w pełni to, co chcę powiedzieć. On i ja jesteśmy tym samym. Jednością.

Nie wiem, od czego zacząć, bo jest tyle spraw, o których jeszcze sobie nie opowiedzieliśmy. Wszystkie one tworzą jakąś ścianę między nami.

– Ach, Ruda, nie możesz tego zrobić – jęczy Russell.

– Czego? – Patrzę mu w oczy.

– Wyglądasz na zagubioną... taką kruchą – mówi, sam sprawiając wrażenie zdezorientowanego.

– Wszystko ze mną w porządku – mówię z nerwowym uśmiechem. – Po prostu jestem przyzwyczajona do życia na polu minowym. Nie wiem, jak to jest, kiedy ma się w pobliżu kogoś, kto wie, jakie to wszystko jest dziwne. Przy tobie trudno cokolwiek udawać.

– Dla ciebie to niemożliwe – odpowiada Russell. – Nigdy nie musisz przede mną niczego udawać.

– To jak z motyką na słońce? – pytam go łagodnym głosem.

– I nawet jak ci się kompletnie nie uda, nadal będę cię kochał – odpowiada, idąc w kierunku drzwi.

Czuję, jak zaciska mi się gardło.

– Dziękuję, Russell – mówię, zanim dociera do drzwi.

Przystaje na chwilę i pyta, nie odwracając się:

– Za co?

- Za to, że mnie znalazłeś – odpowiadam.
- Chyba dotarłem trochę za późno – mówi Russell.
- Nie, nie za późno – zaprzeczam, bo nie jestem pewna, czy rozmawiamy o tym samym.
- Mam nadzieję, że nie – mówi napiętym głosem i wychodzi z bungalowu.

Podnoszę z podłogi krzesło i stawiam je przy połamanym stole. Potem oczyszczam sobie drogę pod prysznic i zamykam drzwi. Odkręcam kran i zdejmuję z siebie prześcieradło. Wchodzę do kabiny i pozwalam, by woda spływała na moje włosy. Myję je szybko i płuczę, po czym wychodzę spod prysznicza.

Kiedy schnę, czuję wokół siebie zimny prąd lodowatego powietrza. Dostaję gęsiej skórki na ramionach. Wciągam do nosa powietrze i staram się rozpoznać zapach, ale nie czuję niczego szczególnego.

Owijam się ręcznikiem i idę za prądem powietrza. Czuję się, jakbym szła jakąś lodową ścieżką, która doprowadza mnie do szafy. Otwieram ją lekko trzęsącą się ręką, bo spodziewam się w środku jakiegoś przerażającego stworzenia. Ale w szafie nie ma niczego poza moimi ubraniami.

Wybieram czerwony kostium kąpielowy i dopasowaną do niego spódnicę sarong. Dobieram do tego stroju sandały i dotykam długich butów, które wcześniej nosiłam. Jeden jest jakby zimniejszy. Wyjmuję go i w środku znajduję nóż, który dał mi Brennus, kiedy uciekaliśmy z zamku. W chwili, gdy go dotykam, metal zaczyna tracić swój chłód i ogrzewa się w mojej dłoni, jakby był szczęśliwy, że znów jest ze mną.

Zabieram ze sobą nóż do łazienki i kładę obok umywalki. Dopiero potem się ubieram. Przeszukuję czarny worek marynarski, który Reed trzyma pod umywalką. Są w nim różne rodzaje broni. Znajduję czarną pochwę zakładaną na udo i mocuję ją na nodze. Wsuwam do niej nóż. Obiecałam sobie, że będę nosić przy sobie broń, jeśli uda mi się wydostać z jaskiń w Houghton. Dobrze się składa, że to akurat broń Brennusa, bo to głównie on mnie nauczył, że bywa przydatna.

Wychodzę z łazienki i nagle wydaję stłumiony okrzyk zdumienia: z dwóch stron pojawiają się obok mnie czyjeś ramiona i tworzą przy ścianie sypialni klatkę, w której zostaję zamknięta. Kiedy Reed przyciska się do mnie całym

ciałem i wdycha zapach moich włosów opadających na ramiona, przechodzi mnie dreszcz podniecenia.

– Przestraszyłeś mnie – mówię, a moje serce przyspiesza coraz bardziej, kiedy Reed dotyka swoim policzkiem mojego.

– Nie powinienem się do ciebie wślizgnąć niezauważony – mówi Reed poważnym tonem. – Jeśli ja potrafię to zrobić, przy całym naszym wzajemnym pociągu do siebie, to znaczy, że nie zwracasz wystarczającej uwagi na swoje otoczenie.

– Moje otoczenie w tej chwili to niezły bałagan – odpowiadam z uśmiechem, opierając się na nagim torsie Reeda.

– Zajmę się tym, kiedy będziemy pracować nad rozwojem twoich umiejętności – mówi, a jego usta są blisko moich.

– Chcesz powiedzieć, że będziesz mnie uczył? – pytam, wodząc rękami po jego ramionach.

– Tak. – Reed się uśmiecha.

– Ale dawniej rzadko ci się to zdarzało...

Milknę, bo nasze usta się spotykają.

– Teraz jesteś już bardziej wytrzymała – odpowiada Reed, muskając moje wargi swoimi.

– Kiedy chcesz zacząć? – dopytuję się, głaszcząc dłońmi jego szerokie plecy.

– Po śniadaniu? – proponuje Reed.

Wydaję z siebie głuchy jęk, odsuwam się i zaglądam mu w oczy.

– Nie mogę. Obiecałam Russellowi, że spędzę z nim trochę czasu. Chce się nauczyć magii... Tego, co mi się udało ostatnio opanować – wyjaśniam. – A może po lunchu?

– Zamierza pracować nad twoimi klonami? – pyta Reed i kładzie dłonie na moich plecach, przyprawiając mnie o falę gorąca.

– Mhm, chyba taki był plan – szepczę, nie bardzo mogąc skupić się na naszej rozmowie.

– To dobrze – odpowiada.

Reed podnosi mnie i niesie w stronę stojącego za nami łóżka.

– Czy nie miało być teraz zebrania w sprawie strategii? – Wpatruję się w jego ciemnozielone oczy i obserwuję, jak na idealnie ukształtowane czoło spadają mu ciemnobrązowe włosy.

– Zaczekają na nas – odpowiada, kładąc się obok mnie na łóżku.



Kończę śniadanie i spoglądam na siedzącego obok mnie Reeda, który słucha, jak Zefir omawia zastosowane środki bezpieczeństwa. W promieniu kilku mil od naszej wyspy jest jeszcze kilka innych. Na niektórych mieszkają ludzie, a wśród nich przebywa sporo aniołów Kosiarzy. Buns i Brownie nawiązują z nimi kontakt, organizując sieć, która ma ich ostrzegać o wszelkich podejrzanych działaniach Upadłych lub innych stworzeń ze świata zła, które mogą dotrzeć w nasze sąsiedztwo.

– Kosiarze nam pomagają? – dopytuję się, spoglądając na zmianę na Reeda i Zefira.

– Evie, oni stanowią niewykorzystany wcześniej potencjał – śmieje się Zefir. – Kosiarze są praktycznie wszędzie, a Boscy Kosiarze bardzo chętnie chcą nam pomagać.

– Skarbie, skoro już mówimy o tobie... Jesteś jak gwiazda rocka – mówi Buns, a jej chabrowe oczy lśnią z rozbawienia. – Wystarczyło, że o tobie wspomniałam, i wszyscy z entuzjazmem chcieli pomagać.

– Buns odpowiada za te działania – mówi Zefir z nieśmiałym uśmiechem. – Ja nie mam jej cierpliwości.

– Daj spokój, Zee, większość z nich to słodziaki – mówi Buns przymilnie.

Zefir się krzywi.

– Za słodcy i za szczęśliwi. Niepokoi mnie to – odpowiada poważnym głosem.

– Ale potrafią wyczuć zło na kilometr – odpiera zarzuty Buns, nie próbując zaprzeczać słowom Zefira.

– Przy nich nawet mały kotek może uchodzić za zło – mówi Zefir. – Mamy też w okolicy zaufanych Mocnych. Rozłokowani są jako strażnicy na naszej

wyspie i sąsiednich. To sprawdzeni Mocni, których znamy z Reedem osobiście. Nie zdołacie ich zobaczyć. Jeśli zdołacie, to znaczy, że jest problem – podsumowuje, badając moją reakcję.

Usiłuję zachować neutralny wyraz twarzy, żeby Zefir się nie zorientował, że po jego słowach przeszło mnie lodowate zimno. Przypomniało mi, że wciąż jestem zwierzyną łowną. Nie bardzo umiem to wszystko przyjąć do wiadomości jako rzeczywistość. Raczej wydaje mi się to nierealnym snem, z którego nie chcę się budzić.

– Więc zostaniemy tutaj? – pytam.

– Na razie jest to równie dobre miejsce jak każde inne – odpowiada Zefir. – Nasze miejsce pobytu znają tylko zaufane anioły... Nawet Kosiarze nie znają go dokładnie.

– Chciałbym, Evie, żebyś to nosiła. – Reed wyciąga z kieszeni owalny wisiołek na szyję, wykonany z czarnego onyksu i zawieszony na platynowym łańcuszku. Na środku onyksowej zawieszki jest półksiężyc z opalu.

– Piękny. – Biorę wisiołek do ręki.

Bardzo przypomina kameę i ma zatrzask jak medalion.

– Nie otwieraj go, Evie. – Reed chwyta mnie za rękę, żebym nie zwolniła zatrzasku. – To jest portal, kochanie – mówi, po czym uspokajająco się do mnie uśmiecha.

Robię się blada jak papier. Trzymam wisiołek w dłoni i kieruję wzrok na twarz Reeda.

– Dokąd prowadzi? – pytam go.

– W bezpieczne miejsce – odpowiada. – Wolałbym nie mówić nic więcej. W ten sposób nikogo z tu obecnych nie będzie sensu torturować, żeby wydobyć tę informację. Jesteś już w końcu na tyle silna, że wytrzymasz podróż przez portal. Wcześniej nie chciałem ci żadnego dawać, bo nie przeżyłabyś jego użycia.

– A co z tobą? – pytam spanikowana, bo Reed spodziewa się mojej ucieczki i tego, że może zostać sam.

Unosi w górę nadgarstek i pokazuje mi zegarek.

– Nie jest mi łatwo nosić ten portal – przyznaje z uśmiechem. – Ale skoro

ma mnie doprowadzić do ciebie, muszę sobie jakoś z nim poradzić.

Rozumiem. Nigdy nie ma ochoty uciekać z pola walki, ale dla mnie użyje portalu.

– Czy twój prowadzi w to samo miejsce co mój? – pytam, przyglądając się jego zegarkowi, który wygląda jak model firmy Blancpain.

– Tak, oba nasze portale są połączone... Tak jak Zee i Buns oraz Russella i Brownie – tłumaczy Reed.

Spoglądam na Buns, która ma na szyi wisiołek bardzo podobny do mojego, tyle że w formie złotego słońca. Brownie nosi miedzianą gwiazdę, a Russell i Zefir mają na nadgarstkach podobne zegarki jak Reed.

– Dokąd prowadzą ich portale? – pytam, patrząc na Russella.

– Nie powinni ci tego mówić. Jeśli będziemy musieli ich użyć, potem trzeba będzie się odnaleźć – wyjaśnia Reed.

– W jaki sposób? – dopytuję.

– Wszyscy jesteśmy bardzo pomysłowi. A poza tym istnieje Facebook – mówi Reed z uśmiechem.

Odnajduję wzrokiem Russella. Mruga do mnie, dając do zrozumienia, że wciąż ma aktywny facebookowy profil jako Leander Duncan. Może tam zamieścić informację, gdzie jest, gdybyśmy kiedykolwiek znów musieli się rozdzielić.

– Trening – mówi Zefir, patrząc na mnie ze złośliwym uśmiechem. – Jesteś gotowa? – pyta.

– Noo... – waham się, rozglądając się dookoła i widząc wszystkie roześmiane twarze. – Oczywiście.

Zefir kiwa głową.

– To dobrze. Russell będzie z tobą ćwiczył rano, a po południu oboje będziecie mieli zajęcia z Reedem i ze mną.

– Lekcje latania z Brownie, a ja po kolacji – dodaje Buns. – Będzie podobnie jak na treningach hokeja, tylko bez kijów.

– I bez dziewczyn z korporacji Kappa – włącza się Brownie.

– Więc będziemy mieli wypełniony cały dzień? – patrzę na Russella, bo jestem ciekawa jego reakcji.

– Tak – mówi Reed z nieco kwaśną miną, bo widzi, że trzeba będzie ograniczyć nasz wspólny czas.

– Musimy się postarać, żeby dogoniła Russella – mówi Zefir, wyczuwając niechęć w głosie Reeda.

Russell całuje oba swoje bicepsy, a potem śmieje się do mnie i mówi pod nosem:

– Ja tu jestem facetem.

Krzywię się, a potem uśmiecham.

– No dobra, nie będzie już tak jak teraz. Ruda, jesteś gotowa, żeby wyciągać króliki z kapelusza? – pyta mnie Russell, wstając z miejsca przy pięknie ozdobionym stole.

– Tak. Powinniśmy to robić na plaży, a w każdym razie z dala od domu. – Wstaję od stołu i przyglądam się meblom w domu Zefira. – Za pierwszym razem, kiedy wypowiedziałam zakłęcie, o mało nie spaliłam zamku Brennusa.

– Nieźle – odpowiada Russell, kiwając głową z rozbawioną miną.

Reed także wstaje ze swojego krzesła i bierze mnie za rękę.

– Kiedy skończycie, poszukaj mnie – mówi, lekko ściskając moją dłoń.

– Okej – potakuję i daję mu szybkiego całusa.

Wychodzę z ogromnego domu za Russellem i pytam:

– Orientujesz się w tym terenie?

– Tak. – Uśmiecha się, wskazując drogę w prawo. – Ta ścieżka prowadzi do mojej plaży.

– Masz własną plażę? – pytam zdumiona, idąc piaszczystą dróżką wśród bujnej roślinności.

– Zee pozwolił mi mieszkać w jednej z willi na północnym skraju wyspy. Mam też w głównym budynku apartament, gdybym chciał spędzać czas z resztą towarzystwa. Ale czasami muszę być sam – mówi Russell, nagle poważniejąc.

– Dlaczego musisz być sam? – pytam, wyczuwając coś dziwnego w jego tonie.

– Bo niekiedy całkiem świruję od tego częściowego bycia aniołem – odpowiada dość sztywno.



– Tak – kiwam głową – szczególnie kiedy się zastanawiasz, dokąd to wszystko prowadzi... i myślisz, co cię czeka za następnym zakrętem.

Russell patrzy na mnie z wymuszonym uśmiechem.

– Albo kiedy przypominasz sobie, gdzie byłaś – dodaje.

– Często to wspominasz... tamten kościół? – Czuję, że krew częściowo odpływa mi z twarzy.

– Tak... Wydaje mi się, że mój umysł lubi odwiedzać to miejsce – przyznaje Russell ze zboląłą miną.

– Mój też – mówię, po czym chwytam jego dłoń.

Jego ciepłe palce splatają się z moimi.

– Co się działo, gdy stamtąd odeszłam? – pytam.

– Rano zjawili się Reed i Zee razem z Fedrusem. Nie mam pojęcia, jak tam dotarli tak szybko. Przez pewien czas opiekowali się Brownie i mną, ale ja miałem dość. Nie mogłem znieść już ani trochę więcej... więc poszedłem do domu – mamrocząc Russell, nie patrząc mi w oczy.

– Do Karoliny Północnej? – pytam, wiedząc, że uważa ten stan za swój dom, choć jego rodzice musieli zostać stamtąd przeniesieni, kiedy Alfred próbował nas zabić.

– Tia, i zacząłem pić w tej samej chwili, kiedy tam dotarłem. Niewiele z tego czasu pamiętam – mówi z cierpkim uśmiechem. – Kilka tygodni później odnalazł mnie Reed. Powiedział... powiedział, że nas potrzebujesz... nie potrafili cię znaleźć, a ja mogłem popracować nad swoimi klonami i wtedy pojawiła się szansa, żeby cię zlokalizować.

Russell prowadzi mnie do długiego nabrzeża przylegającego do bungalowu osadzonego w wodzie na palach.

– O rany! – mówię, oglądając jego kawalerkę podobną do tej, którą dzieję z Reedem. Russell ma u siebie wielki płaski monitor, najnowszy system dźwiękowy oraz meble, których nikt nie zdewastował.

– Trzymaj. – Wręcza mi deskę do surfingu.

– A po co to? – pytam, trzymając deskę w rękach. Russell w tym czasie wybiera inną dla siebie.

– Nie po to, żeby rozpaścić ognisko na wodzie – mówi.

– Poręczna – stwierdzam, niosąc deskę na plażę.

– Chcesz najpierw popracować nad klonami czy nad magią? – pyta Russell, a potem jęczy, bo dziwnie brzmi to pytanie wypowiedziane na głos.

– No... ja nie... A ty co wolisz? – odpowiadam pytaniem, czując się nagle dość niezręcznie.

– Och, z pewnością magię – mówi z szerokim uśmiechem.

Zrzuca z siebie koszulę i kładzie na piasek. Chwyta deskę i biegnie do wody. Leży na niej i wiosłuje ramionami, oddalając się od brzegu.

– To nie jest normalne – mruczę pod nosem, rozwiązując spódnicę i eksponując czerwony kostium kąpielowy.

Biorę deskę i wiosłuję w stronę jasnoniebieskich fal. Russell czeka na mnie w wodzie. Kładę swoją deskę obok jego, siadam na niej okrakiem i zwieszam nogi po bokach.

– No dobra, więc jak to działa? – Russell przeczesuje mokre włosy dłońmi i strąca z nich krople, które spadają na jego potężną pierś.

– Możesz się przybliżyć? – pytam, czerwieniąc się trochę, a łagodnie falująca woda tymczasem delikatnie porusza się pode mną, stykając nasze deski.

– Mogę wskoczyć na twoją deskę – odpowiada Russell.

Zmienia pozycję i udaje mu się usiąść za mną. Jego deska w tym czasie dryfuje obok nas. Russell obejmuje mnie w pasie i mówi mi do ucha:

– No i jak?

– W porządku – odpowiadam, myśląc przy tym, że taka pozycja jest czymś okropnym, ale jednak nie jest... wydaje się tak naturalna.

– Zacznę teraz przyciągać do siebie energię, która krąży wokół nas. Nie wiem, jak dokładnie wytłumaczyć, co trzeba zrobić. Mam nadzieję, że będziesz w stanie poczuć, jak przepływa przez ciebie w moją stronę.

Russell w milczeniu kiwa głową i daje mi sygnał, żebym zaczęła. Ściągam energię jak magnes. Czuję, że gromadzi się we mnie, mrowiąc i oscylując, podobnie jak prąd wody pod nami.

– Czuję – szepcze mi do ucha Russell. – Cholera, parzy.

Uśmiecham się.

– Dobrze. Spróbuj trochę zatrzymać jej przy sobie... zablokować jej jakąś część, żeby nie mogła dotrzeć do mnie. Brennus mówił, że trzeba sobie wyobrazić, co się chce zrobić... Na przykład rozpalić ogień. Potem kazał wypowiadać słowa, które o tym mówią. Mogą brzmieć dowolnie, ale stwierdziłam, że wierszyki działają najskuteczniej. Kiedy wiesz, czego chcesz, wypowiedz słowa, a potem spróbuj wypuścić energię. Pozwól, żeby od ciebie popłynęła.

Przesuwam swoją dźwignię kierującą energią, którą zebrałam, i odwracam jej kierunek. Kontroluję jej przepływ i jednocześnie nucę cicho:

*– Twoje pragnienie mnie uwięziło, Twoje gorąco mnie otoczyło. Gdy mnie pragniesz, miłość płonie, kiedy płonie, parzy w dłonie...*

Steruję ogniem, który kieruję tak, by utworzył wokół naszej deski surfingowej wirujący krąg.

– Niesamowite! – szepcze Russell.

– Tak. – Uśmiecham się.

Kieruję ogień wokół nas. Tańczy przez chwilę, po czym wpada do oceanu, wywołując syk buchającego kłębu pary wodnej. Ognista kula gaśnie w głębinach.

– Chcesz teraz spróbować sam? – Staram się odwrócić i spojrzeć mu w twarz, choć siedzi za mną.

Ramię Russella mocniej zaciska się wokół mojej talii i przyciąga mnie do jego piersi.

– Tak... tylko, cholera... będę musiał ułożyć wierszyk? – Spogląda na mnie jednym okiem, drugie bowiem przymyka w dziwnym grymasie.

– Chcesz powiedzieć, że w żadnym z byłych wcieleń nie byłeś poetą? – upewniam się, trącając go lekko łokciem.

– Byłem bardem... To się liczy? – dopytuje Russell z szerokim uśmiechem.

– Tak, liczy się. – Kiwam głową.

– Więc nie powinienem mieć żadnych kłopotów – odpowiada.

– Okej. – Kładę ręce na jego dłoniach, które oparł na moich biodrach. – Pomogę ci przyciągnąć do nas trochę energii, a potem będziesz mógł wypróbować swoje zaklęcie.

Kiwa głową, więc zaczynam ściągać energię. Kiedy już mnie parzy, mówię:  
– No dobra, próbuj teraz.

Głos Russella jest cichy i smutny, kiedy śpiewa:

– *Utracić cię to tak, jak utracić słońce. Zostaje strach przed własnym końcem. Jeśli nie mogę powiedzieć ni słowa, jak mam ci wierności w sercu dochować?*

Pod wpływem słów Russella tracę panowanie nad energią, którą zgromadziłam. Pozbywam się jej w jednej chwili. Na niebie natychmiast pojawiają się ciemne burzowe chmury, które zasłaniają słońce. Jeszcze kilka sekund wcześniej świeciło jasno. Wygląda to prawie jak zaćmienie słońca.

– Hm... Ruda... – szepcze przerażony i zdumiony Russell, gdy widzi, jak otaczają nas ciemności. – Czy to myśmy zrobili? – pyta.

– Mhm – odpowiadam także szeptem, czując gęsią skórę na ramionach i nogach.

– Mamy kłopoty, nie? – pyta.

– Mhm – potwierdzam.

– Śmiertelnie wszystkich przerażymy... nawet dobre anioły – stwierdza, zaczynając dostrzegać nasz problem trochę wyraźniej.

– No właśnie. – Kiwam głową. – Przykro mi, Russell... z powodu tego wszystkiego... Jesteśmy kompletnie ugotowani! Nawet nie wiem, co... jak można tak żyć... dlaczego... – mówię zachrypniętym głosem. Zaczynam się trząść, bo ogarnia nas całkowita ciemność.

– Ćśśś... – mówi Russell, obejmując mnie. – Jakoś sobie poradzimy... Na razie pozostaniemy przyczajeni, a potem coś wymyślimy. – Ucisza mnie, szepcząc mi do ucha, a ja kiwam potakująco głową. Staram się jednocześnie zachować spokój mimo ogarniającego mnie strachu.

To nie jest salonowa sztuczka. Razem z Russellem stanowimy ogromne zagrożenie i kiedy inne istoty zobaczą, do czego jesteśmy zdolni... będziemy musieli walczyć, żeby nie potraktowano nas jak czyjaś broń albo nie zniszczono ze strachu. Właśnie przeszliśmy z kategorii „niebezpieczni” do kategorii „śmiertelne zagrożenie”.

– Razem jesteśmy naprawdę potężni – mówię, patrząc w niebo, które jest

ciemne jak przed świtem. – Nie sędzę, żebym była w stanie zrobić to sama.

– Zawsze byliśmy silniejsi, kiedy działaliśmy razem. – Russell masuje moje ramiona i rozgląda się wokoło. – Potrafisz to naprawić, zanim zlecą się wszystkie złe dziwadła, żeby wywęszyć, co się dzieje? – pyta Russell.

– Nie wiem... – Milknę i się zastanawiam. – Russell, pomóż mi! Ściągnij do siebie tyle energii, ile tylko dasz radę.

Zamykam oczy i koncentruję się na gromadzeniu energii. Kiedy już mnie pali wewnątrz, szepczę:

– *Słońce, słońce, słońce, niech wyjdzie słońce...*

Uwalniam energię i efekt widoczny jest natychmiast: czarne, ponure chmury rozpraszają się i znikają. Znowś świeci słońce.

Russell rozluźnia się nieco.

– To trochę takie uczucie, jak gdy się kradnie rodzicom kluczyki do samochodu, żeby się przejechać, a kończy się stłuczką, nie?

Odwracam się przez ramię i patrzę na niego, jakby był kompletnie szalony.

– Russell, nie wiem jak, ale porwaliśmy słońce – mówię.

– Tak, skala tych zjawisk jest trochę trudniejsza do zrozumienia, niż się spodziewałem – odpowiada.

– Prawda? – upewniam się, oglądając się znowś przez ramię.

– To dobra rzecz, Ruda – mówi Russell uspokajająco. – Pomoże nam to przeżyć. Gdybym potrafił coś takiego zrobić, kiedy byłem u Valentine’a, nie mógłby mnie... Zdołałbym... Dobrze to jest. Będziemy nad tym codziennie pracować. Nauczymy się tego, żeby nikt już nie mógł nas skrzywdzić.

– Zawsze będzie coś potężniejszego ode mnie – mówię.

– Tak, ale może nie od nas obojga... Może razem zdołamy załatwić każdego, kto się na nas porwie – mówi. – Musimy się trzymać razem, choćby nie wiem co.

– Tak – zgadzam się, bo wiem, że ma rację.

– Nie pozwól, żeby twoja miłość do niego nas rozdzieliła – szepcze mi do ucha Russell. – Potrzebuję cię.

– Russell... – szepczę ze złością.

– Wiem, co do niego czujesz. Poczulem to... kiedy z tobą rozmawiałem... kiedy mój klon wszedł w twoje ciało – mówi, gdy patrzę na niemal nieskończony bezmiar wody przed nami. – Ale... słyszałem też twoją duszę. Ty mnie też kochasz. Po prostu... nie odchodź. Potrzebujemy się... choćby po to, żeby przeżyć.

– Musimy się trzymać razem. Zawsze byłam tego pewna – mówię. – Świat będzie próbował nas zmiążyć, Russ.

– No więc... pora, żebyśmy się stali bardziej bezczelni, co nie? – pyta mnie łagodnym tonem, a jego słowa same w sobie mają magiczną moc. Czuję się spokojna, bo już wiem, że będzie walczył razem ze mną.

Reed przerywa moje myślenie swoim męskim głosem.

– Skończyliście się już bawić oświeceniem? – pyta spokojnym tonem, unosząc się z Zefirem nad wodą.

Ich skrzydła powodują bryzę, która wieje na Russella i na mnie.

– Na razie tak – odpowiada Russell. Puszczą mnie i ześlizguje się z mojej deski na swoją.

– Które z was to zrobiło? – pyta Zefir i nie potrafi ukryć podziwu.

– Zakłęcie było Russella, ale zrobiliśmy to razem. Sama nie dałabym rady – odpowiadam, patrząc na ich zdumione twarze.

– Russell, jak się nazywa to zakłęcie? – pyta Zefir.

– Ja bym je nazwał puszką pełną śmiertelności proszku – odpowiada Russell.

– Puszka Pandory – mówi łagodnie Reed, patrząc na nas z poważnym wyrazem twarzy, który znów przyprawia mnie o dreszcz.

– To też – szepczę, łapiąc kontakt wzrokowy z Reedem.

– Reed, chyba mamy teraz w zanadrzu dobrą broń – mówi Zefir z szerokim uśmiechem.

– Chyba zwyciężymy – odpowiada Reed z ulgą w głosie.

Czy on uważa, że to tylko kwestia czasu, aż coś w końcu nas unicestwi? – zastanawiam się. A wtedy on miałby walczyć aż do gorzkiego końca... walczyć o mnie.

Reed nachyla się i odrywa mnie od deski, po czym przytula. Niebo nad

nami robi się coraz jaśniejsze.

- [1] Tradycyjna, prosta amerykańska piosenka, którą można śpiewać bez końca, np. w czasie długich podróży (przyp. tłum.).
- [2] Inaczej: rusalki – w mitologii nordyckiej boginki żyjące w rzekach i jeziorach (przyp. tłum.).
- [3] W wierzeniach muzułmańskich szczególnie złośliwe i niebezpieczne demony (przyp. tłum.).
- [4] Amerykański aktor urodzony w 1939 roku (przyp. tłum.).
- [5] „Szalony” po hiszpańsku (przyp. tłum.).
- [6] Amerykańska gra muzyczna na konsole i telefony komórkowe (przyp. tłum.).
- [7] *Hamlet*, tłum. Józef Paszkowski (przyp. tłum.).



Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz